

# GWIEZDNE WOJNY

## ZEMSTA SITHÓW

MATTHEW STOVER

Przekład  
MACIEJ SZYMAŃSKI



Tytuł oryginału  
REVENGE OF THE SITH

Redaktor serii  
ZBIGNIEW FONIAK

Redakcja stylistyczna  
MAGDALENA STACHOWICZ

Redakcja techniczna  
ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta  
RENATA KUK  
JOLANTA KUCHARSKA

Ilustracja na okładce  
STEVEN D. ANDERSON

Skład  
WYDAWNICTWO AMBER

Copyright © 2005 by Lucasfilm, Ltd. & TM.  
All rights reserved.

For the Polish edition  
Copyright © 2004 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-2126-9

*Autor z całym szacunkiem dedykuje tę adaptację  
George'owi Lucasowi*

*Z podziękowaniem za marzenia całego pokolenia  
oraz pokoleń, które nastaną.  
Dwadzieścia osiem lat – a to jeszcze nie koniec...  
Dziękuję*

## DAWNO, DAWNO TEMU, W ODLEGŁEJ GALAKTYCE...

Historia ta wydarzyła się dawno, dawno temu, w odległej galaktyce. I dobiegła końca. Nic już nie można zrobić, by odmienić jej bieg.

A jest to historia miłości i utraty, braterstwa i zdrady, odwagi i ofiary, a także śmierci marzeń. Historia cienkiej linii, która oddziela to, co w nas najlepsze, od tego, co najgorsze.

To historia końca epoki.

Dziwne bywają takie historie...

Bo choć wszystko to wydarzyło się tak dawno temu i tak daleko stąd, że słowami niepodobna opisać bezmiaru czasu i przestrzeni, to jednak toczy się ona po dziś dzień. Właśnie tu. Właśnie teraz.

Toczy się w chwili, gdy czytasz te słowa.

Tak oto zamyka się rozdział dwudziestu pięciu mileniów. Korupcja i zdrada niszczą tysiącletni pokój. To nie tylko upadek Republiki; noc zapada nad samą cywilizacją.

Oto zmierzch Jedi.

Początek końca.

## W P R O W A D Z E N I E

### ERA BOHATERÓW

Niebo nad Coruscant ogarnęła wojenna pożoga.

Sztuczną jasność nieba, której źródłem są zwierciadła orbitalne, znaczą krzyżujące się smugi płomieni z silników jonowych i gwałtowne rozbłyski eksplozji. Szczątki wpadające w atmosferę pozostawiają po sobie jedynie splątane warkocze dymu. Ciemna strona nieboskłonu jest nieskończoną siecią jaskrawych linii łączących planetoidy, meandrujących niczym spiralne ślady świetlistych komarów. Dla istot spoglądających w górę z dachów Coruscant, planety-miasta, widok ten może być piękny.

Dla uczestników bitwy - nie.

Świetliste komary to dysze silników jonowych myśliwców. Lśniącymi liniami są ślady turbolaserowych boltów, wystarczająco potężnych, by unicestwić niewielkie miasto. Planetoidami są okręty liniowe.

Bitwa widziana od środka jest kłębowiskiem dezorientacji i panicznego strachu; smug cząsteczkowych migających za owiewką twojego myśliwca tak blisko, że kabina zaczyna dźwięczeć jak uszkodzony numerator; wyczuwalnych pod stopami wibracji, których źródłem są eksplozje pocisków udarowych w kontakcie z poszyciem twojego krążownika; i wreszcie działań istot ogarniętych morderczym szałem - towarzyszy znanych ci z lat szkolenia i codziennych wspólnych posiłków, zabaw, żartów, kłótni. Od środka bitwa jest orgią rozpacz i przerażenia w połączeniu ze ściskającą żołądek pewnością, że oto cała galaktyka nagle próbuje cię zabić.

We wszystkich zakątkach ginącej Republiki oszołomione i owładnięte strachem istoty przyglądają się wielkiej bitwie, transmitowanej na żywo przez HoloNet. Wszyscy wiedzą, że układ sił w tej wojnie nie jest korzystny. Wszyscy wiedzą, że każdego dnia coraz więcej Jedi ginie lub dostaje się do niewoli, że Wielka Armia Republiki jest wypierana z kolejnych systemów, ale to...

Uderzenie w samo serce Republiki?

Inwazja na Coruscant?

Jak to się mogło stać?

To koszmarny sen, z którego nikt nie może się obudzić.

A jednak mieszkańcy galaktyki widzą za pośrednictwem HoloNetu, jak armia androidów należąca do separatystów wlewa się wprost do dzielnicy rządowej. Jak żołnierze-klony giną, ustępując przed przygniatającą przewagą liczebną bezlitosnych androidów-niszczycieli w salach samego Senatu Galaktycznego.

Wreszcie westchnienie ulgi: wydaje się, że żołnierze zaczynają odpierać atak. W salonach Republiki miliony istot ściskają się z entuzjazmem, a gdzieś tam słychać nawet zwycięskie okrzyki, bowiem siły separatystów powracają do pojazdów desantowych i odlatują ku orbicie...

Zwyciężyliśmy, powtarzają istoty na milionach planet. Odparliśmy atak!

Lecz oto pojawiają się najświeższe raporty - początkowo zaledwie plotki - że atak łądowy nie był próbą inwazji. Że separatyści nie zamierzali zająć planety. Że był to błyskawiczny rajd na senat.

Koszmar trwa, a sytuacja jest coraz gorsza: Wielki Kanclerz zaginał.

Zaginał Palpatine z Naboo, najbardziej podziwiany człowiek w galaktyce, którego niezrównany talent polityczny pozwolił utrzymać jedność Republiki wobec zagrożenia. Ten sam, który osobistą odwagą i prawością dowiódł, że kłamstwem są propagandowe hasła separatystów, jakoby senat był przeżarty korupcją. Ten sam, którego charyzmatyczne przywództwo daje całej Republice wolę walki.

Palpatine jest nie tylko szanowany. Jest kochany.

Plotka o jego zniknięciu jest jak sztylet wbity w serce każdego przyjaciela Republiki. Każdy bowiem czuje to samo w sercu, w żołądku, w kościach...

Bez Palpatine'a Republika upadnie.

Nadchodzi oficjalne potwierdzenie - jest gorzej, niż ktokolwiek mógł sobie wyobrazić. Wielki Kanclerz Palpatine został porwany przez separatystów, ale to jeszcze nie wszystko.

Jest w rękach generała Grievousa.

Grievous nie jest taki jak inni przywódcy separatystów. Nutę Gunray jest podstępny i przekupny, ale to Neimoidianin - podstępność i przekupność nikogo nie dziwi u przedstawicieli tej rasy, a u kanclerza Federacji Handlowej są one wręcz uważane za cnoty. Pogle Mniejszy to arcyksiążę zbrojmistrzów z Geonosis, gdzie rozpoczęła się ta wojna: ma bezlitosny, analityczny umysł, ale jest też pragmatykiem. Wykazuje rozsądek. Polityczne serce Konfederacji Separatystów bije w piersi hrabiego Dooku, znanego z wierności zasadom i nieprzejednanej postawy wobec tego, co uważa za przejawy korupcji w senacie. I choć powszechnie uważa się, że Dooku nie ma racji, wielu szanuje go za odwagę w bronienu - choćby i błędnych - przekonani.

To twarde istoty. Niebezpieczne. Bezwzględne i agresywne.

Ale generał Grievous...

Grievous jest potworem.

Najwyższy dowódca separatystów stanowi kpinę z praw natury; to fuzyja żywego ciała i maszyny, przy czym jego androidzie komponenty wykazują więcej współczucia niż nieliczne pozostałości myślącej istoty. Półżywy twór jest mordercą miliardów. Na jego rozkaz wypalano do cna całe planety. Jest upadłym geniuszem Konfederacji. Architektem jej zwycięstw.

I sprawcą jej okrucieństw.

Teraz jego durastalowy uścisk zamknął się wokół Palpatine'a. Z samego jądra bitwy, w szerokopasmowej transmisji z pokładu flagowego okrętu, generał osobiście potwierdził ten fakt. Mieszkańcy galaktyki mogą jedynie patrzeć, drzeć i modlić się, że wreszcie się ockną z tego przerażającego koszmaru.

Teraz bowiem wiedzą już, że to, co oglądają na żywo w przekazach HoloNetu, jest śmiercią Republiki.

Wielu bezsilnie zalewa się łzami; znacznie więcej jest tych, którzy szukają pocieszenia w ramionach mężów, żon, rodzeństwa z jednego miotu czy triad rodzinnych, tuląc do siebie potomstwo - dzieci, szczenięta albo larwy.

Jest w tym wszystkim jednak coś dziwnego: niewielu najmłodszych naprawdę potrzebuje pocieszenia; wręcz przeciwnie, częstokroć to oni ofiarują wsparcie dorosłym. W całej Republice - poprzez słowa, feromony, impulsy magnetyczne, sploty macek i telepatię - rozchodzi się wśród młodych jedna wiadomość: nie martwcie się. Będzie dobrze.

Anakin i Obi-Wan będą tam lada chwila.

Dzieci wymawiają te słowa tak, jakby same imiona mogły dokonać cudów.

Anakin i Obi-Wan. Kenobi i Skywalker. Od samego początku Wojen Klonów, od trzech standardowych lat, fraza „Kenobi i Skywalker” z każdym dniem bardziej przypomina jedno słowo. Oni są wszędzie. HoloNet donosi o wszystkich ich działaniach przeciwko separatystom, które czynią z nich najsłynniejszych Jedi w galaktyce.

Młodzi w każdym zakątku Republiki znają ich imiona i nazwiska, wiedzą o nich wszystko i śledzą ich poczynania tak, jakby dwaj Jedi byli gwiazdami sportu, a nie wojownikami toczącymi rozpaczliwą walkę o ocalenie cywilizacji. Ich wiara udziela się i dorosłym - niejedyn, gdy jego potomek pozwoli sobie na wygłup szczególnie niebezpieczny, co jest przecież przywilejem wszystkich dzieci obdarzonych fantazją, pyta: „No to w kogo się dzisiaj bawiłeś? W Kenobiego czy w Skywalkera?”

Kenobi zasadniczo woli rozmawiać, niż walczyć, ale kiedy już trzeba się bić, niewiele potrafi dotrzymać mu pola. Skywalker jest mistrzem zuchwałości; jego zapał, śmiałość i niewiarygodne szczęście są doskonałym uzupełnieniem przemyślanej, zrównoważonej precyzji Kenobiego. Razem tworzą młot Jedi, który zmiażdżył już siły separatystów na niezliczonych światach.

Młodzi, którzy obserwują bitwę o Coruscant, dobrze wiedzą: gdy na niebie nad planetą pojawią się Anakin i Obi-Wan, parszywi separatyści pożałują, że tego dnia nie pozostali w łózkach.

Naturalnie dorośli wiedzą lepiej. Na tym polega dorosłość - na zrozumieniu, iż bohaterów kreuje HoloNet, prawdziwi Kenobi i Skywalker są zaś, mimo wszystko, tylko ludźmi.

A nawet gdyby byli wszystkim tym, czym stali się w legendach, kto może dać gwarancję, że zjawią się na czas? Kto wie, gdzie teraz przebywają? Może utknęli gdzieś na peryferiach, związani walką. Może zostali schwytani. Może są ranni. Albo martwi.

Niektórzy z dorosłych szepczą nawet w duchu: „Możliwe, że upadli”.

Bo wszędzie słyszy się takie historie. Nie w HoloNecie, rzecz jasna, bowiem to źródło informacji jest kontrolowane przez Urząd Wielkiego Kanclerza i nawet Palpatine, słyszący ze szczerości, nie pozwoliłby na rozpowszechnianie takich opowieści. A jednak ludzie szemrzą. Szepcem wymieniają imiona, o których Jedi woleliby zapomnieć.

Sora Buła. Depa Billaba. Jedi, którzy poddali się ciemności. Którzy dołączyli do separatystów albo dopuścili się czegoś znacznie gorszego: masakrowali cywilów i mor-

dowali swoich towarzyszy. Dorośli nabierają z wolna ponurych podejrzeń: rycerzom Jedi nie można ufać. Już nie. Nawet najwięksi z nich nagle po prostu... pękają.

Niektórzy dorośli wiedzą, że legendarni bohaterowie są tylko legendarni, nie ma w nich natomiast nic z bohaterów.

Takim dorosłym nie udziela się zapał młodzieży. Palpatine w niewoli. Grievous ucieknie. Republika upadnie. Żadna ludzka istota nie odwróci już biegu wydarzeń. Żaden śmiertelnik nie ośmieli się spróbować. Nawet Kenobi i Skywalker.

I właśnie dlatego wielu dorosłych w całej galaktyce ogląda doniesienia holonetowe z kamieniem w miejscu serca.

Z kamieniem, ponieważ nie są w stanie dostrzec dwóch pryzmatycznych błysków towarzyszących wyjściu z nadprzestrzeni, daleko poza studnią grawitacyjną planety. Ponieważ nie widzą pary myśliwców, które czym prędzej porzucają pierścienie hipernapędu i plując ogniem ze wszystkich dział, rzucają się w chmurę maszyn należących do separatystów, a nazywanych sępami.

Pary myśliwców. Myśliwców Jedi. Tylko dwa.

Dwa wystarczą.

Dwa wystarczą, gdyż dorośli się mylą, a ich potomstwo ma rację.

Bo choć jest to zmiernik ery bohaterów, chwile największej chwały dopiero nadchodzą.



## Z W Y C I Ę S T W O

Ciemność jest szczodra.  
Jej pierwszym darem jest ukrycie: nasze prawdziwe twarze pozostają w mroku, pod skórą, a prawdziwe serca spoczywają w jeszcze głębszej ciemności. Lecz największym darem ukrycia nie jest to, że możemy ochronić własne tajemne prawdy, ale to, że ukryte są przed nami prawdy dotyczące innych.

Ciemność broni nas przed tym, czego nie ośmielamy się wiedzieć.

Jej drugim darem jest pocieszająca iluzja: łatwość łagodnego snu w objęciach nocy i piękno tego, co przynosi wyobraźnia, a co w surowym świetle dnia wydałoby się odpychające. Największym pocieszeniem jest jednak iluzja, iż ciemność jest stanem przejściowym i że po każdej nocy przychodzi nowy dzień. W istocie bowiem to jasność dnia jest stanem przejściowym.

Dzień jest złudzeniem.

Trzecim darem jest samo światło: tak jak dni są podkreślane przez noce, które je oddzielają, jak gwiazdy są uwidocznione na tle nieskończonej ciemności, po której krążą, tak mrok przygarnia światło i ukazuje je nam z samego jądra siebie.

I w ten sposób każde zwycięstwo światła jest zwycięstwem ciemności.

## ROZDZIAŁ

# 1

### ANAKIN I OBI-WAN

Rozbłyśki ognia zaporowego pojawiały się ze wszystkich stron. Głośniejszy od bębnienia odłamków o poszycie i warkot napędu podświetlnego był tylko basowy dźwięk trafień turbolaserowych, dziurawiących kadłuby licznych okrętów liniowych. Niekiedy myśliwiec lawirował i nurkował tak blisko toczących morderczy bój jednostek, że fale uderzeniowe eksplozji odrzucały go z ogromną siłą, a pilot z impetem uderzał głową o zagłówek fotela.

W takich chwilach Obi-Wan Kenobi zazdrościł żołnierzom-klonom: oni przynajmniej mieli hełmy.

- Arfour - odezwał się do interkomu - mógłbyś coś zrobić z systemem inercyjnym?

Android tkwiący w gnieździe na lewym skrzydle myśliwca zagwizdał, a jego ton podejrzenie przypominał ludzkie przeprosiny. Obi-Wan zmarszczył brwi. R4-P17 spędził stanowczo za dużo czasu z ekscentrycznym astromechanicznym robotem Anakina; najwyraźniej zaczął przejmować złe nawyki R2-D2.

Nowe smugi wystrzałów zamknęły Kenobiemu drogę. Sięgnął po Moc, by znaleźć bezpieczną drogę pomiędzy rojami odłamków i jaskrawymi błyskami wiązek energetycznych.

Bezpiecznej drogi nie było.

Zacisnął zęby, żeby nie warknąć ze złością, i szarpnął gwałtownie sterami, by ominąć kolejną eksplozję, która mogła obedrzeć myśliwiec z poszycia niczym przejrzały ithoriański gwiazdowoc. Nienawidził takich sytuacji. Nienawidził.

Latanie jest dobre dla androidów.

W głośnikach rozległ się trzask.

- Jeszcze nie skonstruowano androida, który prześcignąłby cię w lataniu, mistrzu.

Wciąż zadziwiała Obi-Wana nowa głębia tego głosu. Jego spokój i pewność. Dojrzałość. Wydawało się, że ledwie przed tygodniem Anakin był dziesięcioletkiem, który nie przestawał dopytywać się o Formę Pierwszą walki na miecze świetlne.

- Przepraszam - mruknął, gwałtownym zwrotem zaledwie o metr mijając smugę turbolaserowego ognia. - Czyżbym powiedział to na głos?

- Nawet gdybyś nie powiedział i tak bym usłyszał. Wiem, co myślisz.  
 - Doprawdy? - Kenobi zadarł głowę i spojrzął przez owiewkę kabiny na twarz byłego padawana, którego myśliwiec leciał w odwrotnej pozycji tak blisko jego maszyny, że gdyby nie transpasterowe kopuły, mogliby sobie podać ręce. Uśmiechnął się do niego. - Czyżby nowy dar Mocy?

- To nie Moc, mistrzu. To doświadczenie. Przecież zawsze tak uważałeś.  
 Obi-Wan wciąż liczył skrycie na to, że usłyszy dawny, zadziorny ton w głosie Anakina, ale od jakiegoś czasu była to płonna nadzieja. Od czasu Jabiiim. Być może nawet od czasu Geonosis.

Wojna wypaliła w chłopcu dawną radość.  
 Obi-Wan wciąż próbował wywołać prawdziwy uśmiech na twarzy dawnego padawana, a Anakin wciąż usiłował odpowiedzieć uśmiechem.

I obaj starali się udawać, że wojna nie zmieniła ich ani trochę.  
 - Ach, tak? - Kenobi oderwał dłoń od wolantu, by gestem skierować uwagę towarzysza na to, co zobaczył w oddali. Wprost przed nimi biało-niebieski punkcik świetlny rozpadł się nagle na cztery proste jak promień lasera smugi silników jonowych. - A czy doświadczenie podpowiada ci, co powinniśmy zrobić z tymi myśliwcami tri, które właśnie nadlatują?

- Podpowiada, że powinniśmy odbić... w prawo!  
 Zanim wybrzmiały słowa Anakina, Obi-Wan był już w trakcie manewru. Lecieli w szyku lustrzanego odbicia, jednoczesny zwrot w prawo sprawił więc, że wystrzelili w przeciwnych kierunkach. Działka myśliwców tri, zwanych też tri-botami, ostrzelały pustą przestrzeń, w której sekundę wcześniej znajdowały się maszyny Jedi, ale systemy naprowadzania działały szybciej.

Obi-Wan usłyszał sygnał systemu wczesnego ostrzegania: dwa myśliwce-androidy zablokowały na nim czujniki. Dwa pozostałe zapewne wzięły na cel jego partnera.

- Anakin! Szczęki!  
 - Właśnie o tym pomyślałem.  
 Spirala śmigieł obok zbliżających się tri. Bezzałogowe myśliwce natychmiast wykonały nawrót - tak ciasny, że nie przeżyłby go żaden pilot - i ustawiły się na kursie pościgowym.

Manewr znany jako „szczęki” zawdzięczał nazwę podobnym do nożyc szczypcom pajaków zamieszkujących Kashyyyk. Myśliwce tri zbliżały się szybko, tnąc przestrzeń seriami strzałów ze wszystkich dział. Dwaj Jedi wprowadzili maszyny w idealnie zsynchronizowane nawroty i znaleźli się na kursie kolizyjnym, pędząc wzdłuż pancerza olbrzymiego krążownika floty Republiki.

Dla zwykłych pilotów byłby to manewr samobójczy. Zanim by zobaczyli partnera naprzeciwko siebie, pędząc z prędkością niewiele razy mniejszą od prędkości światła, byłoby za późno na jakąkolwiek reakcję.

Jednak dwaj Jedi nie byli zwykłymi pilotami.  
 Moc prowadziła ich dłonie, gdy w dzikim pędzie ustawiali swoje maszyny brzuchem w brzuch, by minęły się w odległości tak małej, że wzajemnie osmały sobie poszycie. Tri były najnowszymi androidami przewagi kosmicznej, jakie miała w swoim

arsenale Federacja Handlowa. Lecz nawet ich elektroniczne mózgi nie były dość szybkie, by podołać tak precyzyjnym manewrom. Maszyna goniąca Obi-Wana zderzyła się czołowo z tą, która ścigała Anakina, i obie zniknęły w kuli ognia.

Fala uderzeniowa, niosąca rozprężający się gaz i szczątki mechanizmów, zakochała myśliwcem Obi-Wana. Z największym trudem zapanował nad sterami i uniknął koziółkowania, które zapewne zakończyłoby się brutalnym uderzeniem w pancerny brzuch republikańskiego krążownika.

- Cudownie - mruknął pod nosem. Drugi z androidów ścigających Anakina właśnie porzucił cel i ruszył w pogoń za nim. - Dlaczego zawsze wypada na mnie?

- Doskonale - zabrzmiał w głośnikach głos Skywalkera, pełen ponurej satysfakcji.  
 - Mistrzu, dwie maszyny siedzą ci na ogonie.

- Nie powiedziałbym, że to doskonale. - Obi-Wan szarpnął wolantem, gdy przestrzeń za owiewką nagle rozjarzyła się szkarłatem. - Musimy je rozdzielić!

- Odpadnij w lewo. - Głos Anakina był tym razem zimny jak kamień. - Z lewej masz wieżę artyleryjską; przeleć pomiędzy lufami. Od tego miejsca ja się wszystkim zajmę.

- Łatwo ci powiedzieć. - Kenobi poprowadził maszynę wzdłuż nadbudówki krążownika. Kątem oka obserwował rozżarzone strzepy metalu, wrywane z poszycia okrętu ogniem ścigających go myśliwców. - Dlaczego zawsze ja mam być przynętą?

- Jestem tuż za tobą. Artoo, zablokuj celownik.  
 Maszyna Obi-Wana przemknęła pomiędzy cofającymi się lufami potężnych dział turbolaserowych, na tyle blisko, że kabina znowu zadźwięczała basowo. Ostrzał myśliwców tri nie ustał jednak nawet na chwilę.

- Anakinie, one są coraz bliżej!  
 - Leć prosto. Odbijesz w prawo, żeby zejść z linii strzału... Teraz!

Obi-Wan odpalił lewoburtowe silniki manewrowe i myśliwiec gwałtownie skręcił w prawo. Jeden ze ścigających go androidów uznał, że nie da rady powtórzyć tego manewru i odbił w dół, wpadając wprost pod lufy działek Anakina.

Niemal natychmiast zniknął w kipieli przegrzanego gazu.  
 - Dobry strzał, Artoo. - Śmiech Anakina dobiegający z głośników został zagłuszony łomotem laserowych strzałów, które pruły poszycie na lewym skrzydle maszyny Obi-Wana.

- Kończą mi się pomysły...  
 Myśliwiec minął wreszcie długi kadłub krążownika i poprzez przestrzeń wypełnioną szczelnie błyskawicami turbolaserowego ognia popędził w stronę zaokrąglonej burty jednego z okrętów Gildii Kupieckiej. Niektóre z wysokoenergetycznych boltów były wielkości całej maszyny Kenobiego; gdyby musnęła choć jeden z nich, w ułamku sekundy rozpadłaby się na atomy.

A Obi-Wan wprowadził ją w największy gąszcz ognia.  
 Prowadziła go Moc, podczas gdy myśliwiec typu Tri mógł polegać jedynie na elektronicznym refleksie. Kłopot polegał na tym, że impulsy w mózgu androida biegły mniej więcej z prędkością światła - i właśnie dlatego automat podążał śladem republikańskiej maszyny jak na holu.

Gdy Obi-Wan odbijał w lewo, a Anakin w prawo, przeciwnik wybierał kurs dokładnie pośredni. Gdy zmieniali pozycję góra-dół, reagował podobnie. Jakimś sposobem zorientował się, że dopóki uda mu się utrzymać pozycję między dwoma Jedi, będzie w miarę bezpieczny, ponieważ Anakin nie odważy się strzelić, ryzykując strącenie maszyny swojego towarzysza. Elektroniczny mózg oczywiście nie miał takich dylematów i dlatego wokół myśliwca Obi-Wana ani na chwilę nie zniknęła chmura szkarłatnych igieł.

- Nic dziwnego, że przegrywamy tę wojnę - mruknął do siebie. - Maszyny są coraz sprytniejsze.

- Co mówiłeś, mistrzu? Nie zrozumiałem.

Obi-Wan przyspieszył, posuwając się spiralnym kursem w stronę krążownika Federacji.

- Lecę nad pokład!

- Dobry pomysł. Potrzebuję trochę miejsca na manewry.

Ogień z dział laserowych był coraz bliższy. Głośniki w kabinie ponownie ożyły.

- W prawo, Obi-Wanie! Ostro w prawo! Nie wystawiaj się na strzał! Artoo, zablokuj celownik!

Myśliwiec Kenobiego mknął wzdłuż krzywizny górnego pancerza krążownika separatystów, skutecznie unikając ognia zaporowego z dział pokładowych. Wreszcie wykonał przewrót przez prawe skrzydło i wleciał do wąskiej szczeliny serwisowej, która ciągnęła się przez całą długość kadłuba. Sunąc nisko, tuż nad pokładem okrętu, maszyna Obi-Wana była względnie bezpieczna, znalazła się bowiem poza polem ostrzału wież artyleryjskich. Teraz jedynym problemem był tri wiernie trzymający się na jej ogonie.

W miejscu, w którym kończyła się szczelina serwisowa, potężne wsporniki mostka nie pozostawiały miejsca nawet dla tak małego obiektu jak myśliwiec Obi-Wana. Pół beczki pozwoliło mu wyprowadzić statek poza szczelinę i skierować go w górę, wzdłuż krawędzi wieży. Jeden impuls z dolnych silników manewrowych oddalił go od poszycia krążownika. Myśliwiec przemknął przed iluminatorami mostka w odległości zaledwie kilku metrów. Tri powtórzył ten manewr z niesamowitą precyzją.

- Jasne - mruknął Obi-Wan. - Byłoby zbyt łatwo... Anakinie, gdzie jesteś?

Strumień plazmy unicestwił jeden z płatów lewego skrzydła. Jedi poczuł się tak, jakby ktoś zranił go w ramię. Prowadząc maszynę jedną ręką, palcami drugiej przebiegł po klawiszach. R4-P17 zapiszczał alarmująco. Obi-Wan włączył interkom.

- Nie próbuj naprawiać, Arfour. Wyłączyłem tę sekcję.

- Mam go! Celownik zablokowany! - odezwał się Anakin. - Strzelaj! Teraz!

Obi-Wan zmusił ocalałe skrzydło do maksymalnej pracy, gdy ledwo panując nad sterami, wystrzelił świecą ku górze - i właśnie w tym momencie salwa z dział Anakina unicestwiła ostatni tri.

Kenobi odpalił silniki wstecznego ciągu, by zawiesić maszynę w martwym punkcie za mostkiem krążownika Federacji. Został w bezpiecznej kryjówce przez kilka sekund, starając się zapanować nad przyspieszonym oddechem i gwałtownym biciem serca.

- Dzięki, Anakinie. To było... Dzięki. To wszystko.

- Nie musisz mi dziękować. To Artoo strzelał.

- Cóż, jeśli chcesz, możesz podziękować ode mnie swojemu androidowi. I jeszcze jedno, Anakinie...

- Tak, mistrzu?

- Następnym razem ty będziesz przynętą.

Oto Obi-Wan Kenobi:

Fenomenalny pilot, który nie lubi latać. Wielki wojownik, który wolałby nie walczyć. Niezrównany negocjator, który w gruncie rzeczy chciałby siedzieć samotnie w zacisznej jaskini i medytować.

Mistrz Jedi. Generał Wielkiej Armii Republiki. Członek Rady Jedi. A jednak nie czuje się żadnym z nich.

W głębi duszy wciąż czuje się jak padawan.

W zakonie Jedi mówi się całkiem słusznie, że edukacja rycerza Jedi zaczyna się tak naprawdę w chwili, w której zostaje on mistrzem. I że wszystkiego, czego naprawdę potrzebuje, by być dobrym mistrzem, uczy się od swojego padawana. Tego dnia Obi-Wan doskonale wyczuwał głęboką prawdę zawartą w tej myśli.

Niekiedy śni o czasach, gdy nie tylko czuł się padawanem, ale nim był. Śni o tym, że jego mistrz, Qui-Gon Jinn, nie zginął w Theed, w tamtej sali opodal zasilanego plazmą generatora. Śni o pomocnej dłoni mistrza, która prowadzi go przez życie. W gruncie rzeczy jednak śmierć Qui-Gona jest jak stara rana, z której istnieniem pogodził się już dawno.

Bo Jedi nie chwytą się kurczowo przeszłości.

Obi-Wan Kenobi wie też, że gdyby nie został mistrzem Anakina Skywalkerera, życie uczyniłoby zeń innego człowieka. Mniej wartościowego.

Tyle nauczył się od Anakina.

Obi-Wan dostrzega w swoim uczniu tak wiele z Qui-Gona, że czasem czuje ból w sercu. Podobieństwo widać przede wszystkim w skłonności do dramatycznych wejść i w notorycznym braku szacunku dla zasad. Szkolenie Anakina i walka u jego boku przez te wszystkie lata odblokowały coś w duszy Obi-Wana. Kontakt z młodym padawanem pomógł mu pozbyć się sztywnej poprawności, którą Qui-Gon zawsze uważał za jego największą wadę.

Obi-Wan Kenobi nauczył się luzu.

Uśmiecha się teraz, czasem nawet żartuje; zyskał przy tym mądrość zabarwioną ciepłym, łagodnym humorem. I choć o tym nie wie, znajomość z Anakinem uczyniła z niego wielkiego Jedi, dokładnie takiego, jakim widział go w Mocy stary Mistrz Qui-Gon Jinn.

To właśnie cały Obi-Wan: nie ma o tym wszystkim bladego pojęcia.

Mianowanie na członka Rady było dla niego olbrzymim zaskoczeniem. Po dziś dzień zdumiewa go wiara, jaką pokładają w nim starzy mistrzowie, oraz ich pełne zaufanie do jego mądrości. Nigdy nie miał ambicji, żeby stać się wielkim. Chce tylko wykonywać jak najlepiej każde zadanie, które zostanie mu zleczone.



Jest szanowany w zakonie i za mądrość, i za sprawność w boju. Stał się bohaterem nowej generacji padawanów; to jego mistrzowie Jedi stawiają swoim uczniom za przykład. To jemu Rada powierza najważniejsze misje. Jest skromny, skupiony i zawsze nienagannie uprzejmy.

Jest ideałem Jedi.

I dumą napawa go fakt, że jest najlepszym przyjacielem Anakina Skywalkera.

- Artoo, gdzie ten sygnał?

Siedzący w gnieździe obok kabiny R2-D2 gwizdnął i zapisał. Na wyświetlaczu pojawiło się tłumaczenie:

SKANUJĘ. PROBLEMY Z zakłócaniem.

- Próbuje dalej. - Anakin zerknął na myśliwiec Obi-Wana, kulejący w ogniu bitwy ledwie sto metrów od jego lewego skrzydła. - Aż tutaj czuję, jak dygocze.

JEDI JEST ZAWSZE SPOKOJNY, odpowiedział mu gwizd zza owiewki.

- Obi-Wan nie uznałby tego za śmieszne. Ja zresztą też. Mniej żartowania, więcej skanowania, Artoo.

W istocie dla Anakina Skywalkera latanie myśliwcem było najczęściej zabawą.

Ale nie tym razem.

Nie dlatego że szanse na zwycięstwo były nikłe, a niebezpieczeństwo jak najbardziej realne - nigdy nie zastanawiał się nad szansami i nie wydawało mu się, by był naprawdę zagrożony. Kilka eskadr bezzałogowych myśliwców nie wystarczyło, by wzbudzić strach w człowieku, który latał ścigaczem od szóstego roku życia, a w wieku lat dziewięciu zdobył puchar Boonta. W jedynym człowieku, który kiedykolwiek ukończył zawody ścigaczy, nie mówiąc o zwycięstwie.

W tamtych czasach Anakin używał Mocy, nawet o tym nie wiedząc; wyczuwał, że coś w nim tkwi, że ma niezły instynkt, że dopisuje mu szczęście, za sprawą którego udają mu się manewry, na jakie nie poważyliby się inni piloci. Za to teraz...

Teraz...

Teraz potrafił sięgnąć po Moc i poczuć całą bitwę rozgrywaną się nad Coruscant tak, jakby toczyła się we wnętrzu jego głowy.

Pojazd stał się jego ciałem. Pulsowanie silników zjednoczyło się z rytmem serca. Latając, mógł zapomnieć o przeszłości niewolnika, o matce, o Geonosis i Jabii, o Aagonarze i Muunilinst, o innych katastrofach tej brutalnej wojny. O wszystkim, co mu uczyniono.

I co sam uczynił.

Na czas bitwy umiał nawet odsunąć na bok miłość do kobiety, która czekała na niego tam w dole, na powierzchni planety. Kobiety, której oddech był dla niego jedynym powietrzem, rytm serca jedyną muzyką, a twarz jedynym pięknem, które chciał oglądać.

Potrafił odsunąć od siebie to wszystko, ponieważ był rycerzem Jedi i musiał wykonać zadanie.

Lecz tego dnia było inaczej.

Tym razem nie chodziło wyłącznie o unikanie laserowych strzałów i unicestwienie androidów. Liczyło się życie człowieka, który był dla Anakina jak ojciec, a który mógł zginać, jeżeli Jedi nie dotrą do niego na czas.

Anakin spóźnił się już raz w swoim życiu.

W głosie Obi-Wana dobiegającym z głośników dało się wyczuć napięcie.

- Czy twój android coś zdołał? Arfour jest do niczego. Zdaje się, że ostatni strzał z działka laserowego usmażył mu motywator.

Anakin doskonale wyobrażał sobie minę swego dawnego mentora: maska spokoju, szczęki zaciśnięte tak mocno, że mówiąc, prawie nie otwiera ust.

- Nie martw się, mistrzu. Jeżeli urządzenie naprowadzające działa, Artoo namierzy sygnał. Ale czy zastanawiałeś się nad tym, w jaki sposób znajdziemy kanclerza, jeśli...

- Nie. - Tym razem w głosie Obi-Wana była niezachwiana pewność. - Nie ma potrzeby myśleć o tym już teraz. Dopóki możliwość nie stanie się faktem, przeszkadza w skupieniu. Skoncentruj się na tym, co jest, a nie na tym, co może być.

Anakin ugryzł się w język, by nie przypomnieć Obi-Wanowi, że już nie jest jego padawanem.

- Powiniennem być tu zostać - wycodził przez zaciśnięte zęby. - Mówiłem ci: zostań na Coruscant.

- Przestań, Anakinie. Planety strzegły Stass Allie i Shaak Ti. Uważasz, że sam dałbyś radę, skoro dwie mistrzyni nie mogły zapobiec temu, co się stało? Stass Allie jest bystra i dzielna, a Shaak Ti to jedna z najlepszych Jedi, jakich kiedykolwiek spotkałem. Sam nauczyłem się od niej paru sztuczek.

Anakin zdecydował, że powinien być pod wrażeniem.

- Ale generał Grievous...

- Mistrzyni Ti już z nim walczyła, Anakinie. Pod Muunilinst. Jest nie tylko subtelna i doświadczona, ale także bardzo zdolna. Miejsca w Radzie Jedi nie są rozdawane za piękne oczy.

- Zauważyłem. - Anakin nie kontynuował tematu. Środek kosmicznej bitwy nie był najlepszym momentem na dyskusję o tak drażliwej sprawie.

Ale gdyby się tam znalazł, na miejscu Shaak Ti i Stass Allie, nawet jeśli były członkami Rady... Gdyby tam był, kanclerz Palpatine siedziałby teraz w domu, całkiem bezpieczny. A tymczasem Anakin musiał tkwić miesiącami gdzieś na zapomnianych światach Zewnętrznych Rubieży, niczym jakiś bezużyteczny padawan, na obrońców zaś przywódcy Republiki wyznaczono Jedi „bystrych” i „subtelnych”.

Bystrych i subtelnych. Sam pochwartałby dziesięcioro takich bystrych i subtelnych mieczem świetlnym, i to trzymanym w rękach związanych za plecami.

Ale wiedział, że nie należy mówić o tym głośno.

- Skoncentruj się na chwili, Anakinie. Skup się.

- Przyjąłem, mistrzu - odparł kwaśno Anakin. - Już się skupiam.

R2-D2 zaczął wierkać z żywieniem. Skywalker spojrzął na wyświetlacz. Mamy go, mistrzu. To ten krążownik, prosto przed nami. Okręt flagowy Grievousa, „Niewidzialna Ręka”.

- Prosto przed nami widzę tuziny krążowników, Anakinie.

- To ten, przy którym kłębią się sępy.

Myśliwce zwane sępami oblegały długie krzywizny okrętu Federacji Handlowej, w którego wnętrzu, jeśli wierzyć sygnałowi urządzenia naprowadzającego, znajdował się kanclerz Palpatine. Krążownik wyglądał z nimi dziwnie, jak żywa istota, metalowy drapieznik morski najeżony ciałami alderańskich chodzących pąkli.

- Ach, ten. - Anakin prawie usłyszał, jak żołądek Obi-Wana zwija się w kłębek. - No, to powinno być łatwe...

Pierwsze sępy zaczęły się odrywać od poszycia okrętu. Szybko odpaliły silniki i popędziły na spotkanie nadlatującym Jedi.

- Łatwe? Nie. Ale na pewno zabawne! - Niekiedy odrobina bezczelności była jedynym sposobem na rozluźnienie Obi-Wana. - Zakładam się o lunch u Deksa, że na każde twoje strącenie ja zaliczę dwa. Artoo może liczyć punkty.

- Anakinie...

- W porządku, niech będzie duży obiad. I obiecuję, że nie pozwolę androidowi oszukiwać.

- Żadnych gier, Anakinie. Stawka jest zbyt wysoka. - To właśnie był ton, który Anakin chciał usłyszeć: ton lekkiej, nauczycielskiej nagany. Obi-Wan znowu był sobą. - Niech twój android wyśle raport do Świątyni i sygnał przywołania do innych myśliwców Jedi w okolicy. Uderzymy ze wszystkich stron.

- Robi się - odpowiedział Anakin, ale gdy spojrział na wyświetlacz komunikatora, mógł tylko pokręcić głową. - Zagłuszanie nadal zbyt mocne. Artoo nie ma łączności ze Świątynią. Myślę, że my możemy się porozumiewać tylko dlatego, że lecimy burta w burcie.

- A co z sygnałami wywoławczymi Jedi?

- Nic dobrego, mistrzu. - Anakin poczuł ucisk w żołądku, ale udało mu się zapamiętać nad napięciem w głosie. - Możliwe, że jesteśmy jedynymi Jedi w okolicy.

- W takim razie wystarczy nas dwóch. Przechodzę na częstotliwość klonów.

Anakin zmienił kanał jednym ruchem pokrętki komunikatora, w samą porę, by znowu usłyszeć głos Kenobiego:

- Dziwak, jak mnie słyszysz? Potrzebuję wsparcia.

Mikrofon umieszczony w hełmie odebrał głosowi kapitana klonów resztkę ludzkich cech.

- Dziwak do Dowódcy Czerwonych: przyjąłem.

- Odczytaj moją pozycję i ustaw eskadrę za mną. Wchodzimy.

- Jesteśmy w drodze.

Myśliwce tri zniknęły na moment na tle szalejącej bitwy, ale R2-D2 śledził każdy ich ruch. Anakin poprawił uchwyt dłoni na wolicie.

- Dziesięć sępów leci prosto na nas, są u góry i po lewej względem mojej pozycji. Kolejne w drodze.

- Widzę je. Anakinie... zaczekaj, tarcze na hangarze krążownika opadły! Mam odczyt... cztery... nie, sześć jednostek zbliża się do nas. - Głos Obi-Wana był o ton wyższy niż zazwyczaj. - To tri-boty! Nabierają szybkości!

Anakin zacisnął usta, nie przestając się uśmiechać. Zapowiadało się coraz ciekawiej.

- Myśliwce tri na początek, mistrzu. Sępy mogą poczekać.

- Zgoda. Odpadnij w dół i na prawo, razem ze mną. Podejrzemy do nich po sobie.

Pozwolić, żeby Obi-Wan prowadził? Z uszkodzonym lewym statecznikiem i na wpół zniszczonym R4? Gdy stawką jest życie Palpatine'a? Wykluczone.

- Odmawiam - odparł Anakin. - Wchodzę czołowo. Zobaczymy się po drugiej stronie.

- Spokojnie, zaczekaj na Dziwaka i Ósmą Eskadrę. Anakinie...

Skywalker słyszał frustrację w głosie Kenobiego, gdy zwiększał ciąg napędu podświetlnego i wysuwał się na czoło. Jego były mistrz jakoś nie mógł się przyzwyczaić do tego, że nie może rozkazywać dawnemu padawanowi.

Co nie znaczy, że Anakin kiedykolwiek był chętny do wykonywania rozkazów, czy to Obi-Wana, czy kogokolwiek innego.

- Przepraszam za spóźnienie. - Elektronicznie przetworzony głos kłona o kryptonimie Dziwak brzmiał tak spokojnie, jakby kapitan zamawiał obiad. - Jesteśmy po prawej, Dowódcu Czerwonych. Gdzie Czerwony Pięć?

- Anakin, do szyku!

Ale myśliwiec Skywalkera gnał już na spotkanie maszyn Federacji Handlowej.

- Wchodzę!

Głośniki w kabinie przekazały bardzo znajomo brzmiące westchnienie. Anakin dobrze wiedział, o czym teraz myśli mistrz Jedi. O tym samym, co zawsze.

Że jego młody przyjaciel musi się jeszcze wiele nauczyć.

Uśmiech Anakina zmienił się w niemal prostą kreskę zaciśniętych ust, gdy przesterzeń dokoła zaroila się od myśliwców typu Tri. Teraz i Skywalker pomyślał to samo, co zawsze: To się jeszcze okaże.

Bez reszty oddał się walce. Myśliwiec wirował, a działa huczały niestrudzenie. Androidy, które otaczały go ze wszystkich stron, kolejno zamieniały się w obłoki gazu i bezkształtne szczątki.

To był sposób Anakina na relaks.

Oto Anakin Skywalker:

Najpotężniejszy Jedi swojego pokolenia, a może nawet wszystkich pokoleń. Najszybszy. Najsilniejszy. Niezrównany pilot. Niezwyciężony wojownik. Na ziemi, w powietrzu, na wodzie czy w kosmosie, nikt nie jest tak dobry jak on. Ma w sobie nie tylko siłę, nie tylko umiejętności, ale także werwę - ową niezwykłą kombinację śmiałości i wdzięku.

W tym, co robi, jest po prostu najlepszy. Nigdy nie było lepszego. I sam dobrze o tym wie.

W programach HoloNetu jest nazywany Bohaterem Bez Strachu. Dlaczego nie? Czy jest coś, czego powinien się obawiać?

Chyba nie, a jednak...

Lęk mieszka w nim mimo wszystko i pomału trawi jego serce.

Czasem Anakin ma wrażenie, że strach, który go przenika, jest jak smok. Dzieci na Tatooine dzielą się opowieściami o smokach, które mieszkają w jądram słońc. Mali kuzyni słonecznych smoków żyją ponoć wewnątrz komór fuzji termojądrowej, które napędzają wszystko, od statków kosmicznych po ścigacze.

Strach Anakina to jednak smok całkiem innego rodzaju. Jest zimny. Jak śmierć.

Tylko że wcale nie jest martwy.

Przed wielu laty, wkrótce po tym, jak został padawanem Obi-Wana, jakaś niezbyt poważna misja sprowadziła ich do martwego systemu -tak niewiarygodnie starego, że jego gwiazda już dawno zmieniła się w lodowatego karła pełnego sprasowanych metali śladowych, na powierzchni którego temperatura jedynie o ułamek stopnia przewyższała absolutne zero. Anakin nie pamiętał już nawet, na czym polegała owa misja, ale na zawsze zapamiętał martwą gwiazdę.

Przeraziła go.

- To gwiazdy umierają...?

- Tak jest ułożony wszechświat. Innymi słowy, taka jest wola Mocy - odpowiedział mu wtedy Obi-Wan. - Wszystko umiera. Z czasem wypalają się nawet gwiazdy. To dlatego Jedi nie pozwalają sobie na luksus przywiązania: bo wszystkie rzeczy muszą kiedyś przeminąć. Trzymać się czegoś lub kogoś dłużej niż to potrzebne oznacza stawiać własne samolubne pragnienia przeciwko Mocy. To żałosna ścieżka, którą nie podążą żaden Jedi, Anakinie.

Taki właśnie jest strach, który zakorzenił się w umyśle Anakina Skywalker'a - niczym smok z martwej gwiazdy. Prastary, zimny i martwy głos w sercu, który szepce nieustannie: wszystko umiera...

Anakin nie słyszy go za dnia, w boju, podczas misji, nawet gdy składa raport przed Radą Jedi. Wszystko to pozwala mu zapomnieć. Za to nocą...

Nocą mury, które wznosił wokół serca, zaczynają topnieć. Niekiedy zaczynają nawet pękać.

Nocą smok z martwej gwiazdy wkrada się przez te pęknięcia, wpęła do mózgu i pożywia się tym, co znajduje pod czaszką. Nieustannie szepce o tym, co Anakin utracił i co jeszcze utraci.

Smok przypomina mu każdej nocy, jak trzymał w ramionach umierającą matkę, która poświęciła resztę sił na to, żeby powiedzieć: wiedziałam, że po mnie przyjdiesz, Anakinie...

Smok przypomina mu każdej nocy i o tym, że pewnego dnia straci Obi-Wana. Straci Padme. Albo też oni stracą jego.

Wszystko umiera. Z czasem wypalają się nawet gwiazdy.

Jedyną odpowiedzią, którą Anakin ma na te śmiertelnie zimne szepty, są wspomnienia słów Obi-Wana i Yody.

Niestety, czasem nie może ich sobie przypomnieć.

Wszystko umiera...

Ledwie może o tym myśleć.

Teraz jednak nie ma wyboru: człowiek, którego chce uratować, jest mu najbliższym przyjacielem, takim, o jakim nie śmiał nawet marzyć. To dlatego żartuje łamią-

cym się głosem, dlatego zaciska usta z całej siły i nieświadomie napręża mięśnie twarzy, rozciągając bliznę po oparzeniu, którą nosi wysoko na prawym policzku.

Wielki Kanclerz jest dla niego rodziną: zawsze bliski, zawsze troskliwy, zawsze gotów pospieszyć z dobrą radą i pomocą. Współczujący kiedy trzeba, ofiarowuje mu tę serdeczną, ciepłą, bezwarunkową akceptację, której Anakin nigdy nie doświadczył od rycerzy Jedi. Nawet od Obi-Wana. I dlatego Anakin mówi Palpatine'owi o sprawach, o których nie odważyłby się wspomnieć swojemu mistrzowi.

A także o sprawach, o których nie wie nawet Padme.

Teraz zaś Wielki Kanclerz znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Anakin spieszy mu z pomocą mimo straszliwego lęku, który ścina mu krew. I właśnie dlatego jest prawdziwym bohaterem. Nie takim, jak głosił HoloNet - nie jest wolny od strachu, ale jest od niego silniejszy.

Spogląda smokowi prosto w oczy i nie zwalnia biegu maszyny.

Jeżeli ktokolwiek może jeszcze ocalić Palpatine'a, to tylko Anakin. Tylko on - bo jest najlepszy i wciąż robi postępy. Nikt nie wie jednak, że za murami serca Anakina przeży się, wije i syczy smok, którym jest jego strach.

Bo najprawdziwszym lękiem napawa Skywalker'a myśl, że w tym wszechświecie, w którym nawet gwiazdy umierają, nawet bycie najlepszym nie wystarczy, by się nasycić.

Myśliwiec Obi-Wana uskokzył w bok, a maszyna Anakina śmignęła tuż obok i wykonała błyskawiczny przewrót za pomocą dziobowych dysz pułapu, ustawiając się dziobem w tę stronę, z której właśnie przyleciała - dokładnie naprzeciwko tri, który dotąd siedział jej na ogonie. Wystarczył jeden strzał, by w okolicy pozostały już tylko androidy-sepy.

Mnóstwo sępów.

- Podobało ci się, mistrzu?

- Bardzo ładnie. - Działka myśliwca Obi-Wana tak długo pluły plazmą na kadłub przelatującego obok sępa, aż android eksplodował. -Ale jeszcze nie skończyliśmy.

- Więc spójrz na to. - Anakin wprowadził maszynę w kolejny przewrót. Myśliwiec zanurkował, wirując wokół własnej osi, w sam środek stada androidów-sepów. Automaty rozpierzchły się i zawróciły, gwałtownie przyspieszając, a Anakin poprowadził je w stronę górnego pokładu krążownika separatystów, osmalonego ogniem laserów. - Zafunduję im przelot przez ucho igielne.

- Niczego im nie funduj! - Na ekranie taktycznym Obi-Wan widział wyraźnie maszyny mknące śladem Anakina. System naliczył ich dwanaście. Aż dwanaście. - Pierwsza zasada Jedi w boju: przeżyć.

- Nie mam wyboru - odparł Skywalker, lawirując myśliwcem między błyskami laserowych strzałów. - Lepiej zejdź niżej i spróbuj je trochę przetrzebić.

Obi-Wan pchnął wolant z całej siły, jakby tłukąc nim we wspornik ograniczający, mógł przyspieszyć pościg. Przetrzebić je, pomyślał. Dobre sobie.

- Żadnych ekstrawagancji, Arfour - zastrzegł, całkiem jakby uszkodzony robot astromechaniczny był zdolny do jakichkolwiek fantastycznych działań. - Pomóż mi tylko stabilizować lot.

Kenobi sięgnął po Moc, by wybrać najlepszy moment na atak.

- Na mój znak odbijamy w lewo... Teraz!

Uszkodzenie lewego statecznika zmieniło zaplanowany manewr w ciasną spiralę, ale to wystarczyło, by grupa sępów znalazła się na celowniku.

Cztery błyski.

Cztery zniszczone androidy.

Myśliwiec Obi-Wana przemknął przez obłok rozjarzonej plazmy. Nie było czasu na omijanie przeszkód; ośmiu prześladowców wciąż siedziało Anakinowi na ogonie.

Co to było? Kenobi zmarszczył brwi.

Krażownik wyglądał znajomo.

Przez ucho igielne, pomyślał Jedi. Błagam, powiedz mi, że żartujesz.

Maszyna Skywalkera mknęła ledwie kilka metrów nad grzbietem krążownika. Niecelne strzały gnających za nim androidów wyrzywały z poszycia okrętu wielkie kawały metalu.

- Dobra, Artoo, gdzie ta szczelina?

Na ekranie głównym ukazał się topograficzny schemat pancerza krążownika, z wyraźnie zaznaczonym kanionem szczeliny serwisowej, którą wcześniej przeleciał Obi-Wan. Anakin przechylił maszynę na skrzydło i wleciał w wąski prześwit. Obraz ścian tunelu rozmywał się po obu stronach myśliwca pędzącego ku podstawie mostka okrętu, widocznej w oddali. Z tej odległości ciasny prześwit między wspornikami był zupełnie niewidoczny.

Mając za sobą osiem sępów, Anakin nie mógł ryzykować odbicia w górę, wzdłuż podstawy mostka, jak zrobił to wcześniej Obi-Wan. Nie szkodzi, pomyślał.

Miał inne plany.

W głośnikach rozległ się trzask.

- Nawet nie próbuj, Anakinie. Prześwit jest za ciasny. Może dla ciebie, pomyślał Skywalker.

- Zmieszczę się - odpowiedział krótko.

R2-D2 nerwowym gwizdem przyznał rację Kenobiemu.

- Spokojnie, Artoo - odrzekł Anakin. - Robiliśmy już takie rzeczy.

Bolty energii mijały go z ogromną prędkością i zatrzymywały się dopiero na dalekich wspornikach mostka. Wiedział, że już za późno, żeby zmienić zdanie. Teraz mógł tylko przeprowadzić statek przez ucho igielne albo zginąć.

O dziwo, było mu obojętne, jak skończy się ta przygoda.

- Użyj Mocy - odezwał się z niepokojem Obi-Wan. - Pomyśl, że przelatujesz na drugą stronę, a myśliwiec podąży za tobą.

- A czego się spodziewałeś? Że zamknę oczy i będę gwizdał? - mruknął do siebie Anakin, głośno zaś odpowiedział: - Przyjąłem. Już myślę.

Pisk, który wydał Artoo, był tak bliski okrzyku przerażenia, jak tylko umożliwił to generator dźwięków robota astromechanicznego. W tej samej chwili na wyświetlaczu pojawił się migający napis:

Przerwij! Przerwij! Przerwij!

Anakin uśmiechnął się.

- Kiepski pomysł.

Obi-Wan mógł tylko przyglądać się z otwartymi ustami, jak myśliwiec gwiazdny Anakina przechyla się na skrzydło i znika w prześwicie, gdzie ledwie centymetry dzieliły go od masywnych wsporników mostka. Był niemal pewny, że metalowa konstrukcja urwie kopułę R2.

Androidy-sępy spróbowały powtórzyć manewr... ale były odrobinę za duże.

Gdy zderzyły się pierwsze dwa, Obi-Wan nacisnął spust i posłał serię ze wszystkich dział w kierunku następnym. Elektroniczne mózgi, w których zapisano priorytet unikania nieprzyjacielskiego ognia, skierowały bezzałogowe myśliwce na nowy kurs, jak najdalej od linii ostrzału - wprost w kulę ognia rozszerzającą się szybko wokół przednich wsporników.

Obi-Wan zadarł głowę i zobaczył maszynę Anakina, która właśnie wykrcęła zwycięską beczkę. Rezygnując z akrobacji, dołączył do byłego padawana.

- Niech będzie, że pierwsze cztery są twoje - odezwał się Anakin - ale osiem pozostałych idzie na moje konto.

- Anakinie...

- No dobrze, podzielimy się nimi.

Gdy oddalili się nieco od krążownika, skanery ukazały im obraz potyczki, w którą zaangażowała się Siódma Eskadra. Piloci-klony mieli pełne ręce roboty, związani walką w tak ciasnej przestrzeni, że smugi silników jonowych ich maszyn przypominały kłębek żarzących się nici.

- Dziwak ma kłopoty. Pomogę mu...

- Nie. On wykonuje swoje zadanie, a my swoje.

- Mistrzu, androidy zjedzą ich żywcem...

- Każdy z tych pilotów chętnie oddałby życie za Palpatine'a. Czy wolałbyś oddać życie Palpatine'a w zamian za ich ocalenie?

- Nie, oczywiście że nie, ale...

- Rozumiem cię: chciałbyś uratować wszystkich. Zawsze tego chcesz. Ale nie możesz.

- Nie przypominaj mi - odparł nerwowo Anakin.

- Więc leć ze mną w stronę okrętu flagowego. - Nie czekając na odpowiedź, Obi-Wan wziął na cel krążownik dowodzenia i pomknął w jego stronę z maksymalną prędkością.

Blizna od oparzenia, biegnąca od policzka Anakina w górę, obok oka i wyżej, poszarzała na moment, gdy nawracał, kierując maszynę w ślad za myśliwcem Obi-Wana. Mistrz miał rację. Prawie zawsze ją miał.

Nie możesz uratować wszystkich.

Ciało matki w jego ramionach, zmaltretowane i zakrwawione...

Powieki unoszące się z trudem...

Muśnięcie rozbitych warg...

*Wiedziałałam, że po mnie przyjdiesz... tak bardzo tęskniłam...*

Właśnie tak to wyglądało, kiedy nie był wystarczająco dobry.

Sytuacja mogła się powtórzyć w dowolnym miejscu i czasie. Gdyby spóźnił się teraz o parę minut. Gdyby pozwolił sobie na sekundę dekoncentracji. Gdyby był odrobinę za słaby.

W dowolnym miejscu i czasie.

Ale nie tutaj i nie teraz.

Anakin wcisnął obraz matki głęboko pod powierzchnię świadomości.

Czas zabrać się do roboty.

Mknęli przez środek bitwy, unikając ostrzału z myśliwców i potężnych boltów turbolaserów. Trzymali się jak najbliżej dużych okrętów, by nie dać się namierzyć sensorom androidów. Od okrętu flagowego floty separatystów dzieliło ich zaledwie kilkadziesiąt kilometrów, gdy ich kurs przecięła nagle para ostrzeliwujących się myśliwców typu Tri.

Na konsolce przed Anakinem zapaliła się kontrolka systemu sensorów, a R2-D2 świsnęła ostrzegawczo.

- Pociski!

Nie martwił się o siebie. Dwa pociski, które podążały jego tropem, nadlatywały w idealnym szyku. Standardowa procedura antykolizyjna przewidywała, że każdy z nich zablokuje celownik na innym obiekcie: jeden na lewym silniku uciekającego myśliwca, drugi na prawym. Wystarczyło więc wykonać szybką beczkę autorotacyjną, by tory lotu pocisków przecięły się i nastąpiło zderzenie.

Za rufą maszyny Anakina rozkwitł bezgłośnie kwiat ognia.

Obi-Wan nie miał tyle szczęścia. Pociski, które zmierzały ku jego silnikom, nie leciały dokładnie obok siebie, toteż wywijanie beczek nie miało większego sensu. Kenobi zdecydował się więc na inny manewr: odpalił silniki wsteczne i jednocześnie dodał ciągu z dysz górnych, by gwałtownie wytracić prędkość i pchnąć maszyną o kilka metrów niżej, ku planecie. Pocisk lecący jako pierwszy przemknął nad nim i utraciłszy cel, zaczął oddalać się spiralnym kursem ku innym walczącym jednostkom.

Drugi zdołał obniżyć lot na tyle, że zadziałały zapalniki zbliżeniowe. Ekspłodował, rozrzucając w przestrzeni rój odłamków. Myśliwiec Obi-Wana przeleciał przez tę chmurę. Odłamki podążyły za nim.

Małe, srebrzyste kule przecięły mu drogę i przysały się do kadłuba maszyny, po czym otworzyły się, ukazując komplet składanych ramion. Wysięgniki natychmiast przystąpiły do pracy, odrywając płyty poszycia i odsłaniając ukryte mechanizmy statku. Teraz zaczęły niszczyć je wirującymi tarczami przypominającymi starożytne piły do cięcia kości.

Problem był poważny.

- Dostałem. - Obi-Wan sprawiał wrażenie raczej zirytowanego niż zmartwionego.

- Dostałem.

- Widzę. - Anakin skorygował kurs, by znaleźć się bliżej mistrza. - To pająki. Naliczyłem pięć.

- Więc zabieraj się stąd. I tak mi nie pomożesz.

- Nie zostawię cię, mistrzu.

Spod wirujących pił tryskały w przestrzeń fontanny iskier.

- Anakinie, misja! Leć do okrętu flagowego! Ratuj kanclerza!

- Bez ciebie? Mowy nie ma - odrzekł Skywalker przez zaciśnięte zęby.

Jeden z androidów-pająków przysiadł tuż obok kabiny i wyciągnął srebrzyste ramiona w stronę kopuły R4. Drugi zajął się dziobem myśliwca, a trzeci przystąpił do niszczenia systemów hydraulicznych pod brzuchem statku. Dwa pozostałe ułożyły się na uszkodzonym lewym skrzydle, agresywnie obrabiając już uszkodzony statecznik.

- Nie pomożesz mi - powtórzył Obi-Wan, zachowując spokój Jedi. - Wyłączają mi system sterowania.

- Mogę się tym zająć... - Anakin ustawił maszynę ledwie o kilka metrów od skrzydła myśliwca Obi-Wana. - Spokojnie - mruknął, naciskając spust. Strzał z prawoburtoowego działka zamienił dwa androidy-pająki w bryły roztopionego metalu.

A wraz z nimi lewe skrzydło myśliwca Obi-Wana.

- Ooo - jęknął Anakin.

Statkiem rzuciło na tyle mocno, że Obi-Wan grzmotnął głową o transpasteralową owiewkę. W kabinie pojawiła się smużka dymu. Mistrz Jedi z trudem zapanował nad sterami myśliwca, który wpadł w niekontrolowaną rotację.

- Nie pomagasz mi w ten sposób!

- Masz rację, mistrzu, to nie był dobry pomysł. Spróbujmy tego: przesun się w lewo i w dół... spokojnie...

- Anakinie! Jesteś za blisko! Czeka! - Obi-Wan obserwował z niedowierzaniem, jak myśliwiec Anakina zbliża się i końcówką skrzydła miażdży metalowego pająka, rozsmarowując go na pancerzu jego maszyny. Uderzenie i tym razem było silne; uszkodziło nie tylko poszycie statku Obi-Wana, ale i przednią krawędź statecznika na skrzydle Anakina.

Skywalker zapomniał o pierwszej zasadzie walki. Znowu. Jak zwykle.

- Zabijesz nas obu!

System oczyszczania powietrza odessał z kabiny dym. Tymczasem android ucepiony przedniej części płata myśliwca Obi-Wana zdołał oderwać tyle płyt poszycia, że mógł sięgnąć uzbrojonymi ramionami głęboko w trzewia statku. Znowu sypnęło iskrami, a sekundę później w przestrzeń uleciał strumień gazu, który w lodowatej próżni natychmiast przyjął postać krystaliczną. Lśniący obłok poruszał się z tą samą prędkością co statek, otaczając dziób niczym pasmo mgły.

- Do licha - mruknął Obi-Wan. - Nic nie widzę. Tracę sterowność.

- Trzymasz się całkiem nieźle. Zostań przy moim skrzydle. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, pomyślał Kenobi.

- Muszę przyspieszyć, żeby zgubić tę chmurę.

- Jestem z tobą. Ruszaj.

Obi-Wan zwiększył ciąg silników i myśliwiec wyrwał się z chmury gazu. Po chwili jednak pojawił się nowy obłok.

- Czy ten, który uczeplił się dziobu, wciąż tam siedzi? Arfour, możesz coś z nim zrobić?

Odpowiedź nadeszła z głośników, od Anakina.

- Arfour raczej nic już nie zrobi. Pająk go załatwił.

- „To”, nie „go” - poprawił odruchowo Obi-Wan. - Zaraz... pająk zniszczył Arfoura?

- Nie tylko jego. Jeden przeskoczył do mnie w chwili zderzenia.

Szlag by trafił, pomyślał Obi-Wan. Są coraz sprytniejsze.

Przez prześwit w chmurze gazu, opływającej kabinę, zobaczył R2--D2 siłującego się ramię w ramię z podobnym do pająka androidem. Ścisłej mówiąc: piła w piłę. Nawet lecąc praktycznie na oślep i niemal bez kontroli nad pojazdem przez sam środek kosmicznej bitwy, Obi-Wan nie mógł się oprzeć przelotnej refleksji nad talentem Anakina, który nie tylko wyposażył swojego robota astromechanicznego w zestaw zdumiewająco różnorodnych narzędzi pomocniczych, ale także wpoił mu zdecydowanie nietypowe zachowania, o których zapewne nie śniło się nawet królewskim inżynierom z Naboo. Niepozorny robot był naprawdę pełnoprawnym partnerem rycerza Jedi.

R2 przeciął jedno z ramion pająka i długi, ruchliwy chwytak poszybował leniwie w przestrzeń kosmiczną. Po chwili ten sam los spotkał następną kończynę agresywnego androida. Wreszcie otworzył się panel w korpusie R2-D2 i wysunęło się z niego ramię z końcówką wymiany danych, którym robot astromechaniczny zaczął dźgać i okładać okaleczonego intruza. Robił to tak długo, aż android-pająk zwolnił uchwyt i oderwał się od poszycia myśliwca. Wirując bezradnie, napastnik wpadł w strumień ciągu napędu podświetlnego i odleciał w dal tak szybko, że Obi-Wan nie zdążył odprowadzić go wzrokiem.

Nie tylko androidy separatystów stają się coraz sprytniejsze, pomyślał mistrz.

Końcówka wymiany danych zniknęła w trzewiach R2 i niemal natychmiast otworzyła się inna klapka, tym razem w kopule. Hak umocowany na lince wystrzelił wprost w chmurę gazu, który wydobywał się z przedniej części prawego skrzydła myśliwca Obi-Wana, by wyciągnąć z niej szamoczącego się androida-pająka. Srebrzyste szczypce chwyciły linę, próbując przyciągnąć się bliżej, a ramiona zakończone piłami wściekle przecinały próżnię, póki Anakin nie odpalił silników manewrowych, a R2 nie przeciął linki. Bezradny pająk poszybował w kosmos, ku szalejącej bitwie.

- Wiesz, jeśli chodzi o Artoo - odezwał się Obi-Wan - to zaczynam rozumieć, dlaczego traktujesz go tak, jakby był żywą istotą.

- Naprawdę? - Słysząc było, że Anakin się uśmiecha, wypowiadając to słowo. - Chciałeś powiedzieć „go” czy „to”?

- A, tak. - Obi-Wan zmarszczył brwi. - Oczywiście, masz rację. Więc... przekaz Artoo podziękowania.

- Sam mu podziękuj.

- Cóż... Dzięki, Artoo.

Świst, który dobiegł z głośników, brzmiał zdecydowanie jak „nie ma za co”.

Gdy wreszcie rozproszył się obłok gazu, niebo za owiewką myśliwca Obi-Wana wypełniał bez reszty okręt.

Długa na ponad kilometr jednostka dowodzenia była mniej więcej trzy razy mniejsza od olbrzymich liniowców Gildii Kupieckiej. Z tej odległości widać było tylko rozległą sawannę pancerną w kolorze piasku, z górami turbolaserowych wież artyleryjskich, które raz po raz posyłały w przestrzeń błyskawice niszczącej energii.

Okręt flagowy generała Grievousa rósł w oczach.

Coraz szybciej.

- Anakin?!... Zderzymy się!

- Właśnie tak wygląda mój plan. Kieruj się w stronę hangaru. To nie...

- Wiem: pierwsza zasada Jedi w...

- Nie! To się po prostu nie uda. W każdym razie nie mnie.

- Jak to?

- Straciłem sterowność. Nie mogę lecieć w żadnym kierunku.

- Ach, tak... No cóż, nie ma problemu.

- Nie ma problemu?!

W tym momencie rozległ się huk, jakby uszkodzony myśliwiec uderzył w gong wielkości okrętu.

Obi-Wan obejrzał się szybko i zobaczył maszynę Anakina tuż nad ogonem własnego statku. Jej lewy statecznik znajdował się dosłownie na wyciągnięcie ręki od dysz napędu podświetlnego myśliwca Obi-Wana.

Anakin doprowadził do zderzenia. Celowo.

I powtórzył to chwilę później.

- Co ty wyrabiasz?!

- Pomagam ci... - Anakin mówił wolno, z wielkim skupieniem - ...w sterowaniu...

Obi-Wan pokręcił głową. Oto jego były uczeń dokonywał rzeczy niemożliwych. Żaden inny pilot nie odważyłby się na taki manewr.

Tylko że dla Anakina Skywalkera to, co absolutnie niemożliwe, dziwnym trafem było zaledwie trudne.

Obi-Wan pomyślał, że po tylu latach powinien być już chyba do tego przywyknąć.

Podczas gdy takie całkiem niepotrzebne myśli przebiegały mu przez głowę, przyglądał się dość nieuważnie błękitnawej poświacie pola energetycznego, które zamykało rosnący z każdą chwilą wlot hangaru. Ze sporym opóźnieniem dotarło do niego, na co właściwie patrzy.

- Anakinie... - zaczął. Spróbował przełączyć się na ręczne sterowanie, ale bez powodzenia.

Myśliwiec Anakina uniósł się trochę i popchnął w dół lewy płat jego maszyny, trącając go tuż obok iskrzącej kupki złomu, która jeszcze niedawno była robotem astromechanicznym z serii R4.

- Anakinie!

- Daj mi... jeszcze sekundę, mistrzu. - Napięcie w głosie Anakina zdawało się narastać. Stłumiony huk. Następny, jeszcze głośniejszy. A potem zgrzyt i pisk rozrywanego metalu. - Nie jest to... aż takie proste... jak wygląda...

- Anakinie!

- O co chodzi?

- Wlot do hangaru...

- Co z nim?

- Zauważyłeś, że jest zamknięty polem?

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Obi-Wan nie miał ochoty dodawać, że tarcza energetyczna jest już tak bliska, że nieomal wyczuwa jej smak.

- Ach, tak. Przepraszam, byłem trochę zajęty.

Obi-Wan zamknął oczy.

Wczuł się w Moc i sięgnął umysłem w głąb splecionych obwodów statku, starając się zlokalizować panel testowy napędu podświetlnego. Lekkim dotknięciem myśli uruchomił procedurę, której używa się jedynie podczas prób serwisowych: cała wstecz.

Pióropusz rozżarzonych szczątków, który dotąd ciągnął się za jego maszyną niczym ogon komety, wyprzedził go nagle i sekundę później wyparował w kontakcie z polem energetycznym hangaru. Dokładnie taki sam los czekał lada chwila ocalałą część myśliwca.

Jedyną korzyścią z „całej wstecz”, którą Kenobi zdołał wydusić ze zdychających silników, było to, że mógł jeszcze raz popatrzeć na zbliżającą się śmierć.

W tym momencie przed dziobem jego statku śmignął myśliwiec Anakina. Lecąc od lewej do prawej, bluznął ogniem z dział laserowych i emitory pola energetycznego po prawej stronie hangaru eksplodowały, sypiąc odłamkami. Błękitnawa poświata zamigotała, przygasła i wreszcie zniknęła, odsłaniając pokład startowy - dokładnie w chwili, gdy obracający się bezwładnie wrak myśliwca minął jej granicę, by runąć na płytę lądowiska w deszczu iskier i z rykiem torturowanego metalu.

Cała maszyna - a raczej to, co z niej zostało - zaczęła wibrować gwałtownie w potężnym strumieniu powietrza ulatującego z hangaru przez niezabezpieczony wlot. Skrzydła pancernych wrót drgnęły i zaczęły zbliżać się do siebie, by uszczelnić okręt. Obi-Wan raz jeszcze sięgnął Mocą do panelu testowego, tym razem po to, by odciąć zasilanie silników. Nie zdołał jednak odpalić ładunków wybuchowych, które pozwalały na odstrzelenie owiewki kabiny - szybko nabrał niemilego przekonania, że były one jedyną rzeczą w zmasakrowanym myśliwcu, która za nic w świecie nie zechce wybuchnąć.

Sięgnął po miecz i pod transpasterową kopułką rozbłysło błękitne ostrze energetyczne. Jedno cięcie rozpołowiło owiewkę, a wicher gwałtownej dekompresji natychmiast porwał jej szczątki i cisnął w otwartą przestrzeń. Obi-Wan wyskoczył z kabiny i również dał się ponieść przeraźliwie zimnej masie powietrza. W tym momencie myśliwiec eksplodował.

Fala uderzeniowa przyspieszyła lot Kenobiego, a Moc pomogła mu utrzymać równowagę. Wylądował całkiem pewnie na ciemnej - i wciąż jeszcze na tyle gorącej, że

mogła roztopić podeszwy butów - smudze spalenizny, którą pozostawił na pokładzie jego „ładujący” myśliwiec.

Hangar był pełen robotów bojowych.

Obi-Wan rozluźnił ramiona i ugiął nogi w kolanach, unosząc miecz na wysokość twarzy. Miał przed sobą zbyt wielu przeciwników, by dać im radę samotnie, ale nie przeszkadzało mu to.

Przynajmniej wysiadł w końcu z tego przeklętego myśliwca.

Anakin wleciał do hangaru, przecinając wartki nurt błyskawicznie zamarzającego gazu, w którym fruwało żelastwo wyrzucone z pokładu. Ostatnie muśnięcie wolantu przepchnęło myśliwiec pomiędzy domykającymi się, zębatymi skrzydłami wrót - dokładnie w tym samym momencie, w którym owiewka maszyny Obi-Wana pomknęła w przeciwnym kierunku.

Statek Kenobiego był w tej chwili już tylko żarzącą się kupą złomu na końcu długiej, ciemnej smugi wyznaczającej trasę poślizgu. Sam Obi-Wan, z brodą ozdobioną kryształkami lodu, stał w zacieśniającym się kręgu robotów bojowych, trzymając w pogotowiu włączony miecz.

Anakin wyhamował łukiem i posadził maszynę na pokładzie startowym, przy okazji zwalając z nóg spory zastęp robotów, które znalazły się w zasięgu strumieni jonowych. Przez sekundę znowu był dziewięcioletnim chłopcem w królewskim hangarze w Theed, który po raz pierwszy dotknął sterów prawdziwego statku i równie prawdziwymi działami zaczął niszczyć roboty bojowe...

Tutaj robił właściwie to samo, tyle że gdzieś na okręcie separatystów przebywał Palpatine. Nie mógł wykluczyć, że jeden ze stojących w hangarze lekkich wahadłowców będzie potrzebny, żeby bezpiecznie przewieźć Wielkiego Kanclerza Palpatine na powierzchnię planety. Kilkadziesiąt boltów szalejących w zamkniętym hangarze mogło zmienić te jednostki w bezużyteczny złom.

Musiał więc wziąć sprawę w swoje ręce.

Wcisnął klawisz, a gdy owiewka została odstrzelona, wyskoczył z kabiny i stanął na skrzydle. Roboty bojowe natychmiast otworzyły ogień, Anakin zaś zapalił klingę miecza świetlnego.

- Artoo, znajdź gniazdo komputera.

Mały android gwizdnął w odpowiedzi, a Jedi pozwolił sobie na krzywy uśmiech. Czasami miał wrażenie, że naprawdę rozumie elektroniczny język robota astromechanicznego.

- Nie martw się o nas. Znajdź Palpatine'a. No, ruszaj, będę cię osłaniał.

R2-D2 wysunął się z gniazda i wylądował na pokładzie. Anakin skoczył w jego stronę i otwierając się na Moc, zaczął parować kaskady ognia. Jeden po drugim roboty bojowe zaczęły iskrzyć, padać i zastygać w bezruchu.

- Do terminalu! - Anakin musiał teraz przekrzykiwać wycie Masterów i huk eksplodujących maszyn. - Ja lecę do Obi-Wana!

- Nie trzeba.

Anakin odwrócił się gwałtownie i zobaczył za sobą Kenobiego, który właśnie przecinał na pół łeb kolejnego robota.

- Miło, że o mnie pomyślałeś, Anakinie - powiedział mistrz Jedi z łagodnym uśmiechem - ale, jak widzisz, to ja przyszedłem do ciebie.

Oto oni: Obi-Wan i Anakin.

Są sobie bliźsi niż przyjaciele. Bliźsi niż bracia. Choć Obi-Wan jest o szesnaście standardowych lat starszy od Anakina, razem stawali się mężczyznami. Żaden nie obraża sobie życia bez drugiego. Wojna spoiła ich życiorysy w jedno.

Nie chodzi tu jednak tylko o Wojny Klonów. Dla Obi-Wana i Anakina wojna rozpoczęła się na Naboo, gdy Qui-Gon Jinn zginął z ręki Lorda Sithów. Mistrz i padawan, rycerze Jedi, prowadzą wojnę od trzynastu lat. Wojna jest ich życiem.

A życie jest ich bronią.

Cokolwiek dałoby się powiedzieć o mądrości sędziwego mistrza Yody, o ściercionej perfekcji posępnego Mace'a Windu, o odwadze Ki-Adi-Mundiego, o subtelności Shaak Ti - bo przecież wielkości tych Jedi nikt nie kwestionuje - to jednak ich dokonania błędą w obliczu legendy Kenobiego i Skywalkera.

Ci dwaj stają do walki samotnie.

Razem są niepowstrzymani. Niepokonani. Są ostateczną bronią zakonu Jedi. Kiedy zwycięstwo jest jedynym rozwiązaniem, to im powierza się misję.

A Obi-Wan i Anakin zawsze odpowiadają na wezwanie.

To, czy legendarna mądrość Obi-Wana mogłaby pokonać surową siłę Anakina w otwartej walce bez żadnych reguł, wciąż pozostaje tematem dyskusji w domach, bodźcem do bójek na pięści w szkołach i przedmiotem sporów w salonach politycznych Republiki. Starcia te jednak zawsze kończą się tak samo: adwersarze przyznają, że odpowiedź na to pytanie nie ma najmniejszego znaczenia.

Anakin i Obi-Wan nigdy nie stanęliby przeciwko sobie.

Nie mogliby tego zrobić.

Są drużyną. Jedyną w swoim rodzaju.

I obaj wierzą niezachwianie, że tak pozostanie na zawsze.

## ROZDZIAŁ

# 2

### DOOKU

Burza blasterowego ognia, hulającego rykoszetem po całym hangarze, ucichła nagle. Roboty bojowe najpierw grupkami wycofały się w stronę stojących na lądowisku statków, a potem, kryjąc się za nimi, pospiesznie się ewakuowały wszystkimi otwartymi włazami.

Ostrze miecza Obi-Wana zgasło z sykiem, odsłaniając znajomy grymas na jego twarzy.

- Nie cierpię, kiedy to robią.

Rękojeść miecza Anakina wisiała już u jego pasa.

- Kiedy co robią?

- Przerywają walkę i wycofują się bez powodu.

- Zawsze jest jakiś powód, mistrzu. Obi-Wan skinął głową.

- Właśnie dlatego nie cierpię, kiedy to robią.

Anakin spojrział na dymiące resztki robotów rozsiane po płycie pokładu startowego, wzruszył ramionami i poprawił czarną rękawicę.

- Artoo gdzie jest kanclerz?

Końcówka wymiany danych poruszyła się w gnieździe ściennym, oko holoprojektora umocowanego w kopoluce androida drgnęło i tuż przy bucie Anakina ukazał się niebieskawy obraz - duch wykreowany laserem skanującym. Palpatine siedział w wielkim obrotowym fotelu. Obraz nie był najlepszy, bez trudu dało się jednak dostrzec, że kanclerz wygląda na wyczerpanego i obolałego, ale z całą pewnością nie martwego.

Serce Anakina uderzyło mocniej, tłukąc boleśnie o żebra. Więc jednak się nie spóźnił. Nie tym razem.

Opadł na jedno kolano i zmrużył oczy, wpatrując się w obraz z holoprojektora. Palpatine wyglądał tak, jakby postarzał się o dziesięć lat od chwili, kiedy Anakin widział go po raz ostatni. Mięśnie szczęki młodego Jedi stężały. Jeżeli Grievous zranił kanclerza, jeżeli tylko go tknął...

Ręka z durastali, ukryta w czarnej rękawicy, zacisnęła się z taką mocą, że elektroniczny sygnał zwrotny przyprawił go o ból ramienia.



- Znalazłeś go? - spytał stojący za nim Obi-Wan.  
 Obraz zmarszczył się i znikł, ustępując miejsca planowi krążownika. W górnej części schematu, w najwyższym punkcie okrętu, R2 wyświetlił pulsujący, niebieski punkt.  
 - W kwaterze generała. - Obi-Wan skrzywił się z niechęcią. - A gdzie sam Grievous?  
 Niebieski pulsar przesunął się na mostek krążownika.  
 - Hm... ochroniarze?  
 Obraz hologramu zadrzał ponownie i raz jeszcze przyjął postać kwatery generała. Wydawało się jednak, że Palpatine jest sam. Fotel stał pośrodku pustej przestrzeni, a za nim widać było łuk ściany z transpastali.  
 - To bez sensu - mruknął Anakin.  
 - Wręcz przeciwnie. To pułapka.  
 Anakin ledwie usłyszał odpowiedź mistrza. Wpatrywał się w swoją mechaniczną rękę. Otworzył dłoń, zacisnął pięść i znowu rozluźnił palce. Ból spłynął z barku w dół, przez biceps...  
 I nie zatrzymał się.  
 Anakin poczuł dreszcz w łokciu i przedramieniu, w nadgarstku zapiekły rozżarzone kamienie, a dłoń...  
 Dłoń paliła go żywym ogniem.  
 A przecież nie była to jego dłoń. Nie jego nadgarstek, nie jego przedramię i nie jego łokieć. Wszystko to było składanką elektrycznie napędzanych, durastalowych elementów.  
 - Anakinie?  
 - Boli - syknął Skywalker, obnażając zęby.  
 - Co? Proteza? Kazałeś sobie wmontować sensory bólu?  
 - Nie kazałem. Właśnie o to chodzi.  
 - Ten ból powstaje w twoim umyśle.  
 - Nie. - Anakin poczuł, że nagły mróz ścina jego serce. Kiedy się odezwał, jego głos był zimny jak kosmiczna pustka. - Wyczuwam go.  
 - Kogo?  
 - Dooku. On tu jest. Na tym okręcie.  
 - Aha. - Obi-Wan skinął głową. - Na pewno.  
 - Ty... wiedziałeś?  
 - Domyślałem się. Sądzisz, że Grievous nie znalazłby przy kanclerzu urządzenia naprowadzającego? To nie przypadek, że mimo zagłuszania łączności akurat ten sygnał był mocny i czytelny. To pułapka. Pułapka na Jedi. - Obi-Wan położył dłoń na ramieniu Anakina i spojrzał na niego z powagą, jakiej były padawan nigdy jeszcze u niego nie widział. - Prawdopodobnie pułapka zastawiona na nas. Osobiście.  
 Anakin zacisnął szczękę.  
 - Myślisz o tej chwili na Geonosis, kiedy Dooku próbował przeciągnąć cię na swoją stronę? Zanim wysłał cię na śmierć?  
 - Nie można wykluczyć, że ponownie staniemy przed takim wyborem.

- To żaden wybór. - Anakin wstał. Mechaniczna dłoń zacisnęła się w pięść i zawiązała centymetr od rękojeści miecza świetlnego. - Niech zapyta. Moja odpowiedź wisi tu, na pasie.  
 - Bądź rozsądny, Anakinie. Najważniejsze jest bezpieczeństwo kanclerza.  
 - Tak... tak, oczywiście. - Łód w piersi Anakina stopniał. - W porządku, jesteśmy w pułapce. Co teraz zrobimy?  
 Ruszając w stronę najbliższego wyjścia z hangaru, Obi-Wan pozwolił sobie na lekki uśmiech.  
 - To samo co zawsze, mój młody przyjacielu: uruchomimy jej mechanizm.  
 - Podoba mi się ten plan. - Anakin odwrócił się w stronę R2-D2. - Artoo, zostaniesz tutaj...  
 Mały android przerwał mu oburzonym świergotem.  
 - Żadnych protestów. Zostań. Mówię poważnie.  
 Gwizd, który Anakin usłyszał w odpowiedzi, brzmiał zdecydowanie smętnie.  
 - Posłuchaj, Artoo, ktoś musi utrzymać łączność z tutejszym komputerem. Czy ja mam końcówkę wymiany danych?  
 Android wreszcie dał się przekonać, ale na pożegnanie świsnął zuchwale, jakby chciał podpowiedzieć swojemu panu, gdzie może poszukać tej końcówki.  
 Obi-Wan, który czekał przy otwartym włazie, pokręcił głową.  
 - Doprawdy, sposób, w jaki rozmawiasz z tą maszyną...  
 - Ostrożnie, mistrzu - przestrzegł młody Jedi, idąc w jego stronę. - Urazisz uczucia Artoo i...  
 Urwał w pół zdania i stanął jak wryty, z dziwnym wyrazem twarzy, jakby próbował jednocześnie zmarszczyć brwi i uśmiechnąć się.  
 - Anakinie?  
 Nie odpowiedział. Nie mógł odpowiedzieć. Oczami umysłu zobaczył obraz. Nie, nie obraz - rzeczywistość.  
 Wspomnienie czegoś, co jeszcze się nie wydarzyło.  
 Zobaczył hrabiego Dooku na kolanach. I miecze świetlne skrzyżowane na jego gardle.  
 Chmury w jednej chwili opuściły jego serce: chmury Jabiiim, Aagonaru, Kamino, nawet te z obozu Tuskenów. Po raz pierwszy od zbyt wielu lat poczuł się młody, tak młody, jakim był w rzeczywistości.  
 Młody, wolny i pełen światła.  
 - Mistrzu... - Wydawało się, że Anakin przemawia nie swoim głosem. Jak ktoś, kto nie widział tego, co widział i nie zrobił tego, co zrobił. - Mistrzu, tutaj... teraz... ty i ja...  
 - Tak?  
 Anakin przymknął i zaraz otworzył oczy.  
 - Zdaje się, że za chwilę wygramy tę wojnę.

Za wielkim, półkolistym ekranem ściennym rozgrywała się bitwa. Skomplikowane algorytmy przetwarzania obrazu pozwalały skompresować go tak, by gołym okiem można było podziwiać to, co działo się na orbicie stolicy galaktyki: krążowniki, w od-

ległości setek kilometrów wymieniające ogień niemal z prędkością światła, wyglądały tak, jakby leciały burta w burcie, połączone pulsującymi linami ognia. Strzały z turbolaserów przypominały świetliste patyki, rozpadające się na drzazgi w kontakcie z tarczami energetycznymi albo rozkwitające w miniaturowe supernowych i połykające całe okręty. Praktycznie niewidzialne myśliwce, walczące chmurami niczym komary, stawały się świetlistymi motylami, odbywającymi godowe tańce - jak zawsze bywało u schyłku krótkiej wiosny na Coruscant.

Przed olbrzymią krzywizną komputerowo przetworzonej rzezi, pośrodku przestronnej i pustej sali, stał samotny fotel. Nazywano go „fotelem generała”, cały apartament zaś ulokowany na szczycie wieży okrętu flagowego nazywano „kwaterą generała”.

Plecami do fotela i do przykutego doń człowieka, z rakami założonymi na plecach pod peleryną z jedwabistego, ale mocnego jak pancerz materiału zwanego durasplotem, stał hrabia Dooku.

Darth Tyranus, Lord Sithów.

Spoglądał na dzieło swojego mistrza w przekonaniu, że jest dobre.

Więcej niż dobre: doskonale.

Nawet drgania pokładu, które wyczuwał przez podeszwy wysokich butów, gdy w okręt trafiały nieprzyjacielskie torpedy i turbolaserowe bolty, odbierał jako pochwałę genialnego planu.

Za jego plecami rozległ się szum pokładowego holokomu, a sekundę później z głośnika popłynął głos - syntetyczny, a zarazem osobliwie ekspresyjny, jak gdyby człowiek przemawiał przez elektroniczny wokabulator droida.

- Lordzie Tyranusie, Kenobi i Skywalker właśnie przybyli.

- Tak. - Dooku uznał, że to wystarczająca odpowiedź. Wyczuwał obu w Mocy. - Zapędzić ich do mnie.

- Panie, muszę wyrazić obiekcje co do...

Dooku odwrócił się i spojrzał z góry na błękitnawy, holograficzny wizerunek dowódcy „Niewidzialnej Ręki”.

- Pańskie obiekcje zostały odnotowane, generale. Niech pan zostawi Jedi mnie.

- Ale jeśli zapędzimy ich do mojej kwatery, odnajdą kanclerza! Właściwie dlaczego on jest jeszcze na pokładzie? Powinien zostać ukryty. I dobrze strzeżony. Należało wyekspediować go poza system wiele godzin temu!

- Sprawy wyglądają tak, jak wyglądają - odparł hrabia Dooku - ponieważ takie jest życzenie Lorda Sidiouse. Jeśli więc upiera się pan przy swoich obiekcjach, proszę zameldować mu o nich osobiście.

- Ja... Nie wydaje mi się, żeby to było konieczne.

- Doskonale. Proszę ograniczyć swoje wysiłki do powstrzymania ewentualnych posiłków dla Kenobiego i Skywalkera. Bez wsparcia swoich ukochanych klonów Jedi nie są dla mnie zagrożeniem.

Pokład znowu zadrżał, tym razem mocniej. Zaraz potem nastąpiła gwałtowna zmiana wektora działania sztucznej grawitacji, która zapewne posłałaby na podłogę

kogoś słabszego. Mając Moc za sprzymierzeńca w podtrzymywaniu postawy pełnej godności, Dooku mógł pozwolić sobie jedynie na lekkie uniesienie brwi.

- A przy okazji, czy mogę zasugerować, żeby poświęcił pan nieco uwagi bezpieczeństwu tego okrętu? Przyzna pan, że jeśli obaj zginiemy na jego pokładzie, wysiłek wojenny Konfederacji ucierpi na tym dość znacznie.

- Już się tym zająłem, hrabio. Czy mój pan życzy sobie monitorować postępy Jedi? Mogę przełączyć na ten kanał obraz z kamer systemu bezpieczeństwa.

- Dziękuję, generale. Bardzo to uprzejme z pańskiej strony.

- Ależ nie ma za co, panie. Grievous, bez odbioru.

Hrabia Dooku pozwolił sobie na niemal niezauważalny uśmiech. Nienaganne maniere - charakterystyczne dla prawdziwego arystokraty - jemu wydawały się czymś naturalnym, natomiast w jakiś sposób zawsze robiły wielkie wrażenie na pospółstwie. A także na tych, którzy intelektem nie wybijali się nad pospółstwo, mimo osiągnięć i odpowiedzialnych stanowisk - na przykład na tym odrażającym cyborgu Grievousie.

Dooku westchnął, wsłuchany we własne myśli. Grievous bywał użyteczny, nie tylko jako utalentowany dowódca, ale także, już wkrótce, jako doskonały kozioł ofiarny, którego można będzie obciążyć winą za wszelkie okrucieństwa tej ponurej - acz niezbędnej - wojny. Ktoś musiał wziąć na siebie tę rolę, a Grievous nadawał się idealnie. Bo przecież trudno było sobie wyobrazić, że kozłem ofiarnym stanie się Dooku.

Między innymi po to rozgrywała się teraz gigantyczna bitwa o stołeczną planetę.

Ale nie tylko po to.

Niebieski obraz z holoprojektora przyjął kształt miniaturowych postaci Kenobiego i Skywalkera, których Dooku widywał w podobnych okolicznościach tak wiele razy: ramię przy ramieniu, z wirującymi mieczami w dłoniach, entuzjastycznie rąbiący na kawałki androida za androidem... Wydaje im się, że wygrywają pomyślał hrabia. Tymczasem robią wszystko, by znaleźć się dokładnie w tym miejscu, w którym chcą ich zobaczyć Lordowie Sithów.

Dooku pokręcił głową. Jak dzieci.

Niemal zbyt łatwo to szło.

Oto Dooku, Darth Tyranus, hrabia Serenno:

Niegdyś wielki mistrz Jedi, teraz jeszcze większy Lord Sithów, Dooku jest mrocznym kolosem górującym nad galaktyką. Śmiertelny wróg skorumpowanej Republiki, sztandarowa postać Konfederacji Niezależnych Systemów, jest uosobieniem tego, co szokuje i wzbudza podziw.

Był jednym z najbardziej szanowanych i najpotężniejszych Jedi w historii zakonu, liczącej dwadzieścia pięć tysięcy lat, a jednak w wieku lat siedemdziesięciu uznał, że zasady nie pozwalają mu dłużej służyć Republice, w której władza polityczna przypada temu, kto wyłoży najwięcej pieniędzy. Pożegnał więc swojego byłego padawana, Qui-Gona Jinnę, który sam zdążył zostać legendarnym mistrzem, pożegnał najbliższych przyjaciół z Rady Jedi - Mace'a Windu i sędziwego mistrza Yodę - i wreszcie pożegnał się z samym zakonem Jedi.

Zalicza się go w poczet Straconych - tych Jedi, którzy wyrzekli się swojego dziedzictwa i przestali być rycerzami, by służyć ideałom, które wydawały im się ważniejsze od tych, które krzewił zakon. Stracona Dwudziestka, jak nazwano tę grupę, gdy dołączył do niej Dooku, dotąd jest wspomniana z czcią i żalem przez pozostałych Jedi. Wizerunki tych, którzy odeszli z zakonu, uwiecznione w brązie, zdobią główną nawę Archiwum Świątyni.

Stały się melancholijnym symbolem tego, że potrzeb niektórych Jedi nie zaspokaja sama przynależność do zakonu.

Dooku przeniósł się do rodzinnej posiadłości w systemie planetarnym Serenno. Przyjmując na powrót dziedziczny tytuł hrabiego, stał się jedną z najzamożniejszych istot w galaktyce. A w tej galaktyce, na wskroś przesiąkniętej korupcją, taki majątek mógł kupić mu przychylną dowolną liczbę senatorów. Dooku mógł tą drogą zyskać na przykład pełną kontrolę nad Republiką.

Lecz człowiek z takim dziedzictwem, o tak mocnych zasadach, nie mógłby stać się włodarzem śmietniska, hersztem hordy ścierwojadów kłócących się o resztki, a tym właśnie była dla niego Republika i rządzący nią ludzie.

Dlatego też Dooku wykorzystał potęgę rodzinnej fortuny - i jeszcze większy potencjał swojej niekwestionowanej prawości - do zainicjowania akcji oczyszczania galaktyki z plagi tej tak zwanej demokracji.

Teraz jest ikoną ruchu separatystów, jego najbardziej znaną twarzą. Dla Konfederacji Niezależnych Systemów stał się tym, czym Palpatine dla Republiki: żywym symbolem słusznej sprawy.

Taka jest publicznie znana historia jego życia.

Taka jest historia, w którą nawet sam Dooku, w chwilach słabości, prawie wierzy.

Prawda jest jednak bardziej złożona.

Dooku jest... inny.

Nie pamięta dokładnie, w jaki sposób to odkrył. Być może zdarzyło się to, gdy był młodym padawanem i został zdradzony przez innego ucznia, który mienił się jego przyjacielem. Lorian Nod powiedział mu to prosto w twarz.

- Ty nawet nie wiesz, czym jest przyjaźń.

Rzeczywiście, nie wiedział.

Był wtedy wściekły, rzecz jasna; aż kipiał na myśl, że jego reputacja została wystawiona na szwank. Był też zły na siebie, bo popełnił błąd w ocenie: uznał za sojusznika kogoś, kto w istocie był jego wrogiem. Najbardziej zdumiewającym aspektem tej sprawy było to, że ów „przyjaciel”, który zdradził go przed innymi Jedi, oczekiwał od niego współudziału w kłamstwie w imię „przyjaźni”.

Było to tak nedorzeczne, że Dooku nie znalazł słów, by odpowiedzieć.

W istocie jednak do tej pory nie jest do końca pewny, co rozmaite istoty mają na myśli, gdy mówią o przyjaźni. Miłość, nienawiść, radość, gniew - choć wyczuwa energię tych emocji u innych, w jego pojęciu są to uczucia zgoła odmienne.

Uczucia, które mają jakiś sens.

Zazdrość rozumie dobrze, podobnie jak instynkt posiadania; potrafi bronić się, i to agresywnie, gdy ktoś sięga po jego własność.

Nietolerancja stanowi dla niego normę w niespokojnym wszechświecie, pełnym niedyscyplinowanych istot.

Mściwość to rozrywka - Dooku czerpie niemałą przyjemność z cierpień swoich wrogów.

Duma jest cnotą arystokraty, a gniew jego niezbywalnym prawem, gdy ktokolwiek próbuje kwestionować jego prawość, honor czy w pełni zasłużoną pozycję na szczycie naturalnej hierarchii władzy.

Przemoc w imię moralności wydaje mu się idealnie sensowna, gdy obrzydliwie brudne sprawy zwyczajnych istot przestają pasować do jakże oczywistej struktury Społeczeństwa Doskonałego.

Jest całkowicie niezdolny do przejmowania się tym, co myślą o nim inni. Interesuje go jedynie to, co inni mogą dla niego zrobić. I co mogą zrobić jemu.

Całkiem możliwe, że jest taki, jaki jest, właśnie dlatego że mieszkańcy galaktyki wydają mu się... mało interesujący.

A nawet, w pewnym sensie, mało realni.

Dla Dooku wszelkie inne stworzenia są abstrakcją, schematycznymi szkicami, które podzielić można na dwie kategorie. Pierwszą kategorią są Aktywa: istoty, które można wykorzystać w różnych celach. Aktywami byli - i do pewnego stopnia nadal są - na przykład Jedi, a zwłaszcza Mace Windu i Yoda. Obaj tak długo uważali go za swojego przyjaciela, że wreszcie oślepli do reszty i po dziś dzień nie potrafią pojąć, czym właściwie zajmuje się ich były towarzysz. Aktywami są też, naturalnie tylko tymczasowo, Gildia Kupiecka, Galaktyczny Klan Bankowy, Unia Technokratyczna, Sojusz Korporacyjny oraz konstruktorzy broni z Geonosis. Nawet galaktyczny motłoch bywa użyteczny, choćby jako publiczność wystarczająco liczna, by zapewnić swojemu bohaterowi odpowiedni poklask.

Drugą kategorią są Zagrożenia. Mieszczą się w niej wszystkie świadome istoty, które nie należą do kategorii pierwszej.

Trzeciej kategorii nie ma.

Pewnego dnia może zabraknąć i drugiej, bowiem uznanie przez hrabiego Dooku za zagrożenie zazwyczaj równa się wyrokowi śmierci. Wyroki takie ciąży już na przykład na jego obecnych sprzymierzeńcach: przywódcach wspomnianej Gildii Kupieckiej, Galaktycznego Klanu Bankowego, Unii Technokratycznej i Sojuszu Korporacyjnego, a także na zbrojmistrzach z Geonosis.

Zdrada jest bowiem bronią Sithów.

Hrabia Dooku z klinicznym niesmakiem obserwował niebieskawe miniaturowe Ke-nobiego i Skywalkera, zajętych nedorzeczną parodią walki; ścigani przez robotyzniszczyciele aż do drzwi turbowind, umykali nimi w górę, w dół, a czasem i na boki.

- Będzie to - rzekł wolno, z namysłem, jakby przemawiał wyłącznie do siebie - wielkim wstydem, oddać się w niewolę komuś takiemu.

Głos, który mu odpowiedział, brzmiał tak znajomo, że Dooku niekiedy brał go nawet za głos własnych myśli.

- Wstyd jakoś przeżyjesz, Lordzie Tyranusie. Bądź co bądź, masz do czynienia z największym z żyjących Jedi, prawda? Czyż nie dopilnowaliśmy, żeby cała galaktyka podzielała tę opinię?

- W rzeczy samej, mistrzu. W rzeczy samej. - Dooku westchnął ponownie. Tego dnia czuł w kościach każdą godzinę osiemdziesięciu trzech lat swojego życia. - Bardzo to męczące, mój mistrzu, grać rolę złego przez tak długi czas. Zaczynam czekać z utęsknieniem na tę honorową niewolę.

Niewolę, która pozwoliłaby mu przeczekać resztę wojny w komfortowych warunkach, wyrzec się niedawnych sojuszników - pod pozorem nagłego odkrycia prawdziwej skali zbrodni przeciwko cywilizacji, których dopuścili się separatyści - i związać swój los z nową władzą, nie utraciwszy ani odrobiny dawnej prawości i nie wyrzekłszy się ideałów.

Z nową władzą...

To ona była ich gwiazdą przeznaczenia przez te wszystkie lata.

Władza czysta, jasna, bezpośrednia, w niczym niepodobna do tej zbieraniny nieoduczonego motłochu i istot nawet nieprzypominających ludzi, mieszaniny kształtującej wizerunek obecnej Republiki, którą tak gardził. Rząd, któremu Dooku mógłby służyć, musiał być uosobieniem władzy.

Ludzkiej władzy.

Nie przypadkiem motorem napędowym sił Konfederacji Niezależnych Systemów byli Neimoidianie, Skakoanie, Quarrenowie, Aqualishe, Muunowie, Gossamowie, Sy Myrthianie, Koorivarowie i Geonosjanie. Z końcem wojny trzeba będzie zmiażdżyć wszystkich obcych, odarłszy ich wcześniej ze wszystkiego, co posiadali. Ich ojczyste systemy i ich bogactwa powinny trafić w ręce jedynych istot, którym można powierzyć taki potencjał.

W ręce istot ludzkich.

Dooku chciał służyć Imperium Człowieka.

A służyłby mu tak, jak potrafi. Urodził się po to, by to zrobić. Przede wszystkim unicestwiłby zakon Jedi i zbudował go na nowo: niesparaliżowany wolą zdeprawowanych, narcystycznych karłów nazywających siebie politykami, ale wolny, gotów wesprzeć prawdziwą władzę i zaprowadzić rzeczywisty pokój w galaktyce, która tak bardzo potrzebowała jednego i drugiego.

Zakon, który nie próbowałby negocjować i nie starał się być mediatorem.

Zakon gotów egzekwować prawo.

Niedobitki zakonu Jedi mogłyby stać się zaczynem Armii Sithów.

Pięścią Imperium.

Z czasem pięść ta stałaby się potęgą, o jakiej Jedi nie śnili w najbardziej ponurych koszmarach. Rycerze Jedi nie byli jedynymi użytkownikami Mocy w galaktyce - od Hapes po Haruun Kai, od Kiffu po Dathomirę, silni Mocą ludzie i prawie ludzie odmawiali oddania swoich dzieci na trwającą całe życie służbę zakonowi Jedi. Nie odmówiliby jednak Armii Sithów.

Nie mieliby wyboru.

Dooku zmarszczył brwi, patrząc na holoprojeccję. Kenobi i Skywalker kontynuowali występ w taniej komedii, podróżując kolejną turbowindą - zapewne Grievous miał niezłą zabawę, kontrolując jej ruchy - podczas gdy nowe zastępy robotów pędziły za nimi ku własnej zagładzie.

Doprawdy, było to takie...

Żalodne.

- Czy wolno mi zasugerować, mistrzu, abyśmy dali Kenobiemu ostatnią szansę? Poparcie rycerza Jedi o takiej charyzmie byłoby bezcenne w dobie ustanawiania politycznej legitymacji naszego Imperium - powiedział

- A, tak... Kenobi. - Głos jego pana był gładki jak jedwab. - Interesujesz się nim od dawna, nieprawdaż?

- Oczywiście. Jego mistrz był moim padawanem; w pewnym sensie Kenobi jest dla mnie jak wnuk...

- Jest za stary. Zbyt głęboko zindoktrynowany. Nieodwracalnie skażony bajkami Jedi. Chyba ustaliliśmy to już na Geonosis, prawda? On sobie wyobraża, że służy samej Mocy; rzeczywistość jest niczym w obliczu tak silnej wiary.

Dooku westchnął. Pomyślał, że właściwie nie powinien teraz stwarzać problemów, skoro raz już nie zawahał się wydać wyroku śmierci na Kenobiego.

- Tak, to prawda. Jakie to szczęście, że ja nigdy nie dałem się zwieść podobnym iluzjom.

- Kenobi musi umrzeć. Dzisiaj. Z twojej ręki. Jego śmierć jest kluczem do ostatniego zamka, który zatrzyma przy nas Skywalkera na zawsze.

Dooku rozumiał doskonale: śmierć mentora nie tylko pomoże naruszyć i tak krucho równowagę emocjonalną Anakina, popychając go ku mrocznemu przeznaczeniu, ale także usunie najpoważniejszą przeszkodę w nawróceniu młodego Jedi. Wiedział, że dopóki Kenobi pozostaje przy życiu, Skywalker nigdy nie przejdzie na stałe do obozu Sithów. Niezachwiana wiara Kenobiego w wartości Jedi była jak opaska na oczach jego byłego ucznia i jak kajdany pętające jego prawdziwą potęgę.

Mimo wszystko Dooku miał pewne zastrzeżenia. Wszystko rozgrywało się zbyt szybko. Czy Sidious przemyślał do końca implikacje swoje działania?

- Muszę o coś spytać, mistrzu... czy Skywalker naprawdę jest człowiekiem, jakiego nam trzeba?

- Jest potężny. Potencjalnie potężniejszy nawet ode mnie.

- I właśnie dlatego - odparł z namysłem Dooku - chyba byłoby lepiej, gdybym zabił jego, a nie Obi-Wana.

- Taki jesteś pewien, że potrafiłbyś tego dokonać?

- Czymże jest potęga niepodparta dyscypliną? Ten chłopiec jest równie groźny dla samego siebie, jak dla swoich wrogów. A to jego mechaniczne ramię... - Dooku skrzywił usta w wystudiowanym grymasie obrzydzenia. - Ohyda.

- Może więc powinieneś być oszczędzić to prawdziwe?

- Hm... Dżentelmen nauczyłby się walczyć jedną ręką. - Dooku lekceważąco machnął dłonią. - On nie jest już w pełni człowiekiem. Jeśli chodzi o Grievousa, zaopatrzenie go w te biomechaniczne komponenty można jeszcze jakoś wybaczyć, skoro był

odpychającym typem nawet jako w pełni żywa istota; syntetyczne dodatki są w jego przypadku poważnym krokiem naprzód. Ale żeby mieszać androida z człowiekiem? Odrażające. Szczyt złego gustu. Jak możemy usprawiedliwić zadawanie się z kimś takim?

- Jaki ze mnie szczęściarz -jedwab w głosie mistrza stał się jeszcze bardziej gładki - że mam ucznia, który czuje się na siłach udzielać mi lekcji.

Dooku uniósł brew.

- Przesadziłem, mój mistrzu - odrzekł ze zwykłym sobie wdziękiem. - Ja tylko zauważam fakty, nie próbuję spierać się z tobą. W żadnym razie.

- Do naszych celów mechaniczne ramię Skywalkerera jest wręcz nieocenione. To permanentny symbol ofiary, którą poniósł w imię pokoju i sprawiedliwości. To odznaka bohaterstwa, którą będzie nosił publicznie przez resztę życia. Nikt nigdy, patrząc na niego, nie zwątpi w jego honor, odwagę, prawość. Jest idealny taki, jaki jest. Doskonały. Pytanie tylko, czy okaże się zdolny do przewyciężenia sztucznych ograniczeń, które wpoili mu Jedi. I właśnie to, mój drogi hrabio, ustalimy dzięki dzisiejszej operacji.

Dooku nie oponował. Czarny Lord nie tylko wprowadził go do królestwa siły, która przerastała jego najśmielsze marzenia, ale był także politycznym manipulatorem o niezrównanej subtelności. Zdolności Dartha Sidiousa w tej dziedzinie przyćmiewały chyba nawet potęgę Ciemnej Strony, którą władał. W myśl starego powiedzenia, za każdym razem, gdy Moc zamyka władz, otwiera jednocześnie iluminator... W ciągu ostatnich trzynastu lat uchyliły się bodaj wszystkie iluminatory, przez które Czarny Lord Sithów mógł zająrzeć do rozpadającego się systemu, na zimno kalkulując możliwości wśliznięcia się do środka.

Poprawienie planu mistrza wydawało się hrabiemu prawie niemożliwe. W duchu musiał przyznać, że pomysł zastąpienia Skywalkerera Kenobim był co najwyżej produktem niepotrzebnego sentymentalizmu. Anakin niemal na pewno lepiej nadawał się do wykonania zadania, które dla niego przewidziano.

Dziś ostatnia próba miała usunąć z tego twierdzenia słówko „niemal”.

Dooku nie wątpił, że Skywalker ulegnie. Rozumiał też, że to, co ma się wydarzyć, jest czymś więcej niż tylko testowaniem młodego Jedi. Choć Sidious nie wspomniał o tym wprost, hrabia był przekonany, że także on sam będzie obiektem próby. Sukces odniesiony tego dnia miał pokazać mistrzowi, że jego uczeń sam stał się godny tytułu mistrza. Przekonanie Skywalkerera do potęgi i wspaniałości Ciemnej Strony miało być odbiciem inicjacji, której Dooku sam doświadczył za sprawą Sidiousa.

Darth Tyranus nie brał pod uwagę możliwości porażki. Dlaczego miałby brać?

- Wybacz, mistrzu, ale... Czy jesteś pewien, że jeśli Kenobi zginie z mojej ręki, Skywalker zechce poddać się moim rozkazom? Przyznasz, że jego dotychczasowe dokonania raczej nie pozwalają nam wierzyć, iż w ogóle jest zdolny do posłuszeństwa.

- Potęga Skywalkerera przyniesie nam coś więcej niż tylko posłuszeństwo: przyniesie kreatywność i łut szczęścia. Już nigdy nie będziemy musieli tracić czasu na udzielanie szczegółowych instrukcji, jakich wymaga na przykład Grievous. Nawet ci ślepi głupcy z Rady Jedi dostrzegają wyraźnie, że tak właśnie jest. Nie próbują już mówić

mu, jak ma działać; wystarczy, że powiedzą, co ma robić. Skywalker sam znajdzie sposób. Zawsze.

Dooku skinął głową. Po raz pierwszy od czasu, gdy Sidious wyjawiał mu prawdziwą subtelność swojego arcydzieła, hrabia pozwolił sobie na luksus marzenia o ostatecznym wyniku tej rozgrywki.

Heroiczne pojmanie hrabiego Dooku uczyni z Anakina Skywalkerera największego bohatera w historii Republiki, a może i samego zakonu Jedi. Utrata ukochanego mistrza doda temu zdarzeniu odpowiedniego posmaku tragedii i nasyci melancholią każde słowo licznych wywiadów, których młody Jedi udzieli reporterom HoloNetu. Znajdzie się w nich oczywiście wzmianka o korupcji w senacie, która paraliżuje wysiłek wojenny galaktycznej wspólnoty, a także delikatna - wręcz niechętnie wypowiedziana - insynuacja, iż przyczyną przedłużania się działań wojennych jest zgnilizna w samym zakonie Jedi.

Potem Skywalker ogłosi powstanie nowego zakonu wojowników władających Mocą.

Będzie idealnym dowódcą Armii Sithów.

Dooku mógł jedynie z podziwem pokręcić głową. I pomyśleć, że jeszcze niewiele dni temu Jedi wydawali się tak bliscy odkrycia - a nawet zniszczenia - wszystkiego, nad czym pracowali ze swoim mistrzem. Nie powinien był wątpić. Mistrz nigdy nie przegrał i nigdy nie przegra. Był kwintesencją tego, co niezwykłe.

Jak bowiem można pokonać wroga, którego uważa się za przyjaciela?

Teraz zaś, jednym genialnym posunięciem, jego mistrz miał zwrócić zakon Jedi przeciwko samemu sobie, zmienić go w ouroborosa z Ethrani, pożerającego własny ogon.

To był ten dzień. Ta godzina.

Śmierć Obi-Wana Kenobiego miała stać się śmiercią Republiki.

Tego dnia narodzi się Imperium.

- Tyranus? Dobrze się czujesz?

- Ja... - Dooku teraz dopiero zauważył, że oczy zaszyły mu mgłą. -Tak, mistrzu. Lepiej niż dobrze. Dzisiaj nastąpi wielki finał dzieła, które tworzyłeś przez dziesięciolecia... Trochę to przytłaczające.

- Weź się w garść, Tyranusie. Kenobi i Skywalker stoją niemal u drzwi. Odegraj swoją rolę, mój uczniu, a galaktyka będzie nasza.

Dooku wyprostował się i po raz pierwszy spojrzał mistrzowi w oczy. Darth Sidious, Czarny Lord Sithów, siedział w fotelu generała, przykuty do niego w nadgarstkach i kostkach. Hrabia Dooku skłonił się lekko.

- Dziękuję, kanclerzu.

- Ukryj się. Już tu są - odparł Palpatine z Naboo, Wielki Kanclerz Republiki.

## ROZDZIAŁ

# 3

### DROGA SITHA

Drzwi turbowindy otworzyły się ze świstem. Anakin przytulił się do ściany, stojąc po kostki w szczątkach pociętych robotów. Korytarz, który mieli przed sobą, wyglądał zupełnie normalnie: był jasny i pusty.

Dotarliśmy. Nareszcie, pomyślał.

Miał wrażenie, że całe jego ciało rozbrzmiewa pomrukiem gorącego, błękitnego ostrza.

- Anakinie...

Obi-Wan stał pod przeciwległą ścianą kabiny. Emanował spokojem, zupełnie niepojętym dla zapalczywego Skywalkera. Mistrz spojrzał znacząco na miecz, który Anakin ścisnął w dłoniach.

- Ratunek - powiedział cicho. - Nie orgia zniszczenia. Broń Skywalkera nawet nie drgnęła.

- A co z Dooku?

- Gdy kanclerz będzie bezpieczny - odparł Obi-Wan z cieniem uśmiechu na ustach - możemy wysadzić statek.

Mechaniczne palce zacisnęły się na rękojeści miecza tak mocno, że metal zaskrzy-piał w proteście.

- Wolałbym dostać go w swoje ręce.

Obi-Wan wymknął się ostrożnie przez otwarte drzwi turbowindy. Nikt nie strzelił w jego kierunku. Mistrz skinął dłonią na byłego ucznia.

- Wiem, że to trudne, Anakinie. Dla ciebie sprawa ma charakter osobisty, i to na wielu poziomach. Dlatego musisz w szczególny sposób pamiętać dziś o tym, czego się nauczyłeś... i nie chodzi mi tylko o twoją biegłość w walce.

Skywalker poczuł, że pała go policzki.

- Nie... - ... jestem już twoim padawanem, przemknęło mu przez głowę, ale w porę zapanował nad burzą adrenaliny, zawahał się i dokończył: - zawiodę? cię, mistrzu. Ani kanclerza Palpatine'a.

- Nie wątpię. Pamiętaj tylko, że Dooku nie jest po prostu Ciemnym Jedi, jak ta kobieta, Ventress. To Lord Sithów. Szczęki pułapki, w którą wchodzimy, zatrzasną się za chwilę i może się okazać, że niebezpieczeństwo pędzie miało nie tylko fizyczny charakter.

- Jasne. - Anilin wyłączył miecz i minął Obi-Wana, wchodząc do holu. Z oddali dobiegł huk serii eksplozji i pokład zakolysał się jak tratwa na wzburzonej rzece, ale młody Jedi nie zwrócił na to uwagi. - Ja tylko... Chodzi o to, że on wyrządził tyle zła, nie tylko rycerzom Jedi, ale całej galaktyce.

- Anakinie... - zaczął ostrzegawczo Obi-Wan.

- Nie martw się. Nie czuję gniewu i nie szukam zemsty. Po prostu nie mogę... - Skywalker uniósł miecz- ... nie mogę się doczekać, kiedy to wszystko się skończy.

- Oczekiwanie...

- Jest rozpraszaniem uwagi. Wiem. I wiem też, że nadzieja jest równie pusta, jak strach - Anakin pozwolił sobie na krzywy uśmiech. -Znam każdą złotą myśl, które tak bardzo chciałbyś mi teraz przypomnieć.

Melancholijne skinienie głową, którym odpowiedział mu Obi-Wan, było równie pełne uczucia, jak serdeczny uścisk.

- Zdaje się, że kiedyś wreszcie będę musiał przestać cię pouczać. Anakin uśmiechnął się szerzej, a w końcu zachichotał.

- Jeśli się nie mylę, pierwszy raz słyszę od ciebie takie słowa. Zatrzymali siei przed drzwiami kwatery generała: wielką, owalną płytą opalizującego irydytu, zdobioną złotem. Anakin spojrzał na swoje widmowe odbicie, otworzył się na Moc i sięgnął umysłem w głąb sali, która znajdowała się po drugiej stronie.

- Jestem gotowy, mistrzu.

- Wiem.

Przez krótką chwilę stali ramię w ramię.

Skywalker nie patrzył na Kenobiego. Wbił spojrzenie w drzwi, jakby gdzieś za nimi chciał wypatrzeć cień niezbadanej przyszłości.

Nie umiał wyobrazić sobie, że wojna dobiegnie końca.

- Anakinie. - Głos Obi-Wana był cichy i miękki, a dłoń, którą położył na ramieniu przyjaciela, ciepła. - W tej chwili nie chciałbym mieć przy sobie żadnego innego Jedi. Żadnego innego człowieka.

Anakin odwrócił się i zobaczył w oczach Obi-Wana uczucie, które przez te wszystkie lata dostrzegał niezmiernie rzadko: była to czysta, nieskomplikowana, oj-cowska miłość, z wolna nabierająca głębi, niczym obietnica samej Mocy.

- A ja... nie chciałbym, żeby było inaczej, mistrzu.

- Sądzę też - dodał Kenobi z lekkim rozbawieniem, jakby sam się dziwił własnym słowom - że powinieneś przyzwyczać się do nazywania mnie po prostu Obi-Wanem.

- Obi-Wanie - odrzekł Anakin - chodźmy po kanclerza.

- Chodźmy - zgodził się mistrz.

Stojąc w kabinie turbowindy, Dooku przyglądał się holograficznym wizerunkom Kenobiego i Skywalkera, którzy ostrożnie schodzili po schodach wiodących wzdłuż

łukowato wygiętej ściany. Schody łączyły galerię, na której znajdowało się wejście do sali, z głównym poziomem generalskiej kwatery. Poruszali się wolno, przygotowani na wszelkie gwałtowne zmiany położenia zaciekle atakowanego okrętu. Krążownik drżał od kolejnych trafień torpedami. Światła przygasaly i zapalały się ponownie - to one zawodziły najszybciej, gdy dostępną energię przekierowywano z systemów podtrzymywania życia do systemów kontroli uszkodzeń.

- Panie - we wzmocnionym przez interkom głosie Grievousa słycać było autentyczną troskę - uszkodzenia okrętu są naprawdę poważne. Trzydzieści procent automatycznych systemów bojowych nie działa. Możliwe że wkrótce utracimy zdolność do skoku w nadprzestrzeń.

Dooku z namysłem pokiwał głową przyglądając się spod zmarszczonych brwi dwóm niebieskawym cieniem posuwającym się w stronę Palpatine'a.

- Proszę ogłosić odwrót całego zespołu uderzeniowego, generale, i przygotować okręt do skoku. Kiedy Jedi zginą dołączę do pana na mostku.

- Jak sobie życzysz, panie. Grievous bez odbioru.

- I nie tylko, poczwaro - mruknął Dooku do wyłączonego komunikatora. - Także bez szczęścia i bez perspektyw.

Odrzucił urządzenie, nie przejmując się klekotem obudowy o płyty pokładu. Nie potrzebował już komunikatora. Niech zostanie unicestwiony, pomyślał, wraz z Grievousem, jego odrażającymi ochroniarzami i całą resztą krążownika... gdy tylko zostaną pojmani i odlece stąd bezpiecznie.

Skinął głową w stronę dwóch potężnych superrobotów bojowych, które stały u jego boków. Jeden z nich otworzył drzwi windy, po czym wraz ze swoim towarzyszem wymaszerował z kabiny. Dwie maszyny stanęły na warcie przy wyjściu z windy.

Dooku poprawił ciemną lśniąca pelerynę i dumnym krokiem wkroczył do słabo oświetlonego holu. W wątłym blasku lamp awaryjnych drzwi do kwatery generała wciąż dymiły, żarząc siew miejscach, w których miecze dwóch głupców Jedi wycięły w nich dziurę. Dooku wolał nie ryzykować przypalenia nogawek. Westchnął i poruszył dłonią a szcztaki opalizujących drzwi posłusznie i bezgłośnie odsunęły się na bok. Nie zamierzał przecież walczyć w płonących spodniach.

Bo choć szczerze pragnął nadać rozpoczynającemu się przedstawieniu pozory realizmu i odpowiedni dramatyzm, istniały pewne granice farsy, których nie chciał przekraczać.

Anakin sunął bezszelestnie wzdłuż rzędu krzeseł stojących przy wielkim stole sytuacyjnym, który zajmował centralną część głównej sali kwatery generała. Obi-Wan podążał w tym samym kierunku, dokładnie naprzeciwko młodego przyjaciela. Jedyne źródło światła stanowiły tu błyskawice, które pojawiały się i znikaly bezgłośnie na wielkim ekranie--iluminatorze, tworzącym łukowato wygiętą ścianę. Były to burze turbolaserowego ognia, rozbłyski eksplodujących pocisków i miniaturowe wybuchy supernowych, z których każdy symbolizował śmierć okrętu.

W półmroku na tle kosmicznej rzezi można było dostrzec sylwetkę masywnego, wysokiego fotela.

Anakin przechwycił spojrzenie Obi-Wana nad stołem i skinął głową w stronę ciemnego kształtu. Mistrz odpowiedział mu gestem Jedi, oznaczającym tyle, co „podchodź ostrożnie”, i zaraz potem dodał sygnał: „Bądź gotów do akcji”.

Anakin zacisnął zęby. Nie potrzebował takich rad. Po tym, co przeszli razem w turbowindach, nic już nie mogło go zaskoczyć, nawet sala pełna robotów-niszczycieli.

W kwaterze generała zapaliły się światła.

Anakin zamarł.

Zobaczył ludzką postać siedzącą w fotelu - tak, to był kanclerz Palpatine, a w zasięgu wzroku ani jednego robota. Może powinien był poczuć radość i ulgę w sercu, gdyby nie to, że...

Palpatine nie wyglądał dobrze.

Anakin nie spodziewał się, że ciężar prowadzenia Republiki przez kolejne kryzysy poczyni w ciele kanclerza takie spustoszenia w ciągu zaledwie pięciu miesięcy, które spędził z Obi-Wanem na Zewnętrznych Rubieżach. Palpatine nie wyglądał po prostu staro - wydawał się istotą równie sędziwą, jak Yoda, wprost niewiarygodnie wiekową. Do tego wyczerpaną i obolałą. Co gorsza...

Anakin zobaczył w twarzy kanclerza coś, czego nigdy nie spodziewał się w niej zobaczyć - ten widok kazał mu wstrzymać oddech i na moment pozbawił go zdolności myślenia.

Palpatine wyglądał na przerażonego.

Skywalker nie wiedział, co powiedzieć. Absolutnie nic nie przychodziło mu do głowy. Wyobrażał sobie tylko, co Grievous i Dooku musieli uczynić, żeby wywołać strach w człowieku tak dzielnego serca.

Na myśl o tym krew w nim zawrzała, odpłynęła z twarzy i zalała serce ciemną falą. W uszach słyszał łoskot, jak w trudnych chwilach na Aagonarze. Jak na Jabiiim.

Jak w obozie Tuskenów.

Jeżeli Obi-Wan doświadczał podobnych sensacji, to potrafił je doskonale ukryć. Pochylił głowę, jak zawsze z powagą i uprzejmością.

- Kanclerzu - przywitał go chłodno i z szacunkiem, jak gdyby spotkali się przypadkiem podczas Wielkiego Zgromadzenia Senatu Galaktycznego.

Palpatine odpowiedział zduszonym szeptem:

- Anakinie, za tobą!

Skywalker nie odwrócił się. Nie musiał. Nie potrzebował klekotu metalowych stóp i magnetycznych przyłg na progu galerii, żeby wiedzieć. Moc wezbrała w nim nagle i otoczyła go silnym uściskiem jak pięść wystraszonego człowieka. Na jedną długą sekundę jego zdolność percepcji rozciągnęła się, obejmując całą salę i nie tylko. Wtedy to poczuł.

W Mocy czuł skupienie w oczach Palpatine'a oraz źródło tego strachu, który buchał z umysłu kanclerza niczym para z zamrożonej bryły. Wyczuwał też jeszcze zimniejszą falę siły, zimniejszą niż szron na pysku mynocka, która wcisnęła się do kwatery generała jak sztylet wbijający się w plecy.

Dziwne, pomyślał. Po spotkaniu z Ventress spodziewałem się, że Ciemna Strona zawsze jest gorąca...

Poczuł, że coś się odblokowało w jego piersi. Dudnienie w uszach ucichło i został po nim jedynie czerwony dym, pełzający wolno wzdłuż kregosłupa. Rękojeść miecza sama odnalazła jego rękę, a wargi odsłoniły zęby w uśmiechu, jakiego nie powstydzilby się nawet smok krayt. Kłopoty ze znalezieniem słów ustąpiły nagle.

- Nie będzie problemu - mruknął Anakin po trosze do siebie, a po trosze do Palpatine'a.

Z wysoko położonej galerii wejściowej dobiegł dystyngowany bas, zabarwiony oleistym brzmieniem rogu z kriinodębu. Był to głos hrabiego Dooku.

- Generale Kenobi, Anakinie Skywalkerze. Szlachetni panowie... a używam tej formy jedynie przez nader luźne skojarzenie... jesteście moimi jeńcami.

Teraz Anakin poczuł się naprawdę swobodnie.

Z galerii rozciągał się dobry widok na całą salę. Było to właściwe miejsce, by spojrzeć z góry na Jedi i dokonać ostatniej oceny sytuacji przed rozpoczęciem właściwej komedii.

Jak wszystkie przyzwoite farsy i ta musiała rozwijać się z bezlitosną logiką, wychodząc od absurdałnego założenia, że Dooku mógłby przegrać walkę ze zwykłymi rycerzami Jedi. Dowolnymi Jedi. Jaka szkoda, że mój stary przyjaciel Mace nie może do nas dołączyć, pomyślał Dooku. Mistrz z Haruun Kai zapewne ubawiliby się takim przedstawieniem.

Dooku zawsze cenił sobie wykształconą publiczność.

Dobrze, że był tu przynajmniej Palpatine, przykuty do wielkiego fotela w przeciwległej części sali. Ogromny ekran ciągnący się za jego plecami przywodził na myśl osobliwe skojarzenie: że to mroczna sylwetka kanclerza rozpościera olbrzymie skrzydła wojny. Palpatine był w istocie bardziej autorem tego spektaklu niż jego widzem.

A to przecież nie to samo.

Skywalker wciąż stał plecami do Dooku, lecz zdążył już wysunąć klingę miecza, a jego wysoka i szczupła postać emanowała niecierpliwością- choć całkowicie nieruchoma, zdawała się drzeć z napięcia. Żalotne, pomyślał hrabia. Nazywać tego chłopca Jedi to po prostu obraza dla zakonu.

Kenobi był zupełnie inny - klasyczny przedstawiciel ginącego gatunku. Stał, przyglądając się spokojnie hrabiemu Dooku i superrobotom bojowym, które mu towarzyszyły. Czekał z otwartymi rękami, głęboko zrelaksowany; pozwolił sobie jedynie na wyraz umiarkowanego zainteresowania na twarzy.

Odrobinę melancholijnej satysfakcji - wypływającej z wiary we własny, zapoznany i osamotniony geniusz - przyniosła hrabiemu Dooku przelotna myśl, że Skywalker nigdy nie zrozumie, jak wiele planowania, ile pracy włożył Lord Sidious w przygotowanie dla niego tego z pozoru przypadkowego, pozornego zwycięstwa. Nie pojmie też sztuczności, po prostu mistrzostwa, z jakim Dooku odegra sceną własnej porażki.

Niestety, takie jest życie. Trzeba ponosić ofiary, pomyślał hrabia, w imię wyższych racji.

W końcu wojna jeszcze trwała.

Przywołał Moc, zebrał ją w sobie i otulił sienią. Odetchnął nią głęboko i poczuł, jak wiruje w jego sercu i ścisła je coraz mocniej, aż otworzyła mu zmysły tak, że wyczuwał nawet majestatyczne obroty galaktyki.

Aż stał się osią wszechświata.

Taka była prawdziwa potęga Ciemnej Strony, potęga, którą szanował już jako mały chłopiec i której szukał przez całe długie życie, nim Darth Sidious pokazał mu, że przez te wszystkie lata miał ją na wyciągnięcie ręki. Ciemna Strona nie sprowadziła go jednak do centrum wszechświata; ona uczyniła zeń centrum wszechświata.

Chłonał tę siłę tak długo i dogłębnie, aż poczuł, że Moc istnieje tylko po to, by służyć jego woli.

Teraz scena, która rozgrywała się przed nim, doznała subtelnej przemiany, choć w sensie fizycznym nie zmieniło się absolutnie nic. Mocą Ciemnej Strony Dooku mógł zmierzyć potencjał przeciwników z porażającą precyzją.

Kenobi był świetlistą, przezroczystą istotą, oknem na zalaną słońcem łękę Mocy.

Skywalker był chmurą burzową, z przebłyskami groźnych błyskawic, z wolną wpadającą w ruch wirowy, zwiastujący nadejście tornada.

Był też, rzecz jasna, Palpatine, jednostka nieosiągalna dla Mocy. Dooku nie dostrzegał w jego wnętrzu nic - widziany poprzez Ciemną Stronę, kanclerz był niczym równa linia horyzontu. Pod całkiem zwyczajną powierzchnością kryła się absolutna, doskonała pustka. Ciemność nad ciemnościami.

Czarna dziura w Mocy.

A przy tym Palpatine znakomicie grał rolę bezradnego zakładnika.

- Sprowadźcie pomoc! - Chrapliwy szept pełen przerażenia brzmiał prawdziwie nawet w uszach Dooku. - Musicie to zrobić! Żaden z was nie dorówna Lordowi Sithów!

Teraz dopiero Skywalker odwrócił się i spojrzał w oczy hrabiego, po raz pierwszy, odkąd spotkali się w hangarze na Geonosis. Jego odpowiedź była skierowana i do Palpatine'a, i do Dooku.

- Powiedz to temu, którego Obi-Wan zostawił w kawałkach na Naboo.

Ha, pomyślał Dooku, pustka i brawura. Maul był zwierzęciem. Dobrze wyszkolonym, ale jednak zwierzęciem. Bestią.

- Anakinie... - Dooku doskonale wyczuwał w Mocy niezadowolenie Kenobiego. Czuł też, że choć rozdrażniony przechwałkami Anakina, Obi-Wan pozostaje skupiony na tym, co miało za chwilę nastąpić. - Tym razem zrobimy to wspólnie.

Bystre oko Dooku dostrzegło lekkie drgnięcie, gdy mechaniczna dłoń Skywalkera zacisnęła się mocniej na rękojeści miecza.

- Właśnie miałem to powiedzieć.

Doskonale, pomyślał Dooku. Grajmy dalej tę komedię.

Jego płaszcz rozpostarł się jak ciemne skrzydła, gdy hrabia uniósł się lekko w powietrze i spłynął w dół, na główny poziom generalskiej kwatery, powolnym i pełnym godności ślizgiem wspomaganym Mocą. Łądując u szczytu stołu sytuacyjnego, spojrzał na dwóch Jedi spod uniesionych brwi.

- Proszę o waszą broń, panowie. Nie róbmy bałaganu; kanclerz patrzy.



Obi-Wan uniósł rękojeść miecza w obu dłoniach - wysoka garda była charakterystyczną cechą Ataro, stylu Qui-Gona i Yody. Ostrze rozbłysło z brzękiem i w powietrzu rozszedł się zapach ozonu.

- Tym razem nam nie uciekniesz, Dooku.

- Uciec wam? Daruj, ale... - Lekki uśmiezek hrabiego rozszerzył się nagle. - Naprawdę sądzisz, że zaplanowałem całą tę operację po to, żeby teraz uciec? Mogłem zabrać kanclerza poza granice systemu przed wieloma godzinami. Mam jednak ciekawsze rzeczy do roboty, niż zajmować się nim do czasu, aż łaskawie spróbujecie go uratować.

Skywalker ułożył miecz w pozycji gotowości stylu Shien: durastalowa dłoń w czarnej rękawicy wysoko przy ramieniu, ostrze skierowane ku górze i w bok.

- To coś więcej niż próba - powiedział.

- I nieco mniej niż ratunek.

Dooku zamasytym gestem odgarnął pelerynę z prawego ramienia i skinął dłonią w stronę pary superrobotów bojowych, stojących wciąż wysoko na galerii, przy wejściu do sali.

- Proszę o rozsądek, panowie. Czy mam rozkazać androidom, by otworzyły ogień? Naprawdę trudno utrzymać porządek, kiedy blasterowe bolty odbijają się od ścian w przypadkowy sposób. Dla nas, rzecz jasna, to żadne zagrożenie, ale naprawdę nie chciałbym, żeby nieszczęście spotkało Wielkiego Kanclerza.

Kenobi ruszył w jego stronę powoli, z hipnotyczną gracją, jak gdyby płynął na niewidzialnej platformie repulsorowej.

- Dlaczego jakoś trudno mi w to uwierzyć?

Skywalker również ruszył z miejsca, szerokim łukiem zachodząc hrabiego z flanki.

- Nie miałeś takich skrupułów, kiedy krew lała się na Geonosis.

- Jasne. - Dooku uśmiechnął się jeszcze szerzej. - A jak się miewa senator Amidala?

- Nie... - Burza, którą Skywalker stanowił w polu Mocy, rozpętała się ze zdwojoną siłą. - Nie wymawiaj nawet jej imienia.

Dooku machnął ręką. Sprawy osobiste tego młokosa znanadto go zużyły, by miał poświęcać im uwagę. Wiedział wystarczająco dużo o jego prywatnych sekretach.

- Nie mam złych zamiarów wobec kanclerza Palpatine'a, głupcze. Nie jest ani żołnierzem, ani szpiegiem, podczas gdy ty i twój przyjaciel jesteście i jednym, i drugim. To tylko niefortunny zbieg historycznych okoliczności sprawił, że Palpatine postanowił bronić skorumpowanej Republiki, którą pragnę zreformować.

- Chciałeś powiedzieć: zniszczyć.

- Kanclerz jest cywilem, ale ty i generał Kenobi jesteście dla mnie celami wojskowymi. I tylko od was zależy, czy zechcecie towarzyszyć mi jako jeńcy - nieznaczny skurcz Mocy z oszalałającą szybkością posłał do jego dłoni rękojeść miecza, z której wytrysnął szkarłatny promień klingi - czy jako zwłoki.

- Cóż za zbieg okoliczności - odparł cierpko Kenobi, przesuając się tak, by hrabia znalazł się dokładnie między nim a Skywalkerem. - Sam stoisz przed identycznym wyborem.

Dooku przyglądał się przeciwnikom z niezachwianym spokojem. Wykonał mieczem salut Makashi i ponownie opuścił ostrze.

- Niech się wam nie zdaje, że macie przewagę tylko dlatego, że jest was dwóch.

- Wiemy, do czego pijesz - odrzekł Skywalker. - Przecież was także jest dwóch.

Dooku z wielkim trudem ukrył zaskoczenie.

- A może powinienem powiedzieć: było was dwóch - dodał młody Jedi. - Zajęliśmy się twoim partnerem, Sidousem. Tropiliśmy go po całej galaktyce. Teraz zapewne jest już w rękach Jedi.

- Doprawdy? - Dooku rozluźnił się w jednej chwili. Kusiło go nieodparcie, żeby mrugnąć porozumiewawczo do Palpatine'a, lecz oczywiście wiedział, że nie może tego zrobić. - To się wam poszczęściło.

No i proszę, jakie to proste, pomyślał. Odizolować Skywalkera, zabić Kenobiego. Potem wystarczy doprowadzić młodego do bojowego szału, w którym porzuci ograniczenia narzucone mu przez Jedi i zobaczy niezmierną potęgę Sithów.

Od tego momentu Sidious zajmie się wszystkim.

- Poddaj się. - Słowa Kenobiego brzmiały jak ostateczny wyrok. - Nie będziesz miał drugiej szansy.

Dooku uniósł brew.

- Nie sądzę, żeby była mi potrzebna, chyba że któryś z was przyniósł w kieszeni Yodę.

Czując nieomal skwierczenie Mocy w powietrzu i coraz mocniejsze wstrząsy turbolaserowych trafień, hrabia Dooku uznał, że nadszedł czas. Odwrócił głowę, jakby oglądał się przez ramię, by sprowokować atak...

I wszyscy trzej jednocześnie ruszyli do akcji.

Pokład okrętu drżał, a czerwony dym spowijający kręgosłup Anakina zaczynał już sięgać ramion i nóg, gdy Dooku wreszcie obejrzał się przez ramię, na ułamek sekundy wybity z głębokiego skupienia. Skywalker uznał, że nie może dłużej zwlekać.

Skoczył, ustawiając miecz do śmiertelnego ciosu.

Obi-Wan zaatakował z przeciwnej strony, dokładnie w tym samym momencie. Spotkali się w powietrzu, bo Lorda Sithów nie było już między nimi.

Anakin uniósł głowę w samą porę, by zobaczyć podeszwę buta ze skóry rancora, która zaraz zderzyła się z jego twarzą, posyłając go na podłogę. Użył Mocy, by złagodzić upadek i poderwać się, zachowując pełną równowagę, a następnie skoczyć ku błyskawicom krzyżujących się mieczy, czerwonym na tle nieba. Dooku napierał na Obi-Wana, raz po raz zadając szybkie i płynne pchnięcia, które skutecznie odbijały klingę mistrza Jedi, a jednocześnie uparcie zmierzały ku jego sercu.

Anakin zaatakował od tyłu. Hrabia odwrócił się i nie przestając szermować jedną ręką z Obi-Wanem, niedbałym gestem wyciągnął dłoń za siebie. Krzesła wyskoczyły zza stołu sytuacyjnego i pomknęły ku głowie Skywalkera. Pierwsze przeciął z pogardą

zamaszystym ruchem, ale drugie trafiło go w kolana, trzecie zaś w bark, ponownie rzucając go na płyty pokładu.

Warknął wściekle i sam sięgnął Mocą po krzesła, lecz w tej samej chwili runął na niego stół, z impetem wbijając go w ścianę. Miecz świetlny wypadł z rozluźnionej nagle dłoni i zaklekotał o blat, by spaść na podłogę po przeciwnej stronie.

A Dooku prawie nie zwracał uwagi na młodego Jedi.

Z trudem chwytając oddech, przygwożdżony do ściany i półprzytomny Anakin pomyślał: jeśli to się zaraz nie skończy, chyba dostanę szał.

Bez wysiłku osłaniając się przed deszczem błękitnych ciosów Kenobiego, Dooku poczuł nagle, że Moc powtórnie chwyta potężny stół sytuacyjny, by tym razem cisnąć go ze zdumiewającą prędkością w stronę jego pleców. Ledwie zdążył uskoczyć w górę i wywinąć salto, unikając zmiążdżenia kręgosłupa przez szybujący mebel.

- Proszę, proszę- rzekł, śmiejąc się z cicha. - A jednak chłopak ma trochę siły.

Łądując, Dooku stanął naprzeciwko Anakina, który, czerwony z wściekłości, szarżował na niego bez broni.

- Jestem dwa razy lepszym Jedi niż poprzednim razem!

Ach tak, pomyślał hrabia. Cóż za wrażliwe ego. Sidious będzie musiał mu pomóc. Ale tymczasem...

Rękojeść miecza Skywalkera śmignęła w powietrzu, a gdy znalazła się w dłoni właściciela, niebieskie ostrze zatoczyło groźny łuk.

- ... Więc i moja siła podwoiła się od tamtej pory, hrabio.

- Jak miło - odparł spokojnie Dooku, wymierzając cięcie w nogę przeciwnika. Miecz Skywalker'a zablokował cios i zaraz obrócił się za jego plecami, by powstrzymać klingę zmierzającą ku karkowi. Cały ten atak przeszkodził w walce Kenobiemu, który musiał użyć Mocą, by przeskoczyć nad głową partnera.

I tuż nad uniesioną bronią hrabiego.

W połowie salta Kenobi ciął prosto w szkarłatne ostrze. Dooku ustąpił w bok i tym razem to lądujący Obi-Wan wszedł w paradę Anakinowi.

- Doprawdy żalosne - ocenił Lord Sithów.

Jego przeciwnikom bez wątpienia nie brakowało energii; skakali i wywijali piruety, zasypując go deszczem prawie przypadkowych ciosów, rąbiąc krzesła na drzazgi i ciskając je Mocą we wszystkich możliwych kierunkach. Dooku jednak robił swoje, płynnie i z gracją realizując plan. Manewrowanie między ostrzami dwóch Jedi przychodziło mu z taką łatwością, że z trudem powstrzymywał się, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

Wszystko sprowadzało się do odpowiedzi na ich przygnębiająco prymitywną taktykę: Skywalker był szybki - rzucał się tu i tam niczym zraniony jastrzębionietoperz, robiąc wszystko, by okrążyć przeciwnika i zaatakować z przeciwnej strony, podczas gdy Kenobi atakował spokojnie, zgodnie z zasadami Shii-Cho, wręcz ociężałe, jak android-drwal. Przesuwał się krok za krokiem, przecinając hrabiemu drogę i niezdarnie, lecz uparcie starając się zagnać go w kąt sali.

Wszystkim, czego ten sposób walki wymagał od Dooku, były zwinne skoki to w jedną, to w drugą stronę, a czasem i nad głowami atakujących, by fechtować z nimi na przemian, a nie jednocześnie. Przypuszczał, że na co dzień styl, który prezentowali Obi-Wan i Anakin, był dość skuteczny, zwłaszcza w walce ze znacznie silniejszym wrogiem. Wyglądało jednak na to, że dwaj Jedi nie mają doświadczenia w zmaganiach z pojedynczym użytkownikiem Mocą, zwłaszcza tak potężnym jak Dooku, który w przeciwieństwie do nich zawsze walczył samotnie. Dlatego śmieszyła go łatwość, z jaką powodował, by przeszkadzali sobie nawzajem, potykali się i wchodzili sobie w drogę.

Co więcej, dotąd nie rozumieli, jak niepodzielnie panował na polu walki. Bili się tak, jak ich nauczono: uwalniali swoje pragnienia i pozwalali, by płynęła przez nich Moc. Nie dawało to najmniejszych szans na przeciwstawienie się technikom Sithów, w których Dooku był mistrzem. Nie nauczyli się niczego od czasu walki na Geonosis.

Pozwalali, by Moc nimi kierowała, podczas gdy Dooku kierował Mocą.

Atakowali zawsze tam, gdzie czekał blok, i zaraz musieli cofać się przed potężnymi pchnięciami, które pozbawiały ich równowagi i wytrącały z rytmu. Hrabia czuł, że może zabić ich obu równie łatwo jak ten stwór, Maul, zniszczył vigo Czarnego Słońca.

Na ten dzień jednak zaplanował tylko jedną śmierć, a przedstawienie zaczynało go nudzić. I męczyć. Mroczna potęga, która mu służyła, miała swoje ograniczenia, a on sam nie był już przecież młodzieńcem.

Kolejne szybkie pchnięcie wymierzył w brzuch Kenobiego, ale mistrz Jedi odbił je ku górze i stanęli piersią w pierś, ze skrzyżowanymi klingami ledwie na odległość dłoni od swoich gardeł.

- Za wolno się ruszasz, Kenobi. Jesteś zbyt przewidywalny. Musisz bardziej się postarać.

W odpowiedzi na uprzejme słowa Obi-Wan spojrział w oczy hrabiego z lekkim rozbawieniem.

- Zgoda - powiedział, a potem skoczył nad głowę Dooku z taką szybkością, że wydawało się, jakby po prostu zniknął.

W miejscu, w którym znajdowała się dotąd jego pierś, pojawiła się błękitna klinga Skywalker'a, zmierzająca wprost ku sercu Sitha.

Tylko rozpaczliwy unik pozwolił hrabiemu ocalić życie - zamiast dymiącej dziury w piersi, pojawiła się jedynie smuga spalenizny na durasplotowej pelerynie.

Coś podobnego, pomyślał Dooku.

Wyskoczył wysoko w górę, jak najdalej od atakujących Jedi, by wylądować na stole sytuacyjnym i wykorzystać krótką przerwę na odzyskanie sił i spokoju. To, co się zdarzyło, było zdecydowanie zbyt niebezpieczne. Zanim jednak jego stopy dotknęły blatu, Kenobi już czekał, z ostrzem wirującym w dłoniach z tak niewiarygodną szybkością, że Dooku nawet nie próbował atakować. Sith zamarkował atak na twarz, przysiadł błyskawicznie i szerokim zamachem posłał klingę ku kostkom mistrza Jedi...

Kenobi jednak uskoczył w porę, a hrabiaomal sam nie stracił stopy od ciosu Skywalkera, który pojawił się znikąd i potężnym uderzeniem przeciął stół na dwoje, fundując przeciwnikowi mało dystyngowane lądowanie na podłodze.

Nie było to zgodne z planem.

Kolejny cios Anakina był tak mocny, że ramiona hrabiego Dooku ugięły się w łokciach, gdy go parował. Sith rzucił się w tył z przewrotem, po którym wylądował pewnie na obu nogach, ale tu czekało już na niego ostrze miecza Obi-Wana, skierowane ku jego szyi. Unik i błyskawiczne cięcie, połączone z obrotowym kopnięciem, które trafiło w udo Kenobiego, kupiły Sithowi dość czasu, by mógł raz jeszcze odskoczyć i wylądować...

Skywalker już na niego czekał.

Pierwszy cios z góry ześliznął się po ostrzu, które instynktownie uniósł Dooku. Drugi zgiał nadgarstek hrabiego. Trzecia błękitna błyskawica odsunęła czerwoną tak daleko, że energetyczna klinga przysmażyła ramię Sitha. Dooku musiał ustąpić.

Poczuł, że błędnie. Skąd się wzięła ta siła?

Skywalker podążał za nim, nieubłagany jak maszyna, nieprawdopodobnie potężny, istny robot-niszczyciel uzbrojony w miecz. Zadawał cios przy każdym kroku, a Dooku cofał się tak szybko, jak potrafił, ale nie dość szybko. Jego oddech stał się krótki i ciężki. Hrabia nie próbował już blokować ciosów młodego Jedi; mógł jedynie nieznacznie zmieniać ich bieg. Z pewnością nie dorównywał już Anakinowi, który nie tylko zdawał się czerpać z niewyobrażalnych zasobów Mocy, ale także zdumiewał fizyczną siłą.

I właśnie wtedy Dooku zrozumiał, że został oszukany.

Pozy Shien, którymi Skywalker rozpoczął walkę, były podstępem, podobnie jak gimnastyka Ataro. Chłopak był mistrzem stylu Djem So, i to najlepszym, jakiego Dooku miał okazję oglądać. Makashi hrabiego nie pozwalała na wygenerowanie takiej energii kinetycznej, która mogłaby powstrzymać frontalny atak w stylu Djem So. Zwłaszcza w sytuacji, gdy trzeba było bronić się przed dwoma przeciwnikami.

Dooku uznał, że nadszedł czas na zmianę taktyki.

Przykucnął nisko i po raz drugi zatoczył mieczem krąg tuż nad pokładem - wiedział, że słabością Djem So jest brak mobilności - trafiając koniuszkiem klingi w but Skywalkera, na tyle mocno, że chłopiec stracił równowagę, co dało hrabiemu szansę na odskok...

Wprost pod świetlisty krąg wirującego miecza Kenobiego.

Dooku uznał, że komedia dobiegła końca.

Nadszedł czas zabijania.

Mistrzem Kenobiego był Qui-Gon Jinn, uczeń Dooku. Hrabia szermował ze swoim dawnym padawanem tysiące razy i znał każdy słaby punkt formy Ataro, a zwłaszcza jej niedorzecznych akrobacji. Rozpoczął serię błyskawicznych pchnięć skierowanych w nogi Obi-Wana, by sprowokować go do wysokiego skoku z saltem. Zamierzał wtedy wykonać proste cięcie nad głową, które rozprułoby grzbiet Kenobiego od nerek po łopatki. Plan ten jawił mu się przed oczami tak wyraźnie, że zupełnie przesłonił zaskakujące zjawisko: oto Kenobi, ledwie poruszając stopami, bez trudu parował mieczem każde z jego pchnięć. Klinga nie zmieniała położenia ani o milimetr bardziej, niż było

to konieczne. Mistrz Jedi zachowywał spokój i idealną równowagę. Odpowiadał z łatwością i szybkością, jakich nie powstydzilaby się garollińska zmija-*duch*.

Dooku poczuł, że Skywalker staje na nogi i zbliża się od tyłu. Dopiero w tym momencie pojął, skąd bierze się zdumiewająca szybkość Kenobiego w defensywie. Dotarło do niego, z niewybaczalnym opóźnieniem, że Ataro i Shii-Cho w wykonaniu Jedi również były podstępem.

Kenobi stał się bowiem mistrzem Soresu.

Teraz Dooku doznał nagłego, przytłaczającego i głęboko niepokojącego wrażenia, że sprawy podążają w złym kierunku...

W niewytłumaczalny sposób farsa zniecka przestała być śmieszna, a stała się śmiertelnie poważna, z tendencją do tragicznego finału. Myśl, która pojawiła się teraz w głowie hrabiego Dooku, była jak ognisty wykwit okrętu eksplodującego, w kosmicznej pustce: ci Jedi niepojętym zrzędzeniem losu stali się naprawdę niebezpieczni.

Dwaj pajace z mieczami mogli - na razie tylko mogli - nawet... zwyciężyć.

I nawet mistrz Sithów zgodziłby się, że w takiej sytuacji nie warto ryzykować. Ławiej przecież o nowy plan działania niż o nowego ucznia.

Dooku zaczerpnął powietrza i wraz z nim wchłonął Moc wszechświata - tak potężną, że drobny ruch nadgarstka wystarczył, by Kenobi pofrunął ku dalekiej ścianie i zderzył się z nią z impetem. Lord Sithów nie miał jednak czasu, by cieszyć się tym małym zwycięstwem.

Skywalker bowiem nie odstępował go ani na krok.

Błękitna klinga krążyła niestrudzenie, a każdy kolejny cios spadał na ostrze hrabiego z niepowstrzymaną siłą meteorytu. Dooku musiał czerpać chciwie z potęgi Mocy tylko po to, by obronić się przed nimi i nie dać się przepołowić, Skywalker zaś...

Skywalker był coraz silniejszy.

Każda zasłona kosztowała Dooku więcej energii niż ciśnienie Kenobiego na drugi koniec sali. Każdy blok postarzał go o dziesięć lat.

Wreszcie hrabia uznał, że pora raz jeszcze zmienić strategię.

Już nie próbował ripostować. Wyczerpał zapas Mocy tak dalece, że jego zmysły zaczęły się zamykać, ograniczając świadomość niemal do granic własnego ciała; uwieźla w czaszce tak głęboko, że z trudem wyczuwał kształty sali, w której walczyli. Obraz schodów za jego plecami i galerii z portalem wejściowym, do której wiodły, był w polu Mocy coraz bardziej rozmyty. Dooku stanął na pierwszym stopniu i zaczął wspinać się powoli, by wykorzystać przewagę kontrataku z podwyższenia. Skywalker podążył za nim, atakując niestrudzenie i coraz bardziej zaciekłe.

Błękitna klinga była wszędzie, wirowała coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie cała sala wydała się hrabiemu oświetlona jej elektrycznym blaskiem. Tymczasem Kenobi powrócił do walki. Niesiony Mocą, jak torpeda wbiegł na schody i znalazł się tuż za plecami Skywalkera. Dooku uznał, że w tej sytuacji nawet džentelmen może sobie pozwolić na nieczystą grę.

- Straż! - zawołał w stronę dwóch superrobotów bojowych, które cierpliwie stały u drzwi Sali. - Ognia!

Maszyny bez wahania ruszyły naprzód, wyciągając przed siebie ramiona zbrojne w ciężkie blastery. Lufy plunęły ogniem, ale Skywalker był gotowy: wirujące ostrze odbiło wszystkie strzały z powrotem w kierunku robotów, skutecznie chronionych przez wypolerowane pancerze. Smugi rozżarzonych cząstek wypełniły salę oślepiającymi błyskami rykoszetów.

Kenobi dotarł tymczasem na szczyt schodów i jednym cięciem unicestwił oba roboty. Zanim metalowe szczątki upadły na pokład, Dooku był już w ruchu: niskie kopnięcie trafiło Skywalkera w brzuch i zgięło we dwoje, ostatni zaś impuls Mocy pomógł przedłużyć je i zmienić w wysoki kopniak okrężny, który z porażającą szybkością i siłą dosięgnął podbródka Kenobiego. Rozległo się głośne chrupnięcie, podobne do wystrzału z wielkokalibrowego miotacza pocisków, i mistrz Jedi runął w dół po długich schodach. Wydawało się, że cios skręcił mu kark.

Byłoby cudownie, pomyślał Dooku.

Lepiej jednak nie pozostawiać niczego przypadkowi.

Zanim jeszcze bezwładne ciało Kenobiego stoczyło się na podłogę głównego poziomu sali, Dooku sięgnął po Moc i posłał za nim potężną dawkę energii. Z ogromną siłą, niczym statek pędzący ku czołowemu zderzeniu ostatnim zrywem silników, mistrz Jedi runął na pokład pod dziwnym kątem i pomknął dalej, by zatrzymać się na grodzi z takim impetem, że obsypały go szczątki pianki permabetonowej.

Dooku przyjął to lądowanie z niezwykłym zadowoleniem.

A teraz, jeśli chodzi o Skywalkera...

Tylko tyle zdążył pomyśleć, zanim widok młodego Jedi przesłoniła mu podeszwa buta, z morderczą siłą zbliżającego się do jego twarzy.

Cios sprawił, że przez krótką chwilę Dooku widział jedynie ścianę białego ognia. Błyskawiczna poprawka rzuciła go plecami na balustradę, a potem świat nagle stanął na głowie i przez moment wydawało się hrabiemu, że frunie w stronę sufitu, a to dlatego że spadał z galerii głową w dół, w stronę twardego pokładu. Ani ręce, ani nogi jakoś nie chciały słuchać jego rozkazów. Moc najwyraźniej była zajęta innymi sprawami i Dooku nie mógł oprzeć się wrażeniu, że sytuacja wygląda fatalnie.

Zdołał przywołać na pomoc nędzną resztkę mrocznej potęgi, którą władał, by uratować się przed śmiertelnym upadkiem. Moc zahamowała ruch i pozwoliła mu wylądować na nogach.

Orzepał kurz z ubrania, zadarł głowę i popatrzył wyniośle na Skywalkera, który stał na wysokim balkonie i spoglądał na niego w milczeniu. Hrabia nie mógł wytrzymać tego spojrzenia; poważnie go niepokoiła ta nagła zmiana położenia.

Było w niej coś irytująco właściwego.

Widząc Skywalkera, który znalazł się tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał on sam, Dooku poczuł się tak, jakby próbował przypomnieć sobie sen, którego nigdy nie miał...

Odsunął od siebie takie myśli i otworzył się na Moc, czerpiąc nową siłę z głębokiego przekonania o własnej niezwykłości. Powoli napełnił się energią, zrzucając z barków przynębiający ciężar lat.

Uniósł miecz i skinął na przeciwnika.

Skywalker skoczył. Kiedy leciał w dół, Dooku poczuł całkiem nowe zawirowanie Mocy i nareszcie zrozumiał.

Pojął, dlaczego Skywalker jest coraz silniejszy. Dlaczego już się nie odzywa. Dlaczego stał się walczącą maszyną. Pojął, dlaczego od tak dawna Sidious interesował się młodym Jedi.

Skywalker miał dar.

Jego serce było termojądrowym ładunkiem, a niewyobrażalny żar właśnie zaczynał przepalać ściany, w których zamknęło go szkolenie Jedi. Chłopak z Tatooine trzymał Moc w garści rozpalonej do białości. Już był w połowie Sithem, choć wcale o tym nie wiedział.

Miał dar furii.

Panował jednak nad nią nawet teraz, gdy lądował u boku hrabiego Dooku i zasypywał go ciosami, i gdy krok za krokiem spychał go do coraz głębszej defensywy. Lord Sithów wyczuwał doskonale, jak Skywalker stara się ukryć furie za murem woli, murem utwardzonym przez nieopisany strach.

Strach przed samym sobą, pomyślał Dooku. Strach przed tym, co mogłoby się stać, gdyby termojądrowy ładunek jego serca kiedykolwiek osiągnął krytyczną temperaturę.

Hrabia uchylił się przed klingą spadającą na niego z góry i odskoczył do tyłu.

- Wyczuwam w tobie wielki strach - powiedział. - Strach, który cię pożera. Doprawdy, Bohaterze Bez Strachu... Jesteś oszustem, Skywalkerze. Dzieckiem, które pozuje na dorosłego, nikim więcej. - Dooku skierował w stronę Anakina ostrze miecza jak oskarżycielski palec. - Ale czy nie jesteś trochę za stary na to, żeby bać się ciemności?

Skywalker znowu rzucił się do ataku, ale tym razem Sith bez trudu powstrzymał jego szarżę. Stanęli niemal stopa w stopę, błyskając klingami szybciej, niż mogło nadszyc oko obserwatora. Młody Jedi stracił jednak przewagę, którą miał jeszcze przed chwilą: odrobina drwin wystarczyła, by rozbić jego koncentrację. Poświęcał teraz mniej uwagi walce, a więcej kontrolowaniu własnych emocji. Im większy był jego gniew, tym silniejszy strach, który znowu stawał się pożywką dla gniewu... Skywalker był jak przysłowiowa koreliańska wielonoga, gdy zaczął zastanawiać się nad tym, co robi, nie mógł iść dalej.

Dooku pozwolił sobie na moment odprężenia i krążąc wokół młodego Jedi w śmiertelnym tańcu, poczuł, że znowu nabiera chęci do zabawy. Nie wiedział, jak potoczy się ta farsa, ale postanowił, że nie będzie sobie żałował rozrywki.

I wtedy, z jakiegoś powodu, Sidious postanowił interweniować.

- Nie bój się swoich uczuć, Anakinie! Użyj ich! - szepnął głosem Palpatine'a. - Wezwij na pomoc gniew. Skoncentruj go, a wtedy nikt cię nie zatrzyma. Gniew jest twoją bronią! Uderz! Zrób to teraz! Zabij go!

Zabić mnie? - pomyślał zaskoczony Dooku.

Zatrzymali się w walce na mgnienie oka, ze skrzyżowanymi ostrzami mieczy, wpatrując się w siebie przez czerwono-niebieski krzyż czystej energii. Coraz bardziej

zdumiony hrabia zaczął się zastanawiać, czy aby jego mistrz, Darth Sidious, nie postradał rozumu. Czyżby nie rozumiał, jakiej rady udzielił temu młokosowi?

A właściwie... po czyjej był stronie?

Za skrzyżowanymi klingami zobaczył w oczach Skywalkera obietnicę piekła i poczuł ucisk w dołku, gdy dotarło do niego, że tak naprawdę dobrze zna odpowiedź.

Bowiem zdrada jest drogą Sitha.

## ROZDZIAŁ

# 4

### PUŁAPKA NA JEDI

Oto śmierć hrabiego Dooku:

Supernowa zrozumienia rozbłyska w umyśle Anakina Skywalkera, gdy mówi sobie w duchu: „Ach, teraz rozumiem”, i odkrywa, że strach, który czuje w sercu, może być potężną bronią.

To takie proste i takie skomplikowane.

I ostateczne.

Dooku jest już martwy. Wszystko inne to nieistotne szczegóły.

Spektakl trwa: komedia świecących ostrzy, brzęku uderzeń i syku skoncentrowanej energii. Dooku i Skywalker, trupa jednego występu, grająca dla jednego widza. Jedi i Sith, Sith i Jedi, skaczący, wirujący, uderzający, rąbiący, odbijający, uskakujący i tnący powietrze z dziką szybkością i siłą.

A wszystko to na nic, ponieważ nuklearny płomień pochłonął już ostatnią barierę ograniczeń wpojonych Anakinowi przez szkolenie Jedi. Strach bez trudu zmienia się w gniew, a gniew jest bronią, przy której miecz świetlny to marna zabawka.

Przedstawienie trwa, ale nie ma w nim już elementu napięcia. Teraz to tylko pantomima, skomplikowana i nic nieznacząca jak splątane drogi, którymi gwiazdne skupiska wędrują po niezmierzonej pustce kosmosu.

Dziesięciolecia doświadczenia w walce są nieistotne. Mistrzostwo we władaniu mieczem również nie przyda się hrabiemu Dooku. Jego ogromne bogactwa, jego wpływy polityczne, doskonały rodowód, nieskazitelne maniery, wyborny gust - wszystkie te powody do dumy i punkty honoru, którym poświęcał tak wiele czasu i uwagi w swoim długim, bardzo długim życiu - stają się w tym momencie łańcuchem uwiązany do jego ducha i ciągnącym kark wprost pod topór.

Nawet jego znajomość Mocy nagle zmienia się w żart.

Lecz to właśnie ona pozwala mu ujrzeć własną śmierć i oczami duszy przyjrzeć się jej ze wszystkich stron, zbadać z bliska niczym czarny klejnot, tak zimny, że aż parzący dłonie. Elegancka farsa hrabiego Dooku zmienia się w żalony melodramat, ale nikt nie uroni choćby jednej łzy nad zgonem głównego bohatera.

Dla Anakina zaś w tej walce nie ma niczego prócz przerażenia i wściekłości.

Stoi samotnie pomiędzy śmiercią a dwoma mężczyznami, których kocha najbardziej na świecie, i nie potrafi dłużej się powstrzymać. Smok z zimnej gwiazdy, który mieszka w jego wyobraźni, stara się za wszelką cenę zamrozić jego siłę, podszeptując, że Dooku już zwyciężył, że Dooku ma do dyspozycji całą potęgę ciemności, że Dooku odjął mu już jedno ramię, że Dooku pokonał bez widocznego wysiłku samego Obi-Wana... I że on, Anakin, jest teraz samotny i nigdy nie dorówna żadnemu Lordowi Sithów...

Jednak Palpatine - poprzez słowa: „Gniew jest twoją bronią!” - pozwolił Anakiniowi zlikwidować grube osłony wokół serca i podsycić gorejący w nim płomień strachem i wątpliwościami.

Gdy hrabia Dooku nadlatuje, wywijając czerwonym ostrzem, pięść Warto z głębokiego dzieciństwa Anakina strzela naprzód, by odepchnąć Lorda Sithów.

Gdy z całą Mocą Ciemnej Strony, jaką tylko można zaczerpnąć z zasobów wszechświata, Dooku ciska w stronę Skywalkera poszarpany fragment durastalowego stołu, cichy szept Sami - „wiedziała, że po mnie przyjdiesz” - z impetem odtrąca go na bok.

Zdecydowanie zbyt długo głowę Anakina wypełniał dym z ogarniętego pożogą serca; to on otaczał mrokiem umysł. Na Aagonarze, na Jabiiim, w obozie Tuskenów na Tatooine - wszędzie ten sam dym oslepił go, ogłupiał i rzucał w ciemność, zamieniając w bezmyślną maszynkę do zabijania. Lecz tu, na pokładzie wrogiego okrętu, mikroskopijnej komórki życia w nieskończonej i jałowej pustyni kosmosu, ogniotrwałe zasłony opadły i strach wraz z wściekłością wychynęły na zewnątrz, tocząc walkę nareszcie poza jego umysłem, który jest teraz czysty jak kryształ.

I w tej kryształowej czystości myśli Anakin musi zrobić tylko jedno.

Zadecydować.

I tak czyni.

Postanawia zwyciężyć.

Postanawia, że Dooku straci tę samą rękę, którą mu niegdyś odebrał. Decyzja równa się rzeczywistości: błękitne ostrze jest szybkie jak myśl i woła - czarny koreliański nanojedwab wyparowuje, mięśnie i kości ustępują przed strumieniem czystej energii i dłoń Lorda Sithów, zaciśnięta na rękojeści miecza, spada na pokład, ciągnąc za sobą smużkę dymu o zapachu zwęglonego ciała i spalonych włosów. Broń hrabiego Dooku wciąż działa, a widok czerwonej klingi leżącej u jego stóp sprawia, że serce Anakina zaczyna śpiewać.

Skywalker wyciąga rękę i Moc podaje mu drugi miecz.

Odcina hrabiemu drugą dłoń.

Dooku pada na kolana z pobladłą twarzą i rozchylonymi ustami. Jego broń wskakuje wprost do ręki zwycięzcy. Anakin ma przed oczami wizję przyszłości: dwóch ostrzy krzyżujących się na gardle hrabiego Dooku.

Lecz tutaj, w tej chwili, prawda przeczy wizji. Oba miecze spoczywają w jego dłoniach. Ten, którego rękojeść ściskają żywe palce, płonie krwistą - choć syntetyczną - czerwienią sithowej broni.

Dooku krzywi się z bólu i kurczy ze strachu, ale wciąż odnajduje w sobie cień nadziei i ludzi się, że to nieprawda, że Palpatine wcale go nie zdradził, że wszystko toczy się zgodnie z planem...

.. póki nie padną słowa:

- Dobrze, Anakinie! Doskonale! Wiedziałem, że sobie poradzisz!

Dooku rozpoznaje głos Palpatine'a i w głębi swej mrocznej duszy przeczuwa, jak będzie brzmiało następne zdanie.

- Zabij go - mówi kanclerz. - Zabij natychmiast.

W oczach Skywalkera widać jedynie płomienie.

- Kanclerzu, proszę! - woła Dooku, rozpaczliwie i bezradnie, bez śladu godności arystokraty, za to z gorzkim wspomnieniem minionej odwagi. Może jedynie błagać o darowanie życia, jak czyniły dotąd wyłącznie jego ofiary. - Proszę, przecież obiecałeś mi nietykalność! Zawarliśmy układ! Pomóż mi!

Błaganie zyskują mu dokładnie tyle łaski, ile miał dla swoich przeciwników.

- Układ miał być ważny tylko wtedy, gdy mnie uwolnisz - odpowiada Palpatine głosem zimnym jak międzygalaktyczna próżnia. - Nie wtedy, gdy użyjesz mnie jako przynęty, żeby zabić moich przyjaciół.

Dooku już wie, że tak naprawdę wydarzenia toczą się zgodnie z planem. Tyle że nie jest to jego plan, lecz plan Sidiousa. Zastawili pułapkę na Jedi, ale Jedi nie byli łowną zwierzyną. Jedi byli przynętą.

- Anakinie - dodaje cicho Palpatine. - Skończ z nim.

Lata szkolenia Jedi sprawiają, że Skywalker się waha. Spogląda w dół, na Dooku i nie widzi w nim Lorda Sithów, tylko pokonanego, złamanego, obolałego starca.

- Nie powinienem...

Lecz gdy padają słowa: „Zrób to, natychmiast!”, zdaje sobie sprawę, że to wcale nie rozkaz, tylko to, na co czekał całe życie.

Pozwolenie.

A Dooku...

Kiedy po raz ostatni spogląda w górę, w oczy Anakina Skywalkera, wie już, że dał się zwodzić nie tylko tego dnia, ale codziennie, od bardzo wielu lat. Nigdy nie był prawdziwym uczniem mistrza Ciemnej Strony. Nigdy nie był dziedzicem potęgi Sithów. Był jedynie narzędziem.

Całe jego życie - wszystkie zwycięstwa, wysiłki, całe dziedzictwo, zasady i ofiary, wszystko co zrobił, co posiada i to, kim jest, wszystkie marzenia, wizje przyszłego Imperium i Armii Sithów - wszystko to było od początku żalonym przekreśleniem, którego ostatecznym wynikiem jest ta porażka.

Istniał tylko po to, by tak skończyć.

Właśnie tak.

By stać się ofiarą pierwszego morderstwa popełnionego przez Anakina Skywalkera z zimną krwią.

Pierwszą, ale - w co nie wątpił - nie ostatnią.

Wreszcie ostrza krzyżują się na jego gardle jak nożyce.

Cięcie.

I cały staje się niczym.

Morderca i zamordowany patrzyli przed siebie szeroko otwartymi oczami.

Lecz tylko morderca poruszył powiekami.

Zrobiłem to, pomyślał.

Spojrzenie odciętej głowy kierowało się uparcie ku czemuś niewidocznemu. Z ust, które rozpaczliwie błagały o życie, nie wydobywał się już żaden dźwięk. Okaleczony korpus upadł na pokład z cichnącym westchnieniem, które wydała z siebie przyżegana krtań. Złożył się w locie na pół, jakby bił wiernopoddańczy pokłon przed potęgą, która odebrała mu życie.

Morderca znowu zamrugał.

Kim ja jestem?

Czy małym niewolnikiem z pustynnej planety, cenionym z racji niezwyklego talentu do mechaniki? Czy legendarnym pilotem ścigacza, jedynym człowiekiem, który przeżył śmiertelnie niebezpieczny wyścig? A może nieposłusznym, hardym, naprawdę trudnym uczniem wielkiego mistrza Jedi? Pilotem myśliwca? Bohaterem? Kochankiem? Rycerzem Jedi?

Czy mógł być tym wszystkim - lub choćby jedną z tych postaci -i zrobić to, co właśnie zrobił?

Zaczął domyślać się odpowiedzi w tej samej chwili, w której zrozumiał, że należy zadać sobie to pytanie.

Pokład zatrzęsł się od kolejnej serii eksplozji torped i strzałów turbolaserowych. Głowa hrabiego Dooku, patrząca przed siebie szeroko otwartymi oczami, odbiła się od podłoża i potoczyła w bok. Anakin ocknął się z transu.

- Co...?

Miał dziwny sen. Latał w nim i walczył bez końca. W tym śnie mógł zrobić wszystko, czego zapragnął. Cokolwiek uczynił, było słuszne -właśnie dlatego że taka była jego wola. Był to sen, w którym nie obowiązywały żadne zasady, liczyła się tylko potęga.

Potęga, która należała do niego.

A teraz stał nad bezgłowym ciałem - nie mógł na nie patrzeć, ale też brakowało mu siły, by odwrócić wzrok - wiedząc, że to wcale nie był sen i naprawdę to zrobił. Wciąż trzymał w dłoniach miecze i czuł, że ocean zła, do którego wskoczył, właśnie zamknął się nad jego głową.

I że tonie.

Miecz zabitego wysunął się ze zmartwiałej dłoni Anakina.

- Ja... Nie mogłem się powstrzymać...

Zanim przebrzmiały jego własne słowa, zrozumiał, jak pustym i oczywistym są kłamstwem.

- Dobrze się spisałeś, Anakinie. - Głos Palpatine'a był ciepły jak dłoń położona na ramieniu. - Powiem więcej, postąpiłeś słusznie. Ten człowiek był zbyt niebezpieczny, by darować mu życie.

W ustach kanclerza takie wyjaśnienie brzmiało całkiem wiarygodnie, ale gdy Anakin powtórzył je sobie w duchu, pojął, że sam nie uwierzy w nie nigdy. Drżenie, które poczuł nagle między łopatkami, zmieniło się w potężny dreszcz targający całym ciałem.

- Był nieuzbrojonym jeńcem...

Tak, to fakt. Nieznośnie prawdziwy fakt.

Prawda zaś, choć paliła niczym ostrze miecza świetlnego, była czymś, czego mógł się trzymać. Uświadomiwszy to sobie, Anakin jakimś cudem poczuł się nieco lepiej. Był silniejszy. Spróbował jeszcze raz: może nie było tak, że nie mógł się powstrzymać, ale...

- Nie powinienem był tego robić - powiedział głośno, wyraźnie i zdecydowanie. Teraz już mógł spojrzeć na zwłoki leżące u jego stóp i na spoczywającą nieco dalej głowę.

Mógł patrzeć na nie i dostrzegać to, czym naprawdę były.

Dowodem zbrodni.

Anakin stał się zbrodniarzem wojennym.

Poczucie winy uderzyło go jak pięść. To był cios w samo serce; pozbawił go tchu i zmiękczył kolana. Zaraz potem na jego barkach spoczął ciężar ponad siły każdego śmiertelnika, ciężar miazdzący życie.

Nie umiał znaleźć słów na to, co czuł.

- To było... złe -jęknął po chwili.

Uznał, że to trafna diagnoza.

To było złe.

- Nonsens. Rozbroić go to za mało; władał niewyobrażalną potęgą. Anakin pokręcił głową.

- To nie ma znaczenia. Jedi tak nie postępują. Okręt znowu zadrżał i światła w sali przygasły.

- Nie zauważyłeś jeszcze, że postępowanie Jedi - odparł Palpatine, niewidoczny w cieniu wielkiego generalskiego fotela - nie zawsze jest postępowaniem słusznym?

Anakin skierował spojrzenie w stronę cienia.

- Nie rozumiesz. Nie jesteś Jedi, panie. Nie możesz tego pojąć.

- Posłuchaj mnie, Anakinie. Ilu istotom ocaliłeś życie tym jednym ciosem miecza?

Potrąfisz je zliczyć?

- Ale...

- To nie było złe, Anakinie. Może Jedi tak nie postępują, ale to, co zrobiłeś, było słuszne. I absolutnie naturalne: on pozbawił cię ręki, więc chciałeś się zemścić. Twój odwet był ledwie sprawiedliwą karą.

- Odwet nigdy nie jest sprawiedliwy. Nie może być...

- Nie bądź dzieckiem, Anakinie. Odwet jest fundamentem sprawiedliwości. Sprawiedliwość narodziła się z zemsty, a zemsta jest jedyną formą sprawiedliwości, jaką wiele istot może liczyć. To zresztą nie był twój pierwszy raz, prawda? Czy Dooku za-

służywał na miłosierdzie bardziej niż Ludzie Piasku, którzy zamęczyli twoją matkę na śmierć?

- To było coś innego...

W obozie Tuskenów postradał zmysły i stał się ślepą siłą natury; zabijał z nie większą premedytacją, niż czyni to burza piaskowa. Tu-skenowie zostali wybici, wyrznięci, zmasakrowani, ale wszystko to wydarzyło się poza kontrolą umysłu i teraz, z perspektywy czasu, wydawało się Anakinowi, że ktoś inny dokonał tej rzezi. Wspomnienie było dla niego zasłyszana opowieścią, która nie miała z nim nic wspólnego.

Ale Dooku...

Dooku został zamordowany.

Przez niego.

Z rozmysłem.

Tu, w kwaterze generała, spojrział w oczy żywego człowieka i na zimno postanowił, że zakończy jego egzystencję. Mógł wybrać słuszne rozwiązanie. Mógł wybrać ścieżkę Jedi.

Tymczasem...

Spojrzał na odciętą głowę hrabiego.

Takiego wyboru nie da się odwrócić. Nie można cofnąć tego, co się stało. Jak miał mistrz Windu, „nie istnieje nic takiego, jak druga szansa”.

Anakin nie był już nawet pewien, czy chciałby ją dostać.

Nie mógł sobie pozwolić na to, by o tym myśleć, podobnie jak nie pozwalała sobie na wspomnianie zabitych na Tatooine. Przycisnął dłoń do oczu, jakby chciał zetrzeć z nich to, co widziały.

- Obiecałeś, panie, że nie będziemy więcej o tym rozmawiali.

- I nie będziemy. Podobnie jak nie musimy rozmawiać o tym, co się tu dzisiaj wydarzyło. - Wydawało się, że to cień przemawia łagodnymi słowami. - Zawsze dotrzymałem twoich tajemnic, nieprawdaż?

- Tak... tak, oczywiście, kanclerzu, ale... - Anakin pragnął odpełznąć gdzieś do kąta i zaszyć się tam choćby na godzinę; był niemal pewny, że gdyby na godzinę albo minutę zatrzymał bieg wydarzeń, zdołałby jeszcze zebrać się w sobie i znalazł sposób, by iść dalej, naprzód. Bo przecież musiał iść naprzód. Tylko tyle mógł zrobić.

Zwłaszcza że nie był w stanie oglądać się za siebie.

Ekran-iluminator za fotelem generała raz po raz rozbłyskał jonowymi spiralami nadlatujących pocisków. Wstrząsy targające okrętem zlewały się już w jedno potężne drżenie, przybierające na sile z każdą kolejną eksplozją.

- Anakinie, proszę... moje więzy - odezwał się cień. - Obawiam się, że statek się rozlatuje. Chyba nie powinno nas tu być, gdy rozpadnie się do reszty.

W polu Mocy sygnatury zamków magnetycznych, które blokowały klamry na rękach i nogach kanclerza, były tak jasne i oczywiste jak hasło: „Otwórz mnie tak a tak”; wystarczyło muśnięcie umysłem Anakina, by je odbezpieczyć. Cień zyskał nagle głowę, potem ramiona i wreszcie podzielił się na dwie części: masywny fotel generalski oraz znajomą postać Wielkiego Kanclerza Republiki.

Palpatine ruszył zaskakująco zważym krokiem w stronę schodów, lawirując między szczątkami mebli.

- Chodźmy, Anakinie. Mamy niewiele czasu.

W iluminatorze pojawił się biały potężny rozbłysk, gdy w okręt uderzyła kolejna seria pocisków. Jeden z nich musiał uszkodzić generatory sztucznej grawitacji: pokład przechylił się nagle, Palpatine musiał chwycić się kurczowo balustrady, Anakin zaś zjechał w dół po podłodze, która znienacka stała się gładkim stokiem o nachyleniu czterdziestu pięciu stopni.

Wylądował z hukiem w stercie gruzu - resztkach ścianki z permabetonu zmieszanego ze specjalną pianką zmniejszającą masę budulca.

- Obi-Wan!

Anakin zerwał się na równe nogi i w pośpiechu odgarnął szczątki, pod którymi leżał jego towarzysz. Obi-Wan wciąż był nieprzytomny; miał zamknięte oczy i plamę krzepnącej krwi na włosach w miejscu, w którym uderzenie rozplątało mu skórę głowy.

Wyglądał fatalnie, ale Anakin widział zwłoki zbyt wielu przyjaciół na zbyt wielu polach bitew, by wpadać w panikę na widok odrobiny krwi. Dotknięcie szyi Obi-Wana upewniło go, że puls jest mocny; w tej samej sekundzie poprzez Moc stwierdził, że ranny oddycha regularnie i nie ma połamanych kości. Wstrząs pozbawił go jedynie przytomności, innych obrażeń nie było.

Najwyraźniej głowa Obi-Wana była twardsza od permabetonowej ścianki.

- Zostaw go, Anakinie. Nie ma czasu. - Palpatine wisiał u balustrady, obydwojoma ramionami obejmując jeden ze słupków. - Możliwe, że cała ta wieża oderwie się zaraz od kadłuba...

- Wtedy razem poszybujemy w kosmos. - Anakin zerknął na Wielkiego Kanclerza i przez krótką chwilę miał wrażenie, że nie lubi go ani trochę. Zaraz jednak przypomniał sobie, że choć Palpatine jest dzielny człowiekiem, to jego odwaga ma głównie polityczny charakter. Kanclerz nie był żołnierzem, nie miał zatem pojęcia, o co prosi młodego Jedi.

- Jego los - dodał Anakin na wypadek, gdyby nie został do końca zrozumiany - będzie taki sam jak nasz.

Patrząc na nieprzytomnego Obi-Wana i Palpatine'a bezradnie uwieszzonego poręczy, czuł odpowiedzialność za życie dwóch najbliższych przyjaciół i, o dziwo, świadomość tego faktu pozwoliła mu odzyskać wewnętrzną równowagę. Pod naciskiem okoliczności, w kryzysowej sytuacji, gdy nie miał kogo wezwać na pomoc, znowu mógł się skoncentrować. I musiał to zrobić.

Po to przecież się urodził: żeby ratować ludzi.

Moc podała mu miecz Obi-Wana; przypiął go czym prędzej do pasa nieprzytomnego przyjaciela i zarzucił bezwładne ciało na ramię. Po chwili, znowu dzięki Mocy, biegł już bez wysiłku po pochyłym pokładzie, by zatrzymać się u boku Palpatine'a.

- Imponujące - ocenił kanclerz, lecz zaraz spojrział znacząco na schody, z których przesunięcie wektora grawitacji uczyniło pionowe urwisko. - Ale co dalej?

Zanim Anakin zdążył odpowiedzieć, pole grawitacyjne znowu uległo zmianie. Trzymając się kurczowo balustrady, mogli jedynie patrzeć, jak sala obraca się wokół



nich, jakby zawieszona na gigantycznym wahadle. Wszystkie połamane krzesła, szczątki stołu, gruz zsunęły się w przeciwległy kąt generalskiej kwatery i nagle schody, które jeszcze przed chwilą były niezdołym urwiskiem, zmieniły się w pasmo karbowanej podłogi.

- Ludzie mówią - rzekł Anakin, ruchem głowy wskazując na drzwi prowadzące do holu i kabiny turbowindy - że kiedy Moc zamyka włącz, zaraz otwiera iluminator... Za panem, kanclerzu.

## ROZDZIAŁ

# 5

### GRIEVOUS

ARC-179 z Eskadry Siódmej dołączyły do V-wingów z Eskadry Czwartej, atakujących niedobitki sępów broniących olbrzymiego okrętu flagowego Gildii Kupieckiej, zwanego „Niewidzialną Ręką”. Piloci-klony niszczyli androida za androidem z właściwą sobie, niemal mechaniczną precyzją. Gdy ostatni sęp zmienił się w szybko rosnącą kulę przegrzanego gazu, oddalili się czym prędzej, pozostawiając „Niewidzialną Rękę” pod ostrzałem dział i pocisków okrętów Piątej Grupy Uderzeniowej, należącej do Floty Terytorialnej: „Prawości”, „Wytrwałości” i „Niezlomnego”, czyli trzech lekkich krążowników klasy Carrack, wspierających „Mas Ramdar” - jednostkę klasy Dreadnaught.

Okręty Piątej Grupy Uderzeniowej ustawiły się w formacji trójkąta wokół „Mas Ramdar”, nie ustępując z wysokiej orbity Coruscant, by utrzymać nieprzyjacielski krążownik w studni grawitacyjnej planety. Turbolasery wciąż testowały wytrzymałość słabnących tarcz „Niewidzialnej Ręki”, ale flagowa jednostka Konfederacji była naprawdę dobra. Pod jej ostrzałem „Mas Ramdar” zmienił się w prawie nieruchomy cel, „Niezlomny” zaś był już tylko pustą skorupą, z której ewakuowały się niedobitki załogi. Na mostku lekkiego krążownika pozostał wyłącznie dowódca z małą częścią obsady; niepewny lot okrętu służył już tylko zablokowaniu „Niewidzialnej Ręki”, gdyby separatyści usiłowali oddalić się od planety i skoczyć w nadprzestrzeń.

Gdy osłony energetyczne wreszcie padły, „Niewidzialna Ręka” zaczęła obracać się jak pocisk wypuszczony z gwintowanej lufy staromodnego miotacza. Zostawiała za sobą spiralne smugi krystalizującego się gazu, który umykał przez liczne dziury w poszyciu. Obroty były coraz szybsze i uniemożliwiały artylerzystom z republikańskich jednostek precyzyjne celowanie. Turbolasery nie miały wystarczającej mocy, by przebić gruby pancerz okrętu separatystów jednym strzałem, jego ruch wirowy zaś sprawiał, że ogień ciągle nie mógł skoncentrować się w jednym punkcie. Punkty trafień wskazywane przez przyrządy celownicze wyglądały jak pierścienie otaczające konający okręt, jak ogniste garoty zaciskające się na szyi ofiary.

Gnębieni rosnącym żarem Neimoidianie na mostku „Niewidzialnej Ręki” wciąż siedzieli przy stanowiskach bojowych, przypięci pasami na wypadek zderzenia. Powie-

trze cuchnęło przypalonym metalem i mieszaniną gadzich hormonów stresu. Gwałtowne i przypadkowe zmiany sztucznego pola grawitacyjnego groziły wzbogaceniem buketu woni: skóra niektórych oficerów pod wpływem nudności zmieniła kolor ze zdrowego, szarozielonego na niepokojąco różowy.

Jedyny członek załogi, który nie korzystał z dobrodziejstwa pasów ochronnych, przechadzał się z kąta w kąt, okryty długą peleryną, pod którą zaznaczały się barki kanciaste jak nagie kości. Nie robiły na nim wrażenia ani wstrząsy eksplozji, ani nieprzewidywalne zmiany wektora pola grawitacyjnego. Jego stopy dudniły metalicznie o pokład -zaopatrzone w potężne szpony z namagnesowanego duranium, zdolne były do chwytania i miażdżenia jak stopy krwiożerczych orłów z Vratiksa.

Nie dawało się odczytać wyrazu jego twarzy - wyblakłej ceramicznej maski z duraplastu, stylizowanej na czaszkę humanoida - ale czysty jad, którym ział głos płynący z elektrosonicznego wokabulatora, z powodzeniem zastępował mimikę.

- Albo skalibruj wreszcie te generatory grawitacji, albo je wyłącz -warknął w kierunku błękitnawego hologramu, który przedstawiał skulonego ze strachu, neimoidiańskiego oficera-mechanika. - Jeżeli tego nie zrobisz, nie dożyjesz chwili, w której żołnierze Republiki przyjdą tu, żeby cię zabić.

- Ależ... ależ panie... to zadanie wyłącznie dla androidów naprawczych i...

- Których nie zamierzam zastraszać, gdyż są tylko androidami. I dlatego grozę tobie. Zrozumiałeś?

Odwrocił się plecami do projektora, zanim jękający się oficer zdążył wymyślić odpowiedź. Ręka, którą wyciągnął w kierunku czołowego ekranu-iluminatora, była zakończona wielostawową rękawicą z duraplastu, połączoną na stałe z kośćmi wykonanymi ze stopu zwanego duranium.

- Skoncentrować ogień na „Niezlomnym” - rozkazał, zwracając się do starszego oficera-artyleryzisty. - Pełna moc wszystkich baterii. Strzelać aż do skutku. Wymieść stąd ten wrak; potem przelecimy przez szczątki i skoczmy w nadprzestrzeń.

- Ale... działa z czołowych wież już są przegrzane, panie. - Oficer przemawiał drżącym głosem, na granicy paniki. - Za niespełną minutę osiągną punkt krytyczny i...

- Niech się wypala.

- Ależ panie, kiedy je stracimy...

Dalszy sprzeciw starszego oficera-artyleryzisty zagłuszyło mokre chrupnięcie, które wydała jego twarz w zderzeniu z duraplastową pięścią. Sekundę później ta sama pięść otworzyła się, chwyciła kołnierz oficerskiego munduru i uniosła zwłoki z fotela, wraz z nimi wyrwijając sieć pasów bezpieczeństwa.

Twarz-czaszka bez wyrazu zwróciła się w stronę młodszego artylerzysty.

- Gratuluję awansu. Na stanowisko.

- T... t... tak jest, panie. - Ręce świeżo upieczonego starszego oficera-artyleryzisty trzęsły się tak gwałtownie, że odpinanie pasów przychodziło mu z największym trudem. Jego twarz przybrała niezdrowy, wręcz śmiertelnie różowy kolor.

- Zrozumiałeś rozkazy?

- T... t... t...

- Masz jakieś zastrzeżenia?

- N... n... n...

- To świetnie - rzekł generał Grievous z niezmaconym spokojem. - Wykonać.

Oto generał Grievous:

Durastał. Duranium kryte duraplastem. Serwomotory i kryształowe obwody. A w środku resztki żywego stworzenia. Nie oddycha. Nie je. Nie umie się śmiać i nie płacze.

W poprzednim życiu był organiczną, świadomą istotą. W poprzednim życiu miał przyjaciół, rodzinę i stanowisko. W poprzednim jego życiu istniały rzeczy, które kochał, i rzeczy, których się bał. Teraz nie ma ani jednych, ani drugich.

Ma natomiast cel.

Wbudowany.

Skonstruowano go, by zastraszał. Podobieństwo do ludzkiego szkieletu, z kończynami wzorowanymi na członkach androidów z czasów legendarnej wojny Krathów, jest najzupełniej nieprzypadkowe. Twarz i ciało generała to zniszczenie najstraszniejszych koszmarów z dzieciństwa.

Skonstruowano go, by dominował. Ceramiczne płyty duraplastu, chroniące jego kończyny, tors i twarz, mogą zatrzymać nawet strzał z laserowego działka myśliwca. Niezniszczalne ramiona są dziesięciokrotnie silniejsze od ludzkich i poruszają się z oszałamiającą szybkością, największą, na jaką pozwala przepustowość elektronicznych obwodów.

Skonstruowano go, by wykorzeniał. Te ramiona i dłonie, tak podobne do ludzkich, nie bez powodu mają właśnie takie kształty i rozmiary: muszą pasować do miecza świetlnego.

Cztery rękojeści wiszą pod płaszczem generała.

Ani jednej nie zbudował samodzielnie. Ani jednej nie kupił i nie znalazł przypadkiem. Każdą z nich odebrał rycerzowi Jedi, którego zabił.

Własnoręcznie.

Ma imponującą kolekcję takich trofeów. Te cztery, które nosi przy sobie, to jego ulubione. Pierwszy miecz należał do niezwyciężonego K'Kruha, którego pokonał na Hypori. Drugi był własnością Jmmara, Jedi z Viraanntesse, który poległ na Vandos. Dwa pozostałe były dziełem Purotha i Nystammalla, których Grievous zabił w tym samym czasie, na porośniętych ogniotrawą równinach Tovarskl, w taki sposób, by każdy z nich wiedział o śmierci drugiego... i rozumiał, że sam nie przeżyje. Wszystkie te morderstwa generał wspomina z wielką satysfakcją, a muskanie wojennych pamiątek dłońmi z duraplastu i durastali przynosi mu coś na kształt radości.

Ale tylko na kształt.

Bo Grievous pamięta radość. Pamięta też gniew i frustrację. Pamięta smutek i rozpacz.

Pamięta, ale nie czuje. Już nie.

Nie po to go skonstruowano.

Białe iskry migotały tu i ówdzie w kłębach dymu, który wypełniał korytarz prowadzący do windy. Nieprzytomny mistrz Jedi, którego Anakin niósł na ramieniu, zajączkał cicho. Palpatine kaszlał ciężko, zasłaniając usta rękawem szaty i starając się w

miarę możliwości nie wdychać żrących oparów z palących się, przeciążonych obwodów.

- Artoo? - Anakin energicznie potrząsnął komunikatorem.

Aparat milczał jednak uparcie, odkąd Obi-Wan nadepnął nań niechcący podczas jednej z walk w turbowindzie.

- Artoo, słyszysz mnie? Włącz... - Dym był już tak gęsty, że z trudem można było odczytać numery na tabliczce kodowej - ...windę trzy-dwa-dwa-cztery. Trzy-dwa-dwa-cztery, zrozumiałeś?

Z komunikatora dobiegło cichutkie gwizdnięcie, które mogło być dalekim echem potwierdzenia robota. Po chwili drzwi się rozsunęły, lecz zanim Anakin zdążył wnieść Obi-Wana do kabiny, ta wystrzeliła w górę z ogromną prędkością, a wektor pola grawitacyjnego ponownie się przesunął, rzucając go wraz z nieprzytomnym partnerem i Palpatine'em w przeciwny kąt holu.

Kaszłąc głośno, wyraźnie osłabiony kanclerz na próżno usiłował podnieść się z pokładu. Anakin pomógł sobie Mocą, zarzucając Obi-Wana na ramię, zanim sam wstał.

- Może powinieneś chodzić na czworaka, panie - zasugerował. - Zmiany przyciągania są coraz gwałtowniejsze.

Palpatine skinął głową.

- Ale, Anakinie...

Skywalker uniósł głowę i spojrzał na wciąż otwarte drzwi do szybu turbowindy.

- Proszę tu zaczekać, panie.

Otworzył się bardziej na Moc i zobaczył siebie wraz z Obi-Wanem w górze, na progu otwartych drzwi do windy. Skoczył, trzymając się tej wizji, a Moc zamieniła ją w rzeczywistość. Anakin i jego nieprzytomny mistrz znaleźli się na krawędzi sztolni.

Ostatnia zmiana wektora grawitacji uczyniła z pionowego szybu niemal poziomy korytarz. Nieoświetlony tunel z durastali był prosty jak laserowy promień, a jego kraniec tonął w ciemności. Anakin dobrze znał konstrukcję krążowników Gildii Kupieckiej. Pochyliła wieża, w której się znajdowali, miała dobrych trzysta metrów wysokości. Mogli więc pokonać szyb windy pieszo w ciągu dwóch, może trzech minut. Gdyby jednak kolejna zmiana sztucznej grawitacji zastała ich w połowie drogi...

Anakin pokręcił głową, kalkulując szanse.

- Będziemy musieli się spieszyć.

Zerknął za siebie, w dół korytarza, na Palpatine'a wciąż siedzącego w kącie.

- Wszystko w porządku, kanclerzu? Będziesz mógł biec?

Wielki Kanclerz Republiki wreszcie się pozbierał. Wstał i wygładził długą szatę, daremnie usiłując strzepnąć z niej kurz.

- Ostatni raz biegałem jako mały chłopiec, na Naboo.

- Nigdy nie jest za późno na powrót do formy. - Anakin sięgnął po Palpatine'a Mocą, by wesprzeć go we wspinaczce ku otwartym drzwiom turbowindy. - Na pokładzie startowym widzieliśmy lekkie promy. Możemy tam dotrzeć w pięć minut.

Wreszcie kanclerz znalazł się w szybie-korytarzu.

- Za mną - powiedział Skywalker i już miał ruszyć przed siebie, gdy Palpatine położył rękę na jego ramieniu.

- Zaczekaj, Anakinie. Musimy udać się na mostek.

Przez statek pełen robotów bojowych? Niby jak? - pomyślał Anakin.

- Hangar jest tam, w dole... To znaczy, przed nami i trochę w bok. Dotrzeć tam to jedyna szansa na ratunek.

- Ale na mostku... Na mostku jest Grievous.

Teraz Anakin stanął jak wryty. Grievous. Najskuteczniejszy zabójca Jedi od czasów Durge'a. W całym zamieszaniu Skywalker zupełnie zapomniał o obecności generała - biodroida na pokładzie flagowego okrętu.

- Pokonałeś Dooku - dodał Palpatine. - Schwytaj Grievousa, a zadasz separatystom cios, po którym być może już się nie podniosą.

Mógłbym to zrobić, pomyślał Anakin.

Wyobrażał sobie tę chwilę - schwytywanie Grievousa - od czasu wydarzeń na Muunilinst. A teraz generał był tak blisko... Tak blisko, że Anakin, który tego dnia czuł w sobie wyjątkową siłę, nieomal wyczuwał jego zapach. Moc towarzyszyła Skywalkerowi jak nigdy dotąd i to w zupełnie nowy, niezwykły sposób.

- Pomyśl tylko, Anakinie - drażył Palpatine. Stał obok młodego Jedi, naprzeciwko Obi-Wana, tak blisko, że mógł mówić szeptem. - Zniszczyłeś politycznego przywódcę Konfederacji. Usuń i wojskowego, a wojna będzie praktycznie wygrana. Ty ją wygrasz, Anakinie. Własnoręcznie. Któż inny mógłby tego dokonać? Yoda? Mace Windu? Nie umieli nawet schwytać Dooku. Kto miałby szanse w walce z Grievousem, jeśli nie Anakin Skywalker? Jedi jeszcze nigdy nie stanęli w obliczu kryzysu takiego jak Wojny Klonów, ale też nigdy nie mieli w swoich szeregach takiego bohatera jak ty. Możesz ich ocalić. Możesz ocalić wszystkich.

Anakin drgnął nagle i spojrzał ostro w oczy Palpatine'a. Było coś w jego słowach, w jego głosie...

To był głos z jego snów.

- Nie brzmi to... - Anakin spróbował się zaśmiać, ale wyszło to dość niepewnie. - Nie brzmi to jak lekcje, których udziela mi Obi-Wan.

- Zapomnij o Obi-Wanie - poradził Palpatine. - On nie ma pojęcia, jak bardzo jesteś potężny. Użyj swojej siły, Anakinie. Uratuj Republikę.

Anakin widział już całą scenę oczami wyobraźni, wyraźnie jak na holonetowym przekazie: oto przybywa do senatu z Grievousem skutym elektrokajdankami i staje skromnie u boku Palpatine'a, który obwieszcza koniec wojny. Potem powraca do Świątyni, do Sali Rady, gdzie wreszcie, po tylu latach, czeka na niego wolny fotel.

Gdyby wygrał dla nich tę wojnę, nie mogliby odmówić mu rangi mistrza...

W tym momencie Obi-Wan poruszył się lekko na ramieniu Anakina i jęknął z cicha. Młody Jedi wrócił do rzeczywistości.

- Nie - powiedział. - Przykro mi, kanclerzu, ale moje rozkazy są jasne: to misja ratunkowa i pańskie bezpieczeństwo jest absolutnym priorytetem.

- Nigdy nie będę bezpieczny, póki Grievous żyje - odparował Palpatine. - Mistrz Kenobi ocknie się lada chwila. Zostaw go tu ze mną, sam odprowadzi mnie na pokład startowy. A ty idź po generała.

- Ja... bardzo bym chciał, panie, ale...

- Mogę wydać ci rozkaz, Anakinie.  
 - Z całym szacunkiem, kanclerzu, ale nie. Nie może pan. Rozkazy wydaje mi Rada Jedi, a sama jest posłuszna senatowi. Nie ma pan nade mną bezpośredniej zwierzchności.

Twarz kanclerza pociemniała.

- To się może zmienić.

Anakin skinął głową.

- Może nawet powinno. A tymczasem będziemy działać po mojemu. Chodźmy.

- Panie? - Cienki głosik oficera łącznościowego przerwał spacer Grievousa. - Wywołuje nas „Prawość”. Proponują wstrzymanie ognia.

Ciemnożółte oczy spojrzwały ukosem spod maski-czaszki na ekrany taktyczne. Przerwa w walce pozwoliłaby na schłodzenie baterii turbolaserowych „Niewidzialnej Ręki”. Przy okazji mechanicy mieliby czas na naprawę generatorów sztucznej grawitacji.

- Potwierdzić odbiór transmisji i przygotować się do wstrzymania ognia.

- Gotowi, panie. - Starszy oficer-artyleryzista wciąż trząsł się ze strachu.

- Wstrzymać ogień.

Lance czystej energii, które łączyły „Niewidzialną Rękę” z jednostkami Zespołu Uderzeniowego Floty Terytorialnej, znikły bez śladu.

- Ponowne wywołanie, sir. To dowódca „Prawości”. Grievous skinął głową.

- Łącz.

Nad holoprojektorem sprzężonym z systemem łączności bliskiego zasięgu pojawił się podobny do zjawy, trójwymiarowy obraz młodego mężczyzny przeciętnego wzrostu i przeciętnej budowy, ubranego w mundur z dystynkcjami komandora podporucznika. Jedyne charakterystyczne cechą jego mało charakterystycznej osoby była spokojna pewność siebie, która widniała w oczach.

- Generale Grievous - zaczął służyć młody oficer - mówi komandor podporucznik Lorth Needa z pokładu okrętu Republiki „Prawość”. Na moją prośbę nasze dowództwo zgodziło się, bym zaproponował panu poddanie „Niewidzialnej Ręki”.

- Poddanie? - Wokabulator Grievousa wyprodukował całkiem wiarygodną kopię pogardliwego prychnięcia. - Bzdura.

- Proszę starannie rozważyć tę ofertę, generale, ponieważ nie zostanie ona powtórzona. Proszę pomyśleć o życiu załogi.

Grievous potoczył lodowatym spojrzeniem po mostku krążownika, pełnym tchórzliwych Neimoidian.

- Niby dlaczego miałbym to zrobić?

Młody oficer nie wyglądał na zaskoczonego; na jego twarzy pojawił się jedynie wyraz lekkiego smutku.

- Czy to pańskie ostatnie słowo?

- Ależ skąd. - Grievous wyprostował liczne stawy swojego mechanicznego ciała, dodając tym sposobem dobre pół metra do i tak imponującego wzrostu. - Mam dla was kontrofertę. Wstrzymacie ogień na dłużej, usuniecie z mojej drogi wrak „Niezłomnego”

i wycofacie się na odległość co najmniej pięćdziesięciu kilometrów, aby mój okręt mógł bezpiecznie skoczyć w nadprzestrzeń.

- Pozwolę sobie zacytować pańską odpowiedź: bzdura.

- Niech pan przekazuje swoim zwierzchnikom, że jeśli moje żądania nie zostaną spełnione w ciągu dziesięciu minut, osobiście wypatroszę Wielkiego Kanclerza Palpatine'a i wszyscy zobaczą to na żywo, na projektorach HoloNetu. Rozumiemy się?

- Ach, tak. - Komandor podporucznik Needa przyjął oświadczenie Grievousa bez mrugnienia okiem. - Rozumiem więc, że kanclerz przebywa na pokładzie pańskiego okrętu.

- Tak jest. Wasi żałośni tak zwani bohaterowie, Jedi, zawiedli. Nie żyją, Palpatine zaś jest w moich rękach.

- Ach, tak - powtórzył młody oficer. - Zatem bez wątpienia pozwoli pan, żebym zamienił z nim słowo. Oczywiście tylko po to, żeby przekonać moich zwierzchników, iż pan, mówiąc eufemistycznie, nie blefuje.

- Nie zniżyłbym się do okłamywania takich jak wy. - Grievous odwrócił się w stronę oficera łącznościowego. - Z hrabią Dooku.

Oficer dotknął ekranu i pokręcił głową.

- Hrabia nie odpowiada, panie.

Grievous z niesmakiem machnął ręką.

- Więc po prostu pokaż im kanclerza. Daj obraz z mojej kwatery na ekran systemu bezpieczeństwa.

Tym razem ekranu dotknął oficer odpowiedzialny za bezpieczeństwo na pokładzie flagowego okrętu floty Konfederacji. Zaraz potem wydał z siebie zduszone chrząknięcie.

- Eee... panie generale?

- Na co czekasz? Wyświetlaj!

Oficer bezpieczeństwa był już równie różowy, jak aryleryzista.

- Może najpierw spojrz pan tutaj, panie?

Natarczywość jego tonu przekonała Grievousa, że powinien podejść bliżej. Zrobił to bez słowa i pochylił się nad ekranem. Zobaczył swoją kwaterę, a w niej szczątki sprzętów ze śladami energetycznych ostrzy, rozrzucone wokół pustego fotela.

I coś jeszcze. Jakby nieruchome ciało...

W durasplotowej pelerynie.

Grievous odwrócił się gwałtownie w stronę holokomu.

- Kanclerz jest... niedysponowany.

- Ach, tak. Rozumiem.

Grievous podejrzewał, że młody oficer rozumie aż za dobrze.

- Zapewniam pana, że...

- Niepotrzebne mi pańskie zapewnienia, generale. Ma pan dokładnie tyle czasu, ile oferował nam pan przed chwilą. Za dziesięć minut albo podda pan okręt, albo potwierdzi, że Wielki Kanclerz Palpatine żyje i znajduje się na pokładzie, albo też... „Niewidzialna Ręka” zostanie zniszczona.

- Czekaj... nie możecie tak po prostu...

- Dziesięć minut, generale. Needa bez odbioru.

Gdy Grievous raz jeszcze zwrócił się ku oficerowi bezpieczeństwa, jego maska była jak zawsze pozbawiona wszelkiego wyrazu, za to z powodzeniem nadrabiał brak mimiki głosem, w którym wyraźnie słychać było mordercze zamiary.

- Dooku nie żyje, a dwaj Jedi są na wolności i mają kanclerza. Znaleźć ich i sprowadzić do mnie.

Duraplastowe palce zwinęły się w pięść, która spadła na konsolę systemu bezpieczeństwa z taką siłą, że całe urządzenie zmieniło się w dymiącą i sypiącą iskrami stertę złomu.

- Znaleźć ich!

## ROZDZIAŁ

# 6

### RATUNEK

Anakin liczył kroki, biegnąc szybem turbowindy z Obi-Wanem na ramieniu i Palpatine'em u boku. Doliczył do stu dwóch - co stanowiło ledwie jedną trzecią długości wieży okrętu - gdy wektor pola grawitacyjnego znowu zaczął się zmieniać.

Trudno było o gorszą zmianę: prawie poziomy korytarz szybko przeistaczał się w prawie pionową sztolnię.

Anakin wyciągnął rękę, by zatrzymać biegnącego kanclerza.

- Mamy problem. Niech pan się czegoś chwyci, a ja spróbuję nas jakoś stąd wyciągnąć.

Jedne z drzwi wiodących z szybu na korytarz znajdowały się całkiem blisko; wydawało się tylko, że kładą się na bok. Miecz świetlny sam wskoczył do ręki Anakina i już po chwili błękitne ostrze wbiło się w klapę panelu kontrolnego. Zanim jednak Skywalker zdążył rozgarnąć iskrzące przewody, wektor przyciągania zmienił szyb windy w pionową studnię. Anakin zaczął spadać, ślizgając się jeszcze po ścianie. Wolną ręką szukał oparcia i znalazł je w pętli grubej liny, na której zawisł.

W tym momencie otworzyły się drzwi.

Kusząco. Bezpiecznie. I denerwująco, bo poza zasięgiem: dobry metr ponad wyciągniętym ramieniem młodego Jedi.

Drugiej ręki nie mógł użyć, bo tylko jej uścisk ratował nieprzytomnego Obi-Wana przed upadkiem w dwustumetrową przepaść, w której objając się o ściany, grzechotała właśnie niknąca w mroku rękojeść miecza. Przez pół sekundy Anakin cieszył się w duchu, że Kenobi jest nieprzytomny, bo zdecydowanie nie był w nastroju do słuchania kolejnego wykładu o tym, jak należy pilnować broni. Myśl ta opuściła go jednak prawie od razu, bowiem nagle coś chwyciło go za nogę.

Spojrzał w dół.

Palpatine.

Kanclerz obejmował jego kostkę z niewiarygodną siłą z lękiem zerkając w ciemność rozciągającą się poniżej.

- Zrób coś, Anakinie! Musisz coś zrobić!

Czekam na sugestie, pomyślał Skywalker, ale głośno powiedział coś innego:  
 - Bez paniki. Wytrzymaj, panie.  
 - Chyba... nie dam rady... - Kanclerz zadarł głowę i spojrzał na niego błagalnie. - Anakinie, ja spadam. Podaj mi rękę... musisz podać mi rękę!  
 I upuścić Obi-Wana? Nie w tym milenium, pomyślał Jedi.  
 - Bez paniki - powtórzył. Palpatine najwyraźniej stracił głowę. - Wyciągnę nas z tego.

Żałował, że wcale nie może być tego taki pewny. Liczył w duchu na to, że wektor grawitacji będzie się przemieszczał, znowu zmieniając sztolnię w korytarz, ale wszystko wskazywało, że zatrzymał się na dobre.

Doprawdy, trudno było o gorszy moment na przywrócenie prawidłowej pracy generatorów przyciągania.

Anakin oszacował odległość dzielącą go od najbliższych otwartych drzwi. Niewykluczone że przy wsparciu Mocy zdołałby tam jakoś dotrzeć z dwoma dodatkowymi ciężarami...

Ale było to wyjątkowo wielkie „niewykluczone”.

Obi-Wanie, stary druhu, pomyślał Skywalker, to naprawdę najodpowiedniejszy moment na pobudkę.

Obi-Wan Kenobi otworzył oczy i z niejakim zdziwieniem stwierdził, że patrzy na coś, co bardzo przypomina okryte spodniami pośladki Anakina.

Skojarzenie wydało mu się właściwe, choć nigdy dotąd nie miał okazji przyglądać się tej części ciała Skywalkera, wisząc głową w dół, jak teraz, a tym bardziej z tak wielkiej odległości.

Za nic też nie mógł sobie przypomnieć, w jaki sposób znalazł się w tak niedorzecznym położeniu.

- Hm... czyżby coś mi umknęło? - spytał.

- Trzymaj się - padła odpowiedź. - Mamy tu taką sobie sytuację... Więc jednak były to pośladki Anakina. Obi-Wan pomyślał, że to w pewnym sensie pocieszające. Spojrzawszy w górę, zobaczył także nogi Anakina oraz jego buty, a zaraz potem cokolwiek zaskakujący widok: zbliżenie twarzy Wielkiego Kanclerza Palpatine'a, który najwyraźniej balansował w pionie, wisząc jedynie na zbiegających z wysiłku dłoniach, zaciśniętych wokół kostki Anakina.

- O, witaj, kanclerzu - powiedział uprzejmie. - Wszystko w porządku?

Palpatine lekliwie obejrzał się przez ramię.

- Mam nadzieję...

Obi-Wan podążył za jego spojrzeniem i zobaczył ponad kanclerzem długi, bardzo długi, pionowy szyb.

W tym samym momencie uświadomił sobie, że wcale nie patrzy w górę.

I zapewne właśnie to miał na myśli Anakin, mówiąc o „takiej sobie sytuacji”.

- Aha - mruknął. Zaczynał pomału rozumieć, na czym stoi. To znaczy: leży. Albo wisi. Wszystko jedno.

- Co z hrabią Dooku?

- Nie żyje - odparł Anakin.  
 - Szkoda - westchnął Kenobi. - Żywy mógłby się nam bardzo przydać.  
 - Obi-Wanie...  
 - No, może nie w tej konkretnej sytuacji, ale jednak...  
 - Czy możemy porozmawiać o tym później? Statek się rozpada.  
 - A, tak. - Z głośnika komunikatora dobiegł znajomy, elektrosoniczny gwizd. - Czy to Artoo? Czego chce?

- Kazałem mu uruchomić windę - odrzekł Anakin.

Gdzieś daleko w górze rozległo się metaliczne stuknięcie, potem szmer i znowu łomotanie. Seria dźwięków obudziła we wciąż jeszcze mało przytomnym umyśle Obi-Wana skojarzenie z odgłosem odblokowywania hamulców turbowindy. Trafność tego spostrzeżenia potwierdził zaraz nagły podmuch wiatru, który przyniósł mocną woń płonącego oleju. Kabina turbowindy pędziła w dół jak meteor.

- O - powiedział Obi-Wan.

- Wtedy zdawało mi się, że to dobry pomysł.

- Nie musisz aż tak się tłumaczyć...

- Artoo! - krzyknął Anakin. - Wyłącz ją!

- Nie ma na to czasu - stwierdził Obi-Wan. - Skaczemy.

- Skaczemy? - powtórzył Palpatine i zaśmiał się nerwowo. - Chciałeś powiedzieć: spadamy?

- No cóż... właściwie tak. Anakin?

Anakin puścił linę.

Spadali.

I spadali, i spadali. Obraz ścian szybu rozmywał się przed ich oczami.

Spadali jeszcze długo, zanim poczuli zmianę wektora grawitacji. Sztolnia przechyliła się o kilka stopni i nagle wszyscy trzej znaleźli się na jednej ze ścian. Zsuwali się po niej w tempie szybszym niż bieg, póki Anakin nie uruchomił komunikatora i nie wrzasnął:

- Artoo, otwórz drzwi! Wszystkie! Na wszystkich poziomach!

Jedne z drzwi rozsunęły się dokładnie w chwili, gdy na nie najechali. Runęli we trzech w czeluść bocznego korytarza, a rozpędzona kabina turbowindy przemknęła tuż nad ich głowami i zniknęła w głębi szybu. Minęła długa chwila, zanim zdołali rozprostować splecione kończyny.

- Czy wszystkie... wasze... akcje ratunkowe... - wysapał Palpatine -

... są tak... zajmujące?

Obi-Wan zmarszczył brwi i spojrzał pytająco na Anakina, który wzruszył ramionami.

- Jak się nad tym głębiej zastanowić... - odparł wreszcie Kenobi -

...to tak.

Anakin wpatrywał się w sterty złomu zaśmiecające pokład startowy, próbując znaleźć coś, co by choć w przybliżeniu przypominało statek nadający się do lotu. Wszystko wskazywało na to, że okręt został trafiony prosto w hangar: potężny wichur wiał przez

właz, przy którym stali z Obi-Wanem i Palpatine'em, pomniejsze zaś strzępy metalu wirowały w rzednym powietrzu nad lądowiskiem, zmierzając ku dziurom w osmalonych, wygiętych wrotach i dalej, ku otwartej przestrzeni.

- Nigdzie nie dolecimy żadnym z tych statków! - zawołał kanclerz, przekrzykując wycie wiatru. Anakin musiał przyznać mu rację. - Co teraz zrobimy?

Anakin pokręcił głową. Nie miał pojęcia, a Moc jakoś nie chciała podszeptać mu zbawiennego planu.

- Obi-Wanie?

- Skąd mam wiedzieć? - odkrzyknął Obi-Wan, chwytając się mocniej grodzi. Wicher targał wściekle jego szatą. - To ty jesteś bohaterem, ja tylko mistrzem!

Anakin ponad ramieniem Obi-Wana zobaczył zastęp superrobotów bojowych, który właśnie wylaniał się zza zakrętu korytarza.

- Mistrzu! Za tobą!

Obi-Wan obrócił się błyskawicznie, by zatrzymać mieczem strumień blasterowych boltów.

- Oslaniaj kanclerza! - zawołał.

Miałbym zostawić ci najlepszą zabawę? To pomyślawszy, Anakin wciągnął kanclerza do hangaru i przycisnął do ściany tuż za włazem.

- Zostań tu, panie, póki nie rozprawimy się z robotami!

Lecz właśnie w chwili, gdy miał rzucić się na pomoc mistrzowi, przypomniał sobie, że upuścił miecz w szybie turbowind. Walka z superrobotami bojowymi bez broni byłaby dość trudna. Nie wspominając o tym, że wykładom Obi-Wana nie byłoby końca...

- Roboty to nie jedyny nasz problem! - Palpatine wskazał na płytę lądowiska. - Spójrz!

Masa wraków, zalegająca w przeciwległym kącie hangaru, zaczęła sunąć w kierunku ściany, pod którą stali Anakin i kanclerz. Szczątki leżące bliżej również zaczęły się poruszać. Przez środek hangaru przebiegała niewidzialna fala; poza jej linią wektor pola grawitacyjnego był odwrócony o dziewięćdziesiąt stopni.

Nożyce grawitacyjne.

Anakin zacisnął zęby. Coraz lepiej, pomyślał.

Rozwinął linkę, którą miał w zasobniku u pasa, i podał jej końcówkę Palpatine'owi. Wiatr targał nią ze świstem.

- Proszę się przewiązać w pasie. Za chwilę będzie tu bardzo wesoło!

- Co się dzieje?

- Desynchronizacja generatorów grawitacyjnych... niedługo rozerwą okręt na części! - Anakin chwycił się jednej z poręczy, zamontowanych na wypadek zaniku sztucznego przyciągania, i wychylił się przez właz wprost w burzę boltów, skutecznie odbijanych przez miecz mistrza. - Pora iść! - zawołał, dotykając ramienia Obi-Wana.

- Co?!

Wyjaśnienie stało się zbędne, gdy nożyce grawitacyjne dosięgły ściany z włazem, która w jednej chwili stała się podłogą. Skywalker chwycił Kenobiego za kołnierz, ale nie po to, by zabezpieczyć go przed upadkiem. Postępująca desynchronizacja generato-

rów pola grawitacyjnego wygięła i tak uszkodzone wrota, które teraz znajdowały się nad głowami Jedi, i potężny huragan wpełchnął Obi-Wana do hangaru. Anakin wyciągnął mistrza poza strumień uciekającego powietrza ledwie sekundę przed tym, jak we włazie pojawiły się pierwsze superroboty bojowe, niesione wichrem jak torpedy, które zgubiły cel.

Niektóre z nich były w na tyle dobrym stanie, że próbowały ostrzeliwać się w locie.

- Trzymaj mnie za pas! - krzyknął Obi-Wan i zaczął odbijać mieczem nadlatujące bolty.

Anakin nie mógł robić nic, poza opieraniem się sile uciekającego powietrza. Uścisk jego dłoni na poręczy był jedyną obroną przed huraganem, który mógł wynieść w otwartą przestrzeń nie tylko dwóch Jedi, ale i Palpatine'a.

- To nie jest najlepszy plan, jaki kiedykolwiek mieliśmy! - zawołał.

- Więc to był plan?! - W głosie Palpatine'a pobrzmiwał niesmak.

- Pójdziemy w stronę dziobu! - krzyknął Obi-Wan. - Tutaj są tylko roboty! Kiedy dotrzemy w pobliże kabin załogi, znajdziemy kapsuły ratunkowe!

Słowa „tutaj są tylko roboty” przypomniały Anakinowi o czymś.

- Zaczekaj! - zawołał. - Gdzieś tutaj jest Artoo! Nie możemy go zostawić!

- Pewnie został zniszczony albo wyleciał w przestrzeń! - Obi-Wan odbił strzały ostatnich dwóch robotów niesionych wichrem. Po chwili oba wpadły w szczelinę między wrotami i zniknęły w nieskończonej pustce. Kenobi przypiął rękojeść miecza do pasa i z trudem chwycił się poręczy, której był uczepiony Skywalker. - Nie mamy czasu na poszukiwania. Przykro mi, Anakinie. Wiem, ile on dla ciebie znaczył.

Młody Jedi z rozpaczą w oczach zbliżył do ust komunikator.

- Artoo! Artoo, odezwij się! - Potrząsnął komunikatorem raz i drugi. Artoo nie mógł zostać zniszczony. Po prostu nie mógł. - Artoo, słyszysz mnie? Gdzie jesteś?

- Anakinie... - Obi-Wan położył dłoń na jego ramieniu i pochylił się niżej, by Skywalker usłyszał ciche słowa mimo ryku uchodzącego powietrza. - Musimy iść. Bycie Jedi oznacza przyzwolenie na to, by pewne rzeczy... nawet te, które kochamy... - zniknęły z naszego życia.

Anakin znowu potrząsnął komunikatorem.

- Artoo! - Nie mógł go tak zostawić. Nie umiał. I nie miał na to stosownego wytłumaczenia.

W każdym razie nie takie, które mógłby przedstawić Obi-Wanowi.

Niewiele jest rzeczy, które posiada rycerz Jedi. Nawet miecz jest nie tyle jego własnością co wyrazem jego tożsamości. Być Jedi to wyrzec się posiadania. Anakin bardzo, bardzo długo starał się tego warunku dotrzymać.

Nawet w dniu ślubu nie miał dla swojej żony daru, który symbolizowałby przywiązanie. Nie miał absolutnie niczego.

Jednak miłość zawsze znajdzie sposób.

Anakin przywiózł do apartamentu Padme w Theed coś na kształt prezentu, choć wciąż jeszcze czuł się przy niej onieśmielony i przytłaczało go odkrywanie w niej tych

samych uczuć, które sam żywił od tak dawna. Nie bardzo wiedział, w jaki sposób podarować coś, co darem nie było... i co właściwie nawet nie należało do niego.

Skoro nie miał do zaoferowania niczego poza miłością mógł jedynie oddać wybrance przyjaciela.

- Kiedy byłem mały, nie miałem wielu przyjaciół - powiedział jej wtedy. - Więc zbudowałem sobie jednego.

W tym momencie C-3PO wkroczył do pokoju, lśnić tak, jakby jego powłokę wykonano z czystego złota.

Padme rozpromieniła się, lecz choć jej oczy błyszczały radością, próbowała protestować.

- Nie mogę go przyjąć - powiedziała. - Wiem, ile dla ciebie znaczy.

Anakin zaśmiał się tylko. Jaki pożytek z androida protokolarnego może mieć rycerz Jedi? Nawet z tak zaawansowanego modelu, jak C-3PO - Anakin upakował w swoim dziele tak wiele dodatkowych obwodów, podprogramów i algorytmów heurystycznych, że psychicznie robot prawie nie różnił się od człowieka.

- Nie daję ci go - odrzekł. - Właściwie nawet nie jest mój; gdy go zbudowałem, byłem niewolnikiem, więc wszystko, co zrobiłem, należało do Watto. Cliegg Lars kupił Threepio razem z moją matką; Owen mi go zwrócił, aleja... jestem Jedi. Wyrzekłem się własności. To chyba oznacza, że Threepio jest teraz wolny. Tak naprawdę więc proszę cię tylko, żebyś się nim zaopiekowała.

- Zaopiekowała?

- Tak. Może nawet dała mu pracę. Panikarz z niego - przyznał Anakin - i może nie powinienem był dawać mu tak silniej samoświadomości, bo za bardzo się wszystkim przejmuję, ale jest bardzo bystry i naprawdę może pomóc komuś, kto poważnie zajmuje się wielką dyplomacją. .. Na przykład senatorowi z Naboo.

Padme wyciągnęła wtedy rękę i z właściwą sobie kurtuazją poprosiła C-3PO, żeby dołączył do jej sztabu - na Naboo bowiem maszyny o wysokim stopniu świadomości szanowano na równi z żywymi istotami myślącymi. Android był tak zmieszany królewskim traktowaniem, że nie wiedział, co odpowiedzieć; po chwili z wielkim trudem wydukał, że postara się być przydatny, bo przecież „doskonale zna ponad sześć milionów form komunikacji”. Potem Padme stanęła przed Anakinem i pogładziła cudownie miękką dłonią jego twarz, lekko przyciągając go ku sobie, by ją pocałował. Tylko tego potrzebował, tylko na to miał nadzieję; oddałby wszystko, co miał, wszystko, czym był, byle tylko...

A potem, dwa lata później, nadszedł dzień, który znaczył dla niego niemal tyle samo, co dzień ślubu: dzień, w którym zwycięsko przeszedł próby.

Dzień, w którym został rycerzem Jedi.

Gdy tylko pozwoliły na to okoliczności, wymknął się ze Świątyni -nie potrzebował już zgody mistrza, nikt też nie monitorował już jego wyjść i powrotów - i natychmiast poleciał do potężnego kompleksu budynków Pięćsetki Republiki, gdzie znajdował się przestronny apartament senator Padme Amidali z Naboo.

Dopiero teraz, po dwóch latach, nareszcie miał dla niej właściwy dar.

Miał coś, co naprawdę było jego, na co ciężko zapracował i czego nie musiał się wyrzec. Jedyne dar, którym mógł uczcić tę miłość.

Kulminacyjnym punktem ceremonii nadania padawanowi tytułu rycerza Jedi jest obcięcie warkoczyka, symbolu ucznia. I właśnie swój warkocz Anakin złożył w drżącej dłoni Padme.

Długi, cienki, spleciony kosmyk jego włosów. Taki drobiazg, na pozór nic nieznaczący.

Drobiazg, który dla niego znaczył tyle, co cała galaktyka.

Padme pocałowała go wtedy i przytuliła policzek do jego policzka. A potem szepnęła, że i ona ma coś dla niego.

Z garderoby wyjechał R2-D2.

To oczywiście, że Skywalker dobrze go znał i to od lat - mały android sam był odznaczonym bohaterem wojennym, bo uratował życie Padme w czasach, gdy była jeszcze królową Naboo, nie wspominając o tym, jak pomógł dziewięcioletniemu Anakinowi zniszczyć centralę sterowania androidami Federacji Handlowej, a tym samym ostatecznie zakończyć blokadę planety. Kunszt królewskich inżynierów z Naboo sprawił, że modyfikowane przez nich jednostki R były najbardziej poszukiwanymi robotami astromechanicznymi w galaktyce. Anakin próbował protestować, lecz Padme uciszyła go, kładąc palec na jego ustach. Uśmiechnęła się łagodnie i szepnęła:

- Powiedz sam, czy polityk potrzebuje robota astromechanicznego?

- Ale ja jestem Jedi i...

- Właśnie dlatego daję ci Artoo - przerwała mu z uśmiechem. - Proszę cię, żebyś się nim zaopiekował. To nie prezent. To przyjaciel.

Wspomnienia przemknęły przez umysł Anakina w tej jednej długiej sekundzie, która minęła, zanim komunikator wreszcie zatrzeszczał i z głośnika popłynął znajomy gwizd.

- Artoo, gdzie jesteś? - spytał, czując niewypowiedzianą ulgę. - Chodź wreszcie, musimy się stąd wydostać!

Wysoko na ścianie, która niedawno była pokładem startowym, poruszyła się kłapa poobijanej durastalowej skrzyni, wypchnięta przez srebrzystoniebieską kopułę. Po chwili otworzyła się szeroko i z wnętrza pojemnika wyłonił się R2-D2. Robot wysunął silniczki raketowe i łagodnym łukiem spłynął w dół, kierując się ku dalekiemu wyjściu z hangaru.

Anakin uśmiechnął się szeroko do Obi-Wana. Pozwolić, by rzeczy, które kochamy, zniknęły z naszego życia? Chyba nie, pomyślał.

- Na co jeszcze czekamy? - spytał. - Chodźmy!

Stojącym na mostku wirującej wokół własnej osi „Niewidzialnej Ręki” zdawało się, że to wielka krzywizna horyzontu Coruscant orbituje dookoła okrętu w oszalamiającym tempie. Każdy obrót przynosił też widok kołującej leniwie w próżni wieży, którą siła odśrodkowa oderwała od kadłuba i wyrzuciła z orbity, by powoli opadła na planetarne miasto.



Generał Grievous przyglądał się temu wszystkiemu, a jego wewnętrzny zegar odliczał sekundy istnienia flagowego okrętu Konfederacji.

Nie obawiał się o własne życie - specjalnie zaprojektowany moduł ratunkowy zaprogramowano tak, by zabrał go wprost na pokład innego statku, gotowego do skoku w hiperprzestrzeń. Zaledwie kilka sekund po zamknięciu wjazdu opancerzonej kapsuły - za sobą i za kanclerzem, naturalnie - mógł pomknąć w stronę czekającej jednostki, która, po serii przypadkowych mikroskopów zapobiegających wyśledzeniu, zabrałaby go do tajnej bazy na Utapau.

Bez Palpatine'a jednak nie chciał uciekać. Operacja na Coruscant była dla Konfederacji niezwykle kosztowna - i w sprzęcie, i w ludziach. Ucieczka z pustymi rękami byłaby stratą jeszcze bardziej dotkliwą, bo nadszarpującą prestiż separatystów. Zwycięstwo w całej wojnie było więcej niż w połowie kwestią skutecznej propagandy. Słabość Republiki wynikała w znacznej mierze z nieuzasadnionego strachu jej obywateli przed, jak się wydawało, nieuniknionym triumfem sił Konfederacji, a strach ów skutecznie podsycił konfederackie służby specjalne, sabotujące rządowe akcje propagandowe organizowane w HoloNecie. Mieszkańcy Republiki wierzyli, że przegrywają - gdyby zobaczyli legendarnego generała Grievousa, który musi salwować się ucieczką z pola bitwy, zapewne odzyskaliby wiarę w zwycięstwo.

Nie można było im na to pozwolić.

Sygnal wbudowanego komunikatora odezwał się tuż obok ucha. Generał dotknął implantu ukrytego w szczące maski.

- Tak?

- Panie, Jedi prawie na pewno zdążyli uciec z wieży. - Z głośnika płynął głos jednego z jego bezcennych, zbudowanych na zamówienie androidów z serii IG 100 MagnaGuard. Były to samodzielne, człekokształtne maszyny bojowe, zaprojektowane, zaprogramowane i uzbrojone tak, by skutecznie walczyć przeciwko rycerzom Jedi. - Zanim oderwała się wieża, zdążyliśmy wydobyć miecz świetlny z szybu jednej z turbowind.

- Rozumiem. Czekajcie na instrukcje.

Wystarczył jeden długi krok, by Grievous stanął obok neimoidiańskiego oficera bezpieczeństwa.

- Znalazłeś ich czy jesteś gotowy na śmierć?

- Ja... eee... ja... - Drżący palec oficera wskazał na schemat pokładu startowego „Niewidzialnej Ręki”. Jasny punkt poruszał się wolno w przestrzeni hangaru numer jeden.

- Co to jest?

- To... to... to nadajnik naprowadzający kanclerza, panie.

- Co? Jedi nawet go nie wyłączyli? Dlaczego?

- Właściwie to nie mogę...

- Idioci. - Grievous spojrzał na przerażonego oficera, zastanawiając się, czy warto zabić głupca za to, że tak późno się zorientował.

Neimoidianin odczytał zamiary generała tak wyraźnie, jakby były wypisane na jego masce koloru kości.

- Gdyby pan nie... to znaczy... Jeśli przypomina pan sobie moją zniszczoną konsolę... musiałem przekierować sygnały do...

- Milczeć. - Grievous w duchu wzruszył ramionami. Głupiec i tak łąda chwila będzie jeńcem albo trupem, pomyślał. - Rozkaż wszystkim robotom zakończyć algorytm poszukiwania i zebrać się na mostku. Nie, czekaj! Nie chcę tu zwykłych robotów bojowych. Bezżyteczny złom - mruknął do siebie. - Są groźniejsze dla nas niż dla Jedi. Tylko superroboty i androidy, zrozumiałeś? Nie będziemy ryzykowali.

Oficer odwrócił się ku ekranowi konsoli, a Grievous ponownie musnął sensor w szczące maski.

- IG-jeden-zero-jeden.

- Panie?

- Zbierz drużynę superrobotów bojowych i androidów, tak liczną, jak tylko się da, i zaprowadź ją na pokład startowy. Podam ci dokładne koordynaty, gdy tylko będę je miał.

- Tak jest.

- Znajdziesz tam co najmniej jednego Jedi, możliwe, że dwóch, w towarzystwie kanclerza Palpatine'a, uwięzionych w polu energetycznym. Ostrzegam, są bardzo niebezpieczni. Rozbroicie ich i doprowadzicie na mostek.

- Skoro są tacy niebezpieczni, to może wykonamy egzekucję na miejscu?

- Nie. Dostałem jasne rozkazy: kanclerz ma być cały i zdrowy. A jeśli chodzi o Jedi...

Prawa dłoń generała wśliznęła się pod pelerynę i pogładziła rękojeści mieczy świetlnych.

- Egzekucję wykonam osobiście.

Ściana wibrującej energii rozbłysła nagle tuż przed nimi, blokując korytarz po przeciwnej stronie skrzyżowania, do którego właśnie dobiegali. Obi-Wan zatrzymał się tak nagle, że Anakin omal na niego nie wpadł. Wyciągnął rękę i złapał Palpatine'a za ramię.

- Ostrożnie, panie - powiedział cicho. - Nie dotykajmy, póki nie sprawdzimy, co to jest.

Obi-Wan odpiął miecz, włączył go i delikatnie musnął przeszkodę czubkiem klingi. Potężne wyładowanie sypnęło iskrami na wszystkie strony, omal nie wyrwywając broni z jego rąk.

- Pole energetyczne - powiedział, bardziej do siebie niż do pozostałych. - Będziemy musieli znaleźć inną drogę...

W tym momencie nowa zaporą pojawiła się z szumem u wylotu korytarza, z którego właśnie wybiegli, a zaraz potem dwie kolejne odcięły boczne odnogi.

Byli zamknięci.

Schwytani.

Obi-Wan stał nieruchomo przez sekundę lub dwie, mrugając ze zdziwieniem, a potem spojrzał na Anakina i pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Sądzilem, że jesteśmy trochę bystrzejsi.  
- Najwyraźniej nie jesteśmy. To chyba najstarsza pułapka świata, a my weszliśmy prosto w nią... - Anakin był równie zawstydzony jak jego mistrz. - Ścisłej mówiąc, ty w nią wlałeś. Ja tylko starałem się za tobą nadażyć.

- Ach, więc teraz to moja wina? Anakin uśmiechnął się przewrotnie.  
- Hej, to ty jesteś mistrzem. Ja jestem tylko zwykłym bohaterem.  
- Pozartujemy sobie innym razem - mruknął Obi-Wan. - To wszystko przez Ciemną Stronę... Przez cień, który rzuca na Moc. Wciąż nie możemy ufać naszym instynktom. Nie czujesz tego?

Ciemna Strona Mocy była ostatnią rzeczą o jakiej Anakin chciał teraz rozmyślać.  
- A może to tylko skutki tego uderzenia w głowę? - zasugerował.  
Obi-Wan nawet się nie uśmiechnął.  
- Nie. Wciąż dokonujemy niewłaściwych wyborów. A w ogóle... w jaki sposób namierzili nas tak precyzyjnie? Coś tu jest nie tak, i to bardzo. Śmierć Dooku powinna była choć trochę rozproszyć ten cień...

- Skoro tak gustujesz w zagadkach, mistrzu Kenobi - przerwał mu zdecydowanie Palpatine - to może rozwiązałbyś taką: w jaki sposób teraz uciekniemy?

Obi-Wan skinął głową i spojrzał ponuro na wibrujące ściany energetycznej pułapki, jakby widział je po raz pierwszy. Po chwili znowu włączył miecz i wbił czubek w podłogę. Ostrze niemal bez oporu przebiło durastalową płytę pokładu, ale zaraz nastąpił mocny błysk, gdy zetknęło się z tarczą identyczną z tymi, które zamykały korytarze. Odrzut cisnął Obi-Wanem niebezpiecznie blisko pola energetycznego, które miał za plecami.

- W suficie niewątpliwie to samo - powiedział i z westchnieniem spojrzał na pozostałych. - Jakieś pomysły?

- Być może - zaczął wolno Palpatine, jakby pomysł dopiero kielkował w jego głowie - powinniśmy po prostu poddać się generałowi Grievousowi. Teraz, gdy hrabia Dooku nie żyje, jestem pewien, że we dwóch zdołacie... - tu kanclerz spojrzał znacząco na Anakina - ...wynegocjować nam wolność.

Uparty jest, to trzeba mu przyznać, pomyślał Skywalker. Uśmiechnął się lekko na wspomnienie rozmowy o „negocjacjach”, którą prowadził z Padme na Naboo, jeszcze przed wojną. Do rzeczywistości przywróciło go dopiero przypomnienie, że konieczność „agresywnych negocjacji” może postawić go w niezręcznym położeniu, skoro utracił miecz świetlny.

- Ja bym stawiał... - rzekł niespiesznie - na cierpliwość.  
- Cierpliwość? - Obi-Wan ze zdziwieniem uniósł brew. - To ma być plan?  
- Wiesz przecież, co mówi mistrz Yoda: „Cierpliwie zaczekać musisz, aż muł osiadnie i woda stanie się przejrzysta”. Więc zaczekajmy.  
- Zaczekajmy? - Obi-Wan nie wyglądał na przekonanego.  
- Na patrol. Za parę chwil pewnie zjawi się tu oddział robotów, będą musiały wyłączyć pole, żeby wziąć nas do niewoli.

- I co wtedy?  
Anakin beztrząsco wzruszył ramionami.

- Wtedy je rozwalimy.  
- Genialny, jak zawsze - stwierdził drwiąco Obi-Wan. - A jeśli pojawią się niszczyciele? Albo coś gorszego?

- Daj spokój, mistrzu. Co może być gorszego od robotów-niszczycieli? Zresztą patrole zawsze składają się z tych bezużytecznych chudziaków, zwykłych robotów bojowych.

W tym momencie cztery bezużyteczne chudziaki zbliżyły się do tarcz energetycznych, po jednym z każdej strony, dzwoniąc metalowymi stopami i kierując karabiny blasterowe w stronę schwytych. Jeden z nich powitał jeńców zaprogramowana komendą przewidzianą specjalnie na takie okazje:

- Rzucić broń!  
Trzy pozostałe zaszczekały entuzjastycznie: „Potwierdzam!”, kiwając spastycznie podłużnymi głowami.

- Widzisz? - odezwał się Anakin. - Nie ma problemu.  
Zanim Obi-Wan zdążył odpowiedzieć, w ścianach otworzyły się ukryte drzwi i osiem masywnych kul w kolorze brązu wytoczyło się na korytarze, po dwie z każdej strony skrzyżowania. Androidy zatrzymały się, przyjęły z trzaskiem pozycję bojową i otoczyły się lśniącymi polami ochronnymi, mierząc w piersi dwóch Jedi z podwójnych działek blasterowych.

Obi-Wan westchnął ciężko.  
- Mówiłeś coś?  
- Dobrze już, dobrze. Wpływ Ciemnej Strony. Albo coś w tym guście. - Anakin przewrócił oczami. - Powiedzmy, że odpuszczam ci wpakowanie nas w tę pułapkę energetyczną.

Zza tych samych ukrytych drzwi wymaszerowało szesnaście super-robotów bojowych. Wszystkie stanęły za niszczycielami, gotowe prowadzić ostrzał ponad ich tarczami ochronnymi.

Za superrobotami pojawiły się jeszcze dwa inne. Anakin pierwszy raz widział jednostki tego typu. Domyślał się jednak, do czego mogą służyć. I wcale nie był tym zachwycony.

Obi-Wan Kenobi spojrzał na nie spođe łba.  
- Ty jesteś ekspertem, Anakinie. Powiesz mi, co to za androidy?  
- Pamiętasz, jak wątpiłem w istnienie maszyn gorszych od niszczycieli? - odparł ponuro Skywalker. - Właśnie na nie patrzysz.

Androidy szły ramię w ramię, swobodnym i równym krokiem, niemal tak płynnym jak ludzki. W gruncie rzeczy śmiało mogły uchodzić za ludzi - dwumetrowców o ciałach wykonanych z metalu. Były ubrane w długie peleryny, niegdyś białe, a teraz mocno poplamione sadzą i czymś, co zdaniem Anakina mogło być krwią. Oba androidy nosiły je przesunięte na prawe ramię, tak by swobodnie władać lewym, zbrojnym w dziwną, podobną do kija broń. Mierząca dwa metry, przypominała nieco piki mocy Straży Senackiej, lecz ustępowała im długością, a na obu końcach zaopatrzone ją w osobliwe iglice.

Androidy kroczyły tak, jakby stworzono je do walki, najwyraźniej widziały niejedną bitwę. Napierśnik jednego z nich naznaczony był głębokim kraterem, osmalonym przy brzegach - strzał z blastera najwyraźniej był bliski przebicia pancerza. Drugi miał głęboki ślad na „czaszce”, biegnący przez martwy fotoreceptor i dalej w dół - wyglądało to jak blizna po ciosie miecza świetlnego.

Krótko mówiąc, android ten wyglądał tak, jakby walczył z rycerzem Jedi i przetrwał.

Anakin domyślał się, że ów Jedi nie miał tyle szczęścia.

Dwa olbrzymy przeszły między maszynami typu super i androidami, a następnie odepchnęły jednego z chudziaków - na tyle skutecznie, że robot bojowy huknął metalowym ciałem o ścianę korytarza i upadł bezwładnie, iskrząc z poprzerrywanych przewodów.

Ten, który miał uszkodzony fotoreceptor, skinął pałąk w stronę jeńców i energetyczne zasłony zniknęły.

- On powiedział: rzucić broń, Jedi.

Nie brzmiało to jak zaprogramowana komenda.

- Widziałem raport wywiadu na ich temat - powiedział cicho Anakin. - Zdaje się, że te androidy to osobista ochrona Grievousa. Prototypy zbudowane według jego wskazówek - dodał, wzdając wzrokiem od Kenobiego do Palpatine'a i z powrotem. - Przeznaczone do walki z Jedi.

- Cóż - odrzekł Obi-Wan. - W tej sytuacji potrzebny nam będzie plan B.

Anakin skinął głową w stronę Palpatine'a.

- W tej chwili plan kanclerza wydaje mi się całkiem niezły.

Obi-Wan z namysłem skinął głową.

Kiedy odwrócił się, by oddać miecz androidowi-ochroniarzowi, Anakin pochylił się ku kanclerzowi i mruknął:

- Więc jednak postawiłeś na swoim, panie.

- Często mi się to zdarza - odparł Palpatine z lekkim, nieodgadnionym uśmiechem.

Gdy superroboty bojowe zbliżyły się z elektrokajdankami i ogranicznikiem dla R2-D2, Obi-Wan zmarszczył czoło i obejrzał się przez ramię.

- Anakinie - rzekł ze spokojną rezygnacją, zbolałym tonem, który rozpoznaliby natychmiast rodzice wyczerpani wybrykami niesfornego dziecka. - Gdzie twój miecz?

Anakin jakoś nie mógł spojrzeć mu w oczy.

- Nie zaginał, jeśli o to ci chodzi. - Była to prawda: doskonale wyczuwał w Mocy swoją broń i wiedział dobrze, gdzie jej szukać.

- Nie?

- Nie.

- Zatem gdzie jest?

- Czy możemy porozmawiać o tym później?

- Bez miecza może nie być żadnego „później”.

- Nie potrzebuję kolejnego kazania, wiesz? Ile razy rozmawialiśmy na ten temat?

- Najwyraźniej o jeden raz za mało.

Anakin westchnął. Obi-Wan wciąż potrafił sprawić, że czuł się jak dziewięciolatek.

- On go ma - powiedział, ruchem głowy wskazując na jednego z robotów-ochroniarzy.

- Naprawdę? A jak to się stało?

- Nie chcę o tym mówić.

- Anakinie...

- Twój też ma!

- To co innego.

- Ta broń jest twoim życiem, Obi-Wanie! - Anakin naśladował mistrza na tyle wiernie, że Palpatine omal nie parsknął śmiechem. - Musisz o nią dbać!

- Być może - odpowiedział Kenobi, pozwalając androidom zapiąć elektrokajdanki na własnych nadgarstkach - rzeczywiście powinniśmy porozmawiać o tym później.

- Bez miecza może nie być żadnego... - zaintonował z powagą Anakin.

- Dobrze już, dobrze. - Mistrz Jedi poddał się ze smutnym uśmiechem. - Wygrałeś.

Anakin wyszczerzył zęby.

- Słucham? Co powiedziałeś? - Nie przypominał sobie, kiedy po raz ostatni zwyciężył w sporze z Obi-Wanem. - Mógłbyś powtórzyć trochę głośniejsz?

- Pyszczyć się wygraną nie przystoi rycerzowi Jedi.

- Ja się nie pyszczę, mistrzu - odparł Anakin, zerkając kątem oka na Palpatine'a. - Ja... rozkoszuję się chwilą.

Oto jak to jest być Anakinem Skywalkerem w takiej chwili:

Wielki Kanclerz odwzajemnia twoje spojrzenie z cieniem uśmiechu na twarzy i z pełnym aprobaty, dyskretnym skinieniem głowy, a dla ciebie ten drobny, trywialny znak przyjaźni jest iskrą ciepła, która rozluźnia zimny uścisk smoka - strach spinający twoje serce.

Zapominasz, że jesteś w niewoli - przecież niejedną raz byliście już z Obi-Wanem jeńcami. Zapominasz o rozlatującym się okręcie. Zapominasz o androidach, zabójcach Jedi - spotykałeś już gorszych przeciwników. Zapominasz o generale Grievousie. Kim on jest w porównaniu z hrabią Dooku? Nawet nie włada Mocą.

W tym momencie sytuacja widziana twoimi oczami wygląda tak: maszerujesz u boku dwóch najlepszych przyjaciół, jakich kiedykolwiek miałeś, a twoim śladem podąża najwinniejszy i najcenniejszy android-przyjaciel.

W dodatku za chwilę zwycięsko zakończysz Wojny Klonów.

To, czego dokonałeś - co wydarzyło się w kwaterze generała i, co ważniejsze, dlaczego się to wydarzyło - spała się teraz w górnych warstwach atmosfery Coruscant, wraz z pozbawionym głowy ciałem hrabiego Dooku. Wydaje się, że wszystko to przytrafiło się komuś innemu, jakbyś ty sam był kimś innym, gdy to robiłeś. Wydaje się też, że ów człowiek - gnębiony przez smoka człowiek z atomowym stosem w sercu i umysłem zimnym jak powierzchnia martwej gwiazdy - był tylko odbiciem w szeroko otwartych, nieruchomych oczach Dooku.

Zanim oderwana wieża okrętu wbije się w grubą na wiele kilometrów skorupę planetarnego miasta, te martwe oczy spłoną ze szczętem, a wraz z nimi smok.

A ty, po raz pierwszy w życiu, będziesz naprawdę wolny.

Oto jak to jest być Anakinem Skywalkerem.

W tej chwili.

## ROZDZIAŁ

# 7

### OBI-WAN I ANAKIN 2

Oto Obi-Wan w pełnym blasku:

Kiedy popychają go, by wszedł na mostek okrętu wraz z Anakinem i kanclerzem Palpatine'em, nie musi rozglądać się dokoła, by zobaczyć gąszcz konsol obsługiwanym przez przerażonych Neimoidian. Nie musi odwracać głowy ani po to, by policzyć androidy i superroboty bojowe, ani po to, by dokładnie znać położenie brutalnych ochroniarzy Grievousa. Nie uznaje też za stosowne odwzajemnić spojrzenia zimnych żółtych ślepi, które spoglądają na niego spod duraplastowej maski-czaszki.

Nie musi nawet sięgać po Moc.

Pozwolił bowiem, by Moc sięgnęła do jego wnętrza.

Przenika go teraz i opływa, jakby wszedł w strumień krystalicznie czystego wodospadu, zagubionego w sercu dziewiczego, zielonego lasu deszczowego. Gdy otwiera się na tę lśniąca strugę, jednoczy się z nią bez najmniejszego udziału świadomości czy woli. Ta część jego jestestwa, która nazywa siebie Obi-Wanem Kenobim, nie jest już niczym więcej, jak tylko zmarszczką na powierzchni niezmierzonej toni, z którą się połączył.

Są tu i inne pierwiastki jego osoby, a w całym otoczeniu nie ma ani jednego przedmiotu, który nie stałby się jego częścią- od zarysowania na kopolce R2-D2 po poszarpany rąbek szaty Palpatine'a; od pajęczyny pęknięć na jednym z wielkich ekranów-iluminatorów po wielkie okręty obu flot, toczące bitwę daleko poza nimi. Ponieważ wszystko to jest częścią Mocy.

Z niepojętej przyczyny chmura, która rzucała cień na Moc od niemal półtorej dekady, rozproszyła się teraz wokół Obi-Wana. Znalazł się w samym centrum jasności, którą pamiętał z czasów nauki w Świątyni Jedi, gdy Moc była czysta, przejrzysta i doskonała. Ciemność cofnęła się teraz, pozwalając mu wrócić do tamtego stanu, do pełnej -choćby i chwilowej - potęgi światła. Obi-Wan nie wie, dlaczego tak się stało, i nie powinien się nad tym zastanawiać. W Mocy jest ponad wszelkimi pytaniami.

„Dlaczego” nie ma żadnego znaczenia. Jest echem przeszłości albo podszeptem z przyszłości. Wszystkim, co liczy się w nieskończonej teraźniejszości, są trzy sprawy: co, gdzie i kto.

Obi-Wan Kenobi jest teraz wszystkimi szesnastoma superrobotami bojowymi, pokrytymi chromem odbijającym promienie laserów, uzbrojonymi w ciężkie blastery zamontowane w ramionach. Jest też tymi blasterami i ich celami. Jest ośmioma andro-idami-niszczycielami, czekającymi z elektroniczną cierpliwością za pancerzem energetycznych tarcz. Jest obydwojoma ochroniarzami i każdym z drżących Neimoidian. Jest ich ubraniami, butami, nawet kroplami zalatującej gadzimi hormonami wydzieliny, która splywa po nich, by chłodzić rozgrzane ciała. Jest kajdankami, które spinają jego nadgarstki, i elektropalką w dłoniach androida MagnaGuard, który stoi za jego plecami.

Jest też dwoma mieczami świetlnymi, które drugi ochroniarz niesie generałowi Grievousowi. I jest samym generałem.

Jest jego żebrami z duranium. Jest jego żywym, bijącym, obcym sercem oraz bezgłośnym pulsem tlenu pompowanego w jego żyły. Jest ciężarem czterech zdobywczych mieczy, które wiszą u jego pasa, oraz zachłanną pożądlivością, którą wzbudza w oczach generała widok nowych trofeów. Jest nawet planem egzekucji, który zaświtał właśnie w umyśle Grievousa.

Jest tym wszystkim jednocześnie, lecz najważniejsze jest to, że pozostaje wciąż Obi-Wanem Kenobim.

I dlatego może po prostu stać. Dlatego może czekać. Nie potrzebuje ani się bronić, ani atakować. Bitwa nastąpi, lecz na razie jest czas na spokój i absolutne pogodzenie się z faktem, że walka rozpocznie się, kiedy zechce, i skończy, gdy nadejdzie pora.

Podobnie jak on pozwoli sobie żyć albo pozwoli sobie umrzeć. Tak właśnie toczy wojnę wielki mistrz Jedi.

Generał Grievous uniósł dwie rękojeści mieczy, by przyjrzeć się im z podziwem w świetle turbolaserowych błysków toczącej się bitwy.

- Wyjątkowe trofea - powiedział. - Broń Anakina Skywalkera i generała Kenobiego. Z przyjemnością włączę ją do mojej kolekcji.

- Nic z tego. Ja kontroluję sytuację.

Odpowiedź padła z ust Obi-Wana, lecz tak naprawdę to nie on przemówił. To nie Obi-Wan kontrolował sytuację; nie potrzebował kontroli. Miał Moc.

I Moc przez niego przemówiła.

Grievous podszedł bliżej. Obi-Wan zobaczył śmierć w lodowatym, żółtym spojrzeniu zza maski, ale i to nie miało dla niego żadnego znaczenia.

Śmierć nie istniała. Była tylko Moc.

Nie musiał mówić Anakinowi, by subtelnie odsunął kanclerza Palpatine'a z linii ognia; częścią siebie był Anakinem i już to robił. Nie musiał rozkazywać R2-D2, by uruchomił bojowe podprogramy i przekazał część zasilania do silniczków raketowych, chwytaka i armatki strzelającej haczykiem z linką; częścią siebie był już małym androidem i uczynił to wszystko, zanim jeszcze weszli na mostek.

Grievous zdecydowanie górował nad nim wzrostem.

- Taki jesteś pewny siebie, Kenobi?

- Nie pewny, po prostu spokojny. - Z bliska Obi-Wan dostrzegał cienie jak włos mikropęknięcia i drobne ubytki w bladej jak kość masce. Czuł też w piersi rezonans głębokiego, elektrosonicznego głosu generała. Przypomniał sobie pytanie Mistrza Jruła: „Czymże jest dobro, jeśli nie nauczycielem złego? Czymże jest zło, jeśli nie zadaniem dla dobrego?” - Możemy rozwiązać tę sytuację, nie uciekając się do przemocy - powiedział. - Chętnie przyjmę pańską kapitulację, generale.

- Z pewnością. - Maska z zaciekawieniem przechyliła się bok. - Czy ten twój nie-dorzeczny tekst „chętnie przyjmę pańską kapitulację” czasem działa?

- Czasem. Kiedy nie działa, ludzie cierpią. Niekiedy umierają. - Błękitne oczy Obi-Wana spoglądały teraz prosto w żółte ślepia schowane pod maską. - Zapewne rozumie pan, że mówiąc „ludzie”, w tym przypadku mam na myśli pana.

- Rozumiem wystarczająco dużo. Na przykład to, że cię zabiję. - Grievous odrzucił płaszcz z ramion i włączył oba miecze. - Tutaj. Teraz. Twoim własnym ostrzem.

- Nie sądzę - odpowiedziała Moc ustami Obi-Wana.

Serwomotory, które poruszały kończynami Grievousa, mogły nadać im niewyobrażalną prędkość, uczynić je praktycznie niewidzialnymi dla ludzkiego oka - gdy generał machał ramieniem, jego pięść i miecz świetlny pozornie zniknęły, niczym niedostrzegalne zdarzenie kwantowe. Żadna ludzka istota nie dorównywała mu szybkością nawet Obi-Wan - lecz on nie musiał mu dorównywać. Wyrzęczał jego ruchy.

W Mocy jakaś częśćka jego osoby była morderczym zamiarem Grievousa, a przepaść między zamiarem a czynem niezwłocznie zmieniała się w odpowiedź Obi-Wana. Nie musiał planować, nie potrzebował taktyki. Miał Moc.

Połykający wodospad przepływał przez niego, wypłukując wszelkie myśli o niebezpieczeństwie, bezpieczeństwie, zwycięstwie, przegranej. Moc, niczym woda, przyjmuje kształt naczynia, w którym się znajduje, a czyni to bez wysiłku, bez zastanowienia. Woda, która była Obi-Wanem, wlała się w naczynie, którym był atak Grievousa; i choć niektóre materiały bywały wodoszczelne, mistrz Jedi nie znalazł jeszcze takiego, który oparłby się działaniu Mocy...

Gdy zamiar zadania ciosu formował się jeszcze w umyśle biodroida, ta częśćka Mocy, która była Obi-Wanem, zjednoczyła się z tą, która przenikała R2-D2, a zwłaszcza jego wewnętrzną spawarkę fuzyjną, którą Anakin zintegrował z ramieniem głównego chwytaka. Nie musieli się porozumiewać; Obi-Wan hołdował wyłącznie własnemu stylowi zachowania, gdy z łagodnym uśmiechem wyszeptał:

- Artoo?

Ledwie rozchylił usta, w kadłubie robota astromechanicznego otworzył się jeden z paneli. Spawarka fuzyjna wysunęła się błyskawicznie i rozbłysła deszczem błękitnych, oślepiająco jasnych iskier, tak gorących, że stopiłyby nawet duranium. W ułamku sekundy, którego potrzebowały elektronicznie wzmożone zmysły Grievousa na to, by zareagować zdziwieniem na ten pokaz fajerwerków, częśćka Mocy, która była Obi-Wanem, wypróbowała sztuczkę, którą Jedi trzymał w tajemnicy specjalnie na okazję taką jak ta.

Jako że wszystko, co znajdowało się na mostku „Niewidzialnej Ręki” było w Mocy absolutną jednością - począwszy od zasadniczej konstrukcji pokładu i ścian, a skończywszy na kwantowym tańcu elektronów w poszczególnych atomach - a nerwy i mięśnie generała biodroida były elektronicznymi dziełami sztuki wykonanymi z duranium, a nie żywą tkanką obdarzoną wolną wolą, istniała pewna możliwość... Otóż w owej niezmiernie krótkiej chwili, gdy uwaga Grievousa skupiała się wyłącznie na rozbłysku żaru groźnego nawet dla jego opancerzonego ciała, Obi-Wan mógł spróbować musnąć umysłem serwomechanizmy w dłoniach generała i czasowo zmienić ich polaryzację.

I właśnie to uczynił.

Durastalowe palce rozchyliły się gwałtownie, uwalniając dwie rękojeści mieczy.

Obi-Wan sięgnął po nie poprzez Moc, a Moc sięgnęła po nie poprzez niego. Ostrze jego broni zapaliło się jeszcze w locie i obróciło się płynnie, gdy nadstawił ramiona skute elektrokajdankami. Błękitny płomień mignął między nadgarstkami i uwolnił je, a rękojeść pewnie spoczęła w dłoni.

Obi-Wan był tak głęboko zanurzony w Mocy, że sukces tej karkołomnej sztuczki nawet go nie zdziwił.

Wykonał ćwierć obrotu w stronę Anakina, ale ten był już w powietrzu - skoczył dokładnie w chwili, gdy Obi-Wan wypowiedział imię androida, byli bowiem teraz dwiema częściami jedności. Salto pozwoliło mu przelecieć nad głową mistrza dokładnie pod takim kątem, by włączona klinga przecięła i jego więzy. Grievous wciąż jeszcze cofał się odruchowo przed fontanną iskier, gdy Anakin lądował na pokładzie z wyciągniętą ręką. Obi-Wan poczuł nowy strumień w wodospadzie Mocy i miecz jego ucznia śmignął w powietrzu, kierując się wprost ku otwartej dłoni. Tym sposobem, w sekundę po tym, jak generał Grievous uznał, że już czas zadać jeńcom śmiertelny cios, Obi-Wan Kenobi i Anakin Skywalker stanęli plecami do siebie pośrodku mostka, bez emocji przypatrując się otoczeniu spoza uniesionych w górę, błękitnych kling swoich mieczy.

Mistrz Jedi spojrzał obojętnie na generała.

- Może jednak rozważy pan moją ofertę?

Grievous oparł się o jedną z konolet sterowniczych. Durastalowa obudowa ugięła się pod naciskiem jego palców.

- Oto moja odpowiedź!

Wyrwawszy konoletę z pokładu wprost spod rąk oniemiałego Neimoidianina, uniósł ją wysoko nad głowę i cisnął w stronę Jedi. Rozdzielili się natychmiast, by uniknąć zderzenia z pulpitem, który z hukiem uderzył o podłoże, dymiąc i syjąc iskrami.

- Ognia! - zawołał Grievous, potrząsając pięściami tak, jakby ścisnął w nich szyje przeciwników. - Zabić ich! Zabić ich wszystkich!

W następnej sekundzie słychać było tylko szcęk mechanizmów spustowych kilkudziesięciu blasterów.

W kolejnej mostek eksplodował burzą ognia.

Grievous cofnął się nieco, czekając na właściwy moment, podczas gdy jego dwaj ochroniarze zaatakowali Kenobiego i Skywalkera wirującymi elektropułkami, nie zwa-

żając na oślepiające smugi blasterowych strzałów. Sam miał już okazję walczyć z rycerzami Jedi - kilka razy był to nawet uczciwy pojedynek - i wiedział, że poznać technikę jednego z nich to tak, jakby poznać wszystkich. Jednak Kenobi...

Łatwość, z jaką Kenobi radził sobie z sytuacją była zatrważająca. Jeszcze bardziej zatrważające było jednak to, że podobno to Skywalker był lepszym wojownikiem. Nawet ich jednostka R2 potrafiła walczyć: niepozorny android był wyposażony w zdecydowanie niestandardową armatkę, z której wystrzelił kotwiczkę na lince. Udało mu się oplatać nogi superrobotu bojowego i obalić go na pokład. Teraz zaś szarpał leżącym na wszystkie strony w tak sprytny sposób, że działka wbudowane w ramię robota raziły towarzyszy z jego drużyny, a nie Jedi.

Grievous coraz mniej zastanawiał się nad tym, jak zwyciężyć. Coraz bardziej interesowała go za to odpowiedź na pytanie: jak przetrwać tę bitwę?

Pozwolił, by androidy typu MagnaGuard wzięły na siebie ciężar walki z Jedi - w końcu po to je zaprojektowano. Radziły sobie zresztą całkiem nieźle. IG-101 przyparł Kenobiego plecami do konolety, błyskając piorunami wyładowań z pola ochronnego elektropułki za każdym razem, gdy stykało się z klingą miecza. Całkiem możliwe, że Jedi zginąłby w tym pojedynku, gdyby nie jeden z głupich superrobotów bojowych, który wycelował oba działka naramienne w plecy Kenobiego, dając mu szansę na unik, po którym potężna seria blasterowych boltów trafiła prosto w korpus IG-101. Skywalker tymczasem zdołał ukryć gdzieś kanclerza - parszywy tchórz Palpatine siedzi pewnie pod którąś z tych konolet, myślał Grievous - i zdążył już obciąć tuż pod kolanami obie nogi ochroniarza IG-102. Z jakiegoś powodu spodziewał się, że będzie to koniec walki, toteż ogarnęło go bezbrzesne zdumienie, gdy IG-102 zakręcił się zwinnie wokół wspartej o pokład elektropułki i kikutami obu nóg uderzył go tak mocno, że Skywalker pomknął w dal.

Z drugiej jednak strony, pomyślał generał, być może uda się jeszcze uratować sytuację.

Musnął aktywator komunikatora, przedstawiając go na częstotliwość łączności wspólną dla wszystkich androidów.

- Kanclerz ukrywa się pod jedną z konolet. Drużyna Szesnasta: znaleźć go i natychmiast dostarczyć do mojej kapsuły ratunkowej. Drużyna Ósma: kontynuować misję. Zabić Jedi.

W tym momencie okrętem zarzuciło znacznie mocniej niż do tej pory, a panele widokowe pobielały na chwilę pod wpływem promieniowania. Rozległy się sygnały klaksonów alarmowych. Konoleta nawigacyjna wystrzeliła iskrami prosto w twarz neimoidiańskiego pilota. Gdy jego mundur zajął się ogniem i do zgielku bitwy dołączyły wrzaski poparzonego, eksplodował inny pulpit, tym razem rozrywając na strzępy ciało świeżo mianowanego starszego oficera-artyleryzisty.

Ano właśnie, pomyślał Grievous. W podnieceniu zupełnie zapomniał o ultimatum, które przedstawił mu komandor podporucznik Needa z „Prawościami”.

Drugi pilot - ten, który nie wrzeszczał jak opętany, próbując zdławić ogień na swoim ciele rękami, póki i one nie stanęły w płomieniach - spętany siecią pasów bezpieczeństwa odsunął się najdalej jak mógł od hałaśliwego towarzysza i krzyknął:

- Panie generale, ten strzał zniszczył ostatnie silniki manewrowe na rufie! Okręt schodzi z orbity! Spalimy się!

- Doskonale - odparł spokojnie Grievous. - Trzymać kurs.

To, czyjego ochroniarze zdołają pokonać Jedi, czy też nie, nie miało już najmniejszego znaczenia: wkrótce i tak wszyscy tu obecni mieli spłonąć.

Grievous dotknął sensora wbudowanego w szczękę i przełączył komunikator na częstotliwość sterowania kapsułami ratunkowymi. Jeden zakodowany rozkaz wystarczył, żeby uruchomić procedurę przed-startową i rozgrzać silniki jego kapsuły, by była gotowa do lotu.

Kiedy ponownie spojrzął na toczącą się walkę, z IG-102 pozostało w polu widzenia tylko jedno ramię, wciąż jeszcze rozgrzane do białości w miejscu, w którym odrąbał je miecz świetlny. Skywalker ścigał właśnie dwa superroboty bojowe, ciągnące pod ramiona kanclerza Palpatine'a. Gdy rozprawił się z nimi kilkoma szybkimi cięciami, Kenobi robił mniej więcej to samo z ochroniarzem IG-101. Jednoręki już MagnaGuard kicał jeszcze na jednej nodze, wywijając elektropalkę i wykrzykując cokolwiek nieprawdopodobne groźby dotyczące owego narzędzia i naturalnych otworów w ciele mistrza Jedi. Nie przerwał pościgu za Kenobim nawet wtedy, gdy utracił drugie ramię; co więcej, zdołał jeszcze wymierzyć mu lekkiego kopniaka, zanim szybki ruch klingi pozbawił go ostatniej kończyny. Leżący teraz na pokładzie kadłub okaleczonego androida wył przeraźliwie, wijąc się z nie-gasnącym zapałem.

Teraz, gdy obaj mechanicy ochroniarze zostali wykluczeni z boju, osiem androidów-niszczycieli otworzyło ogień ze wszystkich dział, plując w stronę Jedi podwójnymi smugami galwenowych wiązek. Kenobi i Skywalker skoczyli jednocześnie w stronę kanclerza, by osłonić go przed strzałami. Zanim Grievous rozkazał niszczycielom wstrzymać ogień, Jedi zdołali odbić wystarczającą liczbę boltów, by unicestwić nimi trzy czwarte z funkcjonujących jeszcze superrobotów bojowych i posłać pozostałych przy życiu członków załogi krążownika na pokład, w poszukiwaniu schronienia za zwłokami zabitych towarzyszy.

Androidy zaczęły się zbliżać, zasypując Obi-Wana i Anakina gradem strzałów. Posuwały się krok po kroku - działa blasterowe przeciwko mieczom świetlnym. Jedi odbijali każdy bolt, kierując zabójczą energię z powrotem ku sferycznym polom energetycznym niszczycieli, które rozjarzały się, absorbując kolejne strzały. Androidy może nawet pokonałyby przeciwników, gdyby nie pewna niespodziewana trudność...

Nożyce grawitacyjne.

Osiem maszyn w niepojęty sposób nagle uniosło się w powietrze. W ślad za nimi unieśli się Skywalker, Palpatine, krzesła, szczątki androidów MagnaGuard i w ogóle wszystko, co nie było przykręcone do pokładu - z wyjątkiem Obi-Wana Kenobiego, który zdążył chwycić się konsoli sterowniczej i teraz wisiał na jednej ręce, drugą bez wysiłku odbijając blasterowe bolty.

Drugi pilot, Neimoidianin, wrzeszczał dziko, rozkazując niszczycielom użyć elektromagnesów. Krzyczał też, że statek się rozpada. Wydawał dźwięki tak przykre dla ucha, że Grievous z czystej irytacji zmiażdżył mu czaszkę jednym ciosem. Rozejrzaw-

szy się, spostrzegł, że uśmiercił właśnie ostatniego członka załogi mostka. Ci, których nie pozbawił życia własnoręcznie, zginęli od rykoszetów w chwili największego natężenia ostrzału z blasterów.

Grievous strząsnął z zaciśniętej pięści resztki mózgu pilota. Ci Neimoidianie, pomyślał. Odrażające stworzenia.

Zmiana pola grawitacyjnego nie miała żadnego wpływu na biodroida - jego szpony z namagnesowanego duranium dobrze trzymały się podłoża. Gdy w pobliżu przelatywała elektropalka jednego z ochroniarzy, pochwycił ją niewiarygodnie szybkim ruchem ręki. Po kolejnej fali niosącej zmianę wektora przyciągania androidy, kanclerz i Je-di spadli z powrotem na pokład.

Android niszczyciel był najpotężniejszym robotem bojowym piechoty, jakiego wówczas produkowano, lecz jego konstrukcja miała jedną poważną wadę. Pole energetyczne, które tak skutecznie powstrzymywało strzały z blasterów, pociski, odłamki, a nawet ciosy miecza świetlnego, było ustawione tak, by chroniło sferyczną tarczą androida stojącego na twardym gruncie. Gdy maszyna zmieniała pozycję - na przykład przewracała się na bok lub uderzała w ścianę - generator pola nie umiał odróżnić zderzenia z elementem otoczenia od strzału z dowolnej broni. Reagował zwiększeniem mocy osłon, by zniszczyć to, co uważał za zagrożenie, i w rezultacie wkrótce padał z powodu przeciążenia.

Lot w kierunku sufitu, odbicie i upadek z powrotem na pokład sprawiły, że jedyną rzeczą, jaką zdołałyby wytworzyć generatory pól energetycznych wszystkich androidów z Drużyny Ósmej, była chmura czarnego dymu.

Trudno orzec, który z androidów jako pierwszy otworzył ogień do Jedi - zresztą i tak nie miało to znaczenia, bo już po dwóch sekundach osiem potężnych maszyn stało się kupą osmalonego złomu. Dwaj rycerze, którzy po chwili ramię w ramię wyłonili się z obłoku dymu, wyszli z tej potyczki bez szwanku.

Rozdzielili się bez słowa, aby otoczyć generała.

Grievous przestawił regulator elektropalki na maksymalne wyładowanie. Gdy uniósł ją do pozycji bojowej, iglice bluznęły potężną błyskawicą.

- Żałuję, ale nie mam czasu na walkę z wami. Byłaby doprawdy interesująca, ale, niestety, jestem umówiony na spotkanie z kapsułą ratunkową. A wy...

Biodroid wskazał na transpasterowy iluminator i z ukrytej wyrzutni wystrzelił w jego stronę kotwiczkę z linką. Haki wbiły się głęboko w jeden ze wsporników.

- Wy jesteście umówieni na spotkanie ze śmiercią.

Gdy Jedi skoczyli ku niemu, rzucił włączoną elektropalkę, ale nie w stronę atakujących.

Rzucił nią prosto w iluminator.

Jedna z transpasterowych płyt była pęknięta; w ogniu bitwy musnął ją strzał z laserowego działka któregoś z myśliwców. Gdy iskrząca pałka uderzyła dokładnie w linię pęknięcia, wyładowanie energetyczne z siłą granatu protonowego wyrzuciło odłamki iluminatora w kosmos.

Huragan, który zerwał się w ciągu sekundy, porywał wszystko, co napotykał na swojej drodze: ciała Neimoidian, szczątki androidów i resztki pulpityw pofrunęły w

stronę otwartej przestrzeni, wraz z chmurą błyskawicznie zamarzającego powietrza. Grievous skoczył w sam środek strumienia, w ostatniej chwili uciekając przed dwoma rycerzami Jedi, którzy zamiast atakować, staczali teraz gwałtowną walkę z potężnym wichrem. Grievous nie musiał się bronić przed wyssaniem na zewnątrz, ponieważ i tak nie oddychał. Nie obawiał się też, że jego płyny ustrojowe zagotują się w chłodzie kosmicznej pustki - ratowała go przed tym hermetyczna powłoka z syntyciała, która otaczała żywe elementy jego osoby pod metalowo-ceramicznym egzozszkieletem. Mógł więc spokojnie popłynąć z falą umykającego powietrza i zatrzymać się, gdy naprężyła się linka przytwierdzona do wspornika. Po chwili był już na pancerzu „Niewidzialnej Ręki”.

Odczepił linkę i, korzystając z dobrodziejstwa namagnesowanych stóp i dłoni, bez wysiłku pospieszył w stronę sekcji kapsuł ratunkowych, nie poświęcając wiele uwagi pięknemu widokowi ciemnej strony Coruscant, pociętej efektownymi smugami światła, która przesuwiała się dalekim tłem. Podpełzł do zewnętrznej śluzy znajdującej się najbliżej mostka i wpisał kod na panelu kontrolnym. Obejrzał się przez ramię i z zimną satysfakcją popatrzył na puste kapsuły odlatujące w kosmos.

Wszystkie.

Oprócz jednej.

Żadna sztuczka Mocy nie mogła pomóc Kenobiemu i Skywalkerowi w tej sytuacji. Grievous żałował tylko, że nie miał pod ręką androida-szpiega, którego mógłby zostawić na mostku. Ze szczerym zadowoleniem popatrzyłby sobie, jak najwięksi bohaterowie Republiki smażą się i umierają.

Jonowe smugi znaczyły ślad kapsuł odlatujących ku bezgłośnie szalejącej w oddali bitwie. W ich stronę pomknęły myśliwce i uzbrojone jednostki ratunkowe. Grievous bez słowa skinął głową. To powinno ich zająć, pomyślał, na czas mojego przelotu do ukrytego statku.

Gdy wsiadał do specjalnie przygotowanej kapsuły, naszała go interesująca refleksja: oto po raz pierwszy w swojej karierze nie wykonał rozkazu. Polecenie, które mu wydano, było jasne: kanclerz ma być cały i zdrowy. Tymczasem Palpatine miał zginąć lada chwila u boku swoich beczennych sprzymierzeńców, Jedi...

Grievous westchnął i wzruszył ramionami. Co więcej mógł uczynić? Tak bywa na wojnie.

Był pewien, że Lord Sidious mu wybaczy.

Tymczasem nad rozbitym iluminatorem zamknęły się hermetyczne, durastalowe osłony. Zanim jeszcze system podtrzymania życia ustabilizował ciśnienie powietrza na mostku, Jedi rozprawili się ze wszystkimi zdolnymi do walki androidami, które nie zostały wyssane na zewnątrz.

Teraz musieli jednak rozwiązać znacznie poważniejszy problem.

Silne wstrząsy targały okrętem niemal bez przerwy. Za ocalałymi iluminatorami widać było chmury iskier, które - jeśli wierzyć trzem sygnałom alarmowym rozbrzmiewającym na mostku jednocześnie - były skutkiem zerwania osłon ablacyjnych na dziobie uszkodzonego krążownika.

Anakin spojrział ponuro na wskazania przyrządów.

- Wszystkie kapsuły ratunkowe odleciały. Nie została ani jedna na całym statku - powiedział i spojrzął na Obi-Wana. - Jesteśmy w pułapce.

Kenobi wyglądał bardziej na zainteresowanego niż zmartwionego.

- Cóż, będziesz więc miał szansę wykazać się swoim legendarnym mistrzostwem pilotażu, mój młody przyjacielu. Potrafisz chyba latać takim krążownikiem?

- Latanie nie stanowi problemu. Prawdziwą sztuką jest lądowanie, do którego... - Anakin zaśmiał się cokolwiek nerwowo. - Wiesz, ten okręt nie został zaprojektowany do lądowania. Nie powinien tego robić nawet w jednym kawałku.

- Co z tego? - Słowa Anakina nie zrobiły na Obi-Wanie wielkiego wrażenia.

Skywalker odpiął pasy, które podtrzymywały zwłoki pilota, i ściągnął bezwładnego Neimoidianina z fotela.

- To, że powinieneś się przypiąć - powiedział, zasiadając za konsolę i przebiegając palcami po obco wyglądających przyrządach.

Krążownik podskoczył gwałtownie i do pozostałych alarmów dołączył nowy dźwięk.

- To nie ja! - zawołał Anakin, unosząc ręce. - Ja jeszcze nic nie zrobiłem!

- Jasne, że nie. - Głos Palpatine'a był nienaturalnie spokojny. - Zdaje się, że ktoś do nas strzela.

- Cudownie - mruknął Anakin. - Coraz lepiej.

- Może uda nam się nawiązać kontakt. - Obi-Wan podszedł do stanowiska łączności i dotknął ekranu. - Powiemy im, że przejęliśmy kontrolę nad okrętem.

- W porządku, zajmij się łącznością - zgodził się Anakin. - Artoo, zastąpisz drugiego pilota - dodał, wskazując na sąsiednie stanowisko. - Kanclerzu?

- Tak?

- Proszę się zapiąć. I to już. Będzie gorąco. - Anakin skrzywił się, widząc fragmenty płonącego poszycia przelatujące za iluminatorem. - W niejednym znaczeniu tego słowa.

Bitwa kosmiczna, która toczyła się na niebie nad Coruscant przez cały niezmiernie długi dzień, zaczynała z wolna dogasać.

Lśniące kopała smug jonowych i turbolaserowych strzałów zniknęła stopniowo, w miarę jak kolejne jednostki separatystów oddalały się od planety, by uciec w nadprze-strzeń. Światło dalekiej gwiazdy Coruscant załamywało się w połyskliwych chmurach gazu i szczątków, które niedawno były myśliwcami i ich pilotami. Uszkodzone okręty wojenne wlokły się ku stoczniom, mijając strzaskane wraki, dryfujące w nieskończonej przestrzeni międzyplanetarnej. Zwycięzcy zajmowali zdobyte jednostki, biorąc do niewoli załogi i montując sworznie ograniczników robotom.

Jasną stroną stołecznego świata spowijał dym z milionów pożarów wzniesionych przez syntetyczne meteoryty - spadające szczątki okrętów. Zbyt wiele ich było, by parasol obrony planetarnej zdołał wszystkie wychwycić i zniszczyć w locie. Światła ciemnej strony Coruscant były słabo widoczne, ich blask bowiem przyćmiewała czerwona poświata kraterów płonącej stali. Każde uderzenie spadających szczątków pozostawiało w powierzchni planety-miasta niewyobrazalny ślad śmierci. Teraz naj-



ważniejszymi jednostkami na niebie nie były już krążowniki i myśliwce, ale pojazdy straży pożarnej i ratownictwa medycznego.

I wreszcie ostatni, częściowo zniszczony okręt z rykiem rozdieranego powietrza wszedł w atmosferę. Leciał za szybko i zbyt stromym kursem, gubiąc fragmenty poszycia i wyposażenia, które spadały odtąd swoimi torami, spalając się i pozostawiając na niebie smugi przegrzanej pary. Baterie turbolaserów obrony planetarnej próbowały namierzać je i niszczyć, myśliwce zaś kursem przechwytyjącym podążały za co większymi bryłami kosmicznego złomu, by ostrzałem z dział pokładowych rozbić je na kawałki. Wyżej, ponad granicą atmosfery, na mostku RSS „Prawość” komandor podporucznik Lorth Needa przemawiał z naciskiem do niedużego, błękitnawego ducha wykreowanego przez lasery skanujące holokomu. Był to wizerunek postaci obcego odzianego w szatę Jedi; obcego o pomarszczonej twarzy, wylupiastych oczach i długich, ostro zakończonych, dziwnie giętkich uszach.

- Musicie wyłączyć system obrony planetarnej, panie! To generał Kenobi! - nalegał Needa. - Kod się zgadza. Skywalker jest z nim, a także kanclerz Palpatine!

- Wysłuchałem i zrozumiałem - odpowiedział spokojnie Jedi. - Powiedz, komandorze, czego im potrzeba.

Needa spojrzął w dół, na płonące płyty poszycia, które odrywały się od spadającego krążownika. Dokładnie w tej chwili okręt przełamał się na pół na wysokości pokładu startowego. Część rufowa zeszła z kursu, eksplodując w wielu miejscach. Ktokolwiek prowadził dziób okrętu, musiał być jednym z najgenialniejszych pilotów, o jakich Needa kiedykolwiek słyszał: dziób krążownika zakłócał się i nieco odchylił, ale zaraz odzyskał równowagę wyłącznie dzięki nielicznym działającym jeszcze dyszom manewrowym oraz ocalałym płatom hamującym lotu atmosferycznego.

- Przede wszystkim eskadry statków straży pożarnej - odparł Needa nieco spokojniej. - Jeśli nie uda się zapanować nad spalaniem poszycia, kadłub nie dotrze do powierzchni. Po drugie, przyda się umocniona platforma startowa, możliwie najpotężniejsza, bo łagodnego lądowania nie będzie. Właściwie w ogóle nie nazwałbym tego lądowaniem, tylko kontrolowaną katastrofą. Powtarzam: kontrolowaną katastrofą.

- Wysłuchałem i zrozumiałem - powtórzył hologram mistrza Jedi. -Prześlijcie nam sygnaturę ich transpondera. - Otrzymałszy przekaz, Jedi z powagą skinął głową. - Dziękuję, komandorze. Odważnie służyłeś dziś Republice i na wdzięczność zakonu Jedi zasłużyłeś. Yoda bez odbioru.

Lorth Needa mógł jedynie stać ze złożonymi na plecach rękami na mostku „Prawości” i przyglądać się temu, co działo się niżej. Nawyk wojskowej dyscypliny kazał mu ukrywać uczucia, ale skóra wokół jego kłykci zbiegła w mocnym uścisku, a po chwili bladeść sięgnęła prawie nadgarstków.

Każda kość w jego ciele czuła ból bezradności.

Needa wiedział dobrze, że szczątki okrętu są śmiertelną pułapką. Nikt nie był w stanie wylądować czymś takim, nawet Skywalker. Każda sekunda, która odwlekała ostateczny rozpad wraku, była cudem, a także dowodem talentu pilota, który w pełni zasługiwał na swoją reputację. Ile jednak cudów może zdarzyć się jeden po drugim?

Lorth Needa nie był religijny, nie miał też filozoficznych skłonności i upodobania do metafizyki. Moc znał jedynie ze słyszenia, ale teraz, mimo woli, w głębi serca prosił ją, by koniec ludzi uwieczonych w pędzącej pułapce był możliwie szybki.

Piekły go oczy, a ironia tej sytuacji ścisła mu gardło. Flota Terytorialna walczyła tego dnia dzielnie, a Jedi dokonali nadludzkich czynów - na przekór wszystkiemu, Republika wygrała tę bitwę.

Tyle że stawką w tym starciu było ocalenie Wielkiego Kanclerza Palpatine'a.

Bitwa była wygrana, lecz patrząc na to, co się działo, Needa nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Republika przegrywa wojnę.

Oto arcydzieło Anakina Skywalkera:

Wielu ludzi powtarza, że jest najlepszym pilotem w galaktyce, ale to tylko słowa, których źródłem są ustawicznie doniesienia HoloNetu o jego niezrównanie długiej liście strąceń w pojedynkach myśliwskich. Jednak niszczenie androidów-sepów i tri to tylko kwestia dobrego refleksu i zaufania do Mocy; Anakin Skywalker spędził w kabinie tyle godzin, że myśliwiec Jedi jest dla niego niczym dobrze dopasowany strój, a raczej niczym własne ciało, w którym silniki jonowe zastępują nogi, a działa służą jako pięści.

To, co robi teraz, przewyższa zwykłą sztukę pilotażu o tyle, o ile kunszt walki Jedi przewyższa szkolną bijatykę.

Siedzi w zbryzganym krwią i poszarpanym strzałami z blasterów fotelu, za konsolą którą widzi pierwszy raz w życiu, zaopatrzoną w dźwignie i przyciski przeznaczone dla dłoni istot innej rasy. Wrak okrętu nie tylko podskakuje co chwila niczym wściekły dewback na skutek potężnych turbulencji, ale także płonie i rozpada się jak kometa w zderzeniu z gazowym gigantem. Anakin ma niewiele sekund na nauczenie się sterowania obcym krążownikiem - nie tylko bez rufowych silników manewrowych, ale w ogóle bez rufy.

Krótko mówiąc, czeka go zadanie z gatunku niemożliwych. Niewykonalnych.

Ale on sobie poradzi.

Dokona tego, bo jest Anakinem Skywalkerem i nie wierzy w „niemożliwe”.

Wyciąga ręce i przez jedną długą chwilę muska delikatnie przyrządy kontrolne, wyczuwając palcami ich kształt, nasłuchując wibracji, które najmniejszy ruch wywołuje w funkcjonujących jeszcze podzespołach rozpadającego się statku, i pozwalając, by delikatny rezonans zabrzmiał w jego głowie absolutną harmonią. Jest jak ferroański wirtuoz radoharfy, sprawdzający strój instrumentu.

Jednocześnie zaś czerpie siłę z Mocy. Łączy spostrzegawczość i łut szczęścia, czyniąc z nich instynktowną, podświadomą wiedzę o tym, co się stanie w ciągu następnych dziesięciu sekund - ową intuicję, która zawsze była jądrem jego talentu.

I wreszcie zaczyna.

W odpowiedniej chwili wysuwają się płyty hamujące lotu atmosferycznego. Anakin zmienia kąt ich nachylenia i w razie potrzeby chowa je z powrotem, by znaleźć delikatną równowagę między wytracaniem pędu a przegrzewaniem i spalaniem płatów. Basowy ryk opływającego je powietrza nabiera z wolna rytmu, odrobinę nierównego

jak praca chorego serca. Dziobowe silniki manewrowe, uszkodzone podczas walki z okrętami Republiki, włączają się w dość przypadkowy sposób, lecz Anakin wyczuwa ich zamiary i potrafi pokierować ich pracą, z wolna zmieniając tę chaotyczną pieśń w spójny temat zaimprovizowanego koncertu.

Dziełem prawdziwie natchnionego umysłu, przebłyskiem niezwykłego geniuszu ożywiającym to arcydzieło, jest sopranowy kontrapunkt: synkopowana sekwencja otwierających się i zamykających włazów i furt w poszyciu krążownika. Anakin kieruje nimi tak, by subtelnie zmieniały parametry aerodynamiczne kadłuba. To wystarcza, by unieść dziób okrętu, skorygować kurs i znowu obniżyć lot, kierując go wąskim stożkiem podejścia do celu odległego o jedną ósmą obwodu planety.

Jest to możliwe dzięki Mocy, ale nie tylko dzięki niej. Anakin nie jest zainteresowany bierną akceptacją tego, co przynosi Moc. Nie tutaj. Nie teraz. Nie wtedy, gdy stawką jest życie Palpatine'a i Obi-Wana. Wręcz przeciwnie: Anakin chwytą się z Mocą za bary, uparcie nie biorąc po uwagę możliwości porażki.

Wyląduje tym statkiem.

Ocali przyjaciół.

Wola Anakina Skywalkera i wola Mocy to nie to samo.



**U W I E D Z E N I E**

Ciemność jest szczodra i cierpliwa.  
 To ona sieje ziarno okrucieństwa w gruncie sprawiedliwości, ona sący pogardę we współczucie, ona zatruwa miłość drobinami zwątpienia.  
 Ciemność pozwala sobie na cierpliwość, ponieważ najmniejsza kropla deszczu wystarczy, by ziarna te zaczęły kiełkować.  
 Deszcz nadejdzie, a ziarna wykiełkują, bowiem ciemność jest dla nich glebą i chmurą nad nimi; czeka wytrwale za gwiazdą, która daje im światło.  
 Cierpliwość ciemności jest nieskończona.  
 Wcześniej czy później nawet gwiazdy muszą się wypalić.

## ROZDZIAŁ

# 8

### LINIE USKOKÓW

Mace Windu wisiał w otwartym włązie przedziału pasażerskiego kanonierki szturmowej, uczepony chropawej powierzchni poręczy, przymykając powieki przed wiatrem, który targał jego płaszczem. Wolną ręką osłaniał oczy przed blaskiem jednego ze zwierciadeł orbitalnych, które skupiały światło i kierowały je ku dziennej stronie planety. Lustro odwracało się już z wolna, stopniowo dopuszczając strefę półmroku w rejon miejsca, do którego zmierzała kanonierka.

A miejscem tym była gruba na kilometr platforma lądowiska, położona w rozległej strefie przemysłowej planetarnego miasta, oznaczona teraz widoczną z daleka, lekko ukośną kolumną dymu i pary. Ciemna smuga zaczynała właśnie rozciągać się z wolna po niebie, a stratosferyczne wiatry rozwiewały ją wzdłuż horyzontu.

Kanonierka mknęła nad bezdennymi kanionami z durastali i permabetonu, z których składał się pejzaż Coruscant, wprost ku strefie przemysłowej, łamiąc wszelkie prawa rządzące ruchem powietrznym w stolicy Republiki. Dopóki senat nie ogłosił zniesienia stanu wojennego, mroczne niebo nad miastem należało wyłącznie do jednostek wojskowych, statków Jedi oraz pojazdów ratunkowych.

Kanonierka zaliczała się do wszystkich trzech kategorii.

Mace dostrzegł już w oddali okręt - a raczej to, co z niego zostało - spoczywający na osmalonej platformie startowej. Właściwie był to fragment kadłuba, mniej niż jedna trzecia tego, co niedawno było flagową jednostką Gildii Kupieckiej. Wrak wciąż płonął, chociaż łały się na niego strumienie piany gaśniczej, rozpylanej przez pięć statków pożarniczych i przez żołnierzy-klonów z ekipy ratunkowej, uwijających się na lądowisku.

Mace pokręcił głową. Znowu Skywalker. Wybraniec.

Kto inny sprowadziłby bezpiecznie na powierzchnię takie truchło? Kto choćby podjął się takiego wyczynu?

Kanonierka wyhamowała z wyciem przeciążonych repulsorów. Mace wyskoczył, nie czekając aż maszyna znieruchomieje, i otwartą dłonią dał pilotowi sygnał, by zaczął. Pilot bez twarzy - bo zasłaniał ją szczelnie hełm - odpowiedział, unosząc zaci-

śniętą pięść.

Choć naprawdę wcale nie był żołnierzem bez twarzy... Pod skorupą hełmu znajdowała się twarz klona, którą Mace Windu pamiętał aż za dobrze.

Twarz, która już zawsze miała mu przypominać o tym, że miał w garści Dooku i pozwolił mu uciec.

W poszyciu wraku otworzyła się jedna z klap, pod którymi powinny były znajdować się kapsuły ratunkowe. Drużyna żołnierzy natychmiast pobiegła tam ze zjeżdżalnią ewakuacyjną i chwilę później Wielki Kanclerz, Obi-Wan Kenobi i Anakin Skywalker stali już na płycie lądowiska, obok płonącego okrętu. Zaraz też dołączyła do nich nieco poobijana jednostka R2, która opuściła wrak za pomocą własnych silniczków rakietowych.

Mace energicznym krokiem ruszył im na spotkanie.

Szata kanclerza była osmalona i postrzępiona na brzegach, a sam Palpatine wyglądał na osłabionego - wspierał się na ramieniu Skywalkera, gdy oddalali się od wraku. Mistrz Kenobi, idący po drugiej stronie młodego Jedi, prezentował się znacznie gorzej: był obsypany pyłem, a z rany na głowie ciekł mu strumyczek krwi.

Skywalker zaś - wręcz przeciwnie; wyglądał tak, jak powinien wyglądać rasowy bohater HoloNetu. Górował nad swoimi towarzyszami, jakby jakimś cudem urosł jeszcze w ciągu tych paru miesięcy, które minęły, odkąd Mace widział go po raz ostatni. Miał bujne, zmierzwiłone włosy i zdrową cerę, szedł zaś z gracją typową dla urodzonych wojowników. W jego wyglądzie było coś nowego: być może w ruchach głowy albo w sposobie, w jaki Palpatine opierał się na jego ramieniu, jakby tak właśnie być powinno... A może było to coś zupełnie nieuchwytnego. Nowa swoboda, nowa pewność siebie. Aura wewnętrznej siły.

Osobowość.

Skywalker nie był tym samym młodzieńcem, którego Rada Jedi wysłała do Zewnętrznych Rubieży przed pięcioma standardowymi miesiącami.

- Kanclerzu- odezwał się Mace, stając przed nimi. - Dobrze się czujesz? A może potrzebna ci pomoc medyczna? - spytał, wskazując na czekającą opodal kanonierkę. - Mamy tu prawie szpital polowy...

- Nie, nie, nie ma potrzeby - odparł Palpatine dość słabym głosem. - Dziękuję, mistrzu Windu, ale nic mi nie jest. Mam się całkiem nieźle... dzięki tym dwóm.

Mace skinął głową.

- Mistrzu Kenobi? Anakinie?

- W życiu nie czułem się lepiej - odpowiedział Anakin i wyglądał dokładnie tak, jak wynikało to z jego słów. Obi-Wan tylko wzruszył ramionami i skrzywił się lekko, dotykając rany na głowie.

- Nabilem sobie guza. Jestem pewien, że szpital polowy przyda się gdzie indziej.

- W rzeczy samej - odparł z powagą Mace. - Nie mamy jeszcze nawet wstępnych danych na temat liczby ofiar wśród cywilów.

Machnął ręką w stronę pilota i kanonierka z rykiem uniosła się w powietrze, by pomknąć ku niezliczonym pożarom, które malowały czerwień i ciemniejące niebo.

- Prom jest już w drodze, kanclerzu, za godzinę będziesz w senacie. Zawiadomiliśmy już HoloNet, że zechcesz wygłosić oświadczenie.

- Istotnie, chciałbym to zrobić. - Palpatine dotknął ramienia Mace'a. - Zawsze nieźmiernie ceniłem sobie twoją pomoc, mistrzu Windu. Dziękuję ci.

- To zaszczyt dla Jedi służyć senatowi, panie. - Możliwe, że akcent padł na słowo „senatowi”, lecz Mace nie okazał żadnych uczuć, gdy subtelnym ruchem usuwał ramię spod dłoni Wielkiego Kanclerza. Spojrzał na Obi-Wana. - Chciałbyś złożyć raport, mistrzu Kenobi? Co z generałem Grievousem?

- Był tam hrabia Dooku - wtrącił zniecierpliwiony Skywalker. Mace Windu nie umiał odczytać wyrazu jego twarzy; miał wrażenie, że prócz dumy dostrzega i rezerwę, i lek... może nawet smutek. - Nie żyje.

- Nie żyje? - Mistrz Windu spojrział na Anakina, na Obi-Wana i znowu na Anakina. - Czy to prawda? Zabiliście hrabiego Dooku?

- Mój młody przyjaciel jest zbyt skromny. To on zabił hrabiego Dooku. - Kenobi z uśmiechem dotknął krzepnącej już krwi na głowie. - Ja w tym czasie... uciałem sobie drzemką.

- Ale... - Mace zatrzepotał powiekami.

Dooku był dla separatystów tym, czym Palpatine dla Republiki: ośrodkiem grawitacji spajającym spiralną galaktykę interesów. Bez niego Konfederacja Niezależnych Systemów nie mogła dłużej być konfederacją. Musiała rozpaść się w ciągu kilku tygodni.

Może nawet dni.

- Ale... - powtórzył Mace.

Tylko że żadne „ale” nie przychodziło mu do głowy. To, co usłyszał, było tak wspaniałe, że miał ochotę uśmiechnąć się szeroko.

- To jest - odezwał się wreszcie - najlepsza wiadomość, jaką dostałem od... - Mistrz potrząsnął głową. - Nie pamiętam od kiedy. Jak tego dokonałeś, Anakinie?

Ku jego zdziwieniu, Skywalker wyglądał na dziwnie zmieszanego. Nowa aura pewności rozwiała się w jednej chwili jak pole przeciążonego generatora. Zamiast popatrzeć mistrzowi w oczy, Anakin zerknął na Palpatine'a. Mace miał wrażenie, że nie był to przejaw skromności. I on spojrział na kanclerza, coraz mniej uradowany, coraz bardziej zdziwiony i podejrzliwy.

- To było... absolutnie nadzwyczajne- oznajmił Palpatine, nie przejmując się spojrzeniem zmrużonych oczu mistrza Windu. - Ja, oczywiście, prawie nic nie wiem o sztuce władania mieczem, lecz jeśli chcecie znać opinię amatora, odniosłem wrażenie, że hrabia Dooku był... odrobinę zbyt pewny siebie. Zwłaszcza po tym, jak gładko rozprawił się z mistrzem Kenobim.

Obi-Wan zarumienił się nieco, znacznie mniej jednak niż jego uczeń.

- Być może młody Anakin był po prostu... lepiej umotywowany - rzekł Palpatine, uśmiechając się ciepło do swojego ulubieńca. - Dooku walczył przeciw tylko po to, by zabić wroga; Anakin bił się po to, żeby ocalić... -jeśli wolno mi użyć tego zaszczytnego określenia... - przyjaciela.

Zmarszczki na czole Mace'a pogłębiły się. Piękne słowa. Może nawet prawdziwe, ale nie podobały mu się ani trochę.

Nikomiu w Radzie Jedi nie podobała się bliska znajomość Skywalkera z kancle-rzem - jeszcze gdy Anakin był padawanem, rozmawiali o tym z Obi-Wanem niejednym raz - a Mace ze szczególną niechęcią przyjmował słowa Palpatine'a, głównie dlatego że były wypowiedziane w imieniu młodego Jedi, jakby on sam nie mógł mówić za siebie.

- Jestem pewien, że Rada bardzo chętnie wysłucha szczegółowego raportu, Anakinie - odrzekł, celowo akcentując słowo „szczęgółowego”.

Skywalker przełknął ślinę, a aura spokoju i pewności siebie odrodziła się w nim równie nagle, jak przedtem znikła.

- Tak. Tak, oczywiście, mistrzu Windu.

- Musimy też zameldować, że Grievous zdołał uciec - dodał Obi-Wan. - Tchórzliwie, jak zwykle.

Mace przyjął tę wiadomość skinieniem głowy.

- Jest tylko dowódcą wojskowym. Bez Dooku, który trzymał tę koalicję w garści, tak zwane niezależne systemy przestaną współpracować, i dobrze o tym wiedzą. - Mace spojrział w oczy Wielkiego Kanclerza. - To nasza największa szansa na pokój. Możemy zakończyć tę wojnę już teraz.

Sluchając odpowiedzi Palpatine'a, Mace Windu sięgnął po Moc.

Świat skryształizował się nagle; rzeczywistość przyjęła postać klejnotu naznaczonego skazami i liniami uskoków symbolizującymi to, co możliwe. To właśnie był wyjątkowy dar Mace'a: umiejętność dostrzegania tego, jak ludzie i sytuacje pasują do siebie w Mocy, znajdowania płaszczyzn przecięcia, które można wykorzystać w pożyteczny sposób, i odgadywania tego, jakim uderzeniem można dokonać najskuteczniejszej zmiany. I choć nie potrafił precyzyjnie odgadnąć znaczenia struktur, które widział, ciemna chmura spowijająca Moc, która pojawiła się wraz z odrodzeniem Sithów, gęstniała z każdym dniem -to zawsze bezbłędnie interpretował punkty przełomu.

Mace poparł pomysł szkolenia Anakina Skywalkera, choć stał w sprzeczności z tradycją Jedi, liczącą tysiące lat. Poparł go, gdyż z linii uskoków, które dostrzegał w Mocy, umiał odczytać trafność słów Qui-Gona Jinn: mały niewolnik z Tatoonie rzeczywiście był Wybrańcem, o którym mówiła przepowiednia, zrodzonym po to, by przywrócić równowagę Mocy. Był też za uznaniem młodego, niedoświadczonego Obi-Wana Kenobiego za mistrza i za powierzeniem mu szkolenia wybrańca, ponieważ dzięki swojemu darowi zobaczył w Mocy potężne linie przeznaczenia spajające losy tych dwóch Jedi, na dobre i na złe. W dniu, gdy powierzono Palpatine'owi stanowisko Wielkiego Kanclerza, mistrz Windu dostrzegł natychmiast, że nowo wybrany przywódca sam jest punktem przełomu o niewyobrażalnym znaczeniu: człowiekiem, od którego mógł zależeć los Republiki.

Teraz zaś, gdy widział tych trzech ludzi razem, skomplikowana siatka uskoków i drobnych pęknięć łączyła ich w sposób tak potężny, że nie umiał objąć umysłem podobnie złożonej struktury.

Z jakiegoś powodu Anakin wydawał się punktem podparcia tej dźwigni, która po jednej stronie miała Obi-Wana, po drugiej zaś Palpatine'a. Stawką utrzymania równo-

wagi była galaktyka, lecz ciemna chmura przesłaniająca Moc nie pozwalała Mace'owi sięgnąć myślą w przyszłość na tyle, by zobaczyć, jak się zakończy ta próba sił. Balans był nadzwyczaj delikatny, nie sposób było przewidzieć skutków żadnego ruchu. Najdrobniejsze wychylenie w którąkolwiek stronę mogło doprowadzić do wielkiej i chaotycznej oscylacji. Wszystko było możliwe.

Absolutnie wszystko.

Gęsta siatka połączeń spajająca trzech ludzi, których Mace miał przed sobą, cuchnęła Ciemną Stroną.

Mistrz uniósł głowę i spojrział na ciemniejące niebo, na którym szybko rosła spadająca gwiazda wahadłowca Jedi.

- Obawiam się, że pokój jest wykluczony, póki Grievous jest na wolności - rzekł smutno kanclerz. - Dooku był jedynym hamulcem jego szalonej żądy krwi. Teraz, kiedy hrabiego zabrakło, generał ma wolną rękę; może pustoszyć galaktykę wedle uznania. Niestety, koniec tej wojny wydaje się daleki; co więcej, widzę raczej niebezpieczeństwo straszliwej eskalacji konfliktu.

- A co z Sithami? - spytał Obi-Wan. - Śmierć Dooku powinna być przynajmniej trochę złagodzić wpływ ciemności, tymczasem wyczuwam ją wyraźniej niż kiedykolwiek. Obawiam się, że przeczcucia nie myślą mistrza Yody: Dooku był ledwie uczniem Lorda Sithów, nie mistrzem.

Mace ruszył w stronę lądowiska dla małych pojazdów, gdzie miał się zatrzymać prom. Pozostali podążyli za nim.

- Lord Sithów, jeśli w ogóle istnieje, ujawni się we właściwym czasie. Jak zawsze. - Mace Windu miał nadzieję, że Obi-Wan zrozumie sugestię i porzuci ten temat; nie zamierzał rozmawiać otwarcie, w obecności Wielkiego Kanclerza, o wynikach prowadzonego śledztwa.

Im mniej Palpatine wie, tym lepiej, pomyślał mistrz.

- Ciekawszą zagadką wydaje się Grievous -powiedział. - Miał cię w rękę, kanclerzu, a przecież cnota litości raczej nie jest mu znana. Oczywiście cieszymy się niezmiernie, że cię oszczędził, wciąż jednak zastanawiam się, dlaczego to zrobił.

Palpatine rozłożył ręce.

- Mogę tylko przypuszczać, że separatyści woleli uczynić ze mnie zakładnika niż męczennika. Prawdy jednak, naturalnie, nie poznamy; nie można nawet wykluczyć, że zawdzięczam życie zwyktemu kaprynowi generała, który słynie przecież z nieprzewidywalności.

- Być może dowództwo separatystów powstrzyma jego zapędy w zamian za... - Mace w zamyśleniu spojrział gdzieś ponad głowę kanclerza - .. za pewne względy.

- Wykluczone. - Palpatine wyprostował się i wygładził długą szatę. - Negocjacje pokojowe oznaczałyby uznanie Konfederacji Niezależnych Systemów za legalną władzę zbuntowanych światów, a to równałoby się przegraniu wojny! Nie, mistrzu Windu, ten konflikt może się zakończyć tylko w jeden sposób: bezwarunkową kapitulacją. A póki żyje Grievous, nic takiego nie nastąpi.

- Zatem Jedi - podsumował Mace - uczynią schwywanie generała Grievousa swoim nadrzędnym celem. - Spojrział kolejno na Anakina, Obi-Wana i ponownie na Palpatine'a. Pochylił się nieco w stronę kanclerza i głosem cichym, lecz stanowczym, w którego

'a. Pochylił się nieco w stronę kanclerza i głosem cichym, lecz stanowczym, w którego tonie kryła się najdelikatniejsza nuta podejrzliwości i ostrzeżenia, dodał: - Ta wojna i tak trwa o wiele za długo. Znajdziemy go. Wtedy wojna się skończy.

- Nie wątpię. - Palpatine szedł wciąż równym krokiem, jakby zupełnie obojętne były mu słowa mistrza Windu - Ale uważam, że nie powinniśmy lekceważyć podstępności separatystów. Możliwe, że cała ta wojna była zaledwie jednym ruchem - dorzucił z elegancką precyzją- w jakiejś większej grze.

Gdy prom Jedi mknął w kierunku prywatnego lądowiska kanclerskiego przy biurach senatu, Obi-Wan obserwował bacznie Anakina, który udawał, że nie wygląda przez iluminator. Na płycie startowej czekał już skromny komitet powitalny złożony z senatorów. Skywalker wyglądał tak, jakby rozpaczliwie starał się wypatrzeć wśród nich jedną, konkretną twarz. Udawanie czegokolwiek było i tak stratą czasu, bowiem w Mocy Anakin emanował podnieceniem tak silnie, że Obi-Wan nieomal słyszał łomot jego serca.

Mistrz westchnął bezgłośnie. Bardzo dobrze wiedział, czyją twarz jego były uczeń tak bardzo pragnął ujrzeć.

Gdy wahadłowiec wylądował, Mace Windu spojrzał na Kenobiego ponad ramieniem Anakina. Niemał niezauważalny gest mistrza z Haruun Kai wystarczył; Obi-Wan nie musiał mu odpowiadać - po prostu został w tyle, gdy Palpatine, Anakin i R2 wysiedli i ruszyli na spotkanie życziwego tłumku.

Skywalker zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na swojego nauczyciela.

- Idziesz z nami?

- Do polityki jakoś brakuje mi odwagi - odrzekł Obi-Wan, jak zawsze uśmiechając się lekko. - Złożę meldunek Radzie.

- Nie powinienem być z tobą?

- Nie musisz. To nie będzie oficjalny raport. Poza tym - Obi-Wan kiwnął głową w stronę ekip HoloNetu blokujących przejście - któryś z nas musi robić za chłopca z plakatu.

Anakin spojrzał na niego z wyrzutem.

- Mężczyznę z plakatu.

- Słusznie, całkiem słusznie - przyznał Obi-Wan i zachichotał. -Idź już, spotkaj się z publicznością, Mężczyzno z Plakatu.

- Zaraz, zaraz, cała ta akcja była twoim pomysłem! To ty ją zaplanowałeś. Ty poprowadziłeś. Więc teraz przyjmij pokłony.

- Nie wyłgasz się z tego tak łatwo, mój młody przyjacielu. Bez ciebie nie doleciałbym nawet do okrętu flagowego. Zabiłeś hrabiego Dooku i właściwie sam uratowałeś kanclerza, w dodatku, jeśli wolno mi o tym wspomnieć, dźwigając na plecach starego, zniedołężniałego i nieprzytomnego mistrza Jedi. Nie mówiąc o tym, że manewr lądowania w twoim wykonaniu będzie sztandarowym przykładem Absolutnie Niemożliwego we wszelkich podręcznikach latania... przez następny tysiąc lat.

- Wyłącznie za sprawą twojego szkolenia, mistrzu...

- To tylko wymówka. Jesteś bohaterem, idź więc i spędź dzień chwały w otoczeniu... - Obi-Wan pozwolił sobie na odrobinę lekceważące chrząknięcie- ...polityków.

- Daj spokój, mistrzu, jesteś mi coś winien. Nie tylko za uratowanie ci skóry po raz dziesiąty z rzędu...

- Dziewiąty. Cato Neimoidia się nie liczy; to, co się tam zdarzyło, to była twoja wina - bronił się Obi-Wan, machając ręką. - Zobaczymy się rano; musimy złożyć raport z misji na Zewnętrznych Rubieżach.

- Cóż... niech ci będzie. Ale tylko ten jeden raz. - Anakin roześmiał się i pomachał mistrzowi ręką, a potem energicznym krokiem podążył za Palpatine'em, który wniknął już w tłum senatorów gładko jak nasmarowana transpastał, z wprawą zawodowego polityka.

Właz zamknął się i prom wystartował. Obi-Wan nie uśmiechał się już, gdy stawał przed Mace'em Windu.

- Chciałeś ze mną pomówić, mistrzu Windu.

Mace podszedł bliżej i ruchem głowy wskazał na scenę rozgrywającą się za iluminatorem, na lądowisku.

- Chodzi o Anakina. Nie podobają mi się jego stosunki z Palpatine'em.

- Rozmawialiśmy już o tym.

- Coś jest między nimi. Coś nowego. Zobaczyłem to w Mocy. -Głos Mace'a był poważny i pewny. - Było to coś potężnego i niezwykle groźnego.

Obi-Wan rozłożył ręce.

- Powierzyłbym Anakinowi własne życie.

- Wiem. Chciałbym tylko, abyśmy równie pewnie mogli powierzyć kanclerzowi życie Anakina.

- Tak- przyznał Kenobi, marszcząc brwi. - Polityka Palpatine'a bywa niekiedy... dyskusyjna. I prawdą jest, że traktuje Anakina tak, jak stary, dobrotliwy wujek traktuje ukochanego siostrzeńca.

Mace Windu raz jeszcze wyjrzał przez iluminator.

- Kanclerz uwielbia władzę. Nigdy nie zauważyłem, by oddawał się innej pasji.

Obi-Wan pokręcił głową z lekkim niedowierzaniem.

- Przypominam sobie, mistrzu, że nie tak dawno temu sam go podziwiałeś.

- Świat się zmienia - odparł pośpiesznie Mace Windu.

Lecąc ponad dymiącymi ruinami, które zaledwie dzień wcześniej były Iśniącymi w słońcu, strzelistymi budynkami pełnymi żywych istot, w kierunku Świątyni pełnej wspomnień o tak wielu Jedi, którzy mieli nie powrócić z tej wojny, Obi-Wan nie mógł odmówić mistrzowi racji.

- Co mam robić? - spytał po chwili.

- Nie jestem pewien. Znasz mój dar: nie zawsze umiem zinterpretować to, co widziałem. Bądź czujny. Zwracaj uwagę na Anakina i bądź ostrożny przy Palpatinie. Nie wolno mu ufać; jego wpływ na Anakina może być niebezpieczny.

- Ale Anakin jest Wybrańcem i...

- I tym bardziej powinniśmy się obawiać wpływów z zewnątrz. Zebraliśmy poszlaki, które wskazują na związek Sidiousa z najbliższym otoczeniem Palpatine'a.

Obi-Wan na chwilę stracił oddech.  
 - Jesteś pewien...?  
 Mace pokręcił głową.  
 - Nic nie jest pewne. Ale ten atak, porwanie Palpatine'a, to nie mogła być robota kogoś z zewnątrz. I jeszcze to zgranie w czasie... Mistrzu Kenobi, mieliśmy go prawie w rękę! Informacje, które ty i Skywalker zdobyliście wcześniej, pozwoliły nam zlokalizować Lorda Sithów w opuszczonej fabryce w dzielnicy przemysłowej, nie tak daleko od miejsca, w którym udało się Anakinowi posadzić krążownik. W chwili, gdy nastąpił atak separatystów, szliśmy jego tropem tunelami, przez niższe poziomy miasta. - Mace spojrział przez iluminator na rozległy kompleks mieszkalny, który zasłaniał zachodni horyzont. - Ślad prowadził do piwnic Pięćsetki Republiki.  
 Na całej planecie nie było bardziej ekskluzywnego adresu. Mieszkańcy tego kompleksu gmachów znajdowali się albo niewiarygodnie zamożni, albo niewiarygodnie wpływowi; byli wśród nich ludzie tacy jak Raith Sienar z konglomeratu Sienar Systems, a nawet sam Palpatine.  
 - O. - Obi-Wan Kenobi nie zdołał wykrztusić niczego więcej.  
 - Musimy więc wziąć pod uwagę możliwość... całkiem realną możliwość, że to, co Dooku powiedział ci na Geonosis, jest prawdą. Że senat jest pod wpływem, a może i pod kontrolą, Dartha Sidiousa. I to od lat.  
 - Czy macie... - Obi-Wan z trudem przełknął ślinę. - Macie już podejrzanych?  
 - Zbyt wielu. Wiemy tylko tyle, że Sidious jest istotą dwunożną, mniej więcej ludzkiej postaci. Zaraz przychodzi na myśl Sate Pestage... Nie wykluczyłbym też Masa Ameddy. Być może Lord Sithów ukrywa się w szeregach Czerwonej Straży. Nikt tego nie wie.  
 - Kto prowadzi przesłuchania? - spytał Obi-Wan. - Chętnie się przyłączę. Moje zmysły nie są może tak czułe jak innych mistrzów, ale...  
 Mace potrząsnął głową.  
 - Przesłuchać osobistych asystentów i doradców Wielkiego Kanclerza? Niemożliwe.  
 - Ależ...  
 - Palpatine nigdy na to nie pozwoli. Choć nie powiedział nam tego wprost... - Mace zapatrzył się na pejzaż miasta - ...to jestem pewien, że nawet nie wierzy w istnienie Sitha.  
 Obi-Wan zamrugał ze zdziwieniem.  
 - Ale... w jaki sposób może...  
 - Spójrz na to z jego punktu widzenia: jedynym dowodem jest słowo Dooku, który już nie żyje.  
 - A Lord Sithów na Naboo, ten Zabrak, który zabił Qui-Gona...  
 Mace Windu wzruszył ramionami.  
 - Też zabity. Wiesz coś o tym, prawda? Nasze stosunki z Urzędem Wielkiego Kanclerza są... trudne. Mam wrażenie, że Palpatine stracił zaufanie do Jedi. A ja niewątpliwie straciłem zaufanie do niego.

- Przecież kanclerz nie ma prawa wtrącać się do śledztwa prowadzonego przez Jedi... - Obi-Wan umilkł niepewny. - Prawda?  
 - Senat scedował na niego tak wiele uprawnień, że naprawdę trudno dziś powiedzieć, gdzie kończy się władza kanclerza.  
 - Jest aż tak źle?  
 Mace zacisnął szczękę.  
 - Jedynym powodem, dla którego sam Palpatine nie jest podejrzany, jest to, że on już rządzi galaktyką.  
 - Przecież jesteśmy bliżsi wykorzenienia Sithów niż kiedykolwiek - rzekł Kenobi wolno. - To chyba dobra wiadomość. Powiedziałbym, że przyjaźń Anakina z Palpatine'em jest nawet sprzyjającą okolicznością. Mój druh ma do kanclerza dostęp, o jakim żaden inny Jedi nie może nawet marzyć. Ta przyjaźń to atut, nie zagrożenie.  
 - Nie możesz mu tego powiedzieć.  
 - Słucham?  
 - Z całej Rady tylko Yoda i ja wiemy, jak głęboko sięga ta sprawa. Teraz wiesz i ty. Postanowiłem podzielić się z tobą naszymi podejrzeniami, ponieważ najłatwiej ci będzie obserwować Anakina. Tylko obserwować. Nic więcej.  
 - Ale my... - Obi-Wan bezradnie pokręcił głową. - My nie mamy przed sobą tajemnic.  
 - Tej jednak będziesz musiał dochować. - Mace zaplótł dłonie i rozciągnął palce, aż stawy trzasnęły kolejno jak seria blasterowych wystrzałów. - Skywalker jest być może najpotężniejszym z żyjących Jedi i wciąż przybywa mu sił. Nie jest jednak stabilny. Wiesz o tym. Wszyscy wiemy. To powód, dla którego nie może zostać mianowany mistrzem. Należy trzymać go z dala od Rady mimo jego nadzwyczajnego talentu. A jeśli chodzi o przepowiednię Jedi... nie jest ona prawdą absolutną. Im mniej Anakin będzie miał do czynienia z Palpatine'em, tym lepiej.  
 - Ale z pewnością... - Obi-Wan urwał w pół zdania. Pomyślał o niezliczonych przypadkach łamania rozkazów przez Anakina. Pomyślał o tym, jak bezwarunkowo lojalny okazał się jego były uczeń wobec tych, których uważał za przyjaciół. Pomyślał o niebezpieczeństwie, na które nieświadomie narażał się Palpatine, mając Sitha wśród swoich doradców...  
 Mistrz Windu miał rację. Nie wolno było powierzyć Anakinowi tej tajemnicy.  
 - A co mogę mu powiedzieć?  
 - Nic. Wyczuwam wokół niego Ciemną Stronę Mocy. Wokół ich obu.  
 - Podobnie jak wokół nas - przypomniał mu Obi-Wan. - Ciemna Strona dotyka nas wszystkich, mistrzu Windu. Nawet ciebie.  
 - Wiem o tym aż za dobrze, Obi-Wanie. - Przez sekundę Kenobi dostrzegł w oczach mistrza z Haruun Kai smutek, wręcz udrękę. Mace odwrócił głowę. - Możliwe jest też, że będziemy musieli... wystąpić przeciwko Palpatine'owi.  
 - Wystąpić przeciwko... ?  
 - Jeżeli istotnie jest pod wpływem Lorda Sithów, możemy nie mieć innego wyjścia.

Obi-Wan poczuł, że drętwieje od stóp do głów. Ogarnęło go przemożne wrażenie nierzeczywistości, jakby cała ta rozmowa w ogóle nie miała miejsca.

- Nie było cię tu, Obi-Wanie. - Mace spuścił głowę i wbił spojrzenie we własne dłonie. - Byłeś daleko; toczyłeś wojnę na Zewnętrznych Rubieżach. Nie wiesz, co się działo tutaj, nie byłeś świadkiem ani kłótni i targów grupy zachłannych głupców zasiadających w senacie, ani nieustannego, cynicznego, bezwzględniego manewrowania Palpatine'a, którego jedynym celem jest władza. On wyrąbuje i zabiera kawały naszej wolności, bandażując rany strzępami iluzji bezpieczeństwa. I na co to wszystko? Spójrz na tę planetę, Obi-Wanie! Oddaliśmy tyle swojej swobody, ale czy wyglądamy na bezpiecznych?

Obi-Wan słuchał tego ze ściśniętym sercem. To nie był Mace Windu, jakiego znał i podziwiał. Wydawało się, że ciemność spowijająca Moc jest tu, na Coruscant, znacznie gęściejsza niż gdziekolwiek indziej, i że sączy truciznę w duszę Mace'a, w sercach zaś innych członków Rady Jedi może nawet rozbudza podejrzliwość i nieposłuszeństwo.

Ciemność panująca na zewnątrz była najgroźniejsza wtedy, gdy Jedi podsycali ją ciemnością płynącą z wnętrza.

Kenobi obawiał się od pewnego czasu, że gdy wróci na Coruscant i do Świątyni, sprawy będą wyglądały gorzej niż przed wyprawą do Zewnętrznych Rubieży, ale w najczarniejszych snach nie przewidywał, że będzie aż tak źle.

- Mistrzu Windu... Mace... Pójdziemy razem do Yody- powiedział stanowczo. - Razem, w trzech, na pewno coś wymyślimy. Zobacysz.

- A jeżeli jest już za późno?

- Nie wiesz tego na pewno, prawda? Możemy zrobić tylko tyle, ile możemy, Mace. Pewien bardzo, bardzo mądry Jedi powiedział mi kiedyś: „Nie musimy zwyciężyć. Wystarczy, że będziemy walczyć”.

Niektóre z głębokich bruzd przecinających czoło mistrza Windu zniknęły, gdy spojrzał ponownie w oczy Obi-Wana. W kąciку jego ust pojawiło się nawet coś, co pewnego dnia mogło przeistoczyć się w uśmiech - zmęczony i smutny, ale jednak uśmiech.

- Wydaje się - rzekł niespiesznie - że zapomniałem już o tym Jedi. Dzięki, że mi o nim przypomniałeś.

- Przynajmniej tyle mogłem zrobić - odparł lekko Obi-Wan, chociaż wciąż czuł w piersi nieprzyjemny ciężar.

To jednak prawda, że wszystko się zmienia, pomyślał.

Anakin czuł bicie serca aż w gardle, lecz mimo to wciąż się uśmiechał, kiwał głową i ścisnął dłonie. Przez cały czas jednak rozpaczliwie próbował dryfować w stronę znajomej, złotogłowej postaci androida protokolarnego, który przystanął skromnie za tłumem senatorów, z prawym ramieniem uniesionym w nieśmiałym pozdrowieniu skierowanym do R2-D2.

Nie było jej. Dlaczego?

Coś musiało się stać.

Wiedział, czuł w środku, że coś jej się stało. Może wypadek, może choroba, a może przysypał ją gruz któregoś ze zniszczonych tego dnia budynków... Może była w pułapce, ranna, może właśnie teraz wzywała go na pomoc, może się dusiła, a może zbliżały się do niej płomienie...

Przestań, zgaśnił się w duchu Skywalker. Nic jej nie jest.

Wiedział, że gdyby naprawdę coś się wydarzyło, wyczułby prawdę choćby i z Zewnętrznych Rubieży. Bez wątplenia.

Tylko dlaczego nie przyszła?

Czyżby coś...

Anakin stracił oddech. Nie mógł nawet myśleć o tym, co mogło się zdarzyć, a jednocześnie... musiał o tym myśleć.

Czyżby coś się zmieniło?

W jej uczuciach?

Młody Jedi zdołał wreszcie wyswobodzić się z oślizłego uścisku Tundry Dowmei i zbyć uprzejmie jego natarczywe zaproszenia do odwiedzenia podmorskiej posiadłości na Kałamarze. Przepraszając rozkładając ramiona, przemknął też obok senatora z Malastare, Ask Aaka.

Jego myśli koncentrowały się teraz na zupełnie innym senatorze.

R2-D2 gwizdał i piszczął z zapałem, gdy Anakin zdołał wreszcie uwolnić się od masy spoconych i dość nachalnych polityków. C-3PO, który słuchał opowieści robota astromechanicznego, odwrócił się lekceważąco.

- Na pewno nie było aż tak źle - powiedział. - Nie przesadzaj! Nawet się porządnie nie poobijałeś.

Kolejny gwizd R2 brzmiał zdecydowanie defensywnie. C-3PO wysilił wokabulator, produkując trzaski bardzo przypominające pogardliwe prychnięcie.

- W tym jednym zgodzę się z tobą: od dawna należą ci się przegląd i regulacja. A także kąpiel, jeśli wolno mi zwrócić ci uwagę.

- Threepio...

Anakin stanął tuż przy androidzie, którego zbudował na tyłach niewolniczej klatki należącej do jego matki, jeszcze na Tatooine - przy androidzie, który w jego trudnym dzieciństwie był nie tylko ambitnym projektem, ale i przyjacielem. Przy androidzie służącym teraz kobiecie, którą Anakin kochał.

C-3PO był przy niej przez te wszystkie miesiące, dzień po dniu, dotykał jej - może nawet dziś. Anakin wyczuwał echo jej ciała w blaszanej powłoce androida i to wystarczyło, by wzruszenie zaparło mu dech w piersiach.

- O, pan Anakin! - wykrzyknął Threepio. - Jakże się cieszę, że widzę pana w dobrym zdrowiu! Trudno o spokój, gdy tracimy kontakt z przyjaciółmi na tak długi czas! Właśnie wczoraj mówiłem pani senator, że... A może to było w zeszłym tygodniu? Czas zdaje się biec tak szybko; czy sądzi pan, że znalazłby chwilę na wyregulowanie mojego wewnętrznego kalendarza, kiedy już...

- Threepio, widziałeś ją? - Anakin tak bardzo starał się nie krzyknąć, że głos, który z siebie wydał, przypominał zduszony skrzek. - Gdzie ona jest? Dlaczego nie przyszła?



- A, tak, oczywiście, oczywiście. Oficjalnie senator Amidala jest bardzo zajęta - odparł gładko C-3PO. - Cały dzień spędziła w ambasadzie Naboo, analizując nową ustawę o bezpieczeństwie i szykując się do jutrzejszej debaty...

Anakin już nie oddychał. Nie było jej tu, nie wyszła mu na spotkanie z powodu jakiejś debaty?

Senat. Nienawidził senatu. W każdym przejawie jego istnienia.

Czerwona mgła ogarnęła jego umysł. Ci przekonani o własnej ważności, ciasno myślący, obleśni handlarze... Anakin czuł, że wyświadczyłby galaktyce wielką przysługę, gdyby poszedł teraz do siedziby senatu i po prostu...

- Zaraz - mruknął, trzeźwiejąc nagle. - Powiedziałeś „oficjalnie”?

- Tak jest, panie Anakinie. - C-3PO starał się brzmieć jak wcielenie niewinności. - To moja oficjalna odpowiedź na wszelkie pytania dotyczące miejsca pobytu pani senator. Przez całe popołudnie.

Czerwona mgła ulotniła się; zostało po niej światło słońca i oszałamiająco świeże powietrze. Anakin uśmiechnął się.

- A nieoficjalnie?

Android protokolarny pochylił się w jego stronę i odezwał się przesadnie konspiracyjnym szeptem:

- Nieoficjalnie czeka w holu.

Anakin poczuł się tak, jakby trafił go piorun - tyle że w pozytywny sposób. W najbardziej pozytywny sposób, jakiego doświadczył jakikolwiek mężczyzna, mniej więcej od stworzenia wszechświata.

C-3PO lekko skinął głową w stronę senatorów i ekip HoloNetu, stłoczonych w przejściu prowadzącym na lądowisko.

- Uznała, że najlepiej będzie uniknąć publicznych scen. Prosiła też, żebym panu przekazał, iż moglibyście razem... unikać publicznych scen... przez całe popołudnie. A może i całą noc.

- Threepio! - Anakin łypnął okiem na androida, czując irracjonalną potrzebę chichotania. - Co ty właściwie sugerujesz?

- Absolutnie nie mam pojęcia, panie. Ja tylko staram się precyzyjnie wypełniać polecenia pani senator.

- Ty... - Anakin z podziwem pokręcił głową uśmiechając się tak szeroko, że groziło to pęknięciem policzków. - Jesteś niesamowity.

- Dziękuję, panie Anakinie, choć to głównie zasługa... - C-3PO skłonił się elegancko i z wdziękiem - ...mojego mistrza i stwórcy.

Anakin nie znalazł innej odpowiedzi niż uśmiech. Złoty android protokolarny czułym gestem położył dłoń na kopolce R2.

- Chodźmy, Artoo. Znalazłem wspaniałą warsztat blacharski przy Lipartian Way.

Pobrzękując i szumiąc serwomotorami, roboty podążyły śladem senatorów, którzy oddalali się wraz z grupą dziennikarzy. Anakin spojrzął za nimi z gasnącym uśmiechem.

Wyczuł nagle czyjąś obecność, a kiedy się obejrzał, zobaczył u swego ramienia Palpatine'a. Jak zawsze, gdy coś go gnębiło, mógł spodziewać się ciepłego uśmiechu i dobrego słowa.

- O co chodzi, Anakinie? - spytał łagodnie kanclerze. - Widzę, że coś cię martwi.

Anakin wzruszył ramionami i pokręcił głową nieco zawstydzony.

- Nic takiego.

- Coś, co martwi człowieka takiego jak Anakin Skywalker, nie może być rzeczą błahą. Pozwól, że ci pomogę.

- Nie możesz nic zrobić, panie. Chodzi o to... - Anakin skinął głową w stronę odchodzących robotów. - Przyszło mi do głowy, że nawet po tym wszystkim, czego dokonałem, See-Threepio jest jedyną znaną mi istotą, która nazywa mnie mistrzem.

- Ach, tak. Rada Jedi. - Palpatine objął Anakina ramieniem i uściśnął poufale. - Mimo wszystko wydaje mi się, że będę mógł ci pomóc.

- Naprawdę?

- Bardzo bym się zdziwił, gdyby było inaczej.

Uśmiech Palpatine'a wciąż był ciepły, ale jego spojrzenie stało się dziwnie dalekie.

- Być może zauważyłeś już, że mam pewien dar - mruknął kanclerz. - Umiem stawić na swoim.

## ROZDZIAŁ

## 9

## PADME

Stojąc w cieniu wielkiej kolumny sięgającej wysoko, aż ku transpasterowej kopule nad atrium gmachu Biur Senatu, zalanej czerwonym blaskiem popołudnia, obserwowała senatorów nadchodzących grupkami od strony wyjścia na platformę kanclerskiego lądowiska. Nareszcie zobaczyła Palpatine'a, potem C-3PO i jeszcze... tak, to był R2-D2! W takim razie i on musiał już być blisko... W końcu dostrzegła w tłumie jego wysoką i prostą postać, jego włosy, złociste i spłowiałe od promieniowania, i wreszcie usta ułożone w uśmiech, który otwierał jej serce.

Znowu mogła oddychać.

Słuchając krzyżujących się pytań reporterów HoloNetu, gwaru rozmów senatorów i spokojnego, ojcowskiego głosu Palpatine'a, nie poruszyła się ani razu - nie uniosła ręki, nawet nie odwróciła głowy. Milczała, wyczuwając bicie własnego serca, i mogłaby tak stać w cieniu całą wieczność, ciesząc się ze spełnienia najwspanialszego marzenia: że widzi go całym i zdrowym...

Lecz on oddalił się wreszcie od tłumy, zajęty rozmową z Bailem Organa z Alderaanu. Gdy usłyszała ciche słowa senatora o „końcu hrabiego Dooku”, o „końcu wojny” i „upragnionym końcu taktyki państwa policyjnego, uprawianej przez Palpatine'a”, znowu wstrzymała oddech, ponieważ wiedziała, że za chwilę usłyszy jego głos.

- Chciałbym, żeby tak było - powiedział Anakin. - Niestety, walki będą trwały dopóty, dopóki z generała Grievousa ktoś nie zedrze sterty części zapasowych. Kanclerz jest tego absolutnie pewny, a ja sądzę, że senat i Rada Jedi przyznają mu rację.

Nie mogła mieć nadziei na większe szczęście, póki jego spojrzenie nie odnalazło jej, wciąż milczącej i ukrytej w cieniu. Wyprostował się wtedy, a na jego złocistej twarzy pojawiło się nowe światło, gdy mówił „proszę wybaczyć” do senatora z Alderaanu. Chwilę później był już przy niej, w półmroku, i trzymał ją w ramionach.

Ich usta spotkały się, a wszechświat po raz ostatni stał się doskonały.

Oto Padme Amidala:

Jest zdumiewająco zdolną młodą kobietą, która w swym krótkim życiu zdążyła już być jedną z najmłodszych królowych swojej planety, odważną bojowniczką oraz mądrym, wyrazistym i przekonującym głosem rozsądku w Senacie Republiki. Jednak w tej chwili nie jest nikim takim.

Wciąż może grać różne role - udaje, że jest senatorem, nadal posiada moralny autorytet byłej królowej, nie waha się występować odważnie i zwyciężać w politycznych debatach - lecz najgłębsze i niezmiennie jądro jej osobowości jest zgoła odmienne. Padme jest żoną Anakina Skywalkera.

„Żona” to jednak słowo zbyt słabe, by pomieścić całą prawdę o niej. „Żona” to słowo małe, pospolite, które może wymówić byle kto, nadając mu nawet nieprzyjemny wydźwięk. Tymczasem dla Padme Amidali słowa Jestem żoną Anakina Skywalkera” znaczą ni mniej, ni więcej, tylko „żyję”.

Zanim nastał czas Anakina, jej życie było egzystencją niższej, pożałowania godnej, biednej istoty, która nawet nie miała pojęcia, jak głębokie może być prawdziwe życie.

A prawdziwe życie Padme Amidali zaczęło się w chwili, gdy po raz pierwszy spojrzała w oczy Anakina Skywalkera i znalazła w nich już nie bezkrytyczne uwielbienie małego Anniego z Tatooine, ale mocną, nieokiełznaną i nieprzemijającą namiętność potężnego Jedi - młodego ale prawdziwego mężczyzny, którego słowa wykraczała już daleko poza granice zakonu. Mężczyzny, który dobrze wiedział, czego chce, i był na tyle uczciwy, żeby zwyczajnie o to poprosić. Mężczyzny wystarczająco silnego, by bez lęku i wstydu okazać przed nią najgłębsze uczucia. Mężczyzny, który kochał ją od dekady wiernym i cierpliwym sercem, czekając na akt przeznaczenia, który pewnego dnia otworzy jej serce na ogień, którym płonął.

Lecz choć Padme kocha swojego męża bezgranicznie, miłość nie czyni jej ślepą na jego wady. Jest starsza od niego i dość mądra, by rozumieć go lepiej niż on sam. Anakin nie jest doskonały: jest dumny, łatwo ulega nastrojom i bywa zapalczywy w gniewie, lecz wszystkie te słabości umacniają tylko jej miłość, bo jego wielkość przeważa nad słabymi stronami. Jest w nim wiele radości, jest oczyszczający śmiech, jest nadzwyczajna duchowa szczodrość, jest wreszcie bezgraniczne oddanie nie tylko kobiecie, którą kocha, ale także służbie dla dobra wszystkich żywych istot.

Jest dzikim zwierzęciem, które potulnie przyszło do jej dłoni, tygrysem drzewnym, który mruczy teraz cicho u jej policzka. Miękkość jego dotyku, każde łagodne spojrzenie i czule słowo - wszystko to jest cudem. Jak mogłaby nie czuć wdzięczności za tak hojne dary?

I dlatego nie pozwoli, by ich małżeństwo stało się sprawą publiczną. Jej mąż musi pozostać rycerzem Jedi. Urodził się po to, by ratować ludzi; ten, kto odebrałby mu możliwość służenia, okaleczyłby dobro zawarte w jego skołatany sercu.

A teraz łączą się w nieskończonym pocałunku. Padme otacza ramionami szyję męża i mocno go tuli, bowiem czuje w sercu zimny lęk, który podpowiada jej, że być może pocałunek ten wcale nie jest wieczny, że to tylko krótka przerwa w wielkiej gonitwie wszechświata i że gdy dobiegnie końca, trzeba będzie stawić czoło przyszłości. I jest przerażona.

Ponieważ w czasie, gdy nie było przy niej Anakina, wszystko się zmieniło.

Tego dnia, w holu gmachu Biur Senatu, Padme przekazuje mu nowinę o darze, który ofiarowali sobie nawzajem - o darze radości, ale i strachu. Dar ten jest jak ostrze noża, który już odciął ich przeszłość od przyszłości.

Przez długie lata mieli siebie nawzajem tylko w tajemnicy, tylko w krótkich chwilach wyrwanych sprawom Republiki i wojny; ich miłość była idealną ucieczką, długim i spokojnym popołudniem, ciepłym i słonecznym, dalekim od lęku i zwątpienia, od obowiązku i niebezpieczeństwa. Teraz jednak senator z Naboo nosi w sobie planetarny terminator, granicę światła i ciemności, która wkrótce na zawsze zamknie słoneczny dzień, pozostawiając oboje w mroku nocy. Jest teraz kimś więcej niż żoną Anakina Skywalkera. Jest matką nienarodzonego dziecka Anakina Skywalkera.

Po zdecydowanie zbyt krótkiej wieczności pocałunek musiał dobiec końca.

Wtulona w Anakina Padme chłonęła jego bliskość, po raz pierwszy od tak długiego czasu, szepcząc miłosne zaklęcia w jego szeroką i mocną pierś, podczas gdy on powierzał swoje jej cudownie pachnącym włosom.

Minęło sporo czasu, nim odzyskała mowę.

- Anakin, Anakin... och, mój Anakinie... Nie mogę uwierzyć, że znowu jesteś w domu. Mówili mi... - Wspomnienie ścisnęło jej gardło. - Ludzie szepotali... że zginąłeś. Nie mogłam... każdego dnia...

- Nigdy nie wierz w takie opowieści - szepnął. - Nigdy. Zawsze będę do ciebie wracał, Padme.

- Każda godzina bez ciebie ciągnęła się jak rok...

- Jakby minęło całe życie... Albo i dwa.

Dotknęła palcem blizny po oparzeniu, ciągnącej się od szczytu policzka w górę.

- Byłeś ranny...

- Nic poważnego - odparł, uśmiechając się półgębkiem. - To tylko mało przyjemne przypomnienie, że powinienem więcej ćwiczyć z mieczem.

- Pięć miesięcy. - Słowa Padme zabrzmiały prawie jak jęk. - Pięć miesięcy... Jak oni mogli nam to zrobić?

Anakin oparł policzek na jej głowie.

- Gdyby kanclerz nie został porwany, wciąż tkwiłbym na Zewnętrznych Rubieżach. Jestem prawie... wstyd przyznać... prawie wdzięczny. Cieszę się, że go porwali. Całkiem tak, jakby zaaranżowali to wszystko, żeby sprowadzić mnie do domu.

Jego ramiona były mocne i ciepłe, a dłoń gładziła jej włosy najdelikatniej na świecie. Było tak, jakby się bał, że jego kobieta jest bardziej krucha niż sen. Pochylił się, by złożyć na jej ustach jeszcze jeden pocałunek - taki, który skasuje wszystkie mroczne myśli, wszystkie dni, godziny i minuty nieznośnego zagrożenia...

Lecz zaledwie kilka kroków dalej, w przestronnym atrium roilo się od senatorów i reporterów. Świadomość ceny, którą zapłaciliby Anakin, gdyby ich miłość przestała być sekretem, kazała Padme odwrócić głowę, położyć dłonie na jego piersi i powstrzymać go.

- Nie tutaj, Anakinie. Za duże ryzyko.

- A właśnie, że tutaj! -Przyciągnął ją bliżej, bez trudu łamiąc mało przekonujący opór. - Mam dość tego zwodzenia, krycia się po kątach i kłamstw. Nie mamy się czego wstydić! Kochamy się i jesteśmy małżeństwem jak biliony istot w tej galaktyce. Powinniśmy o tym krzyczeć, nie szeptać...

- Nie, Anakinie. Nie jesteśmy tacy jak inni. Oni nie są Jedi. Nie możemy pozwolić, żeby nasza miłość zmusiła cię do odejścia z zakonu...

- Zmusiła do odejścia z zakonu? - Anakin uśmiechnął się ciepło. -Chyba zartujesz!

- Anakinie... - Wciąż jeszcze potrafił ją zdenerwować, nawet kiedy nie miał takiego zamiaru. - Posłuchaj mnie. Mamy obowiązki względem Republiki. Oboje mamy, choć twoje są znacznie ważniejsze. Ty jesteś dziś twarzą zakonu. Choć wojna trwa tyle lat, wielu ludzi wciąż kocha Jedi, a to głównie z tej przyczyny, że kochają ciebie. Rozumiesz? Kochają twoją historię. Jesteś dla nich jak postać z bajki, jak księżę ukryty pośród wieśniaków, dorastający w nieświadomości własnego niezwykłego przeznaczenia... a ta bajka w twoim przypadku jest szczerą prawdą. Czasem myślę, że jedynym powodem, dla którego obywatele Republiki wierzą jeszcze, że możemy wygrać tę wojnę, jest to, że ty walczysz w ich imieniu.

- Według ciebie wszystko zawsze sprowadza się do polityki - powiedział Anakin. Już się nie uśmiechał. - Ledwie wróciłem do domu, a ty już próbujesz namówić mnie, żebym wracał na wojnę...

- Nie chodzi mi o politykę, Anakinie, tylko o ciebie.

- Coś się zmieniło, prawda? - Jego ton zapowiadał burzę. - Wyczułem to jeszcze na zewnątrz. Coś się zmieniło.

Spuściła głowę.

- Wszystko się zmieniło.

- Co takiego? No, co? - Ujął ją za ramiona twardymi, mocarnymi rękami. - Jest ktoś jeszcze. Wyczuwam to w Mocy! Ktoś wchodzi między nas...

- Nie w taki sposób, jak myślisz-odrzekła. - Posłuchaj mnie, Anakinie...

- Kto taki? Kto?

- Przestań. Przestań już, Anakinie... Zrobisz nam krzywdę.

Jego ręce odsunęły się nagle, jakby coś je oparzyło. Anakin pobladł i cofnął się niepewnie o krok..

- Padme, ja nigdy... Przepraszam, ja tylko...

Oparł się o kolumnę i bezsilnym gestem uniósł dłoń do oczu.

- Bohater bez Strachu. Dobry żart... Padme, ja nie mogę cię stracić. Nie mogę. Tylko dla ciebie żyję. Czekał... - Anakin uniósł głowę, w zdumieniu marszcząc czoło. - Powiedziałaś „nam”?

Zbliżył się, gdy wyciągnęła do niego rękę. Jej wargi drżały, w oczach pojawiły się łzy.

- Ja... Annie, jestem w ciąży...

Obserwowała na jego twarzy kolejne emocje wywołane nowiną o dziecku. Jej serce urosło, gdy zobaczyła, że pierwszą z nich była dzika, niepohamowana radość, co oznaczało, że cokolwiek młody Jedi przeżył na Zewnętrznych Rubieżach, wciąż był jej kochanym Annem.

I że wojna, która naznaczyła blizną jego twarz, nie okaleczyła jego ducha.

Patrzyła też, jak radość z wolna ustępuje, gdy Anakin zaczął obejmować umysłem całą prawdę: że ich małżeństwo wkrótce przestanie być tajemnicą; że obszerne szaty, które miała na sobie, nie mogą ukrywać ciąży w nieskończoność. Że w niesławie usuną go z zakonu Jedi. Że ona zostanie zwolniona ze służby i odesłana na Naboo. Że ta sama sława, która czyniła z niego ważny czynnik zwycięstwa w tej wojnie, teraz obróci się przeciwko obojgu, czyniąc ich wymarzoną łupem łowców skandali z całej galaktyki.

Obserwowała go też, gdy stopniowo dojrzewało w nim przekonanie, że nic go to wszystko nie obchodzi.

- To jest... - rzekł wolno, z nowym błyskiem w oku - .. cudowna wiadomość! Padme, po prostu cudowna. Od dawna wiesz?

Pokręciła głową.

- Co my teraz zrobimy?

- Będziemy szczęśliwi, oto, co zrobimy! I będziemy razem. Wszyscy troje.

- Ale...

- Nie. - Delikatnie położył palec na jej ustach i uśmiechnął się. - Żadnych „ale”. Żadnych zmartwień. I tak za bardzo się wszystkim przejmujesz.

- Muszę - odrzekła, uśmiechając się przez łzy. - Bo ty nie przejmujesz się nigdy.

Anakin poderwał się i usiadł na łóżku, z trudem łapiąc oddech i wpatrując się nieprzytomnie w obcy mrok.

Jak ona przeraźliwie krzyczała... Jak błagała, żeby był przy niej; jak opuszczały ją siły na tym dziwnym stole; jak wreszcie mogła tylko szeptać: „Anakinie, przepraszam... Kocham cię... Kocham cię...” Jej słowa rozbrzmiewały mu pod czaszką, zamazując kontury pokoju tonącego w nocnym mroku i zagłuszając każdy dźwięk oprócz turbomłota, w który zamieniło się jego serce.

Lewą ręką dotknął wilgotnej od potu, jedwabnej pościeli, którą był do połowy przykryty. Wreszcie przypomniał sobie, gdzie jest.

Spojrzał na nią. Była blisko; leżała na boku, z burzą włosów na poduszce. Miała zamknięte oczy, a jej pełne usta uśmiechały się leciutko. Patrzył chwilę, jak jej pierś unosi się i opada w rytmicznym oddechu, a potem odwrócił się, ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

Łzy, które popłynęły spomiędzy jego palców, były łzami wdzięczności.

Żyła i była przy nim.

W ciszy tak głębokiej, że słyszał szmer serwowatorów w swojej mechanicznej ręce, wyśliznął się z pościeli i wstał.

Minął garderobę i znalazł się na kręconych schodach, które zaprowadziły go na werandę z widokiem na przylegające do niej prywatne lądowisko Padme. Opierając się o chłodną balustradę, spojrzał w dal, na nieskończony, nocny pejzaż Coruscant.

Ogień wciąż płonął.

Po zmierzchu planeta-miasto była zazwyczaj niezmiernym oceanem światła, jaśniejących w bilionach okien miliardów budynków, które strzelały w niebo kilometrowymi wieżami. Pełno było też wokół światła nawigacyjnych, krzykliwych reklam, re-

flektorów śmigaczy mknących powietrznymi szlakami... Lecz tym razem uszkodzenia linii energetycznych sprawiły, że wielkie obszary Coruscant tonęły w głębokiej ciemności, rozpraszanej jedynie przerażającymi, czerwonymi ogniskami niezliczonych pożarów.

Anakin nie wiedział, jak długo tak stał i wpatrywał się w noc. Miasto wyglądało tak, jak sam się czuł: uszkodzone. Zniszczone w boju.

Splamione ciemnością.

Wolał po prostu patrzeć w dal, niż zastanawiać się dlaczego tu przyszedł.

Podeszła ciszej niż mgła niesiona podmuchem wiatru, ale wyczuł jej obecność.

Stała obok niego przy balustradzie i położyła miękką, żywą dłoń na jego twardej, mechanicznej. Nie odzywała się, spoglądając na miasto, które stało się jej drugim domem. Czekala cierpliwie, aż Anakin powie jej, co się stało. Miała przynajmniej nadzieję, że powie.

Wyczuwał jej obecność i jej ufność; był wdzięczny za jedno i za drugie. Do oczu znowu napłynęły mu łzy. Patząc na nocny pejzaż, próbował powstrzymać je, raz po raz zaciskając powieki. Przykrył drugą ręką dłoń Padme i zaczął jeszcze chwilę, aż uścisk w gardle zelżeje.

- To był sen - odezwał się wreszcie.

Przyjęła te słowa z powolnym, poważnym skinieniem głowy.

- Zły?

- Taki... Taki, jakie niegdyś miewałem. - Anakin nie miał siły spojrzeć na Padme. - Jak o matce.

Tym razem skinęła głową jeszcze wolniej i jeszcze poważniej.

- I co?

- I... - Spojrzał na jej drobne, szczupłe palce. Wplótł w nie dłoń i mocno zacisnął, jak do modlitwy. - I ty w nim byłaś.

Odsunęła się teraz, znowu oparła o balustradę i odwróciła głowę ku otwartej przestrzeni, pulsującej daleką poświatą pożarów. Jeszcze nigdy nie była w oczach Anakina tak piękna.

- W porządku - powiedziała cicho. - Byłam w nim.

Czekala dalej, wciąż ufna.

Gdy Anakin w końcu zdołał przemówić, jego głos był ochryply jak po całodziennym krzyku.

- To był sen... o twojej śmierci - powiedział. - Nie mogłem tego wytrzymać. Nadal nie mogę.

Nie mógł też na nią spojrzeć. Odwrócił wzrok ku miastu, ku lądowisku, ku gwiazdom, ale nie był w stanie znieść tych widoków. Mógł tylko zamknąć oczy.

- Umrzesz przy porodzie.

- Och - odrzekła. Tylko tyle.

Zostało jej kilka miesięcy życia. Kilka miesięcy miłości. Miała nigdy nie ujrzeć swego dziecka. A jednak wszystkim, co miała do powiedzenia, było krótkie „och”.

Po chwili Anakin otworzył oczy, czując dotyk jej dłoni na policzku. Zobaczył jej spokojne spojrzenie.

- A co z dzieckiem? Pokręcił głową.  
 - Nie wiem.  
 Skinęła głową i podeszła do jednego z krzesel stojących na werandzie. Usiadła i wbiła spojrzenie w dłonie splecione na udach.  
 Nie mógł tego znieść. Nie mógł patrzeć, jak ze spokojem i akceptacją przyjęła wiadomość o własnej śmierci. Podeszedł do niej i przyklęknął.  
 - Tak się nie stanie, Padme. Nie pozwolę na to. Mogłem uratować matkę, gdybym zjawił się dzień wcześniej, godzinę wcześniej... Ja... - Umilkł, próbując stłumić narastający ból. Po chwili wycedził przez zaciśnięte zęby: - Ten sen się nie spełni.  
 Kiwnęła głową.  
 - Wcale nie pomyślałam, że się spełni. Zamrugał ze zdziwieniem.  
 - Nie?  
 - Jesteśmy na Coruscant, Annie, nie na Tatooine. Na Coruscant kobiety nie umierają przy porodzie, nawet te z najgłębszych poziomów miasta. Korzystam z usług najlepszego androida medycznego, który zapewnia mnie, że jestem w doskonałej formie. Twój sen musiał być... jakąś metaforą lub czymś takim.  
 - Moje sny są dosłowne, Padme. Nie rozpoznałbym metafory, nawet gdyby mnie ugryzła. Poza tym, nie widziałem miejsca, w którym się znajdowałaś. Możliwe, że nie było to Coruscant...  
 Odwróciła wzrok.  
 - Zastanawiałam się nad tym, czy nie wybrać się gdzieś... w inne miejsce. Urodzić dziecko w tajemnicy, żeby ochronić ciebie. Żebyś mógł pozostać w zakonie.  
 - Ja nie chcę pozostać w zakonie! - Ujął jej twarz w dłonie, żeby musiała patrzeć mu w oczy, by widziała, jak bardzo poważnie traktuje każde słowo, które wypowiada. - Nie chroń mnie. Nie potrzebuję tego. W tej chwili musimy zacząć myśleć o tym, w jaki sposób chronić ciebie. Pragnę tylko jednego: żebyśmy byli razem.  
 - I będziemy - odpowiedziała. - A w twoim śnie musi być coś więcej niż moja śmierć przy porodzie. To po prostu nie ma sensu.  
 - Wiem, ale nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Jest zbyt... Nie, Padme, nie mogę nawet o tym myśleć. Chyba oszaleję. Co my zrobimy?  
 Ucałowała jego żywą dłoń.  
 - To, o czym mówiłeś dziś po południu, kiedy zadałam ci to samo pytanie. Będziemy szczęśliwi. Razem.  
 - Ależ nie możemy tak po prostu... Czekaj. Ja tak nie mogę. Muszę działać.  
 - Oczywiście - przyznała, uśmiechając się z czułością. - Taki już jesteś. Tacy są bohaterowie. A Obi-Wan?  
 Anakin zmarszczył brwi.  
 - Co z nim?  
 - Mówiłeś mi kiedyś, że jest tak mądry jak Yoda i tak potężny jak Mace Windu. Może on mógłby nam pomóc?  
 - Nie. - Pięć Anakina zacisnęła się równie mocno jak ta, która miażdżyła jego serce. - Nie mogę... Musiałbym mu powiedzieć...  
 - Annie, on jest twoim najlepszym przyjacielem. Pewnie i tak już coś podejrzewa.

- Podejrzenia to jedno. Wygarnąć mu całą prawdę, to co innego. On zasiada w Radzie. Musiałby złożyć raport, a wtedy...  
 - Co wtedy? Czyżby było coś, o czym nie wiem? Anakin uniknął jej spojrzenia.  
 - Nie jestem pewien, czy Obi-Wan jest po mojej stronie.  
 - Po twojej stronie? Co ty wygadujesz?  
 - Jest członkiem Rady Jedi, Padme. Wiem, że omawiano już sprawę przyznania mi tytułu mistrza. Jestem potężniejszy od każdego z żyjących mistrzów Jedi. Ktoś jednak blokuje ten pomysł. Obi-Wan mógłby mi powiedzieć, kto i dlaczego... ale tego nie robi. Nie jestem nawet pewien, czy popiera mnie przed Radą.  
 - W to nie uwierzę.  
 - Wiara nie ma tu nic do rzeczy - mruknął gorzko w odpowiedzi. Taka jest prawda.  
 - W takim razie musi mieć jakieś powody. Anakinie, on naprawdę jest twoim najlepszym przyjacielem. Kocha cię.  
 - Możliwe. Ale zdaje się, że mi nie ufa. - Jego oczy stały się na moment puste jak noc. - I nie jestem pewien, czy ja mogę ufać jemu.  
 - Anakin! - zawołała, chwytając go za ramię. - Skąd ci to przyszło do głowy?  
 - Żaden z nich mi nie ufa, Padme. Żaden z nich. Wiesz, jak się czuję, kiedy na mnie patrzą?  
 - Anakinie...  
 Odwrócił się i spojrzał na nią, czując ból w każdej cząstce ciała. Chciało mu się płakać, szaleć z wściekłości i pozwolić, by wściekłość ta zamieniła się w broń i na zawsze zwróciła mu wolność.  
 - Strach - powiedział. - Czuję ich strach. Bez powodu.  
 Choć przecież mógłby im pokazać... Mógłby dać im powód do strachu.  
 Mógłby pokazać to, co odkrył w sobie w kwaterze generała na pokładzie „Niewidzialnej Ręki”.  
 W jego twarzy musiały na chwilę odbić się te uczucia, bo dostrzegł nagle przeblask zwątpienia w oczach Padme. Ta sekunda, ta chwila, paląca jak klinga miecza świetlnego, wystarczyła, by zadrzał. Drżenie zmieniło się w potężny dreszcz i mógł już tylko przygarnąć ją do piersi, ukryć twarz w jej włosach i poczuć słodkie ciepło, które pomogło mu zapanować nad emocjami.  
 - Padme - szepnął - och, Padme... Przepraszam. Zapomnij, że coś mówiłem. Teraz to i tak nieważne. Wkrótce odejdę z zakonu, bo nie pozwolę ci rodzić naszego dziecka gdzieś w obcym miejscu. Nie pozwolę ci samej zmagać się z tym snem. Będę przy tobie, Padme. Zawsze. Choćby nie wiem co.  
 - Wiem, Annie. Wiem. - Odsunęła się lekko i spojrzała mu w oczy. W blasku pożarów jej łzy przypominały czerwone klejnoty.  
 Czerwone jak syntetycznie krwisty blask miecza hrabiego Dooku. Anakin zamknął oczy.  
 - Chodźmy na górę - powiedziała. - Noc jest coraz chłodniejsza. Wracajmy do łóżka.  
 - Dobrze... Już dobrze. - Anakin znowu mógł oddychać, a dreszcze prawie minęły. - Tylko...

Otoczył Padme ramieniem, żeby nie musieć patrzeć jej w oczy.  
- Tylko nie mów nic Obi-Wanowi, zgoda?

## ROZDZIAŁ

# 10

### MISTRZOWIE

Obi-Wan siedział obok Mace'a Windu, obserwując Yodę, który przeglądał raport. Tu, w skromnej kwaterze mistrza, każdy kąt, każde siedzisko o miękkich kształtach, nawet stół o organicznej formie - wszystko emanowało łagodną, pocieszającą siłą, tą samą, którą Obi-Wan pamiętał jeszcze z dzieciństwa. Yoda mieszkał tu od z górą ośmiuset lat. Wszystko, co znajdowało się w tej komnacie, było harmonicznym echem spokoju i mądrości mistrza, ukształtowanym przez stulecia jego obecności. Siedzieć w kwaterze Yody oznaczało oddychać spokojem; dla Obi-Wana był to wielki dar w tych niespokojnych czasach.

Gdy jednak Yoda spojrział na gości przez półprzezroczystą, holograficzną projekcję raportu zawierającego komentarz do najnowszej poprawki do ustawy o bezpieczeństwie, w jego oczach było wszystko prócz spokoju: stały się wąskie i zimne. Uszy mistrza opadły nisko, przytulone do czaszki.

- Ten raport... skąd pochodzi?

- Jedi wciąż jeszcze mają przyjaciół w senacie - odparł Mace Windu ponurym głosem. - Na razie.

- Gdy przedstawiona będzie ta poprawka, przyjęta zostanie?

Mace skinął głową.

- Mój informator sugeruje, że przez aklamację. Ogromną większością. Być może już dziś po południu.

- Cel kanclerza w tym wszystkim niejasny jest dla mnie - rzekł wolno Yoda. - Choć oficjalnie senat władzę nad zakonem może mu powierzyć, rycerzami Jedi rządzić nie sposób. Autorytet moralny władzą był dla nas zawsze, znacznie bardziej niż przepisy prawa. Rozkazów Jedi nie słuchają!

- Nie wydaje mi się, żeby Palpatine chciał kontrolować Jedi - odparł Mace. - Powierając Urzędowi Wielkiego Kanclerza zwierzchność nad nami, poprawka ta w istocie zapewni mu konstytucyjne prawo do rozwiązania zakonu.

- Nie wierzysz chyba, że to właśnie jest jego intencją.

- Jego intencją? - powtórzył posepnie Mace. - Może i nie. Tylko że jego intencje nie mają wielkiego znaczenia; liczy się tylko to, że taka jest intencja Lorda Sithów, który trzyma w garści władze Republiki. Niewykluczone że już tylko zakon Jedi stoi mu na drodze do dominacji w galaktyce. Jak sądzicie, co zrobi w tej sytuacji?

- Prawa do rozwiązania zakonu senatorowie nigdy mu nie dadzą.

- Senatorowie zrobią właśnie to, o czym mówisz. Dziś po południu.

- Skutków swojego działania widocznie nie pojmują!

- To także nie ma już znaczenia- odparował Mace. - Wystarczy, że wiedzą, kto trzyma władzę.

- Jednak nawet bez zakonu, bez prawnego umocowania, Jedi wciąż istnieć będą. Służyli Mocy, zanim Republika Galaktyczna nastąpiła, i służyć jej będą, gdy Republika w proch się obróci.

- Mistrzu Yoda, całkiem możliwe, że ta chwila nastanie szybciej, niż się spodziewamy. Być może już dziś. - Mace posłał Obi-Wanowi spojrzenie pełne frustracji. Młody mistrz szybko podchwycił wątek.

- Nie wiemy nawet, jakie są plany Lorda Sithów - powiedział. -I tylko jednego możemy być pewni: że nie możemy ufać Palpatine'owi. Już nie. Projekt poprawki nie jest dziełem nadgorliwego senatora. Nie wątpię, że to dzieło Palpatine'a, przekazane w ręce kogoś, kto pozostaje pod jego wpływem. A wszystko po to, by znowu wyglądało to tak, jakby senat po raz kolejny „zmuszał go, by wbrew własnej woli przyjął nowe uprawnienia, a wszystko to w imię bezpieczeństwa”. Możemy się obawiać, że potrwa to tak długo, aż pewnego dnia będzie „zmuszony wbrew własnej woli zostać dożywotnim dyktatorem”.

- Jestem pewien, że to kolejny element spisku skierowanego prosto w serce zakonu Jedi - dorzucił Mace. - Kolejny krok ku zniszczeniu nas. Ciemna Strona Mocy otacza Wielkiego Kanclerza.

- Podobnie jak otacza i ukrywa separatystów, od samego początku wojny - dodał Obi-Wan. - Jeżeli kanclerz jest pod wpływem Ciemnej Strony, być może cała ta wojna jest tylko podstępem Sithów, a jej celem jest zniszczenie zakonu Jedi.

- Spekulacje! - Yoda stuknęła łaską o podłogę z takim impetem, że zachwiała się jego repulsorowa platforma. - Na teoriach takich jak ta polegać nie możemy. Dowodów nam potrzeba. Dowodów!

- Dowody mogą być luksusem, na który nas nie stać. - W oczach Mace'a Windu zapaliły się groźne ogniki. - Musimy być gotowi do działania.

- Do działania? - spytał cicho Obi-Wan.

- Nie możemy pozwolić kanclerzowi na podjęcie kroków przeciwko zakonowi. Nie możemy też pozwolić, żeby w nieskończoność przedłużał tę wojnę. Zginęło już zbyt wielu Jedi. On demontuje samą Republikę! Widziałem, jak wygląda życie poza jej granicami. Ty też, Obi-Wanie. Niewolnictwo. Tortury. Nieustanne wojny.

Twarz Mace'a okrył cień tej samej udręki, którą Obi-Wan zauważył poprzedniego dnia.

- Widziałem to w Nar Shaddaa i na Haruun Kai. Widziałem, co się stało z Depą i Sorą Bulq. Choć nie wolna od wad, Republika jest naszą jedyną nadzieją na sprawie-

dliwość i pokój. Jest jedyną bronią przeciwko ciemności. A Palpatine jest być może bliski dokonania tego, co nie udało się separatystom: obalenia Republiki. Jeżeli spróbują to zrobić, należy usunąć go ze stanowiska.

- Usunąć? - spytał Obi-Wan. - Chcesz powiedzieć: aresztować?

Yoda pokręcił głową.

- Do ciemności jedynie ten sposób myślenia nas doprowadzi. Z wielką rozwagą musimy działać.

- Republika to cywilizacja. Jedyna, jaką mamy. - Mace spojrział głęboko w oczy Yody, a potem Obi-Wana. Kenobi wyczuwał w tym spojrzeniu wielką energię. - Musimy być gotowi do radykalnych posunięć. To nasz obowiązek.

- Ależ... - zaprotestował struchlały Obi-Wan- ...mówimy tu o zdradzie...

- Nie boję się słów, Obi-Wanie! Jeśli to zdrada, niech i tak będzie. Zrobiłbym to już teraz, gdybym tylko miał poparcie Rady. Prawdziwą zdradą - dodał Mace - byłoby zaniechanie działania.

- Taki czyn zniszczyć by mógł zakon Jedi - rzekł Yoda. - Zaufanie ludzi już straciliśmy...

- Bez obrazy, mistrzu Yoda - przerwał mu Mace - ale to argument polityka. Nie możemy pozwolić, żeby opinia publiczna powstrzymywała nas przed czynieniem tego, co słuszne.

- Przekonania, czy to rzecz słuszna, ja nie mam - odparł stanowczo Yoda. - Pracować w ukryciu powinniśmy, by zdemaskować Lorda Sithów! Wystąpienie przeciwko Palpatine'owi, nim Sithów wytępimy, to być może częścią planu Sidiousa, którego celem jest zwrócenie senatu i społeczeństwa przeciwko Jedi! Wtedy zakon nie tylko rozwiązany będzie, ale i wyjęty spod prawa.

Mace zaczął się unosić z siedziska.

- Czekać to znaczy dać Sithom przewagę...

- Już jest po ich stronie przewaga! - odparował Yoda, kierując w stronę mistrza Windu czubek laseczki z drewna gimer. - Przewagę tę zwiększymy, jeśli działać będziemy pospiesznie!

- Mistrzowie... Mistrzowie, proszę - wtrącił Obi-Wan. Spojrzął najpierw na jednego, potem na drugiego i ukłonił się z szacunkiem. - Może uda się znaleźć pośrednie rozwiązanie.

- No tak, oczywiście: Kenobi Negocjator. - Mace Windu usadowił się wygodniej na siedzisku. - Mogłem się tego domyślić. Właśnie dlatego prosisz o to spotkanie, prawda? Żeby mediacją pokonać to, co nas dzieli. Jeśli tylko zdołasz.

- Taki pewny jesteś własnych umiejętności? - Yoda zacisnął dłonie wokół główki laski. - Negocjować w tej sprawie łatwo nie jest!

Obi-Wan pochylił głowę.

- Wydaje mi się - zaczął ostrożnie - że Palpatine sam stworzył nam szansę. Powiedział - i tobie, mistrzu Windu, i w holonetowym przemówieniu wkrótce po uwolnieniu - że generał Grievous jest prawdziwą przeszkodą na drodze do pokoju w galaktyce. Zapomnijmy więc na jakiś czas o pozostałych przywódcach separatystów. Niech Nutę Gunray, San Hill i cała reszta uciekają dokąd chcą, podczas gdy my włączymy jak naj-

więcej Jedi i agentów... choćby i cały Wywiad Republiki, jeśli tylko się uda... do poszukiwań Grievousa. W ten sposób wywrzemy presję na Lorda Sithów. Zrozumie, że Grievous nie może uciekać w nieskończoność przed tak potężną siłą. To wystarczy, by wywabić Sidiousa z ukrycia; będzie musiał wykonać jakiś ruch, jeżeli chce, by wojna potrwała dłużej.

- Jeżeli? - powtórzył Mace. - Ta wojna jest dziełem Sithów, i to od samego początku. Dooku z jednej strony, a Sidious z drugiej, uknuli ten plan wyłącznie przeciwko nam. Przeciwko Jedi. Chcieli nas wykrwawić. Wybić najmłodszych i najlepszych z nas. Uczynić z nas kogoś, kim nigdy nie chcieliśmy być.

Mistrz Windu z goryczą potrząsnął głową.

- Miałem tę prawdę w zasięgu ręki już przed laty, na Haruun Kai, w pierwszych miesiącach wojny. Miałem, ale jej nie rozumiałem.

- Okruchy tej prawdy wszyscy dostrzegaliśmy - odrzekł smutno Yoda. - Jednak arogancja oczu nam w pełni otworzyć nie pozwoliła.

- Aż do dziś - wtrącił taktownie Obi-Wan. - Teraz rozumiemy, co jest celem Lorda Sithów, znamy jego taktykę i wiemy, gdzie go szukać. Zdradzają go jego czyny. Nie uciekną nam. Nie może uciec.

Yoda i Mace spoglądali na siebie przez długą chwilę, marszcząc brwi, a potem obaj odwrócili się ku Obi-Wanowi i jednocześnie pochylili głowy w ukłonie pełnym szacunku.

- Sedno sprawy dojrzał młody Kenobi.

Mace pokiwał głową.

- Zostaniemy z Yodą na Coruscant. Będziemy się przyglądali doradcom i pachołkom Palpatine'a. Wystąpimy przeciwko Sidiousowi, gdy tylko zostanie zdemaskowany. Ale kto schwyta Grievousa? Walczyłem z nim; jest więcej niż równym przeciwnikiem dla większości Jedi.

- O to będziemy się martwić, gdy go znajdziemy - odparł Obi-Wan. Na jego twarzy pojawił się lekki, tęskny uśmiech. - Kiedy wyteżę słuch, niemal słyszę głos Qui-Gona, który przypomina mi: „Dopóki możliwość nie stanie się faktem, jest tylko wrogiem skupienia”.

Generał Grievous stał na szeroko rozstawionych nogach, z rękami złożonymi z tyłu, i wpatrywał się przez pancerny iluminator w olbrzymią kulę geonosjańskiego okrętu klasy Dreadnaught. Olbrzymią, lecz pozornie niewielką na tle ścian leja krasowego, które wznosiły się wokół niej.

Znajdował się na Utapau, jednym z zapomnianych i nieliczących się światów najdalszego pasa Zewnętrznych Rubieży. Na poziomie ziemi - znacznie powyżej miejsca, w którym stał Grievous - planeta wydawała się naga, monotonnie skalistą kulą, smaganą nigdy nieustającymi wichurami. Z orbity jednak można było dostrzec miasta, fabryki i porty kosmiczne - tyle że pojedynczo, w miarę jak obrót planety odsłaniał kolejne przepastne leje. Każdy z nich był wielkości odwróconej góry. Każdy metr pionowych ścian wykorzystano pod budowę miast. Każdy metr każdego miasta znajdował się zaś

teraz pod lufami robotów bojowych Konfederacji, które pilnowały, by Utapaunowie zachowywali się potulnie.

Planeta Utapau nie brała udziału w Wojnach Klonów. Nigdy nie należała do Republiki, a jej władze starannie przestrzegały zasady cichej neutralności.

Aż do chwili, gdy zajął ją Grievous.

W czasach takich jak ta neutralność była kpina. Planety bywały neutralne tylko tak długo, póki żadna ze stron - ani Republika, ani Konfederacja - nie potrzebowały ich z jakiegoś powodu. Gdyby Grievous umiał się śmiać, zapewne śmiałby się z tego.

Przywódcy separatystów biegali po permabetonowej płycie lądowiska jak szczury, którymi w istocie byli - spieszyli na pokład okrętu, który miał ich zabrać do bezpiecznej, nowo wybudowanej bazy na Mustafar.

Tylko jeden szczur nie brał udziału w tej krzątaninie.

Grievous zogniskował spojrzenie na transpasterowej tafli i zobaczył w niej odbicie Nute'a Gunraya. Neimoidiański wicekról przystanął niepewnie w drzwiach centrum kontroli lotów. Pod wysokim czepcem przybysza widać było przede wszystkim wyłupaste, zimne oczy.

- Gunray. - Grievous nawet nie drgnął. - Co tu jeszcze robisz?

- O niektórych sprawach należy rozmawiać na osobności, generale. - Odbicie wicekróla poruszyło się, rzucając lekkie spojrzenia w obie strony korytarza. - Niepokoi mnie ta przeprowadzka. Mówiłeś, że na Utapau będziemy bezpieczni. Dlaczego Rada Przywódców przenosi się na Mustafar?

Grievous westchnął. Nie miał czasu na szczegółowe wyjaśnienia, bo spodziewał się tajnej transmisji od samego Sidiousa. Nie mógł jej odebrać w obecności Gunraya, podobnie jak nie mógł ulżyć przemożnemu pragnieniu wymierzenia mu kopniaka tak potężnego, że Neimoidianin splonąłby podczas ponownego wejścia w atmosferę. Grievous nieustannie żywił nadzieję, że pewnego dnia Lord Sidious pozwoli mu własnoręcznie rozłupać czaszki Gunraya i jego kolesia, Rune'a Haako. Odrażające, pazerne łajdaki, pomyślał. O pozostałych przywódcach ruchu separatystycznego nie miał lepszego zdania.

Tymczasem jednak wypadało przynajmniej udawać przyjaźń.

- Utapau - powiedział wolno Grievous, jakby tłumaczył rzecz małemu dziecku - jest wrogą planetą, którą okupujemy. Nigdy nie miała być niczym więcej jak tylko przystankiem do czasu ukończenia budowy systemów obronnych bazy na Mustafar. Teraz, gdy są one gotowe, Mustafar jest najbezpieczniejszą planetą w galaktyce. Twierdza, która czeka tam na was, może wytrzymać nawet atak całej Marynarki Republiki.

- Chyba powinna - mruknął Gunray. - Jej budowa omal nie doprowadziła Gildii Kupieckiej do bankructwa!

- Nie jęcz mi tu o pieniądzach, wicekrólu. Nie interesują mnie te sprawy.

- A powinny, generale. To moje pieniądze finansują całą tę wojnę! Moje pieniądze kupiły ciało, którego używasz, a także te absurdalnie drogie androidy MagnaGuard, które zamówiłeś! To moje pieniądze...



Grievous zareagował tak szybko, jakby nagle teleportował się spod okna w stronę drzwi, by stanąć ledwie pół metra od Nute'a Gunraya.

- A jaki pożytek przyniosą ci pieniądze - wycedził, zaciskając pięść z duranium na wysokości twarzy Neimoidianina - przeciwko czemuś takiemu?

Gunray odchylił się odruchowo i cofnął o krok.

- Ja tylko... Nie jestem pewny, czy potrafisz nam zapewnić bezpieczeństwo. To wszystko, generale. Ja... my... Gildia Kupiecka nie może pracować w atmosferze strachu. A co z Jedi?

- Zapomnij o nich. W tym równaniu nie ma miejsca na Jedi.

- Za to już wkrótce znajdzie się dla nich miejsce w bazie na Mustafar!

- Baza jest bezpieczna. Wytrzyma atak choćby i tysiąca Jedi. Nawet dziesięciu tysięcy.

- Czy ty nie słyszysz, co mówisz? Jesteś szalony!

- Jestem tylko - odparł gładko Grievous - nieprzyzwyczajony do kwestionowania moich rozkazów.

- To my jesteśmy Radą Przywódców! Nie możesz wydawać nam rozkazów, bo to my jesteśmy od rozkazywania!

- Taki jesteś pewny? Może chciałbyś się założyć? - Grievous pochylił się w stronę Gunraya; był tak blisko, że dostrzegał odbicie swojej maski w wielkich, różowawych oczach Neimoidianina. - Na przykład o twoje życie.

Gunray znowu się cofnął.

- Twierdzisz, że na Mustafar będziemy bezpieczni. Wcześniej twierdziłeś, że przywieziesz nam Palpatine'a jako zakładnika. I co? Miałeś go w garści i pozwoliłeś mu uciec!

- Ciesz się, wicekrólu - odparł Grievous, podziwiając gładką pracę stawów w palcach, jakby jego dłoń była rzadkim okazem egzotycznego drapieżnika - że sam nie znalazłeś się w mojej garści.

Powrócił do pancernego iluminatora i przyjął poprzednią pozycję: nogi szeroko, dłonie złożone na plecach. Czuł, że jeśli jeszcze przez sekundę będzie zmuszony patrzeć na niezdrowe, różowe plamy na zielonkawych policzkach Gunraya, to być może zapomni o rozkazach i pomoże mózgowi wicekróla rozprysnąć się od Utapau po Ord Mantell.

- Statek czeka.

Sensory słuchowe Grievousa wychwyciły szuranie sandałów Neimoidianina, cichnące w korytarzu. Dokładnie w tej samej, najodpowiedniejszej chwili zarejestrowały też świst rozgrzewającego się holokomu. Odwrócił się twarzą w stronę dysku projektora, a kiedy rozległ się sygnał informujący o oczekującym połączeniu, nacisnął klawisz „odbierz” i przyklęknął.

Spuścił głowę tak nisko, że mógł dostrzec co najwyżej skraj szaty wielkiego Lorda, ale wystarczyło mu to w zupełności.

- Tak, Lordzie Sidious?

- Przerzuciłeś Radę Separatystów na Mustafar?

- Tak, panie. - Grievous zaryzykował szybkie spojrzenie w bok. Większość członków Rady Przywódców dotarła już na pokład okrętu. Gunray zapewne dołączy do nich lada chwila; generał miał już okazję widzieć, jak szybko potrafi biegać neimoidiański wicekról, gdy tylko zapewni mu się odpowiednią motywację. - Okręt wystartuje za parę chwil.

- Dobra robota, generale. Teraz musisz skupić się na przygotowaniu pułapki na Utapau. Jedi wreszcie rozpoczęli polowanie na ciebie; musisz być gotowy na ich atak.

- Tak jest, panie.

- Zaaranżuję sprawy tak, żebyś miał drugą szansę na wykonanie mojego rozkazu, Grievous. Spodziewaj się, że rycerzem Jedi, który będzie chciał cię pojmać, będzie Obi-Wan Kenobi.

- Kenobi? - Pięści generała zacisnęły się tak mocno, że serwomotory zajęczały z wysiłku. - A Skywalker?

- Przypuszczam, że Skywalker będzie... zajęty czymś innym. Grievous spuścił głowę jeszcze niżej.

- Tym razem cię nie zawiodę, mój panie. Kenobi zginie.

- Dopilnuj tego.

- Panie... Jeśli wolno mi pozwolić sobie na śmiałość... dlaczego nie życzyłeś sobie, żebym zabił kanclerza Palpatine'a? Być może nie trafi się nam druga taka okazja.

- To nie była odpowiednia chwila. Cierpliwości, mój generale. Koniec wojny jest bliski, a zwycięstwo pewne.

- Nawet teraz, gdy straciliśmy hrabiego Dooku?

- Nie straciliśmy Dooku. Został poświęcony. To była strategiczna ofiara; mniej więcej taka, jak oddanie figury w partii dejarika. Chodzi o to, żeby sprowokować przeciwnika do popełnienia fatalnego błędu.

- Nigdy nie byłem miłośnikiem dejarika, panie. Wolę prawdziwą wojnę.

- I będziesz ją miał, obiecuję ci.

- Jeśli chodzi o fatalny błąd, o którym wspomniałeś, panie. Niech mi będzie wolno jeszcze raz pozwolić sobie na śmiałość i...

- Wkrótce wszystko zrozumiesz.

Grievous usłyszał w głosie swojego pana nutę rozbawienia.

- Wszystko stanie się jasne, gdy poznasz mojego nowego ucznia.

Anakin odgarnął włosy z czoła, biegnąc truchtem przez platformę startową na szczycie gmachu Świątyni, opodal podstawy Wieży Wysokiej Rady. Na dalekim krańcu lądowiska stał prom Wielkiego Kanclerza. Anakin zmrugał oczy, spoglądając w jego stronę, i dostrzegł dwóch rosłych, odzianych w czerwień gwardzistów, którzy trzymali straż przy opuszczonej rampie pojazdu.

Od strony promu szedł zaś w jego stronę - osłaniając oczy i pochylając się pod silnymi podmuchami porannego wiatru, który hulał nad platformą bez przeszkód - czyżby... Obi-Wan Kenobi?

- Nareszcie - mruknął Anakin. Przeszukał całą Świątynię, próbując odnaleźć swojego byłego mistrza. Nieomal stracił nadzieję na sukces, gdy wreszcie od jednego z

przypadkowo napotkanych padawanów usłyszał, że Obi-Wan wyszedł na lądowisko, by powitać kanclerza. Anakin nie zdążył jeszcze zmienić ubrania, ale miał nadzieję, że Kenobi nie zwróci na to uwagi.

Przecież nie mógł mu wyjaśnić, dlaczego nie nocował w swojej kwaterze.

Wiedział, że sekretu nie uda się utrzymać zbyt długo, ale nie był jeszcze gotowy do wyznania całej prawdy. W nocnej rozmowie z Padme ustalili, że spróbują dochować tajemnicy tak długo, jak się da. Przede wszystkim Anakin nie był gotowy do opuszczenia zakonu Jedi. Nie teraz, gdy jego żona była w niebezpieczeństwie.

Padme upierała się, że koszmarny sen był jedynie fantazją, ale Skywalker wiedział swoje. Zdawał sobie sprawę, że proroctwa Mocy to nie są prawdy absolutne, ale sny, które miewał niekiedy, jeszcze nigdy go nie zawiodły. Sprawdzały się w najdrobniejszych szczegółach. Już jako chłopiec wiedział, że zostanie wybrany przez Jedi. Wiedział, że czekają go przygody na galaktyczną skalę. Jako zaledwie dziewięcioletek, na długo zanim zrozumiał, czym jest miłość, spojrzął na urodziwą twarz Padme Amidali i nabrał przekonania, że ta dziewczyna pewnego dnia go pokocha. Że będą małżeństwem.

W jego snach o matce również nie było żadnych fantazji. Były okrzyki bólu. Były tortury i śmierć.

*Wiedziała, że po mnie przyjdiesz, Annie... Tak bardzo tęskniłam...*

Mógł ją ocalić.

Może.

Zawsze wydawało mu się to oczywiste: gdyby tylko wrócił na Tatooine dzień albo godzinę wcześniej, mógłby odnaleźć matkę i pewnie żyłaby do dziś. A jednak...

Jednak wielcy prorocy Jedi nauczali zawsze, że największe zagrożenie powstaje wtedy, gdy ktoś próbuje zapobiec spełnieniu się wizji przyszłości, bowiem może się zdarzyć, że sam stanie się przyczyną jej spełnienia. Gdyby więc Anakin w porę przybył na ratunek, być może w jakiś sposób sam stałby się winnym jej śmierci.

Co oznaczało, że próbując ocalić Padme, mógłby - choć wydawało się to absolutnie niemożliwe - ją zabić...

Ale z drugiej strony, czy mógł stać beczynnym i czekać na jej śmierć?

Czy istniało coś bardziej niemożliwego?

Gdy Jedi zadaje sobie pytanie dotyczące najgłębszych subtelności Mocy, jest tylko jedno źródło, w którym może szukać odpowiedzi. Dlatego też z samego rana, nie zastanawiając się nawet nad tym, czy warto zajrzeć do kwatery i się przebrać, Anakin udał się po radę do mistrza Yody.

Zaskoczyło go to, jak łaskawie sędziwy Jedi powitał go w swojej komnacie i jak cierpliwie wysłuchał jego niezbyt spójnych wyjaśnień, w których starał się naświetlić problem tak, by nie zdradzić sekretu. Stary mistrz nigdy dotąd nawet nie próbował ukrywać swoich uczuć; jego zdaniem byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby Skywalker po prostu nie istniał - tak przynajmniej odbierał jego zachowanie Anakin.

Jednak tego ranka, mimo wielu ważnych spraw, które zaprzętały jego umysł - Anakin nie był może mistrzem w odbieraniu subtelnych sygnałów Mocy, ale nawet on

wyczuwał w kwaterze mistrza echo konfliktów i niepokoju - Yoda po prostu zaprosił go na jedno z miękkich siedzisk i zaproponował wspólną medytację.

Nie pytał o szczegóły.

Anakin poczuł wdzięczność, ulgę i, zupełnie nieoczekiwanie, nadzieję. Łzy napływały mu do oczu i potrzebował dobrych kilku minut, by odzyskać spokój właściwy rycerzowi Jedi.

Po pewnym czasie Yoda wolno uchylił powieki. Bruzdy na jego czole stały się jeszcze głębsze niż zwykle.

- Przepowiednie... przepowiednie... głębokimi są pytaniami. Przewidywać przyszłość niegdyś wszyscy Jedi potrafili. Dziś niewielu umiejętność tę posiada. Wizje... to dary Mocy, ale i przekleństwa. Ostrzeżenia i pułapki. A twoje wizje...

- Jest w nich ból - wtrącił Anakin. - I cierpienie... I śmierć - dodał z największym trudem.

- Nic w tym dziwnego w tak niespokojnych czasach. Siebie widzisz czy kogoś znajomego?

Anakin nie ufał sobie na tyle, by odpowiedzieć.

- Kogoś, kto jest ci bliski? - indagował łagodnie Yoda.

- Tak - odparł Anakin i odwrócił głowę, by nie patrzeć w zanedo mądre oczy mistrza. Niech podejrzewa, że mówię o Obi-Wanie, pomyślał. To wystarczy.

Głos Yody wciąż był łagodny, pełen zrozumienia.

- Strach przed utratą jest drogą ku Ciemnej Stronie, młodzieńcze.

- Mistrzu, nie pozwolę, żeby ta wizja się ziszczyła. Nie pozwolę.

- Radować się trzeba za tych, którzy łączą się z Mocą. Nie oplakiwać ich. Ani tęsknić za nimi.

- Więc po co w ogóle walczymy, mistrzu? Dlaczego ratujemy kogokolwiek?

- Nie o kimkolwiek mówimy - odparł surowo Yoda. - Mówimy o tobie, wizji twojej i o twoim strachu. Cieniem chciwości jest przywiązanie. Od tego, co boisz się utracić, uwolnić się musisz. Strach porzuć, wtedy strata zranić cię nie zdoła.

W tym momencie Anakin pojął, że Yoda wcale mu nie pomoże. Największy mędrzec zakonu Jedi nie miał do powiedzenia nic więcej poza nadętymi bredniami o Rzeźcach, Które Muszą Odejść z Naszego Życia.

Jakby nie słyszał tego już milion razy.

Łatwo mu mówić, pomyślał Anakin. Czy kiedykolwiek zależało mu na kimś? Czy troszczył się o kogoś? Jednego Anakin był pewien: sędziwy mistrz nigdy nie był zakonchany.

W przeciwnym razie wiedziałby, że młody Jedi nie zamknie oczu, nie złoży rąk i nie zatopi się w medytacjach, podczas gdy resztką życia Padme wyparowuje niczym zimowa rosa na Tatooine.

Anakin mógł więc jedynie - z całym szacunkiem dla mistrza - ulotnić się z jego kwatery.

I poszukać Obi-Wana.

Poddawać się nie miał zamiaru. Nie w tym milenium.

Świątynia Jedi była największym skupiskiem Mocy w Republice. Jej gmach zaprojektowano, by koncentrował Moc w taki sposób, jak klejnot w rękojeści miecza świetlnego skupia strumień energii. Zamieszkała przez tysiące Jedi i padawanów, którzy każdego dnia kontemplowali pokój, szukali wiedzy i medytowali o sprawiedliwości i pokorze wobec woli Mocy, Świątynia była prawdziwą fontanną światła.

Wystarczyło znaleźć się na lądowisku, by poczuć potężny zastrzyk siły. Jeżeli Moc miała pokazać Anakinowi sposób na odmienienie mrocznej przyszłości z nocnego koszmaru, to tylko tutaj.

Świątynia Jedi zawierała też Archiwum - olbrzymią bibliotekę, w której przechowywano materiały zgromadzone przez całe dwadzieścia pięć tysięcy lat istnienia zakonu. Było tam wszystko, od wyników zakrojonych na wielką skalę badań kosmograficznych, po intymne dzienniki miliarda rycerzy Jedi. Właśnie tam Anakin miał nadzieję znaleźć wszystkie dane, jakie zgromadzono dotąd na temat proroczych snów oraz tego, w jaki sposób można zapobiegać ich spełnieniu.

Jedynym problemem było to, że najgłębsze sekrety największych mistrzów Mocy przechowywano w zastrzeżonych holokronach. Od czasu afery Loriany Noda, która rozegrała się mniej więcej siedemdziesiąt standardowych lat wcześniej, dostęp do tych nośników mieli jedynie mistrzowie Jedi.

W dodatku Anakin raczej nie mógł wyjaśnić opiekunce Archiwum, dlaczego tak bardzo chce zajrzeć do tajnych holokronów.

Pozostawał więc Obi-Wan. Anakin wiedział, że mistrz mu pomoże, jeśli tylko uda się poprosić go w odpowiedni sposób...

Zanim znalazł odpowiednie słowa, Obi-Wan stanął przed nim.

- Nie złożyłeś raportu w sprawie blokad na Zewnętrznych Rubieżach.

- Bo... coś mnie zatrzymało - odparł Anakin. - Nie mam usprawiedliwienia.

To przynajmniej było prawdą.

- Palpatine jest tutaj? - spytał, znajdując wygodny pretekst do zmiany tematu. - Coś się stało?

- Wręcz przeciwnie - odparł Obi-Wan. - Prom nie przywiózł kanclerza. Czeka, żeby zabrać cię do niego.

- Czeka? Na mnie? - Anakin zmarszczył brwi. Zmartwienia i znużenie mąciły mu umysł; być może dlatego nie widział w tym wszystkim żadnego sensu. W zamyśleniu poklepał się po fałdach szaty. - Przywoływacz mi wysiadł. Jeżeli Rada mnie potrzebowała, to dlaczego...

- Rady - przerwał mu Obi-Wan - nikt nie pytał o zdanie.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie. - Obi-Wan podszedł bliżej i ruchem głowy wskazał na wahadłowiec i gwardzistów. - Po prostu przylecieli tu jakiś czas temu. Na pytanie dyżurnego padawana odpowiedzieli, że kanclerz życzy sobie spotkania z tobą.

- Dlaczego nie załatwił tego przez Radę?

- Bo może ma powody przypuszczać - odrzekł ostrożnie Kenobi - że Rada mogłaby nie wyrazić zgody. A może nie chce wyjawiać celu spotkania. Stosunki między Radą a Wielkim Kanclerzem są... napięte.

Anakin poczuł ucisk pod żebrami.

- Obi-Wanie, co się dzieje? Coś jest nie tak, prawda? Ty coś wiesz, wyczuwam to.

- Wiem? Nie, tylko podejrzewam. A to wcale nie jedno i to samo.

Skywalker pamiętał dobrze, o czym opowiadał Padme tej nocy. Ucisk pod żebrami nasilił się.

- A więc?

- Cóż, dlatego tu jestem, Anakinie. Żeby z tobą pogadać. Prywatnie. Niejako członek Rady Jedi. Tak naprawdę, gdyby inni członkowie Rady wiedzieli o tej rozmowie... Powiedzmy tylko, że nie powinni się o niej dowiedzieć.

- O jakiej rozmowie? Nadal nie wiem, o co tu chodzi!

- Nikt z nas nie wie. Naprawdę. - Obi-Wan położył dłoń na ramieniu ucznia i spojrział mu głęboko w oczy. - Anakinie, wiesz, że jestem twoim przyjacielem.

- Oczywiście, że jesteś...

- Nie. Nic nie jest oczywiste, Anakinie. Już nie. Ale jestem twoim przyjacielem i jako przyjaciel proszę cię: miej oko na Palpatine'a.

- O co ci chodzi?

- Wiem, że jesteś jego przyjacielem. Martwię się tylko, że być może on nie jest twoim. Uważaj na niego, Anakinie. I na własne uczucia. Bądź ostrożny.

- Ostrożny? Nie chciałem powiedzieć: świadomy?

Obi-Wan zmarszczył czoło.

- Nie, nie chciałem. Moc wokół nas jest coraz ciemniejsza i wszyscy ulegamy jej wpływom, podobnie jak ona naszym. To niebezpieczny czas dla Jedi. Proszę cię, Anakinie: bądź ostrożny.

Anakin z wysiłkiem ułożył usta w namiastkę dawnego, zawadiackiego uśmiechu.

- Za bardzo się przejmujesz.

- Muszę...

- ...bo ja nie przejmuję się niczym, tak? - dokończył za niego Skywalker.

Obi-Wan uśmiechnął się.

- Skąd wiedziałeś, że chcę to powiedzieć?

- Mylisz się. - Anakin spojrział przez poranną mgiełkę na prom i dalej, na wieże Pięćsetki Republiki i apartament Padme. - Przejmuję się, i to bardzo.

Lot ku biurom Palpatine'a przebiegł w ciszy i napięciu. Anakin próbował zagadywać dwóch towarzyszy podróży, ubranych w czerwone płaszcze i hełmy zakrywające twarze, ale żaden z nich nie był specjalnie rozmowny.

Dotarłszy na miejsce, poczuł się jeszcze bardziej nieswojo. Bywał w tych pomieszczeniach tak często, że przestał zwracać uwagę na wystrój wnętrza. Gabinet kanclerza wyściełany był ciemnoczerwonym dywanem biegnącym wzdłuż łukowatych ścian. Stały tu długie i wygodne kanapy, a za wielkim biurkiem Palpatine'a znajdowało się ogromne, również łukowato zakończone okno. Zazwyczaj nie dostrzegał tego wszystkiego, ale tego dnia...

Tego dnia, gdy w uszach rozbrzmiewał mu jeszcze szept Obi-Wana: „Uważaj na Palpatine'a”, Anakin postrzegał wszystko inaczej. Na nowo. I w niezbyt pozytywnym świetle.

Nieokreślony półmrok spowijał wszystko, jakby zwierciadła orbitalne, które skupiały blask dalekiego słońca, zamieniając go w jaskrawe światło dnia, zostały uszkodzone lub powleczone brązowymi smugami dymu ciągnącymi się nad miastem. Lampy w gabinecie świeciły mocniej niż zwykle, lecz, o dziwo, ich jasność tylko podkreślała mrok panujący dokoła. Ku swemu zdumieniu Anakin poczuł nagle skojarzenie, nowy harmoniczny rezonans gdzieś w głębi umysłu: gdy tak spoglądał na łuk okna, na tle którego zaznaczała się sylwetka samotnego fotela kanclerza...

Biuro Palpatine'a przypomniało mu kwatery generała na pokładzie „Niewidzialnej Ręki”.

Złowrogim sygnałem wydało mu się i to, że szaty Czerwonej Straży kanclerza mają taki sam kolor jak dywan wyściełający jego gabinet.

Palpatine stał przy oknie, z dłońmi złożonymi na plecach, i przyglądał się miastu wciąż zasnutemu dymami pożarów.

- Anakin. - Musiał dostrzec odbicie gościa w krzywiźnie transpastali, ale nawet nie drgnął. - Pozwól do mnie.

Anakin podszedł bliżej i przyjął identyczną pozycję. Nieskończona panorama miasta rozpościerała się przed nimi. Tu i tam widać było dym unoszący się nad zrujnowanymi budynkami. Ruch powietrzny z wolna wracał do normy; nad Coruscant znowu krzyżowały się strumienie małych jak komary śmigaczy, taksówek i autobusów repulso-rowych. W pobliżu piętrzył się gmach Senatu Galaktycznego, niczym gigantyczny, szary grzyb wyrastający z durabetonowej równiny, którą był plac Republiki. Dalej, w obłoku brązowawej mgiełki, wznosiło się pięć wież wieńczących Świątynię Jedi.

- Widzisz, Anakinie? - Głos Palpatine'a był cichy i chropawy z emocji. - Widzisz, co oni zrobili z naszym cudownym miastem? Ta wojna musi się skończyć. Nie możemy pozwolić na coś tak... tak...

Przywódca Republiki umilkł i pokręcił głową. Anakin łagodnym gestem położył dłoń na jego ramieniu i lekko zmarszczył brwi, zdziwiony wątpliwością mięśni i kośćmi, które wyczuł pod szatą.

- Wiesz przecież, kanclerzu, że robię wszystko co w mojej mocy, podobnie jak wszyscy inni Jedi - powiedział.

Palpatine skinął głową i już jej nie uniósł.

- Wiem, jak się starasz, Anakinie. A co do reszty Jedi... - dodał i urwał z westchnieniem. Wyglądał na jeszcze bardziej wyczerpanego niż poprzedniego dnia. Być może i on miał za sobą bezsenność. - Poprosiłem cię tutaj rzekł po chwili wolno - ponieważ potrzebuję twojej pomocy w niezmiernie delikatnej sprawie. Mam nadzieję, Anakinie, że mogę polegać na twojej dyskrecji.

Skywalker znieruchomiał na moment, a potem niespiesznie zdjął rękę z ramienia kanclerza. Uważaj na Palpatine'a.

- Jestem rycerzem Jedi, panie. Moja dyskrecja... ma swoje granice.

- Ależ naturalnie. Nie obawiaj się, mój chłopcze. - Na twarzy Palpatine'a pojawił się znajomy, ojcowski uśmiech. - Byliśmy przyjaciółmi przez te wszystkie lata... Czy kiedykolwiek poprosiłem cię o coś, co choć w najmniejszym stopniu klóciłoby się z twoim sumieniem?

- Cóż...

- I nigdy tego nie zrobię. Jestem dumny z tego, co osiągnąłeś jako Jedi. Wygrałeś wiele bitew, które zdaniem Rady Jedi były przegrane. Do tego ocaliłeś mi życie. Doprawdy, niesmakiem napawa mnie fakt, że do tej pory nie zostałeś dopuszczony do Rady.

- Mój czas nadejdzie... gdy będę starszy. I mądrzejszy, jak sądzę. - Nie miał ochoty drażnić tego tematu w rozmowie z Palpatine'em. Wolał dyskutować z nim poważnie, jak mężczyzna z mężczyzną bo czuł się wtedy mocny, pewny mimo ostrzeżeń Obi-Wana. Z pewnością nie chciał zawracać mu głowy swoimi aspiracjami do zostania mistrzem, niczym nieopierzony padawan, którego nie wybrano do drużyny scamballowej.

- Nonsens. Wiek nie jest miarą mądrości. Nie dopuszczają cię do Rady, ponieważ jest to ostatnia dźwignia, jakiej mogą użyć przeciwko tobie. W ten sposób mogą kontrolować twoje poczynania. Jak inaczej skłonią cię do posłuszeństwa, kiedy już zostaniesz mistrzem, jak na to zasługujesz?

- Cóż... - Anakin uśmiechnął się rozbrajająco. - Nawet teraz niezupełnie mogą zmusić mnie do czegośkolwiek.

- Wiem, mój chłopcze. Wiem. I właśnie o to chodzi. Nie jesteś taki jak oni. Jesteś młodszy. Silniejszy. Lepszy. Skoro teraz nie mają nad tobą władzy, to co się stanie, gdy będziesz samodzielnym mistrzem? Jak narzucą ci swoją linię polityczną? Możliwe, że staniesz się potężniejszy niż oni wszyscy razem wzięci. To dlatego nie pozwalają ci awansować. Boją się twojej siły. Boją się ciebie.

Anakin spuścił głowę. Kanclerz był niebezpiecznie blisko prawdy.

- Ja sam... wyczułem coś takiego.

- Zaprosiłem cię tutaj także dlatego, że i mnie ogarnia lęk. - Palpatine odwrócił się i zaczął, aż Anakin spojrzył mu w oczy i zobaczył w nich coś na kształt rozpacz. - Zaczynam bać się samych Jedi.

- Ależ, kanclerzu... - Skywalker uśmiechnął się z niedowierzaniem. - Nie ma niktogo bardziej lojalnego niż Jedi. Oczywiście, że po tylu latach...

Ale Palpatine już się odwrócił. Usiadł w fotelu za biurkiem i pochylił głowę, jakby wstydził się mówić, patrząc Anakinowi w oczy.

- Rada wciąż naciska, domagając się większej kontroli. Większej autonomii. Twoi mistrzowie stracili resztę szacunku dla rządów prawa. Bardziej interesuje ich to, jak uniknąć zwierzchnictwa senatu, niż to, jak wygrać tę wojnę.

- Z całym szacunkiem, kanclerzu, wielu członków Rady mogłoby powiedzieć to samo o tobie. - Pomyślał o Obi-Wanie i omal się nie skrzywił. Czyżby właśnie zawiódł jego zaufanie?

A może Obi-Wan działał właśnie na polecenie Rady? Uważaj na Palpatine'a, powiedział. I na własne uczucia...

Czy były to szczerze ostrzeżenia, wynikające z troski o dobro Anakina? A może wszystko to było zimną kalkulacją, celowym sianiem wątpliwości, które miały odepchnąć najzdolniejszego Jedi od jedyne go człowieka, który naprawdę go rozumiał?

Jedyne go człowieka, któremu naprawdę ufał...

- Nie wątpię - ciągnął Palpatine. - Wielu członków Rady wołałoby, żebym zrezygnował z urzędu, ponieważ wiedzą już, że mam ich na oku, gdy obsesyjnie knują sekretne plany akcji przeciwko wrogom bez twarzy...

- Nie powiedziałbym, żeby Sithowie byli wrogami bez twarzy. Weźmy choćby Dooku...

- Czy rzeczywiście był Lordem Sithów? A może tylko jednym z wielu upadłych Jedi, wymachującym czerwonym mieczem, żeby was zastraszyć?

- Ja... - Anakin urwał, marszcząc czoło. Czy był pewny swoich racji? - Ale Sidious...

- Ach, tak, tajemniczy Lord Sidious. „Sith, który zinfiltrował sfery najwyższej władzy”. Powiedz no, Anakinie, czy nie brzmi to zbyt znajomo? Zbyt wygodnie? Skąd wiadomo, że ten Sidious w ogóle istnieje? Skąd możesz wiedzieć, że nie jest fikcyjną postacią stworzoną przez Radę Jedi, by wytłumaczyć jakoś prześladowanie przeciwników politycznych?

- Jedi nie są organizacją polityczną.

- W demokracji wszystko jest polityczne, Anakinie. I każdy. A ten ich wyimaginowany Lord Sithów, gdyby nawet istniał, czy byłby kimś, kogo należy się obawiać? Kogo należy wytropić i stracić bez sądu?

- Sithowie są uosobieniem zła...

- Nauczono cię, żebyś w to wierzył. A ja, Anakinie, zgłębiałem historię Sithów od lat. Ścisłej mówiąc, od chwili, gdy Rada uznała za stosowne poinformować mnie o swoich... podejrzeniach... że owi wymarli od tysiącleci czarownicy jakimś cudem ożyli. Nie wszystkie poświęcone im materiały zostały skrupulatnie zamknięte w archiwach Świątyni. Z tego, co czytałem, wynika, że Sithowie nie różnili się tak bardzo od Jedi. Byli żądni władzy, to pewne, ale nie inaczej jawi mi się wasza Rada.

- Ciemna Strona...

- Ach, tak, tak, oczywiście: Ciemna Strona. Posłuchaj mnie, Anakinie: gdyby ten wasz Darth Sidious stanął teraz w tych oto drzwiach i wszedł do mojego gabinetu... i gdybym, rzecz jasna, zdołał jakoś powstrzymać cię przed zabiciem go na miejscu... to wiesz, co bym zrobił? Palpatine wstał i podniósł głowę.

- Otóż poprosiłbym go, żeby usiadł i zapytałbym, czy dysponuje siłą, która pozwoliłaby nam wreszcie zakończyć tę wojnę!

- Ty... poprosiłeś... - Anakin nie wierzył własnym uszom. Krwistoczerwony dywan zdawał się uciekać spod jego stóp. Świat zawirował mu przed oczami.

- A gdyby powiedział, że dysponuje, to... do licha, postawiłbym mu brandy i dogadał się z nim!

- Ależ... kanclerzu, chyba nie mówisz poważnie!

- No, może niezupełnie. - Palpatine westchnął, wzruszył ramionami i ponownie zasiadł w fotelu. - To tylko przykład, Anakinie. Zrobiłbym wszystko, żeby przywrócić

pokój w galaktyce, rozumiesz? Tylko o to mi chodzi. Zresztą... - Wielki Kanclerz obdarzył go zmęczonym, smutnym i lekko ironicznym uśmiechem - .. jakie są szanse na to, że prawdziwy Lord Sithów kiedykolwiek stanie w tych drzwiach?

- Tego nie wiem - odparł z przekonaniem Anakin - ale wiem, że zdecydowanie nie powinienes, panie, używać tego... przykładu... w obecności Rady Jedi.

- O, tak. - Palpatine zachichotał. - Całkiem słusznie. Mogliby wykorzystać moje słowa, żeby mnie oskarżyć.

- Jestem pewien, że tego by nie zrobili...

- A ja nie jestem. Zaczynam wierzyć, że nie cofną się przed niczym, Anakinie. I w gruncie rzeczy właśnie dlatego zaprosiłem cię tutaj. - Palpatine pochylił się w skupieniu i oparł łokcie na blacie biurka. - Być może słyszałeś już, że dziś po południu senat prosi Urząd Wielkiego Kanclerza o przejęcie bezpośredniej kontroli nad Radą Jedi.

Anakin zmarszczył brwi.

- Jedi nie będą już odpowiadać przed senatem?

- Będą podlegać mnie. Osobiście. Senat jest zbyt rozproszony, by prowadzić wojnę; obserwujemy ten chaos od lat. Teraz, gdy kanclerz będzie jedyną władzą odpowiedzialną za działania sił zbrojnych, szybko zakończymy ten konflikt.

Anakin skinął głową.

- Rozumiem, że to dobry pomysł, panie kanclerzu, ale Rada zapewne będzie odmiennego zdania. Jedno nie ulega wątpliwości: mistrzowie nie przyjmą zbyt ochoczo kolejnych zmian w konstytucji.

- Dziękuję za szczerość, przyjacielu, ale w tym przypadku po prostu nie mam wyboru. Musimy wygrać tę wojnę.

- Wszyscy są tego zdania.

- Mam nadzieję, mój chłopcze. Mam nadzieję.

W głowie Anakina wciąż pobrzmiwało echo słów Obi-Wana: stosunki między Radą a Wielkim Kanclerzem są... napięte. Co się działo w stolicy przez te wszystkie miesiące? Czy nie jesteśmy już po tej samej stronie?

- Zapewniam cię - rzekł stanowczo - że Jedi pozostają absolutnie wierni podstawowym wartościom Republiki.

Jedna z brwi Palpatine'a uniosła się nieco.

- Ich czyny przemówią głośniejsz niż słowa. Tymczasem jednak ktoś musi ich mieć na oku. I właśnie na tym polega przysługa, o którą chciałbym cię prosić, mój chłopcze.

- Nie rozumiem.

- Anakinie, proszę cię, przez wzgląd na naszą wieloletnią przyjaźń, abys przyjął stanowisko mojego osobistego przedstawiciela w Radzie Jedi.

Anakin zamrugał. Zamrugał raz jeszcze.

- Ja? - spytał niepewnie.

- A któż by inny? - Palpatine rozłożył ręce w melancholijnym geście. - Jesteś jedynym Jedi, którego naprawdę znam i któremu naprawdę mogę zaufać. Potrzebuję cię, mój chłopcze. Nikt inny nie podoła takiemu zadaniu. Masz być oczami, uszami i głosem Republiki w Radzie Jedi.

- W Radzie... - wymamrotał Anakin.

Wyobraził sobie, że zasiada w jednym z niskich, okrągłych foteli, naprzeciwko Mace'a Windu. Naprzeciwko Yody. Może obok Ki-Adi-Mundiego albo Pio Koono... może nawet obok Obi-Wana! Nie mógł zignorować cichego szeptu, który dobiegał zza ogniotrwałych drzwi zamykających jego serce: jakiś głos podpowiadał mu, że wkrótce zostanie najmłodszym mistrzem w historii zakonu Jedi, istniejącego od dwudziestu pięciu tysiącleci...

Wszystko to nie miało jednak znaczenia.

Palpatine jakimś sposobem wejrzał w jego serce i postanowił podarować mu to, czego Anakin pragnął najbardziej w całej galaktyce. Nie chodziło o miejsce w Radzie - to był tylko dziecinny sen. Nie potrzebował Rady. Nie potrzebował uznania ani szacunku. Potrzebował wyłącznie rangi.

Liczyło się tylko to, że miał być mistrzem.

Liczyła się tylko Padme.

Był to dar lepszy niż inne dary: jako mistrz, Skywalker miałby dostęp do zakazanych holokronów, spoczywających w skarbcu Archiwum.

Mógłby znaleźć sposób, powstrzymać proroczy sen...

Potrząsnął głową i wrócił do rzeczywistości.

- Ja... jestem oszołomiony, panie. Pamiętaj jednak, że Rada sama wybiera swoich członków. Mistrzowie nie przystaną na tę propozycję.

- Obiecuję ci, że przystaną - odparł niezrażony Palpatine. Obrócił się z fotelem, by spojrzeć przez okno na dalekie wieże Świątyni. -Potrzebują cię bardziej, niż im się wydaje. Wystarczy, żeby ktoś...

Kanclerz wykonał zamaszty gest.

- ...wyjaśnił im tę prawdę.

## ROZDZIAŁ

# 11

### POLITYKA

Zwierzciadła orbitalne obróciły się, zmazując z nieba gwiazdy wzmocnionym światłem słońca. Jednostki straży pożarnej przemykały po niebie, rozpylając chemikalia oczyszczające powietrze z ostatnich pozostałości wielkich pożarów. Chłód nocy ześliżgiwał się z wolna po Wieży Wysokiej Rady, a w sali na jej szczycie Obi-Wan wciąż usiłował przekonać pozostałych mistrzów.

- Oczywiście, że mu ufam - odpowiadał cierpliwie. - Zawsze możemy wierzyć, że Anakin zrobi dokładnie to, co uważa za słuszne. Nie możemy jednak być pewni, że zrobi to, co mu każemy. Nie można go tak po prostu zmusić do posłuszeństwa. Uwierzyćcie mi, od lat próbuję dokonać tej sztuki.

Przeciwstawne prądy energii zderzały się ze sobą w komnacie Rady. Zgodnie z tradycją, decyzje podejmowano tu poprzez milczącą kontemplację przepływu Mocy, medytując tak długo, aż cała Rada stawała się jednym umysłem i osiągała pełną zgodność. Obi-Wan znał jednak tę tradycję jedynie ze słyszenia, z pism zebranych w Archiwum i z opowieści tych mistrzów, którzy pamiętali czasy przed powrotem Sithów. W swojej krótkiej karierze członka Rady Kenobi przekonał się, że spory prowadzone w tej sali przestały być wyjątkiem, a stały się regułą.

- Nieświadomie dał nam kanclerz sposobność - odrzekł z powagą Yoda. - Furtkę przed nami otworzył, abyśmy mogli wejrzeć w jego sprawy. Głupcami bylibyśmy, zamykając oczy.

- W takim razie użyjmy innych oczu - odparł Obi-Wan. - Wybacz, mistrzu Yoda, ale po prostu nie znasz go tak dobrze jak ja. Żaden z was go nie zna. Anakin jest ogromnie lojalny i nie ma w nim ani grama fałszu. Przecież wiecie o tym wszyscy; to jeden z argumentów, które niektórzy z was wysuwali przeciwko nadaniu mu tytułu mistrza. „Brak mu rezerwy Jedi”, tak mówiliście. A chodziło właśnie o to, że jego emocje tak rzucają się w oczy jak reklama na HoloNecie! Jak możecie żądać, żeby okłamywał przyjaciela... żeby go szpiegował?

- Właśnie dlatego potrzebujemy przyjaciela, który go o to poprosi - odezwał się Agen Kolar przyjemnym, zabrackim barytonem.

- Nic nie rozumiecie. Nie zmuszajcie go, żeby wybierał między mną a Palpatine'em...

- Dlaczego nie? - spytał holograficzny wizerunek Pio Koon, transmitowany z mostka „Odważnego”. Mistrz dowodził atakiem zespołu uderzeniowego Marynarki Republiki na siły separatystów w systemie Ywllandr. - Obawiasz się, że mógłbyś przegrać w tej konkurencji?

- Nie macie pojęcia, ile znaczyła dla niego przyjaźń z Palpatine'em przez te wszystkie lata. Żądacie, żeby użył tej przyjaźni jako broni! Aby wbił nóż w plecy przyjaciela! Nie rozumiecie, jak wiele będzie go to kosztować, nawet jeśli Palpatine jest zupełnie niewinny? A raczej: zwłaszcza jeśli jest niewinny! Stosunki między nimi już nigdy nie będą takie same...

- A to akurat - wtrącił Mace Windu - jest najlepszym argumentem za wprowadzeniem w życie tego planu. Mówiłem ci już, że widziałem energię łączącą Skywalkera z Wielkim Kanclerzem. Warto spróbować wszystkiego, co może odsunąć ich od siebie.

Obi-Wan nie musiał zagłębiać się w Moc, by wiedzieć, że przegra ten spór. Pochylił głowę.

- Oczywiście podporządkuję się decyzji Rady.

- W to nie wątpił żaden z nas. - Yoda zwrócił zielone spojrzenie ku pozostałym członkom Rady. - Lecz jeśli już trzeba nam to zrobić, postanowić musimy, w jaki sposób użyć Skywalkera.

Podobizna Ki-Adi-Mundiego zamigotała i rozmyła się na moment, gdy Cereanin pochylił się i złożył dłonie.

- Ja także mam zastrzeżenia do całego przedsięwzięcia, ale z drugiej strony w chwilach rozpaczki tylko rozpaczliwe plany mają szansę powodzenia. Wiemy, że młody Skywalker ma dość siły, by samodzielnie stawić czoło Lordowi Sithów, jeśli zajdzie taka potrzeba. Dowiódł tego, pokonując Dooku. Jeżeli istotnie jest Wybrańcem, musimy wykorzystać go w rozgrywce z Sithem. Niech będzie na miejscu, gdy przyjdzie czas, by wypełnił swoje przeznaczenie.

- Nawet jeśli niedokładnie rozumiemy przepowiednię - dodał Agen Kolar - to spośród wszystkich Jedi tylko Anakin ma szansę przeżyć spotkanie z Lordem Sithów. Wykorzystajmy ten fakt, zastawiając pułapkę: na spotkaniu Rady postaramy się podkreślić, jak bardzo zależy nam na schwytaniu Grievousa. Anakin na pewno doniesie kanclerzowi, że intensyfikujemy poszukiwania. Być może tym sposobem skłonimy Sidiousa do działania.

- To może nie wystarczyć - odrzekł Mace Windu. - Posuńmy się o krok dalej. Powinniśmy wyglądać na osłabionych i zdziśiatkowanych. Niech Sidious wykona ruch, którego jego zdaniem nie będziemy w stanie dostrzec. Proponuję poinformować kanclerza, że mistrz Yoda i ja byliśmy zmuszeni opuścić planetę i włączyć się do walki...

- Zbyt to ryzykowne - wtrącił Yoda. - I zbyt dogodne. Tylko jeden z nas odlecieć powinien.

- W takim razie ty, mistrzu Yoda - powiedział Agen Kolar. - Lord Sithów zapewne najbardziej obawia się wrażliwości na szersze nurty Mocy.

Obi-Wan wyczuł falę zgody, która opłynęła salę. Yoda z powagą skinął głową.

- Atak separatystów na Kashyyyk wiarygodnym pretekstem będzie. Poza tym, dobre mam wśród Wookieech kontakty; armie robotów zniszczyć mogę i powrócić na Coruscant, gdy Sidious przynęte połknie.

- Zatem ustalone. - Mace Windu rozejrzał się po na wpół opustoszałej sali Wysokiej Rady. - Jeszcze jedno - dodał, marszcząc brwi. - Przez Anakina dajmy kanclerzowi sygnał, że najprzebieglejszy i najbardziej wnikliwy z naszych mistrzów... a także najbardziej wytrzymały... poprowadzi łowy na Grievousa.

- Sidious będzie musiał zadziałać, i to szybko, jeżeli wojna ma potrwać dłużej - stwierdził Pio Koon, kiwając głową.

- Zgoda - dorzucił Yoda.

Agen Kolar i Ki-Adi-Mundi również pokiwali głowami.

- Wydaje się, że to dobry plan - przyznał Obi-Wan. - Ale którego mistrza macie na myśli?

Dopiero po kilku sekundach, gdy przyjrzał się kolejno twarzom mistrzów i na każdej z nich dostrzegł wyraz łagodnego rozbawienia, dotarło do niego, że mieli na myśli właśnie jego.

Bail Organa stanął jak wryty pośrodku Wielkiego Holu - przestronnego korytarza, który otaczał Salę Zgromadzeń Senatu. Wartki prąd przedstawicieli niezliczonych ras, który nieustannie przetaczał się przez hol, rozwidlił się teraz jak nurt omijającej głaz. Senator z Alderaanu z niedowierzaniem wpatrywał się w jedną z wielkich holoprojekcyjnych tablic, które nie tak dawno zainstalowano tu, by senatorowie byli na bieżąco, jeśli chodzi o najświeższe doniesienia z wojny i najnowsze dekrety kanclerza.

Miał wrażenie, że jego serce zgubiło rytm i przez długą chwilę nie mógł skupić wzroku na holoprojekcji. Przecisnął się do stanowiska kopiarek i szybko wpisał kod. Arkusze flimsiplastu, które już po chwili znalazły się w jego ręku, zawierały dokładnie tę samą treść.

Spodziewał się tego. Od wczoraj, gdy senat przegłosował powierzenie Palpatine'owi kontroli nad Jedi, po prostu wiedział, że to już niedługo... Zaczął nawet przygotowywać się na tę chwilę.

Wszystko to jednak nie sprawiło, że łatwiej było przełknąć tę wiadomość.

Zatrzymał się przy jednym z ogólnodostępnych stanowisk łączności i wpisał prywatny numer. Transpastalowe ściany budki stały się nieprzezroczyste jak kamień i chwilę później nad małym holodyskiem pojawił się obraz wielkości dłoni, przedstawiający szczupłą kobietę w białej szacie sięgającej ziemi. Miała krótkie, schludnie ułożone, kasztanowe włosy, a jej oczy koloru akwamaryny patrzyły na Organę jasno i inteligentnie.

- Bail - powiedziała. - Co się stało?

- Widziałś poranny dekret?

- O zarządzaniu sektorami? Widziałam...

- Już czas, Mon - przerwał jej ponuro Bail. - Czas skończyć z gadaniem i zacząć działać. Musimy przekonać senat.

- Masz rację, ale trzeba działać ostrożnie. Zastanawiałeś się może, z kim powinniśmy skonsultować plan działania? Komu możemy zaufać?

- Niezbyt szczegółowo... Giddean Danu od razu przyszedł mi do głowy. Sądzę, że Fang Zar również jest godny zaufania.

- Zgoda. Co z Iridik'k-stallu? Ona ma serca we właściwym miejscu. Podobnie jak Chi Eekway.

Bail pokręcił głową.

- Może później. Potrzebujemy przynajmniej paru godzin, żeby dokładnie ustalić ich stanowisko. Na początek wybierzmy senatorów, którym na pewno możemy ufać.

- W porządku. W takim razie Terr Taneel. I Amidala z Naboo, jak sądzą.

- Padme? - Bail zmarszczył brwi. - Nie jestem pewien.

- Znasz ją lepiej niż ja, Bail, ale moim zdaniem to dokładnie ten typ senatora, jakiego nam potrzeba. Jest inteligentna, ma zasady, potrafi przekonywać do swoich racji i bez wątplenia ma serce wojowniczeki.

- I od niepamiętnych czasów współpracuje z Palpatine'em - przypomniał Bail. - Kiedy była królową Naboo, on był jej ambasadorem. Jaką mamy gwarancję, że stanie po naszej stronie, a nie po jego?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać - odrzekła spokojnie senator Mon Mothma.

Gdy drzwi sali Wysokiej Rady Jedi wreszcie się otworzyły, Anakin był już wściekły.

Zapewne by zaprzeczył, gdyby ktoś zapytał go o to wprost, i może nawet byłby przekonany, że mówi prawdę... Ale kazali mu czekać tak długo! Nie miał tam nic do roboty, poza gapieniem się przez zabrudzone sadzą okno wieży na okaleczoną linię Galaktycznej Stolicy -okaleczoną przez bitwę, którą, nawiasem mówiąc, osobiście wygrał. Prawie w pojedynkę. Nie miał też o czym myśleć, poza tym, dlaczego tak dużo czasu potrzebują mistrzowie na podjęcie tak prostej decyzji...

Rozgniewany? Ależ skąd. Był już prawie pewny, że nie czuje gniewu. Wmawiał sobie spokój tak długo, że już zaczynał w to wierzyć.

Wszedł do sali z głową spuszczoną na znak szacunku i pokory. W głębi serca jednak, za potężnymi ścianami atomowego pieca, ukrywał coś.

Nie był to jednak gniew. Gniew był tylko kamuflażem.

Pod nim zaś skrył się smok.

Anakin pamiętał aż nadto dobrze swoją pierwszą wizytę w tej sali, gdy stanął w otoczeniu mistrzów Jedi, którzy mieli zdecydować o jego losie. Pamiętał zielone oczy Yody, których spojrzenie zdawało się przenikać serce na wskroś i dostrzegać robaka strachu zzerającego go od środka. Choć ze wszystkich sił starał się wtedy ukryć uczucia, nie mógł wyprzeć się obawy o to, że być może już nigdy nie zobaczy matki.

Teraz zaś nie mógł pozwolić, by zobaczyli, w co przerodził się tamten robak.

Wolno wyszedł na środek sali i zwrócił się ku Starszym.

Yoda był jak zwykle nieprzenikniony. Jego pobrużdżona twarz była jak maska, uosobienie spokojnej kontemplacji.

Mace Windu równie dobrze mógł być wyrzeźbiony z kamienia.

Migocące wizerunki Ki-Adi-Mundiego i Pio Koono wisiały centymetr ponad ich siedziskami w Radzie, wyświetlane przez holoprojektory wbudowane w fotele. Agen Kolar siedział samotnie między pustymi miejscami należącymi do Shaak Ti i Stass Allie.

Obi-Wan zajął fotel należący niegdyś do Oppo Rancisisa. Wyglądał na zamyślnego, a może nawet zmartwionego.

- Anakinie Skywalkerze. - Głos mistrza Windu brzmiał tak surowo, że smok w sercu Anakina skulił się instynktownie. - Rada postanowiła podporządkować się dyrektywom kanclerza Palpatine'a oraz decyzji senatu, który po raz pierwszy w historii powierzył mu bezpośrednią zwierzchność nad nami. Niniejszym przyznajemy ci miejsce w Wysokiej Radzie Jedi, jako osobistemu przedstawicielowi kanclerza.

Przez bardzo długą chwilę Anakin stał absolutnie nieruchomo, aż wreszcie nabrał pewności, że naprawdę usłyszał to, co usłyszał.

Palpatine miał rację. Ostatnio wydawało się zresztą, że ma rację w bardzo wielu sprawach. Anakin właściwie nie przypominał sobie ani jednej sytuacji, w której osąd Palpatine'a byłby nietrafny.

Nareszcie. Z każdą chwilą coraz wyraźniej uświadamiał sobie, że Rada w końcu postanowiła spełnić jego największe marzenie. W końcu uznała jego zasługi, jego oddanie, jego potęgę... Odetchnął wolno i bardzo głęboko.

- Dziękuję wam, mistrzowie. I daję wam słowo, że dochoвам wierności najwyższym ideałom zakonu Jedi.

- Lekko tego mianowania Rada nie traktuje. - Uszy Yody skierowały się ku Anakinowi jak oskarżycielskie palce. - Niepokojący to krok ze strony kanclerza Palpatine'a. W niejednym sensie.

*Bardziej interesuje ich to, jak uniknąć zwierzchnictwa senatu, niż to, jak wygrać tę wojnę...*

Anakin skinął głową.

- Rozumiem.

- Nie jestem tego taki pewny. - Mace Windu pochylił się nieco, zaglądając uważnie w oczy Skywalkera.

Anakin prawie nie zwracał na niego uwagi; oczami duszy widział już siebie za drzwiami tej sali, w kabinie turbowindy mknącej ku Archiwum, gdzie korzystając z nowych uprawnień, mógłby zażądać dostępu do zastrzeżonych dokumentów...

- Będziesz brał udział w zebraniach tej Rady - wyjaśnił mistrz z Haruun Kai - ale to nie oznacza, że otrzymasz rangę i przywileje mistrza Jedi.

- Co?

To jedno małe, proste słówko, instynktowna reakcja na słowne ciosy, które eksplodowały w jego głowie, wprawiając go momentalnie w stan oszołomienia, nawet dla jego własnych uszu brzmiało dziwnie, jakby nie wypowiedziały go jego usta. To był inny, głębszy, bardziej mroczny i gładki głos, który rozbrzmiewał dotąd tylko w głębi jego serca.

Nie brzmiał normalnie. Emanował furją.

- Jak możecie? Jak śmiecie!?



Stał nieruchomo jak przyspawany do posadzki. Właściwie nawet nie był świadom tego, że przemawia. Czuł się tak, jakby ktoś inny używał jego ust. Aż wreszcie... wreszcie rozpoznał ten głos.

Brzmiał jak Dooku, ale to nie był głos hrabiego.

Był to głos tego, kto zniszczył Dooku.

- Żaden Jedi w tej sali nie dorównuje mi potęgą. Żaden Jedi w galaktyce! Wydaje się wam, że możecie odmówić mi rangi mistrza?!

- Przedstawicielem kanclerza jesteś - odrzekł Yoda. - I tylko jako jego przedstawiciel w zebraniach Rady brać udział będziesz. Zasiądziesz wśród nas, ale prawa głosu nie dostaniesz. Punkt widzenia kanclerza będziesz nam prezentował. Jego życzenia. Jego pomysły i dyrektywy. Nie własne.

Z głębi rozpalonego serca nadeszła odpowiedź tak daleko przekraczająca granice furii, że aż zimna jak międzygwiazdna pustka.

- To obraza nie tylko dla mnie, ale i dla kanclerza. Niech wam się nie wydaje, że będzie tolerowana.

Oczy Mace'a Windu były równie lodowate, jak głos Anakina.

- Zajmij swoje miejsce, młody Skywalkerze.

Anakin odpowiedział mu identycznym spojrzeniem. *Może zajmą twoje?* Jego własny głos zginął w chmurze czarnego dymu, który unosił się z pieca-serca i wypełniał umysł. *Sądziysz, że powstrzymasz mnie przed ocaleniem tej, którą kocham? Sądziysz, że będę patrzył, jak umiera? Spróbuj tylko; pokaż mi ten swój Vaapad, ty...*

- Anakinie - odezwał się cicho Obi-Wan i wskazał na wolne miejsce tuż obok własnego. - Proszę.

Było coś w jego łagodnym głosie, w tej prostej, bezpośredniej prośbie, co sprawiło, że gniew nagle wyparował i Anakin ocknął się, by stwierdzić, że stoi samotnie pośrodku sali Wysokiej Rady, nieprzytomnie mrugając powiekami.

Poczuł się zniechęca bardzo młody i bardzo głupi.

- Wybaczcie, mistrzowie. - Głęboki ukłon nie mógł ukryć rumieńców wstydu, które pojawiły się na jego policzkach.

Pozostała część sesji toczyła się jakby za mgłą - Ki-Adi-Mundi mówił o tym, że żaden ze światów Republiki nie donosił o obecności Grievousa, a Anakin poczuł coś na kształt stłumionego zdumienia, gdy mistrzowie powierzyli koordynację poszukiwań Obi-Wanowi... i tylko jemu.

Czyżby postanowili w dodatku rozbić nasz zespół?

W dziwnym odrętwieniu, spotęgowanym przez narastające zdziwienie, Anakin omal nie przegapił meldunku o lądowaniu robotów na Kashyyyku. Musiał wreszcie coś powiedzieć - bez względu na to, czy był mistrzem, czy nie - bo nie wypadało tak po prostu siedzieć i milczeć, zwłaszcza że znał system Kashyyyk niemal tak dobrze, jak zaułki Mos Espy.

- Ja mogę się tym zająć - zaproponował rozpromieniony. - Mógłbym oczyścić planetę w dzień czy dwa...

- Skywalkerze, twoje miejsce jest tutaj. - Durastalowe spojrzenie Mace'a Windu było niemal otwarciem wrogie.

Yoda zgłosił się na ochotnika, a Rada z jakiegoś powodu nawet nie uznała za stosowne głosować w tej sprawie.

- Zatem wszystko ustalone - podsumował Mace. - Niech Moc będzie z nami wszystkimi.

Holoprojekcje Pio Koono i Ki-Adi-Mundiego zamigotały i zgasły, Obi-Wan i Agen Kolar wstali zajęci poważną rozmową a Yoda i Mace Windu po prostu wyszli z sali. Anakin mógł tylko siedzieć z bólem w sercu, otumaniony bezradnością.

Padme... Och, Padme, co my teraz zrobimy?

Nie wiedział. Nie miał pojęcia. Wiedział tylko, czego na pewno nie zrobi.

Nie zamierzał się poddać.

Nawet mając Radę przeciwko sobie, nawet w konflikcie z całym zakonem... Musiał znaleźć sposób.

Musiał ją uratować.

Jakoś.

- Nie jestem z tego zadowolona ani trochę bardziej niż wy - powiedziała Padme, wskazując na arkusz flimsiplastu zapisany paragrafami dekretu o zarządzaniu sektorami, leżący na biurku Baila. - Jednak znam Palpatine'a od lat; był moim najbardziej zaufanym doradcą. Nie potrafię uwierzyć, że jego zamiarem jest demontaż senatu.

- Dłaczego miałyby się wysilać? - odparowała Mon Mothma. - W praktyce przecież od dzisiejszego ranka senat już nie istnieje.

Padme popatrzyła kolejno na poważne twarze zebranych. Giddean Danu skinął głową na znak zgody. Terr Taneel spuściła oczy, udając, że poprawia szatę. Fang Zar poprawił dłonią niesforny, naznaczony siwizną kok.

Bail pochylił się nieznacznie. Jego spojrzenie było twarde jak kamień.

- Palpatine nie musi już zwracać sobie głowy kontrolowaniem prac senatu. Miażdżąc gubernatorami swoich sługusów, może sprawować bezpośrednią władzę nad naszymi systemami. - Senator złożył dłonie i zacisnął je aż do bólu. - Stał się dyktatorem. Uczyniliśmy go dyktatorem.

Jest też przyjacielem i mentorem mojego męża, pomyślała Padme. Nie powinnam nawet tego słuchać.

- Ale co możemy teraz zrobić? - spytała lękliwie Terr Taneel, wciąż wbijając wzrok we własną szatę.

- Właśnie o tym będziemy dyskutować - odparła spokojnie Mon Mothma. - Co możemy teraz zrobić.

Fang Zar poruszył się niespokojnie.

- Nie jestem pewien, czy podoba mi się kierunek, w którym to wszystko zmierza...

- W tej chwili już nic nikomu się nie podoba - podchwycił Bail, wstając. - Właśnie o to chodzi. Nie możemy pozwolić, żeby tysiąc lat demokracji odeszło w niepamięć bez walki!

- Walki? - powtórzyła Padme. - Nie do wiary, Bail, mówisz jak separatysta!

- Ja... - Senator z Alderaanu opadł ciężko na fotel. - Przepraszam. Nie to chciałem powiedzieć. Zaprosiłem was tutaj, ponieważ spośród wszystkich senatorów właśnie

wasza czwórka najbardziej konsekwentnie i z najlepszym skutkiem przemawiała głosem rozsądku i wstrzeźliwości. Robiliście wszystko, by ochronić naszą biedną, zmasakrowaną konstytucję. Nie chcemy skrzywdzić Republiki. Z waszą pomocą chcemy ją ocalić.

- Ostatnio zupełnie jasny stał się fakt - dodała Mon Mothma - że Palpatine jest wrogiem demokracji. Trzeba go powstrzymać.

- Senat przekazał mu władzę - przypomniała Padme. - Senat może mu ją odebrać.

Giddean Danu pochylił się w jej stronę.

- Obawiam się, że nie znasz rzeczywistych rozmiarów korupcji w senacie. Kto zdecyduje się dziś głosować przeciwko Palpatine'owi?

- Ja - odrzekła Padme. Z zaskoczeniem zauważyła, że naprawdę tak uważa. - Znajdę też innych chętnych.

Wiedziała, że musi, bez względu na to, jak głęboko zrani tym Anakina. Och, mój kochany, czy kiedykolwiek mi to wybaczysz?

- Zrób to - poprosił Bail. - Uczyń tyle szumu, ile zdołasz. Niech Palpatine skupi się na obserwowaniu twojej działalności w senacie. Tymczasem Mon Mothma i ja skorzystamy z okazji i zaczniemy budować organizację, która...

- Stop. - Padme wstała. - Lepiej nie wiedzieć o pewnych sprawach. A w tej chwili będzie najlepiej, jeśli nie będę wiedziała... o niczym.

Nie zmuszaj mnie, żebym okłamywała męża, dodała błagalnie w duchu, próbując przekazać mu tę wiadomość spojrzeniem. Proszę cię, Bail. Nie zmuszaj mnie, żebym go okłamywała. Pękłoby mu serce.

Organa chyba zrozumiał jej intencję, bo po chwili niezdecydowania skinął głową.

- Dobrze. Szczegóły omówimy przy innej okazji. Niech dzisiejsze spotkanie pozostanie w absolutnej tajemnicy. Jakakolwiek wzmianka o tworzącej się opozycji wobec Palpatine'a może być, jak się przekonaliśmy, bardzo niebezpieczna. Musimy sobie obiecać, że nie będziemy rozmawiali o tej sprawie z nikim spoza kręgu osób, które wzięły udział w tym spotkaniu. Nie wolno nam złamać tej zasady bez akceptacji pozostałych.

- Dotyczy to także najbliższych - dorzuciła Mon Mothma. - Nawet rodzin. Wiedza o naszych sprawach narazi je na identyczne niebezpieczeństwo, jakie zagraża nam. Nie mówcie więc nikomu. Nikomu.

Padme patrzyła w milczeniu na kiwające się głowy. Co mogła robić? Co powiedzieć? Możecie mieć sekrety przed najbliższymi, pomyślała, ale ja będę musiała wyznać wszystko mojemu mężowi Jedi, który jest ulubieńcem i protegowanym Palpatine'a... Tak - powiedziała z westchnieniem. - Zgoda.

Gdy senatorowie rozchodzili się do swoich biur, w jej głowie kołatała się tylko jedna myśl: „Tak mi przykro, Anakinie... Tak mi przykro... Przepraszam”.

Anakin cieszył się, że przestronny, wysoko sklepiony korytarz świątynny był zupełnie pusty; rozmawiając z Obi-Wanem nie musiał zniżać głosu.

- To się w głowie nie mieści. Jak mogli mi to zrobić?

- A jak mogli tego nie zrobić? - odparował Obi-Wan. - Chodzi o twoją przyjaźń z kanclerzem. Ta sama przyjaźń, która zapewniła ci miejsce w Radzie, sprawia, że niemożliwe jest nadanie ci rangi mistrza. Zdaniem Rady byłoby to równoznaczne z udzieleniem prawa głosu Palpatine'owi!

Anakin machnął ręką. Nie miał czasu na polityczne manewry Rady; Padme też nie miała na nie czasu.

- Nie prosiłem o to. Niepotrzebne mi to! Więc gdybym nie przyjaźnił się z Palpatine'em, już byłbym mistrzem? To chcesz mi powiedzieć?

Obi-Wan sprawiał wrażenie obolałego.

- Nie wiem.

- Jestem silniejszy niż pięciu innych mistrzów razem wziętych. Może i dziesięciu! Wiesz o tym, podobnie jak oni.

- Sama siła nie jest powodem do chwały...

Anakin wyciągnął rękę za siebie, w stronę Wieży Rady.

- To oni nazywają mnie Wybrańcem! Do czego niby jestem wybrany? Do bycia pionkiem w jakiejś obrzydliwej, politycznej grze?!

Obi-Wan skrzywił się i wzdrygnął jak użądłony.

- Nie ostrzegałem cię, Anakinie? Mówiłem ci o... napięciu... między Radą a kanclerzem. Wyraziłem cię bardzo jasno. Dlaczego mnie nie usłuchałeś? Wpakowałeś się w sam środek konfliktu!

- Jak w tę pułapkę energetyczną. - Anakin parsknął z cicha. - Czy to także wina Ciemnej Strony?

- Bez względu na przyczyny - odparł Obi-Wan - jesteś teraz w bardzo delikatnej sytuacji.

- W jakiej znowu sytuacji? Kogo obchodzi to, co czuję? Nie jestem mistrzem, jestem zwykłym szczeniakiem, prawda? O to właśnie chodzi? Czyżby mistrz Windu nastawiał wszystkich przeciwko mnie, bo zanim się pojawiłem, to on był najmłodszym Jedi w dziejach zakonu, który zasiadł w Wysokiej Radzie?

- Nikogo to nie obchodzi...

- Jasne, że nie. Powiem ci, co usłyszałem niedawno z ust pewnego mądrego, starszego człowieka: wiek nie jest miarą mądrości. Gdyby tak było, to Yoda byłby już dwadzieścia razy mądrzejszy od ciebie.

- Ta sprawa nie ma nic wspólnego z mistrzem Yodą.

- Słusznie. Ma coś wspólnego ze mną. I z tym, że wszyscy oni są przeciwko mnie. Zawsze byli; większość z nich w ogóle nie chciała, żebym został Jedi. Lecz gdyby postawili na swoim, gdzie by teraz byli? Kto dokonałby tego wszystkiego, czego ja dokonałem? Kto by uratował Naboo? Kto by ocalił Kamino? Kto by zabił Dooku i uwolnił kanclerza? Kto przyszedłby po ciebie i Alphę po tym, jak Ventress...

- Tak, Anakinie, tak. Oczywiście. Nikt nie kwestionuje twoich osiągnięć. Problemem jest tylko twoja znajomość z Palpatine'em. Doprawdy wielkim problemem.

- Jest mi zbyt bliski? Może i tak. Może powinienem odepchnąć człowieka, który był dla mnie dobry i szczodry, odkąd trafiłem na tę planetę! Może powinienem odrzucić przyjaźń człowieka, który jako jedyny darzy mnie szacunkiem, na jaki zasługuję...

- Anakinie, przestań. Posłuchaj siebie. To głos zazdrości i dumy. Ciemne myśli. Niebezpieczne myśli w tych mrocznych czasach. Skupiasz się na sobie, zamiast koncentrować się na służbie. Twój wybuch w obecności Rady był wymownym argumentem przeciwko nadaniu ci tytułu mistrza. Jak możesz być mistrzem Jedi, kiedy nie jesteś panem własnych emocji?

Anakin zasłonił lewą dłonią oczy i wziął głęboki, powolny oddech.

- Co mam zrobić? - spytał po chwili znacznie spokojniej i ciszej.

- Słucham? - zdziwił się Obi-Wan.

- Oni czegoś ode mnie chcą, prawda? Na pewno tylko o to chodzi. Od samego początku o to chodziło. Nie przyznają mi rangi, póki nie dam im tego, czego chcą.

- Rada nie działa w taki sposób, Anakinie, i dobrze o tym wiesz.

*Jakie skłonią cię do posłuszeństwa, kiedy już zostaniesz mistrzem, jak na to zasługujesz?*

- O, tak. Wiem. Jasne, że wiem - odparł Skywalker. Poczł nagle wielkie, niewyobrażalne zmęczenie. Każde słowo sprawiało mu ból. Nie miał nawet siły stać. Było mu niedobrze na myśl o całej tej sprawie. Dlaczego nie mogło już być po wszystkim? - Powiedz mi, czego ode mnie chcą.

Mistrz Jedi odwrócił głowę i uczucie wyczerpania ogarnęło Anakina z nową siłą. Jak bardzo źle musiało się dziać, skoro Obi-Wan nawet nie chciał mu spojrzeć w oczy?

- Posłuchaj mnie, Anakinie. Jestem po twojej stronie - rzekł cicho Kenobi. I on wyglądał na znużonego, był wiernym odzwierciedleniem tego, co czuł jego uczeń. - Naprawdę nie chciałem, żebyś znalazł się w takiej sytuacji.

- W jakiej sytuacji?

Obi-Wan jeszcze się wahał.

- O cokolwiek w tym wszystkim chodzi, na pewno nic nam nie da to, że będziesz tak stał i zbierał siły, żeby wygarnąć mi prawdę. Mów, Obi-Wanie. Miejmy to już za sobą.

Kenobi rozejrzał się po pustym korytarzu, jakby chciał się upewnić, czy nikt nie przysłuchuje się ich rozmowie. Skywalker miał jednak wrażenie, że to tylko pretekst, by mistrz nie musiał patrzeć mu w oczy.

- Rada - zaczął powoli Obi-Wan - zatwierdziła twoją nominację dlatego, że Palpatine darzy cię zaufaniem. Mistrzowie chcą, żebyś meldował o wszelkich działaniach kanclerza. Muszą znać jego plany.

- Chcą, żebyś szpiegował Wielkiego Kanclerza Republiki? - Anakin zatrzepotał powiekami, jakby nie zrozumiał. Nic dziwnego, że mistrz nie chciał powiedzieć mu tego prosto w twarz. - Obi-Wanie, to jest zdrada!

- Toczmy wojnę, Anakinie. - Obi-Wan wyglądał żałośnie. - Rada przysięgła bronić wartości Republiki, używając wszelkich niezbędnych środków. I musimy dotrzymać słowa. Zwłaszcza wtedy, gdy największym wrogiem owych wartości wydaje się sam kanclerz!

Anakin zmrużył oczy. Ich spojrzenie stwardniało.

- Dlaczego Rada nie zleciła mi tego podczas sesji?

- Dlatego że o takich sprawach nie mówi się głośno. Na pewno rozumiesz dlaczego.

- Rozumiem przede wszystkim to - odparł posępnie Anakin - że próbujecie zwrócić mnie przeciwko Palpatine'owi. Usiłujecie sprawić, żebym miał przed nim tajemnice... żebym go okłamywał. I tylko o to chodzi.

- Nieprawda - upierał się Obi-Wan. Wyglądał teraz na urażonego. - Chodzi o to, żebyś miał oko na to, z kim on się zadaje i kto zadaje się z nim.

- On nie jest zły, Obi-Wanie. To wielki człowiek, który gołymi rękami trzyma tę Republikę w całości...

- Sprawując urząd, choć jego kadencja dawno dobiegła końca. Zyskując dyktatorską władzę i...

- To senat domagał się, by pozostał na stanowisku! Zmuszono go do przyjęcia nadzwyczajnych uprawnień...

- Nie bądź naiwny. Senatorowie są tak zastraszeni, że nie odmówią mu niczego!

- W takim razie to ich wina, nie jego! Powinni mieć dość ikry, by przeciwstawić się jego woli!

- I właśnie tego oczekujemy od ciebie, Anakinie.

Na to Skywalker nie znalazł odpowiedzi. Zawisła między nimi cisza ciężka jak młot.

- Obi-Wanie... on jest moim przyjacielem - odezwał się w końcu Anakin.

- Tak - odparł cicho i ze smutkiem Kenobi. - Wiem o tym.

- Gdyby to on poprosił mnie, żebym szpiegował ciebie, sądzisz, że zrobiłbym to dla niego?

Tym razem to Obi-Wanowi zabrakło słów.

- Wiesz, jaki był dla mnie dobry. - Anakin mówił teraz prawie szeptem. - Wiesz, jak się o mnie troszczył, jak robił wszystko, żeby mi pomóc. Jest dla mnie jak członek rodziny.

- Jedi są twoją rodziną.

- Nie. - Anakin wyprostował się i spojrzał w oczy byłemu mistrzowi. - Jedi są twoją rodziną. Jedyną, jaką kiedykolwiek znałeś. Ale ja nie jestem taki jak ty. Miałem matkę, która mnie kochała...

I mam żonę, która mnie kocha, dodał w myśli. A wkrótce będę też miał dziecko, które będzie mnie kochało.

- Pamiętasz moją matkę? Pamiętasz, co się z nią stało...?

.. bo nie pozwoliłeś mi uratować jej w porę, dokończył bezgłośnie. Teraz taki sam los czeka Padme oraz nasze dziecko.

Lodowaty szept smoka trawił z wolna jego siły: wszystko umiera, Anakinie Skywalkerze. Nawet gwiazdy się wypalają.

- Tak, Anakinie. Oczywiście, że pamiętam. I wiesz, jak mi przykro z powodu tego, co się z nią stało. Ale posłuchaj mnie: nie żądamy, abys działał przeciwko Palpatine'owi. Prosimy cię tylko, żebyś... monitorował jego działania. Musisz mi uwierzyć.

Obi-Wan podszedł o krok bliżej i położył dłoń na ramieniu ucznia. Odetchnął głęboko, jakby właśnie podjął niezmiernie trudną decyzję-

- Możliwe, że sam Palpatine jest w niebezpieczeństwie - rzekł. -  
Niewykluczone że tylko w taki sposób możesz mu pomóc.  
- O czym ty mówisz?  
- Nie powinienem nawet o tym wspominać... Proszę, nie mów nikomu o tym, co teraz powiem. Nikomu, rozumiesz?

- Umieć dotrzymać tajemnicy - odparł Anakin.  
- W porządku. - Obi-Wan raz jeszcze odetchnął głęboko. - Mistrz Windu ustalił, że trop Dartha Sidiousa na krótko przed atakiem Grievousa prowadził do kompleksu Pięćsetki Republiki. Sądźmy, że Lordem Sithów może być ktoś z kręgu najbliższych doradców kanclerza. I właśnie jego masz szpiegować... rozumiesz?

*Skąd możesz wiedzieć, że nie jest fikcyjną postacią stworzoną przez Radę Jedi, by wytłumaczyć jakoś prześladowanie przeciwników politycznych?...*

- Jeżeli Palpatine pozostaje pod wpływem Lorda Sithów, może być w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Możemy mu pomóc tylko w jeden sposób: odnajdując i powstrzymując Sidiousa. Dlatego to, o co cię prosimy, nie jest zdradą, Anakinie. Być może jest to jedyny sposób na ocalenie Republiki!

*Gdyby ten wasz Darth Sidious stanął teraz w tych oto drzwiach... Poprosiłbym go, żeby usiadł i zapytałbym, czy dysponuje siłą, która pozwoliłaby nam wreszcie zakończyć tę wojnę...*

- Zatem chcecie jedynie - odpowiedział z namysłem Anakin - żebym pomógł Radzie odnaleźć Dartha Sidiousa.

- Tak. - Obi-Wan wyglądał, jakby poczuł ulgę, niewysłowioną ulgę; jakby w niewytłumaczalny sposób opuścił go nagle straszny, chroniczny ból. - Właśnie o to chodzi.

Głęboko w piecu serca Anakina odezwało się echo - choć może niezupełnie echo, bo słowa brzmiały już nieco inaczej: *Poprosiłbym go, żeby usiadł i zapytałbym, czy dysponuje siłą, która pozwoliłaby mi...*

*...ocalić Padme.*

Kanonierka mknęła po niebie nad stolicą Republiki.

Obi-Wan nie patrzył na Yodę i Mace'a Windu; przyglądał się ogromnemu lądowisku, na którego dalekim końcu rój żołnierzy-klonów krzątał się przy załadunku krążownika desantowego.

- Nie było was przy tym - powiedział. - Nie widzieliście jego twarzy. Myślę, że zrobiliśmy coś strasznego.

- Nie zawsze znajdujemy właściwą odpowiedź - odparł Mace Windu. - Niekiedy taka po prostu nie istnieje.

- Jak ważna dla ciebie jest przyjaźń z Anakinem, wiem. - Yoda również spoglądał przez otwartą burtę pojazdu na kanciastą sylwetkę krążownika przygotowywanego do udziału w kontrinwazji na Kashyyyk. Stał, podpierając się laseczką, jakby nie ufał własnym nogom. - Pozwolić przywiązaniu, by odeszło z jego życia, Jedi musi.

Ktoś inny - może nawet inny rycerz Jedi - przyjąłby tę odpowiedź z niechęcią, ale Obi-Wan tylko westchnął.

- On chyba... mimo wszystko jest Wybrańcem. Według przepowiedni przyszedł na świat, żeby przywrócić równowagę Mocy, ale...

Kenobi urwał. Nie pamiętał już, co chciał powiedzieć. Pamiętał jedynie wyraz twarzy Anakina.

- Tak. W wiecznym ruchu przyszłość jest. - Yoda uniósł głowę i w zamyśleniu zmrużył oczy. - Możliwe, że przepowiednia została niewłaściwie odczytana.

Mace wyglądał jeszcze bardziej ponuro niż zwykle.

- W ciągu tysiąclecia z okładem, od czasu upadku Dartha Bane'a, narodziły się setki tysięcy Jedi. Wszyscy oni karmili światło każdym dziełem swoich rąk, każdym swoim oddechem, każdym uderzeniem serca. Czynili sprawiedliwość, budowali cywilizowane społeczeństwo, szerzyli pokój... a wszystko to z bezinteresownej miłości do wszystkich żywych istot. I przez cały ten czas nie istniało więcej niż dwóch Sithów jednocześnie. Tylko dwóch. Jedi kreuja światło, ale to nie oznacza, że Sithowie tworzą mrok. Oni co najwyżej używają ciemności, która zawsze istnieje. Chciwość i zazdrość, agresja, żądza i strach to naturalne uczucia wszystkich świadomych istot. Dziedzictwo dżungli. Spadek po erze ciemności.

- Przepraszam, mistrzu Windu, ale chyba nie nadażam... Chcesz powiedzieć... jeśli wolno mi powtórzyć twoją metaforę... że Jedi stworzyli zbyt wiele światła? Sądząc po tym, co widziałem w ostatnich latach, nie powiedziałbym, że galaktyka stała się miejscem o szczególnej jasności.

- Mówię tylko, że nie mamy pewności. Nie pojmujemy nawet do końca, co oznacza „przywrócenie równowagi Mocy”. W żaden sposób nie umiemy przewidzieć, na czym miałyby to polegać.

- Nieskończoną zagadką jest Moc - stwierdził łagodnie Yoda. - Im więcej wiemy, tym więcej niewiadomych odkrywamy.

- Więc i wy to wyczuwacie - rzekł z bólem Obi-Wan. - I wy macie wrażenie, że właśnie pokonał się niewidzialny zakręt.

- W ruchu są wydarzenia naszych czasów. Zbliża się kryzys.

- Tak. - Mace zaplótł dłonie i głośno strzelił stawami palców. - Jesteśmy jak istoty błądzące w kopalni przyprawy, bez pręta jarzeniowego. Jeśli się zatrzymamy, nigdy nie dotrzemy do światła.

- A jeśli światła po prostu nie ma? - spytał Obi-Wan. - Co będzie, gdy dotrzemy do końca tunelu i znajdziemy jedynie noc?

- Wiare mieć musimy. Zaufanie do woli Mocy. Jaki wybór nam pozostaje?

Obi-Wan przyjął słowa Yody skinieniem głowy, ale gdy tylko pomyślał o Anakinie, znowu poczuł, że strach ścisza mu serce.

- Powinienem być bardziej stanowczo spierać się dziś z Radą.

- Sądź, że Skywalker nie udźwignie tego zadania? - spytał Mace Windu. - Myślałem, że masz więcej wiary w jego zdolności.

- Ufam mu całym moim życiem - odparł szczerze Kenobi. - I w tym właśnie problem.

Dwaj mistrzowie spojrzeli na niego w milczeniu, czekając, aż dobierze właściwe słowa.

- Dla Anakina - rzekł wreszcie Obi-Wan - nie ma nic ważniejszego od przyjaźni. Jest najbardziej lojalnym człowiekiem, jakiego spotkałem. Powiedziałbym nawet: lojalnym ponad miarę. Wbrew temu, czego usiłowałem go nauczyć o ofiarach, które są esencją bycia Jedi, on... on chyba nigdy tego nie zrozumiał.

Obi-Wan spojrział na Yodę.

- Mistrzu, jesteśmy sobie bliscy, odkąd byłem małym chłopcem. Gdybym jednak miał w ten sposób przybliżyć koniec wojny choćby o tydzień... nawet o dzień... poświęciłbym twoje życie. Wiesz, że bym to zrobił.

- I całkiem słusznie - przytaknął Yoda. - Ja zaś poświęciłbym twoje, młody Obi-Wanie. Każdy Jedi uczyniłby to w imię pokoju.

- Każdy Jedi - sprostował Kenobi - z wyjątkiem Anakina.

Yoda i Mace wymienili posepne spojrzenia. Obi-Wan domyślał się, że wspominają wszystkie okazje, przy których Anakin nie wahał się złamać rozkazu. Niekiedy zakłócał tym przebieg poważnych operacji wojskowych, narażał życie tysięcy istot, ryzykował utratę kontroli nad całymi systemami planetarnymi, a wszystko po to, by uratować przyjaciela.

Niejeden raz po to, by uratować Obi-Wana.

- Sądzę - rzekł z namysłem Kenobi - że abstrakcyjne pojęcia, takie jak pokój, niewiele dla niego znaczą. Jest lojalny wobec ludzi, nie zasad. I w zamian oczekuje lojalności. Na przykład... nie cofnie się przed niczym, żeby mnie ocalić, ponieważ uważa, że ja zrobiłbym to samo dla niego.

Mace i Yoda wciąż przyglądali mu się w milczeniu. Obi-Wan spuścił głowę.

- Ponieważ... - dodał niechętnie - ..wie, że ja zrobiłbym to samo dla niego.

- Przyczyny twojego niepokoju do końca nie rozumiem. - W zielonych oczach Yody pojawiło się coś na kształt współczucia. - Nazwać musisz swój lęk, zanim się go pozbędziesz. Boisz się, że Skywalker zadaniu nie podoła?

- O, nie. Nie o to chodzi. Jestem przekonany, że Anakin potrafi zrobić wszystko... Ale nie zdradzi przyjaciela. To, co zrobiliśmy z nim dzisiaj...

- Właśnie tacy mają być Jedi - przerwał mu Mace Windu. - Właśnie temu poświęcamy życie: bezinteresownej służbie...

Obi-Wan raz jeszcze spojrział na krążownik, który miał zabrać Yodę i bataliony klonów na Kashyyyk. Patrzył na okręt, ale widział jedynie twarz Anakina.

*Gdyby to on poprosił mnie, żebym ciebie szpiegował, sądzisz, że zrobiłbym to dla niego?*

- Tak - odezwał się po chwili. - Dlatego nie sądzę, by Anakin kiedykolwiek jeszcze nam zaufał.

Obi-Wan poczuł pod powiekami nieznośne gorąco i łzy przesłoniły mu widok lądowiska.

- I wcale nie jestem pewien, czy powinien.

## ROZDZIAŁ

# 12

### NIE OD JEDI

Tego wieczoru zachód słońca nad Galaktyczną Stolicą był oszałamiająco piękny: po niedawnych pożarach w atmosferze unosiło się jeszcze wystarczająco dużo cząstek popiołu, by rozproszyć światło białobłękitnej gwiazdy. Barwne, pryzmatyczne smugi rozjaśniały wielopiętrowe chmury nad miastem.

Anakin prawie ich nie dostrzegł.

Stojąc w cieniu, obserwował rozległą, półokrągłą werandę-lądowisko należącą do apartamentu Padme. Patrzył, jak jego żona wysiada ze śmigacza i ciepło żegna się z kapitanem Typho. Gdy dowódca ochrony poprowadził maszynę w stronę garażu, w którym parkowały pojazdy wszystkich mieszkańców gigantycznego wieżowca, Padme szybko odprawiła dwie dworki i wysłała gdzieś C-3PO w pilnej sprawie, po czym odwróciła się i stanęła przy balustradzie - dokładnie w tym miejscu, gdzie ostatniej nocy stał Anakin.

Patrzyła na zachodzące słońce.

On spoglądał tylko na nią.

Niczego więcej nie potrzebował. Być tutaj, przy niej. Podziwiać, jak czerwone promienie malują rumieniec na jej twarzy z kości słoniowej.

Gdyby nie sny, wystąpiłby z zakonu jeszcze tego dnia. W tej chwili. Zamiast Straconej Dwudziestki byłoby teraz Straconych Dwudziestu Jeden. Niech wybuchnie skandal; i tak nie zniszczy im życia - tego prawdziwego. Zniszczyłyby jedynie to, które wiedli dawno temu, osobno. Te samotne lata, które nic już nie znaczyły.

- Piękny, prawda? - powiedział cicho. Podskoczyła, jakby ktoś ukuł ją szpilką.

- Anakin!

- Przepraszam. - Uśmiechał się czule, wychodząc z cienia. - Nie chciałem cię przestraszyć.

Padme przycisnęła dłoń do piersi, jakby chciała powstrzymać serce, by nie wyskoczyło.

- Nie... nic się nie stało. Ja tylko... Anakinie, nie powinieneś tu przychodzić. Nie za dnia.

- Nie mogłem się doczekać, Padme. Musiałem cię zobaczyć - odpowiedział, biorąc ją w ramiona. - Do nocy jeszcze cała wieczność... Jak mam przeżyć tak długo bez ciebie?

Dłoń Padme dotknęła jego piersi.

- Widzi nas tutaj pewnie milion ludzi, a ty jesteś bardzo sławnym człowiekiem... Wejdźmy do środka.

Anakin pociągnął ją za sobą w głąb werandy, ale nie weszli do apartamentu.

- Jak się czujesz?

Jej uśmiech był jasny jak Tatooine Prime, gdy chwyciła jego rękę i przyciskała ją do miękkiego, pełnego brzucha.

- Kopnął mnie... Ciągłe to robi.

- On? - spytał łagodnie Anakin. - Zdawało mi się, że rozkazałaś androidowi medycznemu, żeby nie psuł nam niespodzianki.

- To nie wina Emdee. To moja... - Padme uśmiechnęła się przebiegle - ...matczyna intuicja.

Roześmiał się, czując pod palcami nagły impuls.

- Matczyna intuicja, tak? Ale kto mógłby kopać tak mocno? Zdecydowanie dziewczynka.

Padme przytuliła twarz do jego piersi.

- Wejdźmy już do środka.

Pogładził jej błyszczące w słońcu loki.

- Nie mogę zostać. Wpadłem tu w drodze na spotkanie z kanclerzem.

- Tak, słyszałam już o twoim przydziale do Rady. Jestem z ciebie taka dumna.

Anakin uniósł głowę, krzywiąc się z niechęcią. Dlaczego musiała mu o tym przypomnieć?

- Nie ma w tym powodu do dumy - odparł. - To tylko polityczne manewry między Radą a kanclerzem. Dostałem się pomiędzy dwie siły, to wszystko.

- Ale to, że w tym wieku trafiłeś do Rady...

- Przyjęli mnie, bo musieli. Kanclerz im kazał, gdy tylko senat powierzył mu nadzór nad zakonem. - Anakin zniżył głos i dodał przez zacisnięte zęby: - Zgodzili się także dlatego, że chcieliby mnie wykorzystać przeciwko niemu.

Spojrzenie Padme stało się na moment dalekie, zamyślane.

- Przeciwno niemu - powtórzyła. - Jedi mu nie ufają?

- To nic nie znaczy. Mnie na przykład też nie ufają. Anakin zacisnął usta w wąską linię gorzkiego uśmiechu. - Oferują mi fotel w sali Rady, to wszystko. Nie zamierzają uznać mnie za mistrza.

Spojrzenie Padme powróciło z dalekiej podróży. Uśmiechnęła się do niego.

- Cierpliwości, kochanie. Z czasem poznają się na twoim talencie.

- Już się poznali. Boją się mojego talentu - odparł z goryczą. - Ale nie o to w tym wszystkim chodzi. Jak powiedziałem, to jest gra polityczna.

- Anakinie...

- Nie wiem, co się dzieje z zakonem, ale cokolwiek to jest, nie podoba mi się - dodał i potrząsnął głową. - Wojna niszczy wszystko, czego powinna bronić Republika. Bo tak naprawdę... o co właściwie walczymy? Co jest aż tak warte obrony?

Padme smutno skinęła głową, uwolniła się z objęć Anakina i odsunęła.

- Czasami zastanawiam się, czy nie stoimy po niewłaściwej stronie.

- Po niewłaściwej stronie?

*Sądziysz, że wszystko, czego dokonałem, dokonałem daremnie...?*

Anakin zmarszczył brwi.

- Chyba nie mówisz poważnie.

Odwróciła się plecami do niego i przemówiła do otwartej przestrzeni daleko za barierką werandy.

- A jeśli demokracja, o którą walczymy, już nie istnieje? Jeżeli sama Republika stała się tym samym złem, które tak bardzo pragniemy zniszczyć?

- Znowu to samo. - Anakin z irytacją machnął ręką. - Słucham tych bzdur od czasu Geonosis. Nie spodziewałem się jednak, że usłyszę je z twoich ust.

- Kilka sekund temu mówiłeś prawie o tym samym!

- Powiedz, gdzie byłaby dziś Republika, gdyby nie Palpatine?

- Nie wiem - odrzekła. - Ale nie jestem pewna, czy miałyby się gorzej niż teraz.

*Wszystkie niebezpieczeństwa, tyle cierpienia, zabijanie wrogów, śmierć tylu moich przyjaciół... Wszystko to na nic... ?*

Z trudem zapanował nad sobą.

- Wszyscy narzekają, że Palpatine ma zbyt wielką władzę, ale nikt jakoś nie proponuje rozsądnej alternatywy. Kto miałby poprowadzić tę wojnę? Senat? Bywasz tam przecież, znasz tych ludzi... ilu z nich możesz zaufać?

- Wiem tylko tyle, że sprawy zmierzają w złym kierunku. Nasze władze popychają je w złym kierunku. Ty też o tym wiesz, sam powiedziałeś!

- Nie to miałem na myśli. Ja tylko... jestem zmęczony tym wszystkim. Tymi politycznymi bzdurami. Czasem myślę sobie, że byłoby mi lepiej, gdybym wrócił na front. Tam przynajmniej wiadomo, kto jest wrogiem.

- Zaczynam podejrzewać, - odpowiedziała gorzko - że wiem, kto jest wrogiem, także tu, na Coruscant.

Skywalker zmrużył oczy.

- Zaczynasz przemawiać jak separatysta.

- Anakinie, cała galaktyka już wie, że hrabia Dooku nie żyje. W tej chwili powinniśmy próbować zakończyć tę wojnę drogą dyplomatyczną, a tymczasem konflikt się zaognia! Palpatine jest twoim przyjacielem, może cię wysłucha... Kiedy spotkasz się z nim dzisiaj, poproś go, w imię zwykłej przyzwoitości, żeby zaproponował rozejm.

Rysy Anakina stwardniały.

- Czy to rozkaz?

Padme zamrugała ze zdziwieniem.

- Słucham?

- Czy ja mam tu coś do powiedzenia? - spytał Anakin, ruszając w jej stronę. - Czy moje zdanie w ogóle się liczy? A jeśli nie zgadzam się z tobą? Jeśli uważam, że to, co robi Palpatine, jest słuszne?

- Anakinie, setki tysięcy istot giną każdego dnia!

- To jest wojna, Padme. Nie prosiliśmy o nią, pamiętasz? Byłaś tam przecież. Może wtedy, na arenie, mieliśmy szukać „dyplomatycznych rozwiązań”?

- Ja... - Padme skuliła się, widząc jego zmarszczone brwi i groźną minę. - Ja tylko prosiłam...

- Wszyscy „tylko proszą”. Każdy czegoś ode mnie chce. A kiedy tego nie dostają, to ja jestem winien! - Anakin odwrócił się gwałtownie, aż rozwiały się poły płaszcza, i stanął przy balustradzie. Durastalowa rurka zajęczała w uścisku jego mechanicznej dłoni. - Mam tego dosyć - mruknął. - Mam tego wszystkiego serdecznie dosyć.

Nie słyszał, jak zbliżała się do niego; szum śmigaczy sunących poniżej werandy zagłuszył jej kroki. Nie widział urazy na jej twarzy ani błysku łez w oczach, ale wyczuwał to wszystko w niepewnym, miękkim dotyku jej dłoni, gdy gładziła jego ramię. Usłyszał to też w jej pełnym wahania głosie.

- Anakinie, co się dzieje? O co naprawdę chodzi? Pokręcił głową. Nie mógł patrzeć jej w oczy.

- O nic, to nie twoja wina - odparł. - I nie możesz mi pomóc.

- Nie odpychaj mnie. Pozwól mi spróbować.

- Nie pomożesz mi. - Przebiegł wzrokiem od najwyżej krzyżujących się torów ruchu powietrznego aż po niewidzialne skały ukryte pod warstwami miasta. - To ja staram się pomóc tobie.

Pamiętał, że widział coś w jej oczach, gdy wspominał o Radzie i kanclerzu. Widział to.

- O czym nie chcesz mi powiedzieć? - spytał.

Jej dłoń znieruchomiała. Nie doczekał się odpowiedzi.

- Wyczuwam to, Padme. Wyczuwam, że ukrywasz tajemnicę.

- Tak? - odpowiedziała prawie beztrząsco. - To zabawne, boja właśnie pomyślałam to samo o tobie.

Nie przestał mierzyć spojrzeniem głębokiej otchłani pod werandą. Padme przysunęła się bliżej, otoczyła go ramionami i przytuliła policzek do jego policzka.

- Dlaczego tak musi być? Po co nam ta wojna? Czy nie moglibyśmy tak po prostu... cofnąć się w czasie? Albo nawet udawać. Udawajmy, że znowu jesteśmy na Nabo, nad jeziorem, we dwoje. W czasie, kiedy nie było jeszcze wojny ani polityki. Nie było knucia... Tylko Ty, ja i miłość. Tyle nam potrzeba. Ty, ja i miłość...

Anakin nie mógł sobie przypomnieć, jak to było.

- Muszę iść - powiedział. - Kanclerz czeka.

Dwaj zamaskowani i milczący Czerwoni Strażnicy strzegli drzwi do prywatnej loży kanclerza w Operze Galaktyk. Anakin nie musiał nic mówić; jeden z gwardzistów odezwał się pierwszy.

- Jesteś oczekiwany - powiedział, otwierając drzwi.

W niewielkim, okrągłym pomieszczeniu mieściło się zaledwie kilka foteli. Rozciągał się stąd świetny widok na widownię, wypełnioną do ostatniego miejsca przesadnie wystrojonymi istotami. W dniu premiery wydawało się, że wszyscy zapomnieli o wojnie. Anakin spojrzał przelotnie na ogromną, połyskującą kulę wody, która marszczyła się delikatnie nad sceną, w sztucznej strefie nieważkości. Nie interesował go balet - ani kalamariański, ani żaden inny.

W półmroku dostrzegł Palpatine'a, siedzącego pomiędzy przewodniczącym senatu, Masem Ameddą, a Sly Moore, pełniącą funkcję sekretarza administracyjnego. Nie zbliżył się do nich; zatrzymał się przy tylnej ścianie łoża.

Gdybym miał być szpiegiem, jak oczekuje tego Rada, pomyślał, powinienem raczej podkraść się bliżej i podsłuchiwać.

Skrzywił się z niesmakiem, ale bardzo starannie zatarł ślady emocji, zanim się odezwał.

- Kanclerzu... Przepraszam za spóźnienie.

Palpatine odwrócił się i jego twarz rozjaśnił uśmiech.

- Nie przejmuj się, Anakinie... Chodź do mnie, mój chłopcze. Chodź... Dziękuję za popołudniowy raport z posiedzenia Rady. Przeczytałem z zainteresowaniem. A teraz mam dla ciebie dobrą wiadomość: Wywiad Armii Klonów zlokalizował generała Grievousa!

- To wspaniale! - zawołał Anakin i zaraz pokręcił głową, zastanawiając się, czy Obi-Wanowi będzie głupio, gdy dowie się, że wyprzedziły go klony. - Tym razem nam nie ucieknie.

- Zamierzam... Moore, zanotuj mi to... polecić Radzie Jedi, by wyznaczyła ciebie do tego zadania, Anakinie. Twój talent marnuje się na Coruscant; powinieneś służyć Republice na polu walki. Wystarczy, jeśli będziesz brał udział w holokonferencjach Rady.

Anakin zmarszczył brwi.

- Dziękuję, panie, ale zlecenie konkretnych zadań należy wyłącznie do Rady.

- Naturalnie, naturalnie. Nie wolno deptać mistrzom Jedi po odciskach, nieprawdaż? Tak zazdrośnie strzegą swoich przywilejów politycznych... A jednak zdziwiłbym się, gdyby w swojej zbiorowej mądrości wybrali kogoś innego.

- Jak już wspominałem w moim raporcie, Obi-Wan został wyznaczony do odszukania Grievousa. - Ponieważ chcą zatrzymać mnie tutaj, dodał w duchu, gdzie mam szpiegować ciebie, kanclerzu.

- Do odszukania, tak. Ale to ty nadajesz się najlepiej do tego, by go zatrzymać. Choć oczywiście nie możemy być pewni, że Rada Jedi zawsze będzie podejmować słuszne decyzje.

- Mistrzowie się starają... Wierzę, że próbują, pani.

- Jeszcze wierzysz? Usiądź. - Palpatine spojrzał na swych współpracowników. - Zostawcie nas.

Oboje wstali i opuścili łożę. Anakin zajął miejsce Masa Ameddy.

Przez długą chwilę Palpatine przyglądał się nieuważnie wdzięcznym płasom kalamariańskiej solistki. Marszczył przy tym brwi, jakby miał bardzo wiele do powiedze-

nia i nie wiedział, od czego zacząć. Wreszcie westchnął ciężko i pochylił się ku Skywalkerowi.

- Anakinie, zorientowałeś się już zapewne, że nie mogę polegać na Radzie Jedi. To dlatego uczyniłem cię moim przedstawicielem. Jeżeli mistrzowie jeszcze nie spróbowali wykorzystać cię do swoich celów, to wkrótce to zrobią.

Młody Jedi postarał się zachować obojętny wyraz twarzy.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem.

- Z pewnością wyczuwasz już to, co i ja podejrzewam - odparł z powagą Palpatine.

- Rada Jedi domaga się czegoś więcej niż uwolnienia spod zwierzchności senatu. Moim zdaniem jej celem jest przejęcie kontroli nad samą Republiką.

- Kanclerzu...

- Uważam, że twoi mistrzowie planują zdradę. Mają nadzieję usunąć mnie z urzędu i zastąpić kimś wystarczająco słabym, by mogli kontrolować każde jego słowo za pomocą tych swoich sztuczek Jedi.

- Nie uwierzę, że Rada...

- Anakinie, wejrzyj w swoje uczucia. Wiesz już, prawda? Skywalker odwrócił głowę.

- Wiem, że ci nie ufają...

- Ani senatorowi. Ani Republice. Ani demokracji, jeśli już o tym mowa. Rada Jedi nie jest ciałem wybieralnym. Przyjmując nowych członków, kieruje się własnymi zasadami... ktoś mniej wyrozumiały mógłby nawet powiedzieć: kaprysami... a swoje decyzje wprowadza siłą. Odgórne nakazy, oto styl rządów Jedi, który najchętniej wprowadziliby w Republice.

- Przyznaję... - Anakin spuścił oczy i zapatrzył się na swoje dłonie - ...że moja wiara w Radę została... zachwiana.

- W jaki sposób? Czyżby już się do ciebie zwrócili? Zmusili cię do niegodnego czynu? - Troska malująca się na twarzy Palpatine'a przekształciła się z wolna w uśmiech, dziwnie podobny do tego, który pojawiał się niekiedy na obliczu Yody. - Chcą, żebyś mnie szpiegował, prawda?

- Ja...

- Śmiało, Anakinie. Ja nie mam nic do ukrycia.

- Ja... Nie wiem co powiedzieć.

- Pamiętasz, jak to było - powiedział Palpatine, odsuwając się nieco, by ułożyć się wygodniej w fotelu - gdy jako mały chłopiec przybyłeś na tę planetę, a ja próbowałem wprowadzać cię w podstawy polityki?

Anakin uśmiechnął się z zadumą.

- Pamiętam, że nie przykładałem się specjalnie do tych lekcji.

- Do żadnych lekcji, o ile pamiętam. A szkoda... trzeba było bardziej uważać. Rozumieć politykę to rozumieć fundamentalne prawa rządzące istotami myślącymi. W tej chwili na przykład powinieneś przypomnieć sobie jedną z pierwszych zasad, które próbowałem ci wpoić: wszyscy, którzy zdobywają potęgę i władzę, boją się ją utracić.

- Jedi wykorzystują swoją potęgę w obronie dobra - odparł Anakin, być może nieco zbyt stanowczo.

- „Dobro” zależy od punktu widzenia, mój chłopcze. Koncepcja dobra, którą lansują Jedi, nie jest jedynie słuszna. Weźmy na przykład Czarnych Lordów Sithów. Z tego, co czytałem, wynika, że Sithowie wierzyli w sprawiedliwość i bezpieczeństwo równie mocno, jak Jedi...

- Jedi wierzą w sprawiedliwość i pokój.

- Czy w tych niespokojnych czasach jest jakaś różnica? - spytał łagodnie Palpatine.

- Jedi nie mają specjalnych osiągnięć w przywracaniu pokoju w galaktyce; chyba zgodzisz się ze mną. Kto powiedział, że Sithowie nie spisałiby się lepiej?

- To chyba kolejny argument, panie, którego nie powinieneś podnosić w obecności Rady... jeśli wiesz, co mam na myśli - odparł Skywalker, uśmiechając się z niedowierzaniem.

- O, tak. Ponieważ Sithowie byliby zagrożeniem dla potęgi zakonu Jedi. Lekcja numer jeden.

Anakin pokręcił głową.

- Ponieważ Sithowie są zli.

- Z punktu widzenia Jedi - odparował Palpatine. - „Zli” to tylko etykieta, którą opatrujemy tych, co nam zagrażają. Prawda? A przecież Sithowie i Jedi są do siebie uderzająco podobni, choćby w swoim dążeniu do coraz większej potęgi.

- Jedi dążą przede wszystkim do głębszego zrozumienia - odrzekł Anakin. - Do lepszego poznania Mocy...

- Co w efekcie da im większą potęgę. Zgadza się?

- No... tak. - Skywalker musiał się roześmiać. - Powinieneś wiedzieć, że nie należy spierać się z politykiem.

- Ależ my się nie spieramy, Anakinie. My tylko rozmawiamy. - Palpatine znowu się poruszył, szukając najwygodniejszej pozycji. - Być może największą różnicą między rycerzami Jedi a Sithami jest kierunek działania: Jedi zdobywają potęgę poprzez wiedzę, Sithowie zaś zdobywają wiedzę poprzez potęgę. I właśnie z tego powodu Sithowie zawsze byli silniejsi od Jedi. Strach przed Ciemną Stroną sprawia, że Jedi odcinają się od najważniejszego aspektu życia: od namiętności. Wszelkiego rodzaju. Nie pozwalają sobie nawet na miłość.

Ja jestem wyjątkiem, pomyślał Anakin. Ale z drugiej strony, nigdy nie byłem idealnym Jedi.

- Sithowie nie boją się Ciemnej Strony. Sithowie w ogóle się nie boją. Przyjmują otwarcie całe spektrum doświadczeń, od wyżyn transcendentnej radości po głębiny nienawiści i rozpacz. Nie bez powodu istoty żywe potrafią odczuwać tak skrajne emocje, Anakinie. I dlatego Sithowie są potężniejsi: nie obawiają się czuć.

- Sithowie czerpią siłę z namiętności - odezwał się Skywalker. - Ale co im pozostaje, gdy namiętność wygaśnie?

- Może nic. Może wiele. A może namiętność nigdy nie wygasa? Któż to może wiedzieć?

- Kierują uwagę do wewnątrz; myślą tylko o sobie.

- A Jedi nie?



- Jedi są bezinteresowni. Wymazujemy swoją tożsamość, łącząc się z nurtem Mocy. Troszczymy się wyłącznie o innych...

Palpatine znowu obdarzył go wyrozumiałym, łagodnym uśmiechem.

- Albo też nauczono cię w to wierzyć. Słyszę w twoich odpowiedziach głos Obi-Wana. Ale co naprawdę myślisz?

Jedi stwierdził nagle, że balet interesuje go znacznie bardziej niż twarz Palpatine'a.

- Ja... sam już nie wiem.

- Mówi się, że gdyby ktoś zdołał od początku do końca zrozumieć pojedyncze ziarno piasku... tak naprawdę i dogłębnie pojąć każdy jego aspekt... to tym samym zrozumiałby cały wszechświat. Kto powiedział, że Sith skupiający się na własnym wnętrzu dojrzy mniej, niż Jedi spoglądający na zewnątrz?

- Ale Jedi... Jedi są dobrzy. To różnica. I nie obchodzi mnie, kto co dojrzy.

- Powiem ci, kim są Jedi - odparł spokojnie Palpatine. - Otóż są grupą bardzo potężnych istot, które uważasz za swoich towarzyszy. A ty jesteś lojalny wobec przyjaciół; wiem o tym, odkąd się znamy, i zawsze podziwiałem w tobie tę cechę. Tylko czy twoi przyjaciele są lojalni wobec ciebie?

Anakin spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Co masz na myśli?

- Czy prawdziwy przyjaciel poprosiłby, żebyś zrobił coś złego?

- Nie jestem pewien, czy to coś złego - odparł Skywalker. Przecież nie mógł wykłuzzyć, że Obi-Wan mówił prawdę. Istniała taka ewentualność. Być może rzeczywiście chodziło tylko o schwytanie Sidioua. Być może Rada chciała jedynie chronić Palpatine'a.

Być może. Może.

- Czy poprosili cię, żebyś złamał zasady Kodeksu Jedi? Może przepisy konstytucji? Albo żebyś zdradził przyjaciela? Zdradził własne wartości?

- Kanclerzu...

- Pomyśl, Anakinie! Zawsze starałem się nauczyć cię myślenia. Tak, wiem, Jedi nie myślą, Jedi wiedzą, ale zwróć uwagę, że niektóre gotowe odpowiedzi, wytarte frazesy, już nie wystarczą w tych czasach szybkich i głębokich zmian. Pomyśl o ich motywach. Nie przyjmuj niczego z góry. Pamiętaj, że strach przed utratą potęgi jest słabością zarówno Jedi, jak i Sithów.

Anakin zapadł się głębiej w fotel. Zbyt wiele się działo w zbyt krótkim czasie. Wszystko zaczynało mieszać się w jego głowie i nic już nie wyglądało sensownie.

Nic, prócz słów Palpatine'a.

W nich sensu było aż za dużo.

- Przypomina mi się stara legenda - dodał swobodnie kanclerz. - Anakinie, czy znasz Tragedię Dartha Plagueisa Mądrego!

Jedi potrząsnął głową.

- Tak też myślałem. Nie jest to jedna z tych opowieści, którymi Jedi chętnie się dzielą. To legenda Sithów, o Czarnym Lordzie, który wejrzał w siebie tak głęboko, że zrozumiał zagadkę samego życia i stał się jego panem. A także, jako że jedno łączy się

z drugim niepodzielnie, jeśli tylko spojrzy się na to z odpowiedniej strony, panem śmierci.

Anakin wyprostował się. Nie wierzył własnym uszom.

- Potrafił powstrzymać śmierć?

- Według legendy - ciągnął Palpatine - umiał bezpośrednio wpływać na midichloriany, by tworzyły życie. Chyba zgodzisz się ze mną, że gdy ktoś dysponuje taką wiedzą, to podtrzymanie życia w kimś, kto już żyje, wydaje się dziecinną igraszką?

W głowie Anakina rozkwitło uniwersum nowych możliwości.

- Silniejszy niż śmierć - wymamrotał.

- Ciemna Strona wydaje się, przynajmniej w źródłach, które czytałem, ścieżką ku wielu umiejętnościom, które komuś mogłyby się wydawać nienaturalne.

Anakin nie mógł złapać oddechu.

- Co się z nim stało?

- Och, pamiętaj, że mówimy o tragedii. Gdy Darth Plagueis posiadał tę ostateczną potęgę, nie obawiał się już niczego, prócz tego, że mógłby ją utracić. Właśnie dlatego przypomniałem sobie tę opowieść, gdy rozmawialiśmy o Radzie Jedi.

- Ale co było dalej?

- Cóż... chcąc zabezpieczyć przyszłość swej potęgi, przekazał jej sekret swojemu uczniowi.

- I co?

- Ów uczeń zabił go podczas snu - odpowiedział Palpatine, wzruszając ramionami.

- Plagueis niczego się nie spodziewał. I na tym właśnie polega tragiczna ironia: umiał uratować od śmierci każdą istotę w galaktyce, prócz siebie samego.

- A co z jego uczniem? Co się z nim stało?

- Co z nim? Otóż stał się najpotężniejszym Czarnym Lordem Sithów w dziejach.

- Zatem - mruknął Anakin - tylko dla Plagueisa była to tragedia. Dla jego ucznia legenda ma całkiem szczęśliwe zakończenie...

- O tak. Całkiem słusznie. Chociaż nigdy dotąd nie myślałem o tym w ten sposób.

Widzisz analogię do spraw, o których rozmawialiśmy wcześniej?

- A gdyby - zaczął wolno Anakin, jakby bał się wypowiedzieć swoje myśli na głos - to nie była tylko legenda?

- Słucham?

- Co by było, gdyby Darth Plagueis naprawdę istniał? I gdyby ktoś naprawdę posiadał jego potęgę?

- Ależ jestem prawie pewny, że Plagueis naprawdę istniał... A gdyby ktoś jeszcze posiadał tę moc, zapewne stałby się jednym z najpotężniejszych ludzi w galaktyce, nie wspominając o tym, że w praktyce nieśmiertelnym...

- Jak mógłbym go znaleźć?

- Tego oczywiście nie wiem. Możesz spytać o niego swoich przyjaciół z Rady Jedi, ale, co oczywiste, gdyby to oni go odnaleźli, zabiliby go na miejscu. Nie po to, by wymierzyć mu karę za jakąkolwiek zbrodnię. Musisz zrozumieć, że niewinność nie ma dla Jedi znaczenia. Zabiliby go tylko dlatego, że jest Sitnem. Wiedza zaś umarłaby wraz z nim.

- Ja... muszę tylko... - Anakin stwierdził, że podnosi się w fotelu, zaciskając pięści i drżąc. Zmusił się do spokoju i usiadł na powrót, by odetchnąć głęboko. - Wydaje się, kanclerzu, że wiele wiesz na ten temat, więc może mógłbyś mi powiedzieć... Czy możliwe jest, żeby ktoś jeszcze nauczył się tej sztuki?

Palpatine wzruszył ramionami, spoglądając na niego z uśmiechem łagodnej mądrości.

- Cóż - odrzekł - z pewnością nie od Jedi.

Opuściwszy gmach opery, Anakin przez długi, bardzo długi czas siedział w wiszącym nieruchomo śmigaczu, z zamkniętymi oczami, wspierając głowę na swojej mechanicznej dłoni. Pojazd kołysał się lekko, gdy przelatywały obok inne maszyny. Skywalker nawet tego nie czuł. Odzywały się klaksony, gdy piloci pędzących śmigaczy mijali go łukiem, ale ich także nie słyszał.

Wreszcie westchnął i uniósł głowę. Wpisał prywatny numer z klawiatury systemu łączności. Po chwili na ekranie wbudowanym w deskę rozdzielczą śmigacza ukazał się jasny obraz zaspanej Padme.

- Anakin...?-spytała, przecierając oczy. -Gdzie jesteś? Która godzina?

- Padme, nie mogę... - Urwał i odetchnął szybko przez nos. - Posłuchaj, Padme, coś się wydarzyło i będę musiał spędzić noc w Świątyni.

- Ach, tak... W porządku. Będę tęskniła, Anakinie.

- Ja też. - Skywalker z trudem przełknął ślinę. - Już tęsknię.

- Jutro będziemy razem?

- Tak. A już wkrótce będziemy razem przez resztę życia. I już nigdy nie będziemy musieli żyć z dala od siebie.

Sennie skinęła głową.

- Śpij dobrze, kochanie.

- Postaram się. Ty też.

Padme przesłała mu pocałunek i ekran zgasł.

Anakin odpalił silniki i z wprawą włączył się do ruchu, kierując śmigacz ku Świątyni, ponieważ ta część jego wyjaśnień nie była kłamstwem - naprawdę zamierzał spędzić noc w siedzibie Jedi.

Kłamał tylko mówiąc, że postara się dobrze wyspać. Albo w ogóle zasnąć. Jak mógł odpoczywać, skoro gdy tylko zmrużył oczy, widział Padme krzyczącą na stole porodowym?

Zniewaga, którą była dla niego decyzja Rady, bolała go teraz bardziej niż kiedykolwiek. Znał imię, znał historię, wiedział, od czego zacząć, ale jak miał wyjaśnić opiekunce Archiwum, dlaczego poszukuje informacji na temat legend Sithów dotyczących nieśmiertelności?

Choć z drugiej strony, być może wcale nie musiał szperać w dokumentach.

Świątynia była wciąż najpotężniejszym skupiskiem energii Mocy na całej planecie, a może i w całej galaktyce. Bez wątpienia była więc najlepszym miejscem do intensywnej medytacji. Moc musiała go wiele nauczyć, a czasu miał coraz mniej.

Postanowił, że skupi się na wnętrzu.

Będzie myślał o sobie...

## ROZDZIAŁ

## 13

## WOLA MOCY

Gdy dworka Motee obudziła ją rankiem, mówiąc, że C-3PO zaanonsował właśnie przybycie Jedi, Padme wyskoczyła z łóżka, narzuciła luźną szatę i pospieszyła do salonu, uśmiechem przełamując senność, tak jak świt przełamał niedawno ciemność nocy...

Lecz gościem był Obi-Wan.

Mistrz Jedi dryfował niespokojnie po przestronnym pokoju z rękami złożonymi na plecach, bez najmniejszego zainteresowania przyglądając się kolekcji cennych rzeźb.

- Obi-Wanie - odezwała się bez tchu. - Czy... - Ugryzła się w język, by nie dodać „...coś się stało Anakinowi?” W jaki sposób wyjaśniłaby tak osobliwe słowa powitania? - ... See-Threepio zaproponował ci coś do picia?

Kenobi odwrócił się ku niej i wyraz troski na jego twarzy złagodniał nieco.

- Senator Amidala - powitał ją ciepło. - Jak dobrze, że znowu się widzimy. Przepraszam za najście o tak wczesnej porze. Tak, twój android protokolarny dość natarczywie proponował mi napoje. - Zmarszczki powróciły z wolna na jego czoło. - Jak zapewne się domyślasz, nie jest to wizyta towarzyska. Przyszedłem, żeby porozmawiać z tobą o Anakinie.

Lata praktyki politycznej dobrze przygotowały ją na takie sytuacje. Choć strach ścisła serce, a w głowie kołatało się pytanie: Ile on wie?, jej twarz nie odzwierciedlała żadnych uczuć.

Pierwsza zasada republikańskiej polityki: mów tyle prawdy, ile się da. Zwłaszcza w rozmowie z Jedi.

- Bardzo się ucieszyłam na wieść o przydzieleniu go do Rady.

- Tak... Być może zasługuje na więcej, ale też obawiam się, że może nie poradzić sobie z zadaniem, które mu powierzono. Odwiedził cię może ostatnio?

- Kilka razy - odrzekła gładko. - Coś się stało, prawda?

Obi-Wan pochylił głowę i na jego okolonych zarostem ustach pojawił się cień uśmiechu.

- Powinnaś była zostać Jedi.

Padme zdobyła się na lekką odpowiedź.

- A ty zdecydowanie nie powinieneś parać się polityką. Nie jesteś zbyt dobry w ukrywaniu uczuć. O co chodzi?

- O Anakina. - Weselość opuściła go w jednej chwili; starzał się wprost na oczach Padme. Wyglądał na bardzo zmęczonego i poważnie zmartwionego. - Mogę usiąść?

- Proszę. - Wskazała kanapę i sama przysiadła obok niego, na skraju siedzenia. - Czyżby znowu miał kłopoty?

- Mam nadzieję, że nie. To bardziej... osobista sprawa. - Obi-Wan poruszył się, jakby mu było niewygodnie. - Jako przedstawiciel kanclerza znalazł się w trudnej sytuacji, ale sądzę, że tu chodzi o coś więcej. Wczoraj... wczoraj posprzeczaaliśmy się i rozstaliśmy w nieprzyjemnych okolicznościach.

Serce Padme przestało bić. On musi wiedzieć, pomyślała. To ma być konfrontacja, która zniszczy nam życie. Bardziej niż czegokolwiek pragnęła teraz mieć Anakina przy sobie, ale na jej twarzy widać było jedynie uprzejme zaciekawienie.

- Czego dotyczył spór? - spytała delikatnie.

- Obawiam się, że nie mogę ci powiedzieć - odrzekł Kenobi, uśmiechając się przepraszająco. - Sprawy Jedi. Na pewno rozumiesz.

Pochyliła głowę.

- Oczywiście.

- Chodzi o to, że... Cóż, po prostu martwię się o niego. Miałem nadzieję, że może rozmawiał z tobą.

- Dlaczego miałby rozmawiać ze mną o... - Padme błysnęła wytrenowanym, przyjacielsko-sceptycznym uśmiechem- ...sprawach Jedi?

- Senator... Padme, proszę cię. - Spojrzał na nią oczami, w których były współczucie, zmęczenie i niepokój. - Nie jestem ślepy. Choć próbowałem, dla dobra Anakina. I dla twojego dobra, Padme.

- Co masz na myśli?

- Podobnie jak ja, żadne z was nie jest dobre w ukrywaniu uczuć.

- Obi-Wanie...

- Anakin kocha cię od dnia, w którym się spotkaliście w tym okropnym składzie złomu na Tatooine. Nigdy nawet nie próbował tego ukrywać, choć wcale o tym nie rozmawiamy. Zawsze udawaliśmy, że ja o niczym nie wiem. I czyniłem to z radością, bo widziałem, że dzięki temu jest szczęśliwy. Ty dałaś mu to szczęście i nic nigdy nie cieszyło go bardziej. - Obi-Wan westchnął, marszcząc brwi. - A ty, Padme, choć tak pewnie działasz w senacie, nie umiesz ukryć światła, które zapala się w twoich oczach, gdy ktokolwiek choćby wymieni jego imię.

- Ja... - Padme zerwała się na równe nogi. - Nie mogę... Obi-Wanie, nie zmuszaj mnie, żebym o tym mówiła...

- Nie chcę cię zranić, Padme, nie chcę nawet, żebyś czuła się niezręcznie. Nie przyszedłem tu na przesłuchanie i nie obchodzą mnie szczegóły waszego związku.

Odwróciła się i zaczęła chodzić, czując gwałtowną potrzebę ruchu. Na wpół świadomie wyszła na werandę zalaną blaskiem świtu.

- Więc po co przyszedłeś?

Obi-Wan zbliżył się do niej.

- Anakin znalazł się pod wielką presją. Jak na tak młodego człowieka, dźwiga brzemień ogromnej odpowiedzialności. Ja w jego wieku miałem przed sobą jeszcze lata nauki jako padawan. On... on się zmienia. I to szybko. Niepokoi mnie kierunek tych zmian. Byłoby to... bardzo wielkim błędem... gdyby musiał opuścić zakon Jedi.

Zatrzepotała powiekami, jakby wymierzył jej policzek.

- To chyba... mało prawdopodobne? Co z przepowiednią Jedi, w której pokładacie tak wielkie nadzieje? Czy Anakin nie jest Wybrańcem?

- Bardzo możliwe, że jest. Ostatnio jednak przeanalizowałem dokładnie tę przepowiednię. Jest w niej mowa jedynie o tym, że narodzi się Wybrańiec i sprowadzi równowagę Mocy. Nie ma w niej ani słowa o tym, że musi to być Jedi.

Padme znowu zamrugła, opierając się gwałtownej fali nadziei, która omal nie odebrała jej tchu.

- Nie musi...?

- Mój mistrz, Qui-Gon Jinn, wierzył, że wolą Mocy jest, by Anakin odebrał szkolenie Jedi, a my... My wszyscy, jak mi się zdaje, mamy pewnego rodzaju Jedi-centryczne tendencje, jeśli mogę tak to nazwać. W końcu ta przepowiednia jest przepowiednią Jedi.

- Ale wola Mocy... czy Jedi nie powinni za nią podążać?

- Owszem. Musisz jednak zrozumieć, że nawet Jedi nie wiedzą o Mocy wszystkiego; żaden śmiertelnik nie pozna całej prawdy o niej. Mówimy o woli Mocy tak, jak ktoś nie rozumiejący prawa grawitacji mówiłby o woli, która każe rzece płynąć do oceanu. To tylko metafora, która opisuje naszą niewiedzę. Prosta prawda... jeżeli jakkolwiek prawda może być prosta... jest taka, że nie wiemy do końca, czym jest wola Mocy. Być może nigdy się tego nie dowiemy. Jest to rzecz tak dalece wykraczająca poza naszą zdolność poznania, że możemy jedynie poddać się jej tajemnicy.

- Ale co to ma wspólnego z Anakinem? - Padme przełknęła ślinę, ale jej głos pozostał zduszony, cichy. - I ze mną?

- Obawiam się, że obecne... trudności... mają związek z waszą znajomością.

Gdybyś tylko wiedział, jak silny, pomyślała.

- Co chciałbyś, żebym zrobiła?

Obi-Wan spuścił głowę.

- Nie mogę ci powiedzieć, co masz zrobić, Padme. Mogę jedynie prosić, żebyś wzięła pod uwagę dobro Anakina. Wiesz przecież, że nie będziecie mogli być razem tak długo, jak długo on pozostanie w zakonie.

Poczuła nagły chłód w piersi.

- Obi-Wanie, nie mogę o tym mówić.

- Doskonale. Ale pamiętaj, że Jedi są jego rodziną. Zakon nadaje jego życiu strukturę. Wskazuje mu kierunek. Sama wiesz, jaki Anakin bywa niezdyscyplinowany.

I dlatego jest jedynym Jedi, jakiego mogłam pokochać, pomyślała.

- Tak, tak... Oczywiście.

- Jeżeli jego ścieżka musi rozejść się z drogą Jedi, to niech tak będzie. Proszę was jednak, dla własnego dobra zachowajcie ostrożność. Bądźcie najpierw pewni. Niektórych decyzji nie sposób odmienić.

- Tak - odrzekła z przekonaniem. - Wiem o tym aż za dobrze.

Skinął głową, jakby rozumiał, choć przecież nie miał pojęcia, jaka jest prawda.

- W tych czasach... wszyscy wiemy.

W fałdach jego szaty rozległ się cichy sygnał.

- Przepraszam - powiedział i odwrócił się, wyjmując komunikator z wewnętrznej kieszeni. - Tak?

Męski głos, który się odezwał, był głęboki i stanowczy.

- Zwołujemy specjalną sesję Rady. Znaleźliśmy generała Grievousa!

- Dziękuję, mistrzu Windu - odpowiedział Obi-Wan. - Już jestem w drodze.

Generał Grievous? Gorące łzy pojawiły się w oczach Padme. Znowu zabiorą mi Anakina, pomyślała.

Poczuła ruch pod żebrami. Zabiorą nam, poprawiła się w duchu. Czowała w sobie tyle miłości, strachu, radości i samotności zarazem, że nie śmiała się odezwać. Mogła jedynie wpatrywać się w zasnuty dymem horyzont, póki Obi-Wan nie stanął u jej boku.

- Padme - powiedział cicho. Łagodnie. Niemal z żalem. - Nie powiem o niczym Radzie. Ani słowa. Bardzo mi przykro, że obarczam cię takim ciężarem i... mam nadzieję, że nie zdenerwowałem cię zanadto. Od tak dawna jesteśmy przyjaciółmi... Mam nadzieję, że zawsze nimi będziemy.

- Dziękuję, Obi-Wanie - odpowiedziała łamiącym się głosem. Nie mogła na niego patrzeć. Kątem oka dostrzegła jedynie, że z szacunkiem pochylił głowę, zanim odwrócił się, by odejść. - Obi-Wanie?

Przystanął.

- Ty także go kochasz, prawda?

Gdy nie odpowiedział, spojrzała na niego. Stał w bezruchu, ze zmarszczonymi brwiami, pośrodku wielkiego i miękkiego dywanu. Tak. Kochasz go. Obi-Wan spuścił głowę. Wyglądał na bardzo samotnego.

- Proszę, zrób co możesz, żeby mu pomóc - powiedział, zanim zniknął za drzwiami.

Hologram planety Utapau obracał się bezszelestnie pośrodku sali Wysokiej Rady Jedi. Anakin przywiózł holoprojektor z biura kanclerza. Obi-Wan zastanawiał się, czy ktoś sprawdził urządzenie, by upewnić się, czy nie ma w nim szpiegowskich dodatków, ale zaraz porzucił tę myśl. W pewnym sensie Anakin był teraz oczami i uszami kanclerza.

I to nasza wina, pomyślał.

Jedynymi członkami Rady - poza Obi-Wanem i Anakinem - którzy byli fizycznie obecni na spotkaniu, byli Mace Windu i Agen Kolar. Kworum tworzyły holoprojekcje Ki-Adi-Mundiego, który był w drodze na Mygeeto, Pio Koono przebywającego na Cato Neimoidia oraz Yody, który wkrótce miał lądować na Kashyyyku.

- Dlaczego Utapau? - mówił właśnie Mace Windu. - To neutralny system o niewielkim znaczeniu strategicznym, praktycznie pozbawiony planetarnych sił obronnych...

- I może właśnie to jest przyczyną- zasugerował Agen Kolar. -Łatwo zająć taką planetę, a cywilizacja oparta na kolonizacji lejów krasowych stwarza świetną możliwość ukrycia ogromnej rzeszy robotów przed skanerami dalekiego zasięgu.

Na całej długości wysokiego czoła Ki-Adi-Mundiego pojawiły się głębokie zmarszczki.

- Nasi agenci na Utapau o niczym nie meldowali.

- Być może zostali zatrzymani... albo nie żyją- odezwał się Obi-Wan.

Mace-Windu spojrział ponuro na Anakina.

- Jak to możliwe, że kanclerz zdobył tę informację, a nie my?

- Wywiad Klonów przechwyił fragment wiadomości w pakiecie dyplomatycznym wysłanym przez przewodniczącego Utapau - odparł Skywalker. - Dopiero przed godziną zdołaliśmy zweryfikować dane.

Obi-Wan zmarszczył brwi, słuchając, jak Anakin mówi „my”, mając na myśli Urząd Kanclerza...

- Wywiad Klonów - odrzekł z powagą Mace - podlega nam.

- Wybacz, mistrzu Windu, ale już nie. - Anakin doskonale potrafił zachować powagę, lecz Obi-Wan miał wrażenie, że wyczuwa w jego głosie nutę satysfakcji. - Wydawało mi się, że to już jasne. Poprawka do konstytucji podporządkowała Jedi Urzędowi Kanclerza, wraz ze wszystkimi podległymi im jednostkami wojskowymi. Palpatine jest teraz najwyższym dowódcą Wielkiej Armii Republiki.

- Bezcelowe są klótnie na temat jurysdykcji - odezwał się holograficzny Yoda. - Teraz działać musimy.

- Chyba wszyscy zgadzamy się co do tego - podchwycił szybko Anakin. - Przejdźmy więc do planowania operacyjnego. Kanclerz zażyczył sobie, żebym to ja poprowadził tę misję, toteż...

- Rada podejmie decyzję w tej sprawie - przerwał mu stanowczo Mace. - Nie kanclerz.

- Niebezpieczny jest Grievous. Tylko spokojne umysły mogą się z nim zmierzyć. Mistrzów wysłać powinniśmy.

Zapewne z całej Rady jedynie Obi-Wan dostrzegł cień zawodu i urazy, który pojawił się w oczach Anakina. Mistrz rozumiał swojego ucznia doskonale, a nawet mu współczuł - udział w akcji bojowej pomógłby Anakinowi wydobyć się spod nacisku przeciwstawnych sił i sprzecznych powinności.

- Biorąc pod uwagę to, jak bardzo nadwreżone są nasze siły - odezwał się Mace Windu - proponuję, abyśmy wysłali tylko jednego Jedi: mistrza Kenobiego.

To oznaczało, że sam Mace oraz Agen Kolar -jedni z najlepszych wojowników, jakich kiedykolwiek wydał zakon Jedi - pozostaną na Coruscant na wypadek, gdyby Sidious istotnie postanowił skorzystać z okazji i wykonać dramatyczny ruch. Nie wspominając o Anakinie, który sam był wart tyle, co brygada wojska.

Obi-Wan skinął głową. Idealnie logiczne rozwiązanie. Wszyscy musieli się zgodzić.

Z wyjątkiem Anakina. Rumieniec wypływał na jego policzki, gdy pochylał się i mówił:

- Nieszczęśliwie wiodło mu się ostatnim razem, gdy spotkał Grievousa!

- Anakinie... - zaczął Obi-Wan.

- Bez obrazy, mój mistrzu. Ja tylko stwierdzam fakt.

- Ależ ja się nie obrażam. Masz zupełną rację. Tyle że teraz już wiem, jak on walczy... i jak ucieka. Jestem pewien, że potrafię go schwytać.

- Mistrzu...

- A ty, mój młody przyjacielu, masz obowiązki tu, na Coruscant. Nadzwyczaj ważne obowiązki, które wymagają pełnej koncentracji -przypomniał mu Obi-Wan. - Czy wyrażam się jasno?

Anakin nie odpowiedział. Opadł z powrotem na fotel i odwrócił głowę.

- Na Obi-Wana stawiam - rzekł Yoda. Ki-Adi-Mundi skinął głową.

- Zgadzam się. Głosujmy.

Mace Windu podliczył skinienia głów.

- Sześć głosów za.

Odczekał moment, spoglądając na Anakina.

- Chciałbyś skomentować?

Anakin tylko patrzył w ścianę.

Po chwili Mace wzruszył ramionami.

- Jednogłośnie.

Senator Chi Eekway wzięła do ręki kubek aqualijskiego bulionu hoi, który C-3PO przyniósł na tacy.

- Jestem bardzo wdzięczna, że zostałam zaproszona - powiedziała. Jej zwisy policzkowe zadrżały, gdy pochyliła błękitną głowę, gestem wskazując na salon Padme i zgromadzonych parlamentarzystów. - Oczywiście mogę mówić tylko w imieniu mojego sektora, ale zapewniam, że bardzo wielu senatorów wyczuwa narastającą nerwowość. Być może nie wiecie tego jeszcze, ale nowi gubernatorzy przybywają z pułkami żołnierzy-klonów, które nazywają „siłami bezpieczeństwa”. Zaczęliśmy się wszyscy zastanawiać, czy te pułki mają bronić nas przed separatystami, czy może... chronić gubernatorów przed nami.

Padme uniosła głowę znad czytnika dokumentów, który trzymała w dłoni.

- Mam... wiarygodne informacje, że generał Grievous został zlokalizowany. Jedi już rozpoczęli działania przeciwko niemu. Koniec wojny może być kwestią dni.

- Ale co dalej? - Bail Organa pochylił się, oparł łokieć na kolanach i zaplótł dłoń.

- Jak zmusimy Palpatine'a do odwołania gubernatorów? Jak powstrzymamy go przed założeniem garnizonów we wszystkich systemach Republiki?

- Nie musimy go do niczego zmuszać - zauważyła przytomnie Padme. - Senat powierzył mu nadzwyczajne uprawnienia tylko na czas trwania stanu wyjątkowego...

- Lecz jedynie Palpatine ma prawo podjęcia decyzji o odwołaniu stanu wyjątkowego - wpadł jej w słowo Bail. - Jak wpłynąć na niego, by oddał władzę senatowi?

Chi Eekway odchyliła się do tyłu.

- Wielu chciałoby go do tego skłonić - powiedziała. - Nie tylko mój lud. Nie brakuje nawet senatorów, którzy są gotowi zmusić go do oddania władzy.

Padme z trzaskiem zamknęła czytnik i nie okazując emocji, spojrzała kolejno po twarzach zgromadzonych.

- Czy mogę zaproponować jeszcze coś do picia?

- Senator Amidalo - odezwała się Eekway. - Obawiam się, że nie rozumiesz...

- Senator Eekway, może bulionu?

- Nie, dziękuję...

- A zatem - Padme spojrzała na androida protokolarnego - Threepio, to już wszystko. Proszę, przekaz Motee i Elle, że mają wolne przez resztę dnia. Możesz się wyłączyć na jakiś czas.

- Dziękuję pani - odparł Threepio. - Choć muszę powiedzieć, że dyskusja stała się wielce...

- Threepio! - Ton głosu Padme był tym razem zdecydowanie ostrzejszy. - To już wszystko.

- Tak jest. Oczywiście, proszę pani. Rozumiem doskonale. - Android odwrócił się sztywno i wyszedł z pokoju.

Gdy tylko znalazł się poza zasięgiem głosu, Padme potrząsnęła czytnikiem dokumentów, unosząc go w górę.

- To bardzo niebezpieczny krok. Nie możemy pozwolić, żeby doprowadził do kolejnej wojny.

- To ostatnia rzecz, jakiej pragniemy - odparł Bail, spoglądając z dezaprobatą na senator Eekway. - Alderaan nie ma sił zbrojnych; nie mamy nawet planetarnego systemu obrony. Jediną możliwością jest rozwiązanie polityczne.

- I właśnie ono jest celem tej petycji - uzupełniła Mon Mothma, kładąc miękka dłoń na rękę Padme. - Mamy nadzieję, że pokaz solidarności senatu powstrzyma Palpatine'a przed dokonywaniem dalszych zmian w konstytucji. Nie chodzi o nic więcej. Mając podpisy dwóch tysięcy senatorów...

- ...wciąż mamy ich za mało, żeby powstrzymać absolutną większość przed wprowadzaniem poprawek do konstytucji na każde zawołanie Wielkiego Kanclerza - dokończyła za nią Padme. Podniosła czytnik, który wciąż trzymała w dłoni. - Jestem skłonna przedstawić tę petycję Palpatine'owi, ale tracę już wiarę w gotowość... a nawet zdolność senatu do zapanowania nad kanclerzem. Sądzę, że powinniśmy zasięgnąć opinii Jedi.

Dlatego że naprawdę mogą nam pomóc, czy dlatego że nie wolno mi okłamywać mojego męża? Nie umiała odpowiedzieć sobie na to pytanie. Miała nadzieję, że obie odpowiedzi były prawdziwe, ale absolutną pewnością miała tylko co do drugiej.

Bana Breemu spojrzała na swoje długie, starannie wypielęgnowane paznokcie.

- To byłoby niebezpieczne - powiedziała. Mon Mothma skinęła głową.

- Nie wiemy, jakie stanowisko zajmują w tej sprawie Jedi. Padme przesunęła się na skraj siedziska.

- Jedi nie są bardziej zadowoleni z sytuacji niż my.

Dzięki wysokim kościom policzkowym senator Breemu jej spojrzenie, które posłała Padme, wydawało się w dwójnasób dalekie i sceptyczne.

- Wydaje się, że jesteś bardzo dobrze zorientowana w sprawach Jedi, senator Amidalo.

Padme poczuła, że się rumieni. Nie odpowiedziała. Giddean Danu pokręcił głową; na jego twarzy wyraźnie malowało się zważenie.

- Jeżeli mamy otwarcie sprzeciwić się kanclerzowi, potrzebujemy wsparcia Jedi. Ich autorytet moralny musi być po naszej stronie. Co innego nam pozostaje?

- Tak się składa, że autorytet moralny Jedi stopniał w latach wojny - zauważyła Bana Breemu. - Obawiam się, że nie zostało go wiele na działania polityczne.

- Zatem pomówmy z jednym Jedi- zaproponowała Padme. Pozwólcie mi przynajmniej porozmawiać z ukochanym, pomyślała. Tylko tyle. Błagam. - Jest pewien Jedi, którego dobrze znam i któremu mogę zaufać bez zastrzeżeń...

Urwała w pół zdania, bo uświadomiła sobie nagle, że wcale nie ma na myśli Anakina.

Gdy zaczynała mówić, chodziło jej tylko o niego - o miłość, o potrzebę otwartości, o ból ciągłego ukrywania się, ale gdy doszła do zaufania, gdy zaczęła szukać w pamięci tego, kogo zna i komu wierzy bez zastrzeżeń, od początku do końca...

Odkryła, że mówi o Obi-Wanie.

Anakinie, pomyślała... Coś w niej pękało. Och, mój kochany, co oni z nami robią?

Chi Eekway potrząsnęła głową.

- Cierpliwości, pani senator.

Fang Zar wyplątał palce z długiej, zmierzwionej brody i wzruszył ramionami.

- To prawda, że nie możemy zablokować absolutnej większości w senacie, ale możemy pokazać kanclerzowi, że opozycja wobec jego metod działania wciąż rośnie. Być może to wystarczy, by zmienił taktykę.

Bana Breemu znowu pochyliła się nad swoimi paznokciami.

- Gdy przedstawię mu Petycję Dwóch Tysięcy, wiele spraw może się zmienić.

- Ale czy na lepsze? - spytał Giddean Danu.

Bail Organa i Mon Mothma wymienili spojrzenia, jakby dzielili jakiś sekret.

- Zobaczymy, ile zdziałamy w senacie - rzekł wolno Bail - zanim włączymy w to Jedi.

Senatorowie jeden po drugim zgodzili się na jego propozycję. Padme mogła jedynie siedzieć w milczeniu. W żałobnym milczeniu.

Rozpaczając po nagłej śmierci iluzji.

Anakinie... Anakinie, kocham cię. Gdybym tylko...

Niestety, owo „gdyby” mogło zaprowadzić ją tam, gdzie nie chciała się znaleźć. Pozostało jej tylko jedno: dwa słowa, które -jak się obawiała - miały wracać do niej echem przez resztę życia:

Anakinie, przepraszam.

Ostatni z czołgów repulsorowych wjechał po rampie do ładowni krążownika desantowego, który wielkim klinem swojego kadłuba przesłaniał niebo. Zaraz potem do wnętrza okrętu skierowały się nienagannie uformowane zastępy żołnierzy, podzielnymi na bataliony i maszerujących idealnie równym krokiem.

Stojąc na lądowisku obok Obi-Wana, Anakin przyglądał się ładunkowi.

Wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, że nie bierze udziału w tej misji.

Nie chodziło nawet o to, że chciał polecieć z Obi-Wanem na Utapau, choć na pewno byłoby to prawdziwą ulgą po taplaninie w politycznym bagnie, które go wciągało. Ale jak mógł zostawić Padme w takiej chwili? Nie zależało mu już nawet na tym, by być właśnie tym Jedi, który pojmie Grievousa, choć taki wyczyn bez wątplenia pozwoliłby mu zostać mistrzem. Nie był już nawet pewien, czy w ogóle interesuje go ta ranga.

Po długich, czarnych godzinach medytacji, w której pograżył się ostatniej nocy - medytacji, której nikt nie odróżniłby od ponurych rozmyślań - zaczął dostrzegać w Mocy głębszą prawdę: zanurzoną w niej rzeczywistość, która wyzierała jak paszcza Sarlaccy spod spalonych słońcem piasków szkolenia Jedi.

Gdzieś tam znajdowała się potęga, której potrzebował.

A więc nie, wcale nie chciał lecieć na Utapau. Z dziwnych, niewyjaśnionych pobudek wolałby po prostu, żeby Obi-Wan został na Coruscant.

Czuł w piersiach zimną pustkę i obawiał się, że wkrótce wypełni się ona żalem i rozpaczą.

Wiedział, rzecz jasna, że w żaden sposób nie zatrzyma Obi-Wana w stolicy; jego były mistrz był ostatnim Jedi w galaktyce, który pozwoliłby sobie na zignorowanie rozkazu Rady. Nie po raz pierwszy Anakin żałował w duchu, że Obi-Wan nie jest choć trochę bardziej podobny do Qui-Gona. Znał starego mistrza ledwie kilka dni, ale w tej chwili pamiętał go dokładnie: widział, jak marszczy brwi, pochylając się nieco nad niższym padawanem, i niemal słyszał jego głos, nakazujący Obi-Wanowi: bądź świadom nurtów żywej Mocy; spełnić obowiązek nie zawsze oznacza postępować słusznie; skup się na właściwym postępowaniu; niech obowiązek sam się spełni...

Nie mógł jednak zacytować słów Qui-Gona. Choć przeszedł próby przed wieloma miesiącami, dla Obi-Wana wciąż pozostawał uczniem, nie mistrzem.

I dlatego mógł jedynie powiedzieć:

- Mam złe przeczucia.

Obi-Wan w zamyśleniu przypatrywał się ekipie technicznej klonów, która lądowała właśnie jego niebiesko-biały myśliwiec na pokład startowy krążownika.

- Przepraszam, Anakinie... Mówiłeś coś?

- Będę ci potrzebny, mistrzu. - Anakin wyczuł w swoich słowach niespodziewaną prawdę: gdyby poleciał z Obi-Wanem, gdyby zapomniał na parę dni o Padme, gdyby uwolnił się w jakiś sposób od Palpatine'a, Rady, medytacji, polityki i wszystkiego, co wciągało go w bagno Coruscant, gdyby mógł po prostu wejść na pokład i znowu wziąć udział w grze Kenobi i Skywalker choć przez kilka dni, wtedy być może wszystko jakoś by się ułożyło.

Gdyby tylko mógł...

- Całkiem możliwe, że będzie to pościg za dziką banthą, nic więcej - rzekł Obi-Wan. - Twoje zadanie tutaj jest znacznie ważniejsze, Anakinie.

- Wiem: Sith... - Obce słowo pozostawiło w jego ustach gorzki smak. Manipulacje Rady zdecydowanie cuchnęły polityką. - Tylko że... - Anakin bezradnie wzruszył ramionami, odwracając wzrok. - Nie podoba mi się, że odlatujesz beze mnie. To kiepski pomysł, tak rozdzielać drużynę. Weźmy choćby poprzedni raz...

- Nie przypominaj mi.

- Chciałbyś spędzić kolejnych parę miesięcy z kimś takim jak Ventress? Albo z kimś gorszym?

- Anakinie... - W głosie Obi-Wana pobrzmiwał cień łagodnego uśmiechu. - Nie martw się. Zabieram ze sobą dość klonów, żeby zająć trzy systemy wielkości Utapau. Wierzę, że opanuję sytuację nawet bez twojej pomocy.

Skywalker musiał jakoś odpowiedzieć na ten uśmiech.

- Cóż... kiedyś musi nadejść ten pierwszy raz.

- Nie rozstajemy się na zawsze, Anakinie - dodał Kenobi. - Wiele razy pracowaliśmy oddzielnie, choćby wtedy, gdy eskortowałeś Padme na Naboo, a ja poleciałem na Kamino i Geonosis.

- I popatrz tylko, co z tego wynikło.

- No tak, to nie najlepszy przykład - przyznał Obi-Wan, uśmiechając się z odrobiną smutku. - Choć z drugiej strony, minęły lata i oto jesteśmy: wciąż żywi, wciąż przyjaciele. Chodzi mi o to, że nawet gdy jesteśmy osobno, to działamy razem. Mamy wspólne cele: chcemy zakończyć tę wojnę i uratować Republikę przed Sitnami. Dopóki stoimy po tej samej stronie, wszystko będzie się dobrze kończyć... Tego jestem pewien.

- Cóż - westchnął Anakin - chyba masz rację. Zdarza ci się. Od czasu do czasu.

Obi-Wan roześmiał się i klepnął ucznia w ramię.

- Żegnaj, stary przyjacielu.

- Mistrzu, zaczekaj. - Anakin teraz dopiero spojrzał mu prosto w oczy. Nie mógł tak po prostu pozwolić mu odejść. Nie teraz. Musiał coś jeszcze powiedzieć.

Ogarneło go przemożne wrażenie, że nie będzie miał innej okazji.

- Mistrzu... - powtórzył z wahaniem. - Wiem, że... zawiodłem cię w ostatnich dniach. Byłem arogancki. Może nie doceniałem twoich nauk i, co gorsza, twojej przyjaźni. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Mój żal do Rady... Wiem, że nie ty ponosisz winę za to, co się stało, więc przepraszam. Za wszystko. Twoja przyjaźń jest dla mnie wszystkim.

Obi-Wan uściśnął jego mechaniczną dłoń; drugą ręką chwycił ramię Anakina powyżej miejsca, w którym ciało łączyło się z metalem.

- Jesteś mądry i silny, Anakinie. Jesteś chlubą zakonu Jedi i już dawno wyprzedziłeś moje skromne wysiłki dydaktyczne.

Uśmiech Anakina stał się nieco melancholijny.

- Jeszcze wczoraj mówiłeś, że siła nie przynosi mi chluby.

- Nie mówię teraz o twojej sile, ale o twoim sercu, Anakinie. Twoją prawdziwą wielkością jest wielkość ducha. Odwaga i hojność, współczucie i zaangażowanie. Oto twoje zalety - wyjaśnił łagodnie Obi-Wan. - Dokonałeś wielkich rzeczy i jestem z ciebie bardzo dumny.

Anakin nie umiał mu odpowiedzieć.

- Tak... - Kenobi spojrzał na czubki swoich butów, zachichotał i puścił rękę ucznia. - Zdaje się, że generał Grievous wzywa mnie po imieniu. Do zobaczenia, stary przyjacielu. Niech Moc będzie z tobą.

Anakin mógł jedynie powtórzyć za nim jak echo:

- Niech Moc będzie z tobą.

Przez chwilę jeszcze stał w milczeniu, obserwując odchodzącego Obi-Wana. Wreszcie odwrócił się i wolnym krokiem, ze zwieszoną głową, ruszył w kierunku swojego śmigacza.

Kanclerz czekał.

## ROZDZIAŁ

# 14

### UPADEK W CIEMNOŚĆ

Zimny wiatr smagał prywatne lądowisko kanclerza przy gmachu Biur Senatu. Anakin stał na platformie szczelnie owinięty płaszczem, z brodą przyciśniętą do piersi, wpatrując się w twardą nawierzchnię pod stopami. Nie czuł ani chłodu, ani silnych podmuchów. Nie słyszał też wycia repulsorów kanclerskiego wahadłowca, który właśnie podchodził do lądowania, i nie czuł zapachu brązowych pasemek smogu niesionych wiatrem.

Widział natomiast twarze i słyszał podniesione, radosne głosy senatorów, którzy wyszli mu na powitanie, gdy po akcji ratunkowej przybył tu, by zwrócić im Wielkiego Kanclerza, całego i zdrowego. Wspominał wielką dumę, którą czuł, gdy otoczyły go liczne ekipy dziennikarzy, liczących na choćby przelotny kontakt z człowiekiem, który pokonał hrabiego Dooku.

Ile to dni minęło? Nie pamiętał. Zapewne niewiele. Kiedy człowiek nie śpi, dni zlewają się w jedną gęstą kałużę zmęczenia, a ta zmienia się z czasem w fizyczny ból. Moc mogła utrzymać go w pionie, pozwalając poruszać się i myśleć, ale nie mogła przynieść wytchnienia. Zresztą wytchnienia wcale nie potrzebował. Odpoczynek oznaczał sen, a sen...

Sen mógł przypomnieć mu to, o czym wolał nie wiedzieć.

Przyszedł mu do głowy wiersz pewnego poety, o którym mówił kiedyś Obi-Wan - Anakin nie pamiętał ani imienia, ani cytatu, ale kojarzył niektóre słowa: o tym, że nie ma bardziej bolesnej chwili niż przesyczone gorzkim załem wspomnienie dnia, w którym człowiek był szczęśliwy...

Jak to się stało, że było tak dobrze, a jest tak źle?

Nie mieściło mu się to w głowie.

Pył zawirował pod repulsorami promu, który wolno osiadł na lądowisku. Właz uchylił się i czterej gwardziści Palpatine'a wyskoczyli na zewnątrz. Wiatr zmarszczył ich szaty w falujące bruzdy jedwabistej czerwieni. Rozdzielili się na dwie pary i stanęli przy władze, przepuszczając kanclerza i towarzyszącego mu rośłego, masywnego Mas



Ameddę, przewodniczącego senatu. Rogi Chagrianina pochyliły się ku Palpatine'owi, gdy ruszyli razem w stronę drzwi, zajęci rozmową.

Anakin wyszedł im na spotkanie.

- Kanclerzu- odezwał się, kłaniając się na powitanie. - Lordzie Przewodniczący...

Mas Amedda spojrział na niego, krzywiąc usta w grymasie, który ludzie uważali za przejaw niesmaku, Chagrianie zaś za uśmiech.

- Witaj, drogi młodzieńcze. Mam nadzieję, że udany miałeś dzień? Anakin poczuł się tak, jakby ktoś sypnął mu piaskiem w oczy.

- Doskonały, Lordzie Przewodniczący. Dziękuję.

Amedda odwrócił się na powrót do Palpatine'a, a uprzejmy uśmiech Anakina zmienił się w pogardliwy grymas. Może był po prostu zmęczony, ale gdy przyglądał się obnażonym mackom zwisającym na piersi Chagrianina, poczuł nagle pragnienie, by słowa Obi-Wana okazały się prawdą. Miał wręcz nadzieję, że to Mas Amedda okaże się tym tajemniczym Sithem, ponieważ było w przewodniczącym senatu coś tak odpychającego, że Anakin bez problemu mógł wyobrazić sobie, jak przecina na pół jego wielki łeb...

Po chwili zdał sobie sprawę, że Palpatine stara się odprawić Masa Ameddę i wraz z nim odesłać gwardzistów z Czerwonej Straży.

I dobrze, pomyślał. Nie miał nastroju na towarzyskie gry. We dwóch mogli rozmawiać absolutnie szczerze, a w tej chwili nie potrzebował niczego tak bardzo, jak prostej i uczciwej wymiany zdań. Uczciwa wymiana zdań mogła przebić wreszcie tę mgłę półprawd i małych nieporozumień, którą Rada Jedi napelniła jego głowę.

- Powiedz no, Anakinie - rzekł Palpatine, gdy zostali sami - odprowadziłeś już swojego przyjaciela?

Skywalker skinął głową.

- Gdybym nie nienawidził Grievousa tak bardzo, pewnie już byłoby mi go żal.

- Tak? - Palpatine wydawał się umiarkowanie zainteresowany tym tematem. - Czy to znaczy, że Jedi wolno nienawidzić?

- Tak tylko powiedziałem - odparł Anakin i machnął ręką. - Moje uczucia względem Grievousa nie mają znaczenia. Obi-Wan wkrótce zdobędzie jego głowę.

- Zakładając, rzecz jasna - zamruczał Palpatine, biorąc go pod ramię i prowadząc w stronę wejścia do gabinetów - że Rada nie popełniła błędu. Ja na przykład uważam, że mistrz Kenobi nie jest najodpowiedniejszym Jedi do wykonania tej misji.

Zirytowany Anakin wzruszył ramionami. Dlaczego wszyscy przypominali mu o sprawach, o których naprawdę nie miał ochoty rozmawiać?

- Rada była najzupełniej pewna swojej decyzji.

- Pewność to piękna rzecz - przyznał kanclerz. - Niestety, nazbyt często zdarza się, że ci, którzy czują się najbardziej pewni swego, tkwią też w najgłębszym błędzie. Co pocznie Rada, jeśli się okaże, że Kenobi nie zdoła pojmać Grievousa bez twojej pomocy?

- Tego nie wiem, panie. Myślę jednak, że jeśli tak się zdarzy, mistrzowie jakoś sobie z tym poradzą. Jedi nauczają, że przewidywanie jest wrogiem skupienia.

- Nie jestem filozofem, Anakinie; w mojej pracy przewidywanie jest jedyną nadzieją na sukces. Muszę antycypować ruchy moich przeciwników, a nawet sojuszników. Nawet... - kanclerz z uśmiechem skinął w jego stronę otwartą dłońią- ...moich przyjaciół. - To jedyny sposób, jeżeli mam być gotowy na korzystanie z nadarzających się sposobności... i jeśli mam unikać katastrofy.

- A jeśli katastrofa nadejdzie z woli Mocy?

- Obawiam się, że nie wierzę w wolę Mocy - przerwał mu Palpatine, uśmiechając się przeproszająco. - Wierzę, że liczy się nasza wola. Wierzę, że wszystko, co dobre w naszej cywilizacji, nie pojawiło się na skutek ślepego działania jakiegoś mistycznego pola energii, ale dzięki skupionej woli wielu ludzi: prawodawców i wojowników, wynalazców i inżynierów, do ostatniego tchu zmagających się z dziełem galaktycznej kultury dla dobra wszystkich istot.

Stali już przed zaokrąglonymi drzwiami biura Palpatine'a.

- Proszę, wejdz, Anakinie. Choć filozoficzne pogawędki sprawiają mi wielką przyjemność, nie po to zaprosiłem cię dziś do siebie. Mamy sprawę do omówienia... obawiam się, że niezmiernie poważne.

Anakin przeszedł za nim przez przedpokój biura, aż do prywatnego gabinetu kanclerza. Przystanął z szacunkiem naprzeciwko biurka, ale Palpatine ruchem ręki wskazał mu fotel.

- Proszę, Anakinie, rozgość się. To, co usłyszysz, może być dla ciebie trudne.

- Jak wszystko w ostatnich dniach - mruknął Skywalker, zajmując miejsce.

Palpatine jakby go nie usłyszał.

- Chodzi o mistrza Kenobiego. Przyjaciele, których mam wśród senatorów, słysze-li pewne... niepokojące plotki na jego temat. Wielu parlamentarzystów wierzy, że Kenobi nie jest odpowiednim kandydatem do misji, którą mu powierzono.

Anakin zmarszczył brwi.

- Chyba nie mówisz poważnie, panie?

- Obawiam się, że jak najbardziej poważnie. To... skomplikowana sytuacja, Anakinie. Wydaje się, że istnieje w senacie grupa, która żałuje decyzji o powierzeniu mi nadzwyczajnych uprawnień.

- Jeszcze przed wydarzeniami na Geonosis nie brakowało malkontentów. Dlaczego mielibyśmy przejmować się nimi akurat teraz? I jaki to ma związek z Obi-Wanem?

- Już do tego przechodzę. - Palpatine odetchnął głęboko i obrócił się z fotelem, by móc podziwiać panoramę miasta za oknem z pancernej transpastali. - Różnica polega na tym, że tym razem niektórzy z tych senatorów... a jest ich całkiem sporo... chcieliby zrezygnować z demokratycznych metod. Nie mogąc inaczej osiągnąć swoich celów w senacie, organizują klikę, która zajmie się usunięciem mnie... innymi sposobami.

- Mówisz o zdradzie? - Anakin miał w sobie dość dyscypliny Jedi, by odepchnąć wspomnienie Obi-Wana używającego dokładnie tego samego słowa.

- Niestety, tak. Plotka głosi, że prowodyrzy tej grupy padli ofiarą... perswazji. Są na najlepszej drodze do współudziału w spisku Rady przeciwko Republice.

- Panie, ja... - Anakin pokręcił głową. - To po prostu niedorzeczne.

- Możliwe, że to wszystko nieprawda. Pamiętaj, że mówimy jedynie o plotkach. O niepotwierdzonych plotkach. Senackie plotki rzadko bywają prawdziwe, jeśli jednak ta jest oparta na faktach... Musimy być przygotowani, Anakinie. Wciąż jeszcze mam w senacie przyjaciół, którzy wyczują każdy spisek przygotowany przez tę klikę. Mam też całkiem niezłe pojęcie o tym, kto nią dowodzi. Jeśli chodzi o ścisłość, podczas najbliższej audycji, którą zaplanowałem na dzisiejsze popołudnie, przyjmę właśnie delegację tej kliky. Bardzo bym chciał, żebyś wziął udział w tym spotkaniu.

- Ja? - Czy wszyscy nie mogli dać mu wreszcie odrobiny spokoju? Choćby jednego dnia, choćby paru godzin? - Po co?

- Potrzebuję twoich zmysłów Jedi, Anakinie. Twojej zdolności do wyczuwania złych intencji. Nie wątpię, że senatorowie, którzy tu przyjdą, będą próbowali ukryć swój spisek pod szlachetnymi pozorami. Z twoją pomocą zapewne zdołam przebić tę zasłonę i odkryć prawdę.

Anakin westchnął i potarł piekące powieki. Czy mógł zawieść Palpatine^?

- Chętnie spróbuję, panie.

- Nie będziemy próbować, Anakinie. Po prostu to zrobimy. W końcu to tylko senatorowie. Większość z nich nie ukryłaby własnych myśli nawet przed niedorozwiniętym padalcem, a co dopiero przed najpotężniejszym rycerzem Jedi w galaktyce.

Kanclerz pochylał się w fotelu i w zamyśleniu złożył dłonie.

- Jednak Rada Jedi to zupełnie inna historia. Tajne sprzysiężenie antydemokratycznych istot, które władają ogromną potęgą, zarówno indywidualnie, jak i zbiorowo... Jak mam przeniknąć labirynt ich knozań? Właśnie dlatego umieściłem cię w Radzie. Jeżeli plotki okażą się prawdą, możliwe, że ty będziesz ostatnią nadzieją demokracji.

Anakin raz jeszcze przycisnął podbródek do piersi i zamknął oczy. Odnosił wrażenie, że ciągle jest czyjaś ostatnią nadzieją.

Dlaczego wszyscy nieustannie chcieli, żeby ich problemy stały się jego problemami? Dlaczego nie zostawia go w spokoju?

W jaki sposób miał podjąć temu wszystkiemu, gdy Padme groziła śmierć?

Wreszcie odezwał się wolno, nie unosząc powiek.

- Nadal nie wiem, co to ma wspólnego z Obi-Wanem.

- Ach, tak... To właśnie ta najtrudniejsza sprawa. Najbardziej niepokojąca. Otóż wydaje się, że mistrz Kenobi jest w kontakcie z pewnym senatorem, który według moich informacji jest jednym z prowodyrów kliky. Z tego co wiem... w bardzo bliskim kontakcie. Plotka mówi, że widziano go dziś rano, jak opuszczał apartament owego senatora... o nieprzyzwoicie wczesnej porze.

- Kto? - Anakin otworzył oczy i usiadł prosto. - Kto jest tym senatorem? Przesłuchajmy go.

- Przykro mi, Anakinie, ale senator, o którym mowa, jest w istocie... kobietą. Kobieta, którą całkiem dobrze znasz.

- Chcesz... - Skywalker chciał wierzyć, że się przesłyszał. To nie mogło być prawdą. - Chcesz powiedzieć...

Jej imię nie przeszło mu przez gardło.

Palpatine obrzucił go melancholijno-współczującym spojrzeniem.

- Obawiam się, że tak.

Anakin odchrząknął i odzyskał głos.

- To niemożliwe! Wiedziałbym o tym... ona nie... nie mogłaby...

- Niekiedy najbliżsi są tymi, którym najtrudniej dostrzec prawdę - rzekł smutno Palpatine.

Anakin zapadł się w fotel, oszołomiony. Czuł się tak, jakby Gamorreanin wałnął go pięścią w pierś. Albo rancor. Słyszał dzwonięcie w uszach, a gabinet kanclerza wiorował mu przed oczami.

- Wiedziałbym o tym - powtórzył w otepieniu. - Wiedziałbym...

- Nie bierz sobie tego tak bardzo do serca - poprosił Palpatine. - Możliwe, że to tylko plotka, a może rojenia mojej zbyt rozbuchanej wyobraźni... Po tylu latach wojny zaczynam szukać wroga w każdym cieniu, który widzę. Powiem ci, czego oczekuję od ciebie, Anakinie: że ustalisz prawdę. Że mnie uspokoisz.

Gdzieś w piersi Anakina tlił się płomień, tak słaby, że ledwie wyczuwalny, ale sama sugestia potężnego ognia wystarczyła, by poderwać go na równe nogi.

- Zrobię to - powiedział.

Płomień nabrał mocy. Stał się gorętszy. Ogłupiające zmęczenie, które przed chwilą czuł w kończynach, zaczęło się wypalać.

- To dobrze, Anakinie. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

- Zawsze, panie. Zawsze.

Odwrocił się w stronę drzwi. Zamierzał pójść do niej. Zobaczyć się z nią. Wydożyć prawdę. I chciał zrobić to teraz. Natychmiast. W środku dnia. Nieważne, kto mógłby go zauważyć.

To była poważna sprawa.

- Wiem, kto jest moim przyjacielem - rzucił na odchodnym.

Wniknął do mieszkania Padme jak cień albo duch. Niczego nie dotykał. Obserwował każdy szczegół. Czuł się tak, jakby był tu pierwszy raz. Jak ona mogła mu to zrobić?

*Niekiedy najbliżsi są tymi, którym najtrudniej dostrzec prawdę.*

Jak mogła?

I jak on mógł?

W Mocy cały apartament cuchnął Obi-Wanem.

Palec Anakina dotknął krzywizny oparcia kanapy.

Tutaj. Obi-Wan tu siedział.

Anakin okrążył kanapę i przycupnął dokładnie w tym samym miejscu. Naturalnym ruchem oparł dłoń na siedzisku obok... i wyczuł echo Padme.

*Dość blisko, jak na zwykłą konwersację,* podszepnął mu smok.

To był zupełnie nowy rodzaj strachu. Jeszcze zimniejszy. Jeszcze podlejszy.

Strach przed tym, że Palpatine może mieć rację...

W mieszkaniu dawało się wyczuć aurę niezgody i niepokoju, a także zapach utlenionych przypraw i gotowanych wodorostów... woń bulionu hoi; tak, to było to. W ciągu ostatnich kilku godzin ktoś pił w tym pokoju bulion hoi.

Padme nienawidziła bulionu hoi.

A Obi-Wan miał na niego alergię - pewnego razu, podczas misji dyplomatycznej na Ando, gwałtowna reakcja jego organizmu na ceremonialny toast omal nie doprowadziła do międzyplanetarnego incydentu.

Zatem Padme podejmowała tu także innych gości.

Anakin wyjął z kieszonki na pasie złożony arkusz flimsiplastu, na którym Palpatine zapisał listę podejrzanych senatorów. Przebiegł po niej spojrzeniem, szukając nazwisk osób, które znał na tyle dobrze, by wyczuć w Mocy echo ich obecności. O wielu nigdy nie słyszał - senatorów były przecież tysiące. Parlamentarzyści z listy, których znał przynajmniej ze słyszenia, tworzyli za to śmietankę senatu: Terr Taneel, Fang Zar, Bail Organa, Garm Bel Iblis...

Anakin zaczął podejrzewać, że Palpatine'a naprawdę poniosła wyobraźnia. Miał przed sobą nazwiska istot, których uczciwość nie budziła żadnych wątpliwości.

Zmarszczył brwi, wpatrując się w listę. Istniała możliwość...

Senator mógł pracowicie budować swoją reputację, błyszczeć przed galaktyką jako wzór cnót i honoru, a jednocześnie ukrywać znacznie mniej chwalebny prawdę w tak głębokiej tajemnicy, że nikt nie wyczułby zagrożenia. Mógł tym sposobem dojść do takiej władzy, że byłoby zbyt późno, żeby go powstrzymać...

Istniała taka możliwość.

Ale tak wielu senatorów? Czy to możliwe, żeby im wszystkim udało się taka sztuczka?

Żeby udało się Padme?

Podejrzenia na powrót wypełniły jego umysł chmurą tak gęstą, że nie wyczuł zbliżającej się żony, póki nie znalazła się w salonie.

- Anakin? Co ty tutaj robisz? Jest środek popołudnia...

Uniósł głowę i zobaczył ją pod łukiem drzwi. Była ubrana w senatorską szatę - ciężkie fałdy szkarłatnej materii - a na głowie miała fryzurę przypominającą pierścień hipernapędu myśliciwa gwiazdowego. Zamiast uśmiechu na ustach, zamiast słonecznego blasku w jej oczach, zamiast oczywistej radości, z jaką zawsze go witała, ujrzał twarz całkowicie bez wyrazu.

Nazywał ją twarzą polityka i serdecznie jej nienawidził.

- Czekam na ciebie - odpowiedział trochę niepewnie. - A co ty tu robisz w samym środku popołudnia?

- Za dwie godziny mam bardzo ważne spotkanie - odpowiedziała sztywno. - Zostałam tu rano czytelnik dokumentów...

- Czy to spotkanie... z kanclerzem? - Głos Anakina był cichy i chrapliwy. - Czy to jego ostatnie spotkanie tego popołudnia?

- T... tak. - Zmarszczyła czoło i spojrzała na niego z niepokojem. - Anakinie, o co...

- Ja także muszę na nim być. - Zmiał w dłoni arkusz flimsiplastu i wetknął go na powrót do kieszeni w szerokim pasie z ekwipunkiem. -I zaczynam go z niecierpliwością oczekiwać.

- Anakinie, o co chodzi? - Ruszyła w jego stronę, wyciągając dłoń. - Co się stało?

Poderwał się gwałtownie.

- Obi-Wan tu był, prawda?

- Przyszedł rano... - Zatrzymała się i powoli opuściła rękę. - Dlaczego pytasz?

- O czym rozmawialiście?

- Dlaczego tak się zachowujesz?

Jeden długi krok wystarczył, by znalazł się przy niej. Górował nad nią. Przez jedną długą sekundę wyglądała na bardzo drobną, niewiele znaczącą istotę; była jak mały owad, którego mógł zmiażdżyć obcasem i pójść dalej, nie oglądając się za siebie.

- O czym rozmawialiście?

Spojrzała na niego spokojnie, a na jej twarzy malowały się teraz troska i narastająca uraza.

- Rozmawialiśmy o tobie.

- O mnie?

- On się o ciebie martwi, Anakinie. Mówi, że żyjesz w wielkim stresie.

- A on nie?

- Twoje gierki od czasu powrotu...

- To nie ja gram, Padme! Nie ja udaję! Nie ja zakradam się tu nad ranem!

- Nie - odparła z uśmiechem i ułożyła dłoń na jego policzku. - O tej porze zwykle się stąd wykradasz.

Jej dłoń rozpuścił mu serce. Opadł ciężko na fotel i przycisnął rękę do oczu. Kiedy zapanował nad wstydem na tyle, by móc mówić, odezwał się cicho:

- Przepraszam, Padme. Przepraszam. Wiem, że byłem ostatnio... trudny. Chodzi o to, że... czuję się tak, jakbym spadał. Spadał w ciemność. Nie wiem, gdzie góra, a gdzie dół. Nie wiem, gdzie wyląduję... albo gdzie się rozbiję.

Zmarszczył brwi, wciskając palce do oczu coraz mocniej, by nie wypuścić ani jednej łzy.

- Myślę, że raczej się rozbiję.

Przysiadła na miękkim podłokietniku fotela i otoczyła barki Anakina smukłym ramieniem.

- Co się stało, kochanie? Zawsze byłeś taki pewny siebie... Co się zmieniło?

- Nic - odrzekł. - Wszystko. Sam nie wiem... Sprawy są tak pokręcone, że nie umiem ci odpowiedzieć. Rada mi nie ufa. Palpatine nie ufa Radzie. Obie strony knują przeciwko sobie i obie naciskają na mnie, a ja...

- Jestem pewna, że to tylko twoja wyobraźnia, Anakinie. Rada Jedi jest opoką Republiki.

- Opoką Republiki jest demokracja, Padme... czyli coś, za czym mistrzowie Jedi nie przepadają, gdy głosowania nie przebiegają po ich myśli. Każdy, kto zyska władzę, boi się ją stracić... oto myśl, którą powinnaś zapamiętać. - Anakin spojrzał jej w oczy. - Ty i twoi przyjaciele w senacie.

Przyjęła jego słowa bez mrugnienia okiem.

- Obi-Wan też należy do Rady; on nigdy nie wziąłby udziału w żadnej, choćby w najmniejszym stopniu nieoficjalnej grze...

- Tak sądzisz?

*Dlatego, że o takich sprawach nie mówi się głośno. Na pewno rozumiesz dlaczego.*

Anakin potrząsnął głową, odsuwając od siebie wspomnienie.

- Zresztą to nieważne. Obi-Wan jest w drodze na Utapau.

- Więc o co tak naprawdę chodzi?

- Nie wiem - odparł bezradnie. - Ja już nic nie wiem. Może jedynie o to, że nie jestem takim Jedi, jakim powinienem być. Nie jestem takim mężczyzną, jakim powinienem być.

- Dla mnie jesteś najlepszy - odrzekła. Pochyliła się, żeby pocałować go w policzek, ale odsunął się.

- Nie rozumiesz. Nikt nie rozumie! Jestem jednym z najpotężniejszych Jedi, ale nawet to nie wystarczy. Nigdy nie wystarczy, póki...

Urwał, zapatrzony w daleką przestrzeń. W pamięci znowu wywołał obraz obcego stołu porodowego, krew i krzyki.

- Póki co, kochanie?

- Póki nie będę umiał cię ocalić - wyszeptał.

- Ocalić?

- Przed moimi koszmarami. Uśmiechnęła się smutno.

- Aż tak cię to gryzie?

- Nie tracę cię, Padme. Nie mogę. - Obrócił się w fotelu, by chwycić obie jej dłonie, drobne, miękkie, zwodniczo silne i bezcenne. - Wciąż się uczę. Znalazłem klucz do prawd głębszych niż wszystko, czego mogą mnie nauczyć Jedi. Stanę się tak potężny, że będziesz bezpieczna. Na zawsze. Zrobię to.

- Nie potrzebujesz większej potęgi, Anakinie - odpowiedziała, łagodnie uwalniając dłonie i przyciągając go bliżej siebie. - Wierzę, że taki, jaki jesteś, możesz uchronić mnie przed wszystkim.

Ich usta spotkały się wreszcie. Dopóki trwał ten pocałunek, Anakin mógł wierzyć jej słowom.

Nad Galaktyczną Stolicą zapadł zmrok.

Anakin stał w pozycji, którą żołnierz-klon nazwałby „apelowym spoczynkiem” - na szeroko rozstawionych nogach i równolegle ustawionych stopach, z dłońmi złożonymi na plecach. Znajdował się zaledwie o krok za i kawałek w lewo od fotela, na którym siedział Palpatine, za szerokim biurkiem w małym, prywatnym gabinecie przylegającym do dużego, w którym zwykle przyjmował gości.

Po przeciwnej stronie blatu stała zaś delegacja senatu.

To, jak na niego patrzyli, wchodząc do gabinetu; jak ich oczy - nawet teraz - zerknęły na niego niespokojnie i natychmiast zwracały się w inną stronę, uciekając przed jego spojrzeniem; jak żaden z delegatów - nawet Padme - nie ośmielił się spytać Wielkiego Kanclerza, dlaczego u jego ramienia stoi Jedi, skoro miało to być prywatne spotkanie... Wszystko to dowodziło, że już wiedzieli, dlaczego się tu znalazł.

I że bali się poruszyć ten temat.

Teraz już nie mogli być pewni, po czyjej stronie stoi zakon Jedi. Jediną oczywistą sprawą była pozycja Anakina Skywalkera...

Pełna szacunku pozycja u boku Wielkiego Kanclerza Palpatine'a.

Anakin spoglądał na nich z uwagą.

Fang Zar: twarz pocięta zmarszczkami śmiechu, ubrany w szatę tak prostą, że mogłaby uchodzić za ubiór domowej roboty, strzecha niesformych włosów spiętych w ciasny kok i jeszcze bardziej splątana broda przesłaniająca szczękę. Przemawiał spokojnie i prosto, dzięki czemu oponenti łatwo zapominali, że jest jednym z najbystrzych umysłów politycznych w senacie. Poza tym był tak bliskim przyjacielem Garma Bel Iblisa, że potężny koreliański senator równie dobrze mógł pojawić się tu osobiście.

Anakin przyglądał mu się uważnie przez całe spotkanie. Był pewien, że w głowie Fanga Zara kołaczę się jakaś myśl, której senator nie chce ujawnić.

Nee Alavar i Male-Dee'a mógł śmiało skreślić; nie stanowili zagrożenia. Stali razem - być może potrzebowali wzajemnego wsparcia moralnego - i żadne z nich nie odezwało się ani razu.

Była też Padme...

Wyglądała olśniewająco w senatorskiej szacie, a podkreślona szminką doskonałość jej twarzy jaśniała jak wszystkie cztery księżycy Coruscant razem wzięte. Ani jeden nieposłuszny włos nie psuł idealnej kompozycji jej fryzury...

Maskując uczucia twarzą polityka, Padme przemawiała też beznamiętnym głosem polityka.

To na niej spoczywał ciężar rozmowy. Anakin z wolna nabierał nieprzyjemnej pewności, że wszystko to było jej pomysłem.

- Nie próbujemy doprowadzić do delegalizacji twoich rządów - mówiła właśnie. - Nie po to tu przyszliśmy. Gdybyśmy próbowali zorganizować opozycję albo wysuwali żądania, a nie prośby, raczej nie przedkładalibyśmy ich tobie, kanclerzu, w taki sposób. Petycję niniejszą podpisały dwa tysiące senatorów. Prosimy w niej, abyś poinstruował swoich gubernatorów, by nie mieszały się w sprawy należące do senatu. Wnosimy też o rozpoczęcie rozmów pokojowych z separatystami. Zależy nam na zakończeniu wojny oraz na przywróceniu pokoju i stabilizacji naszym światom. Z pewnością rozumiesz nasze intencje.

- Rozumiem bardzo wiele spraw - odparł Palpatine.

- System władzy gubernatorskiej, który stworzyłeś, jest bardzo niepokojący. Wydaje się, że dążysz do ustanowienia militarnej kontroli nawet nad systemami lojalistów.

- Wezmę pod rozwagę wasze zastrzeżenia, senator Amidalo. Zapewniam, że gubernatorzy są tylko narzędziem bezpieczeństwa w waszych systemach; mają koordynować działania sił obrony planetarnej, pilnować, by sąsiednie układy włączały się w siatkę współpracy obronnej, i nadzorować pracę fabryk, by jak najlepiej wspomagały wysiłek wojenny Republiki. To wszystko. W żaden sposób nie będą ingerować w kompetencje i obowiązki... we władzę senatu.

Akcent położony na słowo „władza” nasunął Anakinowi myśl, że Palpatine przemawia bardziej do niego niż do Padme i pozostałych.

*Każdy, kto zyska władzę, boi się ją stracić.*

- Mogę więc przyjąć - odezwała się Padme - że nie będziemy świadkami kolejnych poprawek do konstytucji?

- Moja droga, cóż ma z tym wspólnego konstytucja? Zdawało mi się, że rozmawiamy o zakończeniu wojny. Gdy tylko separatyści zostaną pokonani, będziemy mogli wrócić do dyskusji o konstytucji. Czy muszę przypominać, że nadzwyczajne uprawnienia przyznane Urzędowi Wielkiego Kanclerza przez senat obowiązują tylko podczas stanu wyjątkowego? Gdy skończy się wojna, wygasną automatycznie.

- A twoi gubernatorzy? Oni także „wygasną”?

- To nie są moi gubernatorzy, droga Amidalo, tylko gubernatorzy Republiki - odpowiedział spokojnie Palpatine. - Ich dalszy los spocznie w gestii senatu.

Padme nie wyglądała na specjalnie zadowoloną.

- A rozmowy pokojowe? Zaproponujesz separatystom rozejm? Próboweś chociaż raz dyplomatycznego zakończenia konfliktu?

- Musicie wierzyć, że czynię to, co jest słuszne - odparł kanclerz. - Przecież właśnie po to tu jestem.

Fang Zar ocknął się z zadumy.

- Ale na pewno...

- Powiedziałem: będę czynił to, co jest słuszne - przerwał mu Palpatine nieco ostrzejszym tonem. Zaraz potem wstał, wyprostował się i stanowczym ruchem pochylił głowę. - Tyle powinno wystarczyć waszemu... komitetowi.

Ale jego ton mówił: wynoście się stąd natychmiast, i to szybko. Usta Padme zaciśnieły się w cienką, posępną linię.

- W imieniu Delegacji Dwoch Tysięcy - odezwała się oficjalnym tonem - dziękuję ci, kanclerzu.

- A ja dziękuję tobie, senator Amidalo, oraz twoim przyjaciółom... - Palpatine uniósł w górę czytnik zawierający petycję- ...za zwrócenie mi uwagi na tę sprawę.

Senatorowie odwrócili się z niechęcią i ruszyli w stronę wyjścia. Padme zniechęciła tylko na sekundę, by popatrzeć w oczy Anakina. Było to spojrzenie równie wymowne, jak siarczasty policzek.

Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Anakin mógł sobie pozwolić na obojętność, ponieważ bez względu na to, jak bardzo się starał i jak wielki czuł ból w sercu... nie mógł przekonać samego siebie, że jest po jej stronie.

## ROZDZIAŁ

# 15

### OBJAWIENIE

Zastawiając skuteczną pułapkę na Jedi - nie zaś taką, której rezultaty zasługują jedynie na żenująco krótką notatkę w Archiwum Świątyni - warto pamiętać o kilku elementach, których wykorzystanie znakomicie poprawia efektywność akcji.

Po pierwsze - przynęta, pokusa nie do odparcia. Naczelny dowódca armii wyjętych spod prawa, osobiście odpowiedzialny za śmierć miliardów istot w całej galaktyce, jest przynętą wręcz idealną.

Po drugie - dalekie, niemal niedostępne miejsce, które łatwo opanować i ufortyfikować, a jednocześnie dostatecznie ciasne. Idealnie, gdy należy ono do osób trzecich, najlepiej do wroga, ponieważ miejsce wybrane na pułapkę na Jedi rzadko wychodzi z tej zabawy bez szwanku; całkowite zniszczenie jest prawie regułą. Wyborną lokalizacją jest jedna z ubogich, pustynnych planet Zewnętrznych Rubieży, zamieszkała przez niezbyt bojowe istoty, które swoje miasta zbudowały we wnętrzu głębokich lejów krasowych pośrodku jałowego płaskowyżu. Lej-miasto jest jak słoń-pułapka z przynętą na insekty - gdy Jedi wleci do środka, wystarczy zamknąć pokrywę.

Po trzecie, jako że zawsze dobrze jest trzymać się z daleka - najlepiej gdzieś na przeciwległym krańcu galaktyki - gdy próbuje się pozbawić życia rycerza Jedi, warto sprawić sobie solidnego pełnomocnika, który wykona mokrą robotę. Idealem solidnego pełnomocnika jest na przykład najskuteczniejszy z żyjących zabójców Jedi, wsparty drużyną wyspecjalizowanych robotów bojowych, skonstruowanych i uzbrojonych tylko po to, by jak najskuteczniej mordowały przedstawicieli zakonu. Zadbanie o to, by ów pełnomocnik był zarazem przynętą, jest wyjątkowo eleganckim posunięciem - domniemana ofiara Jedi stanie się zarazem jego zabójcą; będzie szukać kontaktu z przeciwnikiem i starać się go zniszczyć do samego końca, wiedzona poczuciem obowiązku i niezupełnie nieusprawiedliwioną arogancją.

Czwartym elementem skutecznej pułapki na Jedi jest wystawienie odpowiednio licznej formacji żołnierzy, gotowych spalić na popiół całą planetę - i siebie w razie potrzeby - byle tylko mieć pewność, iż rzeczony Jedi nie umknie.

Książkowym przykładem idealnej pułapki na Jedi jest ta, która czekała na Obi-Wana Kenobiego na Utapau.

Prowadząc myśliwiec spiralnym kursem ku platformie lądowiska, sterzącej wprost z litej ściany piaskowca w największym leju-mieście na Utapau, Obi-Wan raz jeszcze analizował wszystko, co wiedział o planecie i jej mieszkańcach.

Nie było tego wiele.

Wiedział na przykład, że mimo pozorów Utapau nie jest wcale pustynnym światem: pod powierzchnią znajdował się ocean oblewający cały glob. Zjawisko erozji doprowadziło do powstania pod skałami rozległych przestrzeni, których sklepienia - przy niemalym udziale częstych tu trzęsień ziemi - zapadały się niekiedy, tworząc leje tak wielkiej średnicy, że mógł w nich lądować choćby niszczytel gwiazdny klasy Victory. I właśnie tam kwitła cywilizacja, z dala od huraganów smagających powierzchnię. Obi-Wan wiedział też, że na Utapau próżno by szukać zaawansowanych technologii; podstawą planetarnej gospodarki energetycznej była energia wiatrowa. Słabo jeszcze rozwinięty handel z innymi światami rozpoczął się ledwie przed kilkudziesięcioma laty, gdy obce kompanie zajmujące się wydobywaniem wody pitnej odkryły, że niezmierny ocean ukryty pod powierzchnią Utapau jest bogaty w cząstki minerałów. Obi-Wan słyszał też, że mieszkańcy tego świata przypominali ludzi, choć należeli do dwóch odrębnych gatunków: wysocy, dostojni i powolni Utapaunowie zwani byli Prastarymi z racji swojej zdumiewającej długowieczności, niskich i krępych Utajów zaś nazywano Krótkimi przez wzgląd zarówno na nędzną posturę, jak i mizerną długość ich pracowitego życia.

Obi-Wan wiedział też, że Grievous ukrywa się wśród nich.

W gruncie rzeczy nie był pewien, skąd to przekonanie - miał wrażenie, że nie ma ono nic wspólnego z Mocą. Mimo to, już w kilka sekund po tym, jak „Czujność” wyszła z nadprzestrzeni, po prostu wiedział. To było to. W jakiś sposób wyczuwał, że właśnie tutaj zakończy się polowanie na generała Grievousa.

Czuł to w kościach: Utapau była odpowiednią planetą do wielkiego finału.

Był sam; komandor Cody i trzy bataliony żołnierzy czekali na pokładach kanonierów szturmowych - w wojskowej nomenklaturze nazywanych LAAT/i; akronim ten oznaczał „transportowiec szturmowy niskiego pułapu” - oraz jednostek desantowych klasy Jadthu, tuż za horyzontem. Plan Obi-Wana był prosty: zlokalizować Grievousa i zająć go czymś aż do przybycia klonów. W gruncie rzeczy miał przeprowadzić atak odwracający uwagę, był bowiem przekonany, że Grievousowi towarzyszą dziesiątki tysięcy robotów bojowych. Dwa bataliony żołnierzy-klonów miały uderzyć zniemacka; trzeci miał pozostać w odwodzie -jako wsparcie lub osłona odwrotu, w zależności od rozwoju sytuacji.

- Mogę ściągać na siebie ich uwagę przez dość długi czas - powiedział komandorowi Cody'emu, gdy zęgnali się na pokładzie startowym „Czujności”. - Mimo to nie ociągacie się zbytnio.

- Spokojnie, szefie - odpowiedział komandor, uśmiechając się twarzą Jango Fetta.  
- Czy kiedykolwiek pana zawiodłem?

- Cóż... - Obi-Wan uśmiechnął się krzywo. - Na początek: Cato Neimoidia...

- To była wina Anakina; to on się spóźnił...

- Tak? A tym razem na kogo zwalisz winę, komandorze? - Obi-Wan zaśmiał się, wskakując do kabiny myśliwca i zapinając pasy. -W porządku. Postaram się nie zniszczyć wszystkich robotów bojowych przed waszym przybyciem.

- Liczę na pana, szefie. Proszę mnie nie zawieść.

- A czy kiedykolwiek zawiodłem?

- Cóż - odparł Cody z szerokim uśmiechem. - Pomyślmy: Cato Neimoidia...

Raz po raz turbulencje miotaly myśliwcem Obi-Wana; krawędź leja wyłapywała tyle wiatrów szalejących na powierzchni, że pierwszych kilka poziomów miasta trwało w stanie niemal permanentnego huraganu. Wirniki turbin wiatrowych sterzały ze ścian leja, a głowice generatorów były tak wyszlifowane przez nieustanny i gwałtowny ruch powietrza, że same mogłyby uchodzić za głazy uformowane z ciekłego piaskowca. Zmagając się ze sterami myśliwca, Obi-Wan sprowadzał go coraz głębiej, aż wreszcie huragan zmienił się w zwykły wiatr -na tyle jednak silny, że gdy wreszcie maszyna osiadła na lądowisku, R4-G9 musiał wysunąć jej pazury lądownicze, by nie została zdmuchnięta w przepaść.

Zebrowana, półprzezroczysta kopuła nakryła platformę. Gdy tylko znalazła się na miejscu, wycie wichru umilkło; Obi-Wan w ciszy otworzył owiewkę myśliwca.

Grupka Utajów biegła już w stronę maszyny stojącej samotnie pośrodku lądowiska - Obi-Wan uznał, że to personel techniczny. Tuż z nimi pojawił się, sunąc dostojnie, rosły Utapaun w długiej szacie koloru głębokiego szkarłatu, zakończonej kołnierzem tak wysokim, że zakrywał szczątkowe małżowiny uszne. Gładki czerep obcego błyszczał wilgocią. Laska, którą Utapaun podpierał się w marszu, dość odległe przypominała Obi-Wanowi tę, której używał Yoda.

Szybko się zjawili, pomyślał Kenobi. Jakby na mnie czekali.

- Witaj, młody Jedi - rzekł z powagą Utapaun. Mówił w basicu, z silnym obcym akcentem. - Jestem Tion Medon, główny zarządca portu w tej oazie pokoju. Jakie sprawy sprowadzają Jedi w tak dalekie strony?

Obi-Wan nie wyczuwał w nim złej woli; silna, niemal namacalna była jedynie aura strachu otaczająca Utapauna.

- Moją sprawą jest wojna - odparł krótko.

- Tutaj nie ma wojny, chyba że przywiozłeś ją ze sobą - rzekł Medon, skrywając pod maską spokoju uczucia, które Kenobi postrzegał w Mocy jako strach graniczący z paniką.

- To doskonale - powiedział Obi-Wan, podejmując grę. - Proszę więc, pozwól mi uzupełnić paliwo w statku i wykorzystaj to miasto jako bazę do poszukiwań w okolicznych systemach.

- A czego właściwie szukasz?

- Nawet tu, na Odległych Rubieżach, z pewnością słyszeliście o generale Grievousie. To jego szukam, a także jego armii robotów.

Tion Medon przysunął się o krok i pochylił, zbliżając twarz do ucha Obi-Wana.

- On tu jest! - odezwał się natarczywym szeptem. - Zrobił z nas zakładników... Jesteśmy obserwowani!

Obi-Wan spokojnie skinął głową.

- Dziękuję, zarządco Medonie - odrzekł zupełnie normalnym tonem. - Jestem wdzięczny za twoją gościnność i odleć stąd, gdy tylko twoi technicy zatankują mój myśliwiec.

- Posłuchaj mnie, młody Jedi! - Szept Medona był teraz jeszcze bardziej natarczywy. - Naprawdę musisz stąd odlecieć! Oni kazali mi ujawnić, że tu są. To pułapka!

- Oczywiście-zgodził się Obi-Wan.

- Poziom dziesiąty... Tysiące robotów bojowych... Dziesiątki tysięcy!

- Każ swoim ludziom poszukać schronienia.

Mistrz Jedi obrócił się całkiem swobodnie i jak gdyby nigdy nic zadarł głowę, licząc poziomy miasta. Na dziesiątym dostrzegł kolczastą bryłę metalu. Była to struktura wielkości pancernika, z całą pewnością niedawno umieszczona w tym miejscu. Jej lśniąca powierzchnia nie zmatowiała jeszcze od kontaktu z drobinami piasku, które niósł nieustający wiatr. Obi-Wan skinął głową i odezwał się cicho, jakby do siebie:

- Geenine, zabierz myśliwiec z powrotem na pokład „Czuyności”. Niech komandor Cody poinformuje dowództwo Jedi na Coruscant, że nawiązałem kontakt z generałem Grievousem i przystępuję do akcji. Cody ma zaatakować wszystkimi siłami, zgodnie z planem.

Robot astromechaniczny tkwiący w gnieździe myśliwca zapiszczał twierdząco, a Obi-Wan zwrócił się do Tiona Medona.

- Powiedz im, że obiecałem raport Wywiadowi Republiki. Powiedz też, że naprawdę chciałem tylko paliwa, żeby móc stąd odlecieć.

- Ale... co zamierzasz zrobić?

- Jeżeli macie tu wojowników - odparł ponuro Obi-Wan - to teraz nadszedł ich czas.

W centrum łączności dowództwa Jedi, w samym sercu Świątyni na Coruscant, Anakin patrzył na naturalnej wielkości hologram kłona, komandora Cody'ego, który meldował właśnie, że Obi-Wan nawiązał kontakt z generałem Grievousem.

- Zgodnie z rozkazem rozpoczynamy atak wspierający. A jeśli wolno mi dodać coś od siebie, to... bazując na doświadczeniach ze współpracy z generałem Kenobim, podejrzewam, że Grievousowi nie pozostało wiele życia.

Gdybym był przy nim, pomyślał Anakin, byłoby to coś więcej niż podejrzenie. Bądź ostrożny, Obi-Wanie...

- Dziękuję, komandorze. - Na twarzy Mace'a Windu nie było ani śladu lęku i niecierpliwego oczekiwania, które, jak sądził Anakin, musiały teraz mieszać się ze sobą w sercu mistrza. Skywalker był gotów eksplodować emocjami; Windu był zimny jak gład.

- Informuj nas o postępach. Niech Moc będzie z tobą i z mistrzem Kenotjim.

- Na pewno będzie, panie. Cody bez odbioru.

Hologram zniknął bez śladu. Mace Windu wymienił przelotne, ale najwyraźniej znaczące spojrzenia z dwoma innymi mistrzami, obecnymi również w holograficznej

postaci: Ki-Adi-Mundim, przebywającym w umocnionym centrum dowodzenia na Mygeeto, oraz z Yodą, ukrytym w partyzanckiej kryjówce na Kashyyyku.

Wreszcie zwrócił się ku Anakinowi.

- Przekaż meldunek kanclerzowi.

- Oczywiście, mistrzu.

- I uważnie obserwuj jego reakcję. Oczekujemy szczegółowego raportu.

- Mistrzu...?

- Słuchaj, co mówi. Z kim się kontaktuje. Obserwuj, co robi. Interesuje nas wszystko. Nawet wyraz jego twarzy. To bardzo ważne.

- Nie rozumiem...

- Nie musisz. Po prostu wykonaj polecenie.

- Mistrzu...

- Anakinie, czy muszę ci przypominać, że wciąż jesteś Jedi? Wciąż podlegasz rozkazom Rady.

- Tak, mistrzu Windu. Jestem i podlegam - odpowiedział, zanim wyszedł.

Gdy Skywalker się oddalił, Mace Windu usiadł w fotelu i spojrzał na drzwi, za którymi zniknął młody Jedi.

- Teraz się przekonamy - mruknął. - Nareszcie. Wody staną się przejrzyste.

Choć towarzyszyły mu w centrum holołączności widmowe postacie dwóch innych mistrzów, Mace Windu nie zwracał się do nich. Przemawiał do posępnej, chmurnej przyszłości, której wizja pojawiła się w jego umyśle.

- Czy wzięliście pod uwagę fakt - odezwał się skupiony Ki-Adi-Mundi - że jeśli Palpatine odmówi zrzeczenia się władzy, usunięcie go będzie zaledwie pierwszym krokiem?

Mace spojrzał na błękitną postać cereańskiego mistrza.

- Nie jestem politykiem. Wystarczy mi usunięcie tyra.

- Dla Republiki to za mało - odparł smutno Ki-Adi-Mundi. - Dyktatura Palpatine'a jest oparta na postanowieniach legalnej władzy, wkrótce może stać się jedynie obowiązującym prawem, a w nowej, zmienionej konstytucji wręcz świętością. A o wszystkim zadecyduje kontrolowana przez kanclerza, bezwzględna większość parlamentarna.

Obraz przyszłości, który roztaczał się przed oczami Mace'a, jeszcze jakby pociemniał. Cereanin miał rację.

- Zepsucie w senacie panuje - odezwał się Yoda. - Kontroli mu potrzeba, póki skorpupowanych senatorów nowi, uczciwi nie zastąpią i...

- Słyszycie, o czym my mówimy? - przerwał mu Mace, chowając twarz w dłoniach. - Jak mogło do tego dojść? Aresztowanie kanclerza! Przejęcie kontroli nad senatem! Jest tak, jakby Dooku miał rację: trzeba będzie zniszczyć Republikę, żeby ją uratować...

Yoda uniósł głowę i zmrużył oczy, jakby walczył z wewnętrznym bólem.

- Trzymać się nadziei musimy; prawdziwym naszym wrogiem ani Palpatine nie jest, ani senat, lecz Sidious, Lord Sithów, który kontrolę nad nimi sprawuje. Gdy on zniszczony zostanie... wszystkie inne problemy mniej istotne wydawać się będą.

- Tak. - Mace Windu wstał, założył ręce na plecach i podszedł do okna. - Tak, to prawda.

Między wieżami miasta gęśniał mrok w kolorze indygo.

- Wystawiliśmy Wybrańca w rozgrywce przeciwko ostatniemu z Sithów - powiedział Mace. - W tym powinniśmy pokładać wiarę i nadzieję na lepszą przyszłość Republiki.

Kopuła nad lądowiskiem rozchyliła się i niebiesko-biały myśliwiec Jedi wystrzelił ku niebu i szalejącym w górze wiatrom. Stojąc w głębokim cieniu na tyłach platformy startowej, Obi-Wan obserwował odlot swojej maszyny.

- Zdaje się, że nie ma odwrotu - mruknął.

Odpiął od pasa elektrolornetkę i raz jeszcze przyjrzał się podejrzanie błyszczącej sferoidzie zawieszanej wysoko w górze, na dziesiątym poziomie miasta. Kolce, które z niej sterczały, musiały być antenami służącymi do sterowania zastępami robotów. Zapewne tam też znajdował się Grievous - w ośrodku nerwowym swojej armii.

- Więc i ja powinienem tam dotrzeć - powiedział do siebie Obi-Wan i rozejrzał się, marszcząc brwi. - Że też nigdy nie trafi się taksówka powietrzna, kiedy człowiek jest w potrzebie...

Kopuła lądowiska zamknęła się i wycie wichru ucichło. Teraz dopiero Obi-Wan usłyszał dobiegające z głębi miasta chórne porykiwanie. Dźwięk wydał mu się znajomy; być może były to głosy dużych zwierząt...

Suubatarów. Właśnie, przypominało to trochę ryki suubatarów, których dosiadali z Anakinem podczas jednej z ostatnich misji przed wojną - w czasach, gdy największym zmartwieniem Obi-Wana było to, jak zdoła dotrzymać słowa danego Qui-Gonowi.

Teraz jednak nie miał czasu na nostalgiczne wspomnienia. Prawie słyszał głos Qui-Gona: skoncentruj się na „tu i teraz”, oddaj się żywej Mocy.

Tak też uczynił.

Wystarczyło kilka chwil wędrówki ciemnymi, opuszczonymi korytarzami wykutymi w piaskowcu, by Obi-Wan dotarł do źródła zwierzęcych głosów: olbrzymiej sali przypominającej arenę. Otaczał ją długi balkon, połączony z płaskim podłożem licznymi karbowanymi rampami. Źródłem światła były zawieszzone pod sklepieniem pręty jarzeniowe, dające blask o żółtawej barwie, dokładnie taki sam jak ten, który wpadał do sali z głównej komory leja przez łukowato zwieńczone, szerokie szczeliny w skalnej ścianie. Wiatr, który ze świstem penetrował salę przez owe szczeliny, był błogosławieństwem - dzięki niemu przyprawiający o łzawienie oczu, gadzi smród panujący we wnętrzu powodował zaledwie mdłości, nie zwał z nóg.

W dole, na płaskim podłożu sali, siedziało, leżało lub szwendało się bez celu mniej więcej tuzin zwierząt przypominających jaszczurki. Stworzenia te śmiało mogły uchodzić za dzieło szalonego genetyka, który postanowił skrzyżować smoka krayt z Tatooine z ankkoxenem z Haruun Kai. Wysokie na cztery metry w kłębie, miały długie i krzywe łapy zakończone stopami o pięciu pazurach, doskonale do wspinaczki po stromych skałach, dziesięciometrowy, kolczasty, potężnie umięśniony ogon zakończony

rogatą maczugą oraz giętką szyję i opancerzony łeb, również ozdobiony pokazną kolekcją twardych kolców. Bestie wyglądały na tyle groźnie, że Obi-Wan wzięłyby je zapewne za niebezpieczne, dzikie drapieżniki lub zwierzęta obronne, gdyby nie spokój, z jakim tolerowały obecność ekipy poskramiaczy. Utajowie uwijali się między nimi, polewali je wodą, zeszkrobywali brud z łusek i częstowali je z ręki wiechciami zieleniny.

W pobliżu miejsca, w którym zatrzymał się Jedi, na mocnych stelażach wisiały siodła z wysokimi oparciami, o rozmaitych kształtach i zdobieniach - również podobne do tych, które Alwari z planety Ansion mocowali na grzbietach swych suubatarów.

Teraz Obi-Wan naprawdę zateśknął za Anakinem...

Anakin nie cierpiał wierzchowców mniej więcej tak samo mocno, jak Obi-Wan latania myśliwcem. Kenobi podejrzewał od dawna, że to talent Skywalkera do obchodzenia się z maszynami sprawił, że młody Jedi miał kłopoty z suubatarami, dewbackami czy banthami - nigdy nie czuł się pewnie, siedząc na grzbiecie czegoś, co miało własny mózg. Obi-Wan wciąż świetnie pamiętał jego skargi, powtarzane za każdym razem, gdy musiał wspiąć się na siodło.

Wydawało się, że minęło strasznie dużo czasu, odkąd mistrz miał okazję pośmiać się trochę ze swojego padawana.

Obi-Wan z westchnieniem powrócił do rzeczywistości. Wychynął z cienia, skierował się ku najbliższej rampie, zszedł na dół i wykonał dyskretny, niemal niezauważalny gest w kierunku jednego z Utajów, poskramiaczy smoczych jaszczurów.

- Potrzebuję wierzchowca.

Spojrzenie wylupiających oczu Krótkiego stało się na moment odległe i nieco szkliste. Po chwili padła odpowiedź: seria przeciągłych, krtaniowych pohukiwań utrzymanych w zdecydowanie pozytywnym tonie.

Obi-Wan poruszył dłonią po raz drugi.

- Przyniesiesz mi siodło.

Krótki ponownie zagulgotał twierdząco i oddalił się.

Czekając na siodło, Obi-Wan przyglądał się bestiom. Minął największą i najlepiej umięśnioną; odpuścił sobie najszcuplejszą, zapewne wyścigową, i nawet nie zbliżył się do tej, która miała w oku dziki błysk. W gruncie rzeczy jednak nie zwracał uwagi na zewnętrzne oznaki siły, zdrowia czy charakteru. Używał dłoni, oczu i uszu wyłącznie jako kanałów skupiających Moc. Nie wiedział dokładnie, czego szuka, ale wierzył, że rozpozna to, gdy już znajdzie.

Qui-Gon, pomyślał, uśmiechając się w duchu, byłby zadowolony.

Wreszcie stanął przy stworzeniu o jasnym, spokojnym wejrzeniu okrągłych złotych ślepi i drobnych, gęsto ułożonych łuskach, które w dotyku były ciepłe i suche. Nie cofnęło się przed jego dłonią ale też nie nadstawiło potulnie łba; odpowiedziało mu spojrzeniem spokojnym i inteligentnym. W Mocy Obi-Wan wyczuł, czego może się spodziewać: bezwzględności oddania, posłuszeństwa i troski o jeźdźcę, a także poświęcenia służbie, jakiego nie powstydziliby się rycerz Jedi.

Właśnie dlatego zawsze wołał żywe środki transportu. W razie katastrofy śmigacz nie troszczy się o swojego pilota.

- Ten - powiedział Obi-Wan. - Wezmę tego.



Utaj powrócił właśnie z prostym, solidnym i funkcjonalnym siodłem. Przypinając je z pomocą towarzyszy do grzbietu jaszczura, skinał głową w jego stronę i powiedział:

- Boga.

- Aha - odrzekł Obi-Wan. - Dziękuję.

Wziął garść roślin z najbliższej skrzyni i podał je wierzchowcowi. Wielka zielona bestia pochyliła łeb i rozchyliwszy haczykowaty dziób, przyjęła poczęstunek z jego ręki. Przeżuwała liście łapczywie i dokładnie.

- Grzeczna dziewczynka z ciebie, Boga. Hm... - Obi-Wan spojrział na Krótkiego spod zmarszczonych brwi. - To dziewczynka, prawda?

Poskramiacz również zmarszczył brwi.

- Warool noggagglo? - odpowiedział, wzruszając ramionami. Obi-Wan uznał, że oznacza to mniej więcej tyle, co: „Nie mam pojęcia, co do mnie mówisz”.

- Świetnie - odparł Jedi. - Tak czy inaczej, będziesz dziewczynką Boga. Chyba że sama mi powiesz, kim jesteś.

Boga nie miała nic przeciwko byciu dziewczynką.

Obi-Wan wskoczył na siodło, a smoczyca wstała, wyginając grzbiet w kocim odruchu, który posłał siodło wraz z jeźdźcem na wysokość dobrych czterech metrów. Kenobi spojrział w dół, na utajskich poskramiaczy.

- Nie mam czym wam zapłacić. Jako rekompensatę mogę jedynie zaproponować wolność waszej planety. Mam nadzieję, że to wystarczy.

Nie czekając na odpowiedź, której i tak by nie zrozumiał, Obi-Wan dotknął szyi wierzchowca. Boga poderwała się na tylne łapy, a przednimi, zbrojnymi w długie pazury, bojowo przecięła powietrze, zupełnie jakby chciała zamienić w kupę złomu wyimaginowaną machinę wojenną. Potem zebrała się w sobie i skoczyła na otaczający salę balkon. Obi-Wan nie musiał sięgnąć po haczykowato zakończony kijek pasterski, przypięty do boku siodła. Nie musiał nic robić - wystarczyło, że trzymał w ręku wodze, bo Boga najwyraźniej doskonale rozumiała, dokąd chciał dotrzeć.

Smoczyca prześliznęła się wężowym ruchem przez jedną z szerokich, owalnych szczelin, by znaleźć się w otwartej przestrzeni leja, po czym zawróciła, wbiła hakowate pazury w piaskowiec i poniosła Obi-Wana w górę, po niemal pionowej ścianie.

Mijali poziom za poziomem. Miasto sprawiało wrażenie opustoszałego; jedynym zauważalnym ruchem był wartki przepływ chmur nad dalekim wylotem leja. Nawet turbiny wiatrowe zostały wyłączone.

Pierwszy ślad życia napotkali dopiero na dziesiątym poziomie - stadko jaszczurów wygrzewało się w słońcu opodal durastalowej pąkli centrum sterowania robotami. Obi-Wan podjechał na Bodze aż pod otwarty, półokrągły właz, po czym zeskoczył z siodła.

Tunel za włazem prowadził do przestronnej, wysoko sklepionej sali. Jej durastalowa podłoga była niemal pusta, jedynie w głębokim cieniu pośrodku pomieszczenia widać było pięć postaci. Wszystkie miały oblicza w kolorze wyblakłej kości.

Wyglądały tak, jakby czekały na niego.

Obi-Wan skinał głową.

- Lepiej poszukaj drogi do domu, mała - powiedział, klepiąc Bogę po łuskowatym karku. - Obojętne, jak to się skończy, wątpię, żebym potrzebował jeszcze twojej pomocy.

Boga zatrafiła cicho, niemal z żalem, po czym wykręciła giętką szyję tak, by dotknąć dziobem piersi Obi-Wana.

- Już dobrze, Boga. Dziękuję ci za pomoc, ale tutaj będzie zbyt niebezpiecznie. To miejsce zamieni się wkrótce w strefę działań wojennych, więc... proszę, wracaj do domu.

Jaszczur zaryczał raz jeszcze i wycofał się, Obi-Wan zaś opuścił płamę słońca i zstąpił w cień.

Natychmiast poczuł falę chłodu bijącą z wnętrza. Szedł niespiesznie, a Moc odsłaniała przed nim otoczenie warstwa po warstwie: zimne płyty metalu pod butami, dalej grube skały i wreszcie mroczna toń oceanu, który opływał całą planetę. On sam stał się gwałtownym porywem wiatru, który ze świstem mknął po wysokiej sali; stał się promieniem słońca na zewnątrz i cieniem we wnętrzu. Jego ludzkie serce, zamknięte w klatce z kości, biło echem pracy innego, obcego serca, zamkniętego w duraplastowej skrzyni. Jego umysł szumiał elektronicznymi sygnałami, które uchodziły za myśli w mózgach androidów-zabójców Jedi.

A gdy Moc odkryła przed jego świadomością strukturę całej wielkiej sali, zdał sobie sprawę - bez wielkiego zaskoczenia czy strachu - że ogromne, łukowate sklepienie, jest w istocie magazynem. Ulem kryjącym rój.

Rój robotów bojowych.

Gdy to pojął, pomyślał zaraz, również bez zaskoczenia czy strachu, że najprawdopodobniej właśnie tu jego życie dobiegnie końca.

Kontemplacja bliskiej śmierci przyniosła mu tylko lekkie ukłucie żalu oraz całkiem sporą dawkę zdziwienia. Aż do tej chwili nieświadomie i bez wyraźnej przyczyny zakładał, że...

Że kiedy zginie, Anakin będzie przy nim.

Interesujące, pomyślał, a potem skupił się na swoim zadaniu.

Anakin miał przecucie, że mistrz Windu będzie zawiedziony.

Palpatine prawie nie zareagował.

Wielki Kanclerz Republiki siedział przy małym pulpicie w prywatnym gabinecie, wpatrując się nieobecny wzrokiem w abstrakcyjną, skręconą bryłę neuranium, którą Anakin zawsze uważał za coś w rodzaju rzeźby. Słyszając nowinę, westchnął tylko, jakby jego umysł zaprzętały sprawy znacznie większej wagi.

- Przepraszam, panie - rzekł Anakin, przestępując z nogi na nogę przed biurkiem Palpatine'a. - Być może nie dosłyszałeś: Obi-Wan nawiązał kontakt z generałem Grievousem. Atak zapewne już się rozpoczął... oni tam walczą, panie!

- Tak, tak, Anakinie... Oczywiście. - Palpatine wciąż wyglądał tak, jakby nie zwracał uwagi na meldunek młodego Jedi. - W pełni rozumiem twoją troskę o przyjaciela. Miejmy nadzieję, że podoła zadaniu.

- Nie chodzi tylko o Obi-Wana; pokonanie generała Grievousa będzie ostatecznym zwycięstwem Republiki!

- Czyżby? - Kanclerz zwrócił się ku Anakinowi. Wyraz zamyślenia na jego twarzy ustąpił miejsca zmarszczkom głębokiego zatroskania. - Obawiam się, mój chłopcze, że nasza sytuacja jest znacznie gorsza, niż się spodziewałem. Może usiądziesz?

Anakin nie poruszył się.

- Co masz na myśli?

- Grievous nie jest już naszym prawdziwym wrogiem. Nawet Wojny Klonów wydają się teraz jedynie... małą dywersją.

- Co takiego?

- Rada wkrótce wykona ruch - rzekł Palpatine z ponurą pewnością. - Jeżeli nie powstrzymamy twoich mistrzów, jutro o tej porze Jedi przejmą władzę w Republice.

Anakin mógł jedynie roześmiać się ze zdziwienia.

- Ależ, panie... Proszę cię... Przecież nie wierzysz, że coś takiego...

- Anakinie, ja wiem. To mnie aresztują pierwszego i ja pierwszy zostanę stracony, ale z całą pewnością nie będę ostatni.

Anakin z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Kanclerzu, wiem dobrze, że nie ma zgody między tobą a Radą, ale...

- To coś znacznie poważniejszego niż osobisty spór między mną a członkami Rady. To jest spisek, którego historia sięga wielu pokoleń. Spisek, którego celem jest przejście władzy w Republice. Pomyśl, Anakinie... przecież wiesz, że oni ci nie ufają. Nigdy nie ufali. Wiesz, że ukrywają przed tobą to i owo. Wiesz, że snuli plany za twoimi plecami. Wiesz, że nawet twój wielki przyjaciel Obi-Wan nie powiedział ci, jakie są ich prawdziwe intencje... A wszystko dlatego że nie jesteś taki jak oni, Anakinie. Jesteś człowiekiem, a nie tylko Jedi.

Anakin pochylił głowę i przygarbił się, jakby nagle znalazł się pod nieprzyjacielskim ostrzałem.

- Ja... Oni nie mogliby...

- Zadaj sobie pytanie: dlaczego wysłali cię do mnie z tą wiadomością? Dlaczego?

Dlaczego nie użyli normalnych kanałów łączności?

*I uważnie obserwuj jego reakcję. Oczekujemy szczegółowego raportu.*

- Panie, ja...

- Nie musisz na gwałt szukać wymówki - przerwał mu łagodnie kanclerz. - I tak właściwie przyznałeś już, że kazali ci mnie szpiegować. Nie rozumiesz, że wszystko, co im dzisiaj powiesz... cokolwiek to będzie... zostanie wykorzystane jako pretekst do wykonania na mnie egzekucji?

- To niemożliwe... - Anakin rozpaczliwie szukał argumentów. - Senat... Senat nigdy na to nie pozwoli...

- Senat nie będzie w stanie ich powstrzymać. Mówiłem ci już, że to coś więcej niż osobista niechęć między mną a Radą. Jestem sam, Anakinie. Uprawnienia powierzył mi senat i tylko on sprawuje władzę w Republice. Dlatego zabicie mnie nie wystarczy; chcąc przejąć kontrolę nad Republiką, Jedi będą musieli zapanować nad senatem.

- Ależ Jedi służą senatowi!

- Doprawdy? - spytał cicho Palpatine. - A może tylko niektórym senatorom?

- To wszystko... Wybacz proszę, kanclerzu, ale musisz zrozumieć, że brzmi to jak...

- Spójrz... - Kanclerz przez chwilę szukał czegoś w biurku. Wreszcie uniósł w dłoń czytnik dokumentów. - Wiesz, co to jest?

Anakin rozpoznał pieczęć, którą Padme opatrzyła czytnik.

- Tak, panie. To Petycja Dwoch Tysięcy...

- Nie, Anakinie! Nie! - Palpatine cisnął czytnik dokumentów na blat z taką mocą, że Skywalker aż podskoczył. - To lista zdrajców!

Anakin znieruchomiał.

- Co?

- W tej chwili istnieją tylko dwa rodzaje senatorów. Ci, których nazwiska znalazły się na tej tak zwanej petycji - wyjaśnił Palpatine - oraz ci, których wkrótce aresztują Jedi.

Anakin spojrzał na niego bez słowa.

Nie mógł się z nim spierać. Nie umiał nawet mu nie wierzyć.

Myślał tylko o jednym.

Padme...?

Jakie kłopoty ją czekały?

- Czy nie ostrzegałem cię, Anakinie? Nie mówiłem, jakie są plany Obi-Wana? Jak sądzisz, dlaczego spotykał się z przywódcami tej... delegacji... za twoimi plecami?

- Ależ, panie... oni prosili tylko o zakończenie wojny. Jedi pragną tego samego. Chyba wszystkim nam na tym zależy? Prawda?

- Być może. Ale to, w jaki sposób zakończymy tę wojnę, może być sprawą najważniejszą. Być może nawet ważniejszą niż to, kto w niej zwycięży.

Och, Padme, jęknął w duchu Anakin. Padme, w coś ty się wpakowała?

- Ich szczerłość jest godna podziwu - ciągnął Palpatine. - A raczej byłaby, gdyby nie to, że kryje się za tym wszystkim coś więcej.

Anakin zmarszczył brwi.

- Co masz na myśli?

- Ta ich... petycja... jest w istocie czymś innym: niezbyt starannie ukrytą groźbą. - Palpatine westchnął z żalem. - To tylko pokaz siły, Anakinie. Demonstracja politycznej potęgi, którą Jedi będą w stanie zgromadzić dla poparcia swojej rebelii.

Anakin zamrugał ze zdumienia.

- Ale... z pewnością... - wyjąkał, okrążając biurko Palpatine'a. - Z pewnością przynajmniej senator Amidali można zaufać...

- Rozumiem, jak bardzo chcesz w to wierzyć - odparł kanclerz. - Ale i senator Amidala coś ukrywa. Na pewno to wyczuwasz.

- Jeżeli tak... - Anakin zachwiał się nieznacznie; podłoga przechyliła się pod jego stopami jak pokład „Niewidzialnej Ręki”. - Nawet jeżeli tak jest - powiedział bezbarwnym, zanadto opanowanym głosem - nie oznacza to jeszcze, że ukrywa zdradę.

Palpatine zmarszczył brwi.

- Dziwi mnie, że twoje zmysły Jedi nie są bardziej wrażliwe na takie sprawy.

- Ja po prostu nie wyczuwam zdrady w senator Amidali - odrzekł z naciskiem Anakin.

Palpatine rozparł się w fotelu, złożył dłonie i spojrzał sceptycznie na młodego Jedi.

- Ależ wyczuwasz - odezwał się po chwili. - Tylko nie chcesz się do tego przyznać. Być może jest tak dlatego, że żadne z was nie rozumie jeszcze, iż zdradzając mnie, zdradza także ciebie.

- Nie mogłaby... - Anakin przycisnął rękę do czoła; miał coraz silniejsze zawroty głowy. Kiedy jadł coś po raz ostatni? Nie pamiętał. Zapewne jeszcze dawniej niż spał. - W życiu nie mogłaby...

- A właśnie, że mogłaby - przerwał mu Palpatine. - Taka jest natura polityki, mój chłopcze. Nie bierz tego zbyt osobiście. To, co się dzieje, nie oznacza, że nie możecie być razem szczęśliwi.

- Co takiego? - Gabinet kanclerza zdawał się zapadać w coraz gęstszy mrok. - Co chcesz przez to powiedzieć, panie?

- Proszę cię, Anakinie. Czy nie moglibyśmy darować sobie tych dziecinnych gier? Ja wiem, rozumiesz? Od początku wiedziałem. Udawałem, że jest inaczej, żeby oszczędzić ci dyskomfortu.

Skywalker musiał oprzeć się o biurko.

- Co... co dokładnie wiesz?

- Anakinie, Padme była moją królową, a ja jej ambasadorem przy senacie. Naboo jest moim domem. Ze wszystkich ludzi, którzy mnie znają, akurat ty powinieneś wiedzieć, jak bardzo cenię sobie lojalność i przyjaźń. Sądziś, że nie mam przyjaciół wśród cywilnych duchownych w Theed? Wasza sekretna ceremonia nigdy nie była sekretem. W każdym razie nie dla mnie. I zawsze życzyłem wam szczęścia.

- Więc ty... - Słowa wirowały w umyśle Anakina, ale żadne z nich nie miało wielkiego sensu. - Ale jeśli ona nas zdradzi...

- To, mój chłopcze - wpadł mu w słowo Palpatine - zależy wyłącznie od ciebie.

Mgła, która wypełniała głowę Anakina, zaczęła przyjmować bardziej konkretną postać: długiego, ciemnego tunelu. Światelkiem na jego końcu była twarz Palpatine'a.

- Ja... Janie rozumiem...

- Tak, to dość oczywiste. - Głos kanclerza zdawał się dobiegać z bardzo, bardzo daleka. - Proszę, usiądź, mój chłopcze. Nie wyglądasz zdrowo. Może napijesz się czegoś?

- Ja... Nie, nic mi nie jest. - Anakin z wdzięcznością opadł na niebezpiecznie wygodny fotel. - Jestem tylko trochę zmęczony, to wszystko.

- Nie sypiasz za dobrze?

- Nie. - Anakin zdobył się na znużony chichot. - Nie sypiam za dobrze już od kilku lat.

- Rozumiem, mój chłopcze. Świetnie cię rozumiem. - Palpatine wstał i obszedł biurko, po czym przysiadł na jego skraju. - Musimy przestać udawać, Anakinie. Zbliżyła się ostateczny kryzys, a naszą jedyną nadzieją na jego przetrwanie jest to, że będziemy wobec siebie nawzajem kompletnie, absolutnie, bezlitośnie szczerzy. A także wobec

samych siebie. Musisz pojąć, że stawką w tej grze jest ni mniej, ni więcej, tylko los całej galaktyki.

- Nie wiem...

- Nie bój się, Anakinie. Słowa, które tu padają, nie powinny wyjść poza mury tego gabinetu. Pomyśl tylko, jak ciężko ci było nosić w sobie wszystkie te tajemnice... A czy kiedykolwiek musiałeś utrzymywać coś w sekrecie przede mną?

Palpatine zaczął wyliczać na palcach.

- Przez lata trzymałem w tajemnicy twoje małżeństwo. Nie wspominałem o rzezi w obozie Tuskenów, o której mi powiedziałaś. Byłem świadkiem egzekucji, którą wykonałeś na hrabim Dooku. Wiem, skąd wzięłeś siłę, żeby go pokonać. Widzisz? Przede mną nie musisz niczego udawać, tak jak udajesz przed swoimi towarzyszami Jedi. Rozumiesz już, że nie ma potrzeby, żebyś ukrywał cokolwiek przede mną? Że akceptuję cię takim, jakim jesteś?

Kanclerz rozłożył ręce, jakby chciał uścisnąć Skywalkera.

- Podziel się ze mną prawdą. Absolutną prawdą. Uwolnij sam siebie, Anakinie.

- Ja... - Młodzieniec potrząsnął głową. Ile razy śnił o tym, że nie musi udawać idealnego Jedi? Ale kim innym mógłby być? - Nie wiedziałbym nawet, od czego zacząć.

- To całkiem proste: powiedz mi, czego chcesz. Anakin spojrzał na niego z ukosa.

- Nie rozumiem.

- Jasne, że nie. - Zachodzące słońce rozświetliło białe jak lód włosy kanclerza, twarz pozostawiając w cieniu. - Wyszkolono cię tak, żebyś nigdy o tym nie myślał. Jedi nie pytają, czego chcesz. Mówią ci, czego powinieneś pragnąć. Nigdy nie dają wyboru. To dlatego wybierają swoich uczniów... swoje ofiary... w tak młodym wieku, gdy słowo „wybór” praktycznie nie ma znaczenia. Gdy padawan jest na tyle dojrzały, by wybierać, jest już tak głęboko zindoktrynowany; tak potężne było pranie mózgu, któremu go poddano, że nie jest w stanie nawet zastanawiać się nad pytaniem, czego chce. Ale ty jesteś inny, Anakinie. Ty miałeś kiedyś prawdziwe życie, poza Świątynią Jedi. Możesz przebić mgłę kłamstw Jedi, którą wpompowano w twój umysł. Pytam więc po wtórnie: czego chcesz?

- Nadal nie rozumiem.

- Oferuję ci... cokolwiek - odrzekł Palpatine. - Poproś, a dostaniesz. Szklanekę wody? Proszę bardzo. Worek klejnotów Corusca? Są twoje. Spójrz za okno, Anakinie. Wybierz coś, a będzie twoje.

- Czy to jakiś żart?

- Czas żartów już minął, Anakinie. Nigdy w życiu nie mówiłem bardziej poważnie. - W cieniu, który spowijał twarz Palpatine'a, Skywalker dostrzegł tylko błysk oczu. - Wybierz coś. Cokolwiek.

- Zgoda... - Marszcząc brwi, wzruszając ramionami i wciąż nie pojmując o co chodzi, Anakin skierował wzrok za okno, szukając najbardziej absurdalnie drogiej rzeczy, jaką tylko mógł wypatrzeć. -Może jeden z tych nowych, robionych na zamówienie śmigaczy SoroSuub...

- Zrobione.

- Mówisz poważnie? Wiesz, ile taki kosztuje? Za tyle pieniędzy można wyposażyć krążownik...

- Wolałbyś krążownik?

Anakin znieruchomiał. Zimna pustka otworzyła się w jego piersi. Cicho i ostrożnie spytał:

- Więc może Apartamenty Senackie?

- Chciałbyś jeden dla siebie?

Anakin pokręcił głową, spoglądając w bliźniacze światelka w twarzy Palpatine'a.

- Cały budynek.

- Załatwione - odparł kanclerz bez mrugnienia okiem.

- Przecież to prywatna własność...

- Już nie.

- Nie możesz tak po prostu...

- Owszem, mogę. Jest twój. Coś jeszcze? Mów.

Anakin spojrział nieprzytomnie w mrok gęstniejący za oknem. Gwiazdy pojawiały się na niebie jedna po drugiej. Konstelacje, które znał, wisiały wysoko nad wieżami Świątyni Jedi.

- W porządku - odezwał się miękko. - Korelia. Wezmę Korelię.

- Planetę czy cały system? Nie odpowiedział.

- Anakinie?

- Właściwie to... - zaczął i pokręcił głową. - Naprawdę nie wiem, czy żartujesz, czy jesteś kompletnie szalony.

- Ani jedno, ani drugie, Anakinie. Próbuję tylko uświadomić ci fundamentalną prawdę o tym, co nas łączy. I fundamentalną prawdę o tobie.

- A gdybym naprawdę zapragnął dostać Korelię z całym systemem? Wszystkich Pięciu Braci?

- Wtedy cały system byłby twój. Możesz zresztą dostać cały sektor, jeśli naprawdę chcesz. - Bliźniacze rozbłyśki pośrodku cienia zapłonęły jeszcze intensywniej. - Teraz już rozumiesz? Dam ci wszystko, czego zapragniesz.

Na samą myśl o tym Anakin dostawał zawrotów głowy.

- A gdybym chciał... gdybym przyłączył się do głosu Padme i jej przyjaciół? Gdybym chciał, żeby wojna się skończyła?

- Jutro nie będzie za późno?

- Jak... - Anakin nie mógł złapać tchu. - Jak chcesz to zrobić?

- W tej chwili rozmawiamy tylko o tym „co”. „Jak” to zupełnie inna sprawa, którą zajmujemy się niedługo.

Anakin zapadł się jeszcze głębiej w fotel, próbując ogarnąć to, co usłyszał. Gdyby tylko przestało mu się kręcić w głowie... Dlaczego Palpatine zaczął tę rozmowę akurat teraz?

Znacznie łatwiej byłoby to pojąć, gdyby choć na chwilę udało się wyrzucić z głowy koszmary o śmierci Padme.

- A co w zamian? - odezwał się w końcu. - Co mam zrobić?

- Masz robić to, co chcesz.

- To, co chcę?

- Tak, Anakinie. Właśnie tak. Tylko to, nic więcej. Masz zrobić tę jedną rzecz, której Jedi obawiają się najbardziej: podjąć samodzielną decyzję. Wiem, że marzy ci się życie większe niż takie, jakie wiodą zwykli rycerze Jedi. Oddaj się temu życiu. Wiem, że pragniesz większej potęgi, niż była udziałem któregokolwiek z Jedi. Pozwól sobie zdobyć tę potęgę i daj sobie licencję na jej używanie. Marzyłeś o opuszczeniu zakonu Jedi, o założeniu rodziny... takiej, która opiera się na miłości, a nie na wymuszonych regułach wyrzeczenia, negocjowania samego siebie.

- Ja... nie mogę. Nie mogę tak po prostu... odejść.

- Ależ możesz.

Anakin nie mógł już oddychać. Nie mógł zamknąć oczu. Zamarł. Nie mógł nawet myśleć.

- Możesz spełnić każde swoje marzenie. Odwróć się od kłamstw Jedi i zacznij podążać za swoim prawdziwym ja. Zostaw ich. Dołącz do mnie na ścieżce do prawdziwej potęgi. Bądź moim przyjacielem, Anakinie. Moim uczniem.

Świat przed oczami Skywalkera znowu zamienił się w ciemny tunel, ale tym razem na jego końcu nie było światła. Uniósł drżącą rękę, by podeprzeć twarz.

- Przykro mi - powiedział. - Przykro mi, ale choć bardzo pragnę tego wszystkiego... i tak bardzo zależy mi na tobie, panie... nie mogę. Jeszcze nie teraz. Ponieważ istnieje jedna rzecz, której naprawdę pragną. Wszystko inne będzie musiało poczekać.

- Wiem, czego naprawdę pragniesz - odparł cień. - Czekałem tylko, aż przyznasz się do tego przed samym sobą. - Dłoń, ludzka i ciepła, emanująca współczuciem, dotknęła ramienia Anakina. - Posłuchaj mnie: mogę ci pomóc ją uratować.

- Ty...

Anakin spuścił powieki.

- W jaki sposób miałbyś to zrobić?

- Pamiętasz ten mit, o którym ci opowiadałem? *Tragedię Dartha Plagueisa Mądrogo!* - wyszeptał cień.

Mit...

*...bezpośrednio wpływać na midichloriany, by tworzyły życie... gdy ktoś dysponuje taką wiedzą, podtrzymanie życia w kimś, kto już żyje, wydaje się dziecinną igraszka...*

- Tak - odparł Anakin. - Pamiętam.

Cień przysunął się tak blisko, że zdawał się wypełniać cały świat.

- To nie był tylko mit, Anakinie. Skywalker przełknął ślinę.

- Darth Plagueis żył naprawdę.

Anakin zdołał wydać z siebie jedynie zduszony szepot:

- Naprawdę...?

- Darth Plagueis był moim mistrzem. Przekazał mi klucz do swojej potęgi - odpowiedział rzeczowo cień - zanim go zabiłem.

Nie zastanawiając się nad własnymi odruchami, nie planując ich nawet i zupełnie nie pojmując przyczyny swojej reakcji, Anakin zerwał się na równe nogi. Skwiercząca pręga błękitnej energii zatrzymała się centymetr od podbródka Palpatine'a, rzucając na jego twarz i na sufit wyraziste cienie o czerwonych krawędziach.

Dopiero po chwili Anakin zdał sobie sprawę z tego, że to jego własny miecz i że trzyma go we własnej dłoni.

- Ty... - powiedział. Zmęczenie i oszołomienie ustąpiły nagle. Równie nagle wszystko nabrało sensu.

- To ty. Przez cały czas!

W jasnym, niebieskawym blasku klingi wpatrywał się w twarz człowieka, którego rysy znał równie dobrze jak własne. Teraz dopiero zrozumiał, że to znajome oblicze było jedynie maską.

Nigdy nie widział prawdziwej twarzy tego człowieka.

- Powinienem cię zabić - powiedział. - I zabiję!

Palpatine obdarzył go owym mądrym uśmiechem dobrego wujka, który Anakin znał i uwielbiał od dziewiątego roku życia.

- Za co?

- Jesteś Lordem Sithów!

- Jestem - odparł zwyczajnie. - Jestem też twoim przyjacielem. Błękitne ostrze poruszyło się nieznacznie.

- A także człowiekiem, który zawsze stał przy tobie. Człowiekiem, którego nigdy nie musiałeś okłamywać. Człowiekiem, który nie oczekuje od ciebie niczego poza tym, żebyś podążał za własnym sumieniem. Jeżeli więc sumienie nakazuje ci popełnić morderstwo z powodu... hm, różnic natury filozoficznej... to nie będę się opierał.

Palpatine otworzył opuszczone dłonie.

- Anakinie, czy sądzisz, że kiedy mówiłem, iż możesz mieć wszystko, czego zapragniesz, nie miałem na myśli także mojego życia?

Skywalker miał wrażenie, że podłoga zmiękła pod jego stopami, a gabinet kancelarza znowu zaczął wirować wokół niego, ciemny i obcy.

- Ty... nawet nie będziesz walczył?

- Z tobą? - W błękitnym świetle, w którym jego podbródek rzucał ku górze długi cień, Palpatine wyglądał na zdumionego faktem, że taka myśl w ogóle przyszła Anakinowi do głowy. - Co by się stało, gdybyś mnie zabił? Jaki będzie los Republiki? - Jego głos był spokojny; brzmiał bardzo rozsądnie. - Co się stanie z Padme?

- Padme...

Jej imię zabrzmiało jak krzyk rozpaczny.

- Gdy ja umrę - ciągnął Palpatine tonem dorosłego przypominającego dziecku o sprawach, o których powinno samo pamiętać - moja wiedza umrze wraz ze mną.

Energetyczne ostrze zdrzało.

- Chyba że będę miał sposobność przekazać ją... mojemu uczniowi.

Obraz gabinetu rozplynął się w oczach Anakina.

- Ja... - Jego szept był nagim bólem i rozpaczą. - Nie wiem, co mam robić...

Palpatine spojrział na niego łagodnie i z miłością, jak zawsze, może tylko odrobinę ostrożnie z powodu klingi miecza świetlnego, która drżała w powietrzu tuż przed nim.

A jeśli jego twarz nie była maską? Jeżeli prawdziwą twarz Sitha miał właśnie przed sobą: twarz człowieka, który troszczył się o niego, pomagał mu, był niekiedy jedynym lojalnym przyjacielem?

Co wtedy?

- Anakinie - rzekł Palpatine łagodnie. - Porozmawiajmy.

Cztery androidy MagnaGuard ustawiły się płaskim łukiem między Obi-Wanem a Grievousem, unosząc w górę elektropalki. Kenobi zatrzymał się w rozsądnej odległości; wciąż nosił na ciele siniaki po ostatnim kontakcie z tą bronią i wcale nie miał ochoty na powiększanie tej kolekcji.

- Generale Grievous - powiedział -jesteś aresztowany.

Biodroid ruszył w jego stronę, bez najmniejszego wahania mijając linię czterech ochroniarzy.

- Kenobi. Nie mów mi, sam zgadnę: to jest ten moment, w którym dasz mi szansę, żebym się poddał?

- Może być - zgodził się Obi-Wan. - Jednak może to też być ten moment, w którym zdemontuję twój egzozskielec i wyślę cię na Coruscant w skrzynce.

- Wybieram opcję numer trzy. - Grievous uniósł rękę i ochroniarze zaczęli okrążyć Obi-Wana. - To ten moment, w którym patrzę, jak umierasz.

Kolejny gest sprawił, że rój robotów wiszących pod sufitem ożył.

Maszyny prostowały się kolejno, zwisając z gniazd głowami w dół. Coraz głośniejszy chór szumiących, brzęczących i klikających mechanizmów sprawił, że Obi-Wan poczuł się jak w samym środku kolonii koreliańskich drapieźnych os. Roboty zaczęły spadać spod sklepienia sali - najpierw było ich kilka, a potem pojawiały się coraz szybciej, jak krople letniego deszczu. Wreszcie runęły w dół prawdziwą ulewą; od łomotu ich metalowych ciał o durastalowe podłoże wsparte na skałach dzwoniło Obi-Wanowi w uszach. Ładowały setkami i szybko stawały na nogi. Choć wiele z nich pozostało w górze - wisiały głowami w dół, uczepione gniazd w suficie magnetycznymi podeszwami stóp -wkrótce Kenobi został otoczony czymś w rodzaju kopuły wycelowanych weń blasterów.

Obserwując to wszystko, ani drgnął.

- Przepraszam, może nie wyraziłem się jasno - powiedział. - Nie istnieje trzecia opcja.

Grievous pokręcił głową.

- Nie męczyci cię ta żałosna gadanina?

- Ja w ogóle rzadko się męczę - odparł grzecznie Obi-Wan. - I nie znam lepszego zajęcia niż czekanie, aż zdecydujesz, czy wolisz złożyć broń, czy zginąć.

- Tego wyboru dokonałem na długo przed tym, zanim cię spotkałem. - Grievous odwrócił się. - Zabić go.

W jednej chwili przestrzeń, którą otaczali ochroniarze, wypełniły wyładowania z iglic elektropalek wirujących z nieludzką szybkością. Był to atak efektowny, lecz najzupełniej zbędny, bowiem w kordonie czterech androidów nie było już mistrza Jedi.

Moc przyspieszyła jego ruchy, gdy padał, udając zemdlonego, gdy odpinał od pasa miecz świetlny, gdy włączał go, tocząc się po ziemi, i gdy wreszcie ciał nim nogę jednego z ochroniarzy. Pomogła mu też pchnąć okaleczoną maszynę w taki sposób, by w

locie natknęła się na energetyczną klingę i spadła na posadzkę w dwóch dymiących i iskrzących kawałkach.

Jeden z głowy.

Pozostali trzej zaatakowali, ale już ostrożniej. Dysponowali bronią znacznie dłuższą od miecza świetlnego; mogli uderzać, znajdując się poza zasięgiem ewentualnej riposty. Jedi cofał się przed nimi, a jego techniki obronne z trudem dawały odpór ruchliwym iglicom wyładowczym.

Trzy androidy MagnaGuard - każdy uzbrojony w długą, obustronnie ofensywną broń generującą pole energetyczne odporne na ciosy miecza świetlnego, każdy działający nieomal z szybkością światła, każdy z superwyrafinowanym heurystycznym algorytmem bojowym pozwalającym na uczenie się i dostosowywanie taktyki na bieżąco, w dowolnej sytuacji - stanowiły siłę, której Obi-Wan nie mógł sprostać, ale też... to nie on miał je pokonać. To nie Obi-Wan z nimi walczył. Wyrzekł się siebie i stał się ledwie naczyniem. Moc walczyła, używając jego ciała, prowadzona jego doświadczeniem i jasnością umysłu.

W Mocy wyczuwał już ich zagładę: wisiała gdzieś w górze, odległa zaledwie o sekundy.

Wyszedł jej na spotkanie, wykonując wysokie salto w tył. Moc uniosła go w górę i pozwoliła wylądować w pustym gnieździe androida, pod sklepieniem, na którym wisiał rój. Ochroniarze Grievousa skoczyli za nim, ale zanim znaleźli się na górze, Obi-Wana już tam nie było - oddalał się, skacząc przez gąszcz belek, kabli i wielkich kontenerów, które wypełniały sferoidę centrum sterowania androidami.

Tutaj, podszeptała mu Moc - i Obi-Wan zatrzymał się, balansując na metalowej równoważni. Spojrzał za siebie, na zbliżające się androidy, które przeskakiwały z belki na belkę, niczym durastalowe, zabójcze karykatury naczelnych. Choć wciąż wyczuwał ich zagładę, nie domyślał się jeszcze, skąd miała nadejść... póki Moc nie wskazała mu jednej z belek umocowanych w zasięgu ciosu mieczem i nie podpowiedziała: teraz!

Klinga błysnęła i durastalowa kłoda runęła w dół, świecąc rozżarzoną do białości końcówką. Wyrwała się z uścisku wsporników, a wraz z nią, przy akompaniamencie jęków rozrywanego metalu, pomknął w dół jeden z kontenerów towarowych wielkości statku. Spadł na trzy androidy MagnaGuard ze śmiercionośną mocą meteoru. Drugi, trzeci i czwarty.

Oho, pomyślał Obi-Wan z umiarkowanym zadowoleniem. Całkiem nieźle wyszło.

Jeszcze tylko dziesięć tysięcy do rozwalenia. Mniej więcej. W tym momencie Moc kazała mu rzucić się w burzę blasterowych boltów - bodaj wszystkie androidy zgromadzone w centrum sterowania jednocześnie otworzyły ogień w jego kierunku.

Zapomniał o intencjach, zapomniał o pragnieniach i zapomniał o życiu. Skoncentrował uwagę wyłącznie na ścieżce, którą Moc prowadziła go ku Grievousowi - nie w stronę miejsca, w którym generał znajdował się w tej chwili, ale w stronę miejsca, w którym miał znaleźć się za moment...

Skacząc z belki na belkę, tnąc kable i wieszając się na nich, by przedostać się przez deszcz rykoszetujących wiązek cząsteczkowych, błyskając ostrzem w takim tempie, że klinga zmieniła się w pole ochronne, odbijające bolty na wszystkie strony, Obi-

Wan sam stał się bronią: gdy tak miotał się pod sklepieniem wielkiej sali, wystrzały z dział cząsteczkowych potężnych maszyn niszczyły sprzęt, cięży belki i posyłały we wszystkich kierunkach deszcz rozżarzonych odłamków, które zasypywały i miażdżyły zastępy robotów bojowych. W chwili, gdy Jedi śmignął w dół i miękko wylądował na pokładzie, niemal połowa wrogich maszyn leżała pokotem, pokonana przez własny - a jednak mało przyjazny - ogień.

Tnąc na prawo i lewo, wcinał się w tłum sprawnych jeszcze androidów tak gładko, jakby brodził w trzcinach lub po zalanej słońcem plaży. Posuwał się naprzód w równym tempie, zostawiając za sobą dymiące szczątki metalowych ciał.

- Ognia! - ryknął Grievous do androidów-pająków, które przystanęły u jego boków. - Roznieść go!

Obi-Wan wyczuł, że namierza go potężne, naramienne działo jednego z pajaków. Czuł też, że zbliża się bolt potężny, niczym granat protonowy. Moc pomogła mu skoczyć na tyle daleko, by znalazł się na skraju strefy działania fali uderzeniowej; gorący podmuch nie strzaskał mu więc kości, a jedynie pchnął naprzód z wielką siłą...

...ponad tłumem robotów bojowych, prosto na Grievousa.

Jedno cięcie mieczem wystarczyło, by amputować działo naramienne najbliższej stojącej maszyny, wspomagane zaś Mocą kopnięcie obrotowe wymierzone w podbródek androida stojącego obok sprawiło, że jego głowa odskoczyła do tyłu z ogromną siłą, przerywając przewody szyjne. Ślepy i głuchy robot mógł jedynie kontynuować wykonywanie ostatniego rozkazu: zaczął krążyć chwiejnym krokiem i siać spustoszenie konwulsyjnymi seriami z działa blasterowego, wypalając dziury w ścianach i korpusach swoich towarzyszy. Chwilę później Obi-Wan wyłączył go na zawsze jednym precyzyjnym pchnięciem, które wypaliło dziurę wielkości kciuka w napierśniku chroniącym elektroniczny mózg.

- Generale - rzekł Kenobi, uśmiechając się z wymuszoną uprzejmością, jakby spotkał na ulicy znajomego, za którym nie przepadał - moja oferta jest wciąż aktualna.

Karabiny i działa w centrum sterowania umilkły wszystkie naraz. Obi-Wan był tak blisko generała, że dowódca androidów znalazł się na linii ognia.

Grievous władczym gestem odgarnął do tyłu pelerynę.

- Naprawdę wierzysz, że poddam ci się teraz?

- Jestem skłonny wziąć cię żywcem. - Kenobi skinął głową w stronę nadpalonych wraków, którymi usiany był pokład centrum. - Jak dotąd nikt jeszcze nie ucierpiał.

Grievous pochylił głowę tak, by móc spojrzeć w dół, na twarz Obi-Wana.

- Mam tysiące żołnierzy. Nie pokonasz ich wszystkich.

- Nie muszę.

- Daję ci szansę, generale Kenobi: możesz się poddać. - Grievous skierował dłoń z duranium w stronę miasta. - Pau jest w moim ręku. Odłóż broń, bo jeśli nie... zacisnę pięść i napełnię ten lej krwią niewinnych.

- Lej będzie wkrótce pełny, ale nie krwi - odparł Obi-Wan. - Powinieneś zwracać większą uwagę na pogodę.

Żółte oczy zwięzły się za duraplastową maską.

- Co?

- Spójrz tylko - dodał Kenobi, wskazując czubkiem miecza w stronę wyjścia. - Zanim się na deszcz klonów.

- Co? - powtórzył Grievous, spoglądając we wskazanym kierunku.

Słońce zgasło nagle, jakby jedna z potężnych chmur burzowych wiszących na horyzoncie dała się porwać wicherze i napłynęła nad Pau.

Jednak nie była to chmura.

To była „Czujność”.

Podczas gdy półmrok ogarniał lej-miasto, nad wydmami pustynnej powierzchni planety mknęły kanonierki szturmowe. Wszystkie zmierzały w jednym kierunku: ku Pau. Na ich spotkanie wytoczyły się z jaskiń roboty-wyrzutnie, by posłać w kierunku nadlatujących pojazdów las pocisków rakietowych. Obronny zryw trwał dokładnie dwie i pół sekundy - tyle czasu potrzebowali operatorzy sensorów „Czujności” na przekazanie danych telemetrycznych do baterii turbolaserów.

Bolty energii przecięły atmosferę i roboty-wyrzutnie przestały istnieć. Precyzyjny ogień ze stanowisk strzeleckich ulokowanych w przezroczystych kopułkach po obu burtach każdej z kanonierek sprawił, że nadlatujące pociski zamieniły się w kule ognia, a sekundę później pozostał z nich jedynie dym, rozpraszany przez pędzące LAAT/i.

Maszyny szturmowe klonów minęły wreszcie krawędź leja i spiralnym kursem pomknęły w dół, bluzgając ogniem ze wszystkich luf. Koncentrowały ostrzał na ścianach miasta, podczas gdy nad wylotem leja zawisły opancerzone pojazdy desantowe klasy Jadhru. Z otwartych włazów tych ostatnich wypadły nagle zwoje długich, poliplastowych lin, które rozwijając się błyskawicznie, niczym wielkie, śnieżnobiałe frędzle, dosięgły powierzchni oceanu wypełniającego dno leja. Zanim ich końce dotknęły wody, z pojazdów desantowych wyłoniły się zastępy komandosów - żołnierze-klony spuszczały się błyskawicznie po linach, strzelając z karabinów blasterowych w kierunku robotów, które wychodziły im na spotkanie z jaskiń tworzących miasto.

Wiązka lin otarła się o zewnętrzny balkon centrum sterowania androidami. Chwilę później w polu widzenia pojawili się pierwsi żołnierze w białych pancerzach. Każdy z nich jedną ręką ścisnął mechaniczny hamulec regulujący prędkość opadania, w drugiej zaś dzierżył karabin blasterowy DC-15, nastawiony na ogień ciągły. Roboty stłoczone w sali zataczały się, padały, wylatywały w powietrze i rozpadały się na części. Te, które jeszcze nie zostały trafione, ochoczo otworzyły ogień w kierunku klonów, jakby wdzięczne, że wreszcie mają do kogo strzelać. Wysokoenergetyczne bolty zaczęły wybijać dziury w pancerzach żołnierzy, gotować ciała żywcem w parze buchającej z głębokich ran, a przede wszystkim strącać atakujących z lin w dziesięciopozomową otchłań, ku bolesnemu zderzeniu z dnem leja.

Gdy jednak dziesiątkowana pierwsza fala komandosów znalazła się w centrum, za ich plecami zjeżdżała już następna.

Grievous zwrócił się znowu ku Obi-Wanowi. Pochylił głowę jak rozwścieczona bantha, wbijając w mistrza Jedi złowrogie, żółte spojrzenie.

- Zatem na śmierć i życie.

- Skoro nalegasz - odparł z westchnieniem Kenobi.

Biodroid odsunął pelerynę, odsłaniając wszystkie cztery zdobyczne miecze świetlne. Cofnął się o krok i rozłożył długie ramiona.

- Nie będziesz ani pierwszym, ani ostatnim zabitym przeze mnie Jedi. W odpowiedzi Obi-Wan uniósł klingę nieco wyżej i zwrócił jej czubek ku przeciwnikowi.

Rozpostarte ramiona generała rozpołowiły się nagle wzdłuż całej długości, włącznie z dłońmi.

Grievous miał teraz cztery ramiona. I cztery dłonie.

A zanim jeszcze peleryna opadła na ziemię, w każdej z nich ścisnął rękojeść świetlnego miecza.

Broń ożyła i biodroid puścił ją w ruch, otaczając się barierą czterech wirujących ostrzy, zgranych ze sobą tak perfekcyjnie, że wytworzyła się wokół niego jedna poświata zielono-niebieskiej energii.

- No, chodź, Kenobi! Przyjdź po mnie! - zawołał. - Sam Lord Tyranus wyszkolił mnie w tej twojej sztuce walki Jedi!

- Mówisz o hrabim Dooku? Cóż za zbieg okoliczności - odparł Kenobi ze zwodniczo miłym uśmiechem. - Bo ja wyszkoliłem człowieka, który go zabił.

Z wściekłym warczeniem Grievous rzucił się do ataku. Błękitna kula wirujących ostrzy przesunęła się ku Obi-Wanowi i otworzyła jak paszcza, by przegryźć go na pół.

Mistrz Jedi nie cofnął się. Jego miecz nawet nie drgnął.

Zęby czterech energetycznych kling zamknęły się wokół niego.

Oto jak jest być Anakinem Skywalkerem w takiej chwili:

Nie pamiętasz, jak i kiedy wyłączyłeś miecz świetlny.

Nie pamiętasz momentu przejścia z prywatnego gabinetu Palpatine'a do większego, publicznie dostępnego. Nie pamiętasz ani tego, jak opadłeś na krzesło, na którym teraz siedzisz, ani tego, jak opróżniłeś do połowy szklankę wody, którą trzymasz w mechanicznej dłoni.

Przypominasz sobie tylko, że ostatni człowiek w galaktyce, któremu -jak sądziłeś - możesz ufać, okłamywał cię od dnia, w którym go poznałeś.

I nawet nie masz mu tego za złe. Jesteś tylko oszołomiony.

- W końcu, Anakinie, jesteś ostatnim człowiekiem, który ma prawo złościć się na kogoś, kto ma swoje tajemnice. Czy mogłem postąpić inaczej?

Palpatine siedzi w tak dobrze ci znanym, wysokim fotelu o owalnym oparciu, za biurkiem, które widziałeś tyle razy. Dyski lamp świecą pełną mocą; gabinet tonie w dziwnym świetle.

Jest... tak zwyczajnie.

Jakbyście prowadzili kolejną przyjacielską pogawędkę, dokładnie taką samą jak te niezliczone, które zbliżyły was przez te wszystkie lata.

Jakby nic się nie wydarzyło.

Jakby nic się nie zmieniło.

- Korupcja uczyniła z Republiki nowotwór na ciele galaktyki i nikt już nie zdoła go wypalić: ani wymiar sprawiedliwości, ani senat, ani nawet zakon Jedi. Tylko ja miałem dość siły i umiejętności, by wziąć na siebie to zadanie. Tylko ja odważyłem się

spróbować. Gdyby nie mój mały podstęp... w jaki sposób miałbym uleczyć Republikę? Gdybym odkrył moją tożsamość przed tobą lub kimkolwiek innym, Jedi zaszczyliby mnie i zamordowali bez sądu. Ty sam, ledwie przed chwilą, omal tego nie zrobiłeś.

Nie możesz się z nim spierać. Brakuje ci słów. A on wstaje, obchodzi swoje biurko, bierze jedno z krzeseł i stawia obok twojego.

- Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo chciałem ci powiedzieć, Anakinie. Przez tyle lat... praktycznie odkąd się poznaliśmy, mój chłopcze. Obserwowałem cię, czekałem aż dorośniesz, nabierzesz siły i mądrości. Czekałem na tę chwilę, która nadeszła właśnie dziś... gdy wreszcie jesteś gotowy, by pojąć, kim naprawdę jesteś i jakie jest twoje prawdziwe miejsce w historii galaktyki.

Spomiędzy twoich odrętwiałych warg wydobywają się odrętwiałe słowa:

- Wybrańcem...

- Właśnie, mój chłopcze. Właśnie. Jesteś Wybrańcem. - Pochyla się nad tobą; jego oczy są jasne i czyste. Spokojne. Najzupełniej szczerze. - Wybrany przeze mnie.

Palpatine wyciąga rękę w stronę nakrapianej światłami panoramy miasta, która rozciąga się za wielkim oknem.

- Spójrz tam, Anakinie. Bilion istot na tej jednej planecie. W całej galaktyce niezliczone kwadryliony. Lecz spośród nich wszystkich wybrałem właśnie ciebie, Anakinie Skywalkerze, abyś został spadkobiercą mojej potęgi. Wszystkiego, czym jestem.

- Nie o tym... Nie o tym mówi przepowiednia. Nie tak brzmią słowa o Wybrańcu...

- Czy to dla ciebie aż takie ważne? Czy aby nie usiłujesz właśnie zapobiec spełnieniu przepowiedni? - Palpatine pochyła się jeszcze bliżej. Uśmiecha się ciepło, dobroliwie. - Anakinie, czy sądzisz, że Sithowie nie słyszeli o Wybrańcu? Sądzisz, że prześpalibyśmy chwilę, kiedy spełnia się przepowiednia?

- Chcesz powiedzieć...

- Jedno musisz zrozumieć, mój chłopcze. Podporządkowanie się losowi, tak typowe dla Jedi... nie leży w naturze Sithów, Anakinie. Ani w mojej, ani w twojej. Nigdy nie godziliśmy się z losem i nigdy się nie pogodzimy. \

Toniesz.

- Nie jestem... - słyszysz swój głos - ...po twojej stronie. Nie jestem zły.

- A kto mówi, że to zło? Ja zaprowadzam pokój w galaktyce. Czy to coś złego? Ofiaruję ci potęgę, dzięki której ocalisz Padme. Czy to coś złego? Czyja cię zaatakowałem? Upoiłem? Torturowałem? Mój chłopcze, ja cię tylko proszę. Proszę, żebyś zrobił to, co słuszne. Odwróć się od zdrady. Od wszystkich, którzy próbują zaszkodzić Republice. Proszę cię, żebyś uczynił to, co przysięgałeś: pokój i sprawiedliwość w galaktyce. I żebyś uratował Padme, ma się rozumieć... bo przecież i ją przysięgałeś chronić, nieprawdaż?

- Ja... ale... ja... - Słowa nie układają się w odpowiedzi, których potrzebujesz. Gdyby tylko był tu Obi-Wan... Obi-Wan wiedziałby, co powiedzieć. I co zrobić.

Obi-Wan by sobie poradził.

A ty wiesz, że tego nie potrafisz.

- Ja... wydam cię Radzie Jedi. Mistrzowie będą wiedzieli, co robić...

- Bez wątplenia. Oni już planują obalenie Republiki, a ty dasz im właśnie ten pretekst, którego szukali. Czy kiedy przyjdą mnie zabić, sprawiedliwości stanie się zadość? Czy sprowadzą pokój?

- Nie zrobią tego... nie mogliby...!

- Naturalnie mam nadzieję, że się nie mylisz, Anakinie. Wybacz mi jednak, ale nie podzielał twojej ślepej lojalności wobec towarzyszy z zakonu. Tak, wydaje się, że koniec końców wszystko jest kwestią lojalności - dodał w zamyśleniu. - Powinieneś zadać sobie jedno pytanie, mój chłopcze. Czy jesteś lojalny wobec Jedi, czy wobec Republiki.

- To... to nie tak...

Palpatine wzruszył ramionami.

- Może i nie. Może jest to tylko kwestia tego, czy kochasz Obi-Wana Kenobiego bardziej niż własną żonę.

Przestajesz szukać słów. Słowa już nie istnieją.

- Nie spiesz się. Pomedytuj. Będę tu, gdy podejmiesz decyzję.

W twojej głowie jest tylko ogień. Gdzieś w sercu odzywa się szept smoka: wszystko kiedyś umiera...

Oto, jak jest być Anakinem Skywalkerem w takiej chwili.

Techniką walki mieczem świetlnym Obi-Wana Kenobiego cechują prostota i elegancja, jakich próżno by szukać u innych wielkich szermierzy zakonu Jedi. Brakuje mu może owego błysku, bezczelności i werwy Anakina Skywalkera; nawet nie zbliża się do pierwotnej dzikości Mace'a Windu czy Depy Billaby ani do stylowej gracji ruchów Shaak Ti czy hrabiego Dooku; w niczym też nie przypomina huraganu zniszczenia, którym bywa niekiedy mistrz Yoda.

Obi-Wan jest uosobieniem prostoty.

I w tym tkwi jego siła.

Zanim odleciał z Coruscant, Mace Windu opowiedział mu o spotkaniu z Grievousem na dachu pociągu magnetycznego, podczas śmiałego rajdu, którego celem było porwanie Palpatine'a. Mówił między innymi o tym, jak komputery podporządkowane umysłowi generała najwyraźniej potrafiły zanalizować nawet tak niekonwencjonalny i śmiertelny styl walki mistrza, jakim jest Vaapad, i po bardzo krótkiej wymianie ciosów opracować skuteczną taktykę obronną.

- Musiał się szkolić u hrabiego Dooku - twierdził Mace. - Możesz więc spodziewać się także Makashi. Biorąc pod uwagę to, z iloma Jedi walczył i ilu zabił, powinieś właściwie oczekiwać ataku w każdym stylu... albo we wszystkich stylach jednocześnie. Jeśli mam być szczerzy, Obi-Wanie, spośród wszystkich żyjących Jedi właśnie ty masz największe szanse na to, by go pokonać.

To oświadczenie zdumiało Kenobiego - natychmiast zaprotestował. Przecież jedyłą formą w której uważano go za prawdziwego mistrza, był Soresu, najbardziej popularny styl walki, jakiego nauczano w zakonie Jedi. Oparty na podstawowych zasadach obrony, które wpajano padawanom od najmłodszych lat - aby umieli chronić się przed



strzałami z blasterów - styl Soresu był niezmiernie prosty i zorientowany tak bardzo defensywnie, że wręcz bliski całkowitej pasywności.

- Ależ mistrzu Windu - zaoponował Obi-Wan - przecież ty i potęga twojego Vaapadu albo Yoda, mistrz Ataro...

Mace Windu leciutko się uśmiechnął.

- Stworzyłem Vaapad w odpowiedzi na moją słabość; dzięki niemu mogę zamienić mrok, który jest we mnie, na broń światła. Ataro mistrza Yody również jest odpowiedzią na słabości: na ograniczony zasięg ramion i zmniejszoną mobilność, związane z cechami fizycznymi i wiekiem. Ale ty... Jaką słabość ma kompensować Soresu?

Obi-Wan zamrugał ze zdziwieniem i musiał przyznać, że nigdy nie myślał o tym w ten sposób.

- To właśnie cały ty, mistrzu Kenobi - odrzekł Jedi z Haruun Kai, kręcąc głową. - Nazywają mnie wybitnym szermierzem, bo stworzyłem śmiertelny styl walki, ale kto jest większym mistrzem miecza: twórca śmiertelnego stylu czy wielki mistrz klasycznej formy?

- Bardzo mi pochlebia, że uważasz mnie za mistrza, ale...

- Nie za mistrza. Za wielkiego mistrza - poprawił Mace. - Bądź tym, kim jesteś, a Grievous nigdy cię nie pokona.

I dlatego teraz, stając naprzeciwko tornada niszczycielskiej energii, którym jest zaciekły atak Grievousa, Obi-Wan po prostu jest tym, kim jest.

Serwomechanizmy napędzające ramiona Grievousa były szybkie; każdy z czterech mieczy zadawał teraz trzy ciosy na sekundę. Dzięki pełnej synchronizacji, osiągniętej za pomocą algorytmów bojowych zapisanych w pamięci peryferyjnych procesorów sieci elektronicznej biodroida, każdy z dwunastu ataków na sekundę nadchodził z innego kierunku, pod innym kątem, z inną prędkością i inną siłą. W sumie dawało to nieprzewidywalną arytmiczną mieszankę cięć i pchnięć, z których każde mogło odebrać Obi-Wanowi życie.

Żadne nawet go nie musnęło.

Miał już doświadczenie w wychodzeniu bez szwanku z prawdziwego deszczu ognia blasterowego - a wszystko dzięki Mocy, która prowadziła jego miecz. Parowanie dwunastu ciosów na sekundę było trudne, ale nie niemożliwe. Klinga Kenobiego kreśliła w powietrzu zawity wzór linii krzywych i łamanych. Nie była oszałamiająco szybka; była wystarczająco szybka. Każdy jej ruch przerywał trzy, cztery, a czasem nawet osiem ataków generała. Reszta ciosów omijała go o centymetry, bo doskonale wiedział, kiedy minimalnie przemieścić ciężar ciała albo zmienić pozycję.

Rozwścieczony Grievous zwiększył szybkość i intensywność ataków - szesnaście na sekundę, osiemnaście... - aż wreszcie, przy dwudziestu ciosach na sekundę, granica zdolności obronnej Obi-Wana została przekroczona.

Jedi zaczął używać defensywnych technik w ofensywnym celu.

Minimalna zmiana kąta zasłony wystarczyła, by klinga jego miecza weszła w kontakt nie z ostrzem, ale z rękojeścią atakującej broni.

Cięcie.

Strumień energii zgasł nagle, choć tylko ułamek sekundy brakowało, by przebił czoło Obi-Wana. Połówka rękojeści potoczyła się po pokładzie wraz z kawałkami duranium - kciukiem i pierwszym palcem dłoni biodroida.

Grievous zatrzymał się na moment, a jego oczy najpierw rozszerzyły się, a następnie zwężyły w szparki. Uniósł okaleczoną rękę i spojrzał na rozżarzone do białości kikuty zaciśnięte na bezużytecznej już połowce rękojeści miecza świetlnego.

Obi-Wan uśmiechnął się do niego.

Grievous skoczył.

Obi-Wan odparował atak.

Kawałki rękojeści znowu zagrzechotały o durastalową płytę.

Generał spojrzał na to, co zostało mu w dłoniach, następnie na klingę Obi-Wana, lśniąca błękitem nieba, i znowu na własne dłonie... a potem nagle jakby przypomniał sobie, że bardzo pilne sprawy czekają na niego gdzieś indziej.

Gdziekolwiek indziej.

Obi-Wan ruszył za nim, lecz w tej samej chwili Moc porwała go wstecz, w miejsce zaś, w którym ułamek sekundy wcześniej zamierzał postawić stopę, uderzył szkarłatny, wysokoenergetyczny bolt. Podmuch eksplozji uniósł go daleko i cisnął pomiędzy dwa superroboty bojowe, zajęte ostrzeliwaniem z flanki drużyny klonów. Maszyny nie przerwały ognia, póki ich rozcięte mieczem szczątki nie zwały się z hukiem na pokład.

Obi-Wan obrócił się szybko.

Grievous zniknął mu z oczu w chaosie eksplodujących androidów i umierających ludzi.

Kenobi machnął mieczem w stronę najbliższych stojących klonów.

- Generał! - zawołał. - Dokąd uciekł?

Jeden z żołnierzy wykonał ręką taki ruch, jakby rzucał granat protonowy, wskazując na daleki, łukowaty portal, którym przed bitwą Obi-Wan wszedł do centrum sterowania androidami. Jedi spojrzał w tę stronę i zobaczył w cieniu rzucanym przez „Czułość” zarys krawędzi dwóch pierścieni - razem tworzących okrąg wielkości myśliwca gwiazdowego - toczących się zwinnie wzdłuż krawędzi ściany leja. Generał Grievous znał się jak nikt inny na sztuce ewakuacji.

- Nie tym razem - mruknął Obi-Wan i wycinając mieczem drogę w gęstym tłumie androidów, jedną długą szarżą dotarł aż do wyjścia, w samą porę, by zobaczyć skracający ostrokołowiec.

Pojazd składał się z dwóch otwartych pierścieni z fotelem kierowcy pośrodku. Grievous, który siedział za sterami, sardonycznym gestem machnął Obi-Wanowi na pożegnanie jedną z elektropalek, które zostały mu po ochroniarzach. Pojazd rozłożył na boki cztery szponiaste łapy i ruszył stromą ścieżką w dół, po zboczu leja.

- A niech to... - Obi-Wan rozejrzył się bezradnie. Stanowczo brakuje taksówek powietrznych, pomyślał, choć w gruncie rzeczy perspektywa lotu przez środek bitwy kipiącej w otwartej przestrzeni leja wcale nie wydawała mu się atrakcyjna. Niestety, był też pewien, że pieszo nie dogoni Grievousa.

Zza zakrętu tunelu dobiegł naraz dźwięczny ryk, jakby gdzieś w pobliżu znalazła się bantha, która połknęła róg.

- Boga? - zawołał Obi-Wan.

Smoczy pysk zakończony dziobem wysunął się wolno z zakrętu.

- Boga! Chodź do mnie, maleńka! Musimy złapać generała.

Boga spojrzała na niego z wyrzutem i zaryczała.

- Dobrze już, dobrze. - Obi-Wan przewrócił oczami. - Ja się myliłem, a ty miałaś rację. Czy teraz już możemy jechać?

Pozostałych piętnaście metrów jaszczurzego cielska pojawiło się w korytarzu i podbiegło truchtem do Obi-Wana. Skoczył na siodło, a Boga jednym susem zaniósła go do krawędzi leja. Spuściła łeb nisko, wypatrując celu, ale to Obi-Wan pierwszy dostrzegł ostrokołowca pędzący w stronę lądowisk zawieszonych poniżej.

- Tam, Boga! To on! Jazda!

Smoczyca zebrała się w sobie i skoczyła w dół, wprost na krawędź niższego poziomu miasta. Zatrzymała się na moment, by zorientować się w terenie, po czym znowu skoczyła. Przestrzeń wewnątrz leja Pau zamieniła się w piekło. Obi-Wan ani na chwilę nie przestawał młócić mieczem na wszystkie strony, odbijając odłamki i bolty zmierzające ku cielsku Bogi. Posuwali się w dół w niesamowitym tempie, za każdym susem zyskując kilkadziesiąt metrów do uciekającego generała.

Na jednym z lądowisk otwierała się właśnie kabina małego, superszybkiego i opancerzonego promu, jednego z takich, w jakich gustowali nerwowi neimoidiańscy funkcjonariusze Gildii Kupieckiej. Ostrokołowiec Grievousa skrzesał snopy iskier, wjeżdżając na platformę startową. Biodroid położył maszynę na boku, by wyhamować poślizg. Iskry i roztopione drobiny durastali sypnęły się w stronę oczekującego promu.

Zanim jednak generał zdołał opuścić fotel kierowcy, kilka ton smoczego cielska z mistrzem Jedi na grzbiecie spadło na pancierz wahadłowca. Wylądowawszy na ugiętych łapach, Boga zasyczała jadowicie w stronę Grievousa.

- Mam nadzieję, że chowasz w zapasie inny statek, generale! - zawołał Obi-Wan, wskazując mieczem na dysze silników w tylnej części pojazdu. - Zdaje się, że napęd podświetlony został uszkodzony!

- Oszalałeś! Przecież nie ma... Kenobi wzruszył ramionami.

- Pokaż mu, Boga.

Smoczyca posłusznie wskazała generałowi, gdzie powinien szukać zniszczonych elementów, zadając dwa potężne ciosy maczugą na końcu ogona. Dysze napędu podświetlonego zmieniły się w pogieęte bryły metalu.

Obi-Wan skinął dłonią na Grievousa.

- Skończmy z tym, dobrze?

Odpowiedzią biodroida było wycie torturowanych żyroskopów, które rozległo się, gdy dźwiągł z płyty lądowiska przewrócony ostrokołowiec. Zaraz potem dał się słyszeć zgrzyt metalu o metal, gdy blachy zamocowane na pierścieniach pojazdu wgrzyły się w durastalowe podłoże, by błyskawicznie potoczyć się ku ścianie leja i - za pomocą czterech metalowych łap - rozpocząć wspinaczkę ku górze.

Obi-Wan westchnął.

- Przecież dopiero stamtąd zesłiśmy...

Boga sprężyła się i skoczyła na ścianę, by podjąć przerwany pościg.

Gnali przez bitwę, wspinając się po ścianach i pędząc tunelami, ślizgali się na skałach i przeskakiwali nad rozpadlinami, rozpędzali się na prostych i pustych drogach, hamowali przed ostrymi zakrętami, omijając z daleka grupki robotów bojowych i przeskakując nad żołnierzami-klonami. W pewnej chwili Boga wbiegła po burcie repulsorowego czołgu klonów i z jego wieży skoczyła wprost na korpus zawieszony między ogromnymi kołami robota-wyrzutni. Jedno cięcie miecza Obi-Wana unieruchomiło maszynę separatystów. Na polu walki pojawili się miejscowi wojownicy: Utaupaunowie na smoczycach jaszczurach, uzbrojeni w iskrzące lance energetyczne, którymi skutecznie razili pieszce roboty. Grievous gnał przed siebie, nie zważając na nic; ostrza na pierścieniach jego pojazdu cięły i miażdżyły ciała żołnierzy i zwierząt. Zbliżając się wolno do niego, Obi-Wan bez wytchnienia odbijał blasterowe bolty, kierując je na powrót ku robotom, które były na tyle nierozsądne, by strzelać w jego stronę. Kilka wiązek energii posłał za uciekającym ostrokołowcem, ale bez skutku.

W porządku - mruknął. - Spróbujmy skrócić dystans.

Boga systematycznie zbliżała się do pojazdu biodroida. Ostrokołowiec był szybszy na prostej, ale brakowało mu zwrotności i zdolności do wykonywania skoków na zdumiewająco odległość. Smoczyca miała w dodatku nieomylny instykt; wyczuwała, dokąd zmierza generał, i umiała podążać za nim na skróty, bocznymi tunelami, czasem po stromych ścianach, a czasem nad rozpadlinami, w których spoczywały wyłączone turbiny wiatrowe. Grievous próbował raz opóźnić pościg, wybijając szybkimi uderzeniami elektropałką kliny zatrzymujące mechanizmy turbin, tak by nieustający wiatr wprawił w ruch ostre jak brzytwa łopaty wirników. Obi-Wan nie miał z nimi problemu: skierował Bogę w bok, wzdłuż linii turbin, i wsunął klingę miecza pomiędzy obracające się płyty. Odcięte kawały węgl ceramicznych wirników pofrunęły ze świstem w dal, by roztrzaskać się na skalnych ścianach. Grievous zaklął tylko i ponownie wprawił swój pojazd w ruch.

Ostrokołowiec znalazł się w tunelu, który zdawał się prowadzić w głąb litej skały płaskowyzu. Tunel był pełen wozów kołowych, jucznych smoków i pojazdów repulsorowych oraz wszelkich innych urządzeń i zwierząt, które pomagały Utaupaunom i Utajom uciec jak najdalej od bitwy. Grievous wjechał prosto w kolumnę uchodźców, a ostre koła jego maszyny zaczęły mieć wszystko, co napotkały na swojej drodze, bryzgając na skały szczątkami zmasakrowanych jaszczurów. Boga wbiegła na ścianę, ponad przerażonym tłumem; chwilami galopowała nawet po suficie, odrywając pazurami co luźniejsze kamienie.

Wielkim i długotrwałym wysiłkiem, który zamienił jej dziarskie porykiwanie w ciężki, świszczący oddech, Boga wreszcie zrównała się z pojazdem Grievousa. Obi-Wan pochylił się naprzód i sięgnął mieczem w stronę wirujących blach. Gdy udało mu się czubkiem klingi odciąć fragment jednego z pierścieni, ostrokołowiec zakołysał się i wpadł w lekki poślizg. Grievous zareagował natychmiast: pchnięcie elektropałką trafiło w wyciągniętą szyję Bogi i w powietrzu rozbłysło silne wylądowanie. Zwierzę rzuciło

się w bok, rycząc panicznie i potrząsając łbem, jakby próbowało zrzucić z siebie to, co je ukąsiło.

- Jeszcze jeden skok, Boga! - krzyknął Obi-Wan, pochylając się nad łopatką smoczycy. - Zrównaj się z nim!

Boga usłuchała bez wahania, a kiedy Grievous zaatakował powtórnie, Kenobi sięgnął wolną ręką i pochwycił elektropalkę poniżej iglicy wyladowniczej, zatrzymując ją z dala od wrażliwego ciała zwierzęcia. Biodroid szarpnął, omal nie ściągając Obi-Wana z siodła, by zaraz potem pełnąć silnie, mierząc iglicą w jego twarz...

Mistrz Jedi z westchnieniem pogodził się z faktem, że będzie musiał użyć obu rąk.

Upuścił miecz świetlny.

Klinga zniknęła, a rękojeść potoczyła się po dnie tunelu i znieruchomiła. Właściwie to nawet dobrze, że nie ma tu Anakina, pomyślał Obi-Wan. Do końca życia słuchałbym jego docinków.

Pochwycił trzon elektropalki drugą ręką dokładnie w chwili, gdy Grievous skierował ostrokołowca w bok, kładąc go na burtę, by zmieścić się w małym, bocznym tunelu. Obi-Wan wytrzymał szarpnięcie. W Mocy wyczuwał już wyczerpanie Bogi; przyspieszone odkładanie się produktów beztlenowej przemiany materii, które zmieniało potężne mięśnie nóg smoczycy w watę. Za łukowatym wylotem tunelu widać było płamę dziennego światła. Boga ledwie zdołała skręcić w boczny korytarz; znowu biegła obok pędzącego pojazdu, połączona z nim sypiącą iskry żerdzią elektropalki.

Na końcu tunelu, w głębokim, trudno dostępnym leju, znajdowało się małe, dobrze ukryte lądowisko. Gdy tylko się tam znaleźli, Obi-Wan wyskoczył z siodła i trzymając się mocno elektropalki, skierował obie nogi przed siebie, mierząc obcasami butów w bok wykonanej z duranium czaszki generała. Wewnętrzne żyroskopy ostrokołowca zawyły głośno, próbując skompensować potężne uderzenie i zachwianie równowagi. Chwilę później, gdy maszyna przechyliła się na bok i krzesząc snopy iskieł, pomknęła dalej coraz wolniejszym ślizgiem, w powietrzu pojawiła się chmura dymu i odłamków.

Obi-Wan wypuścił z rąk elektropalkę i skoczył ponownie, pozwalając, by Moc wyratowała go z katastrofy.

Elektroniczny refleks sprawił, że w tej samej sekundzie Grievous wydostał się z fotela kierowcy i uskokzył w przeciwnym kierunku.

Pojazd tymczasem dotarł do krawędzi lądowiska i pomknął dalej, w dół, w cieniastą otchłań niezamieszkanego leja. Smuga dymu ciągnęła się za nim aż do chwili dalekiego, opóźnionego, ale na pewno ostatecznego zderzenia z dnem.

Elektropalka potoczyła się w bok i znieruchomiła tuż przy podwoziu małego myśliwca Unii Technokratycznej, który stał o kilka metrów za Obi-Wanem. Za plecami Grievousa, u wylotu tunelu, stała zdyszana i wyczerpana, ale wciąż niebezpiecznie rozwścieczona smoczycza.

Obi-Wan spojrział na Grievousa.

Grievous spojrział na Obi-Wana.

Nie musieli już wymieniać słów.

Obi-Wan po prostu stał, skupiony w Mocy, czekając na ruch przeciwnika.

W prawym udzie generała otworzył się nagle ukryty schowek, a mechaniczne ramię wyjęło zeń smukły pistolet blasterowy. Grievous uniósł broń i zaczął strzelać tak szybko, że jego ramię na moment stało się niewidzialne.

Obi-Wan... wyciągnął rękę.

Elektropalka pofrunęła nagle pomiędzy walczących, przyjmując bolt na iglicę wyladowniczą. Siła uderzenia skierowała ją dalej...

Wprost do ręki Obi-Wana.

Przez krótką chwilę mierzyli się wzrokiem i obaj znaleźli w oczach przeciwnika pewność, że krótka znajomość, która ich połączyła, właśnie dobiegła końca.

Obi-Wan zaatakował.

Grievous cofnął się, śląc w jego stronę strumień blasterowych boltów, wystrzelanych z maksymalną częstotliwością, na jaką pozwalały mu serwomechanizmy wskaźującego palca naciskającego spust.

Elektropalka wirowała w rękach Obi-Wana, odbijając każdy strzał. Jedi nawet nie zwolnił tempa ataku, a kiedy zbliżył się do biodroida, wytrącił mu broń z ręki jednym ciosem. Wyladowanie z iglicy otoczyło ramię generała błękitnym piorunem energii.

Kolejne uderzenie trafiło w brzuch Grievousa i odrzuciło go o krok do tyłu. Obi-Wan powtórzył atak w to samo miejsce. Duraplastowa płyta wgłębiała się do środka, a w miejscu, w którym łączyła się z grubszym pancierzem napierśnika, pękła jedna ze złączek. Grievous stracił równowagę, ale wykorzystał cios wymierzony w osłabione ramię, by pochwycić pałkę najpierw jedną, a potem dwiema rękami, i powrócić do pionu. Siłując się z Obi-Wanem, zbliżył metalową czaszkę na odległość centymetra od nosa mistrza Jedi.

- Sądzisz, że jestem aż tak głupi - wycedził - żeby wyposażać ochroniarzy w broń, którą mogliby mnie zranić?

Nie czekając na odpowiedź, biodroid obrócił się, bez wysiłku podrywając Obi-Wana w górę. Zakręcił nim nad głową i z morderczą siłą cisnął z powrotem na płytę lądowiska. Jedi mógł jedynie puścić elektropalkę i pozwolić, by Moc zamieniła upadek w serię niegroźnych przewrotów. Grievous skoczył za nim, wywijając bronią. Uderzył z boku, zanim Obi-Wan odzyskał równowagę. Impet ataku odrzucił mistrza Jedi na sporą odległość, a iskra z iglicy wyladowniczej zapaliła jego szatę. Grievous nie czekał - stanął nad nim, atakując szybciej niż myśl, zanim przeciwnik zdoła zrozumieć, co się właściwie dzieje...

Lecz tak naprawdę Obi-Wan nie musiał myśleć. Moc była z nim. Po prostu wiedział.

Gdy Grievous uniósł elektropalkę, by zadać jej iglicą śmiertelny cios w głowę, Jedi skrócił dystans.

Stanęli piersi w pierś. Uniesiona ręka Obi-Wana zacisnęła się na nadgarstku generała, powstrzymując atak. Grievous warknął coś niezrozumiale i naparł na bok mistrza Jedi masą całego ciała, coraz bardziej zbliżając iglicę do jego twarzy...

Siła Obi-Wana płynęła jednak z Mocy, ramię generała zaś mogło mu przeciwstawić jedynie zwarte, krystaliczne, międzycząsteczkowe wiązania tworzące strukturę stopu zwanego duranium.

Przedramię Grievousa wygięło się jak tania łyżeczka.

Podczas gdy generał wpatrywał się z niedowierzaniem w uszkodzoną kończynę, Obi-Wan spróbował pochwycić wolną ręką dolną krawędź wgniecionej i obluźowanej płyty pancernej na jego brzuchu.

Grievous spojrzął w dół.

- Co...?

Obi-Wan uderzył łokciem blokującej ręki w obojczyk generała, a jednocześnie drugą ręką szarpnął z całej siły za uszkodzoną powłokę brzucha. Płyta z duranium została mu w dłoni, a w otwartym korpusie biodroida zobaczył przezroczysty worek z syntskóry, zawierający splątana masę zielonkawych i szarych organów.

Żywe ciało obcej istoty zamknięte w skorupie androida.

Grievous zawył głośno i upuścił pałkę, by pochwycić Obi-Wana wszystkimi trzema sprawnymi ramionami. Uniósł go znowu nad głowę i cisnął z wielką siłą w kierunku spowitej mrokiem przepaści za krawędzią lądowiska. Jedi użył Mocy, by związać się w locie ze skałą. Zatrzymał się w pół drogi i - zupełnie jakby zablokowała go linka asekuracyjna - runął na ziemię z impetem, który pozbawił do tchu.

Grievous podniósł elektropałkę i ruszył do ataku.

Obi-Wan wciąż nie mógł oddychać, a tym bardziej wstać, by powstrzymać szarżującego generała.

Mógł jedynie wyciągnąć rękę.

Gdy biodroid pochylił się nad nim, z elektropałką wzniesioną do ostatecznego ciosu, leżący na pokładzie blaster wskoczył do otwartej dłoni mistrza Jedi, który bez wahania, bez zastanowienia, bez choćby najkrótszej chwili zachwyty nad swoim zwycięstwem - nacisnął spust.

Bolt wdarł się w worek z syntskóry.

Wnętrznosci Grievousa eksplodowały, bryzgając na wszystkie strony cuchnącą mazią w kolorze martwego bagna. Wyładowanie energetyczne pomknęło w górę po metalowym kręgosłupie i mgielka parującego mózgu wystrzeliła z obu stron czaszki. Ciśnienie oderwało maskę i cisnęło ją w przepaść leja.

Elektropałką huknęła o płytę lądowiska pół sekundy wcześniej niż kolana generała.

Zaraz potem szczątki jego głowy znieruchomiały na ziemi.

Obi-Wan leżał na plecach, spoglądając na tarczę błękitnego nieba widoczną u wylotu leja, i z wysiłkiem łapał powietrze w obolałe płuca. Z wielkim trudem przewrócił się na bok, by zgasić tłącą się szatę, nim znowu opadł na plecy.

A potem pozwolił sobie na chwilę radości z tego, że żyje.

Po zdecydowanie zbyt krótkim czasie - i na długo zanim poczuł się zdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu - pojawił się nad nim cień, a wraz z nim zapach przegrzanego ciała wielkiej jaszczurki. Bestia zatrąbiła karcąco.

- Tak, Boga, masz rację - zgodził się niechętnie Obi-Wan. Obolały, z trudem i bardzo powoli stanął na nogi.

Podniósł z ziemi elektropałkę i zatrzymał się jeszcze na moment, by po raz ostatni spojrzeć na szczątki generała.

- Jakie to... - Urwał, szukając w głowie słów najbardziej obraźliwego potępienia, jakie znał. - Niecywilizowane.

Włączył komunikator i polecił Cody'emu przekazać Dowództwu Jedi na Coruscant wiadomość o zniszczeniu Grievousa.

- Robi się, generale - odpowiedział miniaturowy hologram dowódcy klonów. - I gratuluję. Wiedziałem, że da pan radę.

Zdaje się, że wszyscy wiedzieli, pomyślał Obi-Wan. Oprócz Grievousa i mnie...

- Generale? Wciąż mamy tu mały problem. Ścisłej mówiąc, mniej więcej dziesięć tysięcy dobrze uzbrojonych małych problemów.

- Już jadę. Kenobi bez odbioru.

Obi-Wan westchnął i czując ból w całym ciele, wdrapał się na siodło.

- W porządku, moja mała - powiedział. - Możemy wygrać i tę bitwę.

Jako się rzekło, książkowym przykładem pułapki na Jedi jest ta, którą zastawiono na Obi-Wana Kenobiego na Utapau.

Zadziałała idealnie.

Ostatnim elementem, bez którego trudno o prawdziwie skuteczne działanie pułapki na Jedi, jest pewna doza wyrachowania - innymi słowy swoista obojętność na wynik konfrontacji.

Najlepiej bowiem jest zaaranżować pułapkę w taki sposób, by każdy jej rezultat oznaczał zwycięstwo.

Można na przykład wyznaczyć na swojego pełnomocnika istotę, która jest nie tylko zbędna, ale także niejako skazana na śmierć, bez względu na rozwój wydarzeń. Tym sposobem, jeśli pełnomocnik ten zostanie pokonany i zniszczony, strata jest praktycznie żadna. Co więcej, Jedi, który był celem pułapki, wyświadczy jej organizatorowi przysługę, wykonując brudną robotę, którą ten w innym przypadku musiałby wykonać sam.

Ostatecznym warunkiem doskonałego powodzenia pułapki jest to, by Jedi przegrał konfrontację już w chwili, kiedy dał się wciągnąć w grę.

Warto jeszcze dodać, że pułapka taka działa najlepiej wtedy, gdy jej prawdziwym celem jest tylko to, by Jedi, który ma być jej ofiarą, spędził kilka godzin albo dni w możliwie dalekim zakątku galaktyki. Tym sposobem nie będzie mógł pokrzyżować rzeczywistych planów organizatora.

A kiedy wreszcie powróci... będzie już za późno.

## ROZDZIAŁ

## 16

## CHWILA PRAWDY

Mace Windu stał w ciemnym pomieszczeniu centrum łączności Dowództwa Jedi, twarzą do naturalnej wielkości hologramu Yody. Obraz był nadawany z ukrytego stanowiska łączności Wookieech, w sercu wielkiego drzewa wroshyr na Kashyyyku.

- Kilka minut temu powiedział Mace - otrzymaliśmy potwierdzenie z Utapau: Kenobi odniósł sukces. Grievous nie żyje.

- Pora plan nasz wykonać.

- Osobiście zaniosę kanclerzowi wiadomość o śmierci Grievousa. -Mace zacisnął i rozluźnił dłonie. - Sam podejmie decyzję o zrzeczeniu się nadzwyczajnych uprawnień na rzecz senatu.

- Zapominać nie wolno o istnieniu Sidiousa. Przewidzieć mógł on twój ruch. Mistrzów będziesz potrzebował, jeśli przyjdzie ci z Lordem Sithów się zmierzyć.

- Wybrałem najlepszych: mistrza Tiina, mistrza Kolara i mistrza Fisto. Wszyscy są tu, w Świątyni. Już się szykują.

- A Skywalker? Wybraniec?

- Za duże ryzyko - odparł Mace. - Ja będę czwartym.

Yoda powoli zacisnął usta i jeszcze wolniej skinął głową.

- Na służbie zbyt długo byłeś, mój padawanie - powiedział. - Odpocząć musisz.

- Odpocznę, mistrzu. Gdy Republika znowu będzie bezpieczna. -Mace wyprostował się. - Czekamy tylko na twój głos.

- Dobrze zatem... mój głos masz. Niech Moc będzie z wami.

- I z tobą, mistrzu.

Odpowiedź zawisła w powietrzu, bo hologram zamigotał już i znikł.

Mace spuścił głowę i stojąc w ciemności, medytował przez chwilę.

Drzwi centrum łączności otworzyły się nagle. Żółtawy blask rozproszył mrok i wydobyl ciemną sylwetkę człowieka wspartego ciężko o ścianę.

- Mistrzu... - Głos przybysza był ochryplym półszepceniem. - Mistrzu Windu...?

- Skywalker? - Mace w jednej chwili był przy nim. - Co się stało? Jesteś ranny?

Anakin z rozpaczliwą siłą zacisnął dłoń na ramieniu mistrza i podciągnął się, by stanąć prosto.

- Obi-Wan... - powiedział cicho. - Muszę porozmawiać z Obi-Wanem!

- Obi-Wan wykonuje misję na Utapau; właśnie zniszczył generała Grievousa. Za chwilę idziemy do kanclerza, żeby poinformować go o tym i dopilnować, żeby ustąpił, tak jak obiecał...

- Ustąpił? Ustąpił... - powtórzył z goryczą Anakin. -Nie masz pojęcia...

- Anakin...? Co się dzieje?

- Posłuchaj mnie... musisz mnie wysłuchać... - Roztrzęsiony Anakin oparł się o niego. Mace otoczył młodego Jedi ramionami i poprowadził do najbliższego fotela. - Nie możesz... proszę, mistrzu Windu, daj mi słowo, obiecaj mi, że to będzie aresztowanie... obiecaj, że nie zrobicie mi krzywdy...

- Skywalker... Anakinie... musisz spróbować mi odpowiedzieć. Ktoś cię zaatakował? Zranił? Muszę wiedzieć, co się stało!

Anakin pochylił się i ukrył twarz w dłoniach.

Przed oczami Mace'a Windu nie majaczyła już widzialna tylko w Mocy, spleciona sieć linii uskoków, łącząca Anakina z Obi-Wanem i Palpatine'em. Jej miejsce zajął pojedynczy węzeł, z którego emanowała potęga zdolna zniszczyć planetę. Anakin Skywalker nie miał już w sobie punktów przełomu. Sam był teraz punktem przełomu.

Tym najważniejszym.

Wszystko zależało od niego.

Wszystko.

Mace odezwał się wolno, z ostrożnością, z jaką badałby bombę nieznanego typu, która w każdej chwili mogła eksplodować, unicestwiając wszechświat.

- Anakinie, spójrz na mnie. Skywalker uniósł głowę.

- Co ci się stało? Potrzebujesz...

Mace zmarszczył brwi. Oczy Anakina były przekrwione, a cała twarz sprawiała wrażenie opuchniętej. Przez długi czas mistrz nie był pewien, czy młody Jedi odpowie, czy jest w stanie odpowiedzieć, czy w ogóle jeszcze przemówi. Wydawało się, że zmagają się z czymś, rozpaczliwie walczy, jakby nie chciał dopuścić do narodzin potwora wykluwającego się w jego piersi.

Lecz w Mocy nie było żadnego „jakby”. Nic się nie „wydawało”. W Mocy Mace wyczuwał monstrum we wnętrzu Anakina Skywalkera. Prawdziwe monstrum - może nawet zbyt prawdziwe - które pożerało go od środka.

Strach.

To była ta rana, którą ktoś zadał Anakinowi. Rana, przez którą trząsał się, jękał i słał na nogach. Czarny strach wylągl się już w umyśle młodego rycerza Jedi i zabijał go.

Po chwili, która ciągnęła się całą wieczność, Anakin otworzył na-biegle krwią oczy.

- Mistrzu Windu... - powiedział wolno, z bólem, jakby każde słowo wrywało z niego żywcem kawał ciała. - Przynoszę... złe nowiny.

Mace wpatrywał się w niego z uwagą.

- Złe nowiny? - powtórzył.

Jakie nowiny mogły być aż tak złe, że odebrały siły takiemu Jedi jak Anakin Skywalker? Jakie nowiny mogły sprawić, że wyglądał tak, jakby zgasty wszystkie gwiazdy?

I wtedy, w siedmiu prostych słowach, Anakin powiedział mu prawdę.

Oto chwila, która definiuje Mace'a Windu.

Nie jego niezliczone zwycięstwa w boju i konflikty, które zażegnał metodą dyplomacji. Nie jego przenikliwy intelekt, talent do używania Mocy czy niezrównana technika walki mieczem świetlnym. Nie jego oddanie zakonowi Jedi czy Republice, której wiernie służy.

Ale to.

Właśnie tu.

Właśnie teraz.

Bowiem Mace także jest do czegoś przywiązany. Mace żywi skryte uczucie.

Mace Windu kocha Republikę.

Wielu uczniów Mace'a cytuje jego słowa własnym padawanom: *Jedi nie walczą o pokój. To tylko slogan, równie mylący jak wszystkie inne slogany. Jedi walczą o cywilizację, ponieważ jedynie cywilizacja przynosi pokój.*

Dla Mace'a Windu, przez całe jego życie, przez życie wszystkich Jedi w liczącej tysiące lat historii zakonu, prawdziwa cywilizacja miała tylko jedno imię: Republika.

Poświęcił życie w służbie tej miłości. Odbierał życie w jej imieniu winnym i niewinnym. Patrzył, jak w jej imieniu istoty, które były mu bliskie, tracą zdrowie, życie, a czasem nawet spotyka je jeszcze gorszy los: okropności wojny łamią w nich ducha i sprawiają, że jedyną dostępną im odpowiedzią na zbrodnię staje się jeszcze większa zbrodnia.

I właśnie z powodu tej miłości, tu, w tej sekundzie, siedem słów Anakina Skywalkera rozdziera jego serce, pali jego szczątki i rozsypuje popiół.

*Palpatine to Sidious. Kanclerz jest Lordem Sithów.*

Mace nie słyszy tych słów, nie pojmuje. Ich prawdziwy sens jest zbyt trudny, by mógł pomieścić się w jego umyśle.

Te słowa oznaczają, że wszystko, co uczynił i co jemu uczyniono...

Że wszystko, co osiągnął zakon i jakie poniósł ofiary...

Wszystko, co spotkało galaktykę, wszystkie lata cierpienia, rzezi, śmierci całych planet...

Wszystko to na nic.

Ponieważ wszystko to stało się w imię ocalenia Republiki.

Której już nie było.

Która już upadła.

Której truchła broni już tylko zakon Jedi. Truchła, które teraz znalazło się we władaniu Czarnego Lorda Sithów.

Cała egzystencja Mace'a Windu stała się naraz kryształem tak pełnym skaz, że uderzenie siedmiu słów wystarczyło, by zmienić ją w pył.

Ale Mace Windu nie byłby sobą, gdyby nie przyjął tego ciosu bez mrugnięcia okiem.

Nie byłby sobą, gdyby w ciągu sekundy nie zrósł się z pyłu z powrotem w skałę: w czystego mistrza Jedi, ważącego jedynie ryzyko zmierzenia się z Czarnym Lordem Sithów bez wsparcia Wybrańca...

.. .przeciwko ryzyku zmierzenia się z Czarnym Lordem Sithów przy wsparciu Wybrańca, którego strach pożera żywcem.

A że Mace Windu jest tym, kim jest, wybór ten nie jest dla niego żadnym wyborem.

- Anakinie, zaczekasz w Sali Rady, póki nie wrócimy.

- C... co? Mistrzu...

- To rozkaz, Anakinie.

- Ale... ale... ale kanclerz... - Skywalker broni się rozpaczliwie, ściskając rękę mistrza. - Co zamierzasz zrobić?

Wiele mówi o naturze Mace'a Windu fakt, że nawet teraz nie boi się prawdy, gdy odpowiada:

- Tylko to, co muszę.

W wirtualnej pustce HoloNetu spotykają się dwaj mistrzowie Jedi.

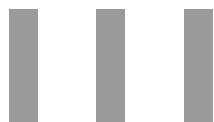
Jeden z nich jest sędziwą, drobną istotą o zielonkawej skórze i mądrych oczach. Stoi gdzieś na Kashyyyku w jaskini, wydrążonej w pniu ogromnego drzewa wroshyr. Drugi jest rosły i groźny. Siedzi przed dyskiem holoprojektora w Świątyni Jedi na Coruscant.

Są dla siebie nawzajem jedynie niebieskawymi duchami, powołanymi do istnienia przez lasery skanujące. Choć dzielą ich lata świetlne, ich umysły są jednością; nie ma wielkiego znaczenia to, który z nich wypowiada słowa.

Nareszcie znają prawdę.

Od ponad dekady Republika znajduje się w rękach Sithów.

Dwa błękitne duchy postanawiają zgodnie: trzeba ją odbić.



## A P O K A L I P S A

Ciemność jest szczodra, jest cierpliwa i zawsze zwycięża.  
Zawsze zwycięża, ponieważ jest wszędzie.  
Jest w drewnie płonącym w kominku i w kociołku zawieszonym nad ogniem; jest pod twoim fotelem, pod stołem i pod pościelą, która leży na twoim łóżku. Wyjdź w słoneczny dzień, a ciemność będzie ci towarzyszyć, uwiązana do podeszew twoich stóp.  
Najjaśniejsze światło rzuca najmroczniejszy cień.

## ROZDZIAŁ

# 17

### OBLICZE CIEMNOŚCI

Przygaszone dyski lamp były ledwie pierścieniami upiornej poświaty, zawieszonymi pośród mroku. Drogocenny blask światła Coruscant rzucał na podłogę długi i ostry jak ostrze noża cień fotela.

Tak wyglądał gabinet kanclerza.

W ciemnej plamie fotela zasiadł inny cień: głębszy, mroczniejszy, bezkształtny i nieprzenikniony; otchłań ciemności tak głęboka, że zdawała się wchłaniać światło z całego gabinetu.

I z miasta. Z planety.

Z galaktyki.

Cień czekał. Tak jak obiecał chłopakowi. I zamierzał dotrzymać słowa.

Dla odmiany.

Noc ogarnęła Świątynię Jedi.

Na lądowisko wieńczące gmach rozlała się prostokątna plama żółtego światła z otwartego włazu wahadłowca. Jego blask wyłowił z mroku twarze trzech mistrzów Jedi.

- Czułbym się lepiej, gdyby Yoda był z nami. - Nautolanin, wysoki i szeroki w barach, zdążył już podwiązać długie, gładkie macki wyrastające z głowy patiami ze zdo-bionej skóry. - Albo chociaż Kenobi. Na Ord Cestus, Obi-Wan i ja...

- Yoda utknął na Kashyyyku, a Kenobi jest na Utapau i nie mamy z nim kontaktu. Czarny Lord się ujawnił, więc nie wolno nam się zawahać. Nie ma żadnego „gdyby”, mistrzu Fisto; obowiązek spada na nas. I podołamy mu. - Mistrz rasy Iktotchi był nieco niższy i szczuplejszy od Nautolanina. Dwa długie rogi zwiślały z jego czoła w dół, aż do podbródka. Kilka miesięcy wcześniej stracił w bitwie jeden z nich. Bacta przyspieszyła regenerację i niegdyś okaleczony róg nie różnił się już niczym od drugiego. - Podołamy - powtórzył. - Musimy.

- Spokój - odezwał się trzeci mistrz, Zabrak. Rosa na tępych i krótkich rogach sterczących z jego czaszki błyszczała w żółtym świetle jak pot. Jedi wskazał ręką na drzwi Świątyni, które właśnie się otworzyły. - Windu już idzie.

O zmroku na niebie pojawiły się chmury; teraz zaczął z nich padać deszcz. Mistrz Windu pochylił nisko ogoloną głowę, a dłonie ukrył w szerokich rękawach płaszcza.

- Mistrzynie Ti i Odźwierny Jurokk pokierują obroną Świątyni - powiedział, gdy zbliżył się do pozostałych. - Wyłączamy wszystkie transpondery nawigacyjne i światła sygnalizacyjne. Uzbroiliśmy starszych padawanów; wszystkie drzwi pancerne są już zamknięte i zakodowane. - Mace Windu popatrzył po twarzach towarzyszy. - Czas na nas.

- A Skywalker? - Zabracki mistrz pochylił głowę, jakby wyczuł dalekie zakłócenie Mocy. - Co z Wybrańcem?

- Będzie czekał na nas w sali Rady. - Mace spojrzął posepnie na Wieżę Wysokiej Rady, mrużąc oczy w coraz intensywniejszym deszczu. Wyjął ręce z rękawów; trzymał w dłoni rękojeść miecza świetlnego. - Spełnił swój obowiązek, mistrzowie. Teraz my spełnimy nasz.

Przeszedł między nimi i zniknął we wnętrzu statku.

Pozostali trzech mistrzowie zastygli na moment w wymownym milczeniu, a potem Agen Kolar skinął głową jakby do siebie i podążył śladem Mace'a. Saasee Tiin poglądził swój nowy róg i ruszył za nim.

- A ja i tak bym wolał, żeby Yoda był z nami... - mruknął Kit Fisto, nim wszedł na pokład.

Gdy zamknął się właz wahadłowca, Świątynię Jedi ogarnął nocny mrok.

Tymczasem w sali posiedzeń Rady Jedi samotny Anakin Skywalker walczył ze swoim smokiem.

I przegrywał.

Nerwowym krokiem przemierzał na oślep salę Rady, potykając się o niskie fotele. Nie wyczuwał zawirowań Mocy wokół siebie; nie czuł nawet śladowej aury mistrzów Jedi, którzy zasiadali na tych prastarych siedziskach.

Nie przypuszczał, że istnieje we wszechświecie tak wiele bólu.

Fizyczne cierpienie umiałyby znieść, nawet nie znając technik Jedi; zawsze był twardy. W wieku czterech lat potrafił wytrzymać bez jęku najcięższe bicie, jakie tylko mógł mu sprawić Watto.

Nic jednak nie przygotowało go na to, co teraz przeżywał.

Miał ochotę rozerwać sobie pierś i gołymi rękami wyrwać serce.

- Co ja narobiłem? - powtarzał, z początku cichym, jęklwym głosem, który po chwili przeszedł w niepowstrzymane, głośnie wycie. - Co ja narobiłem?!

Znał odpowiedź: spełnił swój obowiązek.

Tylko nie mógł pojąć, dlaczego to zrobił.

*Gdy ja umrę, moja wiedza umrze wraz ze mną.* Palpatine mówił tak spokojnie, tak ciepło, tak rozsądnie...



Gdziekolwiek Anakin spojrział, widział jedynie twarz kobiety, którą kochał ponad wszystko. Kobiety, której oddał przez swoje ciało całą miłość, jaka istniała w galaktyce. We wszechświecie.

Nie obchodziło go, co robiła. Nie dbał o spiski, kliki i tajemne pakt. Zdrada nie znaczyła dla niego już nic. Padme była wszystkim, miłością niepodobną do innych, a on... patrzył na jej śmierć.

Jakimś sposobem jego rozpacz zmieniła się w niewidzialną rękę rozciągniętą w Mocy; rękę, która odnalazła Padme w dalekim apartamencie, w zupełnej ciemności; rękę, która wyczuła w mroku miękkość jej skóry i gładkie pukle włosów; rękę, która zmieniła się w pole czystej energii, czystego uczucia, które wniknęło w jej ciało...

Teraz ją poczuł. Naprawdę poczuł ją w Mocy, jakby i ona była Jedi, ale chodziło tu o coś więcej: czuł więź, głębszą i bardziej intymną niż jakiegokolwiek emocje, które łączyły go z innymi ludźmi, nawet z Obi-Wanem. Przez bezcenną, nieskończenie krótką chwilę był nią... Był rytmem jej serca i ruchem jej ust, był cichymi słowami, które wypowiadała jak modlitwę do gwiazd...

*Kocham cię, Anakinie. Jestem twoja, w życiu i śmierci, dokądkolwiek pójdziesz i cokolwiek zrobisz, zawsze będziemy jednością. Nigdy nie trać wiary we mnie, ukochany. Jestem twoja.*

... a jej czystość, jej namiętność i prawda jej miłości wniknęły w niego i sprawiły, że każdy atom jego ciała krzyczał do Mocy: jak mogę pozwolić jej umrzeć?!

Moc nie miała dla niego odpowiedzi. Miał ją za to smok.

*Wszystko umiera, Anakinie Skywalkerze. Nawet gwiazdy się wypalają.*

Choćby nie wiem jak bardzo się starał przywołać je na pomoc, ani mądrości Yody, ani nauki Obi-Wana, ani żaden strzęp tradycji Jedi nie dawały mu dość siły, by mógł zdusić smoka.

Lecz przecież istniała odpowiedź; słyszał ją ledwie poprzedniej nocy.

*Chyba zgodzisz się ze mną, że gdy ktoś dysponuje taką wiedzą, to podtrzymanie życia w kimś, kto już żyje, wydaje się dziecinną igraszką?*

Anakin przystanął. Ból niepewności minął.

Palpatine miał rację.

To naprawdę było proste.

Musiał jedynie zdecydować, czego naprawdę chce.

Noc, która zapadała na Coruscant, rozprzestrzeniała się na całą galaktykę.

Mrok w Mocy nie przeszkadzał cieniowi w gabinecie kanclerza; on sam był przecież ciemnością. Gdziekolwiek pojawiał się mrok, tam cień mógł sięgnąć zmysłami.

Tej nocy wyczuwał rozpacz chłopaka i... to było dobre. Wyczuwał także ponurą determinację czterech mistrzów Jedi, którzy zbliżali się drogą powietrzną.

I to też było dobre.

Gdy wahadłowiec Jedi lądował na platformie opodal kanclerskiego biura, cień wysłał swój umysł w miejsce jeszcze bardziej mroczne: do wnętrza jednej z kilku rzeźb, które zdobiły jego gabinet. Była to abstrakcyjnie skrzyta bryła litego neuranium, tak ciężka, że musiano specjalnie wzmocnić podłogę, by wytrzymała jej ciężar. Neuranium

miało tak wielką gęstość, że przedstawiciele co bardziej wrażliwych gatunków potrafili z bardzo bliska dostrzec miniaturowe ugięcia czasoprzestrzeni w polu grawitacyjnym bryły.

Warstwa neuranium o grubości większej niż milimetr jest nieprzepuszczalna dla wszelkich czujników; nic więc dziwnego, że standardowe sensory systemu bezpieczeństwa, których działaniu poddawano wszelki sprzęt wwożony do gmachu Biur Senatu, nie wykryły w rzeźbie niczego podejrzanego. Gdyby jednak ktoś pomyślał o tym, by użyć zaawansowanego modelu detektora grawimetrycznego, zapewne by odkrył, że niewielka część bryły jest nieco mniej gęsta, niż zapisano to w manifeście, który wraz z nią i innymi rzeczami osobistymi - wówczas jeszcze ambasadora Palpatine'a - przywieziono z Naboo. W dokumencie owym zapisano jednoznacznie, że jest to rzeźba z litego, kutego neuranium.

Manifest był kłamstwem. Rzeźba nie była jednorodna i nie wykonano jej wyłącznie z neuranium.

We wnętrzu długiej i wąskiej skrytki, otoczonej kutym neuranium, w absolutnej, nieprzeniknionej ciemności, od dziesięcioleci spoczywało pewne urządzenie.

Czekało na zapadnięcie nocy, by uderzyć w Republikę.

Cień wyczuwał kroki mistrzów Jedi w przestronnym, wysokim holu na zewnątrz biura. Prawie słyszał stukot obcasów na alderańskim marmurze.

Mrok ukryty we wnętrzu rzeźby szeptał wyraźnie o kształcie, dotyku, nawet delikatnym rezonansie przedmiotu, który był w niej zamknięty. Cień sięgnął wolą do środka bryły i uruchomił urządzenie.

Neuranium zaczęło się rozgrzewać.

Na powierzchni pojawiła się okrągła plama koloru zakrzepłej krwi, nie większa niż kółko, jakie małe dziecko mogłoby nakreślić kciukiem i palcem wskazującym.

Plama zmieniła kolor: miała teraz barwę świeżej krwi.

Potem płomienia.

I wreszcie promień szkarłatnej energii uwolnił się z wnętrza, zalewając gabinet poświętą w kolorze gwiazd widzianych przez lunę płonących planet.

Promień wydłużył się jeszcze, czerpiąc moc z wnętrza urządzenia, a potem zgasł nagle i samo urządzenie wysliznęło się ze skrytki wprost w miękką ciemność luźnego rękawa.

Gdy krzyki Mocy zasygnalizowały porażkę gwardzistów z Czerwonej Straży, cień skinął palcem i w pokoju zapaliły się lampy. Kolejny krzyk Mocy z impetem otworzył drzwi do prywatnego gabinetu kanclerza. W chwili, gdy Jedi minęli próg, ostatni impuls woli cienia uruchomił ukryte w biurku urządzenie rejestrujące.

Rejestrujące wyłącznie dźwięk.

- Och, mistrz Windu - odezwał się cień. - Cóż za miła niespodzianka.

Shaak Ti wyczuła, że się zbliżał, zanim jeszcze go ujrziała. Zagłębienia wrażliwe na infra- i ultradźwięki, ułożone we wnętrzu wygiętych montrali po obu stronach jej głowy, działały podobnie jak zmysł dotyku: tekstura coraz głośniejszych kroków była wystrzępiona jak tkanina starego worka. Gdy wyłonił się zza rogu korytarza, zmierzając

w stronę wyjścia na lądowisko, jego oddech był chropawy jak sterta żwiru, a bicie serca kłuło jak rogi na głowie Zabراكa.

Nie wyglądał dobrze; był blady jak śmierć - nawet jak na człowieka - a jego oczy były mocno przekrwione.

- Anakin - powitała go z ciepłą nutą w głosie. Być może tym, czego potrzebował, było dobre słowo; wątpiła, żeby usłyszał ich wiele od Mace'a Windu. - Dziękuję za to, co zrobiłeś. Zakon Jedi jest twoim dłużnikiem, podobnie jak cała galaktyka.

- Shaak Ti. Zejdź mi z drogi.

Wyglądał na wstrząśniętego, lecz nie było ani śladu niepewności w jego głosie. Jego brzmienie było głębsze niż to, które pamiętała, bardziej dojrzałe, a także podszyte władczością, której dotąd nie zauważyła.

Nie uszło jej uwagi i to, że nie nazwał jej mistrzynią.

Wystawiła dłoń, wysyłając poprzez Moc dawkę uspokajającej energii-

- Świątynia jest zamknięta, Anakinie. Drzwi są zablokowane i zakodowane.

- A ty stoisz mi na drodze do lądowiska.

Odsunęła się, by go przepuścić. Nie miała powodu zatrzymywać go tutaj wbrew jego woli. Pospiesznie wpisał kod.

- Jeżeli Palpatine podejmie działania odwetowe - zauważyła rozsądnie - czy nie powinieneś być tutaj, żeby pomóc nam w obronie?

- Jestem Wybrańcem. Moje miejsce jest tam. - Oddech Skywalkera był teraz jeszcze bardziej urywany, a jego twarz z każdą chwilą wyglądała mniej zdrowo. - Muszę tam być. Tak mówi przepowiednia, prawda? Muszę tam być...

- Dlaczego, Anakinie? Polecieli tam najlepsi mistrzowie zakonu. Jak mógłbyś im pomóc?

Drzwi rozsunęły się wreszcie.

- Jestem Wybrańcem - powtórzył Skywalker. - Nie można zmienić przepowiedni. - Zrobię...

Spojrzał na nią oczami, które umierały, a jego twarz na moment wykrzywił grymas nieznośnego bólu. Shaak Ti wyciągnęła ku niemu rękę. Powinien był leżeć w izbie chorych, a nie mieszać się do czegoś, co mogło okazać się brutalną bitwą. Odsunął się gwałtownie.

- Zrobię to, co powinienem zrobić - dokończył, a potem wybiegł w noc i deszcz.

[Poniższe zdania są transkrypcją nagrania audio, które zostały przedstawione Senatowi Galaktycznemu po południu pierwszego Dnia Imperium; tożsamość wszystkich osób biorących udział w zajściu została potwierdzona poprzez analizę próbek głosu].

PALPATINE: Och, mistrz Windu. Cóż za miła niespodzianka.

MACE WINDU: Nie powiedziałbym, że niespodzianka, kanclerzu. I dla żadnego z nas nie będzie miła.

PALPATINE: Słucham? O, witaj, mistrzu Fisto. Mistrzu Kolar, mam nadzieję, że zdrowie dopisuje? Mistrzu Tiin, widzę, że twój róg już odrósł; bardzo mnie

to cieszy. Co sprowadza czterech mistrzów Jedi do mojego biura o tak późnej porze?

MACE WINDU: Wiemy, kim jesteś. I czym jesteś. Przyszliśmy, żeby cię zatrzymać.

PALPATINE: Słucham? A czymże ja jestem? Kiedy ostatnio sprawdzałem, byłem Wielkim Kanclerzem Republiki, któremu przysięgaliście służyć. Mam nadzieję, że źle zrozumiałem słowo „zatrzymać”, mistrzu Windu. Trać mi to zdradą.

MACE WINDU: Jesteś aresztowany.

PALPATINE: Doprawdy, mistrzu Windu, chyba nie mówisz poważnie? Pod jakim zarzutem, jeśli wolno spytać?

MACE WINDU: Jesteś Lordem Sithów!

PALPATINE: Czyżby? A nawet jeśli to prawda, to chyba nie jest to zbrodnia. Poglądy filozoficzne są moją prywatną sprawą. Co więcej, gdy po raz ostatni czytałem konstytucję, przypomniałem sobie, że istnieje prawo, które surowo karze za tego rodzaju prześladowania. Pytam więc po raz drugi: na czym polega moja domniemana zbrodnia? I jak chcecie wytłumaczyć ten bunt przed senatem? A może i senat zamierza aresztować?

MACE WINDU: Nie przyszliśmy tu, żeby się z tobą spierać.

PALPATINE: Oczywiście, przysięście tu, żeby mnie uwięzić bez sądu. Nie próbując nawet zachować pozorów legalności. Nareszcie przejrzałem wasz plan: Jedi przejmują władzę w Republice.

MACE WINDU: Pójdiesz z nami. Teraz.

PALPATINE: Tego nie zrobię. Jeżeli chcecie mnie zamordować, możecie to zrobić tutaj.

MACE WINDU: Nie próbuj stawiać oporu.

[Dźwięki zidentyfikowane przez rezonans częstotliwości jako odgłosy włączania kilku mieczy świetlnych].

PALPATINE: Oporu? W jaki sposób miałbym wam się oprzeć? To jest morderstwo, Jedi, wy zdrajcy! Jakim jestem dla was zagrożeniem?! Mistrzu Tiin, ty jesteś telepatą. Powiedz, o czym teraz myślę?

[Odgłosy szamotaniny],

KIT FISTO: Saesee...

AGEN KOLAR: [Niewyraźnie; być może: „To nie boli" (?)]

[Odgłosy szamotaniny].

PALPATINE: Pomocy! Pomocy! Straż!... Niech mi ktoś pomoże! Ratunku! Mordercy! Zdrada!

[Koniec nagrania].

Fontanna ametystowej energii wytrysnęła z zaciśniętej pięści Mace'a Windu.

- Nie próbuj stawiać oporu.

Melodię jego klingi powtórzyły zaraz zielone ostrza mieczy Kita Fisto, Agena Kolar i Saesee Tiina. Kolar i Tiin zbliżyli się do Palpatine'a, odcinając mu drogę do

drzwi. Cienie i plamy światła zmieniały kolor i kształt, pełzając po ścianach, meblach i podłodze.

- Oporu? W jaki sposób miałbym wam się oprzeć? - Wciąż siedząc za biurkiem, Palpatine pogroził im bezradnie pięścią w idealnej imitacji gestu starego, zmęczonego i przerażonego człowieka. - To jest morderstwo, Jedi, wy zdrajcy! Jakim jestem dla was zagrożeniem?!

To powiedziawszy, z dramatycznym gestem zwrócił się do Saesee Tiina:

- Mistrzu Tiin, ty jesteś telepatą. Powiedz, o czym teraz myślę?

Tiin zmarszczył czoło i pochylił głowę. Czubek jego miecza opadł nieznacznie. Smuga ciemności naznaczonej czerwonym błyskiem wystrzeliła zza biurka.

Głowa Saesee Tiina podskoczyła, gdy upadła na podłogę.

Smuzka dymu uniosła się nad kikutami szyi i bliźniaczych rogów, odciętych tuż pod brodą mistrza.

- Saesee! - jęknął Kit Fisto.

Bezglówne ciało stało przez krótką chwilę, nim kolana ugięły się pod nim. Wtedy, z cichym westchnieniem powietrza uchodzącego z przeciętej tchawicy, opadło na podłogę.

- To nie... - Agen Kolar zachwiał się nagle.

Jego szmaragdowe ostrze zniknęło, a rękojeść miecza wypadła z otwartej dłoni. Z małej, okrągłej dziurki pośrodku czoła uniół się dym. Cios przebił jego głowę na wyłot.

- ...boli...

Agen Kolar upadł na twarz i znieruchomiał. Palpatine stał teraz przy drzwiach, ale nie otworzył ich. W prawej dłoni trzymał klingę koloru ognia.

Zamki drzwi szczęknęły za jego plecami.

- Pomocy! Pomocy! - krzyknął Palpatine głosem człowieka, który znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. - Straż!... Niech mi ktoś pomoże! Ratunku! Mordercy! Zdrada!

A potem uśmiechnął się.

Przyłożył palec do ust i, o dziwo, mrugnął porozumiewawczo.

W ciągu sekundy, gdy zdumieni Mace Windu i Kit Fisto zdążyli jedynie unieść miecze, by wyżej trzymać gardę, Palpatine przeskoczył nad ciałami i znowu znalazł się przy swoim pulpicie. Zmienił uchwyt dłoni na rękojeści miecza i z chirurgiczną precyzją wbił klingę z góry w blat biurka.

- Wystarczy już tego.

Pozwolił, by ostrze wypaliło sobie drogę przez przednią ścianę biurka, po czym odwrócił się i uniół broń, przyglądając się jej tak, jakby była najdroższym przyjacielem, którego zobaczył po latach, a uważał od dawna za zmarłego. Zbierał w sobie siłę, aż Moc zawibrowała ciemnością.

- Gdybyście tylko wiedzieli - odezwał się cicho, zwracając się może do mistrzów Jedi, a może do siebie i szkarłatnego ostrza, które uniół w parodii szermierczego salutu - jak długo na to czekałem...

Śmigacz Anakina mknął w deszczu, omijając błyskawice, które niekiedy łączyły wierzchołki wieżowców z ciemnymi chmurami. Prześlizgiwał się w poprzek szlaków powietrznej komunikacji i sunął wzdłuż ścian budynków tak blisko, że fala uderzenia pracujących repulsorów rozbiła szyby.

Nie rozumiał, dlaczego ludzie po prostu nie schodzą mu z drogi. Nie pojmował, dlaczego bilion mieszkańców Galaktycznej Stolicy musiał zajmować się swoimi trywialnymi sprawami akurat w tej chwili, jakby nic się we wszechświecie nie zmieniło. Jak mogli sądzić, że cokolwiek znaczą w porównaniu z nim?

Jak mogli sądzić, że w ogóle coś znaczą?

Ich ślepe żywoty nie liczyły się już. Nikt nie był ważny. W oddali piętrzył się gmach Biur Senatu, a w jego ścianie Anakin widział już okno, w którym pojawiało się echo błyskawic przecinających niebo -tyle że te za transpastalową taflą były błyskawicami w kolorach świetlnych mieczy.

Zielone kręgi, smugi purpury...

I szkarłatny płomień.

Przybył za późno.

Zielony ogień przygasał i zniknął; teraz błyskawice za szybą miały tylko purpurową i czerwoną barwę.

Repulsory zawyły, gdy Anakin przechylił maszynę na bok, by w pełnym turbulencji powietrznym ślizgu wyhamować tuż przed ścianą. Śmigacz zakołysał się i znieruchomiał przed oknem prywatnego biura Palpatine'a. Potężna błyskawica uderzyła w iglicę zespołu gmachów Pięćsetki Republiki, ledwie o kilometr dalej. Szyba odbiła jaskrawe, białe światło, na moment oślepiając Anakina. Zamrugał wściekle i roztarł powieki rękami.

Bezbarwna, jasna plama zniknęła wreszcie sprzed jego oczu, powoli odsłaniając nieruchome ciała spoczywające na podłodze gabinetu kanclerza.

Ciała w szatach Jedi.

Na biurku Palpatine'a leżała głowa Kita Fisto; rozpuszczone macki spoczęły na blacie, upodabniając ją do ośmiornicy. Oczy bez powiek wpatrywały się nieruchomo w sufit. Anakin pamiętał mistrza Fisto z areny na Geonosis, gdzie bez wysiłku wycinał sobie drogę przez kolejne fale robotów bojowych. Uśmiechał się wtedy, jakby cała ta straszliwa bitwa była co najwyżej przyjacielskim żartem. Usta jego odciętej głowy układały się teraz w identyczny uśmiech.

Być może i śmierć uważał za zabawne doświadczenie.

Błękitna klinga Anakina obudziła się ze świstem i wbiła w taflę okna. Sekundę później wskoczył w wyciętą dziurę i z szybkim przewrotem wśród martwych ciał stanął na nogi. Puścił się sprintem w stronę krótkiego korytarza i dalej, ku otwartym drzwiom, zza których dobiegały błyski energetycznych ostrzy.

Zatrzymał się u wejścia do większej sali.

W oficjalnym gabinecie Wielkiego Kanclerza Republiki Galaktycznej ostatni mistrz Jedi toczył samotny bój na miecze z żywym cieniem.

Zagłębiając się w Vaapad, Mace Windu walczył o życie.

Walczył też o coś więcej: każdy obrót klingi, każde spotkanie energetycznych błyskawic, każdy cios był ciosem w obronie demokracji, sprawiedliwości i pokoju, w obronie prawa zwykłych istot do życia w zgodzie z własnymi przekonaniem.

Walczył o Republikę, którą kochał.

Vaapad, siódma forma walki na miecze świetlne, wziął swoją nazwę od cieszącego się złą sławą niebezpiecznego drapieżnika z księżyców Sarapina. Stworzenie to atakuje zdobyczą, chłostając ją mackami z oszalamiającą prędkością. Każdy osobnik ma takich macek co najmniej siedem, ale często zdarzają się i takie, które mają ich dwanaście; największy osobnik, jakiego kiedykolwiek zabito, miał dwadzieścia trzy macki. Nie sposób ich policzyć, póki vaapad żyje - poruszają się na to stanowczo zbyt szybko. Zbyt szybko, by w ogóle je dostrzec.

Podobnie jak broń Mace'a.

Vaapad jest stylem agresywnym i potężnym jak zwierzę, od którego wziął swoją nazwę, ale siłę tę zyskuje za cenę wielkiego ryzyka: zagłębienie się w Vaapad otwiera bramy, które powstrzymują mrok ukryty we wnętrzu wojownika. Chcąc stosować tę formę walki, Jedi musi pozwolić sobie na znajdowanie przyjemności w boju; musi oddać się emocjom towarzyszącym pojedynkowi na śmierć i życie. Musi pragnąć zwycięstwa. Vaapad jest ścieżką do przedśionka Ciemnej Strony.

Mace Windu stworzył ten styl i był jego jedynym żyjącym mistrzem.

Teraz nadeszła pora na ostateczną próbę Vaapadu.

Anakin zamrugał i znowu potarł powieki. Możliwe, że wciąż odczuwał skutki nie-dalekiego rozbłysku, bo mistrz z Haruun Kai zniknął chwilami i pojawiał się, na wpół połknięty przez gęstniejący, czarny obłok, w którym tańczyła metrowa klinga słonecznego ognia. Mace odpychał ciemność, atakując nieustępliwie, wciąż pracując do przodu. Jego charakterystyczny, ametystowy miecz, który dla tak wielu złych istot w galaktyce był ostatnią rzeczą, jaką widziały przed śmiercią również był źródłem swoistego obłoku - połyskliwej sfery purpurowego ognia. Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że w rękach mistrza wiruje we wszystkie strony nie jeden, lecz tuzin mieczy.

A cień, z którym walczył, ta niewiarygodnie szybka, czarna plama - czy to mógł być Palpatine?

Ostrza błyskały w powietrzu i zderzały się ogniście, plotąc sieć zabójczej energii w wymianach ciosów tak szybkich, że nawet Anakin nie mógł za nimi nadążyć...

Mógł za to wyczuć je w Mocy.

A sama Moc burzyła się i wirowała wokół walczących, eksplodując potęgą i oślepiając szybkimi rykoszetami zabójczej woli.

I ciemniała coraz bardziej.

Anakin wyczuwał, jak Moc karmi się morderczym szalem cienia; wyczuwał gniew, który sączył się w Moc przez trujące miazmaty w sercach obu wojowników.

Nie było tu miejsca na samokontrolę Jedi.

Mace Windu szedł na całość.

Mace zabrnął bardzo głęboko - dał się pochłonąć Vaapadowi i tak naprawdę przestał istnieć jako niezależna istota.

Vaapad jest kanałem ciemności płynącej w obie strony. Jedi akceptował niesamowitą szybkość Lorda Sithów, wysysał jego wściekłość i potęgę, skupiając je w sobie...

A potem je uwalniał.

Odbijał nienawiść z powrotem do jej źródła, jak miecz świetlny odbija blasterowy bolt.

Był kiedyś taki czas, że Mace Windu obawiał się mocy ciemności. Był czas, że obawiał się ciemności w samym sobie. Wojny Klonów dały mu jednak dar zrozumienia: na planecie zwanej Haruun Kai spotkał się z własnym mrokiem i przekonał się, że jego potęgi nie należy się lękać.

Przekonał się, że to strach daje ciemności siłę.

Nie bał się więc. Mrok nie miał nad nim władzy.

Ale...

On także nie miał władzy nad mrokiem.

Vaapad uczynił z niego otwarty kanał, połowę nadprzewodzącego obwodu, którego dopełnieniem był przeciwnik cień. Obaj stali się falą walki, wypełniającą każdy centymetr sześcienny gabinetu kanclerza. Nie było ani skrawka dywanu, ani jednej drzazgi w fotelu, które nie mogłyby w dowolnej sekundzie zostać unicestwione w rozbłysku czerwieni lub purpury. Stojaki lamp stawały się na chwilę tarczami i zaraz fruwały w powietrze, pocięte na kawałki. Kanapy były nierównościami terenu, na które wspinali się obaj, by atak zyskał dodatkowy impet; czasem przeskakiwali je, wycofując się przed nawałnicą ciosów. Wciąż jednak był to zamknięty, nieskończony, cykliczny obieg energii - żaden z walczących nie został ranny; nie czuli nawet możliwości zmęczenia.

Impas.

Mogłoby to trwać w nieskończoność, gdyby Vaapad był jedynym darem Mace'a.

Walczył teraz bez wysiłku; pozwolił ciału działać bez interwencji umysłu. Podczas gdy jego miecz wirował, zadając i parując ciosy; gdy stopy zmieniały pozycję, przejmując naprzemiennie ciężar ciała; gdy ramiona kreśliły łuki według optymalnej trajektorii - jego umysł zamykał obwód mrocznej siły, kierując ją z powrotem ku jej nieograniczonemu źródłu.

I próbował znaleźć w nim punkt przełomu.

Odszukał Mocą splot linii uskoków w przyszłości cienia. Wybrał najgłębsze pęknięcie i podążył jego śladem aż do chwili obecnej, do tego miejsca...

Ku swemu zdumieniu stwierdził, że trop ten doprowadził go do człowieka, który stał w otwartych siłach drzwiach, nieruchomo jakby raził go grom. Mace nie musiał patrzeć w jego stronę; jego aura w Mocy była wyraźna i znajoma, a przy tym podnosząca na duchu jak promień słońca, który przebija burzowe chmury.

Wybraniec przybył.

Mace przerwał zwanie, odpychając klingę cienia, i skoczył w stronę okna. Jedynym ruchem wyciął wielki płat transpastali. Moment nieuwagi miał swoją cenę: mroczna fala Mocy porwała go niemal natychmiast w stronę dziury, którą sam zrobił w szy-

bie. Jedynie rozpaczliwe pchnięcie Mocy pozwoliło mu zmienić wektor działania siły na tyle, że zderzył się z kolumną wspierającą strop, zamiast wylecieć w półkilometrową przepaść ciągnącą się za wąskim zaokiennym gzymsem. Oskoczył jeszcze raz, pozwolił, by Moc oczyściła jego umysł i ponownie oddał się Vaapadowi.

Czuł, że koniec bitwy jest już bliski. Podobną pewność musiał mieć Sith - w Mocy walczący cień był istnym pulsarem strachu. Łatwo, niemal bez wysiłku, Mace zmienił strach cienia w niebezpieczną broń: pokierował walką tak, by obaj znaleźli się za oknem, na gzymsie.

Tam, gdzie wiał wiatr. Tam, gdzie były pioruny. Na śliskim od deszczu, wąskim gzymsie nad półkilometrową otchłanią.

Tam, gdzie strach sprawił, że cień się zawahał. Tam, gdzie strach kazał cieniowi zamienić część wspomaganą Mocą szybkości na wspomaganą Mocą przyczepność do śliskiego permabetonu.

Tam, gdzie Mace mógł wykonać jedno precyzyjne cięcie i rozpołowić miecz cienia.

Jedna część rękojeści wpadła z powrotem do gabinetu przez wyciętą w oknie dziurę. Druga wysunęła się z dłoni Sitha, odbiła od gzymsu i wraz ze strugami deszczu pomknęła w dół, ku niewidzialnej, dalekiej ulicy.

Cień był teraz tylko Palpatine'em: starym i skurczonym ze strachu, o twarzy wykrzywionej zmęczeniem i rzadkich włosach wybielonych upływem lat i trosk.

- Mimo twojej potęgę nie jesteś Jedi. Jesteś, mój panie - rzekł Mace spokojnie, spoglądając na kanclerza zza klingi miecza - aresztowany.

- Widzisz, Anakinie? Widzisz? - Głos Palpatine'a znowu był złamanym głosem przerażonego starca. - Czy nie ostrzegałem cię przed zdradą Jedi?

- Oszczędź sobie pokrętnych słów, kanclerzu. Nie ma tu ani jednego polityka. Sithowie nigdy nie przejmą kontroli nad Republiką. To już koniec. Przegrałeś. - Mace opuścił trochę miecz. - Przegrałeś z tej samej przyczyny, która zawsze przynosi Sithom porażkę: pokonał cię twój własny strach.

Palpatine uniósł głowę i spojrzał na Mace'a nienawistnie.

- Głupcze - wycedził.

Uniósł ramiona; widok zakrzywionych jak szpony palców i szaty rozwianej niczym ciemne skrzydła przywodził na myśl postać drapieżnego ptaka.

- Głupcze! - zagrzmiął tym razem Palpatine. - Naprawdę sądzisz, że strach, który wyczuwasz, jest mój?

Pod chmurami zajaśniał piorun i w tym samym momencie błyskawice przylgnęły do dłoni Sitha. Mace nie miał czasu zastanawiać się nad słowami kanclerza; zdążył jedynie zanurzyć się ponownie w Vaapad i ustawić miecz tak, by przechwytywał widlaste zygzyki czystej, oślepiającej nienawiści.

Vaapad jest bowiem czymś więcej niż tylko stylem walki. Jest stanem umysłu, kanałem ciemności. Potęga przepływała przez Mace'a, nie czyniąc mu żadnej krzywdy.

Był to obwód zamknięty: błyskawice powracały do źródła.

Palpatine zachwiał się i warknął wściekle, ale wyładowania energii eksplodujące z jego dłoni nie osłabły; raczej przybrały na sile.

Karmił swoją siłą bólem.

- Anakin! - zawołał Mace. Jego głos był daleki, niewyraźny, jakby dochodził z dna studni. - Anakinie, pomóż mi! To twoja szansa!

Wyczuł, że Skywalker skoczył w stronę gzymsu, że jest coraz bliżej... A Palpatine nie czuł teraz strachu.

Mace wyczuwał to doskonale: Sith nie obawiał się nowego przeciwnika.

- Zniszcz tego zdrajcę - odezwał się kanclerz, przekrzykując ryk błyskawic, które łączyły jego dłonie z klingą Mace'a. - To nie miało być aresztowanie! To morderstwo!

Teraz dopiero Mace zrozumiał. Dostrzegł klucz do ostatecznego zwycięstwa. Punkt przełomu Palpatine'a. Absolutny punkt przełomu Sithów.

Punkt przełomu Ciemnej Strony.

Palpatine ufa Anakinowi Skywalkerowi, zdumiał się w duchu.

Anakin stał już u jego boku. Palpatine wciąż nawet nie próbował bronić się przed Skywalkerem; zwiększył tylko moc błyskawic, spychając purpurowe ostrza ku twarzy mistrza z Haruun Kai.

Jego oczy lśniły potęgą a ich żółte spojrzenie zdawało się przepalać nawet deszcz.

- To zdrajca, Anakinie. Zniszcz go.

- Anakinie, jesteś Wybrańcem - powiedział z wysiłkiem Mace. Vaapad już nie wystarczał; brakowało mu energii, by obronić się przed własnym ostrzem. - Powal go. To twoje przeznaczenie.

- Przeznaczenie... - powtórzył cicho Skywalker.

- Pomóż mi! Nie wytrzymam dłużej! - Żółty blask, którym emanowały dotąd oczy Palpatine'a, przebijał teraz jego ciało. Skóra Sitha falowała, jak gdyby wypalały się ukryte pod nią mięśnie, jakby miękkie kości czaszki, by ugiąć się i wyrzucić pod wpływem temperatury i ciśnienia elektrycznej nienawiści. - Anakin! On mnie zabija! Proszę!... Aaaa...

Ostrze było tak blisko twarzy Mace'a, że zaczynał dusić się ozonem.

- Anakinie... on jest za silny...

- Aaaa... - Ryk Palpatine'a, zagłuszający huk niekończących się błyskawic, zmienił się w gasnący jęk rozpacz.

Wyładowania zniknęły nagle. Zostały tylko noc i deszcz... i pomarszczony starzec klęczący na śliskim gzymsie.

- Ja... nie mogę. Poddaję się. Jestem... jestem za słaby. Za stary i za słaby. Nie zabijaj mnie, mistrzu Jedi. Proszę... Poddaję się.

Radość zwycięstwa wypełniła obolałe ciało Mace'a. Uniósł miecz nieco wyżej.

- Sithowa zaraza...

- Czekaj! - Skywalker chwycił go za ramię z siłą rozpacz. - Nie zabijaj go. Nie możesz go zabić, mistrzu...

- Owszem, mogę - odparł Windu, ponuro i z przekonaniem. - Muszę.

- Przyszedłeś, żeby go aresztować. Czekaj go proces...

- Proces byłby komedią. On kontroluje sądy. Kontroluje też senat...

- Więc ich wszystkich także zabijesz? Tak jak powiedział kanclerz?

Mace siłą uwolnił ramię.

- Jest zbyt niebezpieczny, by żyć. Czy darowałbyś życie Dooku, gdybyś mógł?  
Z twarzy Anakina zniknął ślad wszelkich uczuć.  
- To było coś innego...  
Mace odwrócił się ku skulonemu, pokonanemu Lordowi Sithów.  
- Wyjaśnisz mi różnicę, kiedy będzie po nim.  
Uniósł miecz.  
- Potrzebny mi jest żywy! - wykrzyknął Skywalker. - Potrzebuję go, żeby ocalić Padme!  
Dlaczego? - pomyślał Mace, spuszczać miecz na pokonanego kanclerza.  
Zanim dokończył ruch, smuga błękitnej plazmy pojawiła się znikąd i przecięła jego nadgarstek. Dłoń zaciśnięta na rękojeści upadła na permabeton, a Palpatine poderwał się w jednej chwili. Z palców Lorda Sithów wystrzeliły nowe błyskawice; nie mając miecza świetlnego do obrony, Mace mógł jedynie przyjąć na siebie ich pełną moc.  
Tak bardzo skoncentrował się na punkcie przełomu Palpatine'a, że nawet nie pomyślał o punkcie przełomu Anakina.  
Mroczne błyskawice zniszczyły jego wszechświat.  
Spadał całą wieczność.

Anakin Skywalker klęczał w deszczu.  
Klęczał i patrzył na dłoń o brązowej skórze, zaciśniętą na rękojeści miecza świetlnego. W miejscu, w którym niedawno łączyła się z przedramieniem, widniał owal zwężonej tkanki.  
- Co ja zrobiłem?  
Czy to jego głos? Zapewne. Bo właśnie to pytanie sobie zadawał. , - Co ja zrobiłem?  
Inna dłoń, ciepła i ludzka, spoczęła delikatnie na jego ramieniu.  
- Podążasz za swoim przeznaczeniem, Anakinie - odpowiedział znajomy, łagodny głos. - Jedi są zdrajcami. Ocaliłeś Republikę przed ich zakusami. Przecież to rozumiesz, prawda?  
- Miałeś rację - usłyszał Anakin swój głos. - Dlaczego o tym nie wiedziałem?  
- Nie mogłeś wiedzieć. Okryli się maską kłamstw, mój chłopcze. Nie mogli ci ufać, ponieważ bali się twojej potęgi.  
Anakin wciąż spoglądał na odciętą rękę, ale już jej nie widział.  
- Obi-Wan... Obi-Wan mi ufa...  
- Widać nie na tyle, żeby uprzedzić cię o ich planach.  
Myśli Skywalkera krążyły wokół zdrady.  
...o takich sprawach nie mówi się głośno...  
Ciepła, ludzka ręka uściśnęła jego ramię - ciepło i po ludzku.  
- A ja się nie boję twojej potęgi, Anakinie, ja ją przyjmuję. Jesteś największym z Jedi. Możesz być największym z Sithów. Wierzę w to, Anakinie. Wierzę w ciebie. Ufam ci. Ufam.

Anakin przeniósł spojrzenie z martwej dłoni leżącej na gzymsie na tę żywą, spoczywającą na jego barku, a potem na twarz człowieka, który nad nim stał. To, co zobaczył, ścisnęło mu gardło jak niewidzialna pięść.  
Dłoń na jego ramieniu była ludzka.  
Twarz... nie.  
Oczy były zimne i dzikie jak ślepiec drapieżnika czającego się tuż za granicą strefy światła, która otacza płonące ognisko. Kości wokół nich wybrzuszyły się i zniekształciły jak durastał, która wylała się z pieca fuzyjnego. Okrywające je ciało było blade jak skóra trupa i szorstkie jak gnijący arkusz syntplastu.  
Zdjęty strachem, zdumieniem i obrzydzeniem, Anakin mógł jedynie patrzeć bez słowa na to stworzenie. Na cień.  
Spoglądając zaś w twarz ciemności, dostrzegał własną przyszłość.  
- Wejdźmy do środka - powiedziała ciemność.  
Po chwili podążył za nią.

Zatrzymał się w gabinecie i stanął w bezruchu.  
Palpatine przyjrzał się swojej zdeformowanej twarzy w wielkim naściennym lustrze. Anakin nie wiedział, czy Sith patrzy na siebie z obrzydzeniem, czy tylko jest ciekaw tej nowej aparycji.  
Po chwili Palpatine uniósł niepewnie rękę, dotknął ohydneho oblicza, które widział przed sobą w lustrze, i po prostu wruszył ramionami.  
- I tak to człowiek i maska stają się jednym - westchnął z odrobiną filozoficznej melancholii. - Chyba będzie mi brakowało twarzy Palpatine'a, ale do naszych celów twarz Sidiousa nada się doskonale. O tak, doskonale.  
Skinął dłonią i w suficie nad jego biurkiem otworzył się ukryty schowek. Spłynęła z niego w dół obszerna, ciężka, czarna szata zdobiona wytłaczanymi wzorami. Anakin poczuł powiew Mocy, która pchnęła strój wprost do ręki Palpatine'a.  
Przypomniał sobie, jak używając Mocy, zabawiał się owocem shuura, siedząc na przeciwko Padme za stołem w domu nad jeziorem, na Naboo. Pamiętał też dobrze, że mówił jej wtedy, jak Obi-Wan by zrzędził, gdyby wiedział, że jego uczeń wykorzystuje Moc do tak trywialnych celów.  
Palpatine zdawał się czytać w jego myślach. Spojrzał na niego z ukosa, gdy ciężka tkanina układała się na jego ramionach.  
- Musisz odrzucić te małostkowe ograniczenia, którymi Jedi próbowali okiełznać twoją potęgę - powiedział. - Już czas, Anakinie. Musisz mi pomóc w zaprowadzeniu porządku w galaktyce.  
Skywalker nie odpowiedział.  
- Przyłącz się do mnie - rzekł Sidious. - Przyłącz się do Sithów. Zostań moim uczniem.  
- Ja... nie mogę.  
- Ależ możesz.  
Anakin potrząsnął głową; czuł, że lada chwila całe jego ciało zacznie się trząść.  
- Ja... przyszedłem, żeby ocalić ci życie, panie. Nie żeby zdradzać przyjaciół...

Sidious parsknął lekceważąco.

- Jakich przyjaciół?

Anakin nie znalazł odpowiedzi.

- Sądzisz, że wykonałeś już swoje zadanie, mój chłopcze? - Sidious przysiadł na rogu biurka i złożył dłonie na udach, jak zawsze, gdy dawał Anakinowi ojcowskie rady. Tragiczna maska, w którą zmieniła się jego twarz, nadała tej znajomej pozie upiorny wyraz. - Uważasz, że zabicie jednego zdrajcy oznacza koniec zdrady? Wydaje ci się, że Jedi spoczną, zanim mnie nie uśmiercą?

Skywalker spojrział na swoje dłonie. Lewa drżała coraz wyraźniej. Ukrył ją za sobą.

- Albo oni, albo ja, Anakinie. Choć może powinienem wyłożyć ci to w jaśniejszy sposób: albo oni, albo Padme.

Anakin zacisnął prawą dłoń - durastal i serwomechanizmy okryte czarną rękawicą - w pięść.

- Tylko że... to nie takie proste. Byłem... byłem Jedi przez tak długi czas...

Ohydną twarz Sidiousa wykrzywił uśmiech.

- Jest w tobie takie miejsce, mój chłopcze, czyste jak lód na wierzchołku wysokiej góry, chłodne i odległe. Znajdź tę wyżynę, stań na niej i spójrz w dół, na siebie. Oddychaj czystym, lodowatym powietrzem i patrz na swoją winę i wstyd. Nie wypieraj się, tylko obserwuj. Potem weź w ręce własne przerażenie i spójrz na nie. Zbadaj je jak osobliwość, fenomen. Powąchaj. Posmakuj. Poznaj je tak dobrze, jak tylko ty sam potrafisz, bo jest twoje i cenne.

Cień przemawiał, a jego słowa stawały się rzeczywistością. Z dalekiego, lodowato zimnego miejsca, które było zarazem najbardziej osobistym miejscem jego umysłu, Anakin zaczął przyglądać się własnym emocjom. Otwierał je, przestawiał, składał na powrót i znowu rozbierał na czynniki pierwsze. Wciąż je czuł - może paliły go nawet bardziej niż do tej pory - ale nie miały już nad nim władzy, nie stawały się chmurą zaciemniającą umysł.

- Znalazłeś to miejsce, mój chłopcze; wyczuwam cię tam. Poznanie tego dalekiego, lodowato zimnego wierzchołka góry w twoim sercu jest pierwszym krokiem do odkrycia potęgi Sithów.

Anakin otworzył oczy i spojrział prosto w groteskowe oblicze Dartha Sidiousa.

Nie drgnęła mu powieka.

Patrząc na tę maskę występku, czuł obrzydzenie - było prawdziwe, było potężne i było...

Interesujące.

Anakin uniósł mechaniczną dłoń, złączył palce i spojrział na czarną rękawicę tak, jakby trzymał w niej strach, który prześladował go przez całe życie, a który teraz nie był większy niż cząstka owocu shuura zabrana z talerza Padme.

Stojąc na szczycie góry w głębokim wnętrzu samego siebie, ważył życie Padme przeciwko egzystencji zakonu Jedi.

Nie było porównania.

- Tak - powiedział.

- Co masz na myśli, mój chłopcze?

- Tak, chcę twojej wiedzy.

- Dobrze. Dobrze!

- Chcę twojej potęgi. Chcę znać siłę, która powstrzyma śmierć.

- Tę wiedzę posiadał w pełni jedynie mój mistrz, ale razem na pewno do niej dołączymy. Moc jest w tobie silna, mój chłopcze. Możesz dokonać wszystkiego.

- Jedi cię zdradzili - rzekł Anakin. - Zdradzili nas obu.

- Jest tak, jak mówisz. Jesteś gotów?

- Jestem - odparł i naprawdę był tego pewny. - Oddaję się w twoje ręce. Chcę iść drogą Sithów. Przyjmij mnie na swojego ucznia. Wyszkol mnie. Poprowadź. Bądź moim mistrzem.

Sidious uniósł kaptur szaty i zarzucił go na głowę, by ukryć ruinę, która była jego twarzą.

- Klęknij przede mną, Anakinie Skywalkerze.

Anakin opadł na jedno kolano i pochylił głowę.

- Czy twoją wolą jest na zawsze połączyć swoje przeznaczenie z zakonem Lordów Sithów?

- Tak - odpowiedział bez wahania.

Darth Sidious położył bladą dłoń na jego głowie.

- Zatem dokonało się. Jesteś teraz jednością z zakonem Czarnych Lordów Sithów. Od tego dnia, mój uczniu, prawda o tobie będzie nosić imię Darth...

Krótką pauza i pytanie w Mocy...

A potem odpowiedź, mroczna jak przepaść dzieląca galaktyki.

Usta Sidiousa wypowiedziały jego nowe imię.

Vader.

Dwie sylaby. To wszystko. Cały on.

Vader, powtórzył w duchu. Vader.

- Dziękuję, mój mistrzu.

- Wszyscy Jedi, nie wyłączając twojego przyjaciela, Obi-Wana Kenobiego, zostali ujawnieni jako wrogowie Republiki. Rozumiesz to, prawda?

- Tak, mój mistrzu.

- Jedi są niestrudzeni. Wojna domowa nie skończy się, póki nie zostaną wybici do ostatniego. Sterylizacja Świątyni Jedi będzie twoim pierwszym zadaniem. Zrób to, co musi być zrobione, Lordzie Vader.

- Zawsze, mój mistrzu.

- Nie wahaj się. Nie okazuj litości. Nie pozostawiaj za sobą ani jednej żywej istoty. Tylko w ten sposób staniesz się wystarczająco potężny w Ciemnej Stronie Mocy, by ocalić Padme.

- Co z pozostałymi Jedi?

- Zostaw ich mnie. Kiedy skończysz w Świątyni, wykonasz drugie zadanie: odwiedź przywódców separatystów w ich tajnym bunkrze na Mustafar. Gdy zabijesz ich wszystkich, Sithowie znowu będą władać galaktyką i nastanie pokój. Na zawsze. Powstań, Darcie Vaderze.

Lord Sithów, który był niegdyś bohaterem Jedi, Anakinem Skywalkerem, wstał i wyprostował się. Nie spojrział jednak ani na swojego nowego mistrza, ani na planetarne miasto za oknem, ani na gwiazdy galaktyki, którą wkrótce mieli rządzić. Skierował zmysły do wnętrza: otworzył pancerne drzwi pieca, który znajdował się w jego sercu, i spojrział nowymi oczami na morderczo zimnego smoka z martwej gwiazdy, który był jego zmorą.

Jestem Darth Vader, powiedział w duchu.

Smok spróbował znowu szeptać o porażce, o słabości, o nieuniknionej śmierci, ale Lord Sithów pochwyił go jedną ręką i zdusił głos w jego krtani. Usiłował powstać na tylne łapy i zaatakować, ale Lord Sithów złapał go drugą ręką i bez wysiłku skrzył mu kark.

Jestem Darth Vader, powtórzył, obcasem wbijając w ziemię truchło smoka. Patrzył, jak podmuch z otwartego pieca jego serca rozprasza pył i popiół, który był niegdyś smokiem. A ty, pomyślał...

Ty jesteś niczym.

Nareszcie stał się tym, za kogo go uważano:

Bohaterem bez Strachu.

Odźwierny Jurokk biegł przez wysoko sklepiony, pusty hol, a echo sprawiało, że jego kroki brzmiały jak tupot nóg plutonu żołnierzy. Główna brama Świątyni powoli otwierała się do środka w odpowiedzi na kod, który wpisano na zewnętrznej klawiaturze.

Odźwierny Jurokk widział przybysza na monitorze.

Anakin Skywalker.

Sam.

Wielkie drzwi uchyliły się na tyle, że odźwierny mógł wyśliznąć się na zewnątrz.

Anakin stał w mroku i deszczu, z nisko pochyloną głową i skulonymi ramionami.

- Anakin! - zawołał Jurokk, biegnąc w jego stronę. - Anakinie, co się stało? Gdzie mistrzowie?

Anakin spojrział na niego dziwnie, jakby nie był pewien, kogo ma przed sobą.

- Gdzie jest Shaak Ti?

- W sali medytacji. Wyczuliśmy w Mocy, że coś się stało, coś strasznego. Shaak Ti jest w głębokiej medytacji, sonduje Moc, żeby dowiedzieć się, co to może być...

Jurokk umilkł. Miał wrażenie, że Anakin go nie słucha.

- Rzeczywiście coś się wydarzyło, prawda?

Odźwierny spojrział w dal. Noc wokół Świątyni była pełna klonów. Batalionów. Brygad. Tysięcy.

- Anakinie - rzekł wolno - co się dzieje? Coś się wydarzyło. Coś potwornego. Jak zła jest sytuacja...?

Ostatnim doznaniem w jego życiu był dotyk emitera klingi na miękkim ciele pod brodą. Ostatnim dźwiękiem, który usłyszał, gdy błękitna plazma wytrysnęła w górę, przebiła czaszkę na wylot i wypaliła w nim życie, był melancholijny głos Anakina Skywalkera:

- Nawet nie masz pojęcia...



## R O Z D Z I A Ł

## 18

## ROZKAZ SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ

Pau było bitewnym kotłem.

Ze stanowiska obserwacyjnego na dziesiątym poziomie, tuż przy rampie jednostki desantowej dowództwa, komandor Cody śledził przez elektrolornetkę przebieg walki. Ledwie kilka metrów dalej leżały szczątki centrum sterowania robotami, ale separatyści dobrze zapamiętali nauczkę z Naboo. Maszyny bojowe nowej generacji zostały wyposażone w zaawansowany mechanizm automotywacyjny, który włączał się samoczynnie w razie braku sygnału sterującego i realizował sekwencję zaprogramowanych rozkazów.

Zaprogramowanym Rozkazem numer Jeden było najwyraźniej polecenie: „Zabij wszystko, co się rusza”.

Androidy wykonywały go całkiem skutecznie.

Połowa miasta legła w gruzach; wszędzie trwały intensywne walki między androidami a klonami i smoczą kawalerią Utapaunów. I właśnie w chwili, gdy komandor Cody rozmyślał o tym, jak bardzo przydałby się choć jeden Jedi, kilkutonowy jaszczur spadł z nieba wprost na pancierz jednostki dowodzenia. Uderzenie było wystarczająco mocne, by ugiąć płytę lądowiska.

Statek oczywiście nie ucierpiał. Pojazdy desantowe klasy Jadthu były praktycznie latającymi bunkrami, a ten konkretny egzemplarz miał potrójny pancierz oraz dodatkowe wewnętrzne bufory anty wstrząsowe i tłumiki inercyjne takiej klasy, że wystarczyłyby nawet dla korwety -a wszystko po to, by chronić bogate wyposażenie stanowiska dowodzenia.

Cody zadął głowę, by spojrzeć na jaszczura i jeźdźca.

- Generał Kenobi - powiedział. - Jak miło, że pan wpadł.

- Komandorze Cody - przywitał się mistrz Jedi i skinął głową, a potem rozejrzał po polu bitwy. - Zawiadomiłeś Coruscant o śmierci Grievousa?

Dowódca klonów stanął na baczność i zasalutował służbiście.

- Według rozkazu! Panie...

Kenobi spojrział na niego pytająco.

- Dobrze się pan czuje, generale? Bo wygląda pan trochę... no, fatalnie.

Jedi otarł rękawem zakurzoną i zakrwawioną twarz, ale przypalony materiał zostawił jedynie czarny ślad na jego policzku.

- Cóż... Chyba tak. Miałem dość... ciężki dzień- odpowiedział i skinął ręką w stronę Pau. - Ale zdaje się, że mamy tu jeszcze bitwę do wygrania.

- W takim razie myślę, że przyda się panu to - odparł Cody, unosząc w górę miecz świetlny, który jego ludzie znaleźli w tunelu. - Chyba pan zgubił.

- Ach... Ach, tak.

Broń pofrunęła łagodnym łukiem wprost do ręki Kenobiego. Cody był gotów przysiąc, że gdy mistrz Jedi uśmiechał się z wdzięcznością, jego policzki stały się odrobinę bardziej rumiane niż zwykle.

- Cody... chyba nie musimy wspominać o tym Anakinowi, prawda?

- Czy to rozkaz, panie? - spytał komandor, szczerząc zęby.

Kenobi pokręcił głową i zaśmiał się ze znużeniem.

- Chodźmy już. Jak zapewne zauważyłeś, komandorze, zostawiłem jednak dla was parę androidów...

- Tak jest. - Ze schowka w panczeru oficera dobiegł cichy dźwięk, któremu towarzyszyła wibracja. Cody zmarszczył brwi. - Niech pan już rusza, generale. Ja zaraz dołączę.

W schowku znajdował się komunikator nastawiony na częstotliwość, na której zakodowane rozkazy przekazywał jedynie głównodowodzący.

Kenobi skinął głową i przemówił do bestii, której dosiadał. Wielka smoczyca przeskoczyła nad komandorem i ruszyła w stronę walczących.

Cody wyjął i uruchomił komunikator.

Tuż nad jego rękawicą ukazał się hologram przedstawiający zakapturzoną postać.

- Już czas - powiedziała postać. - Wykonać Rozkaz Sześćdziesiąt Sześć.

Cody zareagował tak, jak go nauczono, zanim jeszcze poszedł do szkoły.

- Przyjąłem i wykonuję, panie.

Hologram znikł. Komandor wsunął komunikator na powrót do schowka ukrytego pod pancierzem i marszcząc czoło, spojrział w ślad za Kenobim, który na grzbiecie smoczy jechał ku kolejnej bezinteresownie bohaterskiej bitwie.

Cody był klonem. Wykonywał rozkazy wiernie, bez wahania i bez żalu. Był jednak także ludzką istotą, przynajmniej na tyle, by mruknąć ponuro:

- Czy naprawdę nie mogłem dostać tego rozkazu, zanim oddałem mu ten cholerny miecz świetlny...?

Rozkaz został wydany tylko raz i jak fala uderzeniowa dotarł niemal jednocześnie do dowódców na Kashyyyku i Felucii, na Mygeeto i na Tellanroaeg oraz na każdym innym froncie; do wszystkich baz wojskowych, szpitali polowych, centrów rehabilitacyjnych i portowych kantyn galaktyki.

Wszędzie, ale nie na Coruscant.

Na Coruscant bowiem Rozkaz Sześćdziesiąt Sześć był już wykonywany.

Nad Galaktyczną Stolicą nastał świt. Przyniósł różowawy blask, którym ubarwił rozmazaną wiatrem, szeroką i skręconą kolumnę ciemnego dymu.

Bail Organa zwykle panował nad sobą, lecz gdy siedząc za sterami śmigacza, dostrzegł źródło dymu unoszącego się nad miastem, pozwolił sobie na taką wiązanek przekleństw, od której zarumieniłby się niejeden koreliański doker.

Wpisał czym prędzej kod, który anulował zaprogramowaną trasę przelotu do gmachu Biur Senatu, i szarpnął sterami, by wykonać ostry zwrot, przecinając nieprzepisowo kilka sąsiednich szlaków powietrznych. Zaraz potem uruchomił pokładowy komunikator.

- Antilles!

Odpowiedź kapitana jego osobistego statku była natychmiastowa:

- Tak, panie?

- Przekaż meldunek do SRS - rozkazał. - Świątynia Jedi się pali!

- Tak, panie, wiemy. Centrala Służby Ratunkowej Senatu ogłosiła niedawno stan wyjątkowy; Świątynia została zamknięta. Podobno doszło do jakiejś rebelii Jedi.

- Co ty wygadujesz? To niemożliwe. Dlaczego nie widzę tam żadnych jednostek gaśniczych?

- Nie znam szczegółów, panie. Wiemy tylko tyle, ile ogłasza SRS.

- W porządku, sam się tym zajmę. Lecę zobaczyć, co się tam dzieje.

- Panie, nie zalecałbym tego...

- Nie będę ryzykował. - Bail skorygował kurs, by skierować śmigacz wprost na lądowisko na dachu Świątyni. - A skoro już o tym mowa, kapitanie: zbierz załogę na pokładzie „Tantive” i grzej silniki. Mam złe przeczucia.

- Panie?

- Wykonaj.

Bail posadził śmigacz w pobliżu wejścia do Świątyni i wyskoczył na płytę lądowiska. W otwartych drzwiach stała drużyna żołnierzy--klonów, a z korytarza za nimi bił snop dymu.

Jeden z nich uniósł dłoń, widząc zbliżającego się Baila.

- Proszę zachować spokój, sytuacja jest pod kontrolą.

- Pod kontrolą? A gdzie są jednostki SRS? Co tu robią żołnierze?

- Niestety, nie mogę o tym mówić.

- Czyżby doszło do ataku na Świątynię?

- Niestety, nie mogę o tym mówić.

- Proszę posłuchać, sierżancie. - Bail postanowił improwizować. - Jestem senatorem Republiki Galaktycznej i spóźnię się na spotkanie z Radą Jedi...

- Dziś nie ma sesji Rady Jedi, panie.

- Może jednak wpuścicie mnie, żebym sam się o tym przekonał? Czterej żołnierze ustawili się tak, by nie mógł wejść do środka.

- Przykro mi, ale obowiązuje zakaz wstępu.

- Jestem senatorem...

- Tak jest. - Sierżant podrzucił DC-15 do ramienia i Bail ze zdziwieniem stwierdził, że patrzy wprost w wyłot lufy; był na tyle blisko, że mógł pocałować poczemniały metal. - A teraz już czas, żeby pan stąd odleciał.

- Skoro tak stawiacie sprawę... - Bail cofnął się, unosząc ręce. -W porządku. Już odlatuję.

W tym momencie seria z karabinu blasterowego przebiła się przez dym i pomknęła ku porannemu niebu. Bail z otwartymi ustami patrzył na rycerza Jedi, który pojawił się nagle znikąd i zaatakował żołnierzy.

Nie, to nie był Jedi.

To było dziecko.

Chłopiec - najwyżej dziesięcioletni - wywijał mieczem świetlnym o klindze niemal tak długiej jak on sam. Z wnętrza Świątyni pomknął ku niemu grad blasterowych boltów, a po chwili w stronę lądowiska biegł już cały pluton klonów. Dziesięcioletek został trafiony, a zaraz potem kolejne serie strzałów zmasakrowały jego ciało. Upadł pośród nieruchomych postaci żołnierzy, których zabił chwilę wcześniej. Bail zaczął się cofać, coraz szybciej i szybciej. Z obłoku dymu wynurzył się klon w pancerzu z kolorowymi dystynkcjami dowódcy jednostki. Wskazał ręką na uciekającego Baila Organe.

- Żadnych świadków powiedział. - Zabić go.

Bail zaczął biec.

Zanurkował pod ogniem z blasterów, upadł na płytę lądowiska i przetoczył się pod własnym śmigaczem. Przełożył ramię nad drzwiczkami, a nogą zahaczył o tylny statecznik, by wykorzystać pojazd jako tymczasową zasłonę. Pospiesznie wpisał kod uruchamiający autopilota. Żołnierze biegli już w jego stronę, strzelając.

Śmigacz przechylił się na burtę i odleciał z wielką szybkością.

Bail podciągnął się i wsunął do środka, podczas gdy maszyna nabierała wysokości, by włączyć się w któryś z zatłoczonych szlaków powietrznych. Był błądy jak flimsioplast, a ręce trzęsły mu się tak mocno, że z trudem włączył komunikator.

- Antilles! Organa do Antillesa! Zgłoś się, kapitanie!

- Tu Antilles, panie.

- Jest gorzej, niż myślałem. I znacznie gorzej, niż słyszałeś. Wyślij kogoś do... Nie, cofam to. Zrób to osobiście. Weź pięciu ludzi i lećcie do portu kosmicznego. Wiem, że stoi tam teraz co najmniej jeden statek Jedi; Saesee Tiin zostawił tam dziś w nocy „Ostrą Spirale”. Chcę, żebyś ukraść jego nadajnik sygnałowy.

- Co takiego? Nadajnik?! Po co?

- Nie ma czasu na wyjaśnienia. Zdobądź go i spotkamy się na „Tantive”. Opuszczamy planetę.

Bail spojrział na szeroką kolumnę dymu, która nieprzerwanie unosiła się nad Świątynią Jedi.

- Póki jeszcze możemy.

Rozkaz Sześćdziesiąt Sześć jest punktem szczytowym Wojen Klonów.

Nie oznacza ich końca - Wojny Klonów potrwać jeszcze zapewne kilka godzin, zanim zakodowany sygnał, wysłany przez Nute'a Gunraya z tajnego bunkra separaty-

stów na Mustafar, wyłączy jednocześnie wszystkie roboty bojowe w galaktyce - ale na pewno jest punktem szczytowym.

Nie jest to efektowna chwila. Żadna kulminacja epickich zmagają. Wręcz przeciwnie. Wojny Klonów ani przez chwilę nie były epickimi zmaganiem; nie takie było ich przeznaczenie.

To, co się teraz działo, było jedyną przyczyną wybuchu Wojen Klonów. Było zdaniem usprawiedliwiającym galaktyczny konflikt. Jedynym powodem jego trwania. Wojny Klonów były bowiem same w sobie, od początku, zemstą Sithów.

Były też pokusą nie do odparcia. Toczyły się w dalekich stronach, na planetach, które należały najczęściej „do kogoś innego”. Wykonawcami były istoty całkowicie zbędne, dostępne w nieograniczonej liczbie. W dodatku każde zakończenie konfliktu było korzystne dla organizatora.

Wojny Klonów były idealną pułapką na Jedi.

Wystarczyło, że Jedi zaangażują się w walkę, by przegrali.

Gdy zakon musi wysłać swoich rycerzy we wszystkie rejony galaktyki, Jedi działają samotnie, w otoczeniu żołnierzy-klonów, których oddano im pod dowództwo. Sama wojna napełnia Moc ciemnością, zagęszczając chmurę, która od dawna przytępia zmysły Jedi. Poza tym klony nie mają złych intencji. Nie czują nienawiści do Jedi i nie dają żadnego emocjonalnego sygnału ostrzeżenia. Po prostu wykonują rozkaz.

W tym przypadku - Rozkaz Sześćdziesiąt Sześć.

W dłoniach żołnierzy pojawiają się blastery. ARC-170 siadają na ogonach myśliwców Jedi. AT-ST kierują działka przeciwko dowódcom jednostek. Wieże czołgów repulsorowych obracają się bezszelestnie.

Klony otwierają ogień, a Jedi umierają.

W całej galaktyce, jednocześnie wszędzie.

Jedi umierają.

Kenobi niczego się nie spodziewał. . Cody skoordynował działania operatorów ciężkiej broni z pięciu różnych kompanii operujących na trzech poziomach Pau. Od początku długiej serii bitew na planetach Zewnętrznych Rubieży odbył wspólnie z Kenobim co najmniej kilkanaście operacji. Miał bardzo jasne i bardzo niesentymtalne pojęcie o tym, jak trudno jest zabić niepozornego mistrza Jedi. Nie zamierzał też ryzykować. Uniósł do ust komunikator.

- Wykonać.

Na tę komendę obróciły się lufy T-21, naramienne wyrzutnie torped zablokowały przyrządy na celu, a wyrzutnie granatów protonowych precyzyjnie wyliczyły kąt strzału.

- Ognia!

Żołnierze wykonali rozkaz.

Kenobi, jego smoczy wierzchowiec oraz pięć androidów niszczycieli, z którymi właśnie walczył, zniknęli w kuli ognia, która na moment przyćmiła jasnością nawet słońce Utapau.

Wizjer polaryzacyjny wbudowany w hełm Cody'ego zniwelował siedemdziesiąt osiem procent światła eksplozji, toteż komandor odzyskał wzrok wystarczająco szybko, by dostrzec strzępy smoczego ciała i poskręcane szczątki androidów opadające ku powierzchni oceanu na samym dnie krasowego leja.

Cody skrzywił się i wcisnął klawisz komunikatora.

- Zdaje się, że trafiliście głównie jaszczurkę. Rozesłać szperacze. Wszystkie. Chcę zobaczyć ciało - dodał, spoglądając w oceaniczną kipiela.

C-3PO przerwał w połowie odkurzanie oryginalnego Tarki-Nulla, który stał na postumencie opodal panelu okiennego obok sypialni jego pani, i użył szmatki elektrostatycznej, by przetrzeć własne fotoreceptory. Czy ten robot astromechaniczny w zielonym myśliwcu Jedi, który zatrzymał się właśnie przy werandzie... to R2-D2?

Ciekawe, pomyślał android protokolarny.

Senator Amidala spędziła godziny przedświt, spoglądając na mroczną panoramę miasta, nad którą unosił się słup dymu ze Świątyni Jedi. Teraz zdobyła może szansę uzyskania odpowiedzi na dręczące ją pytania.

Android również miał taką nadzieję. R2-D2 nie był może błyskotliwym rozmówcą, o jakim marzył C-3PO, ale z całą pewnością miał niezwykle dar włączania się w obwód najbardziej intrygujących wydarzeń...

Kabina otworzyła się, odsłaniając pilota - oczywiście był nim Jedi, Anakin Skywalker. Patrząc, jak jego stwórca zeskakuje na lądowisko, C-3PO wychwycił fotoreceptorami dane, które całkiem niespodziewanie uruchomiły w nim podprocedurę unikania zagrożenia.

- Och - jęknął, przyciskając dłoń do gniazda rdzenia zasilającego. - Nie podoba mi się to ani trochę...

Upuścił szmatkę i tak szybko, jak tylko potrafił, podreptał ku drzwiom sypialni.

- Proszę pani - zawołał do senator Amidali, stojącej przy wielkim oknie. - Na werandzie... myśliwiec Jedi - wyjąkał. - Właśnie przyleciał, proszę pani.

Padme zatrzepotała powiekami i rzuciła się w stronę wejścia.

Ruszył za nią i wymknął się na werandę przez otwarte drzwi, szerokim łukiem omijając parę złączoną jednym z tych niepojętych uścisków, które zdawali się uwielbiać.

Dotarłszy do myśliwca, powiedział:

- Artoo, wszystko w porządku? Co się dzieje?

Robot astromechaniczny świsnął i zapiszczał. Wewnętrzny auto-translator C-3PO natychmiast przetłumaczył odpowiedź:

NIKT MI O NICZYM NIE MÓWI.

- Oczywiście, że nie. To dlatego że nie starasz się podtrzymać konwersacji.

COŚ JEST NIE TAK, zaświergotał R2-D2. BRAK RÓWNOWAGI CZYNNIKÓW.

- Na pewno nie jesteś bardziej zakręcony niż ja...

MASZ RACJĘ. NIKT NIE JEST BARDZIEJ ZAKRĘCONY NIŻ TY.

- Bardzo śmieszne. Uciszyć się wreszcie... Co to było?

Senator Amidala siedziała teraz wsparta o blat jednego z gustownych stolików ogrodowych. Anakin Skywalker stał nad nią.

- Zdaje się... że mówił coś o rebelii... że Jedi próbowali obalić Republiką! I jeszcze... Wielkie nieba! Mace Windu próbował zamordować kanclerza Palpatine'a! Czy on mówi poważnie?

NIE WIEM. ANAKIN JUŻ SIĘ DO MNIE NIE ODZYWA.

C-3PO potrząsnął bezradnie modulem czaszkowym.

- Jak to możliwe, że mistrz Windu jest zabójcą? Ma takie nienaganne maniery.

MÓWIŁEM CI: BRAK RÓWNOWAGI CZYNNIKÓW.

- Słyszałem też okropne pogłoski: podobno władze planują nas wypędzić. Wypędzić androidy, wyobrażasz sobie?

NIE WIERZ WE WSZYSTKO, CO CI MÓWIĄ.

- Ciii. Nie tak głośno!

MÓWIĘ TYLKO, ŻE NIE ZNAMY PRAWDY.

- Oczywiście, że nie znamy. - C-3PO jąknął cicho. - I pewnie nigdy nie poznamy.

- Co z Obi-Wanem?

Była oszołomiona, blada i przerażona. Tym bardziej ją kochał.

Pokręcił głową.

- Wielu Jedi zostało zabitych.

- Ale... - Padme spojrzała na rzeki pojazdów krzyżujące się na niebie. - Jesteś pewien? Jakoś... nie mogę w to uwierzyć.

- Byłem tam, Padme. To wszystko prawda.

- Ale... jak to możliwe, że Obi-Wan wziął udział w czymś takim?

- Być może nigdy się nie dowiemy - odparł.

- Wyjęci spod prawa... - szepnęła. - Co z nimi będzie?

- Wszyscy Jedi mają się natychmiast poddać. Z tymi, którzy stawiają opór... trzeba będzie sobie poradzić.

- Anakinie, oni są twoją rodziną...

- Są zdrajcami. Ty jesteś moją rodziną. Ty i dziecko.

- Czy to możliwe, żeby wszyscy zdradzili?

- Nie tylko oni. Do spisku należą też senatorzy.

Teraz dopiero spojrzała na niego. W jej oczach był strach. Uśmiechnął się.

- Nie martw się. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

- Mnie?

- Musisz tylko zdystansować się od swoich... przyjaciół w senacie, Padme. To bardzo ważne; musisz unikać wszelkich oznak braku lojalności.

- Anakinie... Brzmi to tak, jakbyś mi groził.

- Bo to groźny czas - odparł. - Wszystkich nas będą osądzać po tym, z kim się zadajemy.

- Ale ja... ja byłam przeciwna wojnie i specjalnym uprawnieniom dla Palpatine'a. Publicznie nazwałam go zagrożeniem dla demokracji!

- To wszystko już za nami.

- Niby co? To, co zrobiłam czy demokracja?

- Padme...

Uniosła brodę, a jej spojrzenie stwardniało.

- Czy jestem podejrzana?

- Rozmawiałem już o tobie z Palpatine'em. Jesteś czysta, jeśli tylko będziesz unikać... niewłaściwych znajomości.

- Ale dlaczego mam być czysta?

- Jesteś czysta, bo jesteś ze mną. Boja tak mówię. Spojrzała na niego, jakby zobaczyła go pierwszy raz w życiu.

- Powiedziałeś mu.

- Wiedział.

- Anakinie...

- Nie ma potrzeby trzymać tego w tajemnicy, Padme. Nie widzisz? Nie jestem już Jedi. Nie ma już żadnych Jedi. Jestem tylko ja.

Wyciągnął ku niej ręką. Pozwoliła mu ścisnąć swoją dłoń.

- Jestem ja, ty i nasze dziecko.

- W takim razie możemy stąd odejść, prawda? - Twarde spojrzenie zmiażdżyło nagle i stało się błagalne. - Możemy opuścić tę planetę. Polecieć tam, gdzie będziemy naprawdę bezpieczni. Razem.

- Będziemy razem tutaj - odparł. - Jesteś bezpieczna. Zadałem o to, żebyś była.

- Bezpieczna - powtórzyła z goryczą, cofając rękę. - Dopóki Palpatine nie zmieni zdania.

Dłoń, którą wyswobodziła z jego uścisku, drżała wyraźnie.

- Przywódcy separatystów ukrywają się na Mustafar. Lecę teraz, żeby się z nimi policzyć.

- Policzyć się? - Kąciki ust Padme opadły nieznacznie. - Tak, jak „rozliczono się” z Jedi?

- To ważna misja. Skończę tę wojnę. Odwróciła głowę.

- Lecisz sam?

- Nie trać wiary, kochanie - odpowiedział.

Bezradnie pokręciła głową, a z jej oczu popłynęły dwie łzy. Dotknął ich mechaniczną ręką; załśniły na czarnej rękawicy w blasku świtu.

Dwa płynne klejnoty. Bezcenne, bo należały do niego. Zasłużył na nie. Zasłużył też na nią i na dziecko, które w sobie nosiła.

Zapłacił za nie krwią niewinnych.

- Kocham cię - powiedział. - To nie potrwa długo. Czekaj na mnie.

Nowe łzy spłynęły po jej gładkich jak kość słoniowa policzkach. Wtulila się w niego, ukryła w jego ramionach.

- Zawsze, Anakinie. Zawsze. Wróć do mnie, mój kochany, moje życie... Wróć do mnie.

Pochylił głowę i uśmiechnął się do niej.

- Mówisz to tak, jakby już mnie nie było.

Lodowata słona woda przywróciła Obi-Wanowi przytomność. Wisiał w absolutnej ciemności; nie potrafił określić ani tego, jak głęboko się znalazł, ani w którą stronę powinien płynąć, by dotrzeć na powierzchnię. Czuł, że woda co najmniej w połowie wypełniła jego płuca, ale nie wpadał w panikę z tego powodu - prawdę mówiąc, nawet niespecjalnie się martwił. Coś na kształt satysfakcji sprawiła mu myśl, że choć spadał półprzytomny, tym razem nie zgubił miecza świetlnego-

Po omacku przyjął rękojeść do pasa i - stosując prostą technikę Jedi, by zapanować nad konwulsyjnym kaszlem - ścisnął przeponę tak, by wypchnąć z płuc jak największą ilość wody. Następnie sięgnął do zasobnika u pasa i wyjął miniaturowy aparat oddechowy oraz zbiorniczek sprężonego powietrza, używany jedynie w wyjątkowych sytuacjach zagrożenia życia, gdy w otoczeniu było zbyt mało tlenu.

Obi-Wan był raczej pewny, że sytuacja, w której się znalazł, była wyjątkowa.

Pamiętał, co zaszło...

Karkołomny skok Bogi, obrót w powietrzu, uderzenie pocisków, wielokrotna detonacja i lot - coraz dalej i dalej od ściany leja...

Ciało smoczyca osłoniło Obi-Wana przed ogniem jego żołnierzy.

Jakimś sposobem Boga wiedziała... Wiedziała, że Obi-Wan nawet nie podejrzewa zagrożenia. Bez wahania oddała życie, żeby ocalić swojego jeźdźcę.

Zdaje się, że w ten sposób zostałem kimś więcej niż tylko jeźdźcem, pomyślał Obi-Wan, odrzucając pusty już zbiorniczek z powietrzem i wkładając do ust aparat oddechowy. Zostałem jej przyjacielem.

W każdym razie ona na pewno została moim.

Pozwolił sobie na chwilę smutku - nie z powodu śmierci szlachetnego zwierzęcia, ale dlatego że tak niewiele miał czasu, by docenić i uczcić dar jego służby.

Żaloba jest jednak wyrazem przywiązania; Obi-Wan pozwolił więc, by odeszła z jego życia.

Żegnaj, przyjacielu.

Nie próbował płynąć. Zawisł nieruchomo w nieskończonej nocy oceanu, odprężył się, wyrównał oddech i pozwolił, by woda niosła go tam, gdzie zechce.

C-3PO ledwie zdążył życzyć małemu przyjacielowi powodzenia i przypomnieć mu, że ma być czujny, gdy Anakin minął go, wspiął się do kabiny myśliwca gwiazdowego, a potem uruchomił silnik i odleciał, zabierając R2-D2 nie wiadomo dokąd... Zapewne na nedorzecznie niegościnną i absurdalnie niebezpieczną obcą planetę, nie zastanawiając się nawet, co czuje jego wierny android, gdy znowu musi podążać na drugi koniec galaktyki, nie pytany nawet o zdanie...

Doprawdy, co też się porobiło z manierami tego młodzieńca, pomyślał C-3PO.

Odwrócił się i zobaczył, że senator Amidala płacze.

- Czy mogę w czymś pomóc, pani? Nawet nie spojrzała w jego stronę.

- Nie, dziękuję, Threepio.

- Może podam coś do jedzenia? Pokręciła głową.

- Szklankę wody?

- Nie.

C-3PO mógł już tylko stanąć przy niej.

- Czuję się taki bezradny...

Skinęła głową, zapatrzona w dal, na gasnącą iskrę myśliwca, którym odlatywał jej mąż.

- Wiem, Threepio - odpowiedziała. - Jak my wszyscy.

W podziemnym hangarze pod gmachem Biur Senatu Bail Organa rozglądał się pośpiesznie, wchodząc na pokład „Tantive IV”. Gdy kapitan Antilles wyszedł mu na spotkanie u szczytu rampy, Bail skinął głową za siebie, w stronę obleczonych w szkarłat postaci, stojących przy wejściach do hangaru.

- Od kiedy to Czerwona Straż pilnuje senatorom statków?

Antilles potrząsnął głową.

- Nie wiem, panie. Mam przeczucie, że Palpatine wolałby nie wypuszczać stąd niektórych senatorów.

Bail pokiwał głową.

- Dziękuję Mocy, że nie jestem jednym z nich. Jak dotąd. Zdobyłeś transponder?

- Tak jest. Nikt nawet nie próbował nas zatrzymać. Żołnierze-klony w porcie kosmicznym wyglądali na zdezorientowanych, jakby nie bardzo wiedzieli, kto nimi dowodzi.

- Niedługo się to zmieni... Nawet bardzo niedługo. Wszyscy wiemy, kto teraz rządzi - dodał ponuro Bail. - Przygotuj statek do startu.

- Wracamy na Alderaan, panie?

Bail pokręcił głową.

- Lecimy na Kashyyyk. Nie mam pojęcia, czy którykolwiek z Jedi przeżył to, co się wydarzyło, ale gdybym miał zgadywać, postawiłbym wszystkie pieniądze na Yodę.

Obi-Wan nie wiedział, ile czasu spędził pod wodą, zanim jego głowa i ramiona wynurzyły się na powierzchnię ciemnego oceanu. Odpiął od pasa miecz świetlny, uniósł go nad głowę i włączył. W niebieskawej poświacie zobaczył ściany wielkiej groty. Trzymając broń nad wodą, schował aparat oddechowy do zasobnika i zaczął płynąć na boku, w poprzek prądu, ku występowi skalnemu, w którym dostrzegł szczelinę. Wsunął w nie palce i podciągnął się w górę.

Powyżej linii wodnej na ścianie groty widniały liczne otwory - były to wyloty głębokich jaskiń. Obi-Wan zbadał kilka z nich, zanim wyczuł w jednej słaby podmuch powietrza. Powiew przyniósł dziwny, nieprzyjemny zapach, trochę podobny do tego, jaki panował w zagrodzie jaszczurów. Jedi wyłączył miecz i przez chwilę nasłuchiwał w skupieniu. Z daleka dobiegał szum - był to chyba odgłos kół toczących się po piaskowcu albo przelatujących pojazdów repulsorowych... i coś jeszcze. Trąbienie? Może głos spłoszonego smoka? Tak czy inaczej wydawało się, że to właściwa droga.

Zdążył przejść tunelem ledwie kilkaset metrów, gdy nagle ciemność przeszły smugi światła z reflektorów dużej mocy. Zdążył wyłączyć miecz i wcisnąć się w głęboką, wąską szczelinę, zanim para szperaczy minęła go, zdejżąc korytarzem w przeciwnym kierunku.

Cody najwyraźniej jeszcze nie zrezygnował.

Reflektory oświetliły - i prawdopodobnie obudziły - wodnego kuzyna smoczych wierzchowców. Zwierz uchylił sennie ślepią i uniósł oślizły łeb wielkości myśliwca.

Oho, pomyślał Obi-Wan. To by wyjaśniało tę woń.

Wysłał z Mocą delikatną sugestią, że te małe, podskakujące w powietrzu kule z durastali i elektronicznych obwodów są - wbrew pozorom - wielce smakowitym i zupełnie niespodziewanym darem łaskawych bogów Wielkich Oślizłych Potworów Jaskiniowych.

Wielki Oślizły Potwór Jaskiniowy, do którego adresowana była sugestia, rozchylił szczęki zdolne pomieścić banthę i trzasnął nimi, z oczywistą satysfakcją miażdżąc jednego ze szperaczy. Drugi automat wydał z siebie rozpaczliwą serię alarmujących pisków i pomknął w ciemność, ścigany przez rozbudzonego na dobre potwora.

Obi-Wan ponownie włączył miecz i ostrożnie wrócił do tunelu. Zobaczył gniazdo pełne nowo narodzonych Wielkich Oślizłych Potworów Jaskiniowych, które zaczęły skakać w jego stronę, popiskując z cicha. Pomyślał w roztargnieniu, że ludzie, którzy twierdzą, iż wszystkie maleństwa są śliczne, powinni częściej wychodzić z domu.

Ruszył dalej, wspinając się od czasu do czasu, kiedy indziej zsuwając się w dół i przeskakując nad rozpadlinami.

Wkrótce ciemność jaskini ustąpiła przed bładą poświatą świateł ulicznych i po chwili Obi-Wan zorientował się, że korytarz, który właśnie się skończył, doprowadził go do przestronnego tunelu komunikacyjnego. Był to szlak raczej zapomniany - pył zalegał na podłożu tak grubą warstwą, że upodabniał dno tunelu do piaszczystej plaży. Ślady ostatniego pojazdu, który tędy przejechał, były doskonale widoczne.

Szerokie, równoległe ślady z drobnymi poprzecznymi bruzdami... Ślady ostrokołowca.

Tuż obok nich widniały odciski łap zbrojnych w długie pazury -trop biegnącego smoka.

Obi-Wan przymknął powieki w łagodnym zdumieniu. Jakoś nie umiał do końca przywyknąć do tego, jak Moc zawsze wychodziła mu naprzeciw... Ale też nie zamierzał odrzucać jej daru. Marszcząc brwi w zamyśleniu, ruszył śladem kół, minął zakręt i dotarł do wylotu tunelu - na małą platformę startową.

Myśliwiec Grievousa jeszcze tu był. Podobnie jak zwłoki generała.

Najwyraźniej jego szczątki były niestrawne nawet dla miejscowych sępów skalnych.

„Tantive IV” mknął bezszelestnie przez system Kashyyyk, strefę działań wojennych. Kapitan Antilles nie miał zamiaru ryzykować -użycie aktywnych skanerów mogło skończyć się wykryciem i namierzeniem przez siły separatystów.

Zresztą separatysty nie byli jedynym przeciwnikiem, którego obawiał się dowódca alderańskiego statku.

- Znowu mamy ten sygnał, panie... Och... zaraz go złapię. - Antilles pochylił się nad panelem sterującym transpondera. - Przekłete pudło - mruknął. - Może trzeba włączyć Mocą, żeby je porządnie skalibrować?

Bail wyrzwał przez przedni iluminator. Kashyyyk był na razie tylko malutkim zielonym dyskiem, odległym o dwieście tysięcy kilometrów.

- Masz wektor?

- Mniej więcej, panie. Obiekt wyszedł z orbity, leci w stronę granicy systemu.

- Myślę, że możemy zaryzykować skanowanie. Skupioną wiązką.

- Tak jest.

Antilles wydał rozkazy. Chwilę później technik obsługujący czujniki zameldował, że namierzony obiekt jest najprawdopodobniej kapsułą ratunkową.

- Nie jest to model republikański, panie. Chwileczkę, mam już bazę...

Technik zmarszczył brwi, spoglądając na ekran.

- To produkt Wookieech, panie. Tylko że to bez sensu... dlaczego kapsuła Wookieech miałyby oddalać się od Kashyyyku?

- Interesujące. - Bail nie pozwalał sobie jeszcze na iskrę nadziei. -Oznaki życia?

- Tak... chyba tak... Odczyt nie jest zbyt... - Technik urwał i wzruszył ramionami. - Nie jestem pewien, panie. Ktokolwiek siedzi w środku, na pewno nie jest to Wookiee.

Po raz pierwszy tego dnia Bail Organa uśmiechnął się.

- Kapitanie Antilles?

Dowódca statku zasalutował sprężyscie.

- Lecimy, panie.

Obi-Wan wyprowadził maszynę generała Grievousa poza atmosferę w takim tempie, że wymknął się ze studni grawitacyjnej planety i skoczył w nadprzestrzeń, zanim z pokładu „Czujości” wystartowały pierwsze myśliwce. Powrócił do normalnej przestrzeni w sporej odległości od systemu, zmienił wektor lotu i ponownie uruchomił hipernapęd. Po kilku dodatkowych skokach o przypadkowym kierunku i zasięgu, znalazł się w głębokiej kosmicznej pustce.

- Wiesz co - powiedział do siebie - wbudowany hipernapęd to w myśliwcu bardzo przydatna rzecz; dlaczego my nie mamy takich maszyn?

Podczas gdy komputer nawigacyjny szumiał i warczał, próbując obliczyć dokładną pozycję statku, Obi-Wan zajął się wpisywaniem kodów, które umożliwiały sprzężenie podręcznego komunikatora Jedi z pokładowym systemem łączności.

Zamiast hologramu komunikator generował teraz sygnał dźwiękowy - coraz szybszą serię pisków.

Obi-Wan znał ten sygnał. Jak każdy Jedi. Było to wezwanie do powrotu.

Wszystkie przekaźniki HoloNetu nadawały je na wszystkich kanałach. Był to znak, że wojna dobiegła końca i Rada rozkazuje wszystkim rycerzom Jedi natychmiast powrócić do Świątyni.

Obi-Wan zaczął podejrzewać, że to, co wydarzyło się na Utapau, nie było odizolowanym incydentem.

Przestawił komunikator na nadawanie sygnału audio i wziął głęboki wdech.

- Kod awaryjny dziewięć trzynaście - powiedział i zaczął chwilę na odpowiedź.

System łączności myśliwca przeszukał pospiesznie częstotliwości, na których mógł się pojawić sygnał zwrotny. Obi-Wan odczekał jeszcze trochę.

- Kod awaryjny dziewięć trzynaście. Mówi Obi-Wan Kenobi. Powtarzam: kod awaryjny dziewięć trzynaście. Czy słyszy mnie któryś z Jedi?

Czekał, słysząc ciężkie bicie własnego serca.

- Do wszystkich Jedi: proszę o odzew. Mówi Obi-Wan Kenobi. Kod awaryjny dziewięć trzynaście.

Bardzo się starał zignorować cichutki głos, który szeptał w jego głowie, że być może był jedynym Jedi w okolicy.

Że być może był jedynym Jedi, kropka.

Zaczął wpisywać koordynaty skoku do miejsca, w którym mógłby odebrać sygnał wprost z Coruscant, gdy nad komunikatorem pojawił się niewyraźny błysk. Spojrzał na wskaźnik częstotliwości: kanał Jedi.

- Powtórz, proszę - powiedział Obi-Wan. - Ustawiam odbiornik na twój sygnał. Powtórz, proszę.

Błysk zmienił się w mgiełkę błękitnego laserowego światła, która stopniowo przyjęła zamazaną postać wysokiego i szczupłego mężczyzny o ciemnych włosach, z elegancką kosią bródką.

- Mistrzu Kenobi? Czy wszystko w porządku? Jesteś ranny?

- Senator Organa! - zawołał Obi-Wan z głęboką ulgą. - Nie, nie jestem ranny, ale też z całą pewnością nic nie jest w porządku. Potrzebuję pomocy. Moi żołnierze-klony zwrócili się przeciwko mnie. Ledwie uszedłem z życiem!

- W całej galaktyce zastawiono podobne pułapki.

Obi-Wan spuścił głowę, w duchu życząc ofiarom tego dnia, by znalazły ukojenie w Mocy.

- Udało się nawiązać kontakt z innymi Jedi?

- Tylko z jednym- odparł ponuro senator z Alderaanu. - Zablokuj komputer nawigacyjny na moich współrzędnych. Twój towarzysz czeka.

Krzywizna zaciśniętej dłoni i zerwany czarny strup, a pod nim brudna czerwień...

Wystrzępiony mankiet beżowego rękawa, splamiony kroplami tego, co zostało z generała biodroida...

Jasne zawijasy w strukturze ciemnego jak wino blatu z polerowanego, alderańskiego kriinu...

Tylko na to Obi-Wan Kenobi mógł patrzeć, nie ryzykując, że dostanie drgawek.

Ściany małej sali konferencyjnej na pokładzie „Tantive IV” były zbyt jednolite, by przykuć jego uwagę. Gdy na nie patrzył, jego umysł zaczynał wędrować...

I drżenie powracało.

Przybierało na sile, gdy spoglądał w stare, zielone oczy istoty, która siedziała po drugiej stronie stołu. Ta pomarszczona skóra i kępki białych włosów były jednym z pierwszych obrazów, jakie utkwiły mu w pamięci z dzieciństwa. Teraz przypominały mu o przyjacielach, którzy zginęli tego dnia.

Drżenie jeszcze się wzmacniało, kiedy patrzył na siedzącą obok postać w szacie polityka, która przypominała mu o wciąż żyjącym wrogu.

Podstęp. Śmierć mistrzów Jedi, których podziwiał, i rycerzy Jedi, którzy byli jego przyjaciółmi. Śmierć przysięgi złożonej Qui-Gonowi.

Śmierć Anakina.

Anakin musiał przecież zginąć razem z Mace'em, Agenem, Saesee i Kitem, wraz ze wszystkimi, których zabito w Świątyni.

Wraz z całym zakonem.

Popioły.

Popioły i pył.

Dwadzieścia pięć tysięcy lat wymazane z historii w jeden dzień.

Wszystkie marzenia. Wszystkie obietnice.

I dzieci...

- Zabraliśmy je z domów. - Obi-Wan z trudem mógł usiedzieć na krześle. Wewnętrzny ból domagał się ruchu; to on przynosił kolejne fale drgawek. - Obiecaliśmy ich rodzinom...

- Opanować się musisz; Jedi wciąż jesteś!

- Tak, mistrzu Yoda. - Ten strup na kłykcium... Drżenie ustępowało, kiedy koncentrował na nim uwagę. - Tak, jesteśmy Jedi. Ale co będzie, jeśli jesteśmy ostatnimi Jedi?

- Jeżeli ostatnimi jesteśmy, niezmienioną naszą powinność zostaje. - Yoda oparł podbródek na dłoniach splecionych na główce laski. W bruzdach jego twarzy widać było teraz każdy dzień z blisko dziewięćuset lat, które przeżył. - Póki żyje choć jeden Jedi, istnieje i zakon. Opierać się ciemności do ostatniego tchu musimy.

Uniósł głowę i trącił laską goleń Obi-Wana.

- Zwłaszcza ciemności, która jest w nas, młodzieńcze. Do Ciemnej Strony rozpacz należy.

Prosta prawda słów Yody przemówiła do Obi-Wana. Nawet rozpacz jest formą przywiązania -jak pięść zaciśnięta wokół silnego bólu.

Powoli, bardzo powoli, Obi-Wan Kenobi przypominał sobie, co to znaczy być Jedi.

Wyprostował się na krześle, zasłonił twarz dłońmi i przez wąską szczelinę między nimi odetchnął głęboko. Ból, poczucie winy i żal rozbłyły ze zdwojoną siłą, a potem uleciały z jego piersi wraz z powietrzem.

Uwolnił z nimi całe swoje życie.

Wszystko, co zrobił, wszystkie miejsca, które odwiedził, wszystkich przyjaciół i wrogów, wszystkie marzenia, nadzieje i lęki.

Pustka przyniosła mu jasność. Wewnętrznie oczyszczony poczuł, że przenika go Moc. Skinął głową w stronę Yody.

- Tak - powiedział. - Możliwe, że zostaliśmy sami... ale jeśli jest inaczej?

Zielone czoło zmarszczyło się jeszcze głębiej nad jasnymi oczami.

- Nadajnik w Świątyni.

- Właśnie. Jedi, którzy przeżyli, muszą usłuchać wezwania do powrotu. I zostaną zabici.

Marszcząc brwi, Bail Organa spojrział najpierw na jednego, a potem na drugiego mistrza.

- Co chcesz przez to powiedzieć?
  - Chcę powiedzieć - odparł Obi-Wan - że musimy wrócić na Coruscant.
  - To zbyt niebezpieczne - zaproponował senator. - Cała planeta jest jedną wielką pułapką...
  - Tak. A my mamy...
- Brak Anakina naprawdę bolał. Obi-Wan musiał oddać i ten ból.
- A ja mam - poprawił się - swój sposób na pułapki...

## ROZDZIAŁ

# 19

### OBLICZE SITHA

Mustafar płonęła lawą płynącą z wulkanów o lśniących, obsydianowych zboczach.

Na skraju studni grawitacyjnej planety światło gwiazd załamało się nagle jak w pryzmacie i z nadprzeźreni wyłonił się myśliwiec. Porzuciwszy pierścień hipernapędu, maszyna pomknęła wprost ku atmosferze, gęstej od chmur dymu i popiołu.

Gwiazdny myśliwiec podążał zaprogramowanym kursem wprost do jedynej instalacji na całej planecie: do automatycznej kopalni lawy, wzniesionej przez inżynierów z Unii Technokratycznej w celu pozyskiwania wartościowych metali wprost z roztopionych skał. Rafineria, wzbogacona o najdoskonalsze mechanizmy obronne, jakie można było kupić w galaktyce, stała się ostatnią redutą przywódców Konfederacji Niezależnych Systemów. Była niezdobytą twierdzą.

Chyba że ktoś znał stosowne kody dostępu.

I właśnie tym sposobem myśliwiec mógł wylądować w umocnionej bazie, której systemy obronne nawet nie drgnęły.

Pomieszczenia przeznaczone dla personelu znajdowały się w wieżach podobnych do wielkich, trujących muchomorów, które w niepojęty sposób wyrosły na brzegu rzeki ognia. Główne centrum sterowania mieściło się na szczycie największej z nich, tuż obok małego lądowiska, na którym spoczął myśliwiec. Właśnie stąd, zaledwie godzinę wcześniej, przez wszystkie przekaźniki HoloNetu w galaktyce nadano zakodowany rozkaz.

Na ten sygnał wszystkie roboty bojowe we wszystkich armiach na wszystkich planetach odmaszerowały do swoich pojazdów, przyjęły pozycję spoczynkową i wyłączyły się. Wojny Klonów dobiegły końca.

Prawie.

Został jeszcze jeden, ostatni szczegół.

Postać w ciemnym płaszczu wyskoczyła z kabiny myśliwca.

Bail Organa wszedł na pokład startowy „Tantive IV” i zobaczył Obi-Wana i Yodę, sceptycznie przyglądających się kabinie myśliwca Jedi.



- Może jednak, mistrzu - mówił właśnie z niechęcią Obi-Wan -gdybyś nie miał nic przeciwko temu, żeby usiąść mi na kolanach...

- Możliwe, że to nie będzie konieczne - przerwał mu Bail. - Mas Amedda właśnie przekazał mi wezwanie na Coruscant. Palpatine zwołał nadzwyczajną sesję senatu. Obecność obowiązkowa.

- Ach, tak - skrzywił się Obi-Wan. - Temat posiedzenia jest raczej oczywisty.

- Obawiam się - odrzekł wolno Bail - że to może być pułapka.

- Mało prawdopodobne - stwierdził Yoda, podchodząc bliżej. - Nieznany jest powód twojego odlotu ze stolicy. Za martwych Obi-Wan i ja zostaliśmy uznani.

- A Palpatine nie wystąpi przeciwko senatowi jako całości - dodał Obi-Wan. - A przynajmniej jeszcze nie teraz. Będzie potrzebował iluzji demokracji, by utrzymać w szyku poszczególne systemy. Nie chce mieć na karku galaktycznego powstania.

Bail skinął głową.

- W takim razie... - odetchnął głęboko - ...może zabierzecie się ze mną?

W bazie separatystów na Mustafar, w bunkrze-centrum sterowania...

Wat Tambor właśnie regulował skład mieszanki gazowej w swoim pancerzu.

Poggle Mniejszy masował palcami mięsiste wypustki wiszące mu u brody.

Shu Mai poprawiała metalową ozdobę, która nadawała jej fryzurze kształt stylowego rogu.

San Hill przeciągał się w swoim obcisłym kombinezonie, który właśnie zaczął cisnąć go w kroku.

Runę Haako nerwowo przestępował z nogi na nogę... ..Nutę Gunray zaś rozmawiał z hologramem Dartha Sidiousa.

- Plan został zrealizowany dokładnie tak, jak nam obiecałeś, panie - powiedział Gunray. - To wielki dzień dla galaktyki!

- W rzeczy samej. W dużej mierze dzięki tobie, wicekrólu, a także dzięki twoim partnerom z Unii Technokratycznej i Klanu Bankowego. Oraz dzięki arcyksięciu Poggle'owi, ma się rozumieć. Wszyscy spisaliście się wybornie. Czy wasze armie droidów zostały wyłączone?

- Tak, panie, prawie godzinę temu.

- Doskonale! Czeka was piękna nagroda. Czy mój nowy uczeń, Darth Vader, już przybył?

- Jego statek przed chwilą wylądował.

- Dobrze, bardzo dobrze - ucieszyła się holograficzna, zakapturzona postać. - Przywiózł waszą nagrodę. Darth Vader zajmie się wami.

Drzwi sali otworzyły się.

Wysoka postać - szczupła, lecz szeroka w ramionach - ubrana w płaszcz z kapturem ocieniającym twarz, pojawiła się na progu. San Hill pospieszył ze słowami powitania, wyprzedzając pozostałych.

- Witaj, Lordzie Vader! - Omal nie przewrócił się o własne długie nogi, tak bardzo się spieszył, by uścisnąć dłoń Lorda Sithów. - Pozwól, że w imieniu Konfederacji Niezależnych Systemów będę pierwszym...

- Doskonale. Będziesz pierwszym.

Przybysz przestąpił próg i poruszył dłonią w czarnej rękawicy. Pancerne drzwi zamknęły wszystkie wyjścia, a obsługujący je panel kontrolny eksplodował iskrami.

Postać w płaszczu odrzuciła kaptur do tyłu.

San Hill skulił się odruchowo i zatrzepotał rękami jak spłoszony ptak.

Zdażył jeszcze wydukać:

- Ty... ty jesteś Anakin Skywalker! - zanim fontanna biało-niebieskiej plazmy przebiła mu pierś i zatoczyła łuk, wypalając kolejno wszystkie trzy jego serca.

Zmartwiali z przerażenia przywódcy separatystów patrzyli w milczeniu, jak zwłoki prezesa Galaktycznego Klanu Bankowego padają na posadzkę niczym wyłączony android protokołarny.

- Pozory mylą - rzekł Darth Vader.

Funkcjonariusz Gwardii Senackiej zamrugał ze zdziwieniem, wyprężył pierś i poprawił długą pelerynę. Zaryzykował nawet spojrzenie na partnera, który stał po drugiej stronie drzwi.

Czyżby naprawdę spotkało ich takie szczęście, jak się wydawało?

Czy naprawdę ten senator i jego towarzysze wysiadali z turbowindy w asyście dwóch jeszcze nieschwytanych Jedi?

Oho, pomyślał gwardzista. Będą awanse.

Bardzo się starał nie patrzeć na dwóch Jedi i nadać swojemu głosowi możliwe profesjonalne brzmienie.

- Witamy, senatorze. Czy mogę zobaczyć pańską przepustkę?

Przybysz bez wahania okazał chip identyfikacyjny: Bail Organa, senator z Alderaanu.

- Dziękuję. Proszę wejść - powiedział strażnik, oddając Bailowi chip. Był bardzo zadowolony, że potrafił tak spokojnie i oficjalnie się zachować. - Zatrzymamy tych Jedi.

I wtedy wyższy z dwóch Jedi mruknął cicho, że byłoby znacznie lepiej, gdyby obaj dotrzyмали towarzystwa senatorowi. Propozycja brzmiała w jego ustach naprawdę rozsądnie, zwłaszcza że przecież Wielka Sala Zgromadzeń była bardzo bezpiecznym miejscem, a dwaj Jedi bez wątpienia nie chcieli nikomu sprawiać kłopotu, no i zawsze przecież można ich zatrzymać w drodze powrotnej... Gwardzista nie chciał wyjść na niezbyt rozsądnego, więc pokiwał tylko głową i ochoczo zgodził się, że istotnie będzie lepiej, jeśli Jedi pozostaną z senatorem.

Wszyscy byli tak cudownie rozsądni i zgodni, że w pełni rozsądne i zgodne z rozkazami wydało się strażnikowi i to, że już po chwili Jedi i senator, zamiast pójść dalej razem, rozdzielili się z cichym „niech Moc będzie z tobą”. Ani mu przeszło przez myśl, by zaproponować, gdy senator minął drzwi Sali Zgromadzeń, dwaj Jedi zaś udali się... hm, najwyraźniej w zupełnie inne miejsce.

Wszystkich ośmiu członków Piątej Drużyny Zwiadowczej skierowano do podziemnego magazynu przeładunkowego, gdzie każdego dnia dostarczano produkty, których Jedi nie mogli wyhodować w ogrodach Świątyni.

Dostarczano... dawniej.

Tu, głęboko w trzewiach Coruscant, nigdy nie świeciło słońce. Jedyńm źródłem światła były przestarzałe kule jarzeniowe, dające wątłą poświatę o barwie żółtawej jak pergamin, jedynie podkreślającą mrok wszechobecnego cienia. A był ów cień oazą dla wszelkich szumowin - bezdomnych, śmieciarzy, szaleńców i zbiegów, którym nie podobało się prawo panujące na powierzchni. Dolne poziomy Coruscant bywały miejscem bardziej niebezpiecznym niż Nar Shaddaa.

Żołnierze z Piątej Drużyny zachowywali czujność na każdym posterunku, na jakim przyszło im służyć. Tak ich wychowano. Tutaj jednak, w strefie działań wojennych, ich życie - oraz powodzenie misji - zależało właśnie od ostrości zmysłów oraz od tego, jak szybko potrafili wysunąć blastery spod płaszczy, które upodobały im do Jedi.

Kiedy więc obszarpany, śliniący się garbus wychynął z mroku, niosąc na rękach spore zawiniątko, żołnierze z Piątej Drużyny nie mieli wątpliwości, że zbliża się zagrożenie. Blastery pojawiły się w ich rękach z niewiarygodną szybkością.

- Stój! Identyfikator.

- Nie, nie, nie, łaskawe pany... nie, nie... ja tylko chcę pomóc... Boja po waszej stronie! - Garbus wciągnął strużkę śliny, która zwisała mu z ust, i koślawym krokiem podszedł bliżej. - Patrzcie, co tu mam... Patrzcie tylko: dziecko Jedi... Widzicie?

Sierżant dowodzący drużyną spojrział z ukosa na tobołek w rękach garbusa.

- Dziecko Jedi?

- Tak... Tak, łaskawe pany!... Dziecko Jedi, jasne, że dziecko Jedi!... Prosto ze Świątyni! Patrzcie!

Garbus był już na tyle blisko, że sierżant mógł zajrzeć do brudnego zawiniątko. Rzeczywiście, leżało w nim dziecko - w pewnym sensie... Było to najpaskudniejsze dziecko, jakie sierżant kiedykolwiek widział. Obcej rasy zapewne, było pomarszczone i skurczone jak znoszona torebka z pleśniejającej skóry; miało wielkie, wyłupiaste oczy i szerokie usta wykrzywione uśmiechem idioty.

Sierżant patrzył na nie sceptycznie, marszcząc brwi.

- Każdy może wziąć zdeformowanego dzieciaka i opowiadać o nim nie wiadomo co. Skąd wiesz, że to Jedi?

- Mój miecz świetlny pierwszą wskazówką mógłby być, hm? - odpowiedziało dziecko.

Płonące, zielone ostrze ukazało się nagle tak blisko twarzy sierżanta, że poczuł zapach ozonu. Garbus już nie był garbusem: trzymał w dłoniach miecz koloru letniego nieba.

- Proszę, nie próbujecie stawiać oporu - powiedział uprzejmie, z doskonałym akcentem wykształconych elit Coruscant. - Nikt nie musi ucierpieć.

Żołnierze z Piątej Drużyny byli odmiennego zdania.

Sześć sekund później wszystkich ośmiu leżało na ziemi. Bez życia.

Yoda spojrział na Obi-Wana.

- Ukrywanie ciał sensu nie ma.

Obi-Wan przytaknął ruchem głowy.

- To klony; opuszczony posterunek będzie równie oczywistą wskazówką, jak sterta ciał. Chodźmy do nadajnika.

Bail wśliznął się do łoża przedstawicieli Naboo w chwili, gdy Palpatine grzmiał ze swojego podwyższenia:

- Mordercy Jedi zdeformowali mnie i zeszpecili, ale nie byli w stanie zdeformować moich przekonań! Nie mogli osłabić mojej woli! Pozostali zdrajcy zostaną wytropieni, wyciągnięci z kryjówek i oddani sprawiedliwości, żywi lub martwi! Tego, kto będzie z nimi kolaborował, czeka ten sam los. Ci, którzy chronią wrogów, są wrogami! Teraz nastał nasz czas! Teraz możemy odpowiedzieć na atak! Teraz zniszczymy tych, którzy chcieli nas zniszczyć! Śmierć wrogom demokracji!

W senacie podniosła się wrzawa.

Amidala nawet nie spojrzała na Baila, gdy zajął miejsce obok niej. Siedzący po drugiej stronie przedstawiciel Binks z powagą skinął głową na powitanie, ale się nie odezwał. Bail zmarszczył brwi. Skoro nawet z natury żywiołowy Jar Jar wyglądał na przygnębionego, to sprawy musiały wyglądać gorzej, niż się spodziewał - a spodziewał się, że będzie bardzo, bardzo źle.

Delikatnie dotknął ramienia Amidali.

- To wszystko kłamstwa... Wiesz o tym, prawda?

Wpatrywała się w podium kanclerskie nieruchomymi oczami, w których lśniły łzy.

- Sama nie wiem, co wiem. Już nie. Gdzie się podziewałeś?

- Coś mnie zatrzymało. - Jak sama kiedyś zauważyła, o pewnych sprawach lepiej nie wspominać, pomyślał.

- Przez całe popołudnie przedstawia dowody - powiedziała Padme monotonnym głosem, wypranym z emocji. - Nie tylko próby zabójstwa... Okazuje się, że Jedi planowali obalić senat.

- To kłamstwa - powtórzył Bail.

Stojąc na podium pośrodku Wielkiej Sali Zgromadzeń, Palpatine pochylał się mocno do przodu, jakby czerpał siłę z Wielkiej Pieczęci - herbu, który miał przed sobą.

- Były to najtrudniejsze chwile, ale pomyślnie przeszliśmy tę próbę. Wojna skończona!

Senat zagrzmiął okrzykami poparcia.

- Separatyści zostali ostatecznie pokonani, a Republika będzie trwać! Zjednoczona! Zjednoczona i wolna!

Znowu owacje.

- Rebelia Jedi była dla nas ostatni próbą, a zarazem ostatnim tchnieniem sił ciemności! Dziś zostawiliśmy mrok za sobą i rozpoczął się nowy dzień! Oto świt Republiki!

Owacje.

Padme patrzyła na to bez mrugnienia.

- To będzie to - stwierdziła w zamyśleniu. Bail potrząsnął głową.

- Co takiego?  
 - Zobaczysz.  
 - Nigdy więcej nie damy się podzielić! Nigdy więcej sektor nie zwróci się przeciwko sektorowi, planeta przeciwko planecie, brat przeciwko bratu! Jesteśmy jednym narodem! Niepodzielnym!

Owacje.

- Jeżeli chcemy na zawsze pozostać razem, przemawiać jednym głosem i działać ramię w ramię, Republika musi się zmienić. Musimy ewoluować. Wzrastać. Musimy w istocie stać się imperium, zatem stańmy się Imperium także z nazwy! Jesteśmy pierwszym Galaktycznym Imperium!

Senat oszalał.

- Co oni wyprawiają? - spytał Bail. - Nie rozumieją, za czym się opowiadają?

Padme pokręciła głową.

- Jesteśmy Imperium - ciągnął Palpatine - które pozostanie pod rządami tego światłego ciała! Jesteśmy Imperium bez prawa powrotu do czasu politycznych manewrów i korupcji, które zraniły nas tak głęboko. Jesteśmy Imperium, na którego czele stanie jeden suweren, dożywotnio pełniący urząd!

Szaleństwo w senacie zbliżyło się do zenitu.

- Jesteśmy Imperium rządzone przez większość! Imperium pod władzą nowej konstytucji! Imperium prawa, nie polityków! Imperium oddanym sprawie budowy sprawiedliwego społeczeństwa! Bezpiecznego i sprawiedliwego społeczeństwa! Jesteśmy Imperium, które przetrwa dziesięć tysięcy lat!

Zgiełk panujący w senacie nie cichł już ani na moment; był jak huk piorunów w samym sercu nieustającej burzy.

- Każdą rocznicę tego dnia będziemy celebrować jako Dzień Imperium. Dla dobra naszych dzieci. I dzieci naszych dzieci! Przez kolejnych dziesięć tysięcy lat! Bezpieczeństwo! Sprawiedliwość! Pokój!

W senacie zapanował amok.

- Powtarzajcie za mną! Bezpieczeństwo, sprawiedliwość, pokój! Bezpieczeństwo, sprawiedliwość, pokój!

Senatorowie zaczęli skandować, coraz głośniej i głośniej, aż wydawało się, że cała galaktyka wykrzykuje to samo hasło.

Bail nie mógł usłyszeć głosu Padme, ale odczytał słowa z ruchu jej ust.

*Zatem tak umiera wolność. Wśród wiwatów. Przy aplauzie.*

- Nie możemy do tego dopuścić! - Bail zerwał się na równe nogi. - Muszę iść do mojej łóżki; wciąż jeszcze możemy wnieść o...

- Nie. - Chwyliła go za ramię ze zdumiewającą siłą i po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy. - Nie, Bail, nie możesz wnieść już o nic. Nie możesz. Fang Zar został już aresztowany, podobnie jak Tundra Dowmeia. Nie minie wiele czasu, aż wszyscy członkowie Delegacji Dwóch Tysięcy zostaną uznani za wrogów państwa. Dobrze się stało, że twoje nazwisko nie znalazło się na tej liście; nie dodawaj go dziś nierozważnym czynem.

- Przecież nie mogę tak stać i patrzeć...

- Masz rację. Nie możesz tylko patrzeć. Musisz głosować „za”.

- Co?!

- Bail, to jedyny sposób. Jedyna nadzieja na to, że pozostaniesz na stanowisku i będziesz mógł coś zdziałać. Głosuj za Palpatine'em. Głosuj za Imperium. Przekonaj Mon Mothmę, żeby za nim głosowała. Bądźcie małymi, grzecznymi senatorami. Pilnujcie manier i nie podnoście głów zbyt wysoko. A także róbcie... wszystko to, o czym nie możemy mówić. Wszystko to, o czym nie powinienam wiedzieć. Obiecuj mi, Bail.

- Padme, to, o czym mówisz... o czym nie wolno nam mówić... może potrwać i dwadzieścia lat! Czy i ty nie jesteś podejrzana? Co zamierzasz zrobić?

- Nie martw się o mnie - odpowiedziała nieobecny głosem. - Nie wiem, czy pożyję tak długo.

W bunkrze dowództwa separatystów znajdowały się dziesiątki robotów bojowych oraz uzbrojonych i opancerzonych strażników. Były też automatyczne systemy obronne.

Były także krzyki, łzy i błagania o litość.

Nie miało to żadnego znaczenia.

Sith przybył na Mustafar.

Poggle Mniejszy, arcyksiążę Geonosis, miotał się jak zwierzę wśród odciętych ramion, nóg i głów, należących do istot żywych i androidów; jęczał żałośnie i trzepotał cieniutkimi skrzydłami, aż wreszcie błękitna klinga uwolniła jego czerep od reszty ciała.

Shu Mai, prezes i naczelny dyrektor Gildii Kupieckiej, uniosła głowę, klęcząc przed swoim prześladowcą, i złożyła dłonie w błagalnym geście. Łzy płynęły strumieniami po jej pomarszczonych policzkach.

- Obiecano nam nagrodę - załkała. - I to... piękną nagrodę...

- Ja jestem waszą nagrodą - odparł Lord Sithów. - Uważasz, że nie jestem piękny?

- Proszę! - zawyla przez łzy. - Prooo...!

Błękitno-biała klinga wbiła się w jej czaszkę, wypaliła mózg i cofnęła się. Ciało Shu Mai zafalowało. Niedbały ruch nadgarstka skierował ostrze w stronę metalowych pierścieni otaczających jej długą szyję. Głowa potoczyła się po podłodze.

Jedynym dźwiękiem prócz szumu miecza były teraz szybkie kroki Wata Tambora i dwóch Neimoidian, biegnących korytarzem do sąsiedniej sali konferencyjnej.

Lord Sithów nie spieszył się z pościgiem. Wszystkie wyjścia z centrum sterowania zostały hermetycznie zamknięte pancernymi drzwiami. Panel sterujący był zniszczony.

Sala konferencyjna była zaś, jak to się mówi, martwym punktem.

Tysiące żołnierzy-klonów zajęły gmach Świątyni Jedi.

Na każdym z poziomów działały liczne bataliony - nie tylko jako „siły okupacyjne”, ale przede wszystkim jako ekipa porządkowa, której głównym, żmudnym zadaniem było przygotowywanie zwłok do identyfikacji. Każdego zabitego Jedi trzeba było rozpoznać i zaznaczyć na listach wydobytych z Archiwum. Ciała żołnierzy inwentaryzowano zgodnie z rejestrem pobranym z dowództwa pułku. Nikogo nie pomijano.

Zadanie okazało się bardziej skomplikowane, niż spodziewali się tego oficerowie dowodzący klonami. Choć walki zakończyły się wiele godzin temu, wciąż przybywało zaginionych żołnierzy. Zwykle znikwały bez wieści małe oddziały zwiadowcze - pięciu lub mniej ludzi - które patrolowały korytarze Świątyni, zaglądając za każde drzwi, pod każde biurko i do wszystkich szaf.

Niekiedy w owych szafach znajdowano ciała - na przykład pięciu zabitych klonów.

Do oficerów docierały też niepokojące doniesienia, zwykle mówiące o rąbku szaty, który zniknął gdzieś za rogiem, uchwycony jedynie kątem oka, a którego widok ostatecznie trzeba było uznać za produkt wyobraźni, halucynację. Mnożyły się też informacje o niewyjaśnionych dźwiękach dochodzących z tych kątów gmachu, które uważano już za opustoszałe.

I choć żołnierzy-klonów szkolono jeszcze w kadziach na Kamino, by stali się bezlitośnie pragmatyczni, materialistycznie nastawieni i absolutnie niepodatni na przesady, niektórzy zaczęli podejrzewać, że Świątynia jest „nawiedzonym miejscem”.

W mglistym półmroku wielkiej Sali Tysiąca Fontann jeden z klonów z drużyny oczyszczającej gmach dostrzegł zarys postaci za kępą hylajskiego bambusa bagiennego.

- Stój! - krzyknął. - Hej, ty tam! Nie ruszaj się.

Podobna do cienia postać zniknęła, a żołnierz odwrócił się ku braciom ze swojej drużyny.

- Za mną! Cokolwiek to było, nie ucieknie nam!

Oddział klonów zniknął we mgle. W miejscu, w którym składali znalezione ciała, z półmroku wyłonili się dwaj mistrzowie Jedi.

Obi-Wan przestąpił nad trupami w białych pancerzach i przyklęknął przy spalonych ogniem blasterów ciałkach dzieci. Łzy płynęły mu po policzkach strumieniami, które nie wyschły ani na chwilę, odkąd znaleźli się w Świątyni.

- Nawet dzieci nie przeżyły. Zdaje się, że broniły się tutaj. Sędziwa twarz Yody emanowała smutkiem.

- Albo próbowały uciec, a niektóre zostały, by pościg zatrzymać. Obi-Wan odwrócił ciało starszego, dorosłego, niemłodego już Jedi.

Żal wycisnął z jego piersi westchnienie.

- Mistrzu Yoda, to Troll... Yoda spojrzał i skinął głową.

- Małych uczniów swoich Cin Drallig nigdy by nie opuścił. Obi-Wan usiadł na podkulonych nogach przy zabitym rycerzu.

- Był moim instruktorem walki na miecze...

- A ja szkoliłem jego - dodał Yoda. - Okaleczy nas rozpacz, jeśli pozwolimy jej na to.

- Wiem, ale... Usłyszeć o śmierci przyjaciela to jedno, mistrzu Yoda. Zobaczyć jego zwłoki to coś gorszego...

- Tak. - Yoda podszedł bliżej i gimerową laseczką wskazał na głęboką ranę ciągnącą się od ramienia do piersi Dralliga. Nie było wokół niej śladów krwi. - Masz rację. A to, widzisz? Rany takiej nie zadał żaden blaster.

W sercu Obi-Wana otworzyła się lodowata przestrzeń. Przelknął ból i rozpacz... Pustka, która pozostała, była niebezpiecznie spokojna.

- Miecz świetlny? - szepnął.

- Sprawę z nadajnikiem wciąż mamy do załatwienia. - Yoda wskazał laseczką na dalekie postacie kluczące między drzewami i sadzawkami, których pełno było w wielkiej sali. - Klony powracają.

Obi-Wan wstał.

- Dowiem się, kto to zrobił.

- Dowiesz się? - Yoda smętnie pokiwał głową. - Ty już wiesz - dodał i odszedł, by zniknąć we mgle.

Wychodząc z głównej sali centrum sterowania, Darth Vader nie zostawił za sobą ani jednej żywej istoty.

Swobodnym, wręcz niedbałym krokiem pokonał długość korytarza, wodząc czubkiem klingi po durastalowej ścianie. Podobało mu się skwierczenie rozpruwanego metalu, a także zapach przypalonych ciał, który czuć było i tutaj.

Drzwi sali konferencyjnej okazały się zamknięte. Tak nędzna zaporą byłaby obrazą dla miecza. Dłoń w czarnej rękawicy zwinęła się w pięść, pod jej ciosem drzwi wgniotły się i wpadły do środka.

Lord Sithów przeszedł po nich.

Ściany pomieszczenia wykonano z transpatali. Widać było za nimi obsydianowe góry plujące ogniem na skalistą okolicę. Rzeki lawy otaczały kompleks budynków ze wszystkich stron.

Runę Haako, asystent i zaufany sekretarz wicekróla Gildii Kupieckiej, potknął się o krzesło, cofając się przed intruzem. Upadł na podłogę i trzęsąc się jak robak na patelni, próbował wpełznąć pod stół.

- Przestań! - krzyczał. - Dostyc tego! Poddajemy się, nie rozumiesz?! Nie możesz nas zabić...

Lord Sithów uśmiechnął się.

- Nie mogę?

- Jesteśmy nieuzbrojeni! Poddajemy się! Proszę... Proszę cię, przecież jesteś Jedi!

- Toczyłeś wojnę, żeby zniszczyć Jedi. - Vader stanął nad roztrzęsionym Neimodianinem, uśmiechnął się do niego i poczęstował go metrowym słupem plazmy. - Gratuluję sukcesu.

Przeszedł nad ciałem Haako i zbliżył się do miejsca, w którym Wat Tambor skutecznie drapał grubą transpatal pancernymi rękawicami. Przywódca Unii Technokratycznej obrócił się gwałtownie, cofnął odruchowo i uniósł ramiona, by zasłonić maskę przed płomieniem bijącym z oczu smoka.

- Proszę... Oddam ci wszystko. Wszystko, czego zapragniesz!

Klinga błysnęła dwukrotnie. Ramiona Tambora upadły na podłogę; w ślad za nimi potoczyła się głowa.

- Dziękuję.

Darth Vader zwrócił się ku ostatniemu żyjącemu jeszcze przywódcy Konfederacji Niezależnych Systemów.

Nutę Gunray, wicekról Federacji Handlowej, stał drżący we wnęce ściennej, a po jego zielonkawych policzkach płynęły zabarwione krwią łzy.

- Wojna... - wyjąkał. - Wojna jest skończona... Lord Sidious obiecał nam... Obiecał, że nie będziemy niepokojeni...

- Zakłócenia zniekształciły przekaz. - Ostrze uniosło się w górę. - Obiecał, że nie będziecie niepokojeni.

W głównym centrum hololączności Świątyni Jedi, na szczycie najwyższej, środkowej wieży, Obi-Wan użył Mocy, by sięgnąć w głąb obwodów nadajnika przywoławczego. Subtelna rekalkibracja impulsu wystarczyła, by zmienić rozkaz „wracajcie do domu” na „uciekajcie i ukrycie się”. Na zewnątrz ingerencja nie była widoczna, a to oznaczało, że minie jakiś czas, nim żołnierze odkryją zmianę. Zapewne jeszcze bardziej czasochłonne byłoby jej cofnięcie. Tylko tyle można było zrobić dla Jedi, którzy być może przeżyli atak: ostrzec ich, by mieli szansę przygotować się do walki.

Obi-Wan odwrócił się i spojrzął na urządzenia, w których przechowywany był zapis z wewnętrznych skanerów bezpieczeństwa. Czuł, że musi się dowiedzieć, przed czym właściwie ostrzega swoich towarzyszy.

- Nie rób tego - powiedział Yoda. - Odejść stąd musimy, zanim nas znajdą.

- Muszę to zobaczyć - odparł ponuro Obi-Wan. - Mówiłem ci już na dole: wiedzieć to jedno. Zobaczyć to coś innego.

- Jeśli zobaczysz, ból jedynie poczujesz.

- Będzie to ból, na który zasłużyłem. Nie zamierzam przed nim uciekać. - Kenobi wpisał sekwencję znaków i jego oczom ukazał się hologram Sali Tysiąca Fontann. - Nie boję się.

Oczy Yody zmieniły się w zielono-złociste szparki.

- A powinienesz.

Obi-Wan z kamienną twarzą patrzył na dzieci Jedi, które wbiegły do sali, uciekając przed ścianą blasterowego ognia. Dostrzegł Cina Dralliga i parę nastoletnich padawanów - czy jednym z nich był Whie, chłopak, którego Yoda zabrał na Vjun? - którzy świetlistymi klingami odbijali bolty, kładąc trupem ostrzeliwujących się żołnierzy.

Zobaczył też, jak w sali pojawia się kolejny miecz świetlny i zabija najpierw jednego, a potem drugiego padawana. Na jego oczach postać w ciemnym płaszczu zbliżyła się szybkim krokiem i cięła Dralliga w ramię, po czym usunęła się na bok, gdy stary Troll padał na posadzkę, a żołnierze-klony rozrywali dzieci na strzępy seriami blasterowych strzałów.

Na twarzy Obi-Wana nie drgnął ani jeden mięsień.

Jedi otworzył się na to, co miał zobaczyć za chwilę. Był przygotowany, skupiony, ufny w Moc, a jednak...

Gdy wojownik w czerni obrócił się, by stanąć naprzeciwko zakapturzonej postaci w ciemnej szacie, a potem...

Potem...

Patrząc na tę scenę, Obi-Wan żałował, że nie ma dość siły, by wyrwać sobie oczy. Tylko że nawet oślepiony widziałby tę scenę do końca życia.

Widziałby swojego przyjaciela, ucznia, brata, który odwrócił się i przykleknął przed odzianym w czerń Lordem Sithów

Bezgłośny krzyk rozsadzał mu czaszkę.

- Zdraycy zostali zniszczeni, Lordzie Sidious. Archiwa zabezpieczone. Nasze starożytne holokrony znowu są w rękach Sithów.

- Dobrze... Dobrze. Razem zgłębimy wszystkie sekrety Mocy.-Lord Sithów mruzczał jak zadowolony rancor. - Dobrze się spisałeś, mój nowy uczniu. Czujesz, jak rośnie twoja potęga?

- Tak, mój mistrzu.

- Lordzie Vader, umiejętnościami przewyższasz wszystkich Sithów w dziejach... Naprzód, mój chłopcze. Naprzód. Sprowadź pokój na nasze Imperium.

Jakimś cudem Obi-Wan zdołał drżącymi rękami wyłączyć holoprojektor. Oparł się o konsolę, ale ramiona nie utrzymały ciężaru ciała. Osunął się na podłogę.

Przytulił się do ścianki konsoli, oślepiony bólem.

Yoda był mniej więcej tak współczujący jak korzeń drzewa wroshyr.

- Ostrzegalem.

- Powiniem być pozwolić, żeby mnie zastrzelili - powiedział Obi-Wan.

- Co takiego?

- Nie. Wtedy było już za późno. Za późno było też na Geonosis. Ten Zabrak na Naboo... Tak, wtedy powinienem być zginąć. Zanim sprowadziłem go tutaj.

- Przystaniesz w tej chwili! - zagrział Yoda, dżgając Obi-Wana laseczką między żebrami na tyle mocno, by go wyprostować. - Upadku Jedi spowodować nie można. Nawet Lord Sidious tego nie dokona. Wybrał tę ścieżkę Skywalker.

Obi-Wan pochylił głowę.

- Obawiam się, że wiem dlaczego.

- Dlaczego? „Dlaczego” nie ma znaczenia. Nie istnieje „dlaczego”. Istnieją tylko Lord Sithów i jego uczeń. Dwóch Sithów. - Yoda pochylił się w stronę Obi-Wana. - I dwóch Jedi.

Kenobi skinął głową ale wciąż brakowało mu siły, by spojrzeć w oczy sędziego mistrza.

- Wybieram Palpatine'a.

- Dość siły na to, by pokonać Lorda Sidiousa, nigdy mieć nie będziesz. Umrzesz, i to w bólu.

- Nie każ mi zabijać Anakina. Mistrzu, on jest dla mnie jak brat.

- Chłopca, którego szkoliłeś, już nie ma. Odmieniony został przez Ciemną Stronę. Pożarty przez Dartha Vadera. Zakończyć jego niedolę musisz. Wizyta u naszego nowego Imperatora moim zadaniem będzie.

Teraz dopiero Obi-Wan zwrócił twarz ku staremu mistrzowi.

- Palpatine sprostaj Mace'owi, Agenowi, Kitowi i Saesee, czterem największym fechmistrzom, jakich kiedykolwiek wydał zakon. Zrobił to sam. Nawet we dwóch nie mielibyśmy szans przeciwko niemu.

- Prawda - zgodził się Yoda. - Osobno jednak szansę stworzyć możemy...

## ROZDZIAŁ

# 20

### ŚWIATŁOCIEN

C-3PO zidentyfikował pojazd, który zatrzymał się nad werandą jako śmigacz DC0052. Na wszelki wypadek nie wyłączył kurtyny pola ochronnego.

W niespokojnych czasach nawet android protokolarny miał prawo przedkładać bezpieczeństwo nad uprzejmość.

Ze śmigacza wysiadł mężczyzna w płaszczu z kapturem. Po chwili stał już przed energetyczną zaporą. C-3PO wyszedł mu na spotkanie.

- Dzień dobry, czym mogę służyć?

Mężczyzna nie zdjął kaptura, uniósł tylko jego skraj na tyle, by android zdołał rozpoznać znajome oczy, nos, usta i brodę.

- Mistrz Kenobi! - C-3PO już dawno otrzymał nader szczegółowe instrukcje co do procedury postępowania w razie niespodziewanej i ukradkowej wizyty rycerza Jedi.

Natychmiast wyłączył kurtynę bezpieczeństwa i skinął dłonią na gościa.

- Prędko, proszę wejść. Ktoś może pana zobaczyć.

Gdy C-3PO w pośpiechu prowadził go do salonu, mistrz Kenobi spytał:

- Był tu może Anakin?

- Tak - odparł niechętnie android. - Pojawił się wkrótce po tym, jak armia ocaliła Republikę przed rebelią Jedi...

C-3PO urwał, gdy dotarło do niego, że mistrz Kenobi patrzy na niego tak, jakby miał ochotę rozmontować go śrubka po śrubce. Pomyślał nawet, że może popełnił błąd, tak ochoczo wpuszczając Jedi do domu.

Czyż mistrz Kenobi nie był teraz, w pewnym sensie, wyjęty spod prawa?

- Ja... Powinienem chyba... - C-3PO zająknął się, wycofując się niezgrabnie. - Może po prostu zawołam panią senator? Położyła się po porannym Wielkim Zgromadzeniu. Nie czuła się najlepiej, więc...

Senator Amidala pojawiła się u szczytu kręconych schodów, przewiązując paskiem miękki szlafrok, który miała na sobie. Android uznał, że najlepiej będzie, jeśli ulotni się dyskretnie.

Naturalnie nie zamierzał odchodzić zbyt daleko; gdyby mistrz Kenobi okazał złe zamiary, C-3PO był gotów natychmiast wezwać kapitana Typho i ochronę.

Senator Amidala jednak najwyraźniej nie traktowała mistrza Kenobiego jak groźnego przestępcy...

Wręcz przeciwnie: od razu padła mu w ramiona i głosem zduszonym od emocji wyraziła niezmierną - i być może całkiem niestosowną - radość z faktu, że Jedi jeszcze żyje.

Potem nastąpiła dyskusja, której C-3PO nie umiał do końca pojąć. Polityczne informacje, które docierały do jego receptorów dźwiękowych, przekraczały możliwości logiczne jego oprogramowania. Wiedział tylko, że chodzi o pana Anakina, o upadek Republiki (cokolwiek miałyby to znaczyć), o coś, co nazywano Lordem Sithów, o kanclerza Palpatine'a oraz o Ciemną Stronę Mocy, ale tak naprawdę nie potrafił doszukać się w tym sensu. W pełni zrozumiał jedynie to, że zakon Jedi został zdelegalizowany i niemal doszczętnie zniszczony (rankiem na Lipartian Way nie mówiło się o niczym innym) oraz to, czego i tak się spodziewał: że mistrz Kenobi przybył tu w poszukiwaniu pana Anakina. Nic dziwnego, pomyślał, przecież byli partnerami... Choć niedawne zachowanie pana Anakina było smutnym dowodem na to, iż długie lata szkolenia nie pomogły mu nasiąknąć cudownymi manierami mistrza Kenobiego.

- Kiedy widziałas go po raz ostatni? Wiesz może, gdzie jest?

Fotoreceptory C-3PO dostrzegły rumieniec na policzkach senator Amidali, gdy spuściła głowę i odpowiedziała:

- Nie.

Trzy lata prowadzenia domu kobiety parającej się zawodowo polityką nauczyły androida, że błędem byłoby przypomnienie jej, iż pan Anakin był tu zaledwie poprzedniego dnia i mówił, że wybiera się na Mustafar. C-3PO wiedział już, że pamięć zawodzi jego panią tylko wtedy, kiedy taka jest jej wola.

- Padme, musisz mi pomóc - powiedział mistrz Kenobi. - Trzeba odnaleźć Anakina. Trzeba go powstrzymać.

- Jak możesz tak mówić? - Odsunęła się od niego i odwróciła, kładąc dłonie na zaokrąglonym brzuchu. - Przecież dopiero co wygrał tę wojnę!

- To nigdy nie była wojna Republiki przeciwko separatystom. To Palpatine walczył przeciwko Jedi. I przegraliśmy. Cała reszta była tylko grą.

- Wystarczająco realistyczną dla tych, którzy zginęli!

- Tak. - Tym razem to mistrz Kenobi spuścił głowę. - Na przykład dla dzieci w Świątyni.

- Co?

- Zostały wymordowane, Padme. Widziałem to. - Chwyił ją za ramiona i obrócił ku sobie. - Zostały zabite przez Anakina.

- To kłamstwo... - Odepchnęła go tak gwałtownie, że C-3PO o mało nie uruchomił systemu alarmowego, ale mistrz Kenobi tylko spojrział na nią z uczuciem, które moduł rozpoznawania emocji zidentyfikował androidowi jako smutek i żal. - On... nie mógłby... nigdy... Nie mój Anakin.

Mistrz Kenobi przemawiał wolno i cicho.

- Trzeba go odnaleźć.

Odpowiedź była jeszcze cichsza; C-3PO ledwie ją wychwyił.

- Ty już postanowiłeś go zabić.

- Stał się wielkim zagrożeniem - odparł z powagą Jedi.

W tym momencie, jak zauważył android, stan zdrowia senator Amidali pogorszył się nagle: kolana ugięły się pod nią mistrz Kenobi zaś musiał podtrzymać ją i usadzić na kanapie. Zapewne wiedział nieco więcej o ludzkiej fizjologii niż C-3PO, który - choć jego fotoreceptory dostrzegły ostatnio zmiany w figurze pani - absolutnie nie miał pojęcia, co może być ich przyczyną.

Tak czy inaczej wydawało się, że mistrz Kenobi natychmiast zrozumiał sytuację. Ułokowawszy senator wygodnie na kanapie, spojrział na nią spod zmarszczonych brwi.

- Anakin jest ojcem, prawda?

Senator odwróciła głowę. Z jej oczu znowu pociekły łzy.

- Bardzo mi przykro, Padme - odezwał się cicho mistrz Jedi. - Gdyby sprawy potoczyły się inaczej...

- Odejdź, Obi-Wanie. Nie pomogą ci. Nie mogę - powiedziała, nie patrząc mu w oczy. - Nie pomogą ci go zabić.

- Bardzo mi przykro - powtórzył mistrz Kenobi, a potem wyszedł.

C-3PO niepewnie wrócił do salonu. Zamierzał zapytać o zdrowie pani, ale zanim jego procesor uzyskał dostęp do odpowiednio delikatnej frazy rozpoczynającej rozmowę, senator Amidala powiedziała:

- Threepio? Wiesz, co to jest?

Uniosła w jego stronę wisiołek umocowany na rzemieniu ze skóry jerby, który zawsze nosiła na szyi.

- O, tak, proszę pani - odparł android protokolarny, jak zawsze szczęśliwy, że może się do czegoś przydać. - To kawałek japoru. Dzieci na Tatooine wycinają na takich runy plemienne, tworząc amulety. Przesądni ludzie wierzą, że amulet przynosi szczęście i chroni przed zagrożeniem; może też być symbolem miłostnego czaru. Muszę jednak przyznać, proszę pani, że jestem zaskoczony. Nie pamięta pani o tym, choć przecież nosi pani ten amulet od wielu lat, odkąd dostała go od panicza An...

- Nie zapomniałam, co to jest, Threepio - przerwała mu, zamyślona. - Dziękuję. Ja tylko... wspominałam chłopca, który dał mi ten amulet.

- Pani...? - Skoro nie zapomniała, to dlaczego pytała? C-3PO nie zdążył poprosić o odpowiedź.

- Skontaktuj się z kapitanem Typho. Niech przygotowuje do lotu mój skiff.

- Wybiera się pani dokądś?

- Wybieramy się - poprawiła. - Na Mustafar.

Ukryty w cieniu wypolerowanej jak lustro rampy statku, Obi-Wan Kenobi obserwował kapitana Typho, który próbował przekonać Padme do zmiany planów.

- Pani - protestował szef ochrony z Naboo - pozwól przynajmniej, że polecę z tobą...

- Dziękuję, kapitanie, ale nie ma potrzeby - odparła. Sprawiała wrażenie nieobecnej. -Wojna skończona, a to... to sprawa osobista. I jeszcze jedno, kapitanie: ma pozostać osobistą, rozumiemy się? Nie wiesz nic o moim odlocie, nie wiesz dokąd się wybrałam ani kiedy wrócę.

- Jak sobie życzysz, pani - odparł Typho, kłaniając się z rezerwą. -Wiedz jednak, że jestem temu wszystkiemu bardzo przeciwny.

- Nic mi nie będzie, kapitanie. W końcu lecę z Threepio; on się mną zaopiekuje.

Obi-Wan usłyszał wyraźnie ciche „o rety” androida.

Gdy tylko Typho wsiadł do swojego śmigacza i odleciał, Padme i C-3PO weszli na pokład skiffu. Senator nie traciła czasu: repulsory statku zadziały, zanim jeszcze zamknęła się rampa.

Obi-Wan musiał skoczyć.

Wśliznął się do wnętrza, zanim właz zamknął się szczelnie, a lśniący statek pomknął ku niebu.

Darth Vader stał na mostku w centrum sterowania na Mustafar, durastalową dłonią ściskając tę żywą za plecami. Spoglądał przez transpystalową tafłę na galaktykę, którą pewnego dnia miał zawładnąć.

Nie zwracał najmniejszej uwagi na zwłoki leżące u jego stóp.

Rzeczywiście czuł, jak rośnie jego potęgą. Wiedział już, na co stać jego „mistrza”; wiedział też, że wkrótce po tym, jak Palpatine podzielił się z nim tajemnicą Dartha Plagueisa, ich związek przejdzie nagłą... transformację.

Śmiertelną transformację.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem.

A jednak...

Nie mógł oprzeć się dziwnemu wrażeniu... jakby zimna, oślizła ciecz wpłynęła w żyły jego nóg i lepkimi mackami sięgała wolno aż do trzewi.

Prawie tak, jakby nadal czuł strach.

*Wiesz, że ona umrze*, szeptał smok.

Wzdrygnął się i zmarszczył czoło. Niemożliwe. Był Darthem Vaderem. Lęk nie miał nad nim władzy. Przecież pokonał swój strach.

*Wszystko umiera.*

A jednak było tak, jakby smok, którego zmiażdżył obcasem wysokiego buta, zdołał jakoś zatopić jadowe kły w jego pięcie.

I teraz chłód trucizny przenikał go aż do kości.

*Nawet gwiazdy się wypalają.*

Wzdrygnął się ponownie i podszedł do stanowiska hololączęności. Zamierzał porozmawiać z mistrzem.

Palpatine zawsze potrafił pomóc mu w walce ze smokiem.

Komunikator zabrzczał cicho. Yoda otworzył oczy w ciemności.

- Tak, mistrzu Kenobi?

- Łądujemy. Jesteś na miejscu?

- Tak.

Chwila ciszy.

- Mistrzu Yoda... Jeżeli już się nie zobaczymy...

- O tym, co będzie potem, nie myśl, Obi-Wanie. Liczy się „teraz”; nawet wieczność chwilą obecną się stanie.

Znowu zapadło milczenie. Tym razem na dłużej.

- Niech Moc będzie z tobą.

- Jest. Niech i z tobą Moc będzie, młody Obi-Wanie.

Transmisja dobiegła końca.

Yoda wstał.

Gestem otworzył kratkę zamykającą szyb wentylacyjny, w którym siedział i medytował. Zobaczył ogromną, zamkniętą przestrzeń o stożkowatym kształcie - Wielką Salę Zgromadzeń Senatu Galaktycznego, zwaną niekiedy Areną Senatu.

Tego dnia owa nieoficjalna nazwa miała stać się nader adekwatna.

Yoda przeciągnął się, by krew ożywiła jego zielone ciało.

Nadszedł jego czas.

Dziewięćset lat studiowania i treningu, nauczania i medytacji - cały ten bagaż doświadczeń skupił się teraz, skryzalizował i ukierunkował na tę jedną chwilę. Yoda czuł, że jedynym celem jego długiej egzystencji było przygotowanie do tego, co miało nastąpić: do wkroczenia w samo serce nocy, do wniesienia światła przeciwko ciemności.

Poprawił rękęjęsć miecza u pasa.

Wyrównał płaszcz na ramionach.

Z szacunkiem, z wdzięcznością, bez strachu i bez gniewu, Yoda wyruszył na wojnę.

Srebrzysty błysk na zewnątrz przykuł uwagę Dartha Vadera; przypominał elegancko zakrzywione lustro mknące pośród dymu i chmur popiołu. W jego gładkiej powierzchni odbijał się blask rozżarzonej lawy. Klęcząc na jednym kolanie, Lord Sithów mógł patrzeć na ów błysk przez hologram mistrza, nie przerywając raportu.

Nie bał się już; zanadto był zajęty udawaniem szacunku.

- Dowództwo separatystów już nie istnieje, mój mistrzu.

- Zatem rzecz skończona. - Wizerunek obdarzył go półprzezroczystą parodią uśmiechu. - Przywróciłeś pokój i sprawiedliwość w galaktyce, Lordzie Vader.

- To moja jedyna ambicja, mistrzu.

Błękitna postać przechyliła głowę na bok, a jej uśmiech zmienił się stopniowo w ponury grymas.

- Lordzie Vader... wyczuwam zakłócenie Mocy. Możliwe, że jesteś w niebezpieczeństwie.

Spojrzał ukradkiem na lustrzany błysk za oknem. Znał ten statek. Być może, pomyślał, grozi mi niebezpieczeństwo zacałowania na śmierć...

- Jakie to niebezpieczeństwo, mistrzu?

- Nie umiem powiedzieć... Ale jest realne. Bądź czujny.



Bądź czujny, bądź czujny, pomyślał z pogardą. Tylko na to cię stać? To samo mógłbym usłyszeć od Obi-Wana.

- Będę, mój mistrzu. Dziękuję.

Hologram pobladł i znikł.

Vader wstał. Już nie tylko myślał, ale także patrzył i krzywił usta z pogardą.

- Sam powinieneś być czujny, mój „mistrzu”. To ja jestem zakłóceniem Mocy.

Smukły skiff osiadł miękko na lądowisku. Sith poświęcił chwilę na powrót do aparycji Anakina Skywalkerera: nappełnił umysł miłością Anakina Skywalkerera, przykleił uśmiech Anakina Skywalkerera do ust i wreszcie nadał swoim ruchom sprężystą energię Anakina Skywalkerera, gdy biegł truchtem do wyjścia, przeskakując nad okaleczonymi ciałami i odciętymi kończynami.

Wiedział, że będzie musiał spotkać się z nią na zewnątrz i zatrzymać ją tam. Przechywał, że nie byłaby zadowolona z tego, jak... udekorował centrum sterowania.

W końcu, pomyślał, wzruszając ramionami, o gustach się nie dyskutuje.

Gabinet-poczekalnia Wielkiego Kanclerza Republiki znajdował się u podstawy odwróconego stożka Areny Senatu; był w istocie niczym więcej niż tylko okrągłym, udekorowanym na zielono pokojem przygotowań, w którym goście kanclerza mogli spędzić kilka chwil przed wejściem na jego półokrągłą lożę- podium umieszczoną na olbrzymiej, hydraulicznie rozciąganej kolumnie, która unosiła ją wysoko, ku centralnemu punktowi Wielkiej Sali Zgromadzeń. Na pulpicie sterowniczym łoży znajdowały się urządzenia koordynujące ruch latających łóż senatorskich.

Holoprojektor wyświetlał właśnie nad opuszczonym podium ogromny wizerunek kłęczącego Sitha, który kłaniał się cieniowi stojącemu poniżej. Gwardziści w czerwieni strzegli spokoju cienia; chagriański lizus czekał na jego rozkazy w służalczej pozycji.

- Ale jest realne. Bądź czujny.

- Będę, mój mistrzu. Dziękuję.

Półprzezroczysty hologram zgasł, odsłaniając inną postać - całkiem realną, drobną i pomarszczoną, odzianą w długą szatę i wspartą na krzywym kawałku drewna. Fizyczne cechy przybysza były jednak tylko iluzją; całą prawdę o nim można było dostrzec wyłącznie w Mocy.

A w Mocy był on fontanną światła.

- Twego nowego wychowanka żałuję... tak niedawno został uczniem, a tak niedługo bez mistrza zostanie.

- Och, mistrz Yoda! Cóż za wspaniała niespodzianka! Witaj! - Głos cienia brzmiał niemal radośnie. - Pozwól, że jako pierwszy złożę ci życzenia szczęśliwego Dnia Imperium!

- Szczęśliwy dla ciebie nie będzie. Ani dla mordercy, którego Vaderem nazywasz.

- Ach, tak. - Cień zrobił krok w stronę światła. - Więc to jest to zagrożenie, które wyczułem. Kto to będzie, jeśli wolno spytać? Kogo wysłałeś, żeby go zabił?

- Wystarczy ci wiedzieć, kto ciebie zniszczy.

- Och, mistrzu Yoda, czyżby to był Kenobi? Proszę, powiedz, że to Kenobi! Lord Vader uwielbia zabijać tych, którym na nim zależy...

Stojący o kilka metrów za cieniem Mas Amedda - Chagrianin sprawujący urząd przewodniczącego Senatu Galaktycznego - usłyszał szept Palpatine'a: „Uciekaj”.

Oczywiście usłuchał.

Ani dla cienia, ani dla światła jego odejście nie było warte spojrzenia.

- Nie tak łatwo Obi-Wana zabić.

- Ciebie najwidoczniej też nie, ale to się wkrótce zmieni. - Cień uczynił kolejny krok naprzód, a potem następny.

W rękach Yody pojawił się miecz świetlny, o klindze zielonej jak słoneczne światło w lesie.

- Przekonamy się jeszcze dziś.

- Choćby ułamek Ciemnej Strony jest potężniejszy niż wszystko to, co może począć z siebie arogancja Jedi. Żyjąc w świetle, nigdy nie umieliście dostrzec, jak głęboka jest ciemność.

Cień rozłożył ramiona; szerokie rękawy jego szaty rozpostarły się na kształt czarnych skrzydeł.

- Aż do dziś - dodał.

Otwarte dłonie eksplodowały błyskawicami - rozpoczęła się bitwa.

Padme zbiegła po rampie skiffu wprost w ramiona Anakina.

Miała przekrwione, zmęczone oczy. Gdy tylko wsiadła na pokład, pękły w niej bariery samokontroli - przeplakała całą drogę, wyrzucając z siebie nieznośny strach. Teraz jej oczy i usta były spuchnięte, a całe ciało drżało, przede wszystkim z wdzięczności, niewiarygodnej wdzięczności, która wycisnęła z niej nowe łzy. Była wdzięczna, że jest żywy, że wybiegł jej na spotkanie, że wciąż jest silny i piękny, że ramiona, którymi ją objął, nadal są takie ciepłe jak zawsze i że jego usta wydają się takie miękkie, gdy przyciska je do jej włosów.

- Anakin... mój Anakin... - Drżała, przytulona do jego piersi. - Tak się bałam...

- Ciii... Już dobrze. - Gładził jej włosy tak długo, aż drzenie zaczęło ustępować.

Wtedy ujął ją pod brodę, delikatnie skierował jej twarz ku górze i spojrzał w oczy. - Nie musisz się o mnie martwić. Nie zrozumiałaś, co mówiłem? Nikt nie może mnie zranić. Nikt nigdy nie skrzywdzi ani mnie, ani ciebie.

- Nie o to chodzi, kochany, ja... Och, Anakinie, słyszałam takie straszne rzeczy o tobie!

Uśmiechnął się do niej.

- O mnie? A kto miałby ci o mnie opowiadać? - Zaśmiał się. - Kto miał czelność?

- Obi-Wan - odpowiedziała, ścierając łzy z policzków. - Mówił... Mówił, że przeszedłeś na Ciemną Stronę, że zabijałeś Jedi... nawet dzieci...

Poczula się lepiej, gdy wyrzuciła to z siebie. Teraz musiała już tylko pozostać w jego ramionach, pozwolić się przytulić i z ulgą wysłuchać jego zapewnień, że nie mógłby zrobić czegoś tak straszego. Z uśmiechem uniosła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy...

Lecz zamiast światła miłości zobaczyła w nich jedynie odbicie lawy.

Nie powiedział: „Nigdy nie przeszedłbym na Ciemną Stronę”.

Nie powiedział: „Zabijając dzieci? Ja? Nonsens”.

Powiedział natomiast:  
 - To Obi-Wan żyje?  
 Jego głos był o oktawę niższy niż zwykle i zimniejszy niż dreszcz, który Padme poczuła wzdłuż kręgosłupa.  
 - Tak... i... i mówił, że cię szuka...  
 - Powiedziałś mu, gdzie jestem?  
 - Nie! Anakinie, on chce cię zabić. Nic mu nie powiedziałam; nie mogłabym przecieżyć!  
 - Szkoda.  
 - Jak to...  
 - To zdrajca, Padme. Wróg państwa. Musi umrzeć.  
 - Przestań - zażądała. - Nie mów tak... Przerażasz mnie!  
 - Nie ty powinnaś się bać.  
 - Jest tak, jakbym... jakbym... - W jej oczach znowu pojawiły się łzy - .. jakbym już cię nie знаła.  
 - Jestem mężczyzną, który cię kocha - odpowiedział przez zaciśnięte zęby. - Mężczyzną, który zrobi wszystko, żeby cię chronić. I wszystko, co już zrobiłem, zrobiłem dla ciebie.  
 - Anakinie... - Strach zmienił jej głos w słaby szept. Poczuła się mała, delikatna i bardzo młoda. - Co ty zrobiłeś?  
 - Powiem ci, co: przywróciłem pokój w Republice.  
 - Republika umarła - wyszeptwała w odpowiedzi. - Ty ją zabiłeś. Ty i Palpatine.  
 - Musiała umrzeć.  
 Padme płakała, ale to nie miało znaczenia; wiedziała, że nie wystarczy jej łez. Zbyt wiele się wydarzyło.  
 - Anakinie, czy nie możemy... po prostu odejść? Proszę cię. Ucieknijmy. Razem. Dzisiaj. W tej chwili. Zanim ty... Zanim coś się stanie...  
 - Nic się nie stanie. Nic się nie może stać. Niech Palpatine nazywa się Imperatorem. Pozwólmy mu na to. Niech wykona brudną robotę, niech skupi się na brutalnym ucisku, który na nowo zjednoczy galaktykę... zjednoczy ją przeciwko niemu. Niech sam uczyni z siebie najbardziej nienawidzonego człowieka w dziejach. A kiedy nadejdzie czas, obalimy jego rządy...  
 - Anakinie, przestań...  
 - Nie rozumiesz? Będziemy bohaterami. Cała galaktyka będzie nas kochać, a my... będziemy rządzić. Razem.  
 - Proszę cię, przestań... Anakinie... Przestań. Nie mogę tego słuchać...  
 Już jej nie słuchał. Nie patrzył na nią. Wlepił wzrok w coś ponad jej ramieniem. Dzioki blask zapalił się w jego oczach, a jego twarz nie była już ludzką twarzą.  
 - Ty...  
 Zza jej pleców dobiegł głos. Znajomy akcent z Coruscant...  
 - Padme. Odsuń się od niego.  
 - Obi-Wan? - Odwróciła się gwałtownie. Stał na rampie skiffu, nieruchomy i smutny. - Nie!

- Ty - warknął głos, który powinien być należeć do jej ukochanego. - Ty go tu sprowadziłaś...  
 Odwróciła się i zobaczyła, że teraz znowu patrzy na nią. W jego oczach były płomienie.  
 - Anakin...?  
 - Padme, odejdz stąd. - W głosie Obi-Wana było coś, czego nigdy w nim nie słyszała: natarczywość granicząca ze strachem. - On nie jest tym, za kogo go uważasz. Skrzywdzi cię.  
 Anakin obnażył zęby.  
 - Podziękowałbym ci za to, gdyby to był dar miłości. Drżąc i potrząsając głową, zaczęła się cofać.  
 - Nie... Anakin, nie...  
 - Palpatine miał rację. Czasem najbliższym najtrudniej dostrzec prawdę. Za bardzo cię kochałem, Padme.  
 Zacisnął pięść. Padme poczuła, że nie może złapać tchu.  
 - Za bardzo cię kochałem, żeby zobaczyć! Żeby zrozumieć, kim naprawdę jesteś! Świat przed jej oczami poczerwieniał nagle. Sięgnęła rękami do gardła, ale nie było tam niczego, z czym mogłaby walczyć.  
 - Anakin, puść ją.  
 Odpowiedziało mu warknięcie, jakie mógłby wydać drapieżnik stojący nad ciałem swojej ofiary.  
 - Nie odbierzesz mi jej!  
 Padme chciała krzyknąć, błagać, wyć: „Nie, Anakinie... Przepraszam! Przepraszam... Kocham cię...” ale ściśnięte gardło zatrzymało prawdę w jej umyśle. Czerwień, która zalała świat, coraz szybciej zmieniała się w czerń.  
 - Puść ją!  
 - Nigdy!  
 Grunt osunął jej się spod nóg i z białym rozbłyskiem uderzenia zapadła w noc.  
  
 Błyskawice buchające z dłoni Sitha rozświetliły Arenę Senatu. Odbite gestem Jedi, trafiły gwardzistów Czerwonej Straży, pozbawiając ich przytomności.  
 Zostali sami.  
 Ich starcie przekraczało granice osobistego konfliktu. Gdy zapaliła się kolejna błyskawica, to nie Palpatine palił Yodę swoją nienawiścią - to Lord Sithów próbował zmienić mistrza wszystkich Jedi w dymiącą kupkę tkaniny i zielonego mięsa.  
 Zwycięski okrzyk był głosem wszystkich Sithów, którzy ukrywali się od tysiąca lat.  
 - Wasz czas dobiegł końca! Sithowie rządzą galaktyką! Teraz i zawsze!  
 W odpowiedzi cały zakon Jedi poderwał się do kontrataku, zmieniając własne ciało w pocisk, by obalić Sitha na podłogę.  
 - Dobiega końca wasze panowanie i przyznać muszę, że zbyt długo było.  
 Ostrze w kolorze życia zapaliło się między walczącymi.

Niepozorna broń - łatwa do ukrycia niespodzianka, drobiazg wyrażający całą zdradliwą naturę i finezję Sithów - wyłoniła się z cienia czarnego skrzydła, wskoczyła do pomarszczonej dłoni i eksplodowała ostrzem w kolorze ognia.

Gdy spotkały się te dwie klingi, było to coś więcej niż starcie Yody z Palpatine'em, coś więcej niż tysiąclecia historii Sithów przeciwko legionom rycerzy Jedi.

Była to kwintesencja fundamentalnego konfliktu dzielącego wszechświat.

Światło przeciwko ciemności.

Zwycięzca bierze wszystko.

Obi-Wan przyklęknął obok nieprzytomnej Padme. Jej puls był słaby i nieregularny.

- Anakinie... Coś ty narobił?

W Mocy uczeń Kenobiego płonął mocniej niż palnik fuzyjny.

- To ty zwróciłeś ją przeciwko mnie.

Obi-Wan spojrzał z ukosa na najlepszego przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miał.

- Ty sam to zrobiłeś - odpowiedział wolno.

- Dam ci szansę, Obi-Wanie. Przez wzgląd na dawne czasy. Odejdź.

- Gdybym tylko mógł.

- Ukryj się gdzieś w ustronnym miejscu. Wycofaj się. Medytuj, przecież to lubisz, nieprawdaż? Nie musisz już walczyć o pokój. On już zapanował. Moje Imperium jest pokojem.

- Twoje Imperium? Ono nigdy nie zazna pokoju. Zostało zbudowane na zdradzie i krwi niewinnych.

- Nie zmuszaj mnie, żebym cię zabił, Obi-Wanie. Jeżeli nie jesteś ze mną, jesteś przeciwko mnie.

- Tylko Sithowie wierzą w prawdy absolutne, Anakinie. A prawda nigdy nie jest czarno-biała. - Kenobi wstał i rozłożył ręce. - Pozwól mi zabrać Padme do medycentrum. Ona jest ranna, Anakinie. Potrzebuje pomocy.

- Zostanie tu.

- Anakinie...

W dłoni Sitha pojawił się promień błękitnej plazmy

Obi-Wan westchnął.

Wyjął i włączył własny miecz.

- W takim razie zrobię to, co muszę.

- Spróbuj - odparł Anakin i skoczył. Obi-Wan spotkał się z nim w powietrzu.

Niebieskie klingi skrzyżowały się, a echem ich zderzenia stała się fontanna wulkanicznego ognia.

C-3PO wyjrzał ostrożnie z włazu skiffu.

Choć podprocedury unikania niebezpieczeństw pracowały w jego umyśle pełną parą, grożąc przeładowaniem obwodów, i choć tak naprawę pragnął jedynie znaleźć jakąś zaciszną, ciemną skrytkę, w której by przysiadł, wyłączył zasilanie i poczekał, aż się to wszystko skończy -najlepiej, żeby była to skrytka pancerna, z drzwiczkami za-

mykanymi od środka albo zaspawanymi na dobre (nie mógł się zdecydować, co byłoby lepsze) - to jednak niepewnie i wbrew sobie schodził pomału po rampie, ku czemuś, co wydawało się przerażającym deszczem lawy i rozżarzonych popiołów...

Było to postępowanie absolutnie niedorzeczne i nie do przyjęcia dla każdego rozsądnego androida... a jednak szedł, ponieważ nie podobala mu się treść rozmowy, którą usłyszał.

Nie podobała mu się ani trochę.

Nie był do końca pewny przyczyny międzyludzkiego sporu, ale jeden jego fragment był zupełnie jasny:

*Ona jest ranna, Anakinie... Potrzebuje pomocy....*

C-3PO wszedł w chmurę wirującego dymu. Rozżarzone kawałki skał spadały z nieba tuż obok niego. Nie widział senator Amidali, a nawet gdyby ją dostrzegł - nie miał pojęcia, jak doprowadzić ją z powrotem na pokład. Nie zaprojektowano go przecież z myślą o dźwiganiu ciężarów większych niż taca z koktajlami; do takich zadań służyły androidy towarowe. Nagle, mimo ryku wulkanu i wycia wiatru, jego sonoreceptory wychwyciły znajome gwizdy, które autotranslator przetłumaczył jako: Nie martw się. Będzie dobrze.

- Artoo? - zawołał C-3PO. - Artoo, jesteś tu?

Uszedł jeszcze kilka kroków i wreszcie zobaczył małego robota astro-mechanicznego, który zacisnął manipulator na szacie senator Amidali i ze wszystkich sił ciągnął ją za sobą po płycie lądowiska.

- Artoo! Przestań natychmiast! Uszkodzisz ją!

Kopułka R2-D2 obróciła się szybko, kierując fotoreceptor na nerwowego androida protokolarnego. Więc co proponujesz?

- Cóż... niech ci będzie. Zrobimy to razem.

Zbliżał się punkt zwrotny bitwy między światłem a ciemnością.

Nie przyniosły go ani potężne błyskawice, ani cięcia energetycznych ostrzy, choć i tych nie brakowało. Nie przyniosły go ani kopnięcia w wysokość, ani precyzyjnie mierzone ciosy, choć przeciwnicy wymienili ich wiele.

Przyniósł go moment, w którym walka przeniosła się z gabinetu--poczekalni na podium kanclerskie. Moment, w którym hydrauliczny podnośnik pchnął podwyższenie w górę, rozciągając durastalową kolumnę do długości ponad stu metrów i przenosząc ogień bitwy w centralny punkt ogromnej i pustej Areny Senatu. Moment, w którym - za sprawą pulpitu sterowniczego oraz Mocy - loże senatorskie zaczęły odrywać się od wklęsłych ścian i zamieniać w młoty, tarany, głązy wystrzelone z katapult. Zderzały się w powietrzu z hukiem i rykiem miazdzonego metalu, równie głośnym jak owacje, którymi galaktyka witała nowego Imperatora.

Punkt zwrotny przyniósł moment, w którym wcielenie światła przeistoczyło się najpierw w sumę doświadczeń, dziedzictwo wszystkich Fedi, a potem skurczyło się jeszcze bardziej i stało się siłą jednego Jedi.

Moment, w którym Yoda zrozumiał, że staje sam przeciwko ciemności.

W cyklonie błyskawic, pięści, stóp, ostrzy i zderzających się maszyn, jego wzrok nareszcie przebił ciemność spowijającą Moc.

Yoda dostrzegł prawdę.

Tę prawdę, że on, wcielenie światła, Wielki Mistrz zakonu Jedi, najgroźniejszy i najpotężniejszy przeciwnik, jaki kiedykolwiek stanął na drodze ciemności...

po prostu...

nie miał...

dość siły.

Nigdy nie miał. Przegrał tę bitwę, zanim do niej przystąpił.

Przegrał, zanim jeszcze się narodził.

Bo Sithowie się zmienili. Dojrzeni, przystosowali się i zainwestowali tysiącletni kapitał zrozumienia nie tylko Mocy, ale i samego dziedzictwa Jedi, w przygotowanie się właśnie do tego dnia. Sithowie się zmienili.

Stali się czymś nowym.

Podczas gdy Jedi...

Jedi spędzili to samo milenium, szkoląc się, by zwyciężyć w wojnie takiej jak poprzednia.

Nowych Sithów nie można było pokonać mieczem świetlnym; nie mogła ich spalić żadna pochodnia Mocy. Im jaśniejsze światło, tym głębszy ich cień. Jak można wygrać wojnę z ciemnością, gdy sama wojna stała się bronią ciemności?

I wtedy Yoda pojął, że właśnie w tej prawdzie kryje się nadzieja dla galaktyki. Gdyby jednak poległ tutaj, nadzieja ta umarłaby wraz z nim.

Hm, pomyślał Yoda. Problem to jest...

Klinga w klingę, byli identyczni. Po tysiącach godzin treningowych walk na miecze świetlne znali się lepiej niż bracia, bliżej niż kochankowie - byli dwiema uzupełniającymi się połówkami jednego wojownika.

Po każdej wymianie ciosów Obi-Wan ustępował pola. Czuł, że tak trzeba. Wiedział, że jeśli zabije Anakina, spali własne serce na popiół.

Wymieniali ciosy. Uskakiwali przed uderzeniami z wyskoku albo zbijali je wysokimi, obrotowymi kopnięciami. Przeskakiwali nad cięciami na wysokości kostek i parowali pchnięciami. Rozpłatali drzwi wejściowe do sterowni i wkroczyli do pomieszczeń usianych ciałami separatystów. Konsole eksplodowały fontannami iskier, wyrwane z podłoża i ciskane Mocą w powietrze. Dłonie trupów zaciskały się na spustach blasterów i wysokoenergetyczne bolty mknęły w powietrze, zmieniając kurs według nieskończenie skomplikowanej siatki rykoszetów.

Obi-Wan z trudem odbił kolejną serię i w desperackim odruchu posłał ją w stronę Anakina. Był gotów spróbować wszystkiego, byle odwrócić uwagę przeciwnika, byle na chwilę spowolnić jego atak. Z łatwością niemal lekceważąco, Anakin odbił bolty z powrotem ku niemu. Mknęły od miecza do miecza przez dłuższą chwilę, aż utraciły ładunek energetyczny, a skupione dotąd cząsteczki zmieniły się w radioaktywną mgiełkę.

- Nie zmuszaj mnie, żebym cię zniszczył, Obi-Wanie. - Głos Anakina był głęboki jak studnia i ponury jak obsydianowe urwiska. - Nie dorównasz potędze Ciemnej Stroiny.

- Słyszałem już takie słowa - odparł Kenobi przez zaciśnięte zęby, zawzięcie parując uderzenia. - Ale nigdy nie podejrzewałem, że usłyszę je od ciebie.

Ryk Mocy cisnął nim o ścianę, wypchnął powietrze z jego płuc, odebrał siły i omal nie pozbawił przytomności. Anakin przestąpił nad najbliższymi zwłokami i uniósł miecz do ostatecznego ciosu.

Obi-Wan miał w zanadru ostatni trik. Wiedział, że drugi raz nie będzie mógł go użyć...

Był to bardzo dobry trik.

Zadziałał przecież znakomicie w przypadku generała Grievousa...

Jedi poruszył palcem, sięgając poprzez Moc do serwomotorów w mechanicznej dłoni Anakina, by zmienić ich polaryzację.

Duralastowa pięść otworzyła się gwałtownie, wypuszczając miecz świetlny.

Obi-Wan wyciągnął rękę - miecz Anakina pofrunął ku niemu i pewnie wylądował w jego dłoni. Jedi skrzyżował dwie klingi przed sobą.

- Wadą siły jest arogancja.

- Wahasz się - stwierdził Anakin. - Wada współczucia...

- To nie współczucie - odparł smutno Obi-Wan. - To szacunek dla życia. Nawet twojego. I szacunek dla człowieka, którym byłeś... I żal, że nie jesteś tym, kim powinien być - dodał z westchnieniem.

Anakin rzucił się na niego z krzykiem, używając jednocześnie Mocy i własnego ciała, by raz jeszcze wdusić Kenobiego w ścianę. Z nadludzką siłą pochwycił dawnego mistrza za nadgarstki, szeroko rozkładając jego ramiona.

- Mam dosyć twoich kazań!

Potęga mroku wzmocniła jego uścisk.

Obi-Wan czuł, że kości jego przedramion wyginają się i że bliska jest chwila, w której pojawią się na nich drobniutkie pęknięcia zwiastujące rychłe złamanie.

Oho, pomyślał. Nie jest dobrze.

Koniec był zaskakująco nagły.

Cień wyczuwał doskonale, jak wiele sił kosztowało zielonego pokurcza odbijanie błyskawic i nadawanie im formy energetycznej klatki, która zamknęła ich obu. Przeciwnik osiągnął kres wytrzymałości. Cień przerwał atak na krótką chwilę, by obrócić się i skoczyć na przelatującą obok podium lożę. Zielony stwór skoczył za nim...

O pół sekundy za późno.

Cień trafił wroga błyskawicami, gdy ten znajdował się jeszcze w powietrzu, zmuszając go do przyjęcia ogromnej dawki energii na nieosłonięte ciało. Impet ataku cisnął Yodę wstecz, wprost na boczną ścianę podium, z której osunął się i spadł.

Spadał bardzo długo.

Dno Areny, usiane poskręcanyimi kawałami metalu - szczątkami łóż zniszczonych w walce - znajdowało się ponad sto metrów niżej. Gdy zielony pokurcz nareszcie runął

w dół, zwycięski cień znowu stał się Palpatine'em: bardzo starym i bardzo zmęczonym człowiekiem, który z trudem łapał oddech i wspierał się na barierce łoża.

Może i był stary, ale wzrok miał doskonały: uważnie wpatrywał się w rumowisko na dnie sali, ale nie dostrzegł tam ciała mistrza Jedi.

Kiwnął palcem i na podium kanclerskim odległym o kilkanaście metrów poruszył się przełącznik. Potężne wycie syren wypełniło gmach. Kolejny podmuch Mocy sprawił, że łoża zaczęła opadać spiralnym kursem w dół, do gabinetu-poczekalni u podstawy słupa, na którym spoczywało podium. Żołnierze-klony już tam byli.

- To był Yoda - powiedział Palpatine, zeskakując z łoża. - Kolejna próba morderstwa... Znaleźć go i zabić. Jeśli będzie trzeba, wysadzić budynek w powietrze.

Oficer zasalutował, a Palpatine - z wigorem, który zaskoczył nawet jego samego - puścił się biegiem.

Wspomagany przez Moc, Yoda pędził tunelem serwisowym pod Areną. Gnał szybciej niż najszybszy człowiek, w biegu przecinając kable, by zostawić za sobą sieć otwartych linii wysokiego napięcia, plujących wyładowaniami na wszystkie strony. Co kilkadziesiąt metrów zatrzymywał się na moment, by wyciąć dziurę w ścianie tunelu - ścigający go musieli za każdym razem rozdzielać się, żeby zbadać wszystkie możliwe drogi ucieczki.

Wiedział jednak, że mogą sobie pozwolić na ten luksus - Palpatine miał pod ręką tysiące żołnierzy.

Nie zwalniając biegu, Yoda wyjął zza pazuchy komunikator. Moc podpowiedziała mu koordynaty miejsca, w którym się znajdował. Podał je swojemu rozmówcy, a potem dodał:

- Nie zwlekaj. Pościg szybko się zbliża. Przegrałem; zabity zostaną, jeśli mnie dopadną.

Gmach, w którym mieściła się Wielka Sala Zgromadzeń Senatu Galaktycznego, miał kształt kopuły o kilometrowej średnicy, umieszczonej na niezbyt wysokim okrągłym postumencie. Nawet Yoda, wspomagany Mocą, oddychał ciężko, gdy dotarł do skraju kopuły. Wyciął otwór w podłodze i zeskoczył na niższy poziom. Był to korytarz umożliwiający dostęp do ogromnych reflektorów świecących w dół, na plac Republiki, przez transpastalowe panele tworzące ostatnią dolną warstwę krawędzi kopuły. Yoda wyciął otwór i wsunął się do wnętrza jednego z reflektorów. Oślepiający blask sprawiał, że przestrzeń poniżej przezroczystej płyty, na której stanął mistrz Jedi, była praktycznie niewidoczna.

Nie wahając się ani chwili, Yoda przeciął pod sobą transpastalowy panel i skoczył prosto w noc.

Chwycił koniec długiego płaszcza, by zrobić sobie coś na kształt zaimprovizowanego skrzydła, i pozwolił, by Moc prowadziła go w coraz szybszym upadku spod kopuły gmachu. Był zbyt mały, by włączyć się automatyczny system obronny, ale śmigacz z otwartą kabiną, do którego zmierzał mistrz, zostałby natychmiast strącony, gdyby choć o metr zboczył z łukowego kursu, którym leciał.

Yoda puścił skraj płaszcza; miękki materiał zatrzepotał nad jego głową, pomagając mu przyjąć pionową pozycję, aby mógł bezpiecznie wylądować na siedzeniu pasażera - tuż obok Baila Organy.

Gdy mistrz Jedi zapinał pasy, senator z Alderaanu wprowadził śmigacz w zakręt tak ciasny, że nie powstydziliby się go nawet Anakin Skywalker, a potem przyspieszył, zmierzając ku najbliższemu skrzyżowaniu zatłoczonych szlaków powietrznych Coruscant.

Pasażer zacisnął powieki.

- Mistrzu Yoda? Jesteś ranny?

- Tylko moja duma - odparł Yoda z absolutną szczerością. Bail nie miał pojęcia, jak głęboka była to rana i jak mocno krwawiła. - Tylko moja duma.

Czując, że uścisk Anakina za chwilę złamie mu przedramiona i że oba miecze, które trzymał w dłoniach, powoli i nieubłaganie wędrują w dół, Obi-Wan odpuścił.

Uwolnił się od wszystkiego.

Od nadziei. Od lęków. Od zobowiązań wobec Jedi. Od obietnicy danej Qui-Gonowi. Od porażki z Anakinem.

A także od mieczy świetlnych.

Zaskoczony Skywalker instynktownie zwolnił uścisk Mocy i puścił nadgarstek przeciwnika, by sięgnąć po swój miecz. W tej samej sekundzie Kenobi mocnym szarpnięciem uwolnił drugą rękę i Mocą przywołał do niej własną broń. Odwrócił miecz tak, by klinga chroniła jego ramię, i gdy Anakin wymierzył mu potężne cięcie z góry, jego impet został powstrzymany, a oba ostrza osunęły się i wbiły głęboko w ścianę, pod którą stali. Kenobi pociągnął dalej, prowadząc oba miecze łukiem ponad głową, tak by wykorzystać siłę kolejnego ciosu do wypełnienia wyciętego fragmentu ścianki na zewnątrz. Po chwili był już po drugiej stronie, w chmurze dymu i popiołu.

Anakin podążył za nim, nie przerywając ataku. Obi-Wan znowu ustąpił mu pola. Wycofywał się wzdłuż wąskiego balkonu, wysoko nad brzegiem jeziora lawy.

Za jego plecami Mustafar cicho mruczała o nagłej śmierci gdzieś tam, w dole, wśród rzeki roztopionego kamieni.

I właśnie wtedy Kenobi pomyślał, że powinni znaleźć się tam razem.

Anakin spychał go coraz mocniej, uderzając znad głowy z miażdżącą siłą wulkanu. Po chwili obrócił się i szybkimi cięciami uwolnił wąskie, ostre jak brzytwa kawałki durastalowej ściany. Cisnął nimi w Obi-Wana z całą furią, na jaką było go stać. Zaraz potem przeciął panel kontrolny umocowany przy balkonie i wtedy zniknęło pole energetyczne, które osłaniało budynek przed lawą.

Z nieba sypnął się na nich ogień.

Obi-Wan wycofał się do końca galerii; teraz miał za sobą już tylko wiązkę kabli zasilających, nie grubszą niż jego ramię, łączącą budynek z główną halą rafinerii lawy, a biegnącą ponad szeroką rzeką płynnej skały. Obi-Wan skoczył na nią bez wahania, zachowując równowagę pod naporem uderzeń Anakina, który ruszył za nim.

Balansując na wiązce przewodów, wymieniali ciosy jeszcze szybciej niż poprzednio. Cięli, rąbali, parowali i blokowali bez wytchnienia, w dole zaś burzyła się rzeka

lawy, raz po raz eksplodując rozgrzanymi drobinami, od których zapalały się ich ubrania. Chmury dymu przesłaniały słońce nad Mustafar, toteż jedynym źródłem światła był piekielny żar płynnej skały oraz błękitne błyski mieczy, których zderzeniom towarzyszyły głośnie wylądowania.

Nie była to walka Sitha z rycerzem Jedi. Nie był to pojedynek światła z ciemnością ani dobra ze złem. Nie miał nic wspólnego z poczuciem obowiązku, filozofią, religią czy moralnością.

Była to sprawa między Anakinem a Obi-Wanem.

Osobista.

Tylko oni dwaj i rany, które zadawali sobie nawzajem.

Obi-Wan wykonał wysokie salto do tyłu, przenosząc się na bardziej stabilne złącze przy budynku głównej rafinerii. Gdy Anakin podążył za nim, mistrz Jedi skoczył ponownie. Wymieniając ciosy, przemieszczali się błyskawicznie po licznych poziomach budynku, wbiegali po schodach, przemierzali platformy, aż wreszcie walcząc, dotarli do maszyn zbierających, ponad którymi przelewały się kaskady lawy. Stojąc na samej krawędzi panelu, zgarbiony pod durastalowym lemieszem rozdzielającym strumień płynnej skały, odbijając pchnięcia Mocy i odpierając zaciekle ataki tej szalonej istoty, która była kiedyś jego najlepszym przyjacielem, Obi-Wan zrozumiał nagle głęboką prawdę.

Człowiek, z którym walczył, był wszystkim, co Obi-Wan próbował niszczyć przez całe życie. Był mordercą. Zdrajcą. Upadłym Jedi. Lordem Sithów. A jednak... Tu i teraz... Mimo wszystko...

Obi-Wan wciąż go kochał.

Yoda wyraził się jasno: „Pozwolić przywiązaniu, by odeszło z jego życia, Jedi musi”.

Obi-Wan jednak nigdy nie chciał do końca tego zrozumieć. Stawał w obronie Anakina, wymyślał wymówki, ukrywał jego wybryki wiele razy... A tymczasem przywiązanie, do którego nie chciał się przyznać, oślepiło go i nie umiał dostrzec, że jego przyjaciel stąpa już po ścieżce Ciemnej Strony.

Obi-Wan wiedział, że na przywiązanie istnieje tylko jedna odpowiedź...

Pozwolić mu odejść.

Jezioro ognia, niepowstrzymywane już przez tarczę energetyczną, w szybkim tempie pożerało brzeg lądu, na którym stała rafineria. Wreszcie cała budowla osiadła i obaj wojownicy zaczęli zsuwać się po durastalowej płaszczyźnie, która nagle przestała być podłogą, a stawała się stromym urwiskiem. Przez chwilę rozpaczliwie szukali punktu zaczepienia, a potem zawisli na urwanych kablach. Przechyłona budowla unosiła się jeszcze na powierzchni lawy, ale zaczynała tonąć, w miarę jak dolne poziomy spalały się i roztopiały.

Anakin wziął mocny zamach, odepchnął się od ściany i nie wypuszczając kabla z ręki, pomknął wysokim łukiem nad kipiela. Obi-Wan powtórzył jego ruch. Wspomagając Mocą uścisk dłoni na kablu, poszybował mu na spotkanie z wysoko uniesioną klingą. Skywalker wykonał w locie typowe dla formy Shien cięcie na wysokości kolan.

Kenobi w porę uniósł nogi i szybkim ruchem przeciął kabel tuż nad ręką przeciwnika. Anakin zaczął spadać.

Pęcherzyki gazu raz po raz przebijały powierzchnię lawy i spalały się w powietrzu; języki płomieni sięgały ku nadlatującej postaci jak otwarte ramiona.

Ale tor lotu Anakina się zmienił - zbliżył się do topniejącej z wolna bryły rafinerii i do dłuższego kabla, który zwisał z jej ściany. Obi-Wan wziął zamach nogami, by rozhuścić się mocniej i dosięgnąć kabla, na którym zawisł Skywalker. Anakin jednak zrozumiał już, na czym polega gra, i szybko przeskoczył na sąsiedni, a potem na następny, za każdym razem wspomagając się Mocą, by znaleźć się nieco wyżej - w tym terenie wysokość była najważniejsza. Obi-Wan był zmuszony uczynić to samo.

Równoczesne pchnięcia Mocy oderwały ich obu od kabli i rzuciły na pokład dźwigowy przewracającej się konstrukcji. Zaledwie Obi-Wan zdążył wylądować na metalowej powierzchni, Anakin znowu zaatakował. Wymieniali ciosy prawie w zwarciu, wokół nich zaś kręciły się androidy serwisowe, z absurdalnym uporem próbujące naprawiać uszkodzenia skazanej na zagładę rafinerii, gotowe kontynuować tę pracę, póki lawa nie roztopi ich na atomy i nie porwie ze sobą.

Gdzieś w dole piekielnej rzeki słychać było potworny, nieustający huk, głośniejszy niż erupcje okolicznych wulkanów. Resztki durastalowej konstrukcji trzeszczały niebezpiecznie. Coraz bliższe było dziwne miejsce, w którym nurt lawy zniknął nagle w obłoku dymu i gazów.

Na wpół roztopiona rafineria dryfowała wprost ku urwisku, z którego płynna skała opadała w dół.

Obi-Wan uznał, że nie ciekawi go zbytnio, co znajduje się na dnie lawospadu.

Odbił klingę Anakina mocnym, oburęcznym blokiem i wymierzył potężne kopnięcie, które pozwoliło mu na moment zwiększyć dystans. ' Zanim Skywalker odzyskał równowagę, Kenobi wziął krótki rozbieg i rzucił się głową w dół z pokładu dźwigowego. Spadając, mijając poziom za poziomem, aż wreszcie, zaledwie kilkadziesiąt metrów nad powierzchnią lawy, przywołał Mocą jedną ze zwisających lin i pochwycił ją. Całą energię upadku skierował na ruch po półokręgu, który wyrzucił go wysoko i tak daleko od tonącej konstrukcji, jak pozwalała na to zasięg liny.

I wtedy puścił jej koniec.

Całkiem jakby zeszkakiwał z huśtawki w jednej ze świątynnych sal zabaw, z wielką prędkością pomknął jeszcze wyżej i jeszcze dalej, szerokim łukiem w stronę brzegu rzeki.

W stronę, ale nie całkiem na miejsce.

Przekonał się jednak, że Moc, która go prowadzi, nie zdradziła go i tym razem: wzdłuż brzegu, kilka metrów nad powierzchnią lawy, sunęła z warkotem stara, powolna platforma repulsorowa, wioząca androidy i sprzęt wydobywczy do rafinerii, która - czego prymitywne oprogramowanie nie pozwalało automatycznej platformie zrozumieć - lada chwila miała przestać istnieć.

Obi-Wan obrócił się w powietrzu i przy wsparciu Mocy wylądował miękko na pokładzie platformy Jedno pchnięcie mieczem, szybsze niż ukąszenie żmii, zniszczyło

system naprowadzania platformy i teraz Jedi mógł zmienić jej kurs, balansując ciałem. Zaczęli zbliżać się do brzegu.

Odwrócił się, gdy durastalowa konstrukcja rafinerii zawyla jak potępieniec w koreliańskim piekle i z hukiem runęła poza krawędź urwiska, ku nieuniknionej zagładzie.

Obi-Wan spuścił głowę.

- Żegnaj, stary przyjacielu.

W tym momencie Moc podszeptła mu ostrzeżenie. Obi-Wan uniosł głowę w samą porę, by zobaczyć Anakina, który wyłonił się właśnie z chmury dymu nad lawospadem i pędził ku niemu, ledwo mieszcząc się na grzbiecie małego androida repulsorowego. Android był nieporównanie zwrotniejszy od starej kropy towarowej, toteż Skywalker nie miał problemu z ominięciem platformy i odcięciem jej drogi ku brzegowi. Kenobi przechylił się na bok, potem w drugą stronę, ale manewrowanie platformą nie miało sensu: android Anakina był zwinniejszy niż pantera piaskowa. Droga do brzegu była odcięta, a żar lawy płynącej poniżej tak wielki, że Obi-Wan czuł, jak przypalają mu się włosy.

- Oto kres twojej drogi, mistrzu - odezwał się Skywalker. - Żałuję, że nie ułożyło się inaczej.

- Tak, Anakinie... Ja również - odparł Obi-Wan, a potem rzucił się sprintem naprzód i skoczył, zamieniając ostrze miecza we włócznię.

Anakin usunął się na bok i odbił klingę niemal z pogardą, jednak minimalnie chybił, celując w nogi przelatującego obok mistrza.

Obi-Wan wylądował miękkim przewrotem i w ostatniej chwili zatrzymał się na brzegu niskiego urwiska, tuż nad plażą miękkiego, czarnego piasku, ciągnącą się wzdłuż rzeki lawy. Anakin zaklął głośno, gdy zorientował się, że popełnił błąd. Zeskoczył z androida, by wylądować tuż za Obi-Wanem...

O pół sekundy za późno.

Błyskawiczna parada Obi-Wana nie trafiła w klingę Anakina. Trafiła w kolano. A potem w drugie.

A kiedy Skywalker był jeszcze w powietrzu, jego przyżegane nogi zaś przechylały się właśnie, by spaść z urwiska, ostrze Obi-Wana uniosło się szybko i przeszło przez lewe ramię jego ucznia, odcinając je tuż ponad łokciem. Mistrz odsunął się o krok.

Spadając, Anakin odrzucił miecz i pochwyił krawędź urwiska mechaniczną ręką. Jej uścisk był jednak zbyt mocny: skała ukruszyła się, a okaleczony Skywalker ześliznął się w dół, na plażę czarnego piasku. Odcięte nogi i ramię potoczyły się dalej, w nurt lawy, i spłonęły na popiół w nagłych rozbłyskach szkarłatnego ognia.

Ognia tej samej barwy, zauważył w roztargnieniu Obi-Wan, co klinga Sitha.

Anakin wiał się na miękkim podłożu, ale ten ruch sprawił tylko, że osunął się jeszcze niżej. Piasek był tu tak gorący, że rękawica na wbitych w niego głęboko durastalowych palcach spaliła się w jednej chwili, a szata Jedi zaczęła się tlić.

Obi-Wan podniósł miecz Anakina. Uniosł wyżej także swój, waząc w dłoniach dwie rękojeści. Skywalker zaprojektował swoją, bazując na jego pomysły. Były tak podobne.

A tak odmiennie zostały użyte.

- Obi-Wan...?

Kenobi spojrział w dół. Płomienie ogarniały już skraj szaty Anakina. Jego długie włosy pociemniały, zwęglone.

- Byłeś Wybrańcem! Przepowiedziano, że zniszczysz Sithów, a nie przyłączysz się do nich! Miałeś przywrócić równowagę Mocy, a nie zostawić ją w ciemności! Byłeś moim bratem, Anakinie - powiedział Obi-Wan Kenobi. - Kochałem cię, ale nie umiałem cię uratować.

Na niebie pojawił się błysk metalu i Obi-Wan wyczuł, że zbliża się ciemność. Znał ten statek: to był wahadłowiec kanclerza. Teraz, jak przypuszczał, wahadłowiec Imperatora.

A więc Yoda przegrał. Może nawet zginął.

Może zostawił Obi-Wana samego.

Ostatni rycerz Jedi...

U jego stóp ciało Dartha Vadera stało w płomieniach.

- Nienawidzę cię! - ryknął Sith.

Obi-Wan spojrział w dół. Dobicie go byłoby aktem miłosierdzia, pomyślał.

Tylko że nie czuł teraz w sercu litości.

Czuł spokój i jasność. Wiedział, że zejście na tę czarną plażę może go kosztować więcej sił, niż mu pozostało.

Poza tym zbliżał się inny Lord Sithów.

Właściwie nie miał wyboru - dokonał go już przed wielu, wielu laty, gdy przeszedł próby, został rycerzem Jedi i przysiągł wierność zakonowi. Wciąż przecież był Obi-Wanem Kenobim, wciąż był Jedi, a Jedi nie mordują bezbronnych ludzi.

I dlatego zdał się na wolę Mocy.

Odwrócił się i odszedł.

Po chwili zaczął biec.

Zaczął biec, ponieważ zdał sobie sprawę, że jeśli się pospieszy, będzie mógł coś jeszcze zrobić dla Anakina. Będzie mógł uczcić pamięć człowieka, którego kochał, a także nieistniejącego już zakonu, któremu obaj służyli.

Na lądowisku C-3PO stał u rampy skiffu, w podnieceniu wymachując ramionami.

- Mistrzu Kenobi! Prędej, proszę!

- Gdzie Padme?

- W środku, proszę pana. Jest ciężko ranna.

Obi-Wan wbiegł po rampie, zajął miejsce w kabinie i odpalił silniki. W chwili, gdy wahadłowiec kanclerza podchodził łukiem do lądowania, gładki i lśniący jak lustro skiff wystrzelił ku gwiazdom.

Obi-Wan nie oglądał się za siebie.

## ROZDZIAŁ

## 21

## NOWY ZAKON JEDI

Skiff z Naboo wyszedł z nadprzestrzeni i pomknął w stronę obcej instalacji medycznej w pasie asteroid Polis Massa.

„Tantive IV” powrócił do realnego wymiaru tuż za nim, kilka chwil później.

Tymczasem na Mustafar, przy akompaniamencie grzmotu wulkanu, Lord Sithów zdążył już wyrwać z zeszkłonego, czarnego piasku na wpół zwęglone ciało, które niegdyś było człowiekiem. Zdążył też bez wysiłku skoczyć z nim z powrotem na szczyt urwiska i krzyknąć do żołnierzy-klonów, by natychmiast sprowadzili kapsułę medyczną.

Lord Sithów delikatnie ułożył pozbawione kończyn ciało na chłodniejszym kawałku skały i dotknął spękanej, poczerniałej skorupy, która była nie tak dawno skronią człowieka. Zaraz potem skierował ku niej swoją wolę.

Żyj, Lordzie Vader. Żyj, mój uczniu.

Żyj.

Ponad przezroczystym kryształem kopuły obserwacyjnej, ulokowanej w pozbawionym atmosfery, skalistym pustkowiu Polis Massa, galaktyka wirowała rojem twarzących i zimnych światel na tle nieskończonej nocy.

Pod kopułą zaś siedział Yoda. Nie patrzył na gwiazdy.

Siedział tu już bardzo długo.

Nawet teraz, po niemal dziewięciuset latach, jego droga do samo-poznania była wciąż na tyle wyboista, że schodził z niej posiniaczony i krwawiący.

Przemawiał cicho, ale nie do siebie.

Nie był sam, chociaż nie było przy nim nikogo.

- Moja to była porażka. Jedi zawiodłem.

Przemawiał do Mocy.

A Moc mu odpowiadała:

*Nie wiń siebie, stary przyjacielu.*

I, jak to bywało niekiedy przez ostatnich trzysta lat, gdy Moc mu odpowiadała, czyniła to głosem Qui-Gon Jinna.

- Za stary byłem - ciągnął Yoda. - Zbyt sztywny. Zbyt arogancki, żeby dostrzec, że stare ścieżki jedynymi ścieżkami nie są. Jedi szkoliłem tak, by się od tych nie różnili, od których sam pobierałem nauki przed wiekami. Lecz tamci starożytni Jedi do innego czasu należeli. Zmieniła się galaktyka. Zakon zaś zmienić się nie mógł, bo na to mu nie pozwoliłem.

*Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, przyjacielu.*

- Nieskończoną zagadką jest Moc. - Yoda uniósł głowę i zapatrzył się w gwiazdy.

- Wiele jeszcze nauczyć się trzeba.

*Będziesz miał na to dość czasu.*

- Nieskończona wiedza... - Yoda pokręcił głową - ..nieskończonego czasu wymaga.

*Z moją pomocą nauczysz się, jak połączyć się z Mocą, a jednocześnie zachować świadomość. Zespolisz z nią na wieki swoje światło. Może z czasem dowiesz się nawet, jak zachować fizyczną postać.*

Yoda nie poruszył się.

- Wieczne życie...

*Ostateczny cel Sithów, którego nigdy nie osiągną, bo osiągnąć go można tylko przez wyrzeczenie się siebie, nie przez wywyższenie siebie. Przez współczucie, nie chciwość. Miłość jest odpowiedzią na ciemność.*

- Zjednoczyć się z Mocą, a wpływ na sprawy zachować... - rzekł w zamyśleniu Yoda. - Potęga to większa niż inne.

*Nie można jej dostać w prezencie; trzeba się jej nauczyć. Możesz ją poznać, jeśli tylko chcesz.*

Yoda wolno skinął głową.

- Bardzo wielkim mistrzem Jedi się stałeś, Qui-Gonie. Bardzo wielkim mistrzem Jedi zawsze byłeś, ja zaś byłem zbyt ślepy, by to dostrzec.

Wstał, złożył dłonie przed sobą i pochylił głowę w pełnym szacunku pokłonie Jedi.

- Twoim uczniem z wdzięcznością zostaję.

Yoda zdążył rozpocząć pierwszą lekcję, gdy za jego plecami otworzyły się drzwi. Odwrócił się.

W korytarzu stał Bail Organa. Wyglądał na głęboko poruszonego.

- Obi-Wan prosi cię do sali operacyjnej - powiedział. - Padme... umiera.

Obi-Wan siedział obok niej, ściskając w dłoniach jej chłodną, nieruchomą rękę.

- Nie poddawaj się, Padme

- Czy to... - Oczy Padme błysnęły na moment białkami. - To dziewczynka. Anakin uważa, że to dziewczynka.

- Jeszcze nie wiemy. Za chwilę... Musisz zostać z nami.



Pod nieprzezroczystą zasłoną, która okrywała Padme od piersi w dół, dwa androidy chirurgiczne przyjmowały poród. Trzeci pilnował wskazań skanerów i sterował niezbędnym sprzętem.

- Jeśli to... dziewczynka... och... och, nie... Obi-Wan spojrzał błagalnie na androida medycznego.

- Nie możecie nic zrobić?

- Uszkodzenia organiczne zostały naprawione. - Android spojrzał na odczyt przyrządów. - Niewyjaśniona niewydolność systemu.

Fizycznie niewyjaśniona, pomyślał Obi-Wan. Ścisnął zimną rękę jeszcze mocniej, jakby chciał siłą zatrzymać w niej życie.

- Padme, musisz wytrzymać...

- Jeśli to dziewczynka... -jęknęła - ...daj jej na imię Leia...

Jeden z androidów chirurgicznych wyłonił się spod nakrycia, trzymając w miękko wyściełanych ramionach maleńkie dziecko, wytarte już do czysta, samodzielnie oddychające i bez śladu łez na twarzyczce.

- To chłopiec - oznajmił cicho medyk.

Padme wyciągnęła ku dziecku drżącą rękę, ale nie miała już siły, żeby je przytulić. Musnęła tylko palcami jego czoło i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Lukę...

Teraz spod zasłony wychynał drugi android, z kolejnym czyściutkim, cichym i poważnym dzieckiem w ramionach.

- I dziewczynka.

Ale matka opadła już ciężko na poduszkę.

- Padme, urodziłaś bliźnięta - odezwał się z rozpaczą Obi-Wan. - One cię potrzebują; proszę, trzymaj się...

- Anakin...

- Anakina tu nie ma, Padme - odpowiedział Kenobi, choć nie sądził, by go słyszała.

- Anakinie, tak mi przykro... Tak mi przykro... Anakinie, proszę... kocham cię...

Obi-Wan wyczuł w Mocy nadejście Yody. Obejrzał się i zobaczył sędziwego mistrza oraz Baila Organa, którzy zza przezroczystego panelu przypatrywali się w ponurej niepewności temu, co działo się w sali operacyjnej.

Mógł jedynie bezradnie potrząsnąć głową; nie miał dla nich innej odpowiedzi.

Padme uniosła wolną rękę, tę samą, którą gładziła główkę pierworodnego syna, i wcisnęła w dłoń Obi-Wana jakiś przedmiot.

Jej oczy spojrzały nieco przytomniej i rozpoznała go.

- Obi-Wanie... w nim... jest jeszcze dobro. Wiem, że jest... w nim...

Jej głos zmienił się w gasnące westchnienie, a głowa opadła na poduszkę. Pół tuzina czujników zabrzmiało jednocześnie sygnałami alarmowymi. Androidy medyczne wygoniły Obi-Wana z sali.

Stanął na zewnątrz w korytarzu, spoglądając na przedmiot, który wcisnęła mu do ręki. Był to wisiołek, może jakiś amulet, pokryty niezrozumiałymi znakami wyciętymi

w organicznym tworzywie i zawieszony na kawałku rzemienia. Obi-Wan wyczuwał jeszcze w Mocy ślady dotyku ciała Padme.

Gdy Yoda i Bail podeszli do niego, wciąż stał nieruchomo, wpatrzony w amulet.

- Włożyła mi to do ręki... - Bodaj po raz dziesiąty tego dnia zamrugał gwałtownie, by powstrzymać łzy. - ...a ja nawet nie wiem co to jest.

- Cenne dla niej być to musiało - odparł z namysłem Yoda. - I może z nią powinno być pochowane.

Obi-Wan spojrzał na proste, jakby dziecinne ryty, i wyczuł w Mocy echo niezrównanej miłości, ale i czarnej, nieznośnej rozpaczy złamanego serca.

- Tak - powiedział. - Tak chyba będzie najlepiej.

Bail Organa, Obi-Wan Kenobi i Yoda zasiedli przy stole konferencyjnym na pokładzie „Tantive IV”, by zdecydować o losie galaktyki.

- Na Naboo odeślij jej ciało... - Yoda zadarł głowę wysoko, jakby smakował nowy nurt w Mocy. - Na ciężarną musi wciąż wyglądać. W bezpiecznej kryjówce pozostać muszą jej dzieci. Załączkiem nowego zakonu Jedi kiedyś zostaną.

- Powinniśmy je rozdzielić - stwierdził Obi-Wan. - Nawet jeśli Sithowie znajdą jedno, drugie ma szansę przeżyć. Ja mogę wziąć chłopca, mistrzu Yoda, a ty weź dziewczynkę. Oboje będą bezpieczni, z dala od siebie. Wyszkolimy ich tak, jak Anakin powinien być zostać wyszkolony...

- Nie. - Stary mistrz znowu pochylił głowę, zamknął oczy i oparł podbródek na dłoniach zaciśniętych wokół główki laski.

Obi-Wan spojrzał na niego niepewnie.

- Zatem jak mają nauczyć się samodyscypliny, której potrzebuje Jedi? W jaki sposób zgłębią tajniki Mocy?

- Szkolenie Jedi jedynym źródłem samodyscypliny nie jest. Gdy czas będzie odpowiedni, by umiejętności przekazać, żywa Moc ich do nas sprowadzi. A tymczasem czekać będziemy, obserwować i uczyć się.

- Mógłbym... - Bail Organa urwał, rumieniąc się z lekka. - Przepraszam, mistrzowie, że się wtrącam. Niewiele wiem o Mocy, za to sporo o miłości. Królowa i ja... cóż, zawsze rozmawialiśmy o adoptowaniu dziewczynki. Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, zabiorę Leię na Alderaan i wychowam jako naszą córkę. Będzie kochana w naszym domu.

Yoda i Obi-Wan wymienili spojrzenia. Yoda pochylił głowę.

- Nie mogłoby żadne dziecko o szczęśliwszy los prosić. Z błogosławieństwem naszym i Mocy, niech Leia waszym dzieckiem zostanie.

Bail wstał odrobinę zbyt sprężysto, jakby nie mógł usiedzieć na miejscu. Nie wyglądał już na zakłopotanego; tryskał czystą, nieskomplikowaną radością.

- Dziękuję wam, mistrzowie. Nie wiem, co jeszcze powiedzieć... Dziękuję, to wszystko. A co z chłopcem?

- Zdaje się, że Cliegg Lars wciąż mieszka na Tatooine. A przyrodni brat Anakina... Owen, o właśnie, i jego żona, Beru, wciąż prowadzą z nim tę farmę wilgoci opodal Mos Eisley...

- Prawie jak rodzina; nikogo bliższego chłopiec nie znajdzie - stwierdził z aprobatą Yoda. - Ale Tatooine do Alderaanu niepodobna... głęboko na Zewnętrznych Rubieżach leży, dzika i niebezpieczna to planeta.

- Anakin na niej przeżył - przypomniał Obi-Wan - więc i Lukę przeżyje. Ja także mogę pomóc. Zabiorą go tam i będę pilnował. Postaram się chronić go przed największymi niebezpieczeństwami, póki nie nauczy się sam o siebie dbać.

- Jak ojciec chcesz być dla niego, młody Obi-Wanie?

- Może bardziej jak... stary i ekscentryczny wuj. Świetnie mógłbym zagrać taką rolę. Sprawować pieczę nad synem Anakina... - Obi-Wan westchnął i pozwolił, by wreszcie powrócił na jego usta cień dawnego, łagodnego uśmiechu. - Nie wyobrażam sobie lepszego sposobu na spędzenie reszty życia.

- Zatem już ustalone. Na Tatooine chłopca zabierzesz.

Bail ruszył w stronę wyjścia.

- Jeśli pozwolicie, mistrzowie, przekażę wiadomość królowej Senator zatrzymał się w drzwiach i spojrzał za siebie. - Mistrzu Yoda, sądzisz, że bliźnięta Padme zdołają pokonać Palpatine'a?

- Silna jest Moc w rodzie Skywalkerów. Nadzieję jedynie mieć możemy. A póki nie nadejdzie nasz czas, zniknąć musimy.

Bail skinął głową.

- Podobnie jak ja... przynajmniej w metaforycznym sensie. Niewykluczone że usłyszycie niepokojące wieści na temat tego, co robię w senacie. Muszę sprawiać wrażenie, że popieram nowe Imperium, a moi towarzysze wraz ze mną. Takie było życzenie Padme, a muszę przyznać, że mój zmysł polityczny nigdy nie będzie tak dobry jak jej. Proszę, zachowajcie wiarę, że robimy to tylko po to, żeby ukryć prawdziwe zadanie. Nigdy nie zdradzimy dziedzictwa Jedi. Nigdy nie oddam Republiki we władanie Sithów.

- Wiarę w to na zawsze zachowamy. Idź już, senatorze, na szczęśliwą nowinę twoja królowa czeka.

Bail Organa skinął głową i zniknął w korytarzu. Gdy Obi-Wan ruszył jego śladem, gimerowa laseczka Yody zamknęła mu drogę.

- Chwileczkę, mistrzu Kenobi. Na czas twojej samotności na Tatooine szkolenie mam dla ciebie. Ja i mój nowy mistrz.

- Twój nowy mistrz? - spytał ze zdziwieniem Obi-Wan.

- Tak. - Yoda uśmiechnął się do niego. - A twój dawny...

C-3PO szedł statkowym korytarzem u boku R2-D2, tuż za plecami senatora Organa, który - wedle wszelkich przesłanek - odziedziczył oba androidy.

- Doprawdy nie umiem powiedzieć, dlaczego przestała funkcjonować - mówił właśnie swojemu towarzyszowi. - Istoty organiczne są tak okropnie skomplikowane...

Naprzeciwko senatora stanął mężczyzna, którego uniform, jak dowiedział się C-3PO z szybkiej analizy dokonanej przez algorytm rozpoznawania obrazu, był mundurem kapitana Królewskiej Floty Cywilnej Alderaanu.

- Oddaję te androidy pod twoją opiekę - rzekł Bail Organa. - Każ je wyczyścić, wypolerować i doposażyć najlepszymi podzespołami. Będą należały do mojej córki.

- Jak cudownie! - wykrzyknął C-3PO. - Jego córka jest dzieckiem pana Anakina i senator Amidali - wyjaśnił robotowi astromechanicznemu. - Nie mogę się doczekać, kiedy opowiem jej wszystko o jej rodzicach! Jestem pewien, że będzie bardzo dumna...

- A jeśli chodzi o protokolarnego... - dodał po namyśle senator Organa. - Każ skasować mu pamięć.

Kapitan zasalutował.

- Och -jęknął C-3PO. - Wielkie nieba.

Na Coruscant, w Centrum Rekonstrukcji Chirurgicznej nazwanym niedawno imieniem Imperatora Palpatine'a, wyspecjalizowany i prototypowy android chirurgiczny Ubrikkian DD-13 odsunął się od dzieła, nad którym od wielu dni pracował wraz ze zmodyfikowanym androidem medycznym FX-6.

Skinął manipulatorem na mroczną postać w szacie z kapturem, stojącą na skraju plamy intensywnego światła.

- Budowa skończona, panie. Pacjent żyje.

- Dobrze. Dobrze.

Cień wpłynął w plamę światła; wyglądało to tak, jakby niektóre z zawieszonych pod sufitem lamp przestały pracować.

Androidy rozstały się, a mroczna postać stanęła przy stole chirurgicznym.

Leżał przed nią przypięty do blatu pierwszy pacjent CRC ImPal.

Dla postronnego obserwatora mógł być sztucznie stworzoną hybrydą androida i człowieka, zamkniętą w lśniącej, czarnej skorupie skafandra podtrzymującego funkcje życiowe, sterowanego procesorem ukrytym w skrzynce na piersi, mrugającym bladym światłem kontrolki w stronę nieruchomego cienia. Dla postronnego obserwatora ruchome kończyny pacjenta mogły wyglądać na niepraktyczne, niezgrabne, nawet potworne; gładkie i czarne krzywizny, które osłaniały jego oczy, mogły wydawać się nieludzkie, znajdująca się zaś poniżej kratka wokabulatora budziła skojarzenia ze szczękami gadziego drapieżcy okrytego lśniącym pancerzem. Lecz w oczach cienia...

Pacjent był wspaniały.

Był cudowną szkatułką, stworzoną po to, by chronić, ale i prezentowała światu największy skarb Sithów.

Był przerażający.

Fascynujący.

Doskonały.

Stół chirurgiczny z wolna ustawił się do pionu, a mroczna postać pochyliła się w jego stronę.

- Lordzie Vaderze? Lordzie Vaderze, słyszysz mnie?

Oto jak to jest być Anakinem Skywalkerem - na zawsze.

Światło świtu w twoim wszechświecie przynosi ból.

Światło cię parzy. Zawsze tak będzie. Jakaś cząstka ciebie na wieczność pozostanie tam, na szklistym, czarnym piasku obok jeziora ognia, w płomieniach trawiących twoje ciało.

Słyszysz własny oddech. Przychodzi z trudem, jest szorstki, szarpie i tak zszarpane nerwy, ale nie możesz go zatrzymać. Nigdy nie będziesz mógł. Nawet nie zwolnisz jego rytmu.

Bo nie masz już nawet płuc.

Mechanizmy wbudowane na stałe w twoją pierś oddychają za ciebie. Przez całą wieczność będą pompowały tlen do twojego krwioobiegu.

Lordzie Vaderze? Lordzie Vaderze, słyszysz mnie?

Właściwie to nie, a przynajmniej nie tak jak dawniej. Sensory dźwiękowe ukryte w puszcze, która więzi twoją głowę, sączą znaczenie słów wprost do mózgu.

Otwierasz poblądle od ognia oczy. Sensory optyczne łączą światło i cień w ohydny podobiznę otaczającego cię świata.

Możliwe zresztą, że podobizna jest wierna, a jedynie świat jest ohydny.

Padme? Jesteś tu? Nic ci nie jest? Próbujesz mówić, ale odzywa się całkiem inny głos. Wydobywa się z wokabulatora, który zastąpił twoje spalone usta, język i gardło.

- Padme? Jesteś tu? Nic ci nie jest?

*Bardzo mi przykro, Lordzie Vader. Obawiam się, że nie żyje. Zdaje się, że zabiłeś ją w gniewie.*

Te słowa parzą bardziej niż lawa.

- Nie... Nie, to niemożliwe!

Kochałeś ją. Zawsze będziesz kochał. Nie mógłbyś zadać jej śmierci.

Nigdy.

A jednak pamiętasz...

Pamiętasz wszystko.

Pamiętasz smoka - uwolniłeś w swoim sercu Vadera, żeby go zabił. Pamiętasz zimny jad we krwi Vadera. Pamiętasz rozpalony piec szалу Vadera i czarną nienawiść, która chwyciła ją za gardło, by zamknąć mówiące kłamstwa usta...

I wreszcie przychodzi ta szokująca chwila, w której pojmujesz, że nie było żadnego smoka. Że nie było Vadera. Że byłeś tylko ty. Tylko Anakin Skywalker.

To byłeś ty. Jesteś ty.

Tylko ty.

Ty to zrobiłeś.

Ty ją zabiłeś.

Zabiłeś ją, bo w chwili, gdy mogłeś ją uratować, mogłeś wreszcie zabrać ją i uciec, gdy mogłeś pomyśleć o niej... myślałeś wyłącznie o sobie.

I w tej samej szokującej chwili nareszcie pojmujesz, na czym polega pułapka Ciemnej Strony i najgłębsze okrucieństwo Sithów...

Rzecz w tym, że wszystkim, co pozostało ci na resztę życia, jesteś ty sam.

Więc wrzeszczysz, szalejesz i sięgasz po Moc, aby zmiażdżyć cień, który cię zniszczył, ale jesteś teraz o wiele, wiele słabszy, niż byłeś. Jesteś więcej niż w połowie maszyną. Jesteś jak malarz, który oślepił, jak kompozytor, który stracił słuch - pamię-

tasz, gdzie była potęga, ale dostęp do niej jest już tylko wspomnieniem. I dlatego twoja furia, która dawniej zniszczyłaby świat, dziś może jedynie wywołać implozję stojących opodal androidów, zniszczyć medyczny sprzęt i roztrzaskać stół, do którego byłeś przypięty. W końcu jednak okazuje się, że nie możesz tknąć cienia.

Dochodzisz zresztą do wniosku, że wcale nie chcesz.

Bo cień jest wszystkim, co ci pozostało.

Cień cię rozumie. Cień ci wybacza. Cień przygarnia cię do siebie...

A w czeluści pieca, który jest twoim sercem, spalasz się we własnym ogniu.

Oto jak to jest być Anakinem Skywalkerem.

Na zawsze...

Nastała długa noc.

Wielki i smutny tłum otacza plac Pałacowy w Theed, stolicy Naboo, gdy sześć pięknych, białych gualaarów ciągnie pod Łukiem Triumfalnym ozdobioną kwiatami, otwartą trumnę z ciałem. Palce ukochanej senator zaciśnięte są na zawsze na kawałku japoru, tym samym, który tak dawno temu wystrugały dla niej dłonie dziewięcioletniego chłopca z zapomnianej, pustynnej planety na skraju Zewnętrznych Rubieży...

Na porośniętej dżunglą planecie Dagobah mistrz Jedi przygląda się niezbadanym bagnetom - miejscu swego wygnania...

Stojąc na mostku niszczyiciela gwiazdowego, dwaj Lordowie Sithów i gubernator sektora Tarkin przyglądają się rosnącemu szkieletowi kulistej stacji bojowej wielkości księżycyca...

Lecz nawet w najgłębszej nocy są tacy, którzy śnią o nadejściu świtu.

Na Alderaanie książę małżonek oddaje małą dziewczynkę w kochające ramiona swojej królowej...

Na Tatooine mistrz Jedi zostawia chłopca w gospodarstwie Owena i Beru Larśów...

A potem odjeżdża na swoim eopie ku jundlandzkim pustkowiom, w stronę zachodzących słońc.

Ciemność jest szczodra, jest cierpliwa i zawsze zwycięża, lecz w samym sercu jej siły leży jej słabość: wystarczy jedna, jedyna, samotna świeca, by ją pokonać.

Miłość jest czymś więcej niż świecą.

Miłość potrafi zapalić gwiazdy.